

„Mój los był tylko jednym
spośród wielu milionów...”
Powiat sławieński w roku 1945
Wspomnienia dawnych
mieszkańców

pod redakcją Jana Sroki

Sławno 2008

Redaktor: Maria Poprawska

Tłumaczenie tekstów z języka niemieckiego: Brygida Jerzewska oraz Irene Elsner (Kurt Mielke: Mój los był tylko jednym spośród wielu milionów... Sławno na Pomorzu w 1945 roku) i Maria Sadowska (Anita Buchheim: Wspomnienia z Darłowa / Darłowskie listy).

Zdjęcie na okładce: Ostatni dzień w Sławnie, przedruk z: Aus der Heimat Rügenwalde (Kreis Schlawa – Pommern), Jahrbuch 1991-1992, redakcja Carl Heinz Rosenow, s. 145

© Copyright by: Wydawnictwo „Margraf” i autorzy

Wydano dzięki finansowemu wsparciu Starostwa Sławieńskiego

Wydawca: Wydawnictwo „Margraf”, 76-100 Sławno, ul. A. Cieszkowskiego 12 d, email: magraf1@interia.pl

Fundacja „Dziedzictwo”. 76-100 Sławno, ul. A. Cieszkowskiego 2

Druk: Sowa – Druk na życzenie, www.sowadruk.pl, tel. 022 431 81 40

ISBN: 978-83-92486-6-4

Spis treści

Wstęp	5
Anita Buchheim	
Wspomnienia z Darłowa / Darłowskie listy	11
Horst Erdmann	
Wspomnienia z 1945 roku	69
Błażej Gibaszek	
Moje lata czterdzieste	77
Mieczysław Krych	
Zaraz po wojnie	81
Wilfried Lemm	
Pierwsza ucieczka i ostateczne wypędzenie.....	83
Helga Matz	
Moje przeżycia w latach 1944/45 w moim rodzinnym mieście Rügenwalde/Darłowo.....	85
Horst Meisner	
Wspomnienia z Pomiłowa.....	87
Kurt Mielke	
Mój los był tylko jednym spośród wielu milionów... Sławno na Pomorzu 1945 . Zapiski z pamiętnika	95
Kazimierz Omiotek	
Moje 66 lat	235
Czesław Plopa	
Wspomnienia mieszkańca Naćmierza od grudnia 1945 roku.....	237
Stanisław Poprawski	
Sławno widziane oczami trzynastolatka	243
Kazimiera Preś	
Moje dzierzęcińskie lata czterdzieste.....	259
Mieczysław Rakowski	
Wspomnienia z Karsina	261
Erna Rinklin	
Błękit łubinu - Buszyno 1945 – 1947.....	267

Hans Burghard Schmid	
Sentymentalne Sławno	273
Derk Steggewentz	
Marzec 1945	279
Derk Steggewentz (syn)	
Wspomnienia z końca wojny	285
Christa Stuhlinger	
Wypisy z życia w latach 1944-1946	287
Horst Uhrhan	
Niemiecka tragedia – ucieczka i wypędzenie	291

*To nie był dobry wiek, ale był nasz".
Erich Maria Remarque, „Łuk triumfalny”*

Wstęp

XX wiek – wiek wielu wynalazków, które zmieniły świat, to także wiek okrucieństwa naznaczony dwoma wielkimi światowymi konfliktami i setkami wojen lokalnych.

Trwająca blisko 6 lat II wojna światowa znacznie zmieniła porządek w Europie. Początek 1945 roku to szybka ofensywa Armii Czerwonej. Działania wojenne wkroczyły na tereny należące do III Rzeszy, do jej wschodnich prowincji. Dla Niemców z Prus Wschodnich, Pomorza, Śląska był to początek końca wiążący się z koniecznością opuszczenia swoich rodzinnych stron. Wielka Trójka już w Jaltie porozumiała się co do przekazania Polsce wschodnich terenów Niemiec przede wszystkim za sprawą Stalina, który chciał udzielić przyszłemu satelickiemu państwu rekompensatę za utracone na rzecz Rosji Radzieckiej tereny wschodnie. Ostateczne decyzje w sprawie przekazania Ziemi Północnych i Zachodnich Polsce podjęte zostały na konferencji w Poczdamie. Konkretyzacją ustaleń poczdamskich zajęła się Sojusznicza Rada Kontroli. Jej uchwała z 20 XI 1945 roku zawierała szczegółowy plan wysiedlenia. Zakładano, że wysiedlenie zostanie zakończone w połowie 1946 roku, co okazało się jednak terminem nie-realnym. Główny trzon akcji wysiedleńczej rozpoczęty w lutym 1946 roku trwał do października 1947 roku, a praktycznie wysiedlenia miały miejsce do roku 1950.

Na Pomorzu w zasadniczy sposób zmieniły się dotychczasowe stosunki społeczno-polityczne, gospodarcze, wyznaniowe i narodowe. Na niektórych obszarach lawinowo narastały krzywdy – jednostek, całych społeczności i grup narodowych. Zanikały kultury, wyjeżdżali i przyjeżdżali nowi ludzie, którzy przez długi czas byli sobie obcy.¹

Lata 1945 i 1946, to był czas masowej wymiany ludności. Władze polskie czyniły wszystko by wymiana ta odbyła się jak najprędzej. Podstawowe zasady postępowania wobec ludności niemieckiej na Ziemiach Zachodnich i Północnych sformułowane zostały jeszcze w czasach okupacji. Były one zgodne z nastrojami społecznymi i sprowadzały się do całkowitego usunięcia ludności niemieckiej z tych terenów. Motywowano to postawą Niemców w czasie wojny i okupacji, a także interesem Polski.²

¹ Andrzej Sakson, Procesy integracji i dezintegracji społecznej na Ziemiach Zachodnich i Północnych Polski po 1945 roku, s. 131-154, (w:) Pomorze - trudna Ojczyzna? Kształtowanie się nowej tożsamości 1945-1995. Praca zbiorowa pod red. A. Saksona, Poznań 1996, s. 132

² Zenon Romanow, Polityka władz polskich wobec ludności niemieckiej i ludności ukraińskiej na Pomorzu Zachodnim w latach 1945-1958 (w:) Pomorze - trudna Ojczyzna? Kształtowanie się nowej tożsamości 1945-1995..., s. 203-204

Wobec Niemców postulowano politykę silnej ręki, stosowania terroru, tak by sami chcieli te ziemie opuścić. Dobitnie sformułował to prominentny działacz Polskiej Partii Robotniczej, Edward Ochab na majowym plenum Komitetu Centralnego PPR w 1945 roku: „Trzeba pomyśleć o tym jak wyrzucić te 2-2,5 miliona Niemców, którzy znajdują się jeszcze na Ziemiach Odzyskanych. Dzielimy tę ludność na trzy grupy. Jedną grupę będziemy wykorzystując nasze możliwości techniczne bezpośrednio wyrzucać, czy jak mówi wojewoda śląski: pędzić stadkiem za Odrę i Nysę. Druga część Niemców, która pracuje w przemyśle, gdzie brak nam fachowców, na jakiś czas zostanie, dopóki nie zapewnimy sobie potrzebnych sił technicznych. Trzecią grupę, niepotrzebną w miastach, której nie będziemy mogli usunąć z braku środków, przeniesiemy na prowincję, żeby pracowali tam, aż dojrzeje sytuacja do przerzucenia ich za Odrę”.³

Jednocześnie następowała konfiskata mienia, także osób fizycznych na tych terenach. Regulował to dekret o majątkach opuszczonych i ponemieckich z 28 marca 1946 roku. Dekret sankcjonował stan faktyczny, bowiem konfiskata mienia odbywała się już wcześniej w wyniku masowego szabru zarówno rosyjskiego jak i polskiego.

Niemcy na Ziemiach Zachodnich przyznanych Polsce nie posiadali żadnych praw obywatelskich. Korzystanie z ich pracy było powszechne. Najwięcej z nich pracowało w rolnictwie. Chłopi mogli wynajmować Niemców do bezpłatnej pracy w gospodarce.

Zanim przystąpiono do zorganizowanych wysiedleń rozpoczął się niezorganizowany odpływ ludności niemieckiej z Polski. Niemcy przesiedlani byli do radzieckiej strefy okupacyjnej (ok. 2 mln) i do strefy brytyjskiej (ok. 1,5 mln). Wyjeżdżającym nie zapewniało się żadnego poczucia bezpieczeństwa. Dochodziło do częstych napadów i grabieży.

W ich miejsce przyjeżdżali osadnicy z Polski centralnej, repatrianci z Niemiec, Francji i Belgii, wypędzeni i przymusowo wysiedleni Polacy z Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej. Akcja wypędzania i przymusowego przesiedlania milionów Polaków z Kresów Wschodnich była klasyczną czystką etniczną przeprowadzaną przez władze sowieckie.⁴ Na Ziemi Zachodnie przesiedlano też osoby związane z organizacjami niepodległościowymi, inteligencję, a także ludność ukraińską przymusowo przesiedloną w ramach akcji „Wisła”, która trwała od 4 maja do 31 lipca 1947 roku.

* * *

Według spisu ludności z maja 1939 roku powiat sławieński zamieszkiwało 77.500 osób. W czasie wojny na obszar ziemi sławieńskiej napłynęła ludność z Prus Wschodnich i Pomorza Gdańskiego uciekająca przed zbliżającą się armią radziecką, a także ludność z zachodnich części Niemiec ewakuowana tu przed

³ cyt. za Zenon Romanow, Polityka władz polskich wobec ludności niemieckiej..., s. 206-207

⁴ Tadeusz Gasztold, Przesiedleńcy z Kresów Północno-Wschodnich Drugiej Rzeczypospolitej na Pomorze w latach 1945-1948 (s.317-328), (w:) Pomorze - trudna Ojczyzna? Kształtowanie się nowej tożsamości 1945-1995..., s. 318

atakami lotnictwa alianckiego. Część ludności powiatu w ostatnich tygodniach przed wkroczeniem Armii Czerwonej opuściła powiat.⁵

Powiat sławieński zajęty został przez wojska radzieckie na przełomie lutego i marca 1945 roku w zasadzie bez większych walk. Najwcześniej Polanów – 27 lutego, Malechowo 6 marca, Sławno 7 marca, podobnie Darłowo, Postomino 8 marca. Zniszczenia zwłaszcza Polanowa i Sławna były wynikiem działań Rosjan już po zajęciu tych miast. Powiatem i poszczególnymi miejscowościami zarządzały komendantury wojskowe. Do Rosji wywożono niemal wszystko, co stanowiło jakąś wartość: maszyny, urządzenia, tory kolejowe.

Już w połowie marca (14 III) utworzony został Uchwałą Rady Ministrów obwód sławieński. Składał się z 4 miast: Sławno, Darłowo, Polanów i Sianów, 9 gmin i 175 gromad. 1 lipca tegoż roku Sianów został włączony do powiatu koszalińskiego⁶.

W kwietniu 1945 roku do Sławna docierają pierwsze grupy Polaków, kierowane przez różne instytucje i organizacje. 30 kwietnia wyrusza z Piły grupa operacyjna Pełnomocnika Rządu na Obwód Sławieński. Do miasta dociera 3 maja 1945 r. Pełnomocnikiem jest Józef Czernecki. Już nazajutrz rozpoczyna on rozmowy z komendantem wojennym Kabanowem w sprawie przejęcia władzy w mieście. Oficjalne objęcie władzy następuje już 5 maja. Faktycznie strona polska miała poważne trudności nie tylko w sprawowaniu władzy, ale także w poruszaniu się w terenie. Wybuchały liczne konflikty między stacjonującymi wojskami radzieckimi, a Polakami i Niemcami. W wielu wypadkach działalność Rosjan sprzyjała negatywnym stosunkom polsko-niemieckim.

W połowie kwietnia 1945 roku w powiecie było 75,5 tys. osób, w tym 55,7 tys. ludności napływowej. Oznacza to, że powiat w wyniku indywidualnych decyzji lub nakazu o przymusowej ewakuacji wyludnił się prawie w 75 procentach.⁷

Duża liczba Niemców w powiecie, nagromadzenie wielu uciekinierów utrudniało możliwości polskiego osadnictwa. Stąd starania władz powiatu oraz miast i gmin by przebywających tu Niemców jak najszybciej wysiedlić. Do zbiorowych wysiedleń władze powiatu przystąpiły we wrześniu 1945 roku. Ograniczenia w wysiedlaniu wynikały zarówno z braku środków transportu, jak również spowodowane były przez wojska radzieckie, które nie pozwalały na wyjazd Niemcom pracującym w zarządzanych przez nich majątkach. Według oceny Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku do grudnia 1945 roku powiat opuściło 28.509 osób. Zasadniczą część wysiedleń poczdamskich rozpoczęto w czerwcu 1947 roku. Po

⁵ Stefan Żurawski Zagadnienia ludnościowe, (w:) Dzieje Sławna. Praca zbiorowa pod red. Józefa Lindmajera, Słupsk 1994, s. 375

⁶ Stefan Żurawski: Podziały administracyjne (w:) Dzieje Sławna. Praca zbiorowa pod red. Józefa Lindmajera, Słupsk 1994, s. 311

⁷ Józef Lindmayer, Z lat drugiej wojny światowej 1939-1945, (w:) Dzieje Sławna. Praca zbiorowa pod red. Józefa Lindmajera, Słupsk 1994, s. 309

ich zakończeniu jesienią tegoż roku w powiecie znajdowało się jeszcze 7694 Niemców.⁸

Wraz z wysiedleniem na teren powiatu napływało coraz więcej osadników. Prowadzono też akcję repolonizacyjną. Na przykład we wrześniu 1945 roku w Sławnie zamieszkiwało już 4123 Polaków i 1025 Niemców.⁹

* * *

W tomie zamieszczamy wspomnienia 19 autorów, którzy nadesłali swoje prace na ogłoszony we wrześniu 2006 roku przez Fundację „Dziedzictwo” i Starostwo Sławieńskie konkurs pn.: „Powiat Sławieński w 1945 roku”.

Ogłaszając konkurs chcieliśmy zachęcić zarówno Niemców jak i Polaków - świadków tamtego czasu - do opisu rzeczywistości na terenie powiatu - ostatnich miesięcy roku 1944, roku 1945 i pierwszych miesięcy roku 1946. Na konkurs wpłynęło 12 prac napisanych przez Niemców, dawnych mieszkańców ziemi sławieńskiej i 7 prac napisanych przez Polaków, którzy osiedli w powiecie niedługo po wojnie. Materiał pamiętnikarski ma ważny walor osobistego spojrzenia na wydarzenia społeczne, gospodarcze i polityczne oczami tych, którzy w nich bezpośrednio uczestniczyli i tworzyli je. Pozwala lepiej poznać i przekazać prawdę o tamtym trudnym czasie, przełomowym dla Niemców i Polaków.

Jedna z uczestniczek konkursu w liście do organizatora konkursu napisała: *„Przesyłam Panu rękopis z faktami z moich lat dziecięcych 1945 – 1947. Minęły lata, kilka razy byłam w moich dawnych stronach rodzinnych, w Kregu i Buszynie. Mogę Panu powiedzieć, że Polacy nas bardzo serdecznie przyjmowali częstując kawą i ciastem domowego wypieku. Byliśmy u dobrych przyjaciół ! Nasze związki z Polakami trwają już kilka lat. Nauczyliśmy się czegoś z naszej wspólnej historii ! W dalszym ciągu będziemy pielegnować nasze przyjaźnie i wizyty u Polaków.”* (Erna Rinklin).

Wspomnienia z tamtych lat pozwolą współczesnym mieszkańcom lepiej poznać okres przechodzenia Kreis Schlawe w Powiat Sławieński, okres trudny i dla wielu zarówno Niemców i Polaków bolesny i tragiczny.

Dotychczasowa literatura pamiętnikarska dotycząca roku 1945 w powiecie sławieńskim jest uboga. Z tekstów drukowanych w postaci książkowej, to bodajże jedynie pamiętnik pierwszego burmistrza Darłowa Stanisława Dulewicza. Został on opublikowany w zbiorze „Pamiętniki Osadników Ziemi Odzyskanych”¹⁰. Książka powstała w wyniku konkursu ogłoszonego w 1956 roku przez Sekcję Socjologiczną Instytutu Zachodniego w Poznaniu. Na konkurs wpłynęło 227 prac, opublikowano 45. W tekście – jak i w pozostałych pamiętnikach zamieszczo-

⁸ Maciej Hejger, Wysiedlenie ludności niemieckiej z Ziemi Sławieńskiej po II wojnie światowej, (w:) Sławno i Ziemia Sławieńska. Historia i kultura, pod red. Wojciecha Łysiaka, Poznań 2002, s. 208

⁹ Stefan Żurawski, Zagadnienia ludnościowe (w:) Dzieje Sławna..., s. 375

¹⁰ Stanisław Dulewicz, Burmistrz z Darłowa, (w:) Pamiętniki Osadników Ziemi Odzyskanych, opracowali: Zygmunt Dulczewski i Andrzej Kwilecki, Poznań 1963, Wydawnictwo Poznańskie, s. 456- 524; w oddzielnym wydaniu książkowym wybór z pamiętnika S. Dulewicza ukazał się w roku 2003

nych w zbiorze - widać wyraźnie ducha tamtego czasu, dokumentowania tezy o powrocie na prastare ziemie polskie po wiekach odzyskane. W tym czasie inne teksty nie mogły powstać i być opublikowane. Te, które widziały rzeczy odmiennie niż widziały je władze, mogły być pisane jedynie do szuflady.

Pamiętniki ludności niemieckiej w Polsce do roku 1990 były w Polsce praktycznie nieznane, choć w Niemczech ukazywało się ich wiele. Stały się one ważnym elementem niemieckiej tożsamości. Pomorze jawi się w nich jako utracona ojczyzna, kraina szczęśliwego dzieciństwa.

Spojrzenie na czas przemian po II wojnie światowej na Pomorzu miało charakter jednostronny. Tym bardziej, że ukazujące się pamiętniki Polaków, którzy przybywali i osiedlali się na ziemiach zachodnich poddane były presji ideologicznej. Sytuacja zmieniała się stopniowo po roku 1990. Teksty wtedy publikowane nie były poddawane cenzurze, a także autocenzurze. Wspomnienia ukazywać się zaczęły na łamach lokalnych gazet i periodyków. Te wydawnictwa, a także opracowania naukowe dotyczące wysiedleń i osadnictwa po roku 1990 przeżywały pewien renesans. Zaczęły ukazywać się także tłumaczenia prac niemieckich, np. wspomnienia dotyczące Pomorza Christiana von Krockowa.¹¹

* * *

Tytuł książki „Mój los był tylko jednym spośród wielu milionów” jest też tytułem tekstu Kurta Mielke zawartego w tym tomie. Wydaje się, że świetnie oddaje on charakter zamieszczonych w książce wspomnień. Rok 1945 dla Niemców mieszkających w powiecie sławieńskim był końcem pewnej historii – historii niemieckiego powiatu sławieńskiego, dla Polaków tu się osiedlających stanowił początek historii. Teksty zamieszczone w tym zbiorze świetnie to przekazują.

Staraliśmy się nie ingerować w teksty. W niektórych wypadkach dokonaliśmy skrótów starając się zachować wymowę oryginałów. Pozostawiliśmy je bez komentarza i do Czytelnika należy ich krytyczna ocena. Wspomnienia ukazują się ponad 60 lat po opisywanych w nich wydarzeniach. Niektóre powstały przed wielu laty, inne współcześnie. Zawierają nie tylko przeżycia z 1945 roku, ale także późniejsze przemyślenia i oceny.

Książka opowiada o indywidualnych losach, o próbie przezwyciężenia okrutnego losu, który dotknął w tym czasie wielu ludzi. Mamy nadzieję, że to opracowanie pozwoli obecnym mieszkańcom ziemi sławieńskiej lepiej zrozumieć początki naszej obecności na Pomorzu.

Jan Sroka

¹¹Christian von Krockow, Czas kobiet: wspomnienia z Pomorza 1944-1947 według relacji Libussy Fritz – Krockow, Warszawa 1990

Anita Buchheim¹²

Wspomnienie z Darłowa / Darłowskie listy Rok wojny 1944

Budowa wschodniego wału

Od połowy sierpnia do końca listopada 1944 roku należałam wraz z wieloma dziewczętami i kobietami do organizacji Todt¹³ budującej wał wschodni. Moje wynagrodzenie z wykonywanej dotychczas pracy w Kasie Oszczędnościowej zostało nam odebrane przez dyrektora Treichela. Prawie wszystkie młode dziewczyny zostały wciągnięte do organizacji BDM¹⁴ w Rügenwalde¹⁵.



Do moich obowiązków należało prowadzenie rodzinnych wieczorów, podczas których rozmawiano o polityce. Nie lubiłam tego robić i korzystałam chętnie z obowiązkowych wyjść lub wyjazdów. Nawiązywałam wówczas nowe znajomości. Podczas pracy w organizacji uzgadniałyśmy i organizowałyśmy wspólnie wyjazdy, np. do schroniska dla młodzieży do Neuwasser¹⁶. Innym razem byłyśmy z dziewczętami w Köslin¹⁷.

To lato roku 1944 było przez nas spędzane i traktowane bardzo naiwnie i lekkomyślnie.

¹² **Anita Buchheim**, urodzona w 1926 roku w Sianowie / Zanow w powiecie sławieńskim. Od 1932 roku do 3 czerwca 1947 roku mieszkała w Darłowie. Od 24 czerwca 1947 roku mieszka w Leubingen, w Turynii. W 2006 roku ukazały się w Niemczech jej wspomnienia „Blondinen wurden aussortiert. Rügenwalder Briefe”. Zamieszczony w tej publikacji tekst jest wyborem dokonany przez autorkę z tej publikacji

¹³ Organizacja Todt, od nazwiska jej pierwszego szefa dr Fritza Todta, (niem. *Organisation Todt*, OT) - utworzona w 1938 w nazistowskich Niemczech organizacja mająca za zadanie budowę obiektów wojskowych.

¹⁴ Bund Deutscher Mädel – Związek Dziewcząt Niemieckich

¹⁵ Darłowo

¹⁶ Dąbki

¹⁷ Koszalin

Od zawsze byłam przekonana, że moja funkcja w BDM jest ważna i wykonywałam ją sumiennie. Za to stanowisko byłam bardzo wdzięczna. Czasami jednak nie było to takie łatwe, by zachować w tym wszystkim ludzką godność i postawę. Któregoś wieczoru odprowadzałam do domu jedną dziewczynę. Kiedy nieostrożnie pozostawiła za sobą nie zamknięte drzwi od mieszkania, zobaczyłam jej rodziców, którzy siedzieli razem z jednym z jeńców wojennych i słuchali radia, jak gdyby nigdy nic. To było przecież zabronione. Powinnam od razu o tym zameldować. Tymczasem szybko opuściłam mieszkanie, udając, że nic nie widziałam, nic nie słyszałam!

Na moje 18- te urodziny w dniu 8.06.1944 roku nasz francuski jeńiec wojenny Manuel dał mojej mamie, w prezencie dla mnie, grubą tabliczkę francuskiej czekolady. Nie chciałam przyjąć tej czekolady. "Nie mogę tego zrobić!" – mówiłam mamie. Mama jednak powiedziała: „Pójdiesz teraz do Manuela do kuchni i podziękujesz mu! Niektóre ludzkie gesty stoją ponad zakazami i nakazami. Zrobisz Manuelowi ogromną przykrość, jeśli nie przyjmiesz tej tabliczki czekolady!” Podziękowałam więc Manuelowi. Mama miała rację.

Ale powróćmy do tematu budowy wschodniego wału.

Ci, którzy potrafili używać łopat pracowali przy budowie wału. 50 procent zatrudnionych w istniejących jeszcze zakładach pracy było oddelegowanych do jego budowy. Reszta pracujących zawodowo musiała przychodzić do budowy rowów w końcu tygodnia, jako tzw „niedzielni saperzy”. To stwarzało czasami nieporozumienia. Przy takiej liczbie pracowników brakowało butów dla pracowników przywożonych z Karwitz¹⁸. Wówczas musieliśmy dzielić się butami. Od mistrzów nauczyliśmy się budować np. wały przeciwpancerne.

Podczas pracy otrzymywaliśmy wyżywienie z kuchni polowej. W tym czasie dostępne były jabłka i kartofle. Nasz kucharz często wyczarowywał dla nas potrawy „niebo i ziemia”. Gotował on często kartofle i jabłka razem, potem wrzucał tę papkę nam na talerze i do tego dodawał jeszcze smażoną cebulę. W każdym bądź razie smakowało to całkiem dobrze i było bardzo sycące.

W późniejszym czasie usłyszałam o służbie zdrowia, a ponieważ miałam przygotowanie w niesieniu pierwszej pomocy, zostałam odkomenderowana do oddziału stu ludzi pracujących na polach w Bartlin¹⁹. Najwięcej trosk sprawiła mi jedna młoda dziewczyna, która cierpiała na padaczkę. Po jednym z ataków sądziłam, że dziewczyna umrze mi na rękach. Lekarz sztabowy uważał, że ta młoda dziewczyna symuluje

Jednak pogłębiająca się choroba dziewczyny spowodowała, że lekarz wypisał jej zwolnienie z tej służby. Ucieszyłam się z tego bardzo, bo spadła ze mnie wielka odpowiedzialność za jej życie. A ja sama miałam przecież zaledwie 18 lat.

Koniec listopada 1944 roku był bardzo mroźny. Pomimo tego, iż zrobiliśmy biwakowe ognisko, nadal było strasznie mroźno i nie mogliśmy nic więcej zrobić,

¹⁸ Karwice

¹⁹ Bartolino k. Niemicy

jak wracać do domu. Byłoby zupełnym bezsenssem pozostać, by kopać rowy i pracować.

Po powrocie do domu stwierdziłam, że Rügenwalde w tym czasie przekształciło się w jeden wielki szpital. Wszystkie szkoły zostały przekształcone w lazarety.

Uczniowie odbierali tylko tematy prac szkolnych i oddawali nauczycielom gotowe prace do sprawdzenia i zaliczenia. Nie było już bezpośredniej nauki szkolnej.

Mój ojciec musiał swoim zaprzęgiem konnym transportować rannych, którzy przyjeżdżali do Darłowa. Przewoził ich na płaskim wózku z dworca kolejowego do lazaretów. Codziennie wieczorem wracał bardzo zmęczony i opowiadał o rannych. Potrzeba była każdego człowieka, który mógłby na wózku przewozić rannych do lazaretów. Kiedy przychodziły następne transporty, wiele osób na dworcu przypatrywało się rannym. Mój ojciec mówił wówczas: „Ci chłopcy narażali swoje życie dla was. Dlatego powinniście nam pomóc, a nie stać bezczynnie i przyglądać się. Boicie się, że ubrudzicie swoje ładne mundury krwią?”

Mój brat Wilhelm otrzymał na swoje 12. urodziny zaprzęg składający się z małych kucyków. On sam ze swoim zaprzęgiem został także zmuszony do pracy. Zaspazywano lazarety w Darłowie w chleb i inne artykuły spożywcze.

Przeznaczenie roku 1945

Dla uchodźców przygotowany pokój dziewczęcy

Uchodźców przyjmowano do domów najczęściej w lutym, ale już w styczniu mogli się u nas zakwaterować. Przybywali wozami. Prawie codziennie braliśmy uchodźców do mieszkania, czasami byli ranni i chorzy. Nie było w tym nic dziwnego, ponieważ mróz był silny. Pozostawiali u nas dopóki nie wyzdrowieli. Mama zajmowała się opieką podając ciepłe napoje i syte pożywne zupy, podczas gdy ojciec zajmował się ulokowaniem i opieką nad końmi. Powozy ich umieszczane były na podwórzu.

Ja posprzątałam pokój dziewczęcy dla tych uchodźców. Nic więcej nie mogłam zrobić. W „pokoju uchodźców” położyłam na podłodze materace (leżały koło siebie) i spało na nich nawet do ośmiu osób. Moja rodzina była zdania, że należy robić wszystko dla uchodźców, a myśleniu temu towarzyszył też strach: „na pewno nie doświadczymy takiego losu i będziemy mogli tu, w swoim mieście, zostać już na zawsze”. Tej myśli trzymaliśmy się cały czas.

Moja siostra Erika znajdowała się w styczniu 1945 roku w szkole publicznej dla nauczycieli w Prenzlau. Istniejące jeszcze listy z tego okresu najlepiej odzwierciedlają rozwój ówczesnych wydarzeń.

Darłowo, 22 stycznia 1945²⁰

Moja kochana Eriko!

Jeszcze dziś przed południem wysłałam do Ciebie paczkę. Wysyłam ci właściwie jeszcze jedna paczkę z Twoimi letnimi ubraniami, ponieważ musimy posprzątać

²⁰ Listy pisane z Darłowa do rodziny w zaznaczyliśmy kursywą

dom i opuścić nasze ukochane Darłowo. Wczoraj wieczorem otrzymaliśmy wiadomość, że powinniśmy być przygotowani na opuszczenie domu. Kiedy przyjdzie nakaz, mamy opuścić teren. To może stać się niebawem, dlatego wolę dziś spakować się. Tata musi tutaj zostać. Rolnicy wyjeżdżają wraz ze swoim sprzętem (ciągniki) do Naugard²¹. Gdzie my wyjedziemy - tego jeszcze nie wiem, właściwie też chyba tam. Będziemy z pewnością mogli za jakiś czas wrócić tu kolejną z powrotem. Być może tata wyśle wszystkie sprzęty do Pyritz²². Chce jednak to dzisiaj uzgodnić telefonicznie. Nie wiem co zrobić z zapasami mięsa. Nie mogę zabrać ich ze sobą. Mam także zapasy cukru. Chciałabym się dziś wykapać, ale jest strasznie zimno.

Szkoła publiczna w Neuwasser²³ będzie dziś zamknięta. Dziewczęta wyjeżdżają stąd jutro. Martwimy się, że wasza szkoła też zostanie zamknięta. Jeśli nie, to wyślę Ci pozostałe twoje rzeczy. Napiszę do Ciebie ponownie, jeśli wydarzy się tu coś nowego.

Teraz, moje drogie dziecko, przesyłam wiele pozdrowień i pocałunków od nas wszystkich. Mama.

Darłowo, 30 stycznia 1945

Moja kochana Eriko!

Wczoraj otrzymaliśmy list od Ciebie. Dziękujemy bardzo. Właśnie wyjechała Gerdi, jest godzina 6. Ona przed południem otrzymała nakaz, że ma dołączyć do uchodźców w Köslin. Nie wiem, czy zdoła ona tam dojechać, bo od Lauenburg²⁴ do Belgard²⁵ nie ma żadnego pociągu. Także Irmgard Ullrich przyszedł do nas pożegnać się. Jego ojciec chce zorientować się, czy będą oni mogli wyjechać stąd pociągiem wraz z żołnierzami. My nie wiemy, kiedy wyjedziemy. Tata myśli, że nie wyjedziemy stąd, bo dworzec jest bardzo mały i wszystkie miejsca są już zarezerwowane. Powinniśmy pojechać do Thuringen albo do Bayern. Później pojechalibyśmy najpewniej do Leubingen. Ale tata nie chce nas puścić samych w drogę, więc zostanę tutaj jak długo będzie trzeba. Szkoła jest zamknięta do zakończenia wojny. Wszyscy chłopcy dostają łopaty do śniegu i zajęci są odśnieżaniem. Również dziewczęta ze szkoły Anity, które obecnie nie mają już zajęć zobowiązane są do odśnieżania. Dzisiaj zostały oddelegowane do odśnieżania Rushagen²⁶.

W Ratteick²⁷ wszyscy zdołali zapakować swoje rzeczy. Rosins przybiła gwoździami swój nowy dywan z pluszu do wozu i służy on jako plandeka.

Anita przyniosła wnioski na wydanie dowodów tożsamości. Jedyne co musimy teraz zrobić to iść do fotografa i zrobić do nich zdjęcia.

²¹ Nowogard

²² Pyrzyce

²³ Dąbki

²⁴ Lębork

²⁵ Białogard

²⁶ Rusko

²⁷ Ratajki

Serdeczne pozdrowienia od taty, Anity, Wilhelma i w szczególności od Twojej Mamy.



Dom rodziny Adamsów w Darłowie przy Hospitalstrasse 5²⁸

Darłowo, 3 lutego 1945

Moja kochana Eriko!

Dziś piszę do Ciebie kolejny list. Nie otrzymaliśmy od 23 stycznia żadnej wieści i poczty od Ciebie. Nie otrzymujemy już żadnej poczty i żadnych gazet.

Wiele ludzi już wyjechało stąd statkami. Komendanci wyjechali rano. Ranni też są ewakuowani. Dzisiaj był tu jeden transport z Elbing²⁹. Sprytna Eva-Maria Schiffman szybko wyszła za mąż za jednego porucznika i dziś razem z nim mogła wyjechać. W porcie już nie ma prawie żołnierzy, wszyscy wyjechali. Pozostali jedynie żołnierze, którzy przygotowują się do wysadzenia mostu na Wieprzy.

W Sławnie wagony towarowe zostały rozgrabione. Tata jest zadowolony, że nie wysłał rzeczy transportem meblowym do Pyritz, bo to jest niedaleko od Küstrin³⁰, gdzie są już wojska pancerne. Kutry z portu wyruszają ze swoimi załogami do Travemünde. 5 dni i 5 nocy podróży morzem przy takim dużym mrozie !

Kiedy dostanę od Ciebie pocztę? Napisz prędko. Serdeczne pocałunki i pozdrowienia od mamy, taty, Anity i Wilhelma.

Darłowo, 11 lutego 1945

Moja Kochana Eriko!

²⁸ obecnie ulica 1 Maja

²⁹ Elbląg

³⁰ Kostrzyn nad Odrą

Twój ostatni list z 30 stycznia przyszedł w poniedziałek.

Każdego tygodnia przybywają niekończące się transporty, które przejeżdżają tędy, ale skąd i dokąd - tego nie wiemy.

Rosjanie są coraz bliżej. Przez wszystkie dni przechodzą niekończące się kolumny. Nikt nie wie skąd i dokąd. Wszystkie drogi są zablokowane, jedyna droga ucieczki prowadzi przez Bałtyk. Przyszła wiadomość, że przybędzie w południe okręt sanitarny. Tata zrobił drugi wózek, przygotował nosze i czekał na rannych. Na okręcie było 3.000 rannych, niektórzy z nich musieli jednak zostać przetransportowani dalej do Ustki.

Anita idzie właśnie z dziewczętami z BDM do lazaretu. Mają ze sobą jeden duży kosz do prania napełniony żywnością: 1 tort, 1 kielbasa 2 butelki wina, 1 pudełko z cukierkami, jeden talerz słodczy i mnóstwo bułek. To wszystko przeznaczone do jednego pokoju w lazarecie. Jednym pokojem opiekuje się grupa ośmiu dziewcząt.

W czwartek mieliśmy alarm lotniczy. Bałtyk drżał od strzelaniny. Być może były to miny. Nie mogliśmy spać.

Od czasu do czasu, dostępne są bułki i pieczywo, ale tylko wtedy, gdy są drożdże. Pozostawaj w zdrowiu moja kochana dziewczynko, jestem pełna nadziei, że już niedługo się spotkamy.

Serdeczne pozdrowienia i pocałunki od taty, Anity, Wilhelma i szczególnie od mamy.

Darłowo, 18 lutego 1945

Moja kochana Eriko!

Mam nadzieję, że mój list zastanie Ciebie jeszcze w Prenzlau. Jest poniedziałek rano, więc może dojdzie dziś list od Ciebie.

Przez dwie noce mieliśmy tych samych uchodźców, dziadek, który był bardzo chory, (babcia umarła po drodze), jedna pani i trójka dzieci. Wszyscy chcieli u nas zostać. Dziś po południu do miasta przybył transport z 900 uchodźcami, których należało rozłokować. Podczas gdy uchodźcy byli u nas, był znowu alarm lotniczy. To trwało tylko pół godziny, ale znowu powróciło napięcie i strach. Wilhelm znowu jechał do pracy do lazaretu.

Manuel od nas odszedł, powiedział, że nie będzie już u nas pracować więcej, bo wojna już się kończy. Anita śpi w pokoju gościnnym, gdyż jej pokój jest zapelniony uchodźcami.

Teraz będę kończyć i szybko chcę napisać jeszcze do babci. Wiele, wiele pozdrowień i pocałunków od mamy i reszty.

Darłowo, 22 lutego 1945

Moja kochana Eriko!

Z okazji Twoich 17. urodzin przesyłam Ci najserdeczniejsze życzenia, przyjmij je od nas wszystkich. By ten kolejny rok mógł przynieść Ci wszystko to, co najlepsze, żebyśmy niebawem zobaczyli się zdrowi. Jak zawsze chciałabym Ci sprawić

przyjemność urodzinowym ciastem, ale teraz musisz się zadowolić listem. Mam nadzieję, że mój list dał Ci trochę radości. Od 4 lutego nie mam żadnej poczty od Ciebie, czekam na nią z niecierpliwością. Dziś przyszedł jeden list od babci. Dziś w nocy Ullrichs wyjeżdża statkiem do Swinemünde³¹ i stamtąd do Hagen. Mam nadzieję, że dotrą tam szczęśliwie. Przesyłam serdeczne pozdrowienia od siebie, taty, Wilhelma i Anity. Twoja mama.

Obrabowany i przy tym biczem wypędzony

Na początku marca 1945 roku dyrektor Kasy Oszczędnościowej Siegfried Treichel ogłosił wszystkim współpracownikom, że nie wolno opuszczać miejsca pracy.

6 marca 1945 roku poszłam jak zwykle na służbę. W radiu nie było już czego słuchać. Czy rozgłośnia radiowa została zniszczona, tego nie wiem. Ostatnie, co udało mi się (tydzień wcześniej) razem z moją rodziną usłyszeć w radiu wydawało mi się bardzo makabryczne: wystrzał działa, dźwięk dzwonu i piosenka "nikt nie może nas ograbić, miłość i wiara w nasz naród, trzyma nas ..."



**Rodzina Adamsów w przydomowym ogrodzie w 1942 roku.
Od lewej: Anita, matka Erna, Wilhelm, ojciec Karl i Erika.**

Nasz dyrektor powiedział, że wszyscy zatrudnieni mają zebrać się i opuścić miasto do godziny 14.00. Wtedy zostaną wysadzone wszystkie mosty. Śpieszyłam się do domu. Nasze wozy były już przygotowane, także jeden dla rodzin Thrun i

³¹ Świnoujście

Lehmann, naszych najstarszych woźniców. Przygotowany był także zaprzęg konny Wilhelma z kilkoma ulubionymi jego kurczętami na górze. Jeden koszyk kąpielowy pełen kiełbasy i butelek wina z peklowanym mięsem został także spakowany i przygotowany. Mieliśmy mięso, ponieważ w styczniu zaszlachtowaliśmy jedną świnię. Powozy miały tzw. budę, która obłożona była dywanami i plandekami. Spakowane były materace i pościel. Mieliśmy przecież być w drodze wiele tygodni.

Z portu zadzwonił zaprzyjaźniony z nami kapitan, informując, że nie może dłużej na nas czekać, bo w porcie wybuchła panika. Zrozpaczeni mężczyźni ze wszystkich sił próbowali dostać się na statek. Niektórzy wpadali do zimnej wody, wychodzili z niej i dalej próbowali wejść na statek.

Około godziny 13-tej pozostali do nas dotarli i około 13.30 mogliśmy ruszyć trzema wozami mijając miasto. Poruszaliśmy się powoli, krok za krokiem, ponieważ wszystkie ulice były zablokowane kolumnami. Panowała przy tym straszna zamieć.

Kierunek Lanzig³²- Jershöft³³ – czyli na wschód. Zero pojęcia, dlaczego i gdzie tak naprawdę mamy iść, tylko tyle, żeby daleko od domu, który z pewnością będzie zniszczony, ponieważ nasz dom oddalony był zaledwie pięć działek od mostu, który miał być wysadzony.

Trzy dni później, 9 marca w Lanzig oddalonym około 20 kilometrów od Rügenwalde zakończyliśmy naszą ucieczkę przed Rosjanami. Nocowaliśmy w wiejskiej szkole i wszyscy wstaliśmy rano bardzo wcześnie. Rosjanie dotarli i tutaj. Rozkazali wracać do domów. Wypinali nam z uprzęży konie. Ojciec protestował, wówczas bili nas pejcami i odpędzali od powozów. Strzelali tuż za nami. Uciekaliśmy jak tylko mogliśmy przed uderzeniami pejsa. Mój ojciec szybko wypuścił swoje konie. Kucyk Wilhelma miał draśnięcie kulą. Po drodze mijały nas rosyjskie oddziały. Jeden pijany żołnierz rosyjski siedzący na wozie, głośno krzyczał, że mamy oddać wszystkie kosztowności. Jeden z żołnierzy ukradł mi zegarek, z którego zawsze byłam dumna i który miał dla mnie szczególne znaczenie. Był prezentem od mojej babci z Zanow³⁴ na uroczystość mojej konfirmacji. Jak już nie mieliśmy przy sobie nic, przybyła następna konna grupa żołnierzy a jeden z nich krzyczał „Uri, uri, dawai”. My podnosiliśmy nasze zmęczone ręce do góry, żeby mogli zobaczyć, że nie mamy już żadnych zegarków. Po drodze, która trwała już 20 kilometrów i była pieszym marszem, braliśmy śnieg do ust, nie jedliśmy przecież nic, bo cały nasz dobytek pozostał na wozach. Krótko przed Rügenwalde poczekaliśmy do zmierzchu, nie odważyliśmy się wejść do miasta. Zakwaterowaliśmy się przed miastem w jednej z zagród. Rosjanie nie zostawiali przecież spokojnie mieszkańców. Grabili i gwałcili wielokrotnie kobiety.

³² Łącko

³³ Jarosławiec

³⁴ Sianów

Ostrożnie zaczęliśmy zbliżać się do domu. Obie bramy były otwarte. Wszystko było puste. W pokoju gościnnym strasznie śmierdziało. Gdzieś leżało jeszcze jedzenie, które zostawiliśmy przed wyjazdem. Zaczęliśmy zbierać noże i widelce, które leżały dookoła, pozostałości z „zabaw” rzucania nożem przez rosyjskich żołnierzy. Najpierw wszystko posprzątałyśmy by móc później zacząć się urządzać.

Strach przed żołnierzami i samobójcza śmierć przez zagazowanie

Jednego dnia do naszego mieszkania niespodziewanie przyjechali Rosjanie z jednym starszym Tatarem, jako woźnicą. Zajęli pokoje nad nami. Ja byłam schowana przed Rosjanami razem z córką pani Dubberkes w małym pokoju na górze. Wilhelm przynosił nam jedzenie. Musiał przy tym uważać, aby nie zauważyli go Rosjanie. Któregoś wieczoru jeden z oficerów przyszedł na samą górę, gdzie byliśmy schowane, zajrzał do zabarykadowanego pokoju. W tym czasie nie oddychałyśmy, aby nie zauważył, że tam jesteśmy. Próbował zbić szklane okienka w drzwiach, skaleczył rękę i z krwawiącą dłonią zrezygnował z wejścia. Rodzina Dubberkes stwierdziła, że dla nich jest zbyt niebezpieczne ukrywanie mnie. Musiałam więc wrócić do domu. Nasze mieszkanie zostało podzielone pomiędzy Rosjan i moich rodziców. Żołnierze otrzymali kuchnię i dwa pokoje, moi rodzice natomiast jadalnię i dwie sypialnie. Pomędzy sypialnią a pokojem sypialnym Wilhelma został urządzony dla mnie mały pokój – moja kryjówka.

Tu chowałam się, kiedy tata i Wilhelm musieli końmi zwozić trupy z domów. Dyrektor Kasy Oszczędnościowej Treichel (mimo tego, że był kulawy i przecież nie był zdolny do służby wojskowej) popełnił samobójstwo. Najpierw zastrzelił żonę, później siebie.

Przeszukanie mieszkania i zniszczenie chleba ojca

W domu Johnschenów na Lange Strasse³⁵ znajdowała się rosyjska komendantura. Komendant (jeden z majorów), wydał rozkaz, że wszyscy zdolni do pracy Niemcy mają się zameldować. Mieli to uczynić w ciągu tygodnia, pod groźbą rozstrzelania.

U nas w mieszkaniu było przeszukanie 19 marca 1945 roku. Całe mieszkanie było pełne żołnierzy. Rosjanie przeszukiwali nawet piec kaflowy, w którym był tylko popiół. Czego oni tam tak naprawdę szukali? Uzbrojeni w karabiny przechodzili przez jadalnię, przez obie sypialnie aż do drzwi mojego schowka. Mój schowek znajdował się pomiędzy sypialniami. Jeden z wojskowych bardzo się zdziwił, kiedy mnie tam zobaczył. On myślał, że w domu są tylko mój ojciec i brat. Wyciągnęli nas na zewnątrz. Byłam tak przestraszona, że myślałam, że skamienieję. Wymierzili w nas broń i szarpiąc doprowadzili przez ulicę do za-

³⁵ obecnie Powstańców Warszawskich

mnijętej piwnicy. Tutaj znajdowali się też inni Niemcy i przybywali cały czas następni i następni. Superintendent Molzahn powiedział nam, że decyzją komendanta zostaliśmy przydzieleni do Sławna do prac porządkowych. Spędziliśmy noc ścisnięci w zamkniętej piwnicy, przy której wartę pełnili rosyjscy żołnierze. Przez strach i zdenerwowanie nie było mowy o tym, by zasnąć.

Następnego ranka maszerowaliśmy w jednej długiej kolumnie 22 kilometry pieszo do Sławna. W Sławnie zostaliśmy podzieleni i przydzieleni do mieszkań na obrzeżach miasta, które stały puste. Czy właściciele uciekli, czy byli aresztowani, tego nie wiem. Następnie o 24 - tej byliśmy pojedynczo wysyłani na przesłuchanie. Po przesłuchaniu każdy przenoszony był do innego domu, chyba po to, by nie powtórzył innym o co go pytano. Na przesłuchaniu położono przede mną zdjęcia mężczyzn w mundurach SA i SS. Pytano, czy kogoś znam. Na szczęście, dzięki Bogu, nikogo z tych osób nie znałam.

Następnie zostaliśmy znowu w kolumnie marszowej wysłani 45 kilometrów do Słupska. Osobno szły kobiety, osobno mężczyźni. Obok nas szła straż na koniach i narzucała nam tempo ze swoim „Dawaj !” W połowie idąc, w połowie biegnąc dotarliśmy do Słupska i zostaliśmy skierowani do więzienia. Na dziedzińcu dostaliśmy po raz pierwszy od Rosjan chleb (pierwszy raz od tygodnia). Był to chleb dla 25 kobiet.

Następnie ruszyliśmy do ówczesnego Reichsbanku. Nasza grupa miała być zakwaterowana na górze pustego mieszkania dyrektora banku dr. Backhaus. Co my tam zobaczyłyśmy! Cała łazienka była pełna odchodów, wszystko było brudne. Wanna służyła za sedes. A przecież w tym miejscu moglibyśmy zapewnić naszym kobietom załatwienie swoich spraw i potrzeb. Dzięki jednej kobiecie ze Sławna stało się to możliwe. Pomogła nam, gdy nas brało obrzydzenie na ten cały brud. Marianna zapytała strażników, czy powinnyśmy zrobić w łazience porządek. Straż była zdziwiona tym pytaniem i odpowiedziała jedynie „Da, da”. Najpierw musiałyśmy zdobyć dużą ilość piasku. Marianna, ja i jeszcze kilka innych kobiet o dobrym sercu nabrałyśmy odwagi i poszłyśmy po piasek i łopaty do schronu Reichsbanku . Tyle ile nam się udało zdobyć przyniosłyśmy do łazienki. Przy pomocy piasku i łopat mogłyśmy fekalia wyrzucić na zewnątrz . Napracowałyśmy się i brzydziłyśmy się , ale jakoś szło!

Niektórzy ludzie, tak jak owa Marianne są warci złota, pomagając w takich sytuacjach innym.

Kobiety zobaczyły przez okno na zewnątrz kolumnę mężczyzn. Zauważyły tam mojego ojca i zawołały mnie. Zobaczyłam na dole stojącego na ulicy ojca. On pokazywał „głód” zrozpaczonym ruchem rąk wkładając je do środka ust i zawołał cicho „chleb”. Robił to tak uważnie, by posterunkowi tego nie widzieli. Szybko wzięłam od jednej kobiety kawałek chleba i rzuciłam mu, ale jeden ze strażników rozdeptał ten chleb butem, zanim mógł go podnieść ojciec. Grupa z moim ojcem została pociągnięta dalej, ale gdzie? Czy spotkamy się dopiero na Syberii? Tego nie wiedziałam, ale to mogłoby być nasze przeznaczenie.

Transport do obozu w Graudenz³⁶

Kilka dni później kobiety zostały ustawione w szeregu. Pod kontrolą opuściliśmy budynek Reichsbanku i przemaszerowałyśmy na dworzec. Zostałyśmy załadowane do wagonów towarowych, zawsze 60 kobiet w jednym wagonie. W czasie transportu potrzeby załatwiane były poza wagonem. Otwierano wagon, bagnetami kłuto, aby szybko wyjść na zewnątrz – krzyczano „precz”. Trzy kroki od wagonu przed oczami żołnierzy, przy ich dowcipach i śmiechu załatwiano swoje konieczności. Było to poniżające.

Jako zdrowe kobiety po 10 dniach zostałyśmy wyładowane w Grudziądzu. Podczas podróży w naszym wagonie zmarły dwie kobiety na dyfteryt. W marszu do obozu podtrzymywały mnie dwie dziewczyny. Byłam bardzo obolała z powodu niemożności wcześniejszego wypróchnienia się. Wszędzie stali strażnicy. W Grudziądzu zostałyśmy rozłokowane po 1000 kobiet w jednym łagrze. Budynkiem obozowym był budynek szkoły. W obu klasach, w których zostałyśmy rozłokowane zatykałyśmy dziury w ścianach po kulach papierem, który znajdowałyśmy w ruinach i gruzach. Dzięki temu nie wpadał aż taki wielki chłód do pomieszczenia. Zawsze mogła spać tylko część z nas, reszta stała dookoła przy ścianach pomieszczenia klasowego. Nauczyłyśmy się wręcz spać na stojąco, zmieniając się co jakiś czas. Czymś strasznym był brak dostępu do latryny, której pilnowali strażnicy. Odczuwałam przy tym ogromny ból, gdy chciałam skorzystać z niej a nie mogłam. Wiele lat później miałam jeszcze koszmary senne, śniło mi się, że muszę skorzystać z toalety a dookoła nie było żadnej możliwości. To było cięższe niż niejedna ciężka praca.

Pracowałyśmy ciężko. Musiałyśmy np. na dworcu części szyn i podkładów kolejowych wrzucać na transporter. Ale najważniejsze, że byłyśmy zawsze w grupie i to dawało większą pewność i ochronę przed zgwałceniem przez rosyjskich żołnierzy. Gwałcono szczególnie blondynki.

Był któregoś dnia przypadek, że stałyśmy w kolumnie stu osób podczas lejącego deszczu. Nasza setka była wywoływana imiennie. Przy drugim razie wyszło nas 101. Komendant był wściekły. Krzyczał, że nas rozstrzela. Mówił o sabotażu. W końcu jedna Żydówka wystąpiła z propozycją, by wyczytywać nas nie po imieniu i nazwisku, lecz po dacie urodzenia. Okazało się bowiem, że były dwie kobiety o takim samym imieniu i nazwisku (Hedwig Meyer). W ten sposób sprawa wyjaśniła się, a Żydówka uratowała nam życie.

W łagrze grasowała biegunka i tyfus, pojawiły się wszy. To było straszne, gdy wszystkie te okropności do nas „przyszły”. Ci, którzy byli bardzo chorzy byli przenoszeni do pokoi „extra”. Za latryną znajdował się dół, do którego wrzucani byli zmarli. Wcześniej zabierano im wszelkie użyteczne rzeczy, takie jak np. buty. Któregoś dnia, kiedy chciałyśmy pójść do latryny, zdarzyło się coś zaskakującego. Jedna z ciężarówek, która podjechała na podwórze obozu załadowana była chlebem. Jeden z Niemców stanął na wzgórzu, zobaczył z daleka

³⁶ Grudziądz

nas siedzące razem na grzędzie i krzyknął: "Szybko, dziewczęta, pospieszcie się i zróbcie mi miejsce, mam biegunkę i żadnych spodni na zmianę, by się przebrać." Zauważył to wartownik i kłując nas bagnetem kazał iść z powrotem z latryny do obozu.

Liczba chorych i zmarłych w obozie rosła z dnia na dzień, tuzin każdego ranka. W Grudziądzu, jak słyszałyśmy w radiu obozowym, było ogółem 60 obozów z kobietami i mężczyznami. Liczba deportowanych w transportach zawsze wynosiła 1000 osób, co oznacza, że w samym Grudziądzu liczba deportowanych wynosiła w całości 60 000 więźniów! To było możliwe pomimo tego, że wiele ludzi zginęło w transportach po drodze, gdzieś przy szosie, podczas marszu całej kolumny, na trasie ze Słupska, gdzie byliśmy załadowywani. Grudziądz był ostatnią stacją od Niemiec do Eylau³⁷. Tutaj zaczynał się załadunek na Syberię, o czym dowiedziałyśmy się później. Ile osób zginęło w obozach w Grudziądzu, tego nie wiedzieliśmy. Pomiedzy nami, deportowanymi z Pomorza, byli także ludzie z Prus Wschodnich, Prus Zachodnich oraz z okolic Kłajpedy.

Któregoś dnia kobiety zostały znowu ustawione w szereg składający się ze 100 kobiet. Myślałyśmy, że chodzi o kolejną deportację w kierunku na wschód. Jednak chodziło o coś innego. Po godzinnym staniu, a zbliżał się już wieczór, kazano nam dwójkami lub czwórkami podchodzić do wartowników i oddawać to, co miało jakąś wartość. Szczególnie patrzono na zegarki i buty. Moje buty zawiązane wysoko nie wywołały zainteresowania, więc mogłam odejść. Marianna schowała swoje buty pod swoje spodnie narciarskie, ale musiała je zdjąć i oddać. Później musiała zawijać stopy szmatami. Miałymy maszerować, ale tym razem na zachód od Wisły. Nic z tego nie rozumiałyśmy.

Blondynki były wybierane

Z jednej strony ulicy, na polu znajdowała się stodoła. Tam musiałyśmy się zatrzymać. Już zbliżał się świt. Przybyła ciężarówka pełna skośnookich żołnierzy, prawdopodobnie Kirgizów. Zeskoczyli z ciężarówki i przesortowali wszystkie młode kobiety o blond włosach. Wszystkie miały ustawić się po drugiej stronie ulicy. My kobiety z blond włosami miałyśmy chustki na głowach, ale jasne brwi i oczy zdradzały nas. Bardzo bałyśmy się, że będziemy gwałcone. Udało mi się, w ogólnym zamieszaniu, przejść niezauważoną przez ulicę i schować się w większej grupie. Też mogłabym być wysłana na tamtą stronę. Te wysortowane kobiety zostały załadowane do ciężarówek. Jakikolwiek sprzeciw był zupełnie bez sensu przy takiej liczbie żołnierzy. Ciężarówki razem z tymi kobietami i żołnierzami odjechały. Nigdy więcej nie słyszałam już o tych kobietach.

My pozostałe kobiety musiałyśmy przejść przez pole, do stodoły, w której było pełno siana i słomy. Z kilkoma innymi kobietami usadowiłyśmy się na wyższym poziomie między słomianymi belkami. W nocy przyszedł jeden z wartowników i przyprowadził kobietę, prawdopodobnie po to, by ją zgwałcić. Schowałyśmy

³⁷ Bagrationowsk – miasto w obwodzie kaliningradzkim w Rosji położone przy granicy z Polską. Do 1946 r. Eylau. Polska nazwa: Pruska Hława (albo Hławka)

się między belkami siana nie oddychając. Wartownik ukuł kilka razy słomę, żeby sprawdzić, czy ktoś tam jest. Dzięki Bogu nie sięgnął do nas, ale strach pozostał.

Gdy nastał świt przyszła wiadomość, która roznosiła się jak ogień. Nie było już strażników. Nie mogliśmy w to uwierzyć. Zaczęliśmy szybko biec, póki starczyło nam sił. Przy tym były ciągle kłótnie między kobietami starszymi i młodszymi, bo wiadomo było, że starszym ciężko było utrzymać tempo narzucone przez młodsze. O wiele lepiej maszerowało się w mniejszych grupach, przeważnie były to grupy 15 osobowe, w mojej grupie była też Marianna.

Po krótkiej przerwie na odpoczynek, maszerowałyśmy dalej. Słońce i poruszające się na wietrze drzewa myliły nas, jeśli chodzi o kierunek, gubiłyśmy orientację, a poza tym wszystkie szyldy napisane były w języku polskim. Staraliśmy się iść drogami leśnymi, z daleka od głównych dróg i miejscowości. Przecież nie wiedziałyśmy, kogo możemy po drodze spotkać. Trafiłyśmy na pole z kartoflami. Pozbierałyśmy suche gałązki i rozpaliliśmy małe ognisko, by móc upiec nabierane ziemniaki. Podzieliłyśmy je po równo, aby mieć racje żywnościowe na dalszą drogę. Raz odważyłyśmy się wejść do zagrody. Tam od mieszkańca dowiedziałyśmy się, że polska milicja chwytła Niemców i przekazuje ich do pracy przymusowej. Musiałyśmy więc być bardzo ostrożne. Otrzymałyśmy na drogę ziemniaki gotowane w mundurkach. Czasami miałyśmy pecha np. gdy trafiłyśmy na pole jakiegoś Polaka, który nie cierpiał Niemców. Mężczyzna wypuścił na nas swoje psy, w strachu uciekałyśmy co sił w nogach, a nasze nogi często bolały po czymś takim. Były strasznie pokaleczone i zakrwawione.

Innym razem miałyśmy szczęście. Ludzie, którzy nam współczuli, ofiarowali nam kawałek chleba kartoflowego i garnek słodzonej kawy i mogłyśmy położyć się spać w ich stodole.

Wyliczyłyśmy, że dziennie przechodziłyśmy najczęściej 30 kilometrów. Obok głodu największym naszym problemem były zdarte podeszwy w butach. Chciałyśmy być już w domu, to dodawało nam sił.

Ktoregoś razu dotarłyśmy do Tucheler Heine³⁸ na jeden z pagórków w sąsiedztwie Tucholi, na północ od Bydgoszczy. Stąd mogłyśmy usłyszeć jeszcze strzały armat i dział z Grudziądza. Zabici niemieccy żołnierze leżeli na wrzosowisku a książeczki uposażenia niemieckich żołnierzy powiewały na wietrze. Czy ktoś sprawdzał na podstawie tych książeczek, kto tu został zabity? Raczej w to nie wierzę. Mogłyśmy wziąć ze sobą te książeczki, aby móc później powiadomić, kto został zabity. Nie odważyłyśmy się jednak. Gdyby znaleziono przy nas takie dokumenty byłoby z nami bardzo źle. Zdecydowałyśmy ruszyć dalej na północ, mijając pole bitwy. Nagle pojawiły się przed nami zasieki, druty, wieże wartownicze i płot. Mogłyśmy za nimi rozpoznać sylwetki mężczyzn, które chwiały się przy pchaniu tacek. Inni mężczyźni nosili na ramionach pnie drzew. Mężczyźni mieli na szyi obroże z łańcuchami, na stopach również mieli łańcuchy. Kojarzyło się to z jakimś filmem o niewolnikach. Próbowałam wymazać ten obraz z

³⁸ Bory Tucholskie

pamięci, ale nie mogę zapomnieć go do dzisiaj. Pytam czasami siebie, czy to był obóz koncentracyjny? Być może był to Danzig-Stutthof³⁹.

Szybko, abyśmy nie zostały zauważone, stoczyłyśmy się z nasypu kolejowego i biegłyśmy aż do wyczerpania.

Byłyśmy przez 10 dni w ciągłej drodze, robiąc po 30 kilometrów dziennie. Jednego dnia o mały włos, a zatrzymałaby nas polska milicja. Trzech kawalerzystów przejeżdżało drogą którą szłyśmy. Na szczęście udało nam się w ostatniej chwili ukryć w krzakach. Długi marsz z bolącymi stopami, ogromnym głodem i w ciągłym strachu, zarówno mnie jak i wiele innych młodych kobiet wykańczał. Jedynie myśl o tym, że niebawem wrócimy do domu, dodawała nam siłę, otuchy i pozwalała iść dalej.

Niedaleko Sławna nastąpiło rozstanie z Marianną. Marianna osiągnęła swój cel. My obie zawsze świetnie się rozumiałyśmy i pomagałyśmy sobie wzajemnie w trudnych chwilach, dlatego nasze pożegnanie nie było dla nas łatwe. Nie przypuszczaliśmy jednak, że jest to pożegnanie na zawsze. Później już nigdy więcej nie usłyszałam o Mariannie.

Rozpaczliwe poszukiwania mamy i brata

Bez Marianny szłyśmy razem zgodnie z naszym celem, w kierunku Darłowa. Po drodze słyszałyśmy od ludzi, że 25 kilometrowa strefa nadbrzeżna była „posprzątana” z Niemców. Wszyscy mieszkańcy Darłowa zostali w tym obszarze (strefie nadbrzeżnej) podzieleni i przeniesieni na inne tereny. U burmistrzów danych miejscowości znajdowały się listy, z których można było odczytać, na jakie tereny zostały przeniesione poszczególne osoby. Ja znalazłam siebie z trudem (przeszukując wszystkie te miejscowości na listach). Informacja podawała, że zostałam przydzielona do Bartolina koło Niemicy, oddalonego około 25 kilometrów od Darłowa. Taką też informację z pewnością przeczytała moja mama. Natomiast o mojej rodzinie nie znalazłam żadnego śladu.

Pozostałam tu z nadzieją, że oni niebawem się tutaj też zjawią. Mieszkańcy Darłowa tłumaczyli mi, że moja mama i Wilhelm wyjechali na razie w obawie przed rosyjskimi żołnierzami (oboje ruszyli innymi liniami kolejowymi - innymi pociągami) ale, że tak naprawdę oboje wrócą do tej kwatery kilka dni później. Mama i Wilhelm usłyszeli gdzieś po drodze, że wszyscy jeńcy zostaną puszczeni wolno, bo przyczynić się mają do tego Amerykanie. Mama myślała cały czas, że już niedługo zobaczy mnie i mojego ojca. Oni już nie mogli się nas doczekać. Coraz więcej mieszkańców Darłowa powracało z Bartolina. My również. Nasza trójka po powrocie do Darłowa musiała w ciągu 24 godzin zameldować się do pracy. Po tym mogliśmy otrzymać dokumenty i pozostać w mieście.

Ruszyliśmy w kierunku naszej Hospitalstrasse⁴⁰, ale nasze mieszkanie było zajęte nadal przez Rosjan. Dwa domy dalej stał mały jednopiętrowy dom, otwarty i całkowicie pusty. Razem z meblami wyłożonymi na podwórzu, jedną szafką,

³⁹ Gdańsk- Stutthof

⁴⁰ obecnie ulica 1 Maja

dwoma łózkami, jedną sofą, stołem i krzesłami. Zajęliśmy dom i urządziliśmy jeden pokój. Później w trójkę poszliśmy do polskiego magistratu i otrzymaliśmy pracę i dokumenty.

Dawny lazaret w szkole żeńskiej miał być posprzątany i czysty, ogródek przy budynku miał być doprowadzony również do porządku. To wszystko było przeznaczone dla polskiej milicji.

Dozór wtedy sprawował szef milicji Janek Jerzewski. W następnych dniach przybyła kolejna siła robocza, trzy osoby: Brigitte Wirtz z Hagen ze swoją matką i z bratem. Pracowaliśmy dopóki wszystko było gotowe i czyste. Brigitte i Janek rok później wzięli ślub. On musiał później oddać swój posterunek i przejął rzeźnię na Lange Strasse⁴¹. To było pierwsze w Darłowie małżeństwo zawarte pomiędzy Niemką i Polakiem. Brigitte miała początkowo bardzo ciężko. Polacy nawet ją opluwali.

Janek zatrudnił Wilhelma w rzeźni. Za to Wilhelm przynajmniej miał co jeść.

Ja musiałam pracować w jednym polskim gospodarstwie, ciężko pracowałam na polu i często nie miałam co jeść. Przyszła znowu żółtaczką, co było pozostałością po obozie. Spaliśmy na stogach siana, siano było miękkie, lepsze niż moje łóżko w mieszkaniu, które wypełnione było tylko workami. Później otrzymaliśmy od jednej naszej sąsiadki, pani Miels pościel.

Wypadek z wozem konnym

Musiałam zwozić ze wzniesienia w pobliżu Darłowa siano i przywozić je do miasta. Jadąc przez rynek, kamienną drogą, która prowadziła cały czas w dół, nie wiem, czy nie zdążyłam zahamować, czy koń źle stanął. Nie wiedziałam, czy lepiej jest zeskoczyć czy zostać zrzuconą przez konia. Uderzyłam prawą skronią o krawężnik. Byłam nieprzytomna. Polacy zawieźli mnie do szpitala i położyli na stole. W szpitalu był nasz lekarz doktor Krüger, który zrobił mi opatrunek na głowie. Miałam podać jakieś dane odnośnie tego wypadku - jak to się stało - ale niczego nie pamiętałam. To jest okropne uczucie, kiedy człowiek nie może sobie czegoś przypomnieć. Dopiero po drodze, idąc powoli na chwiejnych nogach do domu napotkani ludzie wytłumaczyli mi, co się stało. W domu mama przywitała mnie słowami: „, Mój Boże, jak ja teraz tak zakrwawione ciuchy doprowadzę do porządku”. Byłam załamana tą reakcją - zero komentarza.

Gdy po raz pierwszy od wypadku na koniu, ponownie musiałam powozić furmanką, na całym ciele poczułam straszne ciarki; nie mogłam na to nic poradzić.

Zegarek dziadka i kombinezony robocze do polowu dorsza

Mojej mamie i mnie na początku jesieni 1945 roku wiodło się bardzo źle. Zbierałyśmy na pobliskich łąkach szczaw i owoce jałowca, które znajdowały się za

⁴¹ obecnie ulica Powstańców Warszawskich

naszą Hospitalstraße⁴². Tak długo jak one tam rosły, mogłyśmy gotować z nich zupę.

Gdy głód już męczył bardzo, ratowałam się biorąc kilka par kombinezonów roboczych, które leżały na strychu i służyły do połowu ryb. Maszerowałam z nimi do rybaków pracujących w porcie. Oni łowili na swoich kutrach ryby dla Rosjan i pod kontrolą Rosjan. Musiałam błagać rybaków, żeby zechcieli wymienić te spodnie na ryby. Czułam się jak żebrak, nie mogłam powstrzymać łez.

To była zaledwie połowa problemów, bo mama dostała biegunki i była bardzo chora.

Któregoś dnia w grudniu 1945 roku całkiem niespodziewanie przyjechał do nas mój dziadek z Sianowa. On znalazł nas przypadkiem jadąc Lange Straße⁴³. Przyjechał samochodem razem z jednym zaprzyjaźnionym Rosjaninem. Tego samego dnia Rosjanin ten odwiózł mojego dziadka powrotem do domu w Sianowie. Dziadek wiele ryzykował tą podróżą, ale miał szczególny powód. Przywiózł mojemu bratu Wilhelmowi, przekazując w spadku, swój złoty zegarek jako prezent, na którym wygrawerowane były literki „W. A”. Dla Wilhelma Adama.

Poprosiłam dziadka, czy mógłby poopowiadać mi trochę o moich przyjaciółkach, bliźniaczkach, które mieszkały w Sianowie. On mi powiedział, że obie 18 kwietnia z powodu gwałtu dokonanego przez rosyjskich żołnierzy odebrały sobie życie.

Dziadek musiał mieć przecucie, że już się nigdy więcej nie zobaczymy. Na początku 1946 roku zarówno dziadek, jak i ciocia Lotte i jej małe dzieci Urszula, Zygfryd i Erika musieli opuścić swój dom. Polacy powiedzieli im, żeby się ciepło ubrali, bo już zaczął się ostry mróz. Podczas transportu dziadek nabawił się odmrożeń i zmarł 26 kwietnia 1946 roku w Niebüll/Holstein. Ciocia Lotte i jej dzieci jeszcze bardzo długo chorowali.

Krótko przed Świętami Bożego Narodzenia 1945 roku mama wyszła ze szpitala. Przybył do nas pan Walkmann. Wcześniej był członkiem SPD⁴⁴. Słyszał o tym, że jest nam bardzo ciężko, że nie zarabiamy pieniędzy. Powiedział, że chce nam pomóc. W urzędzie jest kuchnia przeznaczona dla rosyjskich żołnierzy i ludzi cywilnych podlegających pod komendanturę. Potrzebują tam kobiet do obierania ziemniaków. Stawiłyśmy się tam tak szybko, jak to było tylko możliwe. Dostałyśmy też dokumenty i musiałyśmy przejść badania zdrowia.

Wypędzenie z ojczyzny 1946/1947

Praca w rosyjskiej kuchni i atak ze sztyletem

Pracę w rosyjskiej kuchni zaczęłyśmy z mamą w styczniu 1946 roku. Nasz dzień pracy trwał od 6 rano do godziny 18 wieczorem. Co najważniejsze, miałyśmy

⁴² obecnie ulica 1 Maja

⁴³ obecnie ulica Powstańców Warszawskich

⁴⁴ SPD - Sozialdemokratische Partei Deutschlands, Socjaldemokratyczna Partia Niemiec, najstarsza niemiecka partia polityczna wśród obecnie istniejących założona w 1863 r.

dzienne wyżywienie! Mama przychodziła najpierw obierać ziemniaki, potem przeszła do kuchni właściwej, gdzie od rosyjskiej kucharki uczyła się gotować makaron, wareniki, galuschki, pelmeni i inne potrawy mączne, które były najczęściej wkladkami do zup. Z czasem ja też zaczęłam się tego uczyć.

Ja natomiast musiałam w kuchni najczęściej obierać ziemniaki, płukać warzywa, kroić mnóstwo kapusty i robić nóżki w galarecie. Pracowały tam cztery kobiety: Lore Hendess, pani Zipperling, Maria Kreft i ja. Mąż pani Zipperling był nadinspektorem i instruktorem uczącym mnie w Kasie Oszczędnościowej. Lore Hendess była moją koleżanką.

Cztery rosyjskie kucharki знаły zaledwie kilka niemieckich słów, dlatego potrzebowały malutkich książeczek - słowniczków rosyjsko-niemieckich, by nas zrozumieć. My musiałyśmy wcześniej uczyć się obu języków, więc miałyśmy mniej problemów, by je zrozumieć. Nauczyłam się dobrze czytać i pisać po rosyjsku. W końcu przyszedł taki czas, że wszystkie mogłyśmy się zrozumieć bez problemów.

Jednego dnia panowało w kuchni widoczne zdenerwowanie. Na podwórzu sądu okręgowego była komórka, w której spotykali się często żołnierze by się tam upijać. Nasze okno w kuchni było na równi z podwórzem i znajdowało się naprzeciwko komórki. Byłam sama w „kartoflanej kuchni”, wszystkie pozostałe kobiety były w kuchni obok i przygotowywały posiłki. Nagle wskoczył do kuchni w ogromnej delirce jeden z żołnierzy rosyjskich ze sztyletem skierowanym do mnie. Byłam strasznie zdezorientowana i krzyknęłam głośno po niemiecku: „,Nein, nein!“”. Gdy usłyszał język niemiecki, zorientował się, że to nie o mnie mu chodzi. Opuścił sztylet i zataczając się doszedł do drzwi, gdzie został złapany przez strażę. W kuchni obok pracowała jego rosyjska przyjaciółka Kattia. Ponieważ nie dotrzymywała mu wierności, żołnierz ów chciał się na niej zemścić.

Znowu czuwał nade mną Anioł Stróż!

Listy jedynym pomostem łączącym rodzinę

Nie przypuszczaliśmy w tym czasie, że jedynie listy będą budowały pomost między nami wszystkimi, między naszą całą rodziną. Ten okres, między nadzieją a trwogą o to, kiedy się znowu wszyscy spotkamy obrazują najlepiej listy z Darłowa, które otrzymywała moja siostra i które jeszcze istnieją w oryginale.

Darłowo 14 kwietnia 1946

Mój kochany Karl i moja kochana Eriko!

Wasz kochany list z 8 marca 1946 roku otrzymaliśmy 9 kwietnia, z wielką radością. To był pierwszy list od Was, jaki otrzymaliśmy. W liście od babci, przez wujka Reinholda dowiedzieliśmy się, że jesteście razem. Czekaliśmy bardzo długo na tatę. Ale to dobrze, że on jest tam. Także o Ciebie, droga Eriko, bardzo martwiliśmy się. Chcielibyśmy bardzo do Was pojechać, ale nie otrzymamy pozwolenia na wyjazd. Musimy czekać, aż granice zostaną otwarte. W marcu wyjeżdżał w kierunku Odry samochód z 22 osobami. Kosztowało to 3.000 złotych

od osoby. Nie było nas na to stać. Wyjechali państwo Nünkes i Bäckerts. Bardzo się cieszymy, że tata ma pracę i znowu konie i wóz. Wilhelm był bardzo wzruszony i bardzo płakał. Chciałby tacie pomagać. On pracuje u jednego polskiego rzeźnika i otrzymuje całe wyżywienie. Na Święta Bożego Narodzenia otrzymał 150 złotych i na urodziny 100 złotych. Mimo to, brakuje cały czas pieniędzy. Anita też pracuje, ale zarabia jedynie na jedzenie. Ona pracuje w rosyjskiej kuchni i przynosi mi, jak tylko może, jedzenie. To jest o wiele cenniejsze niż pieniądze. Nasze mieszkanie nadal nie jest wolne, mieszkają tam ludzie, w tym Litwin, który pracuje w rosyjskiej mleczarni. Wczoraj przywiózł mi stamtąd dwa małe wozy drewna. W naszym ogrodzie rosną już wielkanocne kwiatki. W następną niedzielę wypada Wielkanoc, a wszystko dookoła jest takie smutne. Ze zdrowiem u nas dobrze. Gorzej z naszymi butami. Wilhelm miał wypadek, spadł z konia, ale już czuje się dobrze. Szef Wilhelma ożenił się z Brigitte Wirtz z Hagen, która jest w twoim wieku Eriko. Wilhelm musiał prowadzić powóz na ślub. W marcu był tutaj ogromny pożar, spłonęły na Scheunenstraße⁴⁵ wszystkie stodoły, ale domostwo Bauerów zostało uratowane. Lehmanowie mieszkają w domu Nünkes. Schliemann pozdrawia Cię Karl. Pan Förderer jest szoferem u Rosjan. Stoją tu dwa samochody też z innymi szoferami, jeden Rosjanin drugi Armen-czyk- mieszkają oni też tutaj. Mamy jeden goły pokój z 3 łózkami, 3 krzesłami, jednym stołem. Mieszkamy w spokoju. Udało się nam, jestem szczęśliwa, że ani ja, ani Anita nie zostałyśmy zgwałcone. W grudniu był tutaj tata⁴⁶. Od Artura nie mam żadnych wiadomości, Mam ogromną nadzieję, że niedługo się zobaczymy wszyscy razem.

Napisz do mnie prędko, pozdrawiam od wszystkich krewniaków, przesyłam dużo pozdrowień i pocałunków. Wasza mama, Anita i Wilhelm.

Kochany Tato, kochana Eriko!

Ja też chce szybko napisać do Was. Jesteśmy w końcu najedzeni. W naszej rosyjskiej kuchni posiłki gotuje się dla 200 osób. Ja pracuję od godziny 6 rano do godziny 6 wieczorem. Mogę przynosić jedzenie mamie. W środy mam swoje niedziele - czyli wolne. W piątki wieczorem chodzę do rosyjskiej sauny. My, którzy tu pracujemy możemy do niej chodzić. Możemy też chodzić na tańce - 3-4 razy, to też jest nam dozwolone, ze względu na to, że tam pracujemy. Podczas tych spotkań tanecznych pani Mielke gra na akordeonie.

Przesyłam pozdrowienia. Wasza Anita

Gwałt i trwające dziesięciolecia nieprzyznawanie się

W liście z 14 kwietnia 1946 roku moja mama napisała zupełnie przypadkowo i z lekkością takie zdanie: "Zgwałcone nie zostałyśmy, ani ja ani Anita". Poruszyła ona przy tym bardzo wrażliwy i delikatny temat, od którego ja się ustrzegałam cały czas, ale o którym, niestety, cały czas myślałam. Chodziło o to, że ja zosta-

⁴⁵ obecnie ulica Stodolniana

⁴⁶ dziadek z Sianowa

łam raz zgwałcona przez rosyjskiego okupanta w styczniu 1946 roku. Moja mama będąc wtedy w innym miejscu nie dowiedziała się o tym. Ja natomiast nie chciałam, by dowiedziała się o tym wydarzeniu. Doświadczenie gwałtu wywołuje u kobiety straszne odczucia i niszczy wszelki świat uczuć. Wołałam nie przeczytać tego zdania w tym liście. Z drugiej strony nie chciałam usuwać tej informacji z listu.

Po powrocie z obozu w Grudziądzu złapał mnie wieczorem jeden rosyjski szofer. Broniałam się, gryzłam mocno. Nie skutkowało. Dzięki Bogu, dzięki Bogu, dzięki Bogu, że nie przychodził więcej do mnie, bo był tylko przejazdem.

Tak długo, jak byłam rosyjską kucharką zarówno mama jak i ja miałyśmy jedzenie i nasze ciała nabierały sił. Wielu mieszkańcom Darłowa, którzy w tym czasie nie mogli pracować wiodło się gorzej. Myślę teraz o starszej pani Jakob mieszkającej na Hospitalstraße⁴⁷, która mieszkała z czterema lub pięcioma wnukami i musiała wszystko cedić i oszczędzać, jak to tylko było możliwe. Pani Jakobs zawsze dostawała ode mnie wiadro pozostałej w kuchni zupy, za co była dozwonnie wdzięczna. Dom pani Jakobs stał naprzeciwko przystani motorówek. Jej córka Anna, bardzo ładna, młoda kobieta, brunetka, była wiele razy zgwałcona przez Rosjan, dlatego nie chciała już dłużej żyć. Rzuciła się któregoś dnia do wody.

Darłowo, 19 maja 1946

Moja kochana Eriko, mój kochany Karl!

Nie wiem, czy tata jest już u Ciebie Eriko. Słyszałam od babci, że on jest razem z wujkiem Erikiem, Reinholdem i Herbertem w Bielefeldzie. Teraz więc znówu jesteś sama. Właśnie napisałam do cioci Lisbeth. Znajdę jakiś sposób, by wysłać wam te wiadomości. Ze zdrowiem u nas dobrze, chociaż noga Wilhelma jeszcze nie jest do końca zdrowa po upadku z konia. Ja jestem krawcową i mam bardzo dużo pracy. W piątek otrzymałam od sąsiadów dwa świeżo upieczone przez nich chleby. Babcia jest obecnie w drodze, mam nadzieję, że dotrze do Was cała i zdrowa. Szkoda, że nie wzięła nas ze sobą. Ale nie wiedzieliśmy, jak to wszystko wygląda. Mam nadzieję, że ona otrzymała mój list z 14 kwietnia. Czekam teraz na wiadomości od Was. Dlaczego tata nie pisze? Teraz jest ostatni czas na to, bo dużo poczty przychodzi z tamtych stron. Ten list też wyślę przez pocztę. Kiedy będziemy mogli wyjechać, to wyjedziemy do ciotki Liesbeth. Teraz życzę wam i sobie jak najszybszego spotkania i przesyłam wiele pozdrowień i pocałunków. Wasza mama, Anita i Wilhelm.

Darłowo, 2 lipca 1946

Moja kochana Eriko i mój kochany Karl!

Wczoraj nieoczekiwanie przyszedł list z 20 maja, dał nam ogromną radość. Także list z 6 maja otrzymaliśmy. Po tym od razu zdecydowałam się odpowiedzieć. Tylko wiadomość o tym, że nasz kochany dziadek zmarł, głęboko nas zasmuciła.

⁴⁷ obecnie ulica 1 Maja

On bardzo chciał jeszcze Was zobaczyć. Mam nadzieję, że dotarła do Was ciocia Lotte i babcia. Czy znajdzie się tam dla was wszystkich miejsce? Wszystkie moje wspomnienia w dzień i w nocy dotyczą was, ach, to wszystko jest takie trudne. Kiedy nadejdzie w końcu ten dzień, że będę mogła być już z wami. Przed kilkoma tygodniami dobrowolnie się wymeldowałam - obecnie czekamy z tygodnia na tydzień na ewakuację. Wszystko jest popakowane. Sławno zostało ewakuowane przed 14 dniami. Tutaj jest jeszcze sporo Rosjan, dlatego tak to się opóźnia wszystko. Herta Steinhorst już wyjechała, Sianów przymusowo ewakuowano. Wówczas było bardzo zimno. Teraz trwają żniwa, cały czas padało, a dziś jest wyjątkowo ciepło.

Mój kochany Karl, tak bardzo chciałabym upiec ci wafle na twoje urodziny. W niedzielę otrzymaliśmy od pani Lehmann jajka, boczek, wafle oraz mąkę. Wymieniłam to za maślanek. Kupić można tu wszystko, ale jest bardzo drogo! Ja wolę oszczędzać pieniądze na podróż. Za kożę otrzymałam 1.300 złotych. Miała ona trzy jagnięta, ale jedno zdechło. Teraz każdego dnia otrzymujemy maślanek od Litwinów, którzy mieszkają z nami.

Gdzie mogą być teraz Pyritzer? Karl, czy ty znasz imiona krewnych od strony cioci Ellen z Lubeki. Zostaliśmy prawdopodobnie przydzielenie do składu do Lubeki. Dobrze byłoby więc znać adresy krewnych lub znajomych. Sądzę, że Pyritzer tam są.

Pozdrowcie, proszę, wszystkich krewnych i napisz prędko do mnie. Wiele serdecznych pozdrowień i pocałunków na odległość dla Ciebie śle, zawsze myśląca mama i Wilhelm.

Mój kochany tato, moja kochana Eriko!

Z ogromną radością otrzymałam list od Was z 20 maja. Nasz kochany dziadek zmarł, może to i lepiej. Mam nadzieję, że odnajdą się ciocia Lotte z wujkiem Arturem. Z pewnością jest jej ciężko samej z dziećmi. Ja już wyczekuję dnia, kiedy będziemy mogli stąd wyjechać. Kiedy to będzie możliwe? Już dawno wszystko spakowaliśmy. Jesteśmy cały czas zdrowi i każdego dnia najedzeni.

Teraz śle pozdrowienia dla was wszystkich. Anita

Darłowo, 21 lipca 1946

Mój kochany Karl, moja kochana Eka !

Dzisiaj chciałam do was też napisać. W tygodniu otrzymałam jeden list z 9 kwietnia z kartą poszukiwania zaginionych z biura w Berlinie. Cieszymy się z tego bardzo. Tylko tata mało pisze. Jak wygląda moje życie? Siedzimy tutaj całymi dniami i czekamy na dzień, w którym będziemy ewakuowani i nie możemy się go już doczekać. Czasami przyjeżdżają tutaj transportowce, ale nie są one przeznaczone dla nas, tylko na żniwa. Dlatego uzbrajamy się w cierpliwość i czekamy dalej. Jest czasami jeden darmowy transport, ale tylko dla kobiet, które chcą wyjechać do swoich mężów do Niemiec. Jest już u was babcia? Kiedy my będziemy mogli być wszyscy razem? Wczoraj znowu wypakowywałam swoje plecaki i wietrzyłam rzeczy, które się w nich znajdowały. U nas jest bardzo wilgotno.

Wczoraj pani Lehmann upiekła dla nas dwa bochenki chleba, a ja tanio kupiłam mąkę. Dzisiaj po południu dostępny był groch, funt kosztował⁴⁸ 25 złotych.

Anita i Wilhelm lubią wieczorami chodzić na plażę, ja wieczorami siadam w ogrodzie i myślę z tęsknotą o was. Obecnie mam od was 5 listów! Napiszcie prędko znowu.

Serdeczne pozdrowienia i pocałunki. Wasza mama.

Kochany tato !

My jesteśmy wciąż tutaj w Darłowie. Całymi dnami czekamy na transport. To, że masz dla mnie tyle pracy, jest cudowne. Szkoda, że nie mogę być tam, przy tobie. Kiedy ja będę mógł przyjechać tam z naszym koniem? Mój konik jest cały czas tutaj zajęty. Pracuje w gospodarstwie dla Rosjan. W tym gospodarstwie Hans Wendt jest majstrem. Klacz jest także w tej zagrodzie, ona ma teraz piękne źrebie. W naszej zagrodzie jest też 6 koni z mleczarni.

Kiedy ja do ciebie przyjadę, nie poznasz mnie. Jestem już duży i silny. Noszę rozmiar 13. Od listopada do maja pracowałem u Polaków. Oni mieli 3 konie, o które musiałem dbać, sprzątać po nich, karmić, czyścić, uprzątnąć nawóz. Wszystko robiłem sam.

Teraz przesyłam pozdrowienia i pocałunki, twój Wilhelm.

Darłowo, 21 lipca 1946

Mój kochany tato, moja kochana Eriko!

Ja także chciałam do Ciebie trochę napisać. My siedzimy wciąż tutaj i czekamy na transport. Nadejdzie taki dzień, kiedy transporty ze Sławna będą już wolne. Ja myślę, że to będzie w lipcu. Dzisiaj pierwszy raz od poprzedniego lata byłam na plaży. Na przystani można się kąpać, ale woda jest jeszcze niezbyt czysta. Strój kąpielowy mam od jednej dziewczyny, która miała dwa. Od Irmy Bäckert otrzymałam pocztę. Rodzina Bäckert jest teraz w Bordeskolm / Holstein, w brytyjskiej strefie. W pobliżu mieszka też rodzina Otto Bauer, Nünkers, pani Banash, pani Harder, Wilhelm Bäckert z synami Günterem i Alfredem, - tak napsała Irma. Mają jedzenie i mieszkają u jednego rolnika.

Teraz kończę i mam nadzieję, że mój list cię ucieszy.

Wiele serdecznych pozdrowień, także dla wszystkich krewnych, wasza Anita.

Darłowo, 8 sierpnia 1946

Mój kochany tato, moja kochana Eriko - siostro!

Wczoraj wieczorem ucieszył nas list z 23 czerwca. Jak szybko przychodzi poczta! A więc babcia jest zdrowa u was, to pięknie. Cudownie, że spotkaliście się razem. U nas wszystko dobrze i lepiej, niż w poprzednim roku. Jesteśmy zdrowi.

⁴⁸ w niektórych regionach krajów niemieckojęzycznych (Niemcy, Austria) słowa „funt” używa się w potocznym języku zamiast „pół kilo”.

Mamy teraz pracę w domu. Ja od tygodnia nie pracuję już w kuchni. Podobno było już za dużo siły roboczej⁴⁹.

Teraz mieszkają na dole dwaj rosyjscy szoferzy i nad nami jeden ze swoją kobietą. Ona jest bardzo miła i ma tyle samo lat, co ja. Zna trochę język niemiecki, więc porozumiewamy się na pół po rosyjsku, pół po niemiecku. Mama szyje i gotuje dla wszystkich, ja jej pomagam i robię porządki. Wilhelm czyści samochody i chciałby być już szoferem. Czekamy z tygodnia na tydzień, kiedy będzie Darłowo ewakuowane. Za każdym razem słyszymy: „w następnym tygodniu na pewno będzie transport!” Zrobiłam już z Larissą (Rosjanka) zakupy, dziś wieczorem będzie omlet z musem jabłkowym.

W niedzielę, jeśli jest ładna pogoda, chętnie chodzimy na plażę, to mi sprawia ogromną radość. Mama uszyła mi kostium kąpielowy.

Wiele serdecznych pozdrowień i do szybkiego zobaczenia, wasza Anita.

Kradzież własnych sandałów

W tym miejscu muszę opowiedzieć o jednym epizodzie, o którym nie pisałam w liście.

Jedna z Litwinek, która mieszkała w naszym domu miała córkę Anię. Dziewczyna była prawie w moim wieku. Często przychodziła do nas i dawała mi do zrozumienia, że powinnyśmy zostać przyjaciółkami. Przychodziła zawsze ubrana od góry do dołu w moje rzeczy. Miała także mój rower. Urodziła się przy litewskiej granicy i chodziła do niemieckiej szkoły, więc mówiła z łatwością po niemiecku. Przy którymś spotkaniu powiedziałam jej, że wszystko to, co ma na sobie z pewnością znajdowało się w naszym mieszkaniu i należy do mnie. Ona na to, że Rosjanie, którzy mieszkali w naszym mieszkaniu wytłumaczyli jej, że nas już tutaj nie będzie i ona może sobie wziąć, co tylko chce. Co ja w takim razie miałam zrobić?

Któregoś dnia wracałam do domu i zobaczyłam obok naszego dawnego mieszkania, na placu koło ogrodu, gdzie leżało drewno, parę sandałów, które się suszyły. MOICH SANDAŁÓW! Szybko je chwyciłam i pobiegłam do swojego domu. Pomyślałam – prawie mi je ukradła - ale na szczęście nie udało jej się to. Tłumaczyłam sobie, że przecież ja muszę w czymś chodzić! To było uczucie nie do opisania!

W naszym dawnym domu Ania znalazła zdjęcia. Te zdjęcia były z naszego rodzinnego albumu, który Rosjanie zniszczyli i wyrzucili. Do dziś jestem wdzięczna Ani, że dała mi te zdjęcia, w przeciwnym razie nie miałabym żadnych rodzinnych zdjęć.

Nadal nikt nie ma zdjęcia babci i dziadka z Sianowa.

Teraz wracam do listów.

⁴⁹ pojawił się tam tak naprawdę nowy komendant, który nie tolerował Niemców w kuchni.

Darłowo, 11 sierpnia 1946

Moja kochana Eriko, mój kochany Karl!

Z wielką radością otrzymałam kochany list od was, na który czekaliśmy z ogromną niecierpliwością. Nie możecie sobie wyobrazić, jaką radością jest list z Niemiec. Bardzo cieszymy się z waszego nowego mieszkania. A tym bardziej, że ty Karl tak troszczysz się o dom. To, że jest biednie, to nic. Przecież „własne ognisko domowe jest złota warte”. Czy sadziliście już ziemniaki? Także tu powinniśmy posadzić ziemniaki, gdybyśmy stąd nie wyjechali do zimy. Nie mamy teraz drewna, nie mamy ziemniaków, ale mam nadzieję, że to tylko do następnego tygodnia potrwa. Ja mam w kuchni dużo pracy, ale też więcej lepszych rzeczy do jedzenia. Do sąsiadów chodzę teraz rzadziej, dla Katii (jednej z rosyjskich kobiet) muszę uszyć jeszcze 2 sukienki, trzecia będzie gotowa jutro rano. Dziś mieliśmy przygotowane warzywa i smażone ziemniaki, jutro będziemy robić gotowanego królika i mus z jabłek. Dzisiaj muszę jeszcze usmażyć ogromnego dorsza dla szoferów.

Kochana Eriko, bardzo się cieszę, że ty dla taty potrafisz wszystko ugotować i wszystko sama pierzesz. Być może już niedługo cię w tym zastąpię. Czy u was w tym roku jest dużo owoców? Tutaj obrodziło ich bardzo dużo, mimo to są drogie. Dziś mogłam napisać dopiero po godzinie 12-tej. Wczoraj musiałam do godziny 12 w nocy być w kuchni, ponieważ było mnóstwo pracy i mnóstwo gości.

Dziś znowu usłyszałam, że pod koniec tygodnia będzie transport, więc znowu żyję nadzieją, że tak się stanie. Serdeczne pozdrowienia i pocałunki dla was, od waszej mamy, Anity i Wilhelma.

Na tańcach nie było już ani jednego wroga

W poprzednim liście mama napisała, że pracowała w kuchni do godziny 12 w nocy, ponieważ było wtedy bardzo dużo gości. Tak, tego dnia było przyjęcie urodzinowe Larissy. I musiałyśmy tego dnia ugotować wiele potraw. Była też oczywiście przy tym wódka. Prędko rozegrała się harmonijka i zaczęły się tańce. Larissa przyprowadziła mnie i powiedziała, że obowiązkowo muszę nauczyć się jednego narodowego tańca rosyjskiego, przy którym należało dziwnie wykręcać stopy. Przed wyjściem zaproponowałam jej, że pokażę jej oryginalny, niemiecki taniec.

Wszyscy tańczyli razem. Później wszyscy biesiadnicy jeszcze tańczyli walca. Nie było wśród tańczących już żadnego wroga, tylko szczęśliwi ludzie, którzy przeżyli wojnę. Nieważne, czy to był Rosjanin, czy Niemiec. Wojna od roku zakończona, rozumieliśmy się wszyscy bardzo dobrze!

Darłowo, 3 września 1946

Mój kochany Karl, moja kochana Eriko

Właśnie otrzymałam list od Ciebie i Eryki. Bardzo dziękuję. Sprawił mi on ogromną radość i jestem z was bardzo dumna. Czasami nie mam tutaj spokoju i

wtedy czekam tylko na nadejście wieczoru, kiedy w spokoju mogę o was myśleć i za wszystko dziękować. W niedzielę były widziane całe transporty z ewakuowaną ludnością z Buszyna, Kregu, a także ze Słowina, Jeżyczek i Jeżyc do Sławna. Kiedy to nastąpi u nas, tego nie wiemy.

Staraliśmy się uzyskać pieniądze. Okazuje się, że przyjaciel poznaje się w biedzie. Rodziny Nünkes i Bäckerts okazały się przyjacielskie. Berta przyszła do mnie wieczorem i powiedziała, że krowę, którą miała od rodziny Parparts sprzedawała za 11.000 złotych z czego 9.000 złotych przeznaczone są na koszty naszej podróży.

28 maja mieliśmy pieniądze i okazję aby z całym naszym dobytkiem ruszyć w inne miejsce. Wówczas rosyjski oficer kazał nam zawrócić do domu. Rozpętała się strzelanina pomiędzy rosyjskimi żołnierzami a Polakami. My biegliśmy do domu, po drodze schroniliśmy się w pierwszym napotkanym budynku. Tutaj nie jest tak, jak wszędzie. Tu jest sporo polskiej milicji i rosyjskich żołnierzy. Wszyscy, którzy tu są muszą cały czas być cierpliwi w oczekiwaniu na ewakuację. Wszyscy pomagamy sobie wzajemnie. Próbowaliśmy pojechać autem do Polanowskiego Lasu, ale popsuł się nam samochód i musieliśmy na pieszo wracać do miasta.

Kupiłam od pani Lehmann dla Wilhelma piękne buty do pracy za 300 złotych. Wilhelm otrzymał również od dziadka bardzo ładny zegarek, który chętnie zatrzymałby. Musiałam go jednak sprzedać. Tutaj jest wszystko strasznie drogie, dlatego szybko rozchodzą się nasze pieniądze. 1 cetnar⁵⁰ kartofli kosztuje 125 złotych, 1 chleb 32 złote, 1 funt masła kosztuje 110 złotych. My jemy tutaj skromnie. Dlatego, że gotuję teraz dla Rosjan, dostaję jedzenie i mogę trochę pieniędzy zaoszczędzić. Teraz wysłanie listu kosztuje 10 złotych. Listy otrzymujemy od Lotty i Nünkesów, słyszeliśmy o Zenkes i słyszeliśmy, że Kurt Pagel jest nad Renem.

Przed czternastoma dniami byłam po raz kolejny w ratuszu, żeby zameldować się do transportu. Bo pierwsza lista była już nieważna. Musiałam zapłacić 90 złotych, na tzw. pierwszy prowiant. Tak więc mój kochany Karl, moja kochana Eriko, jeszcze trochę cierpliwości.

Pozdrówcie proszę wszystkich krewnych, w szczególności Babcię. Do zobaczenia. Przyjmijcie tysiące pocałunków i pozdrowień od waszej smutnej mamy.

Mój kochany tato, kochana Eko - Siostrzyczko!

Ja także chciałam napisać coś od siebie. Za wasz list dziękuję bardzo. Tato, proszę napisz do mamy, bo ona jest bardzo smutna. Nie wiecie, jak ciężko jest nam tutaj czekać. Ciągłe nie ma transportu, żeby móc wyjechać. Żyjemy cały czas nadzieją, że w końcu to się stanie, że będzie to już możliwe. Dla pojedynczych osób jest możliwy transport, ale to byłoby ryzykowne i my nie chcemy zostawić mamy tutaj samej. Dziś muszę jeszcze pomóc w kuchni, bo przybędzie 200 oficerów na posiłek. Ja będę na górze, na zmywaku. Oprócz tego mamy też dużo pracy w domu.

⁵⁰ około 50 kg

Kochana Eriko, w zeszłym tygodniu miałam trochę więcej wolnego czasu, byłam na plaży i żegnałam się z Bałtykiem. Napisałam kilka wierszy. Chcę ci je teraz przesłać. Mam nadzieję, że ci się spodobają!

W ojczyźnie

Od wody szeleszczą młyny
Tak śpiewa się moja pieśń ojczyzny
Od białej plaży, od niebieskiego morza
Od mew, które wzlatują do nieba

Zielona wyspa z szeleszczącą trzcina
I krzak jałowca zakwita
W złotym żółtości przepychu kolorze
Jak widzi oko

Powoli do góry wznosi się noc
Księżyc przejmuje straż
W wodzie widać jego srebrne odbicie

W górze na nocnym niebieskim niebie
Wiele złotych gwiazd
Mrugają przyjaźnie do świata -
Oh, ojczyzno, jaka ty jesteś piękna

I teraz uzupełnienie wiersza, i to, w co ja później wierzyłam...

Na obczyźnie

Gdzie szumi las
Gdzie Bałtyk szumi
moje serce słuchało jednej melodii:

Tam na morskiej plaży
Mój kraj Pomorski jest
O tobie moja ojczyzno - nie zapomnę !

Szumi obca woda -
A moje serce, nadśluchuje
I nie znajduje tonu z rodzinnych stron

Męczy mnie tęsknota
I wiatr niesie ją daleko
Nad górami i dolinami
Nad to morze

Teraz mi powiedz moja droga, czy to jest dobre? Ja nie wiem tego - jeden z nich napisałam wczoraj wieczorem. Napiszę ci go :

Wieczór nad wodą

Stoję nad brzegiem i wsłuchuję się w ciszę
Wieje chłody wieczorny wiatr
Na skoszonej, wilgotnej trawie cyka zagubiony świerszcz
Aż w końcu i on zapada w ciszę i drzemkę

Srebrny sierp księżycy świeci nad falami
Nocne niebo pomalowało wodę na granatowo
Rozjaśnia je wiele tysięcy gwiazd
Zapadła w tym wszystkim stoję tutaj - patrzę i patrzę

Podnoszę powoli moje oczy do nieba
Do nieskończonej liczby gwiazd
I moja dusza się unosi – rosną jej skrzydła
I moje myśli unoszą się w dal...

To nie podoba mi się już tak bardzo. Muszę teraz biec do kuchni, będę kończyć. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko dobrze. Mam ogromną nadzieję, że niedługo się spotkamy, że na Święta Bożego Narodzenia będziemy razem. Teraz przyjmijcie ode mnie wiele pozdrowień. Wasza Anita.

Uderzona i poniżona podczas pracy

Któregoś wieczoru, gdy byłam pomagać w kuchni gdzie zmywano naczynia, przydarzyła mi się szczególna wstrętna niespodzianka. Musiałam posprzątać toalety, naprzeciwko sali jadalnej. Brudnych toalet nie widziałam od czasu mojej przygody z Marianną w Słupsku. Toalety były pozapychane, a dookoła było mnóstwo gazet. Ociagałam się z rozpoczęciem pracy, jak tylko mogłam. W tym czasie przyszły z jadalni dwie kobiety (oficjalni goście): Rosjanka z Żydówką. Zawołały rosyjskiego przełożonego, który uderzył mnie po rękach pejczem, a Żydówka Asja obrzucała mnie obelgami, nazywając mnie świnią i szmatą. Szybko zmobilizowałam się, potrzebowałam kubła z wodą i miski z piaskiem, żeby wszystko posprzątać, tak jak nauczyłam się tego będąc w Słupsku. Pierwszy raz od momentu powrotu do domu płakałam z bólu i wściekłości. Czytałam liryki, które mnie uspokoiły i napawały ufnością. Miałam jeszcze życie przed sobą i to z pewnością lepsze od teraźniejszego.

Darłowo, 30 września 1946

Mój kochany Karl i moja kochana Eriko!

Jeszcze jeden list z ojczyzny do was. Nic się nadal nie wyjaśniło, wciąż czekamy na transport. Ja już tracę jakąkolwiek nadzieję. Od was także nie dochodzi żadna pocztą, proszę piszcie częściej, a może to kwestia braku pieniędzy? Ja częściej też nie mogę pisać, wysłanie listu kosztuje 10 złotych, a pieniędzy wciąż brakuje.

W niedzielę Nikolai i Wilhelm byli w Słupsku. Wilhelm otrzymał od niego nowe, popielate spodnie. W tym tygodniu chcę poszyć trochę. Maszynę pożyczę od pani Dubberkes. Wczoraj był tutaj na chwilę Emmi Boddeutsche, on także traci już nadzieję. Ale może w końcu dla nas też zaświeci słońce.

Anita robi na drutach ciepłą kurtkę. Może zrobi też kurtkę dla Wilhelma, bo jego pulower jest już za cienki i za mały. Wilhelm jest już bardzo duży, większy ode mnie. On potrafi dużo zjeść. Anita jest także duża.

W naszym pokoju jest bardzo ciemno, nie dochodzi tu słońce. Teraz świeci słońce od kilku zaledwie dni. Obecnie, jeśli chce się kupić kartofle, to trzeba zapłacić za 1 cetnar 100 złotych. Jest bardzo mało zboża, żniwa nie udały się, ponieważ ciągle padał deszcz.

W nadziei, że się szybko spotkamy przesyłam gorące pozdrowienia i pocałunki, wasza tęskniąca mama, razem z Anitą i Wilhelmem.

Darłowo, 20 października 1946

Mój kochany Karl, moja kochana Eriko!

To jest mój trzeci list, który wysyłam wam w odpowiedzi na wasz list z 19 sierpnia 1946 roku. Od tego czasu nie otrzymałam od was żadnej poczty. Czy wy oboje jesteście w Ameryce? Czy może jesteście oboje na nas obrażeni. Tak, my nadal siedzimy tutaj i czekamy na transport. Znowu tłumaczono nam dziś, że w przyszłym tygodniu wyjazd. Jestem znowu pełna nadziei.

Cały czas stoimy przed zagadką, czy ten transport nadejdzie. Niektórzy mówią, że to wszystko dlatego, że transporty z ludnością i obozy przejściowe są przepelnione.

W Koszalinie 2000 ludzi przez dwa miesiące pozostawało bez opieki i wyżywienia. Teraz nastąpił w końcu ich transport.

Teraz mają stąd odejść Litwini. Już wkrótce nasz rodzinny kawałek ziemi będzie polskim kawałkiem. Zakłady, w tym mleczarnia i inne zakłady na Bismarckstraße⁵¹ przeszły w inne zarządy.

W przyszłym tygodniu wraca Larissa. Ja muszę znowu gotować, a to czasami nie jest takie łatwe. Anita i ja musimy gotować wszelkie rosyjskie posiłki. Anita była przez kilka dni chora, przeziębila się. W naszej izbie jest wciąż zimno. Dzisiaj, w niedzielę napaliłam w mieszkaniu.

Emmy Boddeutsche był u nas. On dostał piękne listy od Erwina. Erwin napisał, że Zenke dał mu Wasz adres. Więc będziecie mogli prowadzić wymianę listów. Oni zapominają jednak o naszym Rügenwalde. My także czekamy na pocztę od nich. Droga Eriko, jeśli tata nie ma czasu, to proszę napisz ty do swojej mamusi. Od ciotki Lotty dostaję wciąż listy.

Kochany Karl, Fritz Kurth napisał do Neumanns, że on chciałby mieć twój adres. Jego Herta nie wróciła jeszcze z Grudziądza. Panią Bolduan spotkałam wczoraj. Gerda ma posadę jako nauczycielka młodzieży. Tutaj wciąż nie ma

⁵¹ obecnie ulica Żeromskiego

szkoły i kościoła dla Niemców. Paul Jeske jest nad Renem, napisał dwa razy do Heinza Stüwe. Heinz pracuje w mleczarni.

40 osób stąd wyruszyło do Paprotek na zbiórkę ziemniaków. Christel i Inge Boddeutsch musiały całe dnie w Bobolinie spędzać na wykopkach. Naszym burmistrzem jest Polak, pan Dulewicz z Legnicy.

Moi kochani, co się dzieje z naszym ukochanym miastem.

Jutro rano dostanę od Else Barske sok. Jej gospodarka niedługo będzie także polska.

W najbliższym czasie list będzie kosztował 20 złotych. Jeszcze mamy pieniądze. Jak będziecie pisać, to nie piszcie „polska strefa” tylko „Polska”. Ponoć tylko tak podpisane listy dochodzą. Lotte też napisała „Polska” i jej list doszedł o wiele szybciej. Mam jednak nadzieję, że już niedługo się spotkamy i to pisanie między nami się skończy.

Więc poczekaj jeszcze trochę kochany Karl. Tutaj wiele kobiet oczekuje na listy od swoich mężów. Niektórzy z nich poznali już nowe panie. Taki los darłowskich kobiet. Ja też mówiłam do Anity, że może tata ma inną kobietę, ale ona szybko wybiła mi te myśli z głowy. Teraz myślę też, że tak nie jest. W nadziei, że już niebawem się spotkamy, ślę wam póki co życzenia wszystkiego, co najlepsze i 10000 buziaczków, wasza kochająca mama!

P.S. pozdrówcie również babcię, ciocię, wujka, wszystkich. Gdzie jest Ilse z dziećmi? Co słychać u Erika?

Wilhelm pływa często łódką. Ja wciąż się o niego martwię. Niedawno wypłynął z jednym Rosjaninem na zachodnią plażę, parę razy przywiózł dorsza.

Darłowo, 21 października 1946

Kochany tato, kochana Eriko!

Dlaczego nie piszecie? Może napisaliście na kopercie w adresie korespondencyjnym „Polska strefa”? Przychodzą tylko te listy z napisem w nagłówku „Polska”.

Ja zawsze piszę wszystko po polsku na kopertach i robię to jak najbardziej celowo.

Piszcie więc proszę w ten sposób: „Polska! Pani Erna Adam, Darłowo powiat Sławno, ul. Pierwszego Maja 3, Pomorze Zachodnie”. Wtedy szybciej dojdzie.

Znowu usłyszeliśmy plotkę, że w następnym tygodniu mamy stąd wyjechać, ale jak zwykle nie wiadomo, czy nastąpi to na pewno. W nic już nie wierzymy. Innej informacji, jak tej zasłyszanej z ust do ust nie słyszymy, a niczego innego nie możemy się dowiedzieć.

Przekraczając granicę każdy może mieć przy sobie 600 RM⁵² ale żadnych kosztowności. My i tak mamy wszyscy razem tylko 450 RM.

Drewno na opał znosimy z naszej łąki nad Wieprzą. Razem z Christel Boddeusch przywieźliśmy do domu drewno i równo je podzieliliśmy.

⁵² RM - Reichsmarka (marki niemieckie) - niemiecka jednostka monetarna, wprowadzona w wyniku wymiany walutowej w 1924 r.

U nas aktualnie jest dobrze, chodzimy cały czas najedzeni. Czy będziemy mogli być już razem na Święta Bożego Narodzenia? To byłoby takie piękne. Robię teraz na drutach sobie marynarkę z czarnym nordyckim deseniem. Poniżej rękawów czarno - białe wzory, reszta wykończona jest deseniem perłowym. Czy w angielskiej strefie jest lepiej? My pewnie ruszymy transportem do Nadrenii albo do Westfalii, ostatnie transporty ruszały właśnie w tamtą stronę. Napiszcie do nas prędko. Serdeczne pozdrowienia śle dla was obojga wasza Anita.

Darłowo, 25 października 1946

Mój Kochany Karl, moja kochana Eriko!

W końcu przyszedł dziś długo oczekiwany list od was. Wielkie dzięki, kochana Eriko, jak dobrze, że jesteś z tatą, przynajmniej nie będę się musiała martwić o otrzymywanie poczty od was. Ode mnie już są dwa listy w drodze do was, ten jest trzeci. Poczta roznosi pan Hillebrandt, który pomaga polskim listonoszom.

Tata jest z pewnością wieczorami bardzo zmęczony. Ja się bardzo cieszę kochana Eriko, że ty sama potrafisz już wszystko ugotować. A więc macie bardzo duże mieszkanie. Nawet nie wiesz, drogi Karl, jak ja się bardzo cieszę, że potrafisz się tam o wszystko zatroszczyć. Ja mam tylko takie jedno marzenie, żeby być tam u was, z wami. Nie mogę sobie wyobrazić Świąt Bożego Narodzenia bez was. To byłoby okropne!

Z pewnością byłoby zimno w czasie naszego wyjazdu, ale mi to już jest wszystko jedno. Cudownie, że masz dla Wilhelma buty, tutaj on chodzi cały czas w drewnianych sandałach. Rano przyniosłam od szewca jego buty. Tutaj jest bardzo zimno, już trzeci dzień pada śnieg. Ja mam także filcowe buty od Wassila, który mieszkał obok nas. Ale muszę je tu zostawić, bo jest za dużo do dzwigania. Moje i Anity buty zanieść muszę do podzielenia. Mamy jeszcze do tego skórę i gumę. Dużo już uszyłam na mojej maszynie. Litwinka jest wciąż bardzo miła. Dostałam od niej szklankę oleju jadalnego.

Drogi Karl, czy ty uzyskałeś dla nas pozwolenie na przyjazd do ciebie? Pani Schossow była u mnie i powiedziała mi, że otrzymała takie pozwolenie od Hansa Schossowa, także jedno otrzymała od Apoldy. Pani Rupp jest w Hanowerze, u swojego męża i do tej pory nie otrzymała takiego pozwolenia. Dlatego musi wracać do obozu.

My żyjemy tutaj nie wiedząc co się na świecie dzieje. Pocieszeniem dla nas jest poczta od was. Mamy teraz jeszcze 450 RM, mam nadzieję, że przydadzą się w podróży. Ze złotych jesteśmy bardzo oszczędni. Kto wie, na jak długo nam wystarczą jeszcze te pieniądze. Jemy wodne zupy, smażone ziemniaki, pijemy kawę. Za szycie od pani Barske i pani Sielaff otrzymałam dużą miseczkę soku. Czasami mamy też twaróg.

Wczoraj Mila dała nam kawałek mięsa. Wspieramy się jak widać wszyscy razem. Czy Lisbeth ma już swoją maszynę do szycia? Pani Dubberke i pani Miels mają jeszcze po jednej maszynie, ale kto wie, jak długo. Tutaj jeszcze wojna się nie

skończyła. Kiedy spotkamy się, to będziemy opowiadać całe 8 dni, bo tego wszystkiego nie da się opisać w listach.

W nadziei, że już niedługo się spotkamy, pozdrawiamy was bardzo serdecznie i przesyłamy wiele pocałunków, wasza mama i Wilhelm. Anita szybko nauczyła się rosyjskiego, musi więc często pracować dla Rosjan jako tłumacz.

Kochany tato, kochana Eriko!

Właśnie przyniósł pan Hillebrandt wasz list z 2 października. Ale się ucieszyliśmy! Byliśmy już ćwierć roku bez żadnej poczty od was. U nas wszystko po staremu. Cały czas łudzimy się, że nadejdzie dzień wyjazdu. Od kilku dni pada śnieg. Jednak zaraz potem w oczy razi słońce. Ostatnio chodzę na ciepłe kąpiele do specjalnego, rosyjskiego natrysku. To jest lepsze niż wanna. Natrysk dla Rosjan otwarty jest w piątki, więc Lilo Bahr i ja chodzimy tam razem! Umiemy trochę mówić po rosyjsku i o nic więcej się nas nie pytają.

Jedynie pytają nas, czy kąpiel odpowiada. Ja chętnie uczę się rosyjskiego, bo później mogę zrozumieć wszystko, co do mnie mówią, a nie tylko poszczególne słowa.

Prawie każdego dnia chodzę do miasta przed zamknięciem do piekarni Imman-sów i przynoszę chleb. 1/4 wszystkiego tutaj jest w posiadaniu Rosjan; mleczarnia, itd.

W niedzielę wieczorem organizowane są tańce od godziny 8 do godziny 10. Jedna kobieta gra na harmonijce i pozostałe kobiety tańczą. Tutaj są jeszcze Lilo Bahr, Jenny Schneider, Erika Fielitz, Eva, Brigitte i Edith Clemens, Luise Bahr, Trudchen Sielaff, Ursula Gehrke, Irma Vanselow, Traude Otto, Hilde Voß, Irma Köhn, Luzia Barz, Christem Plath, Christel i Inga Boddeusch i wielu innych, także wielu ze Wschodnich Prus. Chłopcy są przeważnie starsi od Wilhelma, - Heinz Wechmann, Willi Schröder, Gerhard Lach, Hans Schmidt, Günter Stahnke - ach i nie wiem, kto jeszcze. To jest najpiękniejsze w całym tygodniu, kiedy w niedzielę wieczorem jesteśmy wszyscy razem. Rosjanie i Rosjanki przychodzą często parami i bardzo ładnie tańczą w rytm muzyki.

A teraz moi drodzy życzę wam, by wszystko szło u was dobrze, przesyłam serdeczne pozdrowienia wam obojgu. Wasza Anita.

Dorsz od pułkownika i nieplacenie czynszu

Darłowo, 30 października 1946

Mój kochany Karl, moja kochana Eriko!

Bardzo się ucieszyłam, gdy dziś otrzymałam od was list długo wyczekiwany. Bardzo wam dziękuję. Dziś jestem już bardzo zmęczona bo robiłam spore pranie, ale i tak mimo to chciałam do was napisać. Drogi Karl, my tutaj wciąż żyjemy nadzieją, że w końcu w listopadzie nadejdzie upragniona ewakuacja. Powinni wtedy wyjeżdżać stąd ochotnicy. Do tego czasu powinnam do was napisać jeszcze dwa razy. Dałby Bóg, by to się w końcu stało. Tutaj jest cały czas zimno. Mamy tu wystarczająco dużo rosyjskich samochodów, ale one nie jadą w stronę

Szczecina, tylko najczęściej w kierunku Szczecinka. Przed zmierzchem wyjeżdża jeden samochód w stronę Legnicy, ale tam podobno jest jeszcze gorzej niż tutaj. W Sławnie jest jeszcze 700 Niemców, tutaj w przybliżeniu jest ich 300, przy tym w Darłowie mamy garnizon i jest oprócz tego wszystkiego jeszcze sporo wojska. Tam jeszcze są Niemcy potrzebni. Tutaj znajduje się garnizon, który, że tak powiem panuje nad całym powiatem sławieńskim.

Nikolai jest szoferem pułkownika, on jest każdego dnia w drodze. Niedawno dał Wilhelmowi w prezencie dorsza. Byli w zakładzie rybnym, stąd ten dorsz. Wilhelm coraz mniej pływa łódką, coraz więcej zajmuje się naprawą samochodów. Tak też jest dobrze.

Jutro rano muszę zafarbować ubranie, za co już dziś dostałam 1 sztukę mięsa świńskiego, które zostawię na niedzielę. Dla Larisy nie powinnam już robić żadnego prania, bo ona twierdzi, że mam za dużo pracy. Mówi, że powinnam zatrudnić sobie praczkę. Cieszę się, że ona już mi nie daje swoich rzeczy. By było ciepło w mieszkaniu, możemy palić w piecu. Mamy mały piec, który się szybko nagrzewa, ale też szybko robi się chłodny. Ja gotuję posiłki na gazie, za to płaci Nikolai. Ostatnio miał do zapłacenia 515 złotych za miesiąc za gaz, ale on tego jeszcze nie zapłacił. Światło mamy za darmo i czynszu też nie musimy płacić, ponieważ dom należy do pułkownika. Dlatego mamy wielkie szczęście. Nie martw się więc drogi Karl o nas. Teraz mam 2700 złotych i także niemieckie pieniądze. To także przeznaczone jest na podróż. Za mój zegar ścienny, którego jeszcze nie sprzedawałam powinnam dodatkowo dostać jeszcze 1000 złotych. Chleb jest nadal drogi, 2 - kilogramowy bochenek kosztuje 46 złotych, a od pierwszego listopada wysłanie listu ma kosztować 20 złotych. Robotnicy, którzy pracują tutaj w mieście otrzymują dziennie 10 złotych i nic więcej. Ja dzięki temu, że dodatkowo szyję mogę zarabiać więcej i jakoś utrzymać się. Pani Boddeusch otrzymuje dziennie 10 złotych, na jedzenie i kilogramowy chleb, to jest stanowczo za mało. Jej córki nie otrzymują nic, a jej ojciec także troszczy się o jedzenie. Ja nie mogę im obecnie pomóc. Niedawno była u mnie pani Dähling, pytając czy nie miałabym dla niej czegoś do jedzenia. Jej mąż jej wciąż w Gdańsku. Kochany Karl, nie wysyłaj nam pieniędzy, kup lepiej to, co musisz akurat kupić. My jeszcze mamy tutaj jakieś pieniądze i radzimy sobie. Nie myślałam nigdy, że człowiek może tyle przejść, ale jestem pełna nadziei, że dla nas też któregoś dnia zaświeci słońce. Jestem bardzo szczęśliwa wiedząc, że wy żyjecie i macie się dobrze. Wiedziecie, że jesteście całą treścią mojego życia, i kiedy już wszyscy razem będziemy w piątkę nieważne jest nic innego. Nauczyliśmy się przecież, że nie potrzebujemy zbyt wiele. W dniu Twoich 45 urodzin byli u mnie pani Pieper i pani Tessororf. Rozmawialiśmy o tobie. Teraz już tylko czekam na czasy, kiedy będę mogła was zobaczyć.

Najczęściej muszę gotować tutaj Kartoffelpuffer⁵³. Lilo Bahr odwiedza Anitę każdego dnia. Christel przychodzi rzadziej. Emmy też nie ma zbyt wielu przyjaciół. Anita była u fryzjera, zapłaciła za niego 300 złotych. Jej włosy były już zbyt

⁵³ potrawa kartoflana

długie. Obcięcie włosów Wilhelma kosztowało 20 złotych, podzelowanie butów Wilhelma kosztowało 80 złotych.

Teraz moi mili będę kończyć, idziemy już spać, pokój jest zimny. Anita i Wilhelm idą z Lilo na koncert. To wszystko jest za darmo, zorganizowane przez Rosjan. Ja będę sama. Pozdrówcie proszę babcię i prześlijcie jej od nas życzenia wszystkiego najlepszego. Pełna nadziei, że już niedługo się spotkamy, najserdeczniejsze pozdrowienia i pocałunki dla was, wasza mamusia.

Koncert, na który poszliśmy z Lilo, o którym mama pisała w liście był piękny. Rosyjski chór żołnierski śpiewał do akompaniamentu fortepianu piękne rosyjskie melodie. Ale był przy tym swoisty rozdzwiek: jeden ukraiński śpiewak, który śpiewał solo, wzbraniał się od wystąpienia w rosyjskim uniformie i zaśpiewania rosyjskiej melodii. On chciał śpiewać tylko ukraińskie melodie. Doszło do dyskusji na ten temat i koncert został zakończony.

Przy tym nie spodziewałam się, że na owym koncercie Rosjanie, Ukraińcy, Tatarzy i Uzbegy – znajdują się w jednej grupie.

Darłowo, 31 października 1946

Kochany tato, kochana Eriko!

Za wasz długi piękny list bardzo wam dziękuję. Bardzo się tutaj wszyscy ucieszyliśmy. Mam pełną nadzieję, że w następnym tygodniu będziemy mieli już transport, ale z drugiej strony tak jest cały czas, że człowiek za każdym razem ma nadzieję, a potem okazuje się, że zupełnie niepotrzebnie, bo transport i tak nie nadchodzi. Mimo to, wciąż wierzymy, że to się w końcu stanie. Wszyscy troje jesteśmy zdrowo przy tuszy, ale to dlatego, że jemy często mączne zupy. Gdy mamy już możliwość zjedzenia czegoś innego, jemy to tak długo, dopóki to jest dobre i świeże. Czasami mamy twaróg, po którym jestem syta i nie muszę jeść nic więcej. Rosjanie dostają go tanio z rosyjskiej mleczarni, więc jemy twaróg często. Napiszcie, co się dzieje z naszymi krewniakami? Tobie również kochana babciu przesyłam najserdeczniejsze pozdrowienia i wam, całej reszcie również przesyłam pozdrowienia, wasza Anita

Rosyjski podporucznik z dobrym sercem i pożegnanie z przyjaznymi partyzantami

Darłowo, 24 listopada 1946

Kochana Eriko, kochany tato!

Za wasz kochany list bardzo wam dziękuję. Radość była ogromna. Jak to cudownie, że macie u was radio. My tutaj niczego nie słyszymy i nie widzimy. Tutaj całymi dniami człowiek siedzi w czterech ścianach i nie widzi nikogo innego, poza członkami rodziny. Człowiek jest bojaźliwie nastawiony do ludzi, żyje w ciągłej niepewności.

Szoferzy mają co prawda gramofon, ale już od dłuższego czasu jest on zepsuty. To była chwilowa radość, gdy on działał. Wychodzenie na tańce jest kosztowne. Podeszwy w butach bardzo szybko się niszczą i jeśli tylko ktoś może, dostarcza zelówki do szewca by podzelał buty. Podzelowanie butów kosztuje 80 złotych. Pieniądze uciekają bardzo szybko, a nowych nie widać. Nie chodzę tak często na tańce, jak bym chciała i nie uczę się tak często tańczyć, jak bym chciała. Wilhelm chodzi na tańce i już się nauczył tańczyć foxtrota - tak mówi.

Ja już prawie dokończyłam moją marynarkę. Obecny polski burmistrz pracuje jako nauczyciel w miejscowym gimnazjum. Teraz jest jakiś inny i mamy ogromną nadzieję, że podejmie on jakieś kroki w tym, aby w końcu nadszedł transport. Siedzimy cały czas z taką właśnie nadzieją. Starsza kucharka Katja powiedziała mi dziś, że chciałaby, żebym zrobiła jej sweter, dlatego też szykuje mi się kolejna praca. Będę mogła zarobić przynajmniej na jedzenie. Przedwczoraj Larissa spytała mnie, czy nie chciałabym pracować u jednej rodziny oficerskiej, jako gospodyni i pomoc domowa w DarłóWKu. Jednak nie zgodziłam się, musiałabym bardzo wcześnie wyjeżdżać i bardzo późno wracać, wtedy jest już bardzo ciemno i mnóstwo rosyjskich żołnierzy po drodze. Nie, bardzo się boję. Kobieta, u której miałabym pracować przedstawiła mi wszystkie warunki, wytłumaczyła, na czym miałyby polegać moja praca i moje obowiązki. Chciała mnie zatrudnić, bo wiedziała, że ja rozumiem język rosyjski. Ale praca to jedna sprawa, a ewentualność, że w drodze powrotnej mnie zatrzymają to co innego.

Teraz przesyłam wam najserdeczniejsze pozdrowienia, wasza Anita.

Któregoś dnia Larissa spytała mnie, czy chciałabym pracować jako pomoc domowa u rodziny oficerskiej. Byłam akurat w kuchni i przygotowywałam kolację dla niej, jej Saszy i gości. Opróżniałam w pokoju obok tacę, przy nakrywaniu stołu. Pewna młoda kobieta, która była jednym z gości, podskoczyła prędko do mnie, rzuciła się na mnie i zaczęła płakać.

To była Lilo Jütz z Koszalina, którą poznałam w Mielnie. Ja z całą pewnością nie poznałam jej, ponieważ nie miała już swoich pięknych długich blond włosów. Teraz włosy miała bardzo króciutkie. Oczywiście była też już dorosłą kobietą. Gdy byliśmy w kuchni, Lilo opowiedziała mi w cztery oczy swoją drogę przez cierpienie. Została zadenuncjowana i aresztowana, bo była główną przywódczynią w BDM. Lilo znalazła się w obozie Danzig- Stutthof. Osobą obecnie jej towarzyszącą tego wieczoru był podpułkownik Boris, który był swego czasu zakwaterowany w domu jej rodziców w Koszalinie i szybko zakochał się w blondynce Lilo. On pomógł rodzicom dziewczyny przekroczyć granicę nad Odrą, a samą Lilo wykupił z obozu. Od tego czasu żyje ona z Borisem z wdzięczności, bo w przeciwnym razie z pewnością już by nie żyła.

Moi ukochani w oddali!

W piątek dostaliśmy upragniony list od was z ósmego sierpnia. Oczywiście czekaliśmy na niego bardzo długo. Bardzo wam dziękujemy. Wasz list z 12 października także otrzymaliśmy i już nadaliśmy odpowiedź. Od tego czasu niewiele się zmieniło, człowiek chciałby napisać coś nowego. Jedyne co, to mamy nowego

burmistrza. Jeśli będziemy musieli spędzić tutaj Święta Bożego Narodzenia, będą to najsmutniejsze Święta. Jak człowiek czyta w waszych listach, jak pięknie byłoby móc być tam z wami, to smutek i tęsknota są jeszcze większe. Nawet radio tam macie? To wszystko brzmi, jak z jakiejś bajki. Tutaj nie ma takiej możliwości, dla Niemców jest to zabronione, żadnej możliwości słuchania radia. My wciąż mamy tutaj ciężkie dni. Później opowiemy wam o wszystkim dokładnie i szczegółowo. Rosjanie wyjeżdżają do Legnicy. Nikolai też wyjechał stąd na 14 dni i po tym czasie wrócił. Teraz myśli, że chce wyjechać razem ze wszystkimi. Anita musi zrobić na drutach dla niego i Mili skarpety.

Anita umie bardzo dobrze robić na drutach. Jej marynarka jest piękna. Ona mogłaby cię nauczyć moja kochana Eriko. Ja też mam co chwila coś nowego do uszycia, dla Katii, dla starszej kucharki, u której była Anita. Ona przyniosła nam już mąkę, smalec i dzisiaj jeden chleb. Przez osiem dni mieliśmy tutaj bardzo dużo śniegu, mrozu i gołoledzi. Teraz już to wszystko minęło.

Kochany Karl, wczoraj został złożony do grobu Erich Gumz. Umarł niespodziewanie w środę w wyniku zatrucia alkoholem. Jesteśmy połączeni w smutku razem z jego rodziną.

Artur Rhien musiał opuścić dom, ponieważ będzie tam przygotowywane przedszkole. Przed kilkoma dniami z więzienia w Gdańsku wróciła pani Völz. Pani Schiffmann także. Ursel Völz pracuje w rosyjskiej kuchni przy sądzie okręgowym. Tam też pracuje Lilo Bahr, ale na górze - zajmuje się obsługą. A co jeszcze nowego u nas: Wilhelm chodzi na tańce. Dziś też był. Anita jest zasmucona, że nie może chodzić na tańce, ale szkoda jej butów. Tak, trzeba i na tym oszczędzać. My mieszkamy tutaj u ludzi, którzy nas wspierają, w pokoju vis a vis kuchni. Pokój jest bardzo wąski i dziś jest wyjątkowo ciepły.

Walter Barske z rodziną musiał też się wyprowadzić. Mieszkają teraz nad byłym mieszkaniem rodziny Gnodtkes. On także mówi, że chciałby stąd wyjechać, ale nie ma już żadnego celu. Dostałam od niego 4 stare prześcieradła. Jeśli je sobie zaszyję, będą jeszcze całkiem dobre. U rodziny Dubberkes na samej górze mieszkają teraz Polacy. Nie mogę pracować już na ich maszynie do szycia, więc chodzę teraz szyć do pani Miels, albo do mojej Litwinki. Ale to zawsze sprawia mi wiele trudności. To wszystko musiałby człowiek zobaczyć. Od pani Erdt otrzymałam przed paroma dniami bardzo długi list. Wysłanie listu nie jest tutaj jeszcze aż tak bardzo drogie. Jeden chleb natomiast kosztuje 48 złotych.

Dzisiaj poniedziałek: Larissa powiedziała dzisiaj, że oni wszyscy wyjeżdżają stąd 15 grudnia, bo wszystko tu przejdzie w polskie ręce, w tym także młyn zamkowy.

Teraz moi kochani będę kończyć. Nie wiem, co mam wam jeszcze napisać, nic więcej nie wiem. Chciałabym by Bóg dał, abym niedługo mogła do was przyjechać. Teraz przesyłam wam najserdeczniejsze pozdrowienia i pocałunki. Wasza mama i Wilhelm.

Do Babci

Moja kochana Mamo!

Już tak długo tam jesteście, a my nie możemy przyjechać. Teraz, skoro nie możemy do Ciebie przyjechać, musimy pisać listy. Ty masz cały czas kaszel. Nie ma tam u was nigdzie miodu pszczelego?

Pozostań proszę zdrowa, my chcemy wam tyle rzeczy opowiedzieć. Wszystkiego człowiek nie jest w stanie opisać w listach. Pozdrów od nas wszystkich krewniaków, jestem pełna nadziei, że już niedługo będziemy tam z wami.

Pocałunki i pozdrowienia, Twoja Erna.

Pozdrowienia przesyłam także od rodziny Lehmanns i rodziny Boddeuschens.

Darłowo, 10 grudnia 1946

Mój kochany Karl, moja kochana Eriko!

Dzisiaj chciałam do was napisać bardzo list i jak widzicie piszę go znowu z Darłowa, wciąż stąd. Bardzo długo nie otrzymywałam od was żadnej poczty. Z pewnością myślicie, że my już stąd wyjechaliśmy. Tak, ja też cały czas miałam taką nadzieję. Cały czas łudziłam się nadzieją, że Święta spędzimy u was, ale to okazało się być nie do spełnienia. Życzę wam zdrowych, radosnych świąt. Ja bardzo wiele o was myślę i wy też teraz szczególnie powinniście dużo o nas myśleć. Chyba nie wierzę, że ten list zdąży dojść do was jeszcze przed świętami. Miałam w tym dniu wiele nerwów, myśląc, że uda nam się załapać na transport do Koszalina. Tam był jeden transport zorganizowany, ale nas nie objęło to szczęście. Bardzo chciałam zrobić wam niespodziankę i poinformować, że jesteśmy w drodze do was, ale to było poza moją mocą. Jestem strasznie smutna. Mówiliśmy już nawet, że weźmiemy torby pod rękę i pójdziemy do was pieszo, ale jest zima, a po drodze człowiek musi gdzieś spać. Wiele się mówi, że rzeczywistym ma być transport zorganizowany przez Polaków. Mimo to cały czas staramy się na własną rękę załatwiać transport do was.

Jedna pani ze Słowina napisała, że w Koszalinie nie powinno się mówić, że przybywamy z Darłowa, bo tych mieszkańców niechętnie ewakuowano i przewożono dalej. Przy kontroli Polacy mówili, że mieszkańcy Darłowa muszą pozostać w mieście tak długo, jak to będzie potrzebne. Natomiast ze Słupska wyjeżdżają transporty cały czas.

Co mówią w waszym radiu? Z pewnością o czymś innym, o innych wydarzeniach i sprawach.

Szoferzy są wciąż tutaj. Nikolai nie wrócił jeszcze z wyjazdu ze swoim pułkownikiem. Wraca 20 - tego. Jego Mila codziennie przynosi nam od 1 do 2 litrów pełnego mleka. Anita wciąż dla niej robi na drutach. Ja znowu coś sprzedalam i otrzymałam 380 złotych. Dzisiaj kupiłam jeden cetnar ziemniaków za 125 złotych. Przy okazji sprzedalam też zegar. Ostatnie 1000 złotych musiałam odłożyć na podróż.

Pani Speith otrzymała wiadomości od swojego męża z Berlina. On nadal jest czynnym sędzią. Ona też chce już wyjechać. Jeden z jej synów często przychodzi do Wilhelma.

Ja już przygotowałam się do wyjazdu, zresztą jak zawsze.

Teraz moi kochani będę kończyć ten list, siedzę w kuchni i marzę, muszę wracać do szycia.

Pozdrowcie, proszę, babcię i wszystkich krewnych, my życzymy wam szczęśliwych i zdrowych świąt.

Wam kochani przesyłam serdeczne pozdrowienia i tysiące pocałunków. Wasza mama, Anita, Wilhelm.

Do widzenia!

Mój kochany tato, moja kochana Eriko- siostrzyczko!

Ja także chciałam do was coś napisać. W minionym czasie zrobiłam na drutach dla Nikolai i Mili parę rękawiczek i teraz robię skarpety z różnymi deseniami na górze na brzegach, tak jak zrobiłam to dla siebie. Dla Anni, naszej Litwinki w naszym domu zrobiłam rękawiczki z nordyckim wzorem na brzegach, dla dziewczynki z domu Barskes zrobiłam dwie kukielki. Otrzymuję od Mili za to codziennie wieczorem mleko, więc możemy jeść mleczną zupę. Do tego jemy jeszcze ziemniaki i wtedy już jesteśmy syści. W styczniu może już nam się uda być z wami, może w końcu nasza pozycja i sytuacja się zmieni. Cały czas w to wierzę. Muszę kończyć już pisanie, bo nie ma już światła, całkiem, całkiem niewiele się jeszcze pali.

Przesyłam wiele tysięcy pozdrowień wasza Anita

Darłowo, 15 grudnia 1946

Mój kochany Karl, moja kochana Eriko!

Dzisiaj w trzeci tydzień Adwentu chciałam do was napisać szybko list. W tygodniu napisałam też, że jestem strasznie smutna, bo nie udało nam się wyjechać do Koszalina. W środę był transport, ale nie wszyscy mogli się zabrać. Teraz mówi się o tym, że kolejny transport ma być w lutym. Ma przyjść jeden duży transport i wtedy wszyscy będziemy mogli razem się zabrać.

Wczoraj wyjechało stąd 150 osób z transportem ze Słupska, nas jednak nie było wśród nich. Szef pani Boddeusch bardzo się starał i szukał czegoś dla nas, jednak nie udało mu się nic zorganizować. Panie z ratusza mówią, że już niedługo wszyscy razem stąd wyjedziemy, że będzie taka możliwość. Prawdopodobnie w trzeci dzień Świąt. Nasza radość jest ogromna i już nie możemy się doczekać tej chwili. Napiszę do was niebawem kolejny list, zapewne będzie to list wysłany z Niemiec.

Sascha z Larisą sprzedali już wszystko, między innymi łóżka. Dzisiaj spali oboje u nas, w łóżku Anity, natomiast Anita spała ze mną.

Arwin- Armeńczyk zostanie tutaj jeszcze na kilka dni, dopóki jego maszyna nie będzie naprawiona. Dzisiaj jesteśmy na nogach już bardzo wcześniej, mieliśmy pełne ręce roboty, bo wyjeżdżający pozostawili nam bardzo wiele brudu. Przed kilkoma chwilami przedstawili się nam nasi nowi lokatorzy, rosyjskie małżeństwo. Zapewne będziemy z nimi dobrze żyć. Mila i Larissa ucałowały nas z tysiąc razy na pożegnanie, mówiły - „dobra pani Erna i dobra Anita”! Mam nadzieję, że i my już niedługo będziemy mogli się zebrać. Rodzina Dubberkes także

wyjeżdżała, nie umieli się oni jednak zorganizować i spakować, dlatego musiałam dać im swoją torbę. Teraz muszę sobie uszyć kolejną. Właśnie była u mnie pani Dähling. Chciała wiedzieć, czy Rosjanie zostawili nam coś po sobie. Tak, odpowiedziałam jej, dużo brudu i nic więcej. Czyli to, czego się ludzie spodziewali. Wilhelm odziedziczył dwie piękne pary spodni i całkiem nową kurtkę żołnierską, ja do tego uszyłam mu ostatnio bluzę przeciwwietrzną. Przed świętami mam bardzo dużo pracy. Także Anita musi mi przy tym wszystkim teraz pomagać. Dla nas nie ma teraz różnicy, czy to jest niedziela, czy święto, dla nas wszystkie dni są takie same. Otrzymaliśmy trzy bochenki chleba za pracę, więc nie muszę go kupować przez cały tydzień. Także słoninę i mięso otrzymałam za szycie, ale ciasta nie mogę upiec. Chcę kupić nam na święta biały chleb.

Tutaj jest teraz strasznie zimno, okna przez kilka dni były oblodzone od mrozu i nie chcą odtajać. Dzisiaj chcę je trochę umyć.

Otrzymaliśmy od Larissy trochę drewna. To był jej przydział. Ona przywiozła kilka dni temu całą przyczepę drewna, ale w połowie było ono mokre. Gazu teraz nie mogę używać, bo nie mam jak za niego zapłacić. Dobrze, że to mieszkanie nadal należy do Rosjan, możemy mieszkać za darmo. Mamy jednak obawy, że niedługo będzie ono należeć do Polaków.

W tym tygodniu Anita miała bóle wątroby. To są pozostałości po obozie w Grudziądzu. W naszym pokoju jest wciąż bardzo zimno.

Mam cały czas ogromną nadzieję, że niedługo otrzymamy od was list.

Teraz przyjmijcie od nas tysiące pozdrowień i pocałunków, wasza mama. Do zobaczenia w Nowym Roku!

Mój kochany tato, moja kochana Eko!

Już przed drzwiami stoją święta, a nas spotkał taki ciężki los.

Szoferzy już stąd wyjechali. Sztab został przeniesiony do Wałbrzycha na Śląsku. 20 grudnia ma przyjechać tutaj cały sztab ze Szupski. Wówczas przybędą też nowi szoferzy. Ci starzy bardzo życzliwie i serdecznie się żegnali. Larissa podarowała mi niemiecko - rosyjski słownik. Wilhelm odziedziczył po Nikolai zepsuty gramofon i kilka płyt. Możemy je sprzedać przed samym wyjazdem i zyskać jeszcze trochę pieniędzy.

Teraz nasze wszystkie myśli i słowa krążą wokół jednego punktu - wokół wyjazdu. Kiedy to w końcu nastąpi? Transporty krążą teraz tylko i wyłącznie przez Szczecinek. Z okazji świąt wam obojgu i babci składamy najserdeczniejsze życzenia, a na nowy rok przesyłamy serdeczne pocałunki, wasza Anita

W poprzednim liście mama napisała o bardzo serdecznym pożegnaniu Larissy. Larissa zawsze była dla nas bardzo miła i przyjazna. Ona bardzo dużo paliła. Robiła papierosy z machorki zawijanej w gazetę. Częstowała papierosami i obraziłaby się, gdybym odmówiła. Mimo to nie przyzwyczałam się do palenia. W ostatnim czasie namówiła mnie, abyśmy poszli do kina na piękny film. Twierdziła, że skoro rozumiem już język rosyjski, bez problemu zrozumie film.

Siedziałyśmy w kinie obok siebie. Przed głównym filmem pokazano dokumentalny film o tym, jak niemieccy żołnierze SS rozstrzeliwali Żydów. Za nami odezwały się nieprzyjemne głosy skierowane do mnie. Szczególnie słychać było rosyjskiego Żyda, który siedział w najbliższym rzędzie. Bardzo się bałam i chciałam wyjść z kina, ale Larissa powiedziała do mnie: „zostań i siedź! Tobie nikt nic nie zrobi. Jestem przy Tobie”. Jednak uciekłam. Po powrocie z kina Larissa powiedziała do mnie „Dlaczego uciekłaś ? Przecież to co pokazywano zrobili inni, nie ty. A film był bardzo piękny, powinnaś zostać”. Taka była moja Larissa!

Darłowo, 29 grudnia 1946

Mój kochany Karl, moja ukochana Eriko!

Być może to ostatni list pisany do was z Darłowa. Ewakuacja jest możliwa i wszyscy ludzie są pełni blasku przez tę radość. Także rodzina Boddeusch jest szczęśliwa, jak również rodzina Kessels. Jeszcze może jeden, dwa, może trzy dni do pociągu. Stąd do Sławna musi każdy zapłacić 24 złote od osoby. Ernst i Richard, którzy są w szpitalu, bardzo płakali. To jest bardzo trudna sytuacja dla obu niewidomych, aby w ciągu 10 minut być przygotowanym do wyjazdu. Ich wyjazdy były już przekładane i oni nadal są jeszcze tutaj. Ludzie często w ciągu 10 minut muszą spakować się i czekać na transport. My też mamy już wszystko popakowane, siedzimy dziś bez żadnych rzeczy do spania, wszystko jest już zwiazane i spakowane.

Rosjanie nie chcą stąd wypuszczać ludzi. Często wyjeżdżający są zawracani. Dzisiaj 6 strażników na Bahnhofstraße⁵⁴ sprawdzało ludzi, szczególnie tych, którzy szli do fabryki ryb do pracy.

My mieszkamy teraz sami w domu z Arwinem – Armeńczykiem. Przenieśliśmy się na górę z naszymi rzeczami, szafkę zostawiliśmy na dole. Tutaj jest cieplej, ponieważ stoi tu piec kaflowy, w którym można palić drewnem..

Wczoraj byli tutaj dwaj oficerowie ze sztabu, oni chcieli wiedzieć, czy ktoś z nas pracuje w mleczarni, te osoby nie mogą wyjechać. Przed chwilą była u mnie pani Miels i powiedziała, że 8-go będzie znowu ewakuacja. Teraz kupiłam 5 bochenków chleba i dwa otrzymaliśmy za pracę. To dobrze, bo teraz będzie nam bardzo ciężko. Zobaczcie moi ukochani, przez te wszystkie minione wydarzenia nie mogliśmy być z wami na święta i przez cały ten czas pracowaliśmy. Na drugi dzień świąt uszyłam dla Else Barske trzy torby. Za to otrzymałam pościel i dzisiaj trochę oleju rybnego. Zrobiłam placek kartoflany, ale bez cukru. W wieczór świąteczny chciałam piec, ale byłam przy tym bardzo rozproszona, bo gaz palił się bardzo słabo. Razem z Anitą zaśpiewałam kilka kolęd i rozmawiałyśmy o was, przystroiłyśmy też kawalek jemioły watą. Od Anity otrzymałam biały chleb i 10 gram kawy. Ja także dla obojga kupiłam biały chleb i dla Wilhelma 3 cukierki, które dostałam kiedyś w prezencie. Pierwszego dnia świąt przyszła po połu-

⁵⁴ obecnie Bogusława X

dniu wiadomość o ewakuacji, szybko zakończyło się świętowanie, szybko trzeba było uszyć niezbędne rzeczy i spakować się!

Naszą ogromną radością był w drugi dzień świąt cudowny świąteczny list od was. Tak, mój kochany Karl, życie jest bardzo ciężką wojną i dla mnie również, szczególnie, gdy nic więcej nie jestem w stanie zrobić, a chciałabym. Jednak myśląc o was jestem w stanie przezwyciężyć wszystko. Jestem już tak zdenerwowana, że całe moje ciało drży z tego wszystkiego. Także Arwin pomaga nam jak tylko może. On jest bardzo smutny, że my będziemy stąd wyjeżdżać. On mówi, że jestem jego mamą, Anita siostrą, Wilhelm bratem, a my wszyscy jego ojczyzną. Anita codziennie uczy się tańczyć, Wilhelm także tam chodzi, a ja siedzę sama, zamykam jedynie drzwi. Arwin gwiżdże na dole swoje armeńskie melodie - niebawem też stąd wyjedzie.

Wiele cudownych i serdecznych pozdrowień i pocałunków dla was, wasza mama, Anita i Wilhelm.

20 stopni zimna i straszliwa niepewność

Darłowo, 10 stycznia 1947

Mój kochany Karl, moja kochana Eka!

Jeszcze jesteśmy tutaj i chciałam dziś do was napisać. Ostatni list napisałam do was 29 grudnia, miał on być listem, który otrzymacie pomiędzy naszym przyjazdem do was. Od czasu, gdy napisałam go, nie było żadnego transportu, w dodatku jest straszliwy mróz, który wynosi bardzo często od 16 do 20 stopni zimna. Ci, którzy w okresie Świąt wyjechali wylądowali w Forst/Niederlausitz, a więc nad Schlesien, Sachen na terenach Rzeszy. To byłoby dla nas bardzo korzystne. Dr. Krüger kierował transportem i powiedział, że były zgony z powodu zamrznięcia. My oczywiście też się tego boimy. Mam nadzieję, że to zimno i okropne mrozy w końcu nas zostawią. Po drodze umarła jedna kobieta i urodziło się jedno dziecko.

Dzisiaj mówiło się, że 15- tego będziemy ruszać, alternatywą może być 18-ty. Zapewne wszyscy będziemy chorzy przez to okropne zimno. W Sławnie jest bardzo duża „kontrola”.

Nasze ubrania i rzeczy wypakowaliśmy, bo jest jednak za zimno. Dzisiaj po południu mieliśmy ostatnie już ziemniaki, pani Miels dała mi dwa razy pełny ich kosz. Kiedy jednak faktycznie nadejdzie dzień wyjazdu nie możemy być nigdy pewni, wciąż pozostajemy w niepewności.

Teraz mój kochany Karl, mam do Ciebie ogromną prośbę. Te pieniądze, które leżą w kopercie są od pani Miels. Jej mąż jest w Berlinie i pracuje w jednym dużym rosyjskim zakładzie jako ślusarz. On tam ma bardzo słabe wyżywienie, czy mógłbyś o niego trochę zadbać, jak to tylko jest dla ciebie możliwe i wysłać mu chleb i mąkę.

Ona nam tu bardzo pomaga jak tylko może i bardzo wiele dobrego dla nas zrobiła. Na wysłanie kartofli jest z pewnością zbyt zimno, to będziemy musieli zrobić innym razem. Co ty myślisz o tym? Ona sprzedała swoją maszynę do szycia i

ja teraz szyję jedynie ręcznie. Bardzo wielu Rosjan wyjeżdża do Słupska i dlatego kuchnia będzie zamykana. Lilo Bahr jest zawsze u Anity, oni siedzą razem, śpiewają albo rozmawiają po rosyjsku. Trochę się tego obawiam.

Sylwestra spędziliśmy dobrze, pani Bahr i Lilo byli u nas. Przynieśli ze sobą kawę i naleśniki. O godzinie 12 w nocy podaliśmy kawę. Młodzi na dole tańczyli do białego rana, ale bez Rosjan.

Jak spędziliście wieczór? Co nam przyniesie nowy rok? Jestem pełna nadziei, że będą o wiele lepsze chwile, niż ten mijający rok. Teraz moi kochani przepraszam was za moje pismo, ale światło jest strasznie słabe.

Wiele serdecznych pozdrowień i całusów wasza mama, pozdrowcie również babcię i wszystkich krewnych, do widzenia!

Kochany tato, kochana Eriko!

Nie jesteśmy w drodze. Widoki są piękne, ale jest zbyt zimno, by podróżować, ja wolę poczekać, aż zrobi się cieplej.

Mam cały czas ręce pełne roboty i cały czas coś robię na drutach, otrzymuję za to chleb. Ja (albo mama) możemy otrzymać pracę w polskiej restauracji jako kucharka, ale ja tego nie popieram zbyt. Wolałabym pracować u Rosjan, bo bardziej rozumiem język rosyjski. Jednej pani tłumaczę rosyjskie listy i to mi idzie całkiem dobrze.

Jak teraz będziemy wyjeżdżać znowu będę walczyć z bólami mojej wątroby. Jak tylko marznę zaczynają się bóle. Mam jedynie nadzieję, że pogoda wkrótce złagodnieje. Mam nadzieję, że wy wszyscy jesteście zdrowi. Przyjmijcie wszyscy serdeczne pozdrowienia ode mnie. Wasza Anita.

P.S. Od mamy: Dzisiaj znowu pada śnieg. Wieprza znowu zamarzła, tak jak w 1936 roku, wszystkie wodociągi są więc zepsute, ale dostarczają nam wodę. Jeszcze raz serdecznie pozdrawiam, mama.

Darłowo, 19 stycznia 1947

Mój kochany Karl, moja kochana Eriko!

Znowu mija kolejny tydzień, a my nadal jesteśmy tutaj. Kiedy w końcu przyjdzie do nas ratunek. Ostatni ludzie, którzy byli ewakuowani w święta, już pisali z terenów Erfurtu. Ja nie mogę spać całymi nocami, bo myślę wciąż o tym, kiedy stąd wyjadę. Czy z nami nie mogłoby być podobnie. Mogłyby nam pomóc zegarki albo 1000 złotych. Tym jednak nie dysponujemy, jesteśmy za biedni.

15-go 4 wieśniaków wyjechało pociągiem do Sławna. Jednak zostali zawróceni. Teraz nie będzie przez najbliższy czas żadnej ewakuacji, bo zbyt wielu ludzi zamarza. Ale od środy jest ładna pogoda, może będzie się lepiej podróżowało. Wszystko odmarza i całymi dniami świeci słońce.

Dzisiaj wszystko ucichło. Restauracje są zamknięte. Piszę często, ale od świąt nie otrzymujemy poczty. Jedyne, co jest dobre, to to, że nie pojechaliśmy do Koszalina. Siostra pani Miels z Sulechowa trafiła tam ze swoją rodziną na początku grudnia. Wczoraj pani Miels otrzymała od niej list, ciągle jeszcze z Koszali-

na. Nie mają stamtąd oni jednego transportu, dlatego równie dobrze my możemy tutaj zostać, gdzie jest w miarę ciepło. Ja w tym tygodniu znowu musiałam coś sprzedać i będę musiała jeszcze więcej sprzedawać, jeśli to wszystko będzie trwało zbyt długo. Jeden chleb kosztuje 50 złotych, to wystarcza na dwa posiłki, na nic więcej.

W tym tygodniu uszyłam futrzaną czapkę, za którą otrzymałam jeden kosz ziemniaków, jeszcze jedną powinnam uszyć. Anita wyhaftowała dla dzieci Else Barkses 2 kurtki i dostała za to 1 funt masła, z czego wszyscy się bardzo cieszymy. Dla naszych Rosjan muszę oczywiście każdego dnia gotować, za to otrzymuję mleko.

Nasze światło jest bardzo często zepsute i siedzimy w ciemnościach. Tymczasem pora już iść do łóżka.

Wiele tysięcy pocałunków i pozdrowień dla was obojga, mama, Anita i Wilhelm. Do widzenia!

Kochany tato, kochana Eriko!

Ja także chciałam dopisać coś od siebie. To nie może być zbyt wiele, żeby list nie był zbyt gruby i ciężki. Mam nadzieję, że także drugi list będę mogła niebawem wysłać. Nie wiem, czy otrzymam na to pieniądze, ale jeśli nie to nic.

Ja już prawie skończyłam dwie pary rękawiczek, i mam już w wyobraźni 2 bochenki chleba, które za to otrzymam.

Dzisiaj znowu zaczęło padać, przez ostatnie dni jest bardzo wilgotna pogoda.

Mam nadzieję, że wszyscy jesteście zdrowi. Wam wszystkim przesyłam serdeczne pozdrowienia, wasza Anita.

W liście powyższym nie zostało zaznaczone, że miałam na swojej książeczce oszczędnościowej uzbierać pieniądze za pracę praktykanta, za cały okres nauki. W 1950 roku mogłam te oszczędności podjąć, przy ich przewartościowaniu 10:1

Rozbijanie lodu i brak chleba dla Niemców

Darłowo, 13 lutego 1947

Kochany tato, kochana Eriko!

Bardzo długo już czekaliśmy na list od was, ale w końcu dziś doszedł. Czemu my musimy tutaj cały czas być?

Dzisiaj wszystko zaczęło topnieć, ostatnio był tu okropny mróz. Nie wychodzę ostatnio wcale z domu, w niedziele jedynie przychodzi do nas Lilo Bahr.

Chodzimy też razem drogą nad Grabową, tam jest dosyć bezpiecznie. Rosjanie przenoszą swój sztab do Słupska. Zakłady przechodzą w zarząd polski. Nie ma niestety chleba dla Niemców, jedynie wieczorami, ale to tylko niby, bo i tak już wtedy jest wszystko wykupione. Wilhelmowi udało się dostać w sklepie 6 kilogramów mąki, więc mama upiekła chleb. To były nasze prawie ostatnie pieniądze. Teraz musimy sprzedać prawdopodobnie ostatni wiszący na ścianie zegar. Może uda nam się otrzymać za niego 1500 złotych. Szkoda, że nie możemy zara-

biać tak jak w Ameryce (że nie ma takiego samego przelicznika w pieniądzach), za jednego dolara otrzymaliby tutaj człowiek od 600 do 700 złotych !

My jemy jedynie zawsze rano ziemniaki. One same nie wystarczają do popołudnia. Na obiad zazwyczaj mamy ziemniaki z solą, wieczorem jemy chude mleko, albo pieczone ziemniaki.

A jak wam się wiedzie? Czy jesteście wszyscy zdrowi?

Niedawno obchodziłaś moja kochana Eriko swoje 19-te urodziny. Ja przesyłam ci najserdeczniejsze życzenia, życzę ci spełnienia wszystkiego tego, o czym marzysz. Jako prezent urodzinowy wysyłam ci w załączeniu moje zdjęcie. Widzisz na tym zdjęciu ten sweter, który mam na sobie? To jeden z moich pierwszych, zrobiłam go na drutach na wiosnę 1945 roku. Już niedługo będę mieć 21 lat. Kiedy się ostatnio widziałyśmy, miałam 18 lat. Młodzińcze lata powinny być najpiękniejszymi w całym życiu - dlaczego nasze takie nie były?

Teraz przyjmijcie serdeczne pozdrowienia wszyscy, szczególnie wy dwoje i babcia, wasza Anita.

Moja kochana Eriko!

Składam ci serdeczne gratulacje i życzenia z okazji Twoich 19-tych urodzin. Życzę Tobie wszystkiego najlepszego i spełnienia wszystkich Twoich marzeń. Znowu tak bardzo żałuję, że nie możemy spędzić dnia Twoich urodzin razem z wami. Tak jest mi z tym wszystkim ciężko, że nie umiem tego nawet opisać.

Dlaczego tak mało do nas piszesz? To jest dla nas bardzo smutne, gdy od dwóch miesięcy nie otrzymujemy poczty od was. Erika, ja się tak bardzo o was martwię, że nie raz płaczę.

Kochany Karl, niedługo będą moje urodziny, znowu kolejne bez ciebie. Mam jedynie ogromną nadzieję, że otrzymam pocztę od was. Nasze wszystkie pieniądze teraz to jakieś 50 złotych. Dlatego muszę sprzedać zegar ścienny, to nasz jedyny ratunek. Ostatnio upiekłam dwa małe bochenki chleba, niestety nie można tu już kupić zupełnie niczego, tym bardziej chleba.

Mam ogromną nadzieję, że pogoda się zmieni, przez ostatnie tygodnie mamy na minusie od 20 do 25 stopni. Wodę przynosimy z mleczarni, dzisiaj rano mieliśmy w kuchni pęknięcie rury. Erika, proszę pozdrów wszystkich, w szczególności babcię. To, co chciałabym wam opowiedzieć ciężko jest opisać i mam nadzieję, że już niedługo będę mogła wam to opowiedzieć.

Ciebie moja solenizantko całuję tysiąc razy i wam wszystkim przesyłam serdeczne pozdrowienia, wasza mamusia

Do szybkiego, zdrowego zobaczenia!

Darłowo, 13 marca 1947

Mój kochany Karl, moja kochana Eriko!

Wasz długo oczekiwany list otrzymałam 5 marca, więc o wiele później doszły wasze urodzinowe życzenia dla mnie. 21 lutego otrzymałam list od Lotte i 1 marca jeden list od mamy i Lisbeth, to byli wszyscy, którzy zainteresowali się moimi urodzinami.

To był dla mnie smutny dzień, ale mimo wszystko byłam bardzo szczęśliwa, że mogliśmy jeść w tym dniu chleb. Jednak niedobór chleba dla Niemców trwa nadal i Niemcy nie mają możliwości kupienia go w sklepach. Mimo to zawsze od kogoś go dostajemy. Kilka razy dał nam chleb Arwin, kilka razy Polka ze Słupska. W niedzielę wieczorem otrzymałam jeden bochenek od Wali - Rosjanki. I w poniedziałek dostałam dwa bochenki od Katii za to, że dla niej szylam. Przyjaciel Wilhelma Gerhard Maaß z Palczewic przywiózł nam pół cetnara ziemniaków i jeden chleb. Wszyscy bardzo się z tego ucieszyliśmy. Jeden cetnar ziemniaków kosztuje już 300 złotych. Mój ukochany zegar ścienny sprzedalam już za 1.500 złotych, więcej za niego nie mogłam dostać. Tutaj każdego dnia przychodzą Polacy, żeby coś kupić, ale człowiek już nie ma co sprzedawać. Najlepiej sprzedają się łóżka i wszelkie pościelowe rzeczy. W tym tygodniu Heinrich Lehmann z domu Nünkes musiał wyprowadzić się. Mieszka teraz na górze u rodziny Dubberkes. On też sprzedawał przed wyjazdem łóżka i inne rzeczy. Teraz na jego miejsce wprowadził się jeden policjant. Dzisiaj szyję na maszynie pani Dubberkes dla Polki 4 halki.

Teraz na inny temat: Problem chleba związany jest także z możliwością pracy. Wszyscy, którzy chcą otrzymać chleb, muszą pracować. U nas była także w tej sprawie milicja i teraz każdej niedzieli Wilhelm musi iść do pracy. Wszyscy ci ludzie, którzy chcą mieć pracę, a co za tym idzie chleb, idą nad Wieprzę i rozbijają lód, który tam zalega. Za tę pracę nie otrzymują oni wypłaty a jedynie jeden bochenek chleba.

Anita szuka teraz pracy dla siebie, pracuje teraz w jednym z rosyjskich zakładów. W pierwszym dniu pracy musiała ładować nawóz. Wczoraj otrzymała wyżywienie - 3 bochenki chleba, 1 funt cukru, trochę mięsa, sól, 2 funty mąki pszennej i 9 kilogramów kartofli. To było piękne. To wystarczy nam na dziesięć dni. Pomogło to nam w domu odpędzić trochę strach przed tym, że nic nie mamy do jedzenia. Rano rozpoczyna pracę o godzinie 7:00, w godzinach od 11:00 do 13:00 mają przerwę, a w tym obiad. Pracę kończą o godzinie 17:00. Wilhelm pracuje od 8:00 do 12:00 i później od 13:00 do 16:00. Dla Wilhelma kupiłam buty od jednego chłopca za 80 złotych, w końcu ma on co nosić na swoich stopach. Praca przy skuwaniu lodu jest bardzo ciężka. Przez pierwsze dni Wilhelm bardzo się smucił z bezradności i wycieńczenia. Mam nadzieję, że już niedługo skończy się ta minusowa temperatura i pogoda się zmieni. Wieprza płynie już od dziś normalnie. Rano ponownie wielu ludzi było rozbijać na niej lód.

Lieselotte Bahr poszła pracować do zakładu, w którym pracuje Anita. Ja także mam sporo pracy i coraz mniej chodzę szyć, ponieważ teraz najważniejsze jest chodzenie i szukanie drewna na opał. Wilhelm przynosił dobre do palenia drewno z bagna z Żukowo Morskiego. Także Anita była po drewno ostatnim razem, jednak teraz jak pracuje, to nie ma na to zbytnio czasu. Od Rosjan otrzymujemy czasami drewno, ale jest ono najczęściej jeszcze mokre, więc musimy czekać aż wyschnie. Na Bismarckstraße⁵⁵ runęła stodoła. Ludzie pilowali z niej belki na

⁵⁵ obecnie ulica Żeromskiego

opał. Tak, zima trwa stanowczo za długo. Wy macie już radio i wiele innych rzeczy, u was jest wszystko szybciej dostępne niż u nas.

Uczęszczasz na lekcję fortepianu Eriko, to cudownie, cieszy mnie to bardzo.

Jak długo mam jeszcze pisać przed naszym spotkaniem, ile to będzie jeszcze trwało?

Serdeczne pozdrowienia i pocałunki ślę dla was, wasza mama, Anita i Wilhelm.

„By nie powtórzyła się wojna z tym małym Hitlerem”

Darłowo, 13 marca 1947

Kochany tato, kochana Eriko !

Właśnie wróciłam z pracy i moje palce są całkowicie zdrętwiałe. Pracowałam dziś cały dzień w spichlerzu, w jednym z gospodarstw. Cały dzień wraz z innymi dziewczętami sortowałyśmy i układałyśmy worki z otrębami, śrutą i paszą. Zawsze dwie dziewczyny do worków o wadze 40 i 50 kilogramów i 3 dziewczyny razem do worków o wadze 75 kilogramów. To było bardzo ciężkie zajęcie. 200 worków było dziś gotowe i zrobione. Jutro idę tam znowu.

Wartownik, który nas pilnuje rozumie nasz język i łamanym niemieckim, powiedział nam , że my musimy bardzo ciężko pracować, by już nie powtórzyła się wojna z tym małym Hitlerem. Czujemy potworne obrzydzenie na widok licznych szczurów. Jest nam bardzo ciężko, ale tak po prostu musi teraz być.

Może jeszcze kiedyś będę mogła ponownie pracować w Kasie Oszczędnościowej. Ale to nic pewnego.

Na dzisiaj koniec moi kochani, przesyłam wam gorące pozdrowienia wam wszystkim, w szczególności wam obojgu i babci.

Wasza Anita.

Darłowo, 29 marca 1947

Kochany tato, kochana Eka!

Wasz list otrzymaliśmy z ogromną radością. Dzisiaj mijają moje 16-te urodziny tutaj w Darłowie. Dla mnie to takie uczucie, jakbym wcale nie obchodził tych urodzin.

Od mamy otrzymałem 100 złotych, z tych pieniędzy, które sam zarobiłem. Ja teraz pracuję w fabryce maszyn Paula Ottona. 2 marca przyjechała po mnie milicja, wyciągnęli mnie z łóżka i musiałem z wieloma innymi ruszyć na rozkuwanie lodu na Wieprzu.

Zaczynaliśmy rozkuwanie przy szpitalnym moście. Każdy z nas otrzymał młot i dłuto. Młot ważył 20 funtów. Dłuto było zrobione z osi wagonowej. Teraz Wieprza jest już wolna. Po skuciu lodu wszyscy musieliśmy udać się do fabryki do pracy i tam już musieliśmy pozostać.

Musieliśmy cały jeden dzień zwozić z Bobolina siatki druciane, by można było z tego zbudować ogrodzenie. Za pracę otrzymaliśmy pieniądze. Za 15 dni otrzymałem 500 złotych. Co teraz mój kochany tato robią twoje konie? Wiem, że masz

też jedną kozę i dwa króliki. Jak wygląda ta koza, jest biała czy żółta, a może ma plamki ? Nie jest u nas tak źle, szczególnie teraz, kiedy mam pracę. Kochana Eriko, a jak u ciebie leci? Teraz będę kończyć, chce się położyć już spać. Za pieniądze, które otrzymałem od mamy kupiłem sobie jedno ciasto, kilka bułek i 10 papierosów. Mama teraz czyta, a Anita i Lilo poszli na tańce do ratusza. Serdeczne pozdrowienia dla was wszystkich i wszystkich innych, wasz Wilhelm.

Darłowo, 30 marca 1947

Mój kochany Karl, moja kochana Eriko!

Wasz list przyszedł do nas w niedzielę, więc przed ośmioma dniami. Bardzo wam dziękujemy, on dał nam jak zwykle wiele radości. Tak, teraz w czasie mijających urodzin jesteśmy osobno, pozostaje wierzyć, że już następne takie święto spędzimy razem. Ja jestem bardzo zdziwiona, że macie wszystko, by upiec ciasto. Jaka szkoda, że my nie możemy wywalczyć tutaj niczego. Człowiek nawet nie wie już jak smakuje ciasto. To jest piękne, droga Eko, że umiesz tak dobrze gospodarzyć i sama już potrafisz upiec ciasto. To jest też piękne, że umiesz wiele drobnych rzeczy załatwić. Szkoda tylko, że babcia jest tak bardzo chora. Nasze drewno do opał już się skończyło. Wczoraj kupiłam cetnar ziemniaków za 250 złotych. W piątek robiłam ogromne pranie, wszystkie nasze rzeczy wyprałam, spaliśmy więc bez powłoczek. Ja także całymi dniami i nocami myślę o was i odchodzę od zmysłów myśląc o tym, kiedy my się znowu będziemy mogli zobaczyć wszyscy razem. Kochany Karl, nadejdzie taki czas, kiedy się spotkamy, kiedy będziemy mogli przyjechać. Kiedy tak człowiek jest zadowolony, bo usłyszał coś dobrego i pozytywnego, za pół godziny przychodzi myśl, że on zaczyna rozumieć jedno, że jednak wszystkie te przeciwieństwa, które stoją na drodze wciąż istnieją, utrzymują się i doprowadzają człowieka do obłędu. Wtedy zaczyna on widzieć to wszystko, co wciąż ma miejsce, to, co jest jego losem i przeznaczeniem i wtedy nie pozostaje już nic innego, jak tylko zmartwienia, troski i nadzieja. My teraz żyjemy troszeczkę łatwiej, bo dzieci mają pracę. Jednak Anita pracuje bardzo ciężko, dzisiaj cały dzień wozila taczka kamienie, nie mogła więc nic napisać. Wilhelm ma dziś wolne.

Dzisiaj na obiad mieliśmy klopsy z przydziału Anity.

Wiem, że masz dla Wilhelma buty, on z tego bardzo się ucieszył. Ja swoje niebieskie mam jeszcze, ale Anita swoje ma już bardzo zniszczone. Tutaj wciąż jest bardzo zimno i słońce nie chce dłużej świecić. Ja też już nie mam wiele opału do pieca, więc więcej czasu spędzam na dole. Ze zdrowiem u nas wszystkich jest dobrze. Ja jestem w miarę smukła i czuje się z tym dobrze. Jeden feler mamy wszyscy razem - zbyt często jesteśmy głodni. Na kolacje jemy najczęściej ziemniaki, a Wala nie przyniosła mi dzisiaj mleka.

Pani Bahr była dziś u mnie, ona chce mi pożyczyć na kilka dni swoją maszynę.

W ten sposób chce się zabezpieczyć, bo niedługo do jej domu wejdą Polacy.

Do Darłowa przyjechało sporo Rosjan z Saksonii, nie wiem tak naprawdę ilu ich tam jest. Podejrzewam, że niektórzy z nich przyjechali z całymi rodzinami.

Kochany Karl, jeśli ty nie możesz do mnie pisać zbyt często, każ pisać Eryce, tak też będzie dobrze. Kiedy się już wszyscy razem spotkamy, zapomnimy o tym wszystkim, co było złe.

Paul Miels jest bardzo chory, ma wiele wrzodów. Lekarz powiedział, że jest niedożywiony. Fritz Aschedndorff jeszcze nie wrócił, jego żona i córka (córka ma 16 lat) mieszkają u Stefana, Rosjanina.

Ja zawsze twierdzę, że lepiej pracować, niż być rosyjską kochanką za jedzenie. Anita jest też tego samego zdania. Maria Kretf w najbliższym miesiącu urodzi jeszcze jedno rosyjskie dziecko.

Teraz moi kochani jest już czas na kolację, a Anita musi kłaść się niedługo spać, bo musi wstać o 6 rano. Jest już zmęczona i nie może nic napisać

Wszystkiego dobrego wam życzę, przesyłam tysiące pozdrowień i całusów.

Wiele pozdrowień dla wszystkich, którzy tam są, życzę wam radosnych, zdrowych Świąt Wielkanocnych.

Wilhelm zarobił 460 złotych, Anita dostała wczoraj wyżywienie Ja otrzymałam jeden bochenek chleba i dwa dorsze od pani Bahr w prezencie.

Więc u nas leci całkiem dobrze, wiele pozdrowień, wasza Erna.

Darłowo, 30 marca 1947

Moja ukochana Mamo!

Twój ukochany list z życzeniami urodzinowymi otrzymałam 1 marca. Bardzo Ci za niego dziękuję i dziękuję za życzenia. Zaraz po moich urodzinach byłam chora i musiałam półtora dnia leżeć w łóżku. Ale to było tylko przeziębienie i szybko minęło. Z tego co ja słyszałam ty bardzo długo leżałaś w łóżku, co mnie bardzo martwi. Trzymaj się dzielnie Mamo. Bardzo się cieszę z naszego spotkania, które nadejdzie!

Mamy sobie tyle do opowiedzenia. Znowu musiałam wypakować nasze rzeczy. To już trzeci raz jak jesteśmy całkowicie spakowani na wyjazd. Znowu mówi się coraz częściej o ewakuacji, nadzieja znowu się pojawiła. Jest tutaj wiele samotnych kobiet z dziećmi, których mężowie są po tamtej stronie. Człowiek widzi, że nawet jeśli mężowie są tutaj, to te rodziny nie żyją wcale lepiej niż my.

Anita musi bardzo ciężko pracować. 6 dni była w Koszalinie i zajmowała się bydłem. Stąd do Koszalina musiała z bydłem iść na pieszo! Dzisiaj musi również całą niedzielę pracować. Ale ona nie chce pracować dla Polaków, a rosyjskich miejsc pracy nie ma tutaj w tej chwili więcej do wyboru. Chodzi więc dzielnie do pracy, a wyżywienie, które dostaje jest całkiem dobre.

Wilhelm ma teraz 16 lat i wyrósł na dużego mężczyznę, cały tata. Ze zdrowiem u nas całkiem dobrze. Także do jedzenia zawsze coś tam się znajdzie. Jediną troską naszą jest to, że nie możemy pojechać do was. Ci, którzy 8 grudnia wyjechali do Koszalina, nadal tam pozostają i czekają na transport.

W nadziei, że niebawem się spotkamy przesyłam pozdrowienia i pocałunki. Wasza Erna, Anita i Wilhelm.

Życzymy ci poprawy samopoczucia.

Lepiej znosić atak szczurów niż rosyjskie gwałty

Darłowo, 13 kwietnia 1947

Mój Kochany Karl, moja kochana Eko!

Dziś jest już 13 kwietnia a ja siedzę wciąż w Darłowie. Żyjemy całymi dniami z nadzieją, że już niedługo stąd wyjedziemy! Dzisiaj była pierwszy raz piękna pogoda i byłam pierwszy raz od dwóch lat na cmentarzu. Przeszłam z panią Bahr przez Bogislav-straße⁵⁶. Bardzo dużo ludzi szło do fabryki ryb. W zakładzie pracy mieli do obrobienia 800 cetnarów ryb.

Na początku bardzo dziękuję, kochana Eriko, za twój list z 27 marca. To jak zwykle dało nam wiele radości. Moje dwa listy są w drodze do was, nie mogłam wysłać tego ostatniego wcześniej, ponieważ nie miałam już pieniędzy. Sprzedałam w tym tygodniu jednej pani elektryczną płytę do gotowania. Dostałam za nią 200 złotych i kilka sztuk dorsza. Jemy teraz całymi dniami dorsza, który jest wyśmienity. Kilogram tej ryby kosztuje 10 złotych. Anita otrzymała dodatkowo od jednej pani, która mieszka w urzędzie celnym w porcie - i widzi, jak dziewczyny ciężko pracują - ryby i wątroby dorszowe. Chleba nie mamy zbyt wiele, ale rano Anita dostanie wyżywienie w pracy. Wilhelm musi rano jechać do Bukowa Morskiego, oni muszą tam teraz cały tydzień pracować i będą tam mieć wyżywienie. Anita była przez jeden dzień chora. Wilhelm cierpi na ból zębów, ponieważ popsuły mu się przednie zęby. Tak Eriko, jak już stąd wyjadę, muszę polecić moje wszystkie zęby, bo zaczynają mi wypadać. Tutaj kosztuje to tysiące złotych, niemożliwe jest bym tutaj mogła je wyleczyć.

Transporty nie nadchodzą. W Koszalinie i Świdwinie nadal pozostają ludzie. Tutaj też to się nie posuwa naprzód, ludzie nie mają już co sprzedawać, by mieć pieniądze. Ostatnio kilka razy stałam w kolejce za chlebem rano, od w pół do szóstej do w pół do ósmej i musiałam mimo to wrócić do domu bez chleba. Walli dał mi jeden bochenek chleba.

Dzisiaj Rosjanie obchodzą Święta Wielkanocy. Anita i Lilo byli wraz z Katią w DarłóWKu. Pani Bahr mieszka teraz w domu rodziny Pahnkes, jeden pokój bez kuchni.

Kto wie, jak długo jeszcze będziemy musieli tutaj mieszkać.

Moi kochani teraz przesyłam wam, wasza mama, tysiące całusów i pozdrowień, a także pozdrowienia przesyłają Anita i Wilhelm.

Do widzenia!

P.S. Wilhelma nie ma w Bukowie Morskim. On musi wraz z Arwinem przytransportować łodzią 1 cetnar dorszy. Anita pracuje teraz w ogrodzie, to nie jest dla niej ciężka praca, dziś np. musi kopać.

Pocałunki przesyłam, mama.

⁵⁶ część obecnej ulicy M. Skłodowskiej (od skrzyżowania z Podzamczem do ul. Ojca Tynieckiego)

W tym miejscu chcę opowiedzieć o tym, co jeszcze należało do moich obowiązków w rosyjskim gospodarstwie oprócz transportu bydła do Koszalina. Szło się pieszo około 50 kilometrów, dochodziły do tego wszelkie prace związane z załadunkiem bydła na drogę do Związku Radzieckiego. Kto choć raz zajmował się taką pracą wie, że smród straszny pozostawał w ubraniu. Za każdym razem musieliśmy wkładać te same fartuchy. Człowiek brzydził się potem cokolwiek zjeść, ponieważ odpychający smród unosił się wszędzie. Należy też dodać, że ulokowani zostaliśmy w magazynie przeznaczonym na zboże. W tym miejscu roiło się od szczurów. W nocy nie można było położyć się spać, bo musieliśmy bronić się przed szczurami, które potrafiły wchodzić nawet na twarz. Na dole, przy krowach czuwali rosyjscy strażnicy. Mimo obrzydzenia na widok szczurów, lepiej było pozostać na górze, niż zejść na dół i być narażoną na gwałty dokonywane przez rosyjskich wartowników. Te 6 dni było straszne. Zajmowałyśmy się też załadunkiem bydła do wagonów. Zanosiliśmy w wiadrach do wagonów ogromne ilości wody. Po jakimś czasie odczuwałyśmy ogromny ból w ramionach. Później załadowywałyśmy do wagonów ogromne worki z paszą dla bydła. Praca była tak ciężka, że wieczorem szybko zasypiałyśmy z wycieńczenia. W porównaniu do tego, wcześniej wykonywane prace w ogrodzie, okazały się czystą przyjemnością, mimo tego, że za plecami słyszałyśmy narzucane tempo okrzykiem „dawai”. Do dziś ciągnie się za mną, kiedy pracuję w swoim ogrodzie, to tempo.

Powracając do listów. Zauważyłam przy listach jedną specyficzną właściwość. Stemple pocztowe z tego okresu, a więc od 16 lutego 1947 roku, pokazują nazwę miejscowości „Derlow”, podczas, gdy już kwartał później na listach można zauważyć nazwę „Darłowo”. Widać więc, że Polacy nie byli zgodni, co do tego, jak właściwie miała brzmieć nazwa miejscowości. Nazwa „Darłowo” przetrwała do dziś. Część terenu, czyli Rügenwalde-Bad⁵⁷, zwane też „Münde”⁵⁸, otrzymało nazwę Darłówek. Stemple z tego okresu, jak widać mają swoje historyczne znaczenie i wartość.

Darłowo, 1 maja 1947

Mój kochany Karl, moja kochana Eriko!

Wczoraj otrzymałam od was list. Wielkie dzięki Eriko, ja bardzo długo z niecierpliwością na niego czekałam. Sama chciałam do was również napisać, ale musiałam najpierw poczekać na list od was. W niedzielę nie miałam czasu, bo gotowałam soki dla Rosjan. W poniedziałek również musiałam cały dzień gotować. Zawsze otrzymujemy za to jakąś część soku i kawałek chleba. Dzisiaj Anita otrzymała wyżywienie: 3 chleby. Ale to ma jej wystarczyć na 10 dni. Ja otrzymałam od jednej Polki, dla której szylam trzy razy, bochenek chleba i rano skończy również szyc niewielki płaszcz z jasnoniebieskiej wełny z białymi wstawkami i czapkę dla małej Halinki. Później mam do uszycia 3 sukienki i jedną halkę. Za to

⁵⁷ Darłowo- Kapielisko

⁵⁸ Ujście

przynajmniej przybędzie nam trochę chleba. To wszystko musi człowiek tutaj w ten sposób załatwiać, bo kupić chleba nie ma szans. Ja znowu stałam za chlebem dwie godziny, ale bez powodzenia. Wilhelm ma nową pracę w jednym z polskich zakładów w przedsiębiorstwie Max Aschendorfs. Za 14 ostatnich dni w poprzedniej pracy nie dostał wynagrodzenia w pieniądzu i chleba również nie otrzymał. Całymi dniami pracował w Bukowie Morskim, później wracał do domu potwornie głodny. On musi już o szóstej być na miejscu w tej nowej pracy i wraca do domu bardzo późno. Ale przynajmniej jest najedzony. Pracuje z nim młody chłopak, który ma dwa konie. Dzisiaj 1 maja ma wolne. Anita również ma dziś wolne. Dziś chcą iść razem na tańce. Ja mam wciąż w pracy mnóstwo rzeczy do gotowania: pudding, barszcz, sernik wszystko na obiad. Dla Anity i siebie nie gotuję. W ostatnim tygodniu był sztorm i nie było wcale dorszy, teraz jest spokojnie i pada od jakiegoś czasu. Jutro rano wyruszają znowu w morze kutry, więc może się uda Anicie coś przynieść do domu. Teraz moi kochani powracając do waszego listu. Tutaj wszyscy czekają z nadzieją i cierpliwością na ewakuację. Wczoraj byli u nas ludzie, którzy kontrolują całą sytuację w mieście. Byli na naszej ulicy, ale nie we wszystkich mieszkaniach. Przed ośmioma dniami ruszył transport ze Sławna. W pierwszej kolejności ewakuowana jest ludność ze wsi Stary Jarosław i Boleszewo. 15 maja ma być ewakuowana ludność ze Słowińska. Kto wie, jak u nas długo będzie trwać ta ewakuacja, kiedy będzie ewakuowane Darłowo. Ja mam jedynie nadzieję, że nie będzie to trwało zbyt długo. Z Koszalina przewidziane są dwa transporty. Także rodzina Dubberkes wyjechała do Świdwina. Dzisiaj Polacy mieli jedną wielką przeprowadzkę. Mapa z nowymi granicami Polski została wystawiona w witrynie sklepu. Nowa granica będzie przebiegała wzdłuż Odry.

Ja nabawiłam się podczas gotowania kataru i kaszlu. Cieszę się, że udało się wam zdobyć mężowi pani Miels chleb. Ona otrzymała któregoś dnia list z tą wieścią od niego. Ostatnio była u nas wieczorem.

Ja ostatnio zrobiłam na drutach skarpetki, napaliłam w piecu, mamy więc dziś ciepło.

Teraz muszę napisać do ciotki Lotte, ona ma przecież urodziny.

Niedługo jest też nasze święto Karl – rocznica ślubu. W takim razie wiele szczęścia życzę na 22 rocznicę. Niebawem wraca do domu Wilhelm. Teraz będę kończyć, pozostawajcie w zdrowiu i pozdrówcie babcię. Napiszcie do mnie szybko. W ogromnej nadziei, że już niedługo się spotkamy przesyłam serdeczne pozdrowienia i całusy od naszej trójki, wasza mama.

Odejście z chlewu w jednym z gospodarstw

Darłowo, 18 maja 1947

Mój ukochany Karl, moja ukochana Eriko!

Dzisiaj, w piękną majową niedzielę chciałabym sobie z wami trochę pogawędzić. Moje serce jest strasznie smutne, wszystko się zazieleniło, zakwitło, a człowiek nie potrafi się cieszyć tą piękną naturą. Rzeczywistość jest taka, że nie było mnie

przy tobie w dniu twoich urodzin, tak jak przypuszczałam. Znowu nadszedł kolejny tydzień samej niepewności i strachu.

Anita zmieniła miejsce pracy i my mieliśmy przez to wiele nieprzyjemności. Dzięki Bogu wszystko co złe szybko minęło. Podstawą jej odejścia było to, że została oddelegowana do pracy w chlewie, ponieważ była członkiem BDM i w ten sposób na niej mszczono się.

Słyszeliśmy również, że ci, którzy pracują w zakładach Trabandt muszą zostać tutaj tak długo, jak będzie funkcjonował zakład i nie ma mowy o tym, by mogli być stąd ewakuowani. Teraz znowu potrzebne są nowe dokumenty, które przysyłane są z Warszawy, Anita dostała je za darmo. Ona bardzo energicznie rokowała z jednym komendantem, który groził nam nawet milicją.

Tak, Karl, twoja córka jest zupełnie taka sama jak ty. Ona teraz pracuje w DarłóWKu u jednej rosyjskiej rodziny z dwójką małych dzieci. Pani, u której pracuje Anita jest bardzo szczęśliwa, że ma taką pomoc, kogoś, kto rozumie język rosyjski, bo ona sama nie potrafi nawet słowa po niemiecku powiedzieć. Dzieci mają 6 lat i młodsze 4 miesiące. Jedzenie jest dobre i sycące. Każdego dnia mają jajka. Wieczorem Anita przynosi mi jedzenie, zawsze jest przy tym chleb. Ja jestem całkiem sama z Wallim. Wilhelm jest tylko wieczorami w domu. Walli jest bardzo miły dla mnie, zawsze mogę zjeść jego chleba tyle, ile chcę. Bierze się to z nadmiaru jego wyżywienia z pracy. Pisałam już wam, że Josek i Lidia wyjechali do Rosji? Teraz został tutaj tylko Walli.

Wilhelm dobrze wypada na swoim stanowisku pracy. Ja mam znowu dużo rzeczy do szycia, za co dostanę chleb, jajka i ziemniaki. Moi kochani, my wciąż z utęsknieniem i nadzieją czekamy na transport do was.

Pan Miels napisał, że otrzymał od was bochenek chleba. Lilo Bahr pracuje nadal w ogrodzie. Teraz, mój ukochany Karl, najważniejsza sprawa, z okazji twoich 46 urodzin przyjmij moje życzenia urodzinowe. Aby ten nowy nadchodzący rok w twoim życiu przyniósł ci wszystko co dobre i zachował cię w jak najlepszym zdrowiu. Nie ma większego pragnienia dla mnie teraz, jak być przy tobie w dniu twoich urodzin. Czy ten list z życzeniami dojdzie również na czas do ciebie, to także jest jedno wielkie pytanie. Ja wcześniej nie byłam zdolna napisać tego listu. Przepraszam za to jeszcze raz, ale całymi dniami myślę o was mimo wszystko. Od Anity mam również przekazać ci gratulacje z okazji urodzin, ucałować i pozdrowić i spytać od niej, czy u ciebie wszystko dobrze, ona właśnie wieczorem wróciła do domu. Wilhelm napisze do ciebie wieczorem. Ja czekam z niecierpliwością na pocztę od was, Eka, napisz proszę do swojej mamy. W niedzielę są Zielone Świątki. Doprowadziłam do porządku ogród i reszta jest mi jakoś obojętna z tego wszystkiego. Rano Else Barske gotowała u nas sok, a później jeszcze Wendt i Albrecht.

Kartofle kosztowały wczoraj 600 złotych, nie mogłam ich kupić, nie było mnie na nie stać. Jeden chleb kosztuje teraz 100 złotych.

Teraz będę już kończyć. Dla was przesyłam tysiące pocałunków i pozdrowień, wasza mama, Anita i Wilhelm. Pozdrówcie proszę również wszystkich krewniaków od nas serdecznie.

W poprzednim liście moja mama napisała, że pracowałam u jednej z rosyjskich rodzin i wróciłam dopiero następnego dnia (po drugim dniu pracy) późnym wieczorem do domu. Ja musiałam pilnować dwójki małych dzieci, którymi się opiekowałam do momentu, aż rodzice wrócili z przyjęcia, które trwało do późnej nocy. W mieszkaniu obok mieszkała Lilo Jütz ze swoim Borisem. Lilo pośredniczyła w załatwieniu mi tej pracy. Powiedziała mi, że mogę spać u tej rodziny, bo zbyt niebezpiecznym było wracać przez miasto w środku nocy.

Kochany tato, kochana Eriko!

Jak właściwie wam się układa, jak u was leci? Kochany tato, gratuluje ci z okazji urodzin i życzę ci wszystkiego dobrego. Ja muszę teraz wszystko robić sam. Orzę, bronuję, drewnianymi grabiami przygotowuję grządki, rozsypuję nawóz, potem sadzę ziemniaki za pługiem. Następane 3 poranki będziemy pracować przy sianiu rzepaku. Widzisz więc, że pracuję ciężko. Pozdrowienia . Wilhelm

Darłowo, 29 maja 1947

Moi kochani!

Bardzo wam dziękuję za list z 14 maja. Z całą pewnością możecie do nas pisać i odpisywać na nasze listy, bo jak na razie nic się nie zmieniło w kwestii ewakuacji stąd. Ja już też zaczynam w to wszystko wątpić. Tym bardziej, że potrzebują teraz Niemców do pracy na polach do zbiorów przy żniwach. Możliwe, że dopiero na jesieni nastąpi nasza ewakuacja. Ja dziś miałam ogromne pranie w „moim” rosyjskim domostwie w Darłótku. To dosyć ciężka praca, wszystkie brudne rzeczy prać jedynie mydłem bez żadnego proszku do prania.

Jednak mam co jeść, dla mamy także przynoszę coś do jedzenia. Każdego dnia kawałek chleba, bardzo często kiszoną kapustę lub jakiś kawałek mięsa. Muszę utrzymywać w porządku kuchnię i pokój, gotować, prać, karmić prosiaki i pilnować malców. Dzieci to sześciolatnia dziewczynka Rimka i chłopiec Wołodja, który urodził się przed 4 miesiącami. Całymi tygodniami miałam do prania mnóstwo pieluch. Ale mimo wszystko otrzymuję jajka, mięso, masło i wiele innych rzeczy do jedzenia. Teraz przynajmniej mogę w tym domostwie gotować sama. Pani, u której pracuję daje mi pod tym względem wolną rękę. Poniedziałki mam wolne. Zawsze rano już o godzinie 8 muszę być na miejscu w pracy w Darłótku i wracam do domu zawsze o 8 wieczorem, czasami o godzinie 9. Kobieta, u której pracuję nie rozumie nawet słowa po niemiecku, więc całymi dniami muszę słuchać rosyjskiego i również po rosyjsku do niej mówić. Ale przy okazji uczę się wciąż tego języka. Od czasu do czasu muszę chodzić po zakupy do rosyjskiego magazynu, a pani, u której pracuję zapowiedziała mnie tam jako „jej Niemka”.

Ona nie raz kpiała sobie i mówiła, że „niemieckie świny nie mają kultury”. Kiedy zauważyła brud w szparach pomiędzy deskami podłogi w kuchni, kazała mi wyskrobywać go nożem, później szczotką. Dopiero później była zadowolona. Ja mogę w odpowiedzi poinformować o ich kulturze, a mianowicie: cotygodniowa kąpiel u niej w domu przebiega w następującej kolejności: na początku kąpała się ona i jej mąż, dopiero później ja kąpałam jej dzieci. Na końcu musiałam w

wannie wyszorować jej małego prosiaka. Wtedy dopiero została zakończona cała ceremonia kąpieli. Teraz już wystarczy pisanie o tym.

Mój Boże, kiedy my w końcu do was będziemy mogli przyjechać! Kiedy my to wszystko już przełamiemy, kto nam w tym wszystkim pomoże? Co wiecie nowego, macie przecież radio, napiszcie do nas o tym po cichu, nikt już nie będzie kontrolował treści listów. Teraz życzę wam dobrej nocy, jestem już zmęczona, a wcześniej rano muszę znowu maszerować do pracy do Darłówka.

Wiele serdecznych pozdrowień dla was wszystkich, szczególnie dla babci, wasza Anita.

Żadnej ewakuacji i żadnej poczty urodzinowej

Darłowo, 28 maja 1947

Mój ukochany Karl, moja kochana Eko!

Z wielką radością otrzymałam wczoraj list od was, z 14 maja, ze stemplem z 16 maja.

Bardzo wam za niego dziękuję moi kochani. My tutaj strasznie długo czekaliśmy na wieści od was i moje przeczucia, że niebawem dojdzie list od was okazały się trafione. Tutaj wciąż jest cicho, jeśli chodzi o ewakuację. Bardzo często jesteśmy przez to bardzo smutni. Już rok temu pożegnaliśmy nasze miasto, by jak najszybciej do was ruszyć. Minął już rok i wciąż jest ta sama troska i strach, kiedy w końcu uda nam się stąd wyjechać. Chętnie, moja kochana Eriko, myślę o tym, jak pięknie mogłabym zrobić tam, u was ogród. Dziś doprowadziłam do porządku ogród Wali. Oni chcieli mieć jedynie ogórki i rzodkiewki. Ja sama dla siebie nie mam pieniędzy na nasiona. Na ulicy Dworcowej mają swoje ogrody Rosjanki i nasza pani Bahr, która teraz tam nieopodal mieszka. Wala bardzo się o mnie troszczy. Dostałam wczoraj 1 ½ chleba. Trzy razy w tygodniu otrzymuję wiadro chudego mleka, które pozostawiam na twaróg. Każdego dnia dostaję również od Wali dwa litry mleka tłustego. Pracownicy mleczarni mało jedzą, za to piją dużo śmietany.

Wilhelm przychodzi na obiady i zawsze szybko krzyczy, mamó, co zrobiłaś dzisiaj. Chłopak taki jak on musi dużo zjeść. Tutaj może chociaż wypić dużo mleka. Anita nie jest tak głodna jak wraca do domu, ona ma jedzenie w pracy. Teraz uczy się gotować nowe rosyjskie potrawy. W poniedziałek miała pierwszy wolny dzień.

To jest bardzo piękne, że wujek Erich wam pomógł. Kochana Eriko, teraz ty także ucz się pracy w ogrodzie. Święto Zielonych Świątek spędziliśmy bardzo miło, Anita w pierwszy dzień świąt musiała pracować, drugi dzień świąt miała wolny. Wilhelm doglądał koni. Ja byłam zaproszona przez rodzinę Barske. Była kawa ziarnista i ciasto. W drugi dzień świąt mieliśmy pieczonego królika i Else Barske przyniosła nam też krem cytrynowy. Do kawy przyniosła nam pani Miels 4 sztuki ciasta. Więc jak widzicie, ludzie tutaj bardzo nam pomagają. Ja nie mogę upiec teraz żadnego ciasta, bo nie mam mąki. Anita przyniosła zającą od swojej kole-

żanki Lilo Jütz z Koszalina, która mieszka z rosyjskim porucznikiem, a jej rodzice już wyjechali do Niemiec.

Ja muszę zapłacić teraz za gaz 193 złote, a w tym nam już nikt nie pomoże. A jak wy spędziliście Zielone Świątki?

Teraz wam moi kochani przesyłam serdeczne pozdrowienia i pocałunki i do prędkiego zobaczenia - mam taką nadzieję, wasza mama.

W międzyczasie, 8 czerwca były moje 21 urodziny. Od Lilo Bahr otrzymałam fotografię. Poczty urodzinowej z życzeniami niestety nie dostałam.

Darłowo, 29 czerwca 1947

Moi ukochani w oddali!

W środę przyszedł upragniony list od was, na który tak długo czekaliśmy. Bardzo wam za niego dziękujemy. Anita była bardzo rozczarowana, że nie napisaliście do niej nic na jej urodziny. Teraz już nie jest zła.

Jak wyczytałam z waszego listu, że jesteście bardzo smutni, że jeszcze do was nie przyjedziemy. Mogę was jedynie zapewnić, że my czujemy się tak samo. Kochany Karl, nie porzucaj nadziei i moja kochana Eriko, ty również. Wy macie bardzo dużo pracy, wiem o tym.

My mamy znowu na nowo nadzieję. Ostatnio kazali nam zrobić zdjęcia paszportowe.

W Słwinie stoi jeszcze jeden transport. Tam jest prawie 5000 ludzi z Darłowa, przetransportowanych w trzech transportach. Jak długo to wszystko będzie trwało tego nikt nie może powiedzieć.

Mam nadzieję, że nie będzie już tak gorąco, jak jest teraz. Wilhelm mówi, że w słońcu jest 42 stopnie. U nas jest chyba teraz jeszcze bardziej gorąco. Biedna Eriko, ty musisz teraz sama wszystko robić. To bardzo dobrze, że tak wiele nowych rzeczy się uczysz. Anita także ma wiele do robienia wokół siebie. W tym tygodniu Anita otrzymała nową pracę. Mam nadzieję, że będzie miała przy tym wiele szczęścia. Dzisiaj w Darłótku jest wielki festyn. Anita wczoraj wieczorem pojechała do "swoich państwa", jednym jedynym kutrem, którym mogła się dostać do Darłówka. Wróciła dziś wieczorem z powrotem. Otrzymała pieniądze za trzy dni pracy - 300 złotych, bez jedzenia. Któregoś dnia otrzymała świeże ryby prosto z kutra.

Dobrze Karl, że ty się troszczysz o tyle rzeczy. Ja zawsze chętnie powtarzam jedną sentencję: „Nie żałuj poranka, który daje trud i pracę, to jest piękne, troszczyć się o ludzi, których się kocha”. Mam nadzieję, że już niedługo będę mogła to robić też dla was.

Ja myślę Eriko, że Lisbeth mogłaby dać ci jedną ze swoich letnich sukienek, bo ona ma ich tak wiele. Dalej masz uszkodzoną nogę Karl, z powodu drewna od Willysa. Teraz, kiedy ty się leczysz i kurujesz nogę nie ma wam kto pomóc. Może jak przyjedzie do was szybciej jako pierwszy Wilhelm, to może będzie wam łatwiej. On chodzi cały czas do pracy, szkoła już mu nie pasuje. Przerósł nas już o głowę.

Nasza ziemia jest już zupełnie polska, ale Rosjanie nie chcą jej tak łatwo oddać. Ja nadal chodzę szyć. Wczoraj uszyłam białą-czerwoną flagę dla jednego kutra. Może również coś dla was przywiozę, jeśli tylko mój woreczek z pieniędzmi mi na to pozwoli. Czego macie niewiele? Ja mogę tutaj kupić wszystko, pod warunkiem, że pieniędzy jest wystarczająco. Jeden kilogram chleba kosztuje 150 złotych, to daje dla nas troje 450 złotych. Tak, 23 powinniśmy już z pewnością stąd wyjechać i będziemy już mogli się z wami z tego cieszyć, ale jak zawsze - i tym razem nic pewnego.

Teraz moi kochani muszę już kończyć, napiszcie do mnie prędko. W nadziei, że już niedługo się spotkamy, najserdeczniejsze pozdrowienia i pocałunki od nas troje, mama.

W tym dniu, w którym mama napisała powyższy list był ogromny festyn. Stojąc na wydmach widziałam, jak z polskiego kościoła ruszyła ogromna procesja z kadzidłem. Wygłoszono kazanie, wszyscy osunęli się na kolana koło dużych ciosanych kamieni obok mola. Bałtyk został poświęcony dla Polski.

Mama uszyła mi kostium plażowy czerwony z białymi wstawkami i odważyłam się w polskich narodowych kolorach patrzeć na to wszystko nie klęcząc, ale stojąc.

Darłowo, 2 lipca 1947

Kochany tato, kochana Eriko!

Dzisiaj mam troszkę więcej czasu i mogę zrobić kilka zaległych rzeczy.

Wczoraj wieczorem przyjechałam z Darłówka kutrem i dziś do południa pozostaję w domu, bo jest strasznie gorąco. Mam nadzieję, że już niedługo się to uspokoi. Zaraz po południu z powrotem ruszam do Darłówka. Teraz często się kąpie, chodzę z Walterem Otto na plażę.

Polacy, u których teraz pracuję przejęli ostatnio sklep od Waltera Otto. Teraz na plaży jest bardzo pięknie. Rosjanie nie korzystają zbytnio z plaży, więc zachodnia część plaży jest prawie pusta od ludzi. Inni kąpią się w porcie ale też na plaży wschodniej- tu jest więcej Polaków, którzy przyjeżdżają motorami i rowkami.

Teraz moi ukochani przesyłam wam serdeczne pozdrowienia, także dla wszystkich pozostałych krewnych, także dla babci, wasza Anita.

Nadzieja i obawy mają w końcu swój koniec

Nie przeczuwałam, że faktycznie nadejście moje pożegnanie z ukochanym Bałtykiem. Nadzieja i obawy po tak długim czasie miały swoje zakończenie. W dniu 3 lipca 1947 roku po dwóch latach od zakończenia wojny nadeszła nasza ewakuacja z ojczyzny.

Forst / Lausitz, 8 lipca 1947

Moi ukochani!

Przed godziną wylądowaliśmy na niemieckiej ziemi, dzięki Bogu!

Nasza podróż będzie ciągnęła się dalej. Otrzymaliśmy jedzenie i prowiant na drogę. W czwartek wyjechaliśmy z Darłowa i w niedzielę ze Sławna. 3 dni z chlebem i wodą, śpiąc pod gołym niebem. Jak już będziemy zupełnie na miejscu wyślemy wam telegram. Ze zdrowiem u nas wszystko dobrze. Do zobaczenia, kiedy już wszystko inne będziemy mogli sobie ustnie opowiedzieć, wasza mama. Serdeczne pozdrowienia dla wszystkich, Anita.

*Quarantänelager
Domnitzsch Kreis Torgau
Sachsem-Anhalt, Blok I,
Russ.Zone
Domnitzsch 11 lipca 1947*

Mój kochany Karl, moja kochana Eriko!

Wczoraj wieczorem po bardzo długiej podróży dotarliśmy tutaj. Mam nadzieję, że w trakcie dostaliście moją kartkę wysłaną z Forst/ Lausitz.

Chciałam wam wysłać telegram, ale podczas apelów powiedziano mam, że do 24 lipca nie wolno opuszczać obozu. Nie można także nas odwiedzać. Zezwolenie przyjazdu nie może być starsze niż 4 tygodnie i musi być podstemplowane pieczęcią wojskową.

A więc moi kochani 3 lipca zostaliśmy ewakuowani i 6 lipca wyjechaliśmy już ze Sławna. W Sławnie była „kontrola”, zachowaliśmy jednak wszystkie swoje rzeczy. Ja miałam jeszcze rzeczy dla pani Wendt i jeden zegarek dla Ernsta Hoffmeistera, a także 700 marek. Do tego otrzymałam również 100 złotych od pani Wendt, chleb, itd.

Podróż biegła przez Stargard - Poznań - Zieloną Górę - aż do granicy potem w kierunku Sorau (Żary), z powrotem - Forst/ Lausitz. Tam otrzymaliśmy pierwsze ciepłe pożywienie, a także prowiant na trzy dni, potem droga trwała dalej.

9 lipca jechaliśmy przez Cottbus-Lübben⁵⁹ w stronę Falkenberg aż do Domnitzsch gdzie zostaliśmy „rozładowani”. Myśleliśmy, że szybko do was dotrzemy, ale 14 dni to jeszcze niestety trochę potrwa.

Tutaj jest 1000 osób i 500 z nich musi ruszać dalej do Elster. Podróż w Niemczech była wspaniała, pomimo tego, że przez 5 dni jechaliśmy w wagonach. Tutaj wiedzie nam się całkiem dobrze. Wyżywienie jest bardzo dobre. Anita zameldowała się do pracy i od rana zaczęła pracę w kuchni, dziś pracowała przy obieraniu ziemniaków. Dziennie otrzymujemy 300 gram chleba. Dzisiaj wieczorem otrzymaliśmy chleb, sok, i kawę. Dzisiaj rano dała mi pani Wendt jeden chleb, także każdy tutaj daje co tylko może. W naszym pokoju leżymy w 20 osób, rodzina Otto i Erich Pyritz, rodzina Huberta Haß, rodzina Fritza Zessin, obok również Barskes, Wendts, Garzlaßs, Ernst Hoffmeister, Julis Trabant i inni.

Pieniądze jeszcze mamy, 300 marek, więc kochany Karl, nie musisz nam ich na razie wysłać. Dzisiaj był barwny wieczór z tańcami do godziny 12 w nocy. Anita także chce wam coś napisać.

⁵⁹ miasta w Brandenburgii

Teraz przyjmijcie serdeczne pozdrowienia, szczególnie dla babci, serdeczne pocałunki i pozdrowienia, do naszego zobaczenia, wasza mama.

Mój kochany tato, moja kochana Eriko!

W końcu się urządziliśmy! Jesteśmy w Niemczech! W Forst/ Lausitz przejechaliśmy granicę. Tego uczucia nie potrafię opisać, kiedy człowiek przejeżdża przez granicę i wszystko jest niemieckie, co tylko człowiek widzi dookoła. Do tej pory człowiek nie może się w tym odnaleźć. Teraz musimy jeszcze przetrwać czas kwarantanny i później ruszymy w drogę już tylko do was!

Co ty powiesz na to Eriko teraz? My nadchodzimy! Wszystko tutaj zatrzymaliśmy, nic nam nie zabrano. Moją marynarkę też tutaj mam, tą, którą ostatnio sobie uszyłam. Jedynie butów nie mam, tutaj dojechałam w butach, w których chodziłam do pracy, które są na mnie za duże. Niedługo je wyrzucę, rozmiar tych butów to 43 a ja mam przecież 38. One są dobre na Wilhelma, ale on mówi, że go uwierają. Tutaj można było się zameldować, że chce się iść do pracy, myślałam, że będę mogła może pracować na pocztę, ale pracuję w kuchni, też nie jest źle! Musimy we dwójkę dla 1000 ludzi gotować zupę. Później musimy przygotowywać i rozdawać zimne zaopatrzenie. Kucharz powiedział nam, że możemy jeść do syta, co tylko nam smakuje, tylko nic nie możemy wynosić stąd do domu.

Ja już nie wiem, o czym mam jeszcze pisać, ustnie lepiej będzie to wszystko opowiedzieć.

Teraz przesyłam serdeczne pozdrowienia, wasza Anita.

Telegram:

Do Karla Adama, Leubingen przy Sömmerda / Thüringen

24. 7 Kwarantanna zakończona - wymagane jest pozwolenie na wyjazd.

Erna Adam, zakwaterowana w Domnitzsch Kr. Torgau, blok I

Taty nie poznaliśmy

Nadchodził 24 lipca i kucharz wiedząc, że wyjeżdżamy zaproponował, abym tu została. Mówił o tym, że tutaj nie będziemy nigdy głodni. Ale moja rodzina chciała przede wszystkim znowu być razem. Mój tata przybył po nas, stanął blisko ogrodzenia a ja nie mogłam go rozpoznać. Widać było, że jest chory. Wcześniej chorował na serce i został uwolniony z Syberii. Dodatkowo jeszcze był opuchnięty na twarzy.

Przed wyjazdem szybko wykonaliśmy ostatnie formalności i zostaliśmy odprawieni.

Mogliśmy teraz złączyć się z wszystkimi biedakami i puścić nasze łzy szczęścia by swobodnie spływały.

Kiedy przywołuję sobie ten widok, zawsze na myśl przychodzą mi słowa z pieśni Dietricha Bonhoeffera⁶⁰:

*„Zostaw ciepłe i ciche świece dzisiaj niech płoną,
Których ty używasz w naszej ciemności, one,
Kiedy to będzie możliwe połączą nas znowu,
My to wiemy, twoje światło świeci w nocy.”*

⁶⁰ Dietrich Bonhoeffer ur. 4 lutego 1906 we Wrocławiu, zm. 9 kwietnia 1945 w obozie koncentracyjnym Flossenbürg w Bawarii, niemiecki pastor, teolog i antyfaszysta.

Horst Erdmann⁶¹

Wspomnienia z 1945 roku

I. Koniec wojny – przybycie Rosjan



Autor z siostrami

Jest początek marca 1945 roku. Życie na wsi staje się dziwnie spokojne, gdyż zabrakło codziennych przyjazdów uciekinierów. Za to przed obiadem ulicą maszerowało w kierunku Wiekowa 15-20 żołnierzy uzbrojonych w pancerfausty. Czyżby zamierzali bronić wioski ? Wieczorem wrócili i zakwaterowali się w szkole, gdzie już umieszczono obcych robotników i jeńców wojennych z pobliskich gospodarstw. Oddziałem żołnierzy dowodził starszy sierżant, który zakwaterował się u mojej matki. Dużo pijąc gadał o zwycięstwie nad Rosjanami. Tymczasem w gospodarstwach szykowano się do ucieczki przed zbliżającym się frontem. Czekano już tylko na rozkaz wyjazdu. Nagle w nocy żołnierze opuścili szkołę, zwolniono więźniów i robotników. Matka, moje dwie siostry Urszula i Marianna i ja udaliśmy się do gospodarstwa Schwerdtfegera znajdującego się pod lasem.

Ponieważ nie mieliśmy furmanki kierownik grupy partyjnej przydzielił nas do tego gospodarza.

Rozkazu opuszczenia wsi nie było i po nieprzespanej nocy poszedłem z matką do naszego mieszkania w szkole po niektóre rzeczy. Wracając zobaczyliśmy w odległości około 200 metrów dwie postacie w polu, które dawały nam znaki ręką, abyśmy uciekali. Kiedy wróciliśmy do domu Schwerdtfegera, gospodarz powiedział nam, że zjawili się Rosjanie, ale szukali tylko niemieckich żołnierzy i broni. Natychmiast wyrzuciłem pistolet ojca, belgijski browning kaliber 7,65 i 12 sztuk amunicji do pobliskiego strumyka. Mimo późniejszych poszukiwań

⁶¹ **Horst Erdmann** urodził się w 1930 roku w Kemnitz w Brandenburgii. W latach 1932 – 1939 ojciec autora był nauczycielem w Królewicach nad jeziorem Wicko w powiecie sławieńskim (dziś wieś już nie istnieje). Po wojnie studiował rolnictwo. Był oficerem armii NRD (1952-1977). Mieszka w Fürstenwalde

nigdy go już nie znalazłem. Po kilku godzinach zjawili się trzej uzbrojeni Rosjanie w kombinezonach. Towarzyszył im znany nam Ukrainiec z gospodarstwa obok. Ukrainiec wiedział, że Schwerdtfeger miał najpiękniejsze konie we wsi i okazały powóz. Kiedy dwaj Rosjanie, Ukrainiec i Schwerdtfeger poszli po konie najmłodszy żołnierz pilnował moją matkę, babcię, dwie moje siostry, panią Schwerdtfeger z trzema córkami w wieku 18-23 lata i jej syna Helmuta. Żołnierz zażądał: „uhri, uhri”. Kobiety oddały zegarki i obrączki. Potem najmłodsza córka Schwerdtfegera musiała z nim pójść do sypialni. A co się tam działo można się domyślić.

Tymczasem w stajni Rosjanie kazali zaprzęgnąć konie w najlepszą uprzęż wyjazdową, wsiedli do powozu i odjechali razem z tym trzecim, który zwolnił brankę. Matka i babcia nie były w stanie jej uspokoić. Tak skończyło się nasze pierwsze spotkanie z Rosjanami.

Jeszcze mieszkając u Schwerdtfegera, my młodzi chłopcy, organizowaliśmy warty. Gdy tylko zauważyliśmy Rosjan, dawaliśmy znać dziewczynom, które szybko uciekały do pobliskiego lasu lub chroniły się w gęstych krzakach.

Pewnego dnia na łące obok domu wylądował dwupłatowiec. Rosyjscy lotnicy bawili się i dużo pili w domu sąsiada Schünemanna, a rano bez przeszkód wystartowali, czym byliśmy bardzo zdumieni.

Większa grupa żołnierzy zakwaterowała się na dłużej u sąsiada. Tam całymi nocami organizowali orgie gwałcąc dziewczyny ze wsi, także córki Schwerdtfegera. Szukając kobiet przekuwali widłami stogi siana. Na szczęście my siedzieliśmy bardzo głęboko.

Po około 10 dniach żołnierze sowieccy kazali nam opuścić wieś i udać się do Witosławia oddalonego o około 30 kilometrów. Mieszkańcy ulokowali nas jak mogli, na przykład moja matka, babcia i dwie siostry spały na słomie na podłodze w domku parobka. Rosjanie wyludnili 30 kilometrowy pas nadmorski, gdyż obawiali się ataku z morza i przygotowywali się do szturm Kołobrzegu.

W Witosławiu dorośli pracowali w oborach otrzymując w zamian mleko, mąkę i mięso. Nareszcie było dosyć jedzenia. Moja matka została zabrana do pracy na torach w Pile. Po kilku dniach wróciła do nas. My, młodzi chłopcy bawiliśmy się w stodole, gdzie stał samolot dziedzica. Lubiliśmy też hasać z psem po lesie i łapać sarny. Niestety sarny były od nas szybsze.

Po zdobyciu Kołobrzegu mogliśmy wrócić do swojej wsi, która wyglądało okropnie. Domy zostały przeszukane, sprzęty zniszczone lub zrabowane. Uporządkowanie mieszkań zajęło nam kilka dni. Zostały jednak krowy. Rosyjska komendantura mieściła się w szkole, ale komendantka mieszkała w mleczarni. Arnold Wietzel został sołtysem, gdyż znał język rosyjski z okresu I wojny światowej, kiedy był w rosyjskiej niewoli. Jako jedyny we wsi mógł zatrzymać rower. Do jego obowiązków należało organizowanie pracy dla Niemców, przeważnie na polach lub w stajniach, oborach, chlewach. Aby ułatwić pracę niektórym ludziom ryzykował wysyłkę na Sybir. My, chłopcy musieliśmy paść bydło a także wykonywać różne inne prace. Otrzymywaliśmy za to różne deputaty – mięso i mąkę – i od czasu do czasu pieniądze – polskie złotówki. Ponieważ

wszystkiego było mało nocami „organizowaliśmy” co się dało, niekiedy otrzymując cynk od sołtysa. Z Polakami, którzy już zamieszkiwali w okolicznych wsiach zaczęliśmy handel wymienny. Sprzedawaliśmy na przykład sprzęt gospodarstwa domowego i inne rzeczy, a za otrzymane złotówki dokonywaliśmy zakupów w sklepach w Darłowie.

W naszej wsi, dzięki rosyjskim żołnierzom stacjonującym w szkole, było dość spokojnie. Chronili ludność przed polskimi szabrownikami. Stosunki między Rosjanami i Polakami były nie najlepsze. O niektórych sytuacjach chciałbym opowiedzieć.

Rosyjski komendant, kapitan lotnictwa chory po wypadku, był potężnej tuszy. Był tak gruby, że bez pomocy nie mógł wstać czy wsiąść do powozu. Rosjanie z nieufnością spoglądali na przybywających Polaków. Pewnego dnia przyjechał Polak z Dobiesławia do znajomego w naszej wsi, aby odebrać naprawione radio. Rosyjscy wartownicy zatrzymali go i zabrali do szkoły. Tu po przesłuchaniu – skąd radio? – zamknęli go w piwnicy pod naszym mieszkaniem. Matka opowiadała o krzykach skatowanego Polaka. Rosjanie myśleli, że ukradł radio Niemcom. Zeznania innego Polaka też nie pomogły. Po kilku godzinach więzienia zwolniono. Jednak do domu już nie doszedł. Koło cmentarza stracił przytomność i zmarł z powodu otrzymanych ran.

Inny przykład. Nocny napad Polaków na wybudowania pod lasem za wsią. Córka gospodarza (Ruth Garbe) zaalarmowała rosyjskich wartowników. Jeden z nich, Wołodia, nie zareagował. Nie lubił Niemców, gdyż jako robotnik przymusowy był źle traktowany. Natomiast 19-letni żołnierz, Sybirak, nie rozumiejący języka niemieckiego, wziął karabin i poszedł z płaczącą dziewczyną. Na podwórzu gospodarstwa rodziców wyszedł zza rogu Polak i chciał do nich strzelić. Rosjanin był szybszy i trafił Polaka w głowę. Zgon nastąpił natychmiast. Inni rabusie uciekli.

Z grupą mężczyzn zawiozłem zboże do Sławna. Kiedy wracaliśmy usłyszeliśmy o nocnym napadzie. Przed domem zobaczyliśmy polską milicję i rosyjskich żołnierzy z komendantem. Milicjanci chcieli wmówić Rosjanom, że Niemiec zabił Polaka siekierą ponieważ wskazuje na to mocno roztrzaskana głowa. Chcieli zabrać jako winnego gospodarza Garbe, mimo że Rosjanin przysięgał, że to on strzelał. Rosjanie nie pozwolili jednak go zabrać. Jeszcze przez kilka nocy milicjanci próbowali zabrać Niemca, ale Rosjanie czuwali. W końcu komendant rosyjski zarządził opuszczenie domów pod lasem. Mieszkańcy przenieśli się do wsi. Dopiero tu Polacy dali spokój.

Podczas pasania krów robiliśmy przeróżne głupstwa, o których dorośli nie powinni wiedzieć. Wielu chłopców miało broń z terenu Wału Pomorskiego. Ja też miałem rosyjski karabin, który znalazłem w okopach koło Boryszewa w pobliżu Grabowej. Razem z Hansem Hermannem Papenfussem ukryliśmy karabin we wsi. Został skradziony. Dopiero w 2000 roku dowiedziałem się, kto był sprawcą kradzieży. Próbowaliśmy polować na sarny, ale nigdy nam się nie udało, bo zwierzęta były szybsze od nas.

Pewnego wieczoru poszedłem z Helmutem Wetzelem i Martinem Krügerem nad strumyk. Karabin miałem pod kombinezonem (wszyscy takie nosili). Przez otwór z boku można było przytrzymywać bron. Nagle na szosie stanęliśmy oko w oko z dwoma rosyjskimi żołnierzami. Było ciemno. Strach był wielki. Słyszałem bicie własnego serca. Na pytanie Rosjan skąd idziemy, odpowiedzieliśmy, że od Lemkego. I naturalnie słyszeliśmy strzelaninę w lesie. Między żołnierzami, a nami, chłopcami panowały przyjazne stosunki. Oni byli niewiele starsi od nas. Mogliśmy iść do domu, bardzo uradowani, że nic nam się nie stało.

Podczas pasania krów próbowaliśmy w rozgałęzieniach Grabowej łowić szczupaki za pomocą drutu. Później znalezionymi granatami. Bardzo cieszyliśmy się z wypływających ryb. Dobrze, że nie przyłapali nas na tym Rosjanie.

Innym zdarzeniem było zabicie byka w gospodarstwie Ernsta Scheela. W oborach stało dużo krów i bardzo silny byk, który pewnego dnia urwał się z łańcucha i wybiegł na podwórze. Chłopcu z Prus Wschodnich nie udało się zaprowadzić zwierzęcia do obory. Byk ugodził go szpiczastym rogiem w bok. Uratowała go gruba tabakiera, która nosił w kieszeni. Byk został zastrzelony przez żołnierza.

Nowym komendantem został młody, przystojny Gruzin Misza Sakun. Lubił polować na zwierzynę i dziewczynki. Czasem przychodził na pole, wybierał grupę chłopców, dawał karabiny i kazał iść do lasu. Chłopców bez broni zatrudniał jako naganiaczy. Bardzo często uciekaliśmy kiedy go dostrzegliśmy. Nie był z tego zadowolony. Nigdy nie ponieśliśmy za to konsekwencji, aż do dnia kiedy wysłał nas z transportem bydła. Ale to inna historia.

Pewnego dnia podczas żniw, kosami kosiliśmy zboże i wiązaliśmy ręcznie snoopy. Komendant wybiegł z lasu głośno krzycząc. Bieliznę miał zakrwawioną, a karabin połamany. Jego czarny pies biegł u boku swego pana. Co się stało? Misza zranił strzałem lochę, która go zaatakowała. Broniąc się połamał karabin. Na szczęście pies zagryzł lochę i tak uratował swego pana przed najgorszym. Potem Misza często chwalił się swym wyczynem.

Kiedyś komendant wracając bryczką z miasta powiatowego zobaczył przy drodze warchlaki. Wyskoczył z pojazdu, złapał małego warchlaka i wrzucił do bryczki. Wtedy z lasu wyszła locha. Woźnica batem pogonił konie i locha nie wytrzymała tempa. Tak warchlak dostał się do wsi. Misza ulokował go w chlewie i kazał dobrze karmić i doglądać. Kiedy stał się duży, tłusty i silny kazano go ubić, gdyż zdemolował chlew.

Jesienią 1946 roku we wsi obchodzono dożynki. Na rozkaz komendanta przygotowaniem uroczystości zajął się sołtys. Było dużo mięsa, pieczywa i ciasta, nawet wódka. Bawiono się na podwórzu folwarku i po długim czasie mogliśmy się najeść do syta. Folwark był kiedyś własnością Hermanna Scheela, kierownika grupy NSDAP i kierownika urzędu, a teraz siedzibą komendantury pod rządami Miszki Sakuna.

Biuro byłego kierownika było teraz zajęte przez komendanta. Duży pokój dla czeladzi spełniał rolę sali obrad, w którym o 5.00 rano odbywały się codzienne

spotkania Niemców, na których przydzielano im pracę. W chlewach, stajniach i oborach były stałe dyżury.

Zimą dziewczyny ze wsi musiały kolejno nocować w folwarku i palić w piecu. Spotkania robotników musiały odbywać się w cieple, gdyż nieraz musieli długo czekać. Może i była prawda w plotce, że Sakun kolejno wciągał dziewczyny do łóżka.

Niektóre kobiety, które wtedy były młodymi dziewczynami mogłyby na pewno opowiedzieć różne nieprzyjemne historie. Ja osobiście zawsze towarzyszyłem mojej dziewczynie, kiedy miała dyżur, aby ją chronić przez czynami komendanta. Nigdy nie przyszedł podczas mojej obecności.

To jest moja pierwsza próba mówienia o czasach trudnych, dotyczących powiatu sławieńskiego po roku 1945.

II. Rosyjski wartownik Borys Karamanow

Jesienią 1945 roku przyjechał wraz z wartownikami rosyjski żołnierz Boris Karamanow pochodzący z Krymu. Opowiedział on historię swego życia, mówił zwłaszcza o wojnie. Dla mnie, niemieckiego chłopca wychowanego w duchu faszyzmu była ona niezwykle interesująca. A ponieważ mówił płynnie po niemiecku nie miałem kłopotów ze zrozumieniem.

Kiedy miał 15 lat wojna dotarła na Krym. Jego ojciec pracował w kołchozie. Posiadał dodatkowo dwie krowy. Jedną zabrali mu rumuńscy żołnierze płacąc mu okupacyjnymi pieniędzmi. Po kilku dniach pojawili się niemieccy okupanci i zabrali mu drugą krowę. Borys zażądał zapłaty, ale Niemcy dali mu tylko zaświadczenie dla komendantury w Feodassii i paczkę papierosów. W urzędzie tylko grożono mu karabinem i wyśmiewano kiedy pokazał kwitek. Rozmowa z komendantem też nic nie dała. Wrócił do domu z wielkim żalem. Ja mu mówiłem: nie wiadomo co pisało na kwicie, może coś idiotycznego. A on na to: ależ tam była pieczętka. Żyjąc już przez cztery lata pod Niemcami nie mógł zrozumieć, że w Niemczech istniała cała masa pieczętek dla różnych celów. Dopiero później się dowiedziałem, że u Rosjan pieczętka jest święta i symbolizuje urząd lub państwo.

Później Borys został wysłany do pracy przymusowej w gospodarstwie rolnym w Prusach Wschodnich. Gospodarz był na wojnie i Rosjanin razem z gospodynią prowadził gospodarstwo. Kiedy zbliżał się front, wieś ewakuowała się do Szlezewiku – Holsztynu. Tu został uwięziony przez Anglików i następnie przekazany Rosjanom. Sowieci dali mu mundur i został wartownikiem. O swojej rodzinie nie miał informacji.

Przez chłopców w mojej wsi był lubiany i pomagał w każdej sytuacji. Jego dobry stosunek do nas zmienił się dopiero wtedy, gdy milicja polska dowiedziała się o broni, którą prawdopodobnie przechowywali niektórzy niemieccy młodzi ludzie. Aresztowano nas po kolei. Po znalezieniu kilku sztuk broni milicjanci dali nam spokój.

Nigdy nie zapomniałem Borysa. Chciałem się z nim spotkać w Związku Radzieckim, gdybym miał okazję tam pojechać. Niestety, nie wyszło.

III. Transport bydła

Lato 1946 roku. W stodole młócimy zboże, nagle przestój, bo nie było prądu. Do tej przerwy sami się przyczyniliśmy. Komendant Sakun przerwał naszą zabawę krzycząc: „Szumski (to ja), Igel i Hilda! Dawaj pracować, bo jutro do Rosji”.

My, chłopcy, odważnie mówiliśmy, że tam już dawno chcieliśmy pojechać. Dziewczyny płakały. Komendant powiedział, że jutro mamy pędzić bydło do Sławna i dalej do Rosji. Odwaga nas opuściła, kolana nam drżały.

Następnego dnia dołączyliśmy z naszym stadem do kilku innych, które szły przez naszą wioskę. Było nas czterech chłopców i cztery dziewczęta. Jako prowiant otrzymaliśmy po woreczku kaszy.

W Sławnie już czekały wagony. Do jednego ładowano 8 krów lub 50 owiec i do tego jedna osoba obsługi. Po 4-5 dniach pociąg nareszcie ruszył eskortowany przez kilku rosyjskich żołnierzy. Do naszych zadań należało karmienie zwierząt (tylko sianem), czyszczenie wagonów z nawozu i pojenie wodą z pomp dla lokomotyw. Krowy nie były dojone, co miało straszne skutki. Ale o tym później. Czekać na odjazd trzeba było jeść. Inni opiekunowie otrzymali od swoich komendantów chleb, słoninę, cukier, sól i cebulę, my tylko kaszę, którą gotowaliśmy na mleku w wiadrze. Od rodziców mieliśmy kilka złotych, więc kupiliśmy trochę żywności w przydworcowym kiosku. Udało nam się wydoić kilka krów i mleko po kryjomu sprzedaliśmy na dworcu. Za uzyskane pieniądze kupiliśmy chleb, bułki i wątrobiankę, która była bardzo wydajna. Tak skromnie żyliśmy dziesięć dni. Tylko mleka mieliśmy pod dostatkiem, i to za darmo.

Gdy Rosjanie dobrali się do wagonu dziewcząt czuwaliśmy w nocy. W końcu żołnierzom odeszła chętka.

Po kilku dniach pociąg ruszył. Ku naszemu zdumieniu w kierunku Szczecina, więc na zachód. Po dwóch dniach wleczenia się dotarł do Stargardu. Tu Polacy rozłączyli wagony odstawiając je na boczne tory. Spotkaliśmy tu maszynistę z Niemiec, który prowadził transport reparacyjny do Rosji. Opowiadał nam o sowieckiej strefie okupacyjnej, o tworzeniu się Socjalistycznej Zjednoczonej Partii (SED). Były to pierwsze wiadomości z Niemiec po dwóch latach.

Po dwóch dniach pociąg ruszył dalej do Poznania. Mieliśmy kłopoty z nawozem, więc umyśliliśmy taką rzecz. Kładliśmy kupy gnoju koło drzwi i kiedy pociąg zwalniał na jakiejś stacji wyrzucaliśmy go wzdłuż peronu. Ten głupi kawał sprawiał nam wtedy wielką radość, gdy widzieliśmy grożących nam czekających na peronie podróżnych.

Do Poznania przybyliśmy wieczorem. Nigdy nie zapomnę morza światła, najlepszy obraz mojego życia. Przed wojną nigdy nie byłem w dużym mieście, a w czasie wojny panowało zaciemnienie. Ten oświetlony widok Poznania do dziś stoi mi przed oczami.

W Poznaniu Rosjanie stwierdzili, że brak wagonu z owcami, zginął w Stargardzie. Odtąd pilnowali pociągu podczas każdego postoju. Rano ruszyliśmy dalej, do Wrocławia, dokąd przybyliśmy wieczorem. W nocy była straszna, ale krótka strzelanina. Rosjanie strzelali do Polaków, którzy chcieli ukraść bydło. Nikt nie

został ranny. W końcu dotarliśmy do Świdnicy. Bydło zostało rozładowane. Nareszcie mieliśmy pewność, że nie jedziemy do Rosji.

Byliśmy głodni. Dosłownie rzuciliśmy się na pomidory, które nam przyniesiono. Skutek – straszne rozwolnienie. Po rozładowaniu wagonów pędziliśmy bydło kilka kilometrów do majątku „Rauske” zarządzanego przez Rosjan. Po drodze spotkaliśmy dużą grupę żebrzących Romów, szczególnie dużo kobiet i dzieci. Rosjanie ich przegnali.

W majątku pracujący Niemcy mieli do nas pretensje o to, że nie doiliśmy krów. Ich wymiona były zaropiałe i trzeba było je leczyć.

Robotnicy niemieccy dali nam jeść, przenocowali nas i rano pod opieką rosyjskich żołnierzy pojechaliśmy pociągiem osobowym najpierw do Świdnicy, a potem do domu. Po drodze polscy podróżni nas prowokowali. Ale Rosjanie pilnowali nas i nie dopuszczali do spięć. Po około dwunastu dniach wróciliśmy szczęśliwie do domu.

IV. Paweł Plombon – polski chłop

Jest już koniec 1946 roku. Nasza wieś Jeżyczki była pod zarządem wojsk rosyjskich. Jednak fama głosiła, że od 1 stycznia 1947 roku Rosjanie mają przekazać Polakom majątek, gdyż rosyjska jednostka ma zostać przeniesiona.

Mówiono nam, że Polacy nie będą płacić za pracę. Dlatego niektórzy chłopcy na własną rękę szukali pracy u polskich gospodarzy licząc na lepsze traktowanie. I rzeczywiście, w grudniu udało się czterem chłopcom i jednej dziewczynie znaleźć pracę w Dobiesławiu. Dziewczyna, Ruth Garbe, pracowała jako służąca u polskiego sklepikarza i oberżysty.

Ja i jeszcze jeden 15-latek pracowaliśmy u gospodarza Pawła Plombona. Plombon miał dwa konie, 4 czy 5 krów i kilka świń. Gospodarz liczył około 35 lat, miał ładną żonę i dwie córki, trzyletnią i siedmioletnią.

Kim był Paweł Plombon? Pochodził z rodziny francuskich hugenotów, którzy za czasów Fryderyka II poprzez Prusy przywędrowali do Polski. W 1939 roku Plombon dostał się do niewoli niemieckiej, z której zbiegł do Związku Radzieckiego. On mówił dobrze po niemiecku, żona i dzieci nie.

Opowiadał nam o przeżyciach wojennych. Także o tym, że polscy żołnierze w 1939 roku naprawdę wierzyli propagandzie, że niemieckie czołgi są tylko atrapami z tektury. I o tym, jak polska kawaleria atakowała czołgi szablami. Zaskoczenie było wielkie. Tym samym potwierdził niemiecki meldunek, w który nie wierzyłem. W 1945 roku przeszedł z polskim wojskiem aż do Torgau. W ostatnich dniach wojny został ranny, potem zwolniony z wojska w randze porucznika. Osiadł w Dobiesławiu, był członkiem partii komunistycznej w Sławnie. Mimo tego jako katolik w niedziele grywał na organach w kościele.

W stosunku do nas Niemców był dobry, płacił nam 300 zł miesięcznie, za co można było jedynie kupić butelkę wódki. Posiłki były dobre, jedliśmy je razem z gospodarzem przy jednym stole (niemieckim chłopom podczas wojny było zabronione siadanie do stołu z Polakami). Zachowanie żony było także poprawne, tylko dzieci czasami kpiły z nas. Kiedy dowiedział się o tym ojciec, skarcił je.

Moja matka za radą Pawła Plombona przyniosła nasze rzeczy do jego mieszkania. I to dobrze, gdyż plądrowaniu nie było końca. My, młodzi, też plądrowaliśmy opuszczone domy. W nocy przewoziliśmy bezpańskie rzeczy, do domu, aby je potem upłynnić Polakom. Rosjan nie baliśmy się, znaliśmy wartowników i czas patrolowania. Mam nadzieję, że te drobne kradzieże zostały nam przebaczone. Niemieccy gospodarze dawno już opuścili swoje domy, wyjechali do Niemiec.

Za uzyskane pieniądze kupowaliśmy papierosy i wódkę. Wieczorem spotykaliśmy się u Ruth Garbe. Tam graliśmy w karty, piliśmy i paliliśmy. Pomagałem też mojej matce. Nikt nam krzywdy nie robił. Tylko raz milicja rozgoniła naszą bibkę, w dniu wyborów w Polsce. Paweł Plombon tylko się uśmiechał. On wiedział o zakazie picia alkoholu w dniu wyborów.

Pewnego dnia zjawił się we wsi młody mężczyzna, około 25-letni, berlińczyk o polskim nazwisku Kazmirek. Był synem polskich żeńców, którzy w latach 20-tych wyjechali do Niemiec za pracę i tam zostali. On sam dostał się do wojska, w czasie wojny został podoficerem. W angielskiej niewoli mówił o wujku w Polsce, który mieszka w Wiekowicach. Został zwolniony z obozu i przyjechał do nas. Kiedy w kwietniu 1947 roku matka przygotowywała nasz wyjazd do Niemiec, wpisała Kazmirka na naszą listę. Otrzymał na szczęście dokument przesiedlenia i mógł z nami się ewakuować. Ja jeszcze posiadam mój dokument przesiedleńca.

W lipcu 1947 roku w końcu mogliśmy wyjechać. Paweł Plombon zawiózł nas do Sławna razem z naszymi walizami i Kazmirkiem. W Sławnie był punkt zbiorczy w starym młynie i tam zatrzymano nas 8 dni. Byliśmy kontrolowani przez polskich wartowników, którzy często okradali czekających Niemców. My mieliśmy szczęście ponieważ Kazmirek rozumiał, co Polacy mówili i zdążyliśmy ukryć nasze rzeczy. Po 3 dniach Plombon przywiózł nam resztę rzeczy i dużo jedzenia, które wystarczyło nawet do przyjazdu do Niemiec. Wreszcie załadowano wszystkich do towarowych wagonów. Po kilku dniach pociąg zajeżdżał do Zgorzelca i dalej do Meiningen. Po 13 dniach kwarantanny przydzielono nas do okręgu Turynгии. Dostaliśmy się do powiatu Gotha. Umieszczeni zostaliśmy u gospodarza Alfreda Heyna. Nie było nam tam źle. Do dziś mamy dobry kontakt z jego dziećmi.

Kiedy w wiele lat później byłem w Dobiesławiu, nie zastałem już Pawła Plombona. Podobno wyprowadził się w latach 60-tych do Wrocławia, jak poinformował mnie leśniczy Pudzik z Sieciemina.

Błażej Gibaszek⁶²

Moje lata czterdzieste

Przyjechałem do Wszędzienia we wrześniu 1945 roku z rodzicami Stanisławą i Zygmuntem. Ojciec był wojskowym. Rodzice pochodzili spod Konina. Ojciec kończył szkołę podoficerską w Dubnie, walczył o Kołobrzeg. W 1939 roku trafił do Odessy, uciekł z transportu. Jego znajomi oficerowie trafili później do Katynia. Do roku 1947 był mundurowym. Jego jednostka stacjonowała w Wicku. Patrolowali rejon wokół Sławna: Wrześnica, Radosław, Wilkowice, Staniewice. Był świadkiem jak Rosjanie rozbierali tory kolejowe ze Sławna do Ustki i do Polanowa. Współpracował z jednostką ochrony kolei, która mieściła się w Sławnie przy ul. Chełmońskiego, a sztab był w Sławsku naprzeciw starej remizy strażackiej. Opowiadał, że polski żołnierz był wtedy do pilnowania, że w tych czasach najadł się więcej strachu niż w czasie walk frontowych. Mówił o koniach stojących w kościele w Pieszczu. Nie podobała mu się ta władza lat 40-tych. Mawiał „co to za władza, co po polsku nie gada”. Po odejściu z wojska pełnił funkcję, jak wielu innych jego kolegów wojskowych, tłumacza.

We Wszędzieniu były prawie same kobiety niemieckie z dziećmi i trzech starców.

W gospodarstwach był inwentarz żywy – krowy, konie, świnie, był sprzęt rolniczy, w domach były gamki, pierzyny. Domy były dobrze wyposażone. Gospodarstwa rolne obejmowali Rosjanie, których komendantura była w Królewie. Byli oni od pilnowania porządku. Jedna grupa zajmowała się inwentarzem żywym, a druga zasiewami. Plądrowali te gospodarstwa. Zabierali konie i krowy. Pędzili to przed siebie w kierunku stacji kolejowej. Z reguły pozostawiali nowym gospodarzom po jednej krowie i jednym koniu. No i jak można było gospodarować na dwóch hektarach jednym koniem. Przyjeżdżający tutaj ludzie z tzw. Centralnej Polski nie umieli posługiwać się tym sprzętem gospodarskim, tymi kosiarkami, żniwiarkami, siewnikami. Tę umiejętność posiadali ci, którzy przyjeżdżali tutaj z robót przymusowych u niemieckichbauerów. Bywało, że Polak miał poważne kłopoty z przewinięciem korka w liczniku. No bo skąd miał się na tym znać, skoro tam gdzie mieszkał nie było elektryczności ?

Jak zepsuł się siewnik, to brało się następny, no bo kto umiał go naprawić? Nadto nie było czym zapłacić, gdyby nawet znalazł się jakiś fachowiec w tej branży. Gospodarstwa plądrowali nie tylko Rosjanie. Zdarzało się, że Polak zakładał rosyjską czapkę i rekwirował co się tylko dało. Brat bratu wysyłał wyszabrowane tutaj sprzęty. Ci Polacy, którzy

⁶² **Błażej Gibaszek**, we wrześniu 1945 roku wraz z rodzicami przyjechał do Wszędzienia. Miał trójkę dzieci: Sylwestra, Aldonę i Edwarda. Gospodarstwo rolne prowadził w latach 1966-2006. Od 2006 na rencie. Mieszka wraz z żoną i synem Sylwestrem. W latach 1983-2007 był sołtysem. Wcześniej (1947-1954) sołtysem był jego ojciec, Zygmunt.

przyjechali tutaj w 1945 roku to osiedli na dobrych gospodarstwach, bo było to jeszcze przed falą szabrowników o różnych znakach. W latach późniejszych tzw. GOMy zabierały sprzęty gospodarskie przygotowując sprzęt pod potrzeby przyszłych spółdzielni produkcyjnych.

Z dziećmiakami niemieckimi bawiliśmy się jak gdyby nigdy nic. Gorzej było z dorosłymi. Czuli coś do siebie. W okolicach wałęsali się niemieccy żołnierze. Wiele razy zdarzało się, że niemiecka kobieta wychodziła niby do lasu na grzyby, a niosła ze sobą wyżywienie na kilka dni. Jeżeli Rosjanie złapali żołnierza Wehrmachtu, to mógł on razem ze swoją rodziną wyjechać na zachód. Inaczej było z tymi, co mieli na sobie mundury SS. Tych odwożono po złapaniu w nieznanym kierunku. Ówczesne władze walczyły z szabrownikami, ale nie zawsze skutecznie. Były to ziemie zdobyczne, jak mawiali Rosjanie i Polacy też im w tym wtórowali.

Do Wszędzienia przyjechało dużo poznaniaków i warszawiaków. W pierwszych latach była znakomicie wykonywana samopomoc sąsiedzka. Gospodarze sprzęgali się końmi w czasie prac polowych, żniwnych i siewnych. Spotykali się na różnych uroczystościach - weselach, chrzcinach. A alkohol brali z gorzelni w Królewie. Ta pomoc sąsiedzka była odrabiana przy innych pracach. Wójtowie tamtych czasów (Caban, Wójcik) namawiali ludzi do udzielania sobie wzajemnej pomocy. Chociaż i bez namowy taka pomoc wychodziła jakoś sama z siebie. Gdy zaczęli po wsi krążyć agitatorzy za założeniem spółdzielni produkcyjnej, to chłopci zaczęli wyprzedawać inwentarz żywy zostawiając sobie po jednej sztuce w oborze. A zdarzało się, że żrebaka to się kupowało gdy jeszcze był w łonie klaczy. W naszej wsi nie było takiej spółdzielni.

Przez pierwsze dwa lata mieszkaliśmy z rodziną niemiecką. Nie pamiętam, aby były jakieś między nami nieporozumienia czy kłótnie. W tych wspólnych polsko-niemieckich domach bywało różnie w sprawach korzystania z kuchni. Bywało, że dla wszystkich gotowała jedna Niemka. Ale bywało, że kobiety gotowały wedle ustalonej kolejności. Rodziny polskie z reguły zajmowały tę lepszą (większą) część budynku mieszkalnego, chociaż z tym też różnie bywało. Polak przychodził tutaj z gołymi rękami pozostawiając na swojej podpoznańskiej wsi piaszczyste ziemie. W gospodarstwie były ziemniaki, były świniaki. I to było podstawą wyżywienia w naszej wsi. To Polak decydował, kiedy i ile świniaków ubić, bo to było wtedy już jego. Polak mógł Niemca w każdej chwili wygonić z mieszkania. Wtedy szły transporty na zachód i kto z Niemców chciał, to zabierał się w podróż do Reichu. Polak miał obowiązek zawieźć rodzinę niemiecką na stację kolejową do Sławna. Brali oni z reguły rzeczy osobiste i wyjeżdżali z tobołkami. O tym co mogli ze sobą zabrać decydował nowy gospodarz. Zdarzało się, że Niemcy nie dowozili do stacji tego co zabrali ze sobą. Byli po drodze łupieni przez nieznaną ludzi. Rabunku dokonywano też na stacjach kolejowych lub na trasach przejazdu pociągu. Opowiadał o tym mój ojciec.

Do szkoły zacząłem chodzić w Naćmierzu. (we Wszędzieniu była szkoła, ale nie było dzieciaków w takiej ilości, aby ją uruchomić). Tam chodziły dzieciaki ze Wszędzienia, Bylicy i Naćmierza. Była to szkoła 4 klasowa. Pierwszym nauczycielem był Józefowski, a rok później przyszła Wartalska. Kto wtedy myślał o

dowożeniu dziecka do szkoły! W obie strony chodziło się na pieszo, latem nie zawsze w trzewikach. Zimą, jak drogi zawiało to nie było nauki. Nie było nauki też wtedy, jak nie było czym napalić w szkolnym piecu. Parafia była w Łącku (ksiądz Stefan Szpringe od 1946/7 roku).

We Wszędzieniu przed wojną były dwa duże gospodarstwa hodowlane koni dla potrzeb niemieckiej armii. Do 1946 roku była poczta, do roku 1950 był tartak. Część aparatury pocztowej wylądowała w Łącku i w Karsinie, a część przejął wtedy czynny tartak. Było bezpośrednie łącze telefoniczne ze Sławnem. Był tutaj posterunek milicji. Był sklep. Była restauracja z pełnym zapleczem kuchennym. Z opowiadań ojca wiem, jak przebiegały spotkania towarzyskie w tej restauracji. Były z jakiejś tam okazji, a nawet bez specjalnej okazji. Jeden przynosił upieczonego koguta bądź kaczkę, inny chleb z masłem lub kiszzone ogórki. Ktoś inny upiekł ciasto. Gospodarze spotykali się w sobotnie wieczory. A wesela i inne uroczystości wyglądały tak, że cała wieś szła na te imprezy. Nikt nie niósł jakiegoś specjalnego prezentu, ale niósł koguta, ciasto na stół, inne przekąski. Jak gospodarz miał świniaka czy cielaka do uboju, to sam przygotowywał stół biesiadny. Młodzież spotykała się w sobotnio-niedzielne wieczory w świetlicy, gdzie był stół bilardowy i patefon na korbkę. Tylko płyty były niemieckie. Dzieciaki nie korzystały z tych uciech. Musiały odsypiać w domu. Pobyt tam był przywilejem dorosłych i młodzieży. Nie powiem, pasalo się krówki, oj pasalo. Zdarzało się, że gospodarz sam nie dojadł, a nakarmił konia, bo był on wtedy jedyną siłą mogącą te pola zaorać. Ciągniki pojawiły się na naszych polach dopiero w latach 50 - tych. Ale te ciężkie maszyny nie miały szansy wjechać na tereny podmokłe i przez długi jeszcze czas koń był u nas najlepszą siłą pociągową.

spisał Sławoj Zawada

Mieczysław Krych⁶³

Zaraz po wojnie



Autor z żoną Stanisławą

ojca gospodarstwa rolnego. Dopiero w październiku 45 roku przyjechał ojciec z matką Heleną i rodzeństwem (Zdzisław, Piotr, Stanisław i Ignacy). Do Sławna przyjechali pociągiem, a ze Sławna do Postomina „dwójką”. Wyjechałem po nich konną furmanką, by pomóc w przewiezieniu tego dobytku, jaki mieli ze sobą. Niemcy, z którymi mieszkaliśmy byli „dosyć sobie”. Było to dwóch starszych dziadków i córka jednego z nich. Syn jednego z nich zginął czy zaginął na wojnie. To byli dobrzy Niemcy. Dołączył później do nas Niemiec ze Wschodu, który mówił po polsku. Przekazali nam wszystko to, co mieli zachowane. Ukrywali swoje mienie w różnych miejscach; na strychu lub zakopywali w ziemi. Na polu zakopali buraki. Wykonali to bardzo równiutko, że trudno było znaleźć. Chowali to przed Rosjanami, a nam przekazali te swoje dobra. To prawda, że Rosjanie zbierali na swoje potrzeby wszystko to, co udało się z pola zebrać. Mieli oni w miejscowym majątku ziemskim krowy, które trzeba było czymś karmić. Mieszkaliśmy w jednym domu z tymi Niemcami. Korzystaliśmy z jednej kuchni. Nie było z tym większych problemów. Każdy gotował po swojemu w określonych wcześniej porach doby. Byliśmy dla siebie grzeczni. Jak przyjechali rodzice z moim rodzeństwem, to Niemcy ustąpili nam swoje większe pokoje, bo nasza rodzina była liczniejsza. Pierwsze wykopki? Nie do wiary dzisiaj, ale było to ręczne kopanie ziemniaków tzw. graczką. Wykopki odbywały się siłą własnych mięśni. Buraków było znacznie mniej. W oborze stała jedna krowa, był jeden konik. Pierwsze żniwa? To było już w roku 1946 - kosy szły w użytek. Były też kosiarki garściówki. Mężczyźni szli do kosy, a kobiety podbierały i wiązały zboże w snopy. Był to przeważnie żyto i owies.

Miałem 18 lat jak przyjechałem po raz pierwszy do Postomina. A był to wrzesień 1945 roku. Ale wcześniej przyjechał mój ojciec Władysław, dokonał wyboru gospodarki i wrócił do rodzinnego Gąsiorowa. Po dwóch tygodniach zostałem wysłany przez rodzica, aby dopilnować tego wyboru, jakiego dokonał. Przez miesiąc byłem sam z Niemcami pilnując, by nikt inny nie zajął obranego przez

⁶³ **Mieczysław Krych** z żoną Stanisławą mieszkają w Postominie, w innym domu niż zajął w 1945 jego ojciec Władysław. Są emerytami

Dlaczego Postomino? Nie ma co ukrywać, że tam gdzie mieszkaliśmy, była bieda. Mieszkaliśmy na komornym u wiejskiego bogacza. Ojciec podjął decyzję poszukiwania czegoś dla nas na tych ziemiach odzyskanych. Tak te ziemie wtedy nazywano. Nie od razu trafił do Postomina. Obrał sobie gospodarstwo w Pieńkowie. Przybył tam drugi Polak. Zaczęły się kłótnie. Ojciec ustąpił upartemu, przyszedł do Postomina i tutaj pozostał. Pierwsze lata pracowałem w gospodarstwie, a później zacząłem pracować w cegielni w Pieńkówku. Po tej cegielni pozostały wspomnienia, pozostał betonowy fundament, komin i transformator.

U mojego ojca na schodach, prowadzących do domu, odbywały się spotkania Polaków. Siadali jeden przy drugim i rozprawiali. Chrzcziny czy wesela odbywały się w domach. Zapraszało się sąsiadów lub wszystkich Polaków. W Postominie był wtedy kościół ewangelicki. Tutaj nabożeństwa odprawiał pastor z Pieszcza. My w ich modłach nie uczestniczyliśmy. Już w 1946 roku zaczęły się odprawiać msze w naszym obrządku. Co drugą niedzielę przyjeżdżał ksiądz z Łącka.

Odprawiało się msze też w Marszewie i Pieńkowie. Z Rosjanami żyło się nawet łagodnie. Za bimber szło z nimi wszystko załatwić. Miejscowy majątek ziemski był w ich władaniu. To prawda, że szabrowali, ale Polacy nie byli od nich gorsi. Jadało się wszystko to, co dało się w gospodarstwie wytworzyć. Była krowa - było mleko, śmietana i masło. Były kury to były jajka i mięso. Pamiętam jak raz Niemcy zrobili dla mnie kolację. Nasmażyli jabłek na marmoladę (papkę) i do tego ziemniaki. Nie mogłem tego zjeść, odniosłem ten poczęstunek. Właśnie tutaj poznałem swoją przyszłą małżonkę Stanisławę, niedawno świętowaliśmy półwiecze pożycia małżeńskiego, chociaż pochodzimy z sąsiadujących ze sobą wsi w powiecie kolskim – miejscowości Gąsiorów i Trześniew.

Co dwa tygodnie były organizowane zabawy ludowe w świetlicy, raz w Pieńkowie, a raz w Postominie. Przygrywała orkiestra cztero, a nawet pięcioosobowa.

Wszyscy wtedy pomagali sobie w pracach polowych. Ziemniaki kopało się w grupach nawet 20-osobowych, które zajmowały od razu kawał pola. Opowiadało się kawały, śpiewało piosenki. Na polu było naprawdę, w czasie pracy, bardzo wesoło. Wtedy chodziło się na odrodek. Odrabiało się sąsiadowi ten czas, który on spędził na naszym polu lub przy naszych pracach.

Żyło się skromniej, ale było weselej, jakoś różniej. Majątku nie zrobiliśmy z małżonką, ale żyliśmy uczciwie, z pracy własnych rąk.

Mamy sześcioro dzieci. Basia pracuje w miejscowym Urzędzie Gminy, Wiesława, z zawodu piekarz, mieszka w Korlinie, Czesław, z zawodu górnik, mieszka w Siemianowicach Śląskich, Grzegorz jest cukiernikiem w Słupsku, a Gabriel i Sylwester, będąc jeszcze stanu wolnego, zamieszkują razem z nami.

spisał Sławoj Zawada

Wilfried Lemm⁶⁴

Pierwsza ucieczka i ostateczne wypędzenie

Mieszkaliśmy w Sławnie przy Koesliner Vorstadt 74 a⁶⁵ – rodzice Reinhold i Frieda Margarete z domu Pomplun oraz 7 dzieci: Helmar (urodzony w 1931 r.), Paul Horst (1932), Edeltrand (1935), Irmgard (1936), Wilfried (1937), Helga (1938), Rita (1940).

6 marca 1945 roku opuściliśmy dwoma wozami nasze gospodarstwo w Sławnie. Na pierwszym wozie siedziały mocno opatulone dzieci, a prowadzili rodzice. Na drugim wozie załadowany był prowiant dla ludzi i koni. Prowadzili go Helmar i Paul i według polecenia ojca mieli jechać za pierwszym wozem.

Po 30 kilometrach dogonili nas Rosjanie i zabrali dwa konie. Teraz pozostałe musiały ciągnąć dwa wozy. Pod koniec marca wracaliśmy do palącego się Sławna, ale zatrzymaliśmy się w Boleszewie u rodziny Pieper. Wróciliśmy dopiero w maju 1945 roku.

Nasze gospodarstwo zajęła rodzina Z. Proponowali ojcu pracę w gospodarstwie. Co było robić w tej sytuacji. Od maja 1945 roku do 15 czerwca 1946 roku żyliśmy pod polskim zarządem. Po jakimś spotkaniu u rodziny Z. 22 marca 1946 roku ojciec zmarł z powodu zatrucia samogonem. Polska milicja nie prowadziła dochodzenia. Dziadek Pomplun postarał się o skromną trumnę, a bracia Helmar i Paul na drugi dzień zawieźli ją na sławieński cmentarz. Sami pochowali ojca. Mama stała przed alternatywą: albo dalej pracować na swoim dawnym gospodarstwie i przyjąć obywatelstwo polskie wraz z siedmiorgiem dzieci, albo opuścić ukochane strony rodzinne i z dala za nimi tęsknić.

15 czerwca ubrani potrójnie grubo, dźwigając paczki czekaliśmy na dworcu na pociąg. Miałem mały woreczek z owczą wełną, który zgubiłem na jakimś dworcu szukając wody. Bałem się, ale matka ucieszyła się, że się odnalazłem.

1 lipca 1946 roku przybyliśmy do obozu w Harislee II. Zamieszkaliśmy w izbie o powierzchni 48 metrów kwadratowych z jeszcze 16 innymi osobami.

W czerwcu 1944 roku miałem pójść do szkoły w Sławnie, ale byłem za wątki. Za kilka miesięcy i tak nie było już lekcji. W szkole umieszczono uciekinierów z Prus Wschodnich. 2 lipca 1946 roku zacząłem naukę w szkole obozowej. Miałem już 8 lat i 10 miesięcy. Uczył 65-letni emerytowany nauczyciel. Do 1957 roku mieszkaliśmy w tym obozie. Dopiero wtedy dostaliśmy inne lokum w zakładzie rolniczym. To był raj dla dzieci, ale ciężka praca dla mamy. Musiała

⁶⁴ **Wilfried Lemm**, urodzony w Sławnie w 1937 roku. Wraz z rodzicami Reinholdem i Friedą Margarete z domu Pomplun i rodzeństwem mieszkał w Sławnie przy Koesliner Vorstadt 74 a. Obecnie mieszka w Harrislee.

⁶⁵ obecna ul. Jedności Narodowej

pracować u gospodarza, hakać buraki, młócić zboże, zbierać ziemniaki. Pamiętam te wykopki, ale przede wszystkim zapamiętałem zbieranie pokrzyw z nauczycielem Robertem Schönfeldem (także z Pomorza). Z pokrzyw gotowano szpinak w kuchni obozowej. Do dziś czuje wstręt do szpinaku.

Jeszcze kilka słów o sytuacji ludności. W Harrislee w 1946 roku znajdowały się trzy grupy: tutejsi mieszkańcy, mniejszość duńska i uciekinierzy. Procentowo były mniej więcej równe. Grupy nie lubiły się. Tutejsi obawiali się o swoje. Innych przezywali: „hołota z wszami”. Duńczycy natomiast obawiali się przewagi Niemców, dlatego kusili dzieci zaproszeniami na ferie. Zdarzało się, że dzieci wypędzonych chodziły do duńskiej szkoły. Gdy nauczyciel zapytał małą Ritę, czy jest katoliczką czy ewangeliczką, odpowiedziała: „Jesteśmy Niemcami i pozostaniemy”.

Dzisiaj, w 2006 roku, żyjemy w Harrislee normalnie i spokojnie obok siebie, na przygranicznym terenie nieniecko – duńskim. Jeszcze są małe różnice. W Danii Niemiec nie może nabyć parceli czy gruntu, Duńczyk w Niemczech może. Na wczasach w domku w Danii nie można wywiesić flagi niemieckiej, bo na pewno zjawi się duńska policja z informacją, że w Danii nie jest to dozwolone. Pozdrawia Was Pomorzanin z dalekiej północy.

Helga Matz⁶⁶

Moje przeżycia w latach 1944/45 w moim rodzinnym mieście Rügenwalde/Darłowo

Już od wiosny 1944 roku miasteczko zapełniło się uciekinierami z Prus Wschodnich, ponieważ Rosjanie już zajęli tamte tereny. Mieszkańcom było ciasno z powodu zajęcia mieszkań przez przybywających ludzi. Brakowało żywności. Wielu mieszkańców wyjechało z miasta statkami i pociągami przed zbliżającymi się wojskami rosyjskimi.

Ja wówczas miałam sześć lat, chodziłam do pierwszej klasy i z zapalem uczyłam się abecadła. Wojna czy kłopoty uciekinierów nie obchodziły dziecka, to były sprawy dorosłych.

Pewnego dnia wiosną 1945 roku z koleżanką odprowadzałyśmy brata Horsta do przedszkola. Leżał metrowy śnieg. Zaczęliśmy ślizgać się na zamrożonej Wieprzy. Nagle lód się załamał i wpadłam do wody. Wyciągnęła mnie koleżanka. Zziębnięta i mokra dotarłam do domu. I oczywiście zachorowałam, miałam 40⁰ gorączki. Lekarz zalecił łóżko. Po paru dniach kuzynka przybiegła z wiadomością: „Rosjanie się zbliżają”. Wojna dotarła do dziecięcego pokoju.

W pośpiechu spakowano trochę rzeczy. Moja rodzina szła polami, daleko od szosy, brnąc w śniegu. Matka niosła mnie na rękach przez długie kilometry. Do dziś nie wiem, skąd miała tyle siły i jak tego dokonała. Ojciec na początku wojny stracił nogę. Metrowy śnieg utrudniał mu poruszanie się. Kule zapadały się coraz głębiej. Nic, tylko wielka rozpacz.

W pobliżu Wicia zatrzymaliśmy się w leśnej chacie z jeszcze jedną rodziną. I tak nie mieliśmy żadnego celu. Stąd po kilka osób wyruszało na poszukiwanie żywności. Ja, chore dziecko, musiałam jeść dużo jaj. Ognia nie rozpalaliśmy w obawie przed Rosjanami. Podczas jednego z takich wypadów dowiedziano się, że Rügenwalde zostało co prawda zajęte przez Rosjan, ale nie jest zniszczone i można wracać.

Ta wiadomość zmobilizowała nas do powrotu do miasta. Wujek Karl przygotował białą flagę. Po drodze zatrzymali nas żołnierze rosyjscy. Dorosłym zabrali zegarki i biżuterię, oglądali kule ojca. Widzieli kalectwo. Mogliśmy iść dalej.

Dotarliśmy do miasta. W naszym domu zobaczyliśmy otwarte okna. Przypuszczając najgorsze weszliśmy do środka. Ale wszystko było w porządku, nawet

⁶⁶ **Helga Matz**, z domu Bahr, mieszkanka Darłowa / Rügenwalde. Po wojnie pracowała w majątku ziemskim w Jacinkach. Do RFN wyjechała dopiero w 1958 roku. Mieszka w Homburgu.

zupa, którą mama gotowała przed ucieczką, stała na stole. Nadawała się jeszcze do jedzenia. Mróz był duży. Zaczęły się codzienne wypady po żywność.

Po kilku dniach ojciec, który był rzeźnikiem został przyjęty do pracy w rzeźni „Janke”, która była zarządzana przez Rosjan. Razem z innymi mężczyznami dokonywali uboju i przetwórstwa mięsnego. Krowy i świnie pochodziły z pobliskich gospodarstw. Mięso i wyroby wywożono do Rosji. Niedługo jednak zabrakło bydła.

Rosyjski rzecznik Peter pozwolił ojcu zabierać resztki. Starczało i dla znajomych. Było to jednak niebezpieczne. Peter wielokrotnie mówił do ojca: „Herbert, jeśli to się wyda, to wyślą nas na Sybir”. Ale udawało się. Peter był dobrym przyjacielem Niemców, ale mężczyźni musieli co wieczór uczestniczyć w jego libacjach alkoholowych. Jeśli nie chcieli to bardzo się denerwował.

Dzieci miały labę, nie było lekcji, przedszkole zamknięto. Całymi dniami szperaliśmy po opuszczonych sklepach i domach. Raz udało nam się złapać bezpańską kozę, za którą goniliśmy po domach i ogrodach.

W maju 1945 roku skończył się ten wolny czas. Ojciec otrzymał rozkaz prętransportowania nas statkiem do Świnoujścia. Po skończonej pracy w rzeźni, to znaczy po przygotowaniu ostatniej wysyłki towarów do Rosji, miał do nas do-trzeć.

W Świnoujściu ulokowano nas w odległej pustej szkole. Baliśmy się bardzo. Dokuczały nam tysiące komarów. Ojciec jednak nie dojechał do nas. Politycy inaczej rozstrzygnęli sprawę. Wschodnie Pomorze przyznano Polsce.

Pewnego dnia załadowano nas na ciężarowy samochód i zawieziono z powrotem do ojca do Darłowa.

Zaczęło się wysiedlanie Niemców. My czekaliśmy, ponieważ ojciec był inwalidą bez nogi, a matka w ciąży. W końcu i nas wysiedlono. Najpierw do obozu w Sławnie. Tu panował głód. Po jakimś czasie zawieziono nas do Jacinek do pracy na roli w majątku ziemskim. Były to dla nas ciężkie czasy. Dopiero w 1958 roku udało nam się wyjechać do RFN.

Dzisiaj, w 2007 roku, mówię, że wojna zabrała wielu ludziom ukochane strony rodzinne. I te obłąkane wojny jeszcze toczą się na świecie. Wszystkie kraje winny dążyć do zawarcia pokoju, który trwałby wiecznie.

Horst Meisner⁶⁷

Rok 1945 - Wspomnienia z Pomiłowa

Wstęp



Autor w 1941 roku⁶⁸

Opis 1945 roku w Pomiłowie nie jest dokumentacją o życiu mieszkańców wsi w tym ciężkim roku. Pisał je 14-15 latek i dlatego opisuje dzieje osób mu znanych. Píše to już w latach 50-tych. Nie pamięta nazwisk osób z Prus Wschodnich, którzy uciekając przed frontem zakończyli tu swoją ucieczkę z nadzieją na spokój i pokój.

Havixbeck, 12 kwietnia 1984

Życie we wsi zamarło, gdyż od kilku dni bez przerwy słychać było kanonadę rosyjskiej artylerii. Domy pełne były uciekinierów z Prus Wschodnich i Zachodnich. Niektórzy pojechali w ostatnich dniach lutego 1945 roku dalej na zachód. Nam w Pomiłowie zakazano opuszczania wioski bez wyraźnego rozkazu.

⁶⁷ **Horst Meisner** urodził się w 1930 w Budow (Budowo w powiecie słupskim). Ojciec był stolarzem. W 1935 roku przeprowadził się do Pomiłowa i pracował w Sławnie w firmie Maxa Kusanke. Autor chodził do szkoły miejskiej w Sławnie. Z Pomiłowa wyjechał w grudniu 1945 roku. Został architektem. Mieszka w Havixbeck (wieś około 20 kilometrów od Münster, w Nadrenii Północnej-Westfalii).

Tekst „Das Jahr 1945“ ukazał się w języku niemieckim w: Ernst H. von Michaelis, Kirchspiel Quatzow, Kreis Schlawe in Pommern, Herausgeber: Heimatkreis Ausschuss Schlawe, Siegen 1990, str. 651-663

⁶⁸ zdjęcia w tekście pochodzą z książki: Ernsta H. von Michaelisa, Kirchspiel Quatzow, Kreis Schlawe in Pommern, s. 627 i 628

Nie wiadomo też było dokąd iść, gdyż uciekinierzy którzy niedawno poszli na Koszalin, wrócili do Sławna. Nasze tereny znalazły się w tzw. kotle. Jedyna droga ucieczki wiodła na północ, nad morze by dostać się na statek.

Mama i ja byliśmy sami w domu. Ojca przed kilkoma dniami wcielono do oddziału obrony cywilnej i zakwaterowano w Sławnie. Rosjanie obronę cywilną traktowali jak partyzantkę. Ojciec dostał mundur żołnierza lotnictwa.

Jest już marzec, dużo śniegu i bardzo zimno, nawet Hitlerjugend przestała działać. Może kierownictwo już uciekło.

Ewakuowane z Zagłębia Ruhry kobiety z dziećmi mogły wrócić do Herne w styczniu.

Jest 6 marca. Mieszkańcy Gwiazdowa długą kolumną ciągną przez naszą wieś. My za nimi na wozach drabiniastych z dywanami służącymi za plandeki. Rodziny nie mające koni zostały przydzielone przez sołtysa do innych furmanek, na które można było załadować rzeczy. Matka spakowała tylko torbę i duży plecak. Moje piękne modele samolotów i statków, jak również odzież i bielizna schowana została w piwnicy. Pojechałem jeszcze do Sławna. Myślałem, że zobaczę się z ojcem. Niestety nie udało się. Dojechałem tylko do barykady przeciwczołgowej na ulicy Polanowskiej przed wiaduktem.

Ponieważ kanonada ucichła, nie opuściliśmy wioski. W nocy pukano do okna. Wilhelm Hackbarth radził matce, by spaliła wszystkie dokumenty (ojciec prowadził księgi kasowe wioski). Znowu było słychać strzelaninę. Matka szybko odwiązała krowę i rzuciła dużo siana do obory. Psa zamknęła w stodole z dużym wiadrzem pełnym mleka. Świnom dała pełne koryto żarcia. Koty i kury musiały radzić sobie same. Ja nałożyłem długie buty ojca, zabrałem obładowany rower i tak ruszyliśmy w drogę. Niezapomniane jest pożegnanie z domem rodzinnym, nie wiedzieliśmy czy wrócimy. Włączyliśmy się w długą kolumnę uciekinierów w kierunku Darłowa i Ustki. Na górze koło Kwasowa stało małe działko przeciwlotnicze. Po co ?

W Sławnie z matką oglądaliśmy się za ojcem. Na próżno. Koło barykady stało kilku starszych mężczyzn z pancerfaustami. Przy szkole spotkałem kolegę ubranego jeszcze w mundurek HJ. Los nie pozwolił nam już nigdy później się spotkać. W Postominie dowiedzieliśmy się, że Sławno się pali. Podobno miasto zostało zaatakowane przez czołgi od strony lasu koło Kwasowa. Napis na mijającym nas samochodzie wojskowym brzmiał: „Odważny i wierny”.

W rowach leżą zabite psy i dużo rzeczy wyrzuconych przez uciekinierów. Dobrze, że nasz pies został w domu. Na jakimś skrzyżowaniu widzieliśmy kolumny ciągnące z południa, zachodu i wschodu. Przed nocą zatrzymaliśmy się w majątku w Marszewie. Nocowaliśmy w kuchni na podłodze. Nikt nie spał. Dzieciom podano ciepłe mleko. Nie pojechaliśmy dalej, gdyż powiedziano, że porty są nieczynne. Wszyscy przenieśliśmy się do owczarni. Strzelanina ucichła, cisza była przytłaczająca. I stało się to okropne, o czym myśleliśmy tygodniami. Słychać było wyraźnie brzęk łańcuchów czołgowych. Na górze widać było nadjeżdżające T-34.

Jest 8 marca 1945 roku. Nagle wszyscy dorośli wrzucali różne dokumenty do gnojówki, a partyjny grupowy schował się między kobietami. Wszyscy płakali. Młode kobiety umorusały się i przebrały w stare łachy. Stojąc przy drzwiach widziałem maszerujących żołnierzy rosyjskich. Nikt nie wiedział co nas spotka, jak będą się zachowywać rosyjscy wojskowi. Krążyły straszne plotki. Zjawiała się pierwsza grupa Rosjan w baranich czapach. Pytali tylko o żołnierzy niemieckich. Nie widząc żadnych, odeszli. A może Rosjanie nie są tacy źli. To była, jak się później okazało, nasza złudna nadzieja.

Rosjanie zabrali najlepsze konie. W nocy nie spałem. Próbowałem się zastanowić, co będzie dalej. Byliśmy teraz po „drugiej stronie”. To co dawniej było codziennie kontrolowane przez HJ i partię nagle zniknęło jak jakaś zjawia czy upiór. Czy jeszcze jesteśmy Niemcami? Czy tu jeszcze są Niemcy? Czy w przyszłości będziemy mieli już tylko ruble?

Skaleczonego konia trzeba było dobić. Pan Schröder kazał mi wyrzucić swoją broń myśliwską. Matka mi nie pozwoliła. Wszyscy robotnicy przymusowi Polacy, Ukraińcy i Rosjanie bronią nas. Tylko Tadkowi od Mienertów nie można ufać, ale zachowuje się spokojnie.

Sołtys i chłopci radzą byśmy wracali do Pomiłowa. Korzystamy z polnych dróg, które starsi mężczyźni doskonale znają, a Rosjanie nie. Za to spotykamy grupy plądrujących Polaków. Jeden z nich kazał mi zdjąć buty ojca. Usiadłem trzymając nogi do góry pozwoliłem by ściągnął mi buty. Niech sobie sam pobrudzi ręce. Baliśmy się tych grup. Jeden z Polaków zabrał mi mój ładnie wyglądający rower ze starymi oponami i dał mi stary z nowymi oponami.

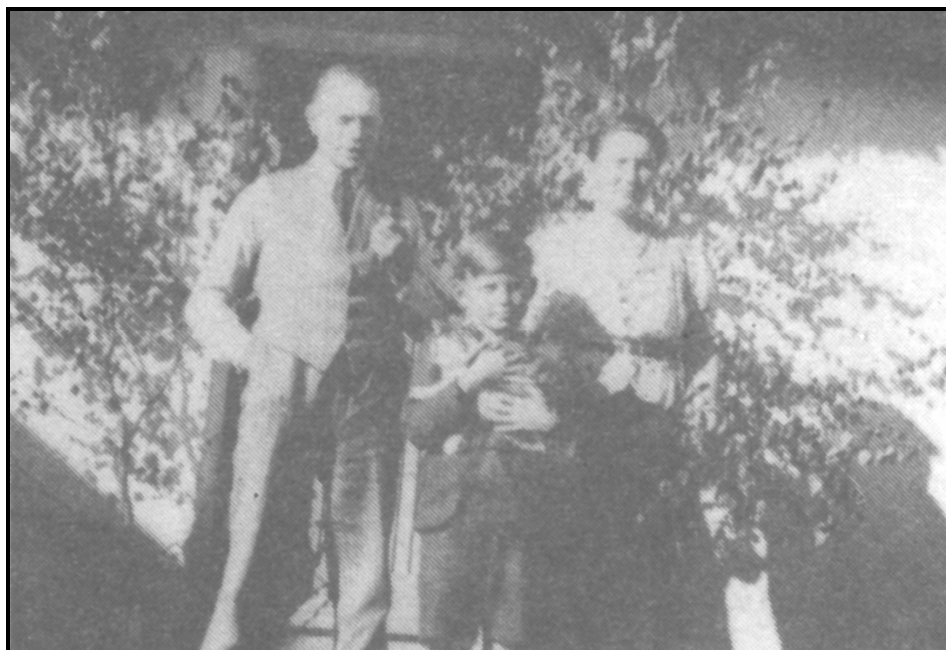
W Warszkwie czekaliśmy na skrzyżowaniu, by przepuścić kolumny rosyjskiego wojska. W kłębach dymu z palącego się domu udało nam się ruszyć dalej. Nad ranem zobaczyliśmy potworne widowisko. Nasze kochane Sławno paliło się! Dzieciństwo, szkoła – z tym miasteczkiem wiązało się wiele miłych wspomnień. Całe śródmieście było w płomieniach. Ogień podobno podłożyli plądrujący Polacy. Kościół także się palił. I nagle rozległ się dźwięk dzwonów spowodowany być może wysoką temperaturą. Kobiety płakały, mężczyźni odwracali się. Dzwony spadły i nastała nagle cisza. Tej nocy na pewno nikt nie zapomni. Rano wracamy do naszej wioski. Tu poczuliśmy się bardziej pewnie. Most na Wieprzy był uszkodzony, ale przejezdny. Z matką zostałem w domu Schröderów, gdyż nasz dom był doszczętnie przeszukany, meble zniszczone, drzwi wyrwane. W piwnicy pod kuchnią leżała świnia, widocznie wpadła. Bielizna i odzież leżały na podłodze posypane ryżem i polane atramentem. Zastrzelonego psa zakopaliśmy. Krowę złapałem i zaprowadziłem do obory. Rower schowałem w sianie. W rowie leżała przewrócona furmanka z Gwiazdowa, a za domem zastrzelony woźnica. Zbieraliśmy porozrzucane rzeczy, które jeszcze nadawały się do użytku. Na szczęście śnieg już stopniał, tak że bezpańskie bydło znalazło na łąkach karmę.

Oprócz nas w domu Schröderów zamieszkały rodziny z Prus Wschodnich. Wśród nich dwie kobiety mówiące po polsku. Rodzina Wemrich z Prus

Wschodnich straciła prawie cały majątek prócz konia, który schowany był teraz w małej komórce.

Zbliżających się Rosjan widać było z daleka. Szybko wtedy uciekaliśmy za gnojówkę i stodołę. Słyszeliśmy o gwałtach i innych strasznych rzeczach. Wszyscy byli nerwowi i niespokojni. Dzięki kobietom mówiącym po polsku nieraz Rosjanie traktowali nas lepiej. Kilka rodzin ze Sławna zamieszkało w Pomiłowie, np. pani Kuchaszewska z matką, pani Becker z córką Sireną, także pani Manske z córką.

Rodzina Wegner z Lisówka zastrzeliła się, jak mówił pan Schwuchow. Cała rodzina Sass utopiła się w Wieprzy. Pana Sass Rosjanie wyciągnęli z wody i przywiązali do drzewa. Przy śluzie woda zatrzymywała topielców z różnych wiosek.



Autor z rodzicami – Walterem i Erną – Zielone Świątki 1940 roku

Byli robotnicy przymusowi, Polacy i Ukraińcy, zaopatrujący się w żywność udawali się w drogę do swoich rodzinnych stron. Tylko Rosjanin Michel i Polak Tadek zostali. Rosjanie pozabierali mężczyzn, m.in. Bäsela i Pagela. Często w wiosce słychać było krzyki i strzelaninę. Dlatego już rano wychodziliśmy na cały dzień do lasu. Dni były coraz cieplejsze, a Rosjanie bali się lasu. Rozstawialiśmy czaty przy szosie. Raz Rosjanie złapali chłopca, Hansa Messinga z Prus Wschodnich. Został strasznie pobity, bo nie potrafił odpowiedzieć czy w lesie chowają się esesmani i Werwolf⁶⁹. Do pobicia być może przyczyniła się też

⁶⁹ niemiecka organizacja partyzancka działająca na ziemiach utraconych przez Wehrmacht

wojskowa czapka, którą nosił. Kiedyś spotkalismy pewnego SS-mana ze Sławna jeszcze w mundurze. Dostał od nas cywilne ubranie i ze skraju lasu zobaczył swoje spalone miasto. Raz Rosjanie zobaczyli nas w pobliżu poligonu. Zaczęli wołać „stój” i strzelać. Uciekliśmy do lasu.

Dla Ingi Manske i dla siebie wybudowałem w lesie dwa szałas. Po niebie krążyły rosyjskie samoloty IŁ – 2. Tak minęło kilka tygodni. Sołtys W. Hackbarth ukrywał się na strychu. Rosjanie ogłosili starego Mewesa sołtysiem. Ponieważ nie radził on sobie z tą funkcją obowiązki przejął Ukrainiec Jan. To nas chroniło. Jan kazał uruchomić piekarnię i piec chleb z dostarczanej mąki. Mięsa było dość z uboju beapańskiego bydła. Zjawili się Friedrich i Fritz Krampowie. Ja zacząłem nosić krótkie spodnie, aby młodziej wyglądać. Pani Schröder i ja widzieliśmy duże stado bydła na drodze z Pomiłowa do Gwiazdowa. Bydło było pilnowane przez chłopców i dziewczęta, których znałem ze szkoły.

Matka sama piekła chleb, smakował bardzo dobrze. Wychodząc z domu W. Weinrich zawsze zabierał ze sobą grabie. Napotkanym Rosjanom oświadczał, że idzie do „roboty”. Nocą nieraz Rosjanie wchodzili do domu. Na szczęście pani P. ich zatrzymywała, a my uciekliśmy. Pewnego dnia Rosjanin pytał o Inge, ale ona uciekła. Żołnierz strzelał za nią z kałasznikowa, ale nie trafił. W stosunku do nas stał się teraz bardzo oschły, ponieważ każdy uciekający jest podejrzany.

W końcu kwietnia ukrywający się wyszli z ukrycia, gdyż Rosjanie dali pracę i żywność. Sytuacja się przejaśniła. Wojska frontowe zostały przeniesione, a okupanci się ustatkowali. W komendanturach w Pomiłowie i Kwasowie urzędowali starsi ludzie. Często pomagali bronić się od grup plądrujących. Wreszcie z matką przenieśliśmy się do naszego domu wraz z dwoma rodzinami z Prus Wschodnich. Ukrywane dotąd konie zostały zabrane. Moją kryjówkę w kurniku odkrył oficer, ale ja już wtedy byłem w pracy.

Rano zabierano pracowników na wozy i przewożono na miejsce pracy. Moja pierwsza praca, to demontaż sławieńskiego młyna. Przez okna w hotelu „Roggenbruck”⁷⁰ widzieliśmy dobrze ubranych ludzi przy śniadaniu czytających świeże gazety. Niepojęte ! Już przy bramie koszalińskiej czuliśmy swąd spaleniżny. Młyn został rozebrany prawie w całości, nawet taśmy transportujące. Duże skrzynie przewożono na dworzec. Czy kiedyś ten młyn zostanie gdzieś zestawiony ? Później zostałem zabrany do rozbioru mleczarni. Trzeba było zburzyć ścianę zewnętrzną, aby móc wyjąć duży kocioł. W międzyczasie opróżniliśmy prywatny dom z mebli dla rosyjskiego oficera przy ul. Litzmanna⁷¹.

Następna praca to rozbórka linii kolejowej z Polanowa do Korzybia, odcinek Krag – Buszyno, aż do Żukowa. Z wyjątkiem podkładów zabieraliśmy wszystko. Szyny na wozy, natomiast na dreżynę: śruby, klamry i metalowe podkładki. O moich 15-letnich urodzinach nikt nie pamiętał.

⁷⁰ znajdował się przy dzisiejszej ulicy Jedności Narodowej

⁷¹ obecnie ulica Sienkiewicza

8 maja wśród wartowników zapanowała duża radość. „Hitler kaputt”. Dla nas to był duży cios. Pryśła nadzieja na przepędzenie Rosjan i uwolnienie nas. Skończyliśmy wcześniej pracę.

Po kilku dniach nie było już połączenia kolejowego do Żukowa. Młody Rosjanin podarował mi trochę narzędzi mówiąc: „dawai damoi”. Wiedział, że pojedzie razem z szynami do Rosji. Niestety, nie pamiętam nazwisk. Ukryty wśród kobiet wróciłem do domu.

Po zakończeniu wojny nastąpiła pewna normalizacja. Majątek Gwiazdowo został przejęty przez Rosjan i zaczęto systematyczną pracę. Najpierw sianokosy na łąkach nad Wieprzą. W przerwie rozdawany jest posiłek, jeden z żołnierzy gra na harmonijce, reszta tańczy. Kobiety mają spokój. Tym bardziej, że zawsze znajdzie się chętna, która dobrowolnie z nimi tańczy.

Pewnego ranka wieziono nas wozami w kierunku Tychowa i Noskowa. Moje ciężkie belgijskie konie szły wolniej niż reszta. Pierwszy woźnica, Rosjanin, nie był z tego zadowolony. Na polach układaliśmy w kupy suchą koniczynę. Wieczorami razem siedzieli przy wspólnym posiłku Niemcy, Rosjanie, Polacy, Ukraińcy.

W czerwcu uciekinierom z Prus Wschodnich kazano wracać do domu. Czy dojechali tam ?

Baliśmy się konnej jazdy Kozaków. Poznawaliśmy ich po mongolskim wyglądzie i czapkach z krzyżami. Pewnego dnia nagle Kozak stanął za mną w drzwiach. Zażądał kobiety. Matka uciekła przez okno w żyto, a skośnooki pobiegł w kierunku rzeki. Opowiedziałem zdarzenie przechodzącemu oficerowi rosyjskiemu. On powiedział, że tamten to dezterter, którego szuka. „Dlaczego się go boisz ? Daj mu kijem przez głowę”. Moim zdaniem , to nie była dobra rada.

Rankiem zjawił się u nas dobrze mówiący po niemiecku Rosjanin. Kazał mi iść z sobą. Razem pędziliśmy krowę do Sławna. Po drodze pokazał mi zdjęcia swoich dzieci i ubolewał, że wojna rozdzieliła rodziny. Po przekazaniu krowy w Sławnie mogłem wrócić do domu. Jeszcze usłyszałem plotkę o nadejściu Amerykanów i wyjściu Rosjan. Ale to była tylko plotka.

W lipcu zjawili się pierwsi Polacy. Często po powrocie z pracy Niemcy zastawali swoje mieszkania zajęte. Na drzwiach wisiały białe-czerwone chorągiewki. Byli robotnicy przymusowi zajmowali gospodarstwa byłych właścicieli. Mały Rosjanin Michel jest teraz panem u H. Schwuckowa. Nasz dom zajęła młoda Polska Eryka. Na rękach miała świerzb. Jej rodzice zamieszkali w domu Bernharda Ziemanna. Eryka przeważnie przebywała u rodziców i dlatego mogliśmy dalej mieszkać. Nowy polski sołtys zamieszkał u Lasta. Wojsko polskie zakwaterowało się w gospodzie. Nieprzyjemny porucznik był Żydem. Dwaj żołnierze, obaj mieli na imię Mietek, za czasów niemieckich pracowali na kolei. Stąd znali niemiecki. Jeden z nich interesował się Sireną, myśląc że jest Polką. Nazywała się Kuchaczewska. Nasze rosyjskie słówka nie bardzo się przydawały, należało się szybko nauczyć polskich.

Rosjanie wyszli z Pomiłowa, pozostali jednak w Gwiazdowie na majątku. Część Niemców także przeprowadziła się do Gwiazdowa, gdzie jeszcze przez kilka lat pracowali na majątku. Rosjanie nie godzili się na ich przesiedlenie.

Z matką mieszkaliśmy w najmniejszej izbie, ale nad małą zamaskowana piwniczką, w której schowaliśmy nasze kosztowności i pieniądze. W obawie by nikt tego nie odkrył zakopaliśmy później niektóre rzeczy na łące, w ogrodzie i w kurniku. Zawsze nocą. Okno izby zaabiłem mocnymi deskami.

Z polskimi dziećmi nie było kłopotów. Właśnie od nich uczyłem się wielu polskich słów, szczególnie chętnie przekleństw. Kiedyś w ogrodzie ucząc się polskich i rosyjskich przekleństw usłyszeliśmy srogie wołanie zza płotu: „Powiem sołtysowi, jak przeżywasz polską kobietę”. Ale następstw żadnych nie było.

Nieraz wojskowi z porucznikiem na cały dzień gdzieś odmaszerowywali, ale wieczorem zawsze wracali na postój. Jesienią Tadek przyjął mnie do pracy przy młóceniu zboża, chyba na prośbę Eryki. Jej matka, dobroduszna Polka dała nam jeść chleb i biały twaróg z kwaśnego mleka wyciśniętego przez szmatę. Smakowało wspaniale.

W październiku zatrudniłem się do pracy na kolei. Pomógł mi w tym kierownik grupy, który mieszkał w Pomiłowie. Otrzymywałem 10 złotych dziennie. Pracowaliśmy od 7. rano. Kierownik nie znał niemieckiego. Tłumaczka pochodziła z Prus Wschodnich. Czyściliśmy rowy przy nasypach, usuwaliśmy przeszkadzające krzaki, sprawdzaliśmy kamienie milowe i systematycznie sprawdzaliśmy szyny. Od czasu do czasu naszą pracę oceniał inspektor ze Sławna.

12 października wracając po pracy do domu nie zastałem matki. Biuro do spraw przesiedleńców dało zarządzenie wysiedlenia Niemców. Dano 10 minut na spakowanie niezbędnych rzeczy, załadowano na wozy i zawieziono do Sławna na dworzec towarowy. Mama zabrała także rzeczy dla mnie myśląc, że dojdę. Niestety. Dzięki Bogu zostawiła trochę żywności. Klucze zostały w drzwiach, więc Eryka skorzystała z okazji i przeszukała pozostawione rzeczy. Polka była mocno zaskoczona moim powrotem. Poszedłem ze skargą do sołtysa, co mogło się źle skończyć, bo Niemcy nie mieli prawa się bronić. Sołtys ustawił na placu przed gospodą pręgierz. Już kilka razy ukarał Niemców chłostą. Mój kierownik grupy jednak mnie wybronił. Zaproponowano mi bym przeniósł się do dużego pokoju, ale ze względu na rzeczy schowane w piwnicy odmówiłem. Jak po tym wszystkim punktualnie stawiałem się do pracy w Gwiazdowie bez zegarka, nie wiem. Zastępca sołtysa Liomko z gospodarstwa Friedy Fischer zaprosił mnie na kolację. Siedziałem razem z Polakami przed dużą michą z jadłem przy wspólnym stole. Na drogę dostałem jeszcze paczkę z prowiantem. Stanisław miał jedną prośbę. Prosił o model statku „Scharuhorst” dla syna na urodziny. Zgodziłem się.

Jest listopad 1945 roku, bardzo zimno. Przy nasypie palimy ognisko. W czasie przerwy grzejemy się przy nim, co nie spodobało się inspektorowi. Zostałem odcinkowym. Musiałem sprawdzać szlak od Gwiazdowa do Pomiłowa i z powrotem. Jako pracownik PKP miałem legitymację, co dawało mi możliwość swobodnego poruszania się po okolicy. Odwiedzałem przyjaciół w Sławnie i ro-

biłem zakupy dla rodzin. Nie wolno było mówić po niemiecku. W mieście jeszcze nieuprzątnięte gruz i nadal czuć spalenizną.

Nasza krowa jest zaniedbana i sołtys kazał ją oddać do gospodarza. Eryce zabrano dom i dano młodej parze Polaków. Ona chciała i dla mnie gotować, ale codziennie zupa z dyni, to nie dla mnie. Wole jeść dalej u Liomki. Kiedyś jechaliśmy służbowo starym wagonem elektrycznym do Darłowa. Polscy pasażerowie wyzywali nas. Niemcy mają iść pieszo. Nasze legitymacje ich uspokoiły.

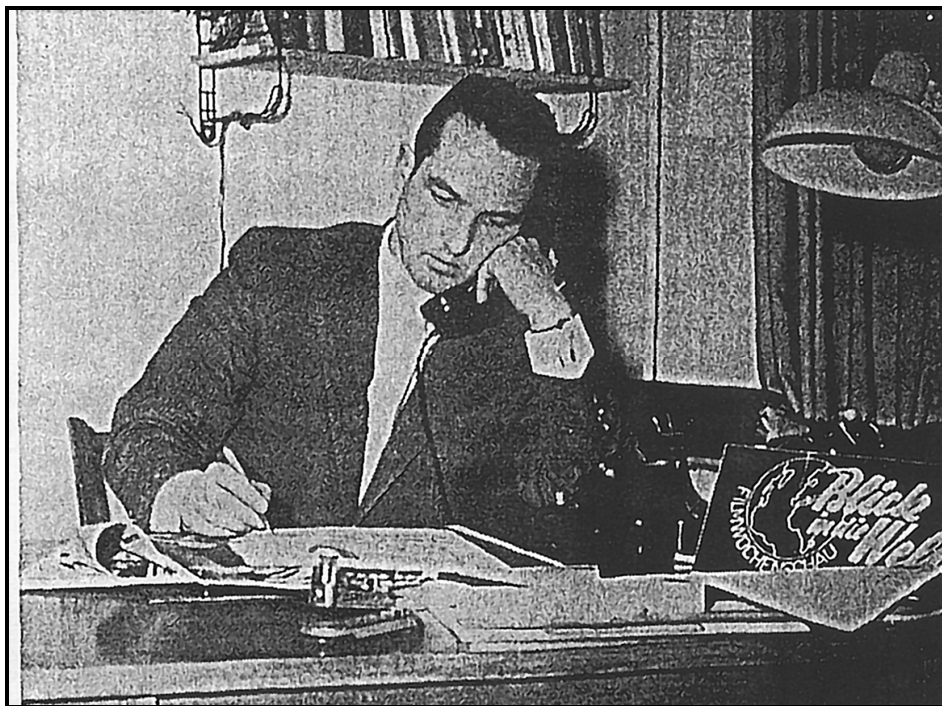
Po wyjeździe Eryki jednak zamieszkałem w dużym pokoju. Na razie piwnica nie została odkryta. Dopiero po opuszczeniu przeze mnie domu znajomy Niemiec wykraść z piwnicy wszystko. Po kilku latach przysłano mi zdjęcie z confirmacji.

Po wielu staraniach i przy pomocy mojego kierownika grupy z PKP dostałem wreszcie 5 grudnia zezwolenie na wyjazd w ramach łączenia rodzin do Berlina. Wieczorem wielkie przygotowywanie się do podróży. Odkopałem pieniądze i wszyłem je w pas spodni, zegarek w zakładkę bluzy od munduru zimowego HJ, który został przerobiony. Mały woreczek z przyszytymi trokami służył mi jako plecak. Wszystko musiało wyglądać bardzo biednie. 20 marek wsadziłem luzem do kieszeni. Rano ubrałem się bardzo grubo na cebulę, ubrałem też dwie czapki i długi płaszcz. Dobrze, że było bardzo zimno. Pożegnałem się ze wszystkimi, także z Polakami.

Strony rodzinne opuszczałem z małym żalem. Rodziców nie było, a do obcych rządów jeszcze się nie przyzwyczailem. Miałem 15 lat. Krótko przed Sławnem Polak zabrał mi płaszcz i dał mi 100 zł, za które kupiłem czekoladę, w dodatku oszukaną. Ponieważ nie było już pociągu w kierunku zachodnim wróciłem na noc do Pomiłowa. 7 grudnia 1945 roku pojechałem wraz z kilkoma rodzinami z dużymi bagażami na zachód. Niemców ulokowano w wagonach towarowych. W nocy pociąg kilka razy się zatrzymywał, zawsze wchodzili szabrownicy, którzy zabierali co chcieli. Ja straciłem tylko 20 marek. W Szczecinie – Gumieńcu rodziny wysiadły już bez wielkich bagaży. Czekaliśmy na peronie. Polacy wyłapywali mężczyzn do pracy i ja znalazłem się wśród nich. Pod pozorem odstawienia plecaka ukryłem się w tłumie. Okryłem się kocem i udawałem kobietę. Wreszcie podstawiono pociąg towarowy ze strony niemieckiej. Jadąc powoli minęliśmy linię demarkacyjną. Zostawiliśmy Polskę za sobą i byliśmy w strefie sowieckiej. Do Angermünde przyjechaliśmy późno w nocy. Po 3-tygodniowej kwarantannie w Binz na Rugii wreszcie nawiązałem kontakt z rodzicami.

Kurt Mielke⁷²

**Mój los był tylko jednym spośród wielu
milionów... Sławno na Pomorzu 1945
Zapiski z pamiętnika**



Autor w 1965 roku⁷³

⁷² **Kurt Mielke**, urodzony w 1921 roku, syn sławieńskiego dentysty Wilhelma Mielke i Marii Klemz. Mieszkał przy A. Hitler Strasse 16 (obecnie ulica Jedności Narodowej) w budynku, którym teraz mieści się przedszkole. Zapiski, które złożyły się na książkę uporządkował w latach 1946-1947. W 1991 roku książka ukazała się w Niemczech drukiem. Po wojnie był dziennikarzem. Był także członkiem zrzeszenia byłych uczniów sławieńskiego gimnazjum. Zmarł w Wiesbaden w 1979 roku.

⁷³ zdjęcia w tekście pochodzą z książki: Kurt Mielke, Ein Schicksal von Millionen, Schlawe in Pommern 1945, Erlebnisbericht aus Tagebuchaufzeichnung. Bearbeitet von Ernst H. von Michaelis und Kurt Zerrahn, Siegen 1991

1. Wstęp do moich relacji

II wojna światowa i jej bezpośrednie następstwa należą do wydarzeń, wybijających bolesne piętno na moim i nie tylko moim pokoleniu. Podczas "wyzwalania" niemieckich prowincji wschodnich przez Armię Czerwoną i w trakcie ich polonizacji przeżyłem najbardziej haniebną epokę w historii mojej pomorskiej ojczyzny - wszystko okiem bezpośredniego obserwatora.

Cóż to był za rok, ów 1945?

Dla milionów ludzi był to rok zerowy, czas zwątpienia i beznadziei, życie w strachu, nędzy z najboleśniejnymi niespodziankami. Zawsze stało się jedną nogą w grobie.

Spróbowałem zrekapitulować ostatnie zdarzenia w moim rodzinnym mieście Sławnie na Pomorzu tuż przed końcem wojny oraz pierwsze miesiące po jej zakończeniu.

Nietrudno mi było uporządkować moje wspomnienia (1946 w Ascheffel/ Langstücken, Schleswig Holstein i 1947 w Baden - Baden), pamiętnik udało mi się przemycać i uratować pod opaską gipsową. Dla mnie był on cenniejszy niż każde srebro i złoto tej Ziemi.

Z zapisków powstała owa relacja. Ukazuje ona mój osobisty los. Sfera uczuć zawiera prawie wszelkie symptomy tego, co wydarzyło się w 1945 roku po drugiej stronie Odry. Mój los nie był odosobniony, był on "losem jednym spośród wielu milionów".

Opowieść nie zawiera wysokich walorów literackich. Zapiski były do tej pory wykorzystane do zestawienia dokumentacji na temat "Prowincja Pomorze 1945", zawierają one głębokie przeżycia w połączeniu z faktami historycznymi. Nie tylko Niemcy dokonali okrutnych czynów i nie tylko Niemcy zaciemnili obrazy przeszłości, a i zwycięzca, który zdobył niemieckie wschodnie prowincje pozostawił po sobie prawdziwe ślady okrucieństwa. Nigdy nie będzie można wymazać tych obrazów z pamięci, pozostaną one na zawsze na koncie złych wydarzeń naszego świata.

Nie tylko ja sam postawiłem sobie zadanie: uporządkować moje notatki i opublikować je - było to również gorące życzenie wielu przyjaciół, znajomych i krewnych, którzy razem ze mną przeżyli ten trudny okres.

Osoby wymienione po nazwisku były naocznymi świadkami wydarzeń. Niektóre nazwiska zostały celowo dyskretnie przemilczane. Niektórzy ludzie niechętnie wspominają te czasy, lub unikają konfrontacji z nimi. Nasza uwaga jest często odwrócona przez materialne aspekty życia - ale głęboko zakorzenione przeżycia, niezależnie od tego, jakie one są, muszą być kiedyś wreszcie strawione, nie można przed nimi uciec, wiecznie samemu się oszukiwać. Wszyscy powinniśmy uczyć się od tych, którzy byli przed nami i od tych, którzy są z nami.

To, co przeżyłem w 1945 roku, zakorzeniło się w świadomości. To, co widziałem, słyszałem i odczułem - spisałem. Świadomość tego, że poza rzucającymi cień obiektami świeci słońce, dodała mi siły i energii do przeżycia. Postanowiłem dla przyszłego pokolenia i tych wszystkich, którzy przeżyli wojnę, stwo-

rzyć wiarygodny dokument, zawierający fakty z towarzyszącymi im chwilami strachu, płaczu, rozpacz, szukania pomocnej dłoni... Nasze życie to prawdziwa historia. Myśli, słowa i czyny chcą koniecznie ujrzeć światło dzienne. Dopuszczmy je do głosu, ujrzymy wiarygodny obraz.

Kurt Mielke Wiesbaden-Dotzheim, 1967-69

2. Wprowadzenie

Po szczęśliwym okresie młodości w moim domu rodzinnym, wśród kręgu przyjaciół w rodzinnym mieście Sławnie, zostałem powołany do służby wojskowej (5.II.1941). Po krótkim przeszkoleniu w 12 Batalionie Saperów w Szwed n/Odrą trafiłem na front do 258 Dywizji Piechoty. Dwa lata i dwie zimy byłem saperem na froncie wschodnim. Dwa lekkie zranienia obeszły się bez większych komplikacji. Podczas jednego z nalotów zostałem tym razem poważnie ranny. Moje rany krwawiły obficie. Po ponadrocznym pobycie w wielu szpitalach polowych (Gshatsk - Wjasma - Kraków - Freudenstadt - Rastatt - Słupsk) nie byłem zdolny do dalszej, czynnej wojaczki.

We wrześniu 1944 roku otrzymałem z mojego oddziału sześciomiesięczny urlop szkoleniowy na naukę w państwowej szkole budowlanej. We "Florencji Wschodu", jeszcze wówczas nie zniszczonym, wspaniałym mieście Dreźnie, mogłem kontynuować edukację zawodową.

Po wielkiej ofensywie w styczniu 1945 roku wojska radzieckie posunęły się w głąb niemieckich prowincji wschodnich. Miasto Drezno zapełniło się uciekinierami ze Śląska. Aby przyjąć tę olbrzymią masę ludności bez dachu nad głową, zamknięto wszystkie szkoły. Moja nauka została przerwana. Wróciłem z Drezna do Sławna. Już i od moich rodzinnych stron Rosjanie byli niedaleko. W Sławnie przeżyłem ostatnią fazę II wojny światowej. Istniała możliwość ucieczki do zbombardowanej i przepełnionej ludnością reszty Niemiec. Pozostałem jednak z moimi rodzicami, siostrą i z większą częścią mieszkańców w Sławnie. Co tu na nas czekało, tego nie wiedzieliśmy. Skutki wkroczenia Armii Czerwonej przerosły nasze wyobrażenia. Nasi "wybawcy" wprowadzili chaos. Przez miasto przeszła fala mordów. Kobiety i dziewczęta były masowo gwałcone. Pijane hordy podpałyły domy. Miejscowa ludność została wbrew ich woli deportowana. Ludzie utracili całe swoje mienie: domy, gospodarstwa rolne. Nastąpiły plądrowania, aresztowania, głód, epidemie, napięcie i strach. Droga grozy w nieznane.

Po okresie bólu i cierpienia nastąpiła polonizacja niemieckiego Wschodu.

W sierpniu 1945 roku trzy zwycięskie mocarstwa w osobach Trumana (USA), Stalina (ZSRR) i Churchilla (przyszła Wielka Brytania) podpisały układ w Poczdamie. Układ ten zawierał treść: "Północna część Prus Wschodnich (z Królewcem): pod radziecki zarząd, reszta wschodniej niemieckiej prowincji wraz ze Śląskiem i Pomorzem (łącznie z całym Szczecinem): pod polski zarząd. Ostateczne reguły zostaną zawarte w umowie pokojowej". Owo wypędzenie niemieckiej ludności zostało oficjalnie zatwierdzone. Tzw. zarządzanie przyjęło oblicze gwałtu. W normalnych warunkach życia trudno jest sobie wyobrazić, do jakich rozmiarów może dojść bestialskie traktowanie człowieka przez drugiego

człowieka. Obietnice poczdamskich sygnatariuszy odczuł cały niemiecki naród, a w szczególności miliony ludzi z Prus Wschodnich, Śląska i Pomorza. Upadek tych kwitnących prowincji przeżyli duchem i ciałem. Ziemie te były dla nich ich ojczyzną - dla Niemiec krainą o szczególnej kulturowej tożsamości. Dla nas Niemców życie pod radziecką okupacją a polskim zarządzaniem, było niczym innym jak bezsensowną wegetacją. Bezprawnie przechodziliśmy więzienia: bez winy, bez podstawy. Odcięci od Niemiec po drugiej stronie Odry, bez jakichkolwiek wiadomości, w niczym nie zorientowani, dopiero późnym latem 1945 roku dowiedzieliśmy się o zawieszeniu broni. Trwaliśmy do końca w odwadze ludzi zwątpionych. Z nadludzką siłą próbowaliśmy przeżyć, stawialiśmy czoła bezprawiu. W przekonaniu o własnej niewinności czekaliśmy na posunięcia i decyzje zwycięzców. Przez nasz kraj przelał się potok zemsty, krwawego odwetu i woli zagłady, wywołany decyzjami konferencji w Teheranie 1943 roku i w Jaltie, w lutym 1945 roku. Stalin, który wspólnie praktykował z Hitlerem, opowiedział się za tzw. linią na Odrze i Nysie i chciał także wejść w posiadanie Prus Wschodnich. Dojście do Bałtyku było już od czasów carskich celem rosyjskiej ekspansji. Sowietom pasowało to do ich planów zamierzonej światowej rewolucji. Roosevelt oferował plan "Morgenthana"⁷⁴. Winston Churchill zapewniał w grudniu 1944 roku przed Izłą Gmin w Anglii m.in.: "Wysiedlenie jest najbardziej zadowalającym i najtrwalszym środkiem!"

Bardzo szybko nastąpiło wysiedlenie niemieckiej ludności. Nie da się opisać słowami tej brutalnej akcji wypędzania. Niemowlęta, dzieci, kobiety, starcy i chorzy byli jak bezprawny element bici i kopani. W brudnych i przepełnionych bydlęcych wagonach doprowadzono ich do "granicy". Wielka masa wyczerpanych ludzi została przerzucona do reszty Niemiec. W poczdamskim protokole nazywało się to: "uporządkowane i humanitarne przesiedlenie z terenów wschodnich". "Przesiedlenie" ok. 10 milionów osób do Niemiec, zbombardowanych przez amerykańskie lotnictwo i zniszczonych fosforowymi bombami przez angielski Royal-Air-Force.

Wojna przyniosła cierpienie milionom, ale to, co się wydarzyło w powojennym okresie nie ma porównania. W historii Europy wypędzenie Niemców nie ma do tej pory drugiego, podobnego przypadku traktowania ludności cywilnej w czasach "pokoju". Jeszcze zanim została odkryta Ameryka, niemiecka historia tych prowincji miała już swój początek - teraz znalazła taki oto koniec!

3. Spojrzenie wstecz na stary rok

3.1 Sylwester - 31.XII.1944 roku

Pożegnanie starego roku - Sylwester. W mojej ojczyźnie dzień ten był zawsze czymś szczególnym. Przyjaciele zbierali się razem, lub świętowano u krewnych i znajomych. Lokale były przepełnione, w tym dniu chętnie się dokądś szło.

⁷⁴ plan ministra finansów USA Henriego Morgenthana jr., który proponował przemianę Niemiec w kraj agrarny i spowodował w pierwszych latach powojennych masowy demontaż fabrycznych urządzeń

Niektórzy przebierali się, jak podczas karnawału nad Renem. O północy wszyscy głośno - z okrzykami i śpiewem - ciągnęli na Marktplatz⁷⁵. W napięciu oczekiwano dwunastu uderzeń dzwonów kościelnych, potem było słychać niezliczoną ilość huków i trzasków różnego rodzaju fajerwerków. Następnie świętowano dalej, do wczesnych porannych godzin Nowego Roku.

Tak było w moim małym mieście rodzinnym w czasach pokoju.

Podczas Sylwestra 1944 roku żegnaliśmy piąty rok wojny. Moja siostra Brigitte i ja zostaliśmy zaproszeni na małą uroczystość do państwa Last⁷⁶. Był sylwestrowy poncz, nadziewane pączki - rarytasy w tych trudnych czasach. W okresie pokoju zamawiano pączki u cukiernika, zdarzały się też nadziane musztardą. Po prostu miało się pecha, natrafiając na tego rodzaju "marmoladę"... Na takie żarty w czasie wojny nie można było sobie pozwolić. Tej nocy częściej niż zwykle, patrzyło się na zegar. Do północy wzrok towarzyszył jego wskazówkom. Przy "12" stało się na granicy dwóch років: "stary" znało się, o "nowym" niczego się nie wiedziało, co może nam przynieść? Myśłami wracałem o 365 dni wstecz. Miałem krótki urlop z mojego oddziału i krótkie świąteczne ferie ze szkoły w Dreźnie. Byłem szczęśliwy, że dni te mogłem spędzić w domu. Na froncie zostałem ciężko ranny i wojaczka się praktycznie dla mnie zakończyła. Swoimi myślami byłem tej nocy przy moich kamratkach na froncie wschodnim. Jak im się wiodło, kto jeszcze żył, kto w międzyczasie zginął? Myślałem o moim bracie, tak bardzo chciałem wiedzieć, gdzie tkwił w tą zimną, zaśnieżoną noc sylwestrową. Z pewnością i on myślał w tej chwili to samo o nas. Myślałem o wszystkich moich przyjaciółkach - gdzież oni się podziewali? Wojna nas porzuciła... W radiu rozbrzmiały dzwony - była północ, zapowiedziano Nowy Rok 1945. Wzniesiliśmy z przyjaciółkami toast, podziękowaliśmy gospodarzom za gościnę i miły wieczór. Telefonicznie złożyliśmy życzenia naszym rodzicom, którzy spędzali ten wieczór w domu z babcią (84 lata) - cicho i spokojnie, jak przystało na okoliczności. Wszyscy życzyliśmy sobie w 1945 roku szczęścia i zdrowia, ale najbardziej jednak pokoju, a tym samym naszym najbliższym szybkiego powrotu do domu.

3.2 Wspomnienia z 1944 roku

Miniony rok 1944 był dla mnie osobiście bogaty w wydarzenia. Oprócz wielu przykrości i zmartwień przyniósł mi też kilka pięknych momentów. Zanim wkroczę w 1945 rok, rok smutnego przeznaczenia, naświetlę w skrócie 12 minionych miesięcy.

Styczeń 1944: miałem poza sobą 13 miesięcy pobytu w różnych szpitalach polowych i pięć operacji.

W styczniu 1944 roku musiałem wrócić do mojej jednostki rezerwy w Szwedn/Odrę. Nastąpiły trzy miesiące bezczynności pod opieką lekarzy. Na początku maja udaliśmy się na poligon do Altwarp. Ja siedziałem w ciepłym i suchym

⁷⁵ obecnie plac kard. Wyszyńskiego

⁷⁶ Willi Last, dyrektor Okręgowej Kasy Oszczędności, (Kreissparkasse), Stolper Vorstadt 21, (obecna ulica Gdańska)

biurze. Altwarp to piękny zakątek. Wspaniały krajobraz muskał swoim urokiem nasze serca. Mój kolega z pokoju, Walter Bode z Travemünde, był zapalonym żeglarzem - zawdzięczam mu kilka pięknych godzin na wodzie. Tak, ten poligon był dla nas znośny...

Przyjemnym wydarzeniem w maju był ślub mojego przyjaciela Karl-Heinza Georga (Otsch)⁷⁷.

Po uprzednim umówieniu się z nim, otrzymałem telegram następującej treści: Żenię się 6 maja - ty świadkiem - twój brat Georg.

Urlop na poligonie można było otrzymać naprawdę tylko w wyjątkowych przypadkach; dotyczyło to również i mnie, mimo że chodziłem o lasce. Świadek na weselu "brata" - mój szef kompanii dał się przekonać. On sam pochodził z Darłowa (Rügenwalde), może ten fakt częściowo zdecydował o tym, że urlop okazał się prostą sprawą. Oczywiście przemilczałem, że "brat Georg" nie jest moim bratem, tylko przyjacielem Karl-Heinzem. Dostałem przepustkę na 48 godzin. Być na ślubie przyjaciela, było dla mnie wielkim zaszczytem. Osiem godzin jazdy pociągiem opłaciło się. W sobotę przed południem państwo młodzi, ojciec Karl-Heinza i ja jako świadek zjawiliśmy się w Urzędzie Stanu Cywilnego w sławieńskim ratuszu. Ślub kościelny odbył się uroczyście w naszym kościele mariackim. Uroczystość weselna w domu państwa Georg była na miarę wesela w czasach pokoju. Pani Georg miała dobre układy u gospodarzy na wsi i bogato zaopatrzyła się w żywność. Serce żołnierza śmiało się, żołądek też. Na weselu poznałem sympatyczną damę, przyjaciółkę młodej pani Georg. Byłem ostatnim gościem, który opuścił wczesnym rankiem 7 maja 1944 roku dom weselny. O kulach, moich wiernych towarzyszkach, wracałem "pod wiatr" do domu. Policjant Szebbin, który widział mnie żeglującego przez sławieński rynek, ośmielił się zauważyć, że pora capstrzyku u mnie trochę się przedłużyła. Co tam capstrzyk! Byłem przecież w cywilu. Uraczyłem go komplementem, że jest najlepszym policjantem na całym Pomorzu Wschodnim - otrzymałem w zamian od małego, grubego Szebbina kolejny przyjacielski uśmiech.

Ku naszemu ubolewaniu nie było na weselu naszego przyjaciela Günthera Raascha (Papa)⁷⁸. Swojego czasu studiował on medycynę w Greiswaldzie. Z nieznanych przyczyn nie otrzymał telegramu, lub otrzymał go za późno.

Po kilku godzinach snu musiałem wracać do oddziału. Moja nowa znajoma z wesela towarzyszyła mi w pociągu aż do Szczecina - tak więc podróż nie była wcale nudna.

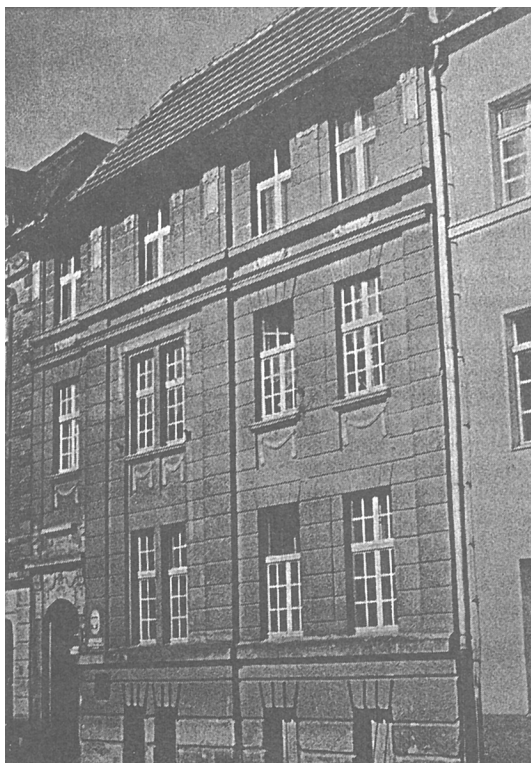
Również w maju 1944 roku rozwiązano nasz poligon. Instruktorów i inwalidów wojennych wysłano na zielonoświątkowy urlop. Alzatzyków prawdopodobnie

⁷⁷ Karl-Heinz Georg, ur. w Słupsku 26.IV.1921, zm. w Hagen-Dahl 6.I.1985, dentysta, syn okręgowego specjalisty od łąkarstwa Reinholda Georga, Sławno, Stolper Vorstadt 40 a, (obecna ul. Gdańska), poślubił 6.V.1944 Magdalenę Mritz, ur.26.VII.1922 w Bytowie. Był wieloletnim, aktywnym członkiem Zrzeszenia Ziomek byłego Okręgu Sławno.

⁷⁸ Günther Raasch, syn sanitariusza ze sławieńskiego szpitala - Maxa Raascha z Warszowa (Alt Warschow)

na front. Znowu miałem okazję, odwiedzić rodzinny dom. Pobyt u rodziców był jak zawsze cudowny. Tym razem miałem okazję spotkać tu naszych krewnych z Berlina: zawsze wesołą ciocię Lottę i jej męża. Ciocia wprowadzała szybko wszystkich swym temperamentem i humorem we wspaniały nastrój. Sławno było również i jej miastem rodzinnym.

W drugi dzień Zielonych Świątek wybraliśmy się popołudniem do zaprzyjaźnionej z nami rodziny H.M. Boldt⁷⁹. Wujek Max serwował nam majowy kruszon - nastrój był tak wspaniały, że tutaj nad brzegiem ukochanej Wieprzy (Wipper) można było na chwilę zapomnieć, że świat był w zamęcie. Dla naszych berlińczyków, którzy byli ciągle narażeni na alarmy nalotów bombowych, te spokojne dni były wyjątkowo kojące.



Dom rodziny Mielke – obecne przedszkole przy ul. Jedności narodowej, zdj. z 1989 r. tychmiast i kogóż tam ujrzałem? Przede mną stał kapitan Händiges (syn drogerzysty z Wuppertalu). Był on moim szefem kompanii na froncie wschodnim. Zналиśmy się bardzo dobrze z tych wspólnie spędzonych dni i nocy na dalekim radzieckim froncie. Któż inny aniżeli on mógł lepiej potwierdzić, że jako żołnierz należycie wypełniałem swoje

Po tym krótkim urlopie musiałem, niestety, powrócić ponownie do garnizonu w Szwed. W biurze działu personalnego spędziłem czas od maja do września 1944 roku. Pod koniec września spotkała mnie miła niespodzianka: moje podanie o zgodę na sześciomiesięczny urlop szkoleniowy zostało przez komendanta 12 Batalionu Saperów Rezerwy pozytywnie rozpatrzone. Kolejny krok do przodu - krok, który okazał się znaczący dla mojego życia. Sześć miesięcy urlopu w szóstym roku wojny wprowadziło wiele zazdrości na planie - szczególnie mojemu bezpośredniemu przełożonemu, który po prawie 40-letniej karierze wojskowej dosłużył się zaledwie stopnia sierżanta. Więc czy mi się to podobało, czy też nie, miałem zgłosić się do same-

⁷⁹ Max Boldt, właściciel sklepu odzieżowego H.M. Boldt, Kösliner Str. 28 (obecna ulica Jedności Narodowej)

obowiązków. Straciliśmy się z oczu z powodu odniesionych przeze mnie ran. Teraz staliśmy naprzeciwko siebie, oboje zaskoczeni - byliśmy prawie jak starzy przyjaciele, którzy musieli wspólnie wykonać niejedno zadanie. Miałem szczęście, że reklamacja mojego podania o urlop trafiła właśnie do jego rąk. Stanowisko tutejszego komendanta objął dopiero przed kilkoma dniami. Teraz liczył się jego podpis. Zezwolenie na urlop otrzymałem bez żadnych przeszkód.

Sierżant z wściekłości zgrzytając zębami, wystawił mi zaświadczenie cywila. Gdy 29 września 1944 roku opuszczałem koszary na sześć miesięcy, ogarnęło mnie błogie uczucie. Dla zazdrośnika pozostał mi na wargach słynny cytat Götz'a ("pocałuj mnie w dupę").

Najpierw pojechałem do domu. W tym czasie szczególnie potrafiłem doceniać dom rodzinny i moje miasto rodzinne - nigdy za nim tak bardzo nie tęskniłem, jak w ostatnich latach. W przedziale wierciłem się niespokojnie, często wychodziłem na korytarz, nie mogłem się doczekać, kiedy będę mógł wysiąść na dworcu w Sławnie.

Zaraz 1 października musiałem pojechać do Szczecina na egzamin wstępny do Państwowej Szkoły Budownictwa Nad- i Podziemnego. Po siedmiu godzinach wszystko poszło gładko, zostałem przyjęty. Wybrałem Szczecin, tutejsza szkoła miała dobrą renomę no i do Sławna nie było aż tak daleko.

Dzień przed rozpoczęciem semestru wszystko się nagle rozpadło. Okazało się, że są trudności ogrzewcze, ponieważ szkoła została poważnie uszkodzona podczas bombardowań. Ale głównym powodem chyba było to, że na pierwszym semestrze było tylko pięć osób. Dyrekcja zadecydowała, aby semestru nie otwierać. Cóż miałem począć? Brakowało mi szybkiej i dobrej rady. Trzeba było się na coś zdecydować, jeżeli się nie chciało wracać do koszar - a ja nie chciałem wracać. Chciałem poradzić się ojca. Pojechałem natychmiast do Sławna. Gdy siostra otworzyła mi drzwi, pomyślała w pierwszym momencie, że oblałem egzamin. Wszedłem do gabinetu ojca, by podzielić się z nim "radosną" nowiną ze Szczecina. Szczęście znowu stanęło po mojej stronie. Pacjent (żołnierz), który właśnie siedział w fotelu dentystycznym, usłyszawszy o moim pechu, włączył się do naszej rozmowy. Przypadkowo był to saksoński architekt - poradził mi, bym udał się na naukę do Drezna. On sam również ukończył tam studia i z przekonaniem polecił mi tę właśnie szkołę. Odebyła się decydująca rozmowa telefoniczna na linii Sławno - Drezno.

3.2.1 Drezno

6 października udałem się w podróż do Drezna. Dzięki pomocy mojej kuzynki Ursel Klemz, która we wcześniejszych latach przebywała w jednym z pensjonatów w Dreźnie - udało mi się jeszcze dostać pokój w "Hotelu Schiller". Był to najnowszy hotel w tym mieście - nowoczesny, z pełnym komfortem. We wspałym pokoju z balkonem i łazienką czułem się wybornie. Zaraz jednak następnego dnia udałem się na poszukiwanie "budy", ponieważ nie chciałem zbyt długo nadwierać portfela ojca.

Moje starania przerwały 7 października pierwsze naloty bombowe na miasto. Mieszkałem w Dreźnie zaledwie od 24 godzin. Opuścił mnie dobry nastrój. Od

samego początku byłem oczarowany miastem, czyżby miało się teraz i ono zamienić w gruzy i popiół? Na szczęście był to tylko "mały" nalot. Ucierpiała dzielnica Friedrichsstadt. Ja siedziałem w tym czasie w bunkrze na dworcu kolejowym Neustadt. Wszystko drżało od spadających bomb, dzięki Bogu na tym się skończyło w naszym schronie. Mieszkańcy nie chcieli dopuścić do siebie myśli, że również i Drezno miałby spotkać podobny los, który dotknął już dziesiątki innych niemieckich miast.

Uszkodzone ulice, trupy w trafionych przez bomby domach miały być ostrzeżeniem dla tych, którzy do tej pory nie wierzyli, że wojna powietrzna dotrze i do ich progów.

Pierwsze przerażenie minęło. Udałem się na dalsze poszukiwanie "budy". Wskazówki ze związku studentów miały pomóc mi w przedsięwzięciu. Mój nowy adres brzmiał: Drezno-Neustadt, Villierstr.19 - mały, przytulny pokój u pani Winkler. Gospodyni była miłą, spokojną damą z dużym wyrozumieniem dla młodych ludzi. Jako wdowa po drezdeńskim architekcie, miała dodatkową sympatię dla osób z tej branży. Z pokoju w Hotelu Schiller zrezygnowałem. Z okna pokoju u pani Winkler miałem bezpośredni widok na posiadłość Cyrku Sarrasanni, który miał stałą siedzibę w Dreźnie.

Drezno było w tym czasie miastem szpitali wojskowych. Dla żołnierzy prezentował Sarrasanni swój kompletny program. Pani Winkler miała dobre układy z dyrekcją cyrku, kilka razy zorganizowała mi wolny wstęp na przedstawienia.

Rozpoczął się dla mnie piękny, ale jednocześnie bardzo trudny czas. Po prawie 44-miesięcznej wojaczce, mogłem wreszcie swobodnie odetchnąć. Byłem wprawdzie na urlopie, ale byłem cywilem. Miałem uczucie, że wszystko, co teraz czynię, robię wyłącznie dla siebie. Na pierwszym semestrze studiów było nas 16 osób: ośmiu inwalidów wojennych i ośmiu młodszych kolegów, którzy jeszcze nigdy nie nosili wojskowego munduru. Towarzystwo było w porządku. Szczególnie dobrze rozumieli się "starzy weterani". Wykładowcy byli dla nas uprzejmi, przystępni i sprawiedliwi. Lepszego stosunku wykładowca - uczeń nie można było sobie życzyć. Mijały tygodnie. Powoli przyzwyczajałem się do nowej rzeczywistości. Praca sprawiała prawdziwą przyjemność. Często nie starczało dnia, aby wykonać zadane prace i rysunki. Zawsze pojawiały się jakieś trudności. Materiał rysowniczy był racjonowany, literatura fachowa trudno dostępna. Mimo tych utrudnień, naszym celem było ukończenie semestru.

Mój kolega Dubeck z Aussig miał amputowaną nogę. Często siedzieliśmy razem u mnie w niezbyt ciepłym pokoju nad trudnymi zadaniami.

Drezno miało do zaprezentowania dużo imprez kulturalnych i sportowych. Weekend w tym mieście był dla nas przerwą na prawdziwą rozrywkę. Od czasu do czasu spotykałem się z moją znajomą z Lipska (Leipzig) Rotraut von Krieger. Rewanżowałem się jej za odwiedziny w Sławnie i w Szwed n/Odrą.

W niedzielę chodziliśmy często na stadion sportowy DSC (Dresdner-Sport-Club). Wielu znanych sportowców należało do tego klubu: niezapomniany niemiecki biegacz Rudolf Harbig, sprinterka Käthe Krauss. DSC był w 1943 i 1944 roku mistrzem Niemiec w piłce nożnej. Bardziej znani piłkarze to Willibald

Kress, Helmut Schön i nie zapomniany król strzelców, Richard Hofmann - w 1944 roku widziałem go na żywo w grze.

Do innych urozmaiceń w mieście należały kina i teatry, były one z reguły zaw sze przepełnione. Słynna opera drezdeńska (Maria Cebotari) była niestety zamknięta.

Wspaniałym celem wycieczek był "Der Weiße Hirsch" (Biały Jeleń), wjeżdżało się nań kolejką linową. W "Luisenhof" panowała miła atmosfera, można było tam jeszcze dobrze zjeść (na talony!). Z tarasu widać było płynącą Elbę - u jej brzegu, w całej swej rozciągłości leżało Drezno. Ten widok robił na mnie zawsze duże wrażenie. W to miejsce udawałem się często i chętnie. Spacer po mieście w wolnej godzinie był dla mnie wielką satysfakcją. Wspaniałe, pełne kunsztu budowle budziły uznanie dla ich twórców. Nie wiem, czy jakiegolwiek inne niemieckie miasto miało do zaproponowania tyle dostojnej architektury. Wraz z naszymi asystentami często korzystaliśmy z "lekcji na żywo". Słynna barokowa budowla Zwinger, opera państwowa, zamek i kościół NMP - to tylko niektóre dzieła architektury Balthasara Neumanna z czasów Zygmunta Mocnego. Drezno było bardzo profitowane przez tego władcę, z tamtych czasów pochodzą też główne zabytki. O samym królu krążyło wiele anegdot i plotek. Krążyła pogłoska, że August Mocny w samym tylko Dreźnie miał około 300 nieślubnych dzieci...

Pewnego dnia czekał na mnie w pokoju list z miejscowej komendantury. Cóż to miało znaczyć? Ciarki przeszły mi po plecach. Moje obawy okazały się bezpodstawne. Z oddziału rezerwy ze Szwed nadeszło zawiadomienie o przyznaniu mi odznaczenia. Miałem zgłosić się w miejscowej komendanturze. Mój mundur wisiał w szafie, przyzwyczaiłem się już do roli cywila i na to spotkanie nie chciałem robić wyjątku, pomaszerowałem tam w płaszczu, kapeluszu i o lasce. Zjawili się tam żołnierze różnych stopni. Oprócz mnie był jeszcze jeden cywil, trochę poczuliliśmy się nieswojo, ale nikt z tego powodu krzywo na nas nie patrzył. Mimo że byłem pod krawatem, zostałem mianowany na podoficera. Żelazny Krzyż - już dawno temu przyznany, jeszcze w starej mojej jednostce - znalazł mnie tu w Dreźnie.

Czas upływał szybko. Dzień za dniem, tydzień za tygodniem. Z pracą byliśmy zagrzebani po uszy, ale wszystko się względnie dobrze udawało. Pewnego dnia moja stara rana zaczęła nieoczekiwanie krwawić, do tego silne bóle i gorączka, musiałem położyć się do łóżka. Od czasu pobytu w szpitalu wojskowym zdarzyło mi się to po raz pierwszy. Utykałem znowu o dwóch laskach. Chciałem koniecznie do domu. Pani Winkler odprowadziła mnie wczesnym rankiem do pociągu i wieczorem byłem już w Sławnie. O moim przyjeździe uprzedziłem rodziców telefonicznie, ale o moim stanie zdrowia nie wspomniałem słowem. Zdumieni i zatroskani przywitali mnie na dworcu. Byłem zadowolony, że znowu mogłem być w domu. Następnego dnia trafiłem natychmiast do szpitala. Przyjął

mnie nasz znajomy lekarz, dr Schmidt⁸⁰. Dowiedziałem się, że podobna sytuacja może mi się jeszcze kilkakrotnie powtórzyć. W każdym razie musiałem się na trzy tygodnie położyć do łóżka.

Po całej tej historii wróciłem do Drezna. Do końca semestru pozostały jeszcze trzy miesiące. Miałem pełne ręce roboty, musiałem dużo nadrobić - często siedziałem nad książkami do późna w nocy. Pani Winkler parzyła mi znakomitą kawę (w Saksonii potrafią to dobrze robić!). Krótco przed Bożym Narodzeniem uwinąłem się z zaległościami. W szkole mieliśmy 10 dni ferii - oczywiście pojechałem do domu. Tu spędziłem święta, było wspaniale! Nie było z nami mojego brata, bardzo za nim tęskniłem - był on tam, gdzie miliony innych żołnierzy w szóstym roku wojny. Mnie obdarzył los szczęściem, że święta mogłem spędzić w domu, wśród rodziny i przyjaciół.

W Wigilię poszliśmy tradycyjnie z naszymi przyjaciółmi, państwem H.M. Boldt na Pasterkę do naszego kościoła mariackiego. Któż z nas mógł wówczas przewidzieć, że ten właśnie kościół, który już liczył 500 lat w kilka miesięcy później, w końcowej fazie wojny stanie w płomieniach? Któż z nas wówczas podejrzewał, że będzie to ostatnie Boże Narodzenie w naszej ojczyźnie, w naszym domu? Kto przeczuwał, że zdobycie i "wyzwalanie" prowincji Pomorze przyjmie taką postać? Nikt tego nie wiedział!

W noc sylwestrową 1944 roku dzwony starego, dostojnego, gotyckiego kościoła wybiły północ, nastał nowy rok 1945 - nie wiedzieliśmy jeszcze, że będzie on dla nas tak bardzo okrutny, najokrutniejszy. Rok bolesny dla mnie i dla mojej rodziny, wielu znajomych i przyjaciół, dla mojego miasta rodzinnego i ludności całego Pomorza, która zamieszkiwała te obszary już od wielu setek lat. 1945 rok zniszczył oblicze naszej prowincji wraz z jej kwitnącymi wsiami i miastami. Były to przerażające czasy dla niemieckiego Wschodu i całego niemieckiego narodu.

4. Bolesny rok 1945

4.1 Styczeń - Radziecka ofensywa zimowa

Stary rok odszedł, nastał nowy... 2 stycznia skończyły się moje ferie świąteczne. Wracałem do Drezna.

Już 3 stycznia zabrałem się z zapałem do pracy, szybko wpadłem w jej rytm. Pod koniec lutego kończył się semestr, trzeba było się porządnie wysilić.

6 stycznia odwiedziła mnie niespodziewanie Rotraut von Krieger, która po urlopie bożonarodzeniowym wracała z Schwerin przez Drezno do Lipska. Zawsze, gdy byliśmy razem, dochodziło do politycznej debaty. Rotraut była realistycznie przewidująca, ciągle przeciwstawiała się pesymizmowi obecnego reżimu. Do tej pory jej prognozy się sprawdzały. Wydarzenia, które miały obecnie miejsce, były trudne do pojęcia - nikt nie ważył się otwarcie wyrażać swych przypuszczeń. Tylko podczas rozmowy w cztery oczy można było pozwolić myślom się oswo-

⁸⁰ dr Erich Schmidt, lekarz w prywatnej przychodni lekarskiej, Stolper Vorstadt 31 (obecna ul. Gdańska), jednocześnie chirurg w miejskim szpitalu

bodzić. Podświadomie miało się uczucie pewnego niesmaku. Istniało jeszcze coś niepojętego, coś co poruszało naszą duszę, coś czego nie można było jeszcze skonkretyzować, bo nie przyjęło jeszcze swej właściwej postaci. O tym debatowaliśmy z Rotraut podczas naszego ostatniego spotkania - już jej nigdy więcej nie zobaczyłem.

Każdy Niemiec był zakłopotany losem narodu. Najbardziej frapowała nas sytuacja naszego frontu na Wschodzie. Z niepokojem była oczekiwana zapowiedziana zimowa ofensywa Rosjan. Panowała tzw. cisza przed burzą. Osobiście przeżyłem już dwie zimowe ofensywy, mogłem podejrzewać, co oznacza długie zastanawianie się radzieckich oddziałów.

Mój semestr został zawieszony. Z powodu kłopotów z opałem zamknięto na tydzień wszystkie drezdeńskie szkoły. 13 stycznia⁸¹ jechałem ponownie do Sławna. W domu byli znowu zdumieni moim pojawieniem się. W międzyczasie rozgłośnia radiowa informowała: "Rosjanie na całym froncie wschodnim w natarciu..."

Niewiele zdawało sobie sprawę ze znaczenia tego zdania. Czy było jeszcze w ogóle możliwe, by nasze armie mogły to wejście zatrzymać?

16 stycznia 1945 roku miałem jeszcze tę przyjemność, móc wspólnie z rodziną obchodzić 56 urodziny wujka. Mój pocziwy "wujek Alla" Klemz⁸², brat mamy, był przez nas wszystkich bardzo lubiany i jego urodziny były dla nas czymś szczególnym. Tak było i tego roku, zjawili się liczni goście, tylko nastroju z poprzednich lat, niestety, brakowało. Gdy wyjrzało się z okna, widziało się kolumny wozów, które już od paru dni ciągnęły z Prus Wschodnich (Ostpreußen) w kierunku zachodnim. Na dworze panował lodowaty chłód - wędrujące kolumny nie miały dużego wyboru: oni już byli bezdomni! Surowa przemoc zadecydowała o ich losie. Część Prus Wschodnich była już w morzu ognia. My obchodziliśmy urodziny wujka. Ciocia przygotowała znakomity poncz truskawkowy, wprowadził on nas jeszcze na kilka godzin w inny nastrój, wg motta: "cieszcie się jeszcze wojną, bo pokój będzie okrutny!"

To było ostatnie święto w naszej rodzinie. Ten piękny dzień zakończył się ze złymi przeczuciami w podświadomości. Zmagania na froncie wschodnim przybierały z każdym dniem coraz to okrutniejsze oblicze. Rosjanie byli nadal w natarciu. W ogromnym napięciu oczekiwaliśmy codziennie aktualnych wiadomości w radio. Były one zawsze niestety "nie wprost" i nie mówiły prawdy. Brakowało nam jasnego obrazu całego położenia. Z radia dowiedziałem się, że podczas mojej nieobecności w Dreźnie miały tam miejsce liczne naloty bombowe i to dokładnie 16 stycznia! W cztery dni później byłem już ponownie w Dreźnie i na szczęście zastałem tam wszystko w takim samym stanie, jak przed wyjazdem do Sławna - tak wiarygodne były nasze informacje radiowe...

Podczas kolejnej podróży ze Sławna towarzyszyły mi mieszane uczucia. Wie-

⁸¹ 12.I.1945 roku rozpoczęło się wielkie natarcie Armii Czerwonej z przyczółka mostowego Baranowa

⁸² Albert Klemz, właściciel drogerii i sklepu delikatesowego przy Kösliner Str. 6 (*obecna Jedności Narodowej*)

działem, że Rosjanie są już zaledwie kilkaset kilometrów od moich rodzinnych stron. Wiedziałem także, że sytuacja jest bardzo poważna, byłem świadomy wielkiego niebezpieczeństwa. Wróg wkroczył już też na Śląsk. Śląscy uciekinierzy przepełnili Saksonię. W Dreźnie było jak w mrowisku. Setki tysięcy ludzi było w drodze na Zachód, zatrzymywali się w murach jeszcze bezpiecznych miast. Po moim powrocie dni nie były już tak piękne, jak uprzednio. Czas mijał na bezowocnych debatach o aktualnej sytuacji. Nikt nie miał już ochoty do nauki. Nauczyciele i uczniowie zwiesili głowy. Inicjatywa załamała się, każdy widział już blisko za plecami radzieckie walce. Upadek niemieckiego Wschodu był już widoczny. Pogłoski, że wszystkie drezdeńskie szkoły i uczelnie mają być zamknięte, potwierdziły się. Pomieszczenia miały stanowić zaplecze dla nadciągających do miasta mas uciekinierów. Konkretnie kręgi studenckie buntowały się przeciwko tym zarządzeniom. Nie brali oni pod uwagę, że i im może się coś podobnego przytrafić i to już w bardzo niedalekiej przyszłości. Że i oni nie pytani, wbrew własnej woli, zostaną bez dachu nad głową.

W międzyczasie Rosjanie wkroczyli na Pomorze. W Dreźnie nie mogłem znaleźć spokoju, siedziałem jak na szpilkach. Wszystkie pocieszające słowa i rady pani Winkler nie przekonywały mnie. Moja gospodyni była jeszcze dobrej myśli i wierzyła w "wielki cud". Dla mnie sprawa była już jasna, ostatnie domki z kart zawaliły się. 25 stycznia byłem jeszcze dwie godziny na wykładzie, potem udałem się do dyrektora szkoły prof. Rauda, opowiedziałem mu o swoich zamiarach powrotu do Sławna. Profesor okazał pełne zrozumienie, nasza szkoła miała być już wkrótce zamknięta, nie było potrzeby mnie tutaj zatrzymywać. Sytuacja była poważna. "Panie Mielke, jedź pan z Bogiem, życzę panu wszystkiego dobrego. Miejmy nadzieję, że się jeszcze kiedyś spotkamy!" Po tych słowach profesora przeszły mi ciarki po plecach. W szkole przekazałem swoje rzeczy mojemu koledze Dubeck, ale i on miał zamiar w najbliższych dniach opuścić Drezno, podobnie jak wielu innych. Nasz semestr rozleciał się, cała szkoła była w rozłamie. Tutaj miałem zamiar zdobyć wykształcenie zawodowe, nie podejrzewałem, że tak szybko "zakończę" naukę.

Pani Winkler była smutna z powodu mojej decyzji, ale dobrze rozumiała moje położenie. "Panie Mielke, to już chyba będzie nasze ostatnie pożegnanie..."

Po raz ostatni poszedłem do mojego ulubionego lokalu "domu szaleńców" i zamówiłem sobie pożegnalny posiłek. Wszystkie moje rzeczy, ubrania, itp. zostawiłem u swojej gospodyni. Dwie wspaniałe uwędzone piersi pomorskich gęsi powędrowały do komory pani Winkler. Potem nastąpiło pożegnanie, zroszone wieloma łzami. Tylko z jedną aktówką pod pachą udałem się na dworzec główny.

Jechałem do domu z zamiarem, że na wypadek wkroczenia Rosjan do Sławna, zabralbym całą moją rodzinę do Drezna. Pani Winkler była gotowa, odstąpić nam swój największy pokój. O , jakże byłem wówczas jeszcze naiwny!

Pociąg dalekobieżny z Pragi miał osiem godzin spóźnienia! Przybył totalnie przepełniony. Na Dworcu Drezdeńskim nie wolno było się nikomu do pociągu dosiąść. Tylko dzięki pomocy i wstawiennictwu siostry Czerwonego Krzyża do-

stałem jeszcze miejsce w uszkodzonym przedziale. Szczęście, że nie miałem przy sobie żadnego większego bagażu, bo korytarze były tak zapchane, jak kiszka kielbasy.

O 18.00 pociąg przybył do Berlina. Na razie wszystko szło gładko. Do następnego pociągu miałem jeszcze kilka godzin czasu. Postanowiłem na krótko wstąpić do cioci Lotte i wujka Ericha Storbecka, mieszkali oni w Berlin-Adlershof. Oboje zrobili duże oczy, gdy zjawiłem się przed drzwiami ich mieszkania, ale naprawdę się ucieszyli z tej niespodzianki. Ciocia zaserwowała sutą kolację. Wówczas już i w Berlinie kiepsko było z zaopatrzeniem, nie chciałem ich zbytnio wykorzystywać, ale ciocię obchodziło tylko jedno - bym najadł się do syta. Obiecałem im zrewanżować się w Sławnie, w czym na pewno pomoże mi mama.

Czas szybko zleciał, trzeba było znowu śpieszyć się na pociąg. Dworzec Szczeciński (Stettiner Bahnhof) zapelniony był podróżującymi. Pociągi były przepełnione. Ledwo co zająłem miejsce w przedziale, słychać było alarm przeciwlotniczy. W Berlinie było to już na porządku dziennym.

Z pociągu do schronu - ze schronu do pociągu! Alarm nie trwał długo, pociąg mógł już zaraz ruszać.

26 stycznia 1945 roku przybyłem z siedmiogodzinnym opóźnieniem do Sławna. Oddziały radzieckie zbliżyły się w tym czasie w szybkim tempie, były już na pograniczu z Polską i kierowały się w stronę Frankfurtu n/Odrą. Pod Szczecinkiem i Człuchowem (Neustettin, Schlochau) trwały ciężkie walki. Wróg natrafił w przygranicznym kraju na mały opór. Byłem zdumiony spokojem rodziców i mieszkańców Sławna. Ludność Drezna i Berlina była już wtedy bardziej doinformowana. Czy wierzano tu, że stanie się cud? Czy wierzano, że naszym pobitym armiom rzeczywiście uda się zatrzymać ofensywę, powstrzymać wejście wroga? Nie, nie zdarzył się żaden cud!

Moja rodzina nie chciała opuścić miasta. Propozycja, by zabrać rodziców, babcię i siostrę do Drezna, nie przeszła. Ciężko było im podjąć szybką decyzję, by wszystko nagle porzucić. Codziennie na ulicy widać było dużo cierpienia. Padał śnieg, dni były szare, termometr wskazywał 20 stopni poniżej zera. Pochody uciekinierów z Prus Wschodnich snuły się ulicami, jak cienie duchów. Szli oni dniem i nocą w kierunku Szczecina i potem jeszcze dalej na Zachód. W południowo-wschodnich Niemczech ten sam obraz: z Górnego Śląska (Oberschlesien) w kierunku Drezna. Przydrożne wsie i miasta były przepełnione. Nie było widać końca tego pochodu cierpienia. Uciekinierzy coraz częściej potrzebowali pomocy. Starcy, kobiety, dzieci... Kto nie mógł podołać temu ciężarowi, umierał w drodze. Ziemia była za mocno zmarznięta, by móc zmarłych pochować. Trupy zostawiano w zaspach. Ludzie z Prus Wschodnich, którzy dotarli do Sławna, nakreślali nam dramatyczne sceny. Znajdowali oni schronienie w naszych domach, mogli się ogrzać i dostawali ciepłe posiłki. Najkrótszą drogą ucieczki była dla nich droga przez mierzęję. Łód na zatoce nie zawsze wytrzymywał ciężar chłopskich wozów. Wielu osobom nie udało się dotrzeć do brzegu, utonęli wraz z końmi i wozami w lodowatej głębi. Nikt nie potrafił oszacować rzeczywistej ilo-

ści ofiar. To bezsensowne cierpienie powinno zostać w przyszłości zarejestrowane jako jedno z najsmutniejszych wydarzeń w niemieckiej historii. Każdy dzień był pełen jęków i rozpacz: na ulicach i na dworcach.



**Rodzice autora wspomnień – Wilhelm i Maria z domu Klemz
na zdjęciu z 1922 roku**

Moi rodzice zdecydowali, że w przypadku strzelaniny w Sławnie, spróbują znaleźć schronienie poza miastem. Naoczni świadkowie z Prus Wschodnich opowiadali o okrutnym traktowaniu ludności cywilnej przez żołnierzy radzieckich - rodzice próbowali mnie i siostrę namówić do opuszczenia miasta, by zaoszczędzić nam okrutnej zniewagi. Nie było w tym żadnej przesady. Brigitte i ja nie chcieliśmy wcale myśleć o takiej wersji, by opuścić mamę, ojca i babcię i samym szukać bezpiecznego schronienia. Tak więc postanowiliśmy, że cała nasza rodzina pozostanie razem: na dobre i na złe.

29 stycznia obchodziliśmy bardzo skromnie 58 urodziny taty. Wielką radością dla nas wszystkich była krótka wiadomość od brata. List nosił datę 3 lutego. Brat poinformował nas, że walczy na froncie wschodnim i jest to już wcale niedaleko od ojczyzny. W głębi duszy mieliśmy nadzieję, że któregoś dnia podjedzie niespodziewanie ciężarówką pod nasz dom, my załadujemy szybko, co najważniejsze i wspólnie z nim uciekniemy...Ta wiadomość od brata była na długi, bardzo długi czas ostatnią od niego wiadomością...

Ucieczka z miasta była w wielu rodzinach tematem numer jeden. Uciekać, czy nie uciekać? Co było właściwe, a co nie? Los podjął za nas tę decyzję.

Nadal istniały możliwości ucieczki drogą morską. Miasta portowe były obleżone cywilami, którzy chcieli załapać się na statek. Z portów w Darłowie i Ustce kur-

sowały codziennie kutry rybackie, małe i wielkie parowce, statki pasażerskie, statki transportowe marynarki handlowej. Dzień i noc, wszystko było przepełnione. Wśród paniki ludzie nie zauważyli niebezpieczeństwa, jakie na nich czekało w Bałtyku. Jednostki marynarki niemieckiej uratowały setki tysięcy osób. Gdańsk i Gdynia były największymi portami. Sowietom nie udało się tam jeszcze dotrzeć - wielu mieszkańców Sławna i okolicy uratowało się drogą morską. 30 stycznia port gdyński opuścił flagowiec "Wilhelm Gustloff". Około 6000 osób czekało na tę szansę dniem i nocą. W większości były to kobiety z dziećmi i ciężko ranni z pobliskich szpitali polowych. Przepełniony statek sunął po Bałtyku, pasażerowie szczęśliwi, że ich długie czekanie na miejsce na pokładzie zakończyło się sukcesem. Gdy zapadła noc, około 12 mil morskich od Ustki czekała na nich śmierć. Radzieckie łodzie podwodne przygotowały zasadzkę - z tego samego miejsca ostrzelały już i inne niemieckie statki. Około 21.00 wystrzeliły trzy torpedy. Noc i morze zostały wzburzone. Strzały były celne. "Wilhelm Gustloff" został porwany w głębinę, a wraz z nim utonęło w lodowatym morzu około 5000 ludzi. Bałtyk stał się ich przypadkiem i ich grobem. 900 osobom udało się uratować życie - zawdzięczali oni je załogom przybrzeżnych statków. Ten wstrząsający przypadek nie odstraszył innych ludzi. Nadal szturmowali oni porty w poszukiwaniu miejsca na pokładzie. Nerwy były nadwężone, odczuwano coraz większy strach.

4.2 Luty - cisza przed burzą

Erika Maatz⁸³ przyjaciółka mojej siostry, musiała zgłosić się do jednostki Wehrmachtu w Turynii. Gdy się o tym dowiedziałem, zdecydowałem, że pojedę razem z nią. Myślałem natychmiast o Dreźnie, miałem tam przecież jeszcze walizkę z cennymi pamiątkami. Była to niezbyt rozsądna decyzja z mojej strony. Dlaczego tak bardzo zależało mi na mieniu osobistym, na materialnych rzeczach, gdy właściwie tylko życie było w tej chwili najważniejsze?

Znajomy Eriki zabrał nas samochodem Wehrmachtu aż do Szczecina - tam wysiedliśmy na dworcu głównym. Ponieważ do tej pory wszystko zgrabnie się układało, byliśmy jeszcze optymistami.

Przez dworcowy megafon usłyszeliśmy zapowiedź: "Podróżni udający się pociągiem do Berlina... proszeni są..." Ta prośba zawierała wszystko, o co można było prosić na dworcu tego wielkiego miasta, które stało się miejscem przelądkowym między Wschodem a Zachodem. Około 1000 osób czekało na peronie na pociągi, jadące do Berlina, także Erika Maatz i ja. Było się proszonym o zachowanie dyscypliny, wsiąść nie do tego tylko do następnego pociągu; przy wjeździe pociągu odsunąć się od toru, pozwolić najpierw wysiąść pasażerom, nie wchodzić przez okna... itd., itd.

Oboje czekaliśmy kilka godzin na pociąg, który miał nadjechać z kierunku Stargardu (Stargard Pom.). Dyscyplina nie została zachowana, wszyscy chcieli wsiąść koniecznie do tego, a nie do następnego. Zaczął się szturm na łeb, na szy-

⁸³ córka Rudolfa Maatza, właściciela sklepu z narzędziami, materiałami budowlanymi, wyposażeniami dla domu, itd., Markt 14/15 (obecnie pl. Kard. Wyszyńskiego)

ję. Był to już ostatni na dziś zaplanowany kurs do Berlina. Normalnie podróż trwałaby dwie godziny - teraz, jak informowała dworcowa zapowiedź, trzeba było liczyć na 17-18 godzin jazdy!

Erika została wciśnięta w tę ludzką masę, ja musiałem zrezygnować. Moje prawe udo nie wytrzymałoby tego wysiłku. Było to 22 lutego. Tę noc spędziłem w Szczecinie. Następnego dnia znowu próbowałem swojego szczęścia - znowu bez powodzenia! Pociągi z kierunku Stargardu nadjeżdżały już przepełnione uciekinierami. Miasto to leżało na głównym szlaku Gdańsk-Szczecin i znajdowało się pod bezpośrednim ostrzałem radzieckiej artylerii. Moja szaleńcza podróż zakończyła się tutaj w Szczecinie, jak wrócić teraz do domu? Przejazdne były tylko boczne odcinki, a i tutaj jeździło mało pociągów. Dorwałem pociąg towarowy, teraz nie odgrywało to dużej roli, byle naprzód! Wieczorem wylądowałem w Kołobrzegu (Kolberg). Zrobiła się z tego kilkudniowa podróż. Dokąd teraz w nocy? Poczekalnia była przepełniona, wszyscy ludzie byli w rozterce. Hotele i restauracje również zajęte.

W tę mroźną, lutową noc Kołobrzeg zrobił na mnie niesamowite wrażenie. W pamięci miałem lepszy obraz tego pięknego, bałtyckiego kąpieliska z czasów pokoju. Mnie, młodemu chłopcu, wydawało się tu wytwornie, nie potrzebowałem luksusu i światowego komfortu. Tego rodzaju idylliczne miejsca były piękne i oryginalne, można było się tu swobodnie poruszać. W tę noc bezmyślnie przemierzałem ulice, z nadzieją, że w końcu znajdę jakiś kąt na nocleg. Jeden z napotkanych patroli wojskowych skierował mnie do klubu żołnierskiego. Tu znalazłem schronienie - minęła już prawie cała noc, o spaniu nie było mowy. Przez pomieszczenia przechodziły co rusz patrole i odgrywały się tu okropne sceny.

Wojacy po mojej lewej i prawej stronie przebąkiwali, że Kołobrzeg ma prawdopodobnie zostać twierdzą, czekano tylko na rozkaz Führera. W Berlinie myślano chyba o wojnie siedmioletniej, kiedy to miasto Kołobrzeg trzy razy było obleżone przez Rosjan i w 1761 roku zdobyte. Chciano chyba świadomie grać rolę Nettelbecka, wielkiego bohatera i syna tego miasta. Mówiło się tu teraz dużo o tym pruskim patriocie, urodzonym tu, w Kołobrzegu, który razem z pruskim wodzem Gneisenau w 1807 roku bronił skutecznie Kołobrzegu przed Napoleonem. Ja myślałem o tym podczas mojego nocnego marszu przez miasto, kiedy przechodziłem obok kina. W kinie grano od rana do wieczora film „Kolberg”⁸⁴ (w roli głównej nasz rodak ze Szczecina Heinrich Georg). Dla mnie było już za późno, oglądać ten film - i to dosłownie. Po pierwsze czasowo, a po drugie tego typu ekranowi bohaterzy nie byli w stanie rozpaścić mojego patriotyzmu. Już mnie to więcej nie wzruszało!

W to przepełnione żołnierzami miasto bliskość frontu wprowadzała nerwowość. W klubie żołnierskim panowała hektyczna atmosfera. Patrole dokonywały nie-

⁸⁴ „Kołobrzeg”, niemiecki film zrealizowany przez Veita Harlana opowiadający o bohaterskiej obronie twierdzy Kołobrzeg przez wojsko i mieszkańców miasta przed armią napoleońską w 1807 roku

ustannie kontroli dokumentów. Niektórzy żołnierze już z przepustką w kieszeni, byli ponownie kierowani do koszar. Byłem zadowolony, że na dworze już świtało. Po zjedzeniu talerza ciepłej zupy udałem się natychmiast na dworzec. Rankiem miał jechać pociąg towarowy do Białogardu (Belgard). Musiało mi się konieczne udać nim zabrać.

Z kasyna dostałem nawet, jako były żołnierz w cywilu, prowiant na drogę. Byli jeszcze wspaniałomyślni w ostatnich dniach życia tego miasta. Choć sam nie palę, bardzo ucieszyłem się z papierosów, mogłem ich ewentualnie potrzebować dla pracowników kolejowych - dla czegoż by nie mieli przyjąć podziękowania za pomoc? Pociąg towarowy, który przywiózł zaopatrzenie dla Kołobrzegu, zaraz po kilku godzinach miał wracać. Pomyślałem, że "lepiej się dusić w smrodzie, aniżeli marznąć na chłodzie" i ogrzałem się porządnie w przepełnionej poczekalni.

W pociągu towarowym otrzymałem "specjalny przedział" u hamulcowego. Twardo i zimno, w lutym to żadna przyjemność, ale jechało się przynajmniej naprzód, w kierunku domu, gdzie na pewno się już o mnie martwiono. Przybyliśmy pod Białogard, pociąg czekał, aż odcinek będzie wolny - podczas jazdy zdarzyło się to częściej. Przez Koszalin (Köslin) przejechał powoli, w Sianowie (Zanow) został jeszcze częściowo załadowany, krótko przed Sławnem jeszcze raz się zatrzymał, ale za to w samym Sławnie nie! Byłem gorzko rozczarowany. Pod przejazdem widziałem ulicę Polanowską (Pollnower - Straße). Na lewo nr 20, gdzie mieszkała moja młodzieńcza miłość. Dalej most drewniany... ładnie, powolutku - przed laty wyskoczyć, nie byłoby żadnym problemem, ale teraz z moją chorą nogą było to wykluczone! Po prawej stronie przy moście drewnianym widziałem łaźnię, nowy basen kąpielowy (kąpiel borowinowa, błotna). Po lewej stronie było nasze boisko sportowe, to nowe, które zostało rozbudowane do rozmiarów małego stadionu. Z tyłu została nowa szkoła z jedyną, nowoczesną halą sportową. Potem było stare boisko, nazywano je miejsko-szkolny plac zabaw. To było tam, gdzie w głębokim piachu graliśmy w piłkę nożną i ręczną. Dopiero po ośmiu deszczowych dniach plac był zdatny do gry - ale to był "nasz plac" i każdy przeciwnik miał tu ciężko.

Na skraju drogi, pod drzewami widziałem dwóch emerytowanych urzędników pocztowych: Luhff⁸⁵ i Radtke⁸⁶, dalej stał Schwichtenberg⁸⁷ oraz spedytory od Raddatza⁸⁸.

Z tyłu widziałem nasz kort tenisowy, gdzie na krótki czas przed wojną rozegrałem kilka meczów z moim przyjacielem Otschem. W lasku było nasze "Penne" (gimnazjum) z salą gimnastyczną, kasyno (obecnie szkoła rolnicza), po lewej kąpielisko nad Wieprzą i przy przejeździe przez most kolejowy było widać drewniany most na Wieprzy. Przez ten most przejeżdżał codziennie do szkoły nasz przyjaciel Günther Raasch ("Papa") z Warszkowa (Alt Warschow). Pewnej

⁸⁵ Julius Luhff, naczelnik poczty, Kirchstr. 1 (*obecna ulica Kościuszki*)

⁸⁶ Franz Radtke, urzędnik pocztowy, Stolper Vorstadt 41 (*obecna ul. Gdańska*)

⁸⁷ August Schwichtenberg, handlarz bydłem, Mauerstr. 5 (*obecna ul. Basztowa*)

⁸⁸ Gerhard Raddatz, spedytory, Adolf-Hitler-Str. 42 (*obecna ul. Jedności Narodowej*)

niedzieli, a było to jeszcze na długo przed rozpoczęciem wojny, padły tu na moście wielkie słowa. Papa Raasch filozofował z naszym przyjacielem Otschem. Widocznie nie mieli nic innego do roboty. Raasch stał oparty o barierkę mostu i przyglądał się płynącej do Bałtyku Wieprzy. Wynikiem tych filozoficznych myśli były patetyczne słowa: "Wiesz, Otsch, my żyjemy przecież w wielkich czasach!" Ta emocja już dawno wygasła w naszych sercach. Przewinęło się jeszcze kilka innych emocji i wspomnień z czasów szczęśliwej młodości. Mój pociąg jechał jednak dalej. Już porządnie przemarzłem. Po prawej stronie pojawił się las, a w nim strzelnica. Gustaw Tilgner wybudował ją dla i z pomocą koła strzeleckiego. Artysta malarz Dankert namalował sławieńskich strzelców na ścianie wnętrza, w prawie że w naturalnych wielkościach. W tym lasu znaleźmy każde drzewo, krzew i ławkę - jak własną kieszeń.

Przy drodze do Słupska szlabany były opuszczone. Na lewo mały domek dróżnika Höpnera⁸⁹ - po prawej stronie mieszkał Papa Raasch. Pociąg przejeżdżał powoli przez Hästerkathen⁹⁰, był on celem wycieczek spacerowiczów i klas szkolnych. Paul Steinhorst⁹¹ prowadził tu gospodarstwo rolnicze i posiadał mały lokal gastronomiczny k/Warszkowa.

"Koła muszą się kręcić dla zwycięstwa!" - takie hasło było wypisane białymi literami na naszej lokomotywie. Marzenie o zwycięstwie już wygasło, mimo iż koła jeszcze się kręciły.

Przejechaliśmy przez dworzec we Wrześnicy, do Słupska było jeszcze około 30 minut jazdy. W Reblinie ukazał się utęskniony znak "stop". Głodny, spragniony i przemarznięty opuściłem jak najprędzej "specjalny przedział 5 klasy". Teraz trzeba obrać kierunek na Sławno. Będzie ze 20 km. Pociąg w tamtą stronę przejechał mi właśnie koło nosa. Zatelefonowałem do domu. Rodzice byli już porządnie zaskopotań. Najpierw pieszo, potem końmi i wozem dojechałem pod wieczór do Warszowa - byłem więc już jedną nogą w domu. Podróż Szczecin-Sławno, trwająca normalnie trzy godziny pociągiem pośpiesznym, potrzebowała tym razem 48 godzin. "Przedsięwzięcie Drezno" spaliło na panewce. Nigdy więcej już nie ujrzałem tego miasta. Florencję nad Elbą zachowałem na zawsze w moim sercu. Dopiero prawie w rok później dowiedziałem się, że bombardowania prawie całkowicie zniszczyły to przepiękne miasto - miało to miejsce 13 i 14 lutego 1945 roku. Wiadomości Wehrmachtu na dzień 15 lutego 1945 roku były zwięzłe i w żadnym wypadku nie odpowiadały rozmiarowi katastrofy: "Brytyjczycy skierowali minionej nocy ataki terroru na obszar miasta Drezna". W domu zbagatelizowaliśmy tę wiadomość, prawdopodobnie ze względu na jej krótką formę. W pierwszej kolejności brytyjskie, potem amerykańskie bomby zamieniły Drezno z 13 na 14 lutego w piekło. Trzecia fala nalotów, która chciała kontynuować to okrutne dzieło, musiała ze względu na zbyt wysoki ogień nad miastem, dokonać odwrotu. Drezno przestało być miastem, było jedną, wielką kupą

⁸⁹ Karl Höpner, zwrotniczy, Stolper Chaussee, obecnie część ulicy Gdańskiej

⁹⁰ Podlaski, gospodarstwo chłopskie w pobliżu Warszowa przy torach kolejowych

⁹¹ Paul Steinhorst, gospodarstwo i zajazd, Alt Warschow(*obecnie Warszowa*)

gruzów i wspólnym cmentarzem dla wielu tysięcy osób. Do końca nie poznano dokładnej liczby ofiar: spalonych żywcem, uduszonych, przywalonych padającymi murami. Naloty na Drezno należały wówczas do "programu strategiczno-politycznego", opracowanego przez brytyjskiego marszałka lotnictwa, Harrisa.

Zniszczenie Drezna było okrutną wersją wojny. Militarnie było ono w pełni bezsensowne. Nie w Hiroszimie, nie w Nagasaki - w Dreźnie miała miejsce najstraszniejsza masakra. Trzeba będzie jeszcze zadać pytanie o sens i bezsens tej niszczycielskiej akcji, pytanie o polityczną odpowiedzialność i moralną winę.

Gerhart Hauptmann w końcu lutego 1945 roku powiedział:

Kto zapomniał, czym jest płacz,

ten nauczy się go znowu przy upadku Drezna.

Owa gwiazda poranna młodości

przyświecała do tej pory światu.

Ja płacę.

Płacz nikomu nie zaszkodzi,

nawet najwięksi bohaterowie historii

nie wstydzili się swoich łez.

Nadszedł martwy czas, siedziało się beczynnym w domu i przyglądało biernie nadchodzącemu nieszczęściu. Już sporo osób opuściło do tej pory miasto, niektórzy koleją, część statkami, a inni jeszcze ciężarówkami Wehrmachtu. Osoby, znajdujące się na odpowiedzialnych stanowiskach (przedsiębiorcy, lekarze, działacze miejscy, itd.) nie mogli opuścić miasta bez oficjalnego rozkazu. Do tej grupy należał również i mój ojciec.

Ponoć miały być wstawione nowe armie i dywizje SS, by bronić Pomorza. Nic z tego nie odpowiadało prawdzie. Zwierzchnictwo zapędziło naród bez cienia odpowiedzialności w ciemność. Można było jedynie przypuszczać, że tzw. dowództwo też zbyt wiele nie wiedziało, dlatego też to milczenie. Nasze godziny były już policzone, wszystko inne było tylko złudzeniem. Wszelkie zapasy i rezerwy były już głęboko naruszone. Żył się trochę na luzie. Wśród przyjaciół i znajomych rosło rozmowy winem, prawie każdego wieczora spotykano się razem. Ostatnie godziny zadowolenia w naszym rodzinnym miasteczku! Już i one mogły się jutro skończyć!

25 lutego

Magda Georg wróciła ze Szczecina do domu. Następnego dnia odprowadziłem ją na dworzec. Pojechała do swojej matki do Bytowa (Bütow).

26 lutego

Heinz-Günther Jüres, mąż mojej kuzynki Ursel Klemz, przybył na urlop jako świeżo upieczony porucznik wojennej szkoły oficerskiej w Brunn. Przywiózł ze sobą dużo optymizmu. Byliśmy bardzo zdumieni, my nie mieliśmy już żadnych złudzeń. Sroga rzeczywistość wyglądała inaczej. W ciągu następnych 48 godzin i on musiał zrewidować swoje poglądy.

27 lutego

Rosjanie posuwali się w głąb Pomorza. W tym dniu wpadł w ich ręce Polanów (Pollnow) - najbardziej na południu położone miasto w okręgu Sławno. Prawie

cała ludność Polanowa udała się na pieszą ucieczkę i przybyła z podręcznym bagażem do oddalonego o 30 km Sławna.

Tzw. "wał wschodni"⁹² w przeciwieństwie do "wału zachodniego", który powstał dzięki ciężkiemu wysiłkowi kobiet, dziewcząt oraz starców, został zdobyty przez Rosjan od Zachodu, że tak powiem: "podczas spaceru". Nikt ani nic nie stawiało wrogowi oporu.

28 lutego

W Sławnie zaczęto budować barykady. Budowali je ludzie, którzy nie mieli pojęcia, ani żadnego doświadczenia. Jako doświadczony saper potrząsałem tylko głową, ale nie wolno mi było niczego powiedzieć, od tego był nasz burmistrz⁹³. On zaś pędził wysoko na rumaku przez miasto i pokazywał palcem coraz to nowe miejsca na barykady.

W hotelu "Plagentz" zostało ogłoszone zgromadzenie ludności. Zwierzchnik miasta objaśniał sytuację słowami: "Gdy już nie będziemy mieć broni, będziemy bronić naszego miasta widłami i łopatami!" Te wielkie słowa musiał już gdzieś raz słyszeć. Ale gdzież on się później podział podczas "obrony"? Przykro, że muszę to powiedzieć, ale niektórzy nie nadawali się w ogóle na rządowe stanowiska. Było dużo kombinacji. Niektórzy właściciele samochodów otrzymali talony na paliwo, a niektórzy nie.

Główni przedstawiciele sławieńskiej organizacji Todt⁹⁴ urządzali noc w noc orgie w hotelu "Prahlow"⁹⁵, hotel ten został przejęty przez bonzów, właściciel nie miał już nic do powiedzenia. W tym czasie musiały kobiety, dzieci i starcy wypełniać ich zarządzenia i ciężko pracować przy budowie "wału wschodniego"! Te sceny widziałem na własne oczy, podczas ostatnich godzin egzystencji mojego rodzinnego miasta. Akurat teraz, w chwili największego zagrożenia, miasto i jego mieszkańcy potrzebowaliby prawdziwej osobistości, która spokojną, zdecydowaną i silną dłońią uchroniłaby przed chaosem i załamaniem.

29 lutego

Ostatni dzień tego miesiąca!

Naprzeciwko nas, w drugim domu od kowala Lemma, mieszkała Käte Block. O niej to musiałem tego dnia myśleć, bowiem co cztery lata obchodziła swoje urodziny - urodziła się 29 lutego, w przestępnym roku.

Wkrótce trzeba było się rozstać z moim ukochanym Sławnem. Musiałem je pożegnać, nie wiedziałem, na jak długo. Często tęskniłem za nim. Tutaj się urodziłem, tutaj chodziłem do szkoły, miałem swoich przyjaciół, tutaj prowadziłem

⁹² albo pomorski: system rowów i bunkrów, który miał ochraniać obszar okręgu wzdłuż Jeziora Bukowskiego (Buckower See) do Grabowej (Grabow), w kierunku wschodnim

⁹³ Chodzi raczej o przedstawiciela partii, bo właściwy burmistrz Willi Stübs został w 1943 roku powołany do służby wojskowej

⁹⁴ organizacja NS, od nazwiska doktora Fritza Todta, odpowiedzialna za wszystkie budowle na ulicach, umocnienia i miejsca obrony, również za wszystkie partyjne i państwowe zarządzenia

⁹⁵ Znajdował się przy Marktplatz 4/5 (obecnie plac kard. Wyszyńskiego)

pierwsze chłopięce bójki; tutaj Erwin Schaar⁹⁶ uczył mnie jeździć na rowerze; z Fitzem Boldtem⁹⁷ paliłem pierwszego papierosa; tutaj przeżyłem swoją pierwszą miłość; w tym mieście znałem naprawdę każdą ulicę, każdy kąt, każdy kamień i już wkrótce każdą twarz moich 10. 000 współmieszkańców.

Tego ostatniego lutowego dnia było bardzo zimno, powietrze było suche, nie padał śnieg. Biegłem po ulicach, by nałapać jak najwięcej wrażeń i zagrzebać je głęboko w sercu.

Po południu spotkałem Maxa Hasenbuscha⁹⁸. W tym czasie zaprzyjaźniliśmy się. Przebywał teraz w domu u rodziców, miał kłopoty ze zdrowiem, został zwolniony z obowiązku szkolnego. Rozmawialiśmy długo, m.in. o "naszym" kąpielisku w Jarosławcu (Jershöft) i wielu pięknych wakacyjnych dniach na jego plaży. Nasze wspomnienia ożyły. Poszliśmy do niego do domu, piliśmy kawę i dużo wódki. Max pokazał mi przez siebie namalowane obrazy, akwarele, dużo szkiców ołówkowych, które jeszcze nie były ukończone, Pośród nich dużo motywów naszego miasteczka: dużo dróg z drzewostanami - ciągle nie wyczerpane źródło dla wielu malarzy i fotografów, już wcześniej wspomniany most na Wieprzy, zabytki ujęte z różnej perspektywy, wąskie ulice wokół naszego kościoła, plac rynkowy, za dawnych czasów jeszcze z drzewami i fontannami, itd. Rozmowa była interesująca - Max był zdolnym malarzem, ale nie chciał żyć samą sztuką. Sądzę, że był również dobrym pedagogiem, opowiadał chętnie o swojej szkole i o uczniach w Berlinie. Tego popołudnia porządnie sobie popiliśmy, zrobiło się lekko na duszy.

Max Hasenbusch miał dużo planów... ale on wtedy jeszcze chyba nie wiedział, jak bardzo był chory.

Nocą słyszeliśmy po raz pierwszy strzały radzieckiej artylerii. Polanów: nasz ulubiony cel wycieczek, był w rękach wroga. Znajdował się tam piękny stadion sportowy z bieżnią, tam pokonałem kiedyś w biegu na 100 m Güntera Kunerta⁹⁹ i Martina Siedlera. Było to też rodzinne miasto Kurta Österreicha, który uczył się u mojego ojca i później jeszcze przez kilka lat pracował u nas jako technik dentystyczny. Był to naprawdę oryginalny człowiek. Spotkaliśmy się w Związku Radzieckim, byliśmy w tej samej dywizji, piechur i saper. Oboje zostaliśmy ciężko ranni.

Linia frontu znajdowała się teraz przy Janiewiczach (Jannewitz), opowiadano o ciężkich walkach.

4.3 Marzec - katastrofa

1 marca, czwartek

Dzisiaj podjąłem się wyprowadzić nasze kobiety i dzieci z miasta. Barchert,

⁹⁶ Friedrich Schaar, sprzedawca rowerów, Adolf-Hitler-Str.12(*obecna ul. Jedności Narodowej*)

⁹⁷ najstarszy syn Maxa Boldta, właściciela sklepu odzieżowego H.M.Boldt

⁹⁸ najstarszy syn stolarza Otto Hasenbuscha. Max był nauczycielem w jednej z ludowych szkół w Berlinie i należał do kręgu artystycznie zaangażowanych młodych osób, które krytycznie przeciwstawiały się oficjalnej NS-sztuce, ur. się w Sławnie 15.XII.1912)

⁹⁹ uczeń gimnazjum i znakomity sportowiec

woźnica i dozorca u mojego wujka Klemza, wyszykował duży, ogumiony, czterotonowy wóz konny. Moja kuzynka Ursel Jürs, z domu Klemz wraz z córką Gudrun i mężem, pani Künkel¹⁰⁰ z Marianne i z Gundlof oraz moja siostra wyjechali przed południem z miasta, w kierunku Koszalina. Nie posłuchali mojego ostrzeżenia, chcieli załapać się w Koszalinie na jakiś pociąg lub ciężarówkę. Nie można już było wierzyć pogłoskom. Podejrzewam, że nasz świeżo upieczony porucznik, Heinz-Günter Jürs miał jakiś plan, który niestety, albo dzięki Bogu, zakończył się już przy wsi Karwice (Karwitz). Z powodu silnych ostrzałów artylerii droga ta została zamknięta. Po południu wszyscy zdrowi wrócili do domu. Tragiczny koniec został wszystkim uczestnikom zaoszczędzony. Pogrożki strzelców było słychać coraz wyraźniej. Nie wiedzieliśmy, czy to byli nasi, czy Rosjanie. Dla żołnierzy odgłosy strzałów były znajomym dźwiękiem, ale co one miały oznaczać dla kobiet i dzieci? Napięcie wśród ludności było coraz większe. Werner Pomplun¹⁰¹, wygłosił 1 marca na placu rynkowym "mowę do ludu". Zmusiło go do tego otwarte zdanie obywateli. Właściwie nic nowego się nie dowiedzieliśmy. Na końcu swoich wywodów Pomplun zaznaczył, że możemy spokojnie powrócić do domów, niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Poszliśmy do domu, ale nikt nie był uspokojony. W takiej sytuacji człowiek prawy i przywódca partii powinien mieć coś konkretnego do powiedzenia - podobnie, jak my, o niczym nowym nie wiedział. Najtrafniejszą radą w tej godzinie byłoby: "ratuj się, kto może!" Mieszkańcy Sławna na pewno zrozumieliby te słowa, wygłaszanie urojonych haseł, pustych frazesów, czy nawet świadomych kłamstw było bardzo nieodpowiedzialne. Niebezpieczeństwo nie zostało nazwane po imieniu, a było ono już w zasięgu ręki. Oczekiwaliśmy na oficjalne zezwolenie na wolną sprzedaż żywności. Handlowcy, rzeźnicy, piekarze, itd. daremnie na nie czekali. Bez sensu było nadal sprzedawać towar na talony. Ci, którzy zdecydowali się na opuszczenie miasta i ukrycie się w sąsiadujących wsiach, nie mogli się dostatecznie zaopatrzyć w żywność. W sklepach było wszystkiego w wystarczających ilościach. Gdzie byli ci odpowiedzialni, albo jeszcze lepiej, kto był za to odpowiedzialny?

Moja mama często mnie upominała, bym na wypadek, gdyby rzeczywiście trzeba było na szybkiego opuścić miasto, wyszykował nasz duży, drabiniasty wóz. Szczerze mówiąc, nigdy nie traktowałem tej prośby na poważnie. Ten wóz kojarzył mi się zaraz z Guste Abel, "z jedną z najlepszych praczek w Sławnie". Przez wiele lat ciągnęła ona i nasz wózek, załadowany bielizną do prania. Na placu za ratuszem suszyło się zawsze na linkach pełno wypranych rzeczy.

Tak, mama nie myliła się. Co prawda wolałbym naszego opla, ale nie było go już w garażu, został skonfiskowany.

W nocy z 1 na 2 marca nadeszła wstrząsająca rzeczywistość. Z obawy przed coraz bliższym ogniem artyleryjskim, porozumieliśmy się z rodziną Klemz i pod-

¹⁰⁰ Karoline Künkel, Pollnower Str.6 (*obecna ul. Polanowska*)

¹⁰¹ syn właściciela tartaku Hermanna Pompluna, Kösliner Vorstadt 86 (*obecna ul. Koszalińska*)

jeliśmy decyzję, wyprowadzenia kobiet i dzieci z miasta. Duży, czterotonowy wóz mojego wujka doszedł znowu do łask i jeszcze nocą został załadowany. Nasze rzeczy były wykalkulowane, ale była to błędna kalkulacja, wóz był szybko przeładowany. Zapomniało się, że udajemy się na ucieczkę, a nie na wycieczkę. Chciało się zabrać jak najwięcej. Trudno było się w ciągu kilku godzin zdecydować na najpotrzebniejsze rzeczy i być może, że na zawsze rozstać się ze swoimi ulubionymi drobiazgami, dlatego też padały niekiedy nierozsądne decyzje. Wszystkie prośby, by ograniczyć się do tego, co najpotrzebniejsze, były daremne. Padały ostre słowa, jednak rozsądek musiał zwyciężyć. Według surowych zarządzeń każdy członek rodziny mógł zabrać tylko jedną walizkę, na wóz musiała się przecież jeszcze zmieścić żywność i ludzie. Ciocia Missen Klemz wszystkich nas wyprowiantowała.



Rodzina Mielke, od lewej: Wilhelm, Maria (rodzice autora), Werner (brat autora) , babcia, Kurt i Brigitte (siostra Kurta, autora wspomnień)

2 marca 1945, piątek

Moja siostra Brigitte, nasza dzielna babcia - matka mojego ojca (83 lata), nasza kucharka Erna Sill, która pracowała u nas już od 14 lat oraz mama - były pasażerkami tego powozu. We wczesnych godzinach porannych 2 marca, wóz ten opuścił Sławno. Ida Last, była naszą drugą gosposią już od 9 lat, ona nie została z nami. Jej rodzice i rodzeństwo czekali na nią w Warszkwie.

Wszyscy mieliśmy trudny krok do postawienia. Od urodzenia we własnym domu i po prawie trzech dziesiątkach lat nastąpiło teraz pożegnanie z nim. Ciężki etap w moim życiu. Nie miałem jeszcze żadnego celu, przede mną było niewyobrażalne niebezpieczeństwo dla ducha i ciała. Moja mama trzymała się dzielnie, opuszczała "jej dom", być może, że na zawsze. Któż nie zna twarzy swojej

matki, aby w takiej sytuacji móc z niej odczytać, co w danym momencie przeżywa.

Matko - Twoje drogi,
którymi teraz idziesz, są ciężkie
nasze bicia serc
podążają w myślach za Tobą.

Matko - Twoja miłość
znaczyła dla nas więcej niż szczęście
i jeżeli czegoś nam brakuje,
to Twojego spojrzenia.

Twój dom stanie się wkrótce znowu
naszym schronieniem,
gdy nastąpi oddanie;

wówczas będziemy chcieli
w jasnym promieniu słonecznym
na nowo przeżyć naszą ojczyznę!

Dwa silne brązowe konie ruszyły, ciągnęły ciężki ładunek. Tego ranka było zimno, kobiety i dzieci okryliśmy ciepłymi kocami. Nasz konwój liczył 25 osób: mój wujek ze swoją rodziną, zatrudnione u niego osoby, my, Frieda Fenska - urodziła się w Sławnie, ale mieszkała od pewnego czasu w Berlinie; była ona siostrą Leo Kämmerera¹⁰² z Monachium. Frieda była dobrą przyjaciółką naszej rodziny, razem z nami przeżywała upadek swego rodzinnego miasta.

Pierwszym naszym celem był domek myśliwski w naszym sławieńskim lesie, siedem kilometrów od miasta, po lewej stronie, na trasie do Jarosławca - naprzeciwko leśniczówki Scharnweber. Zarządzający tym domem: państwo Karsten, przygotowali dla nas wszystkich kwatery. Dla każdej rodziny było przygotowane jedno pomieszczenie. Tak, tutaj można było jeszcze wytrzymać, tutaj jeszcze był spokój - daleko od tej hektycznej atmosfery w mieście, od wszystkich zakłóceń i hałasów. Towarzyszyłem moim najbliższymi na rowerze. Po południu wróciłem znowu do miasta. Ojciec mój, ja i nasz francuski technik Camille (jeniec wojenny), który czuł się u nas, jak u siebie w domu - pozostaliśmy na stanowisku w naszym domu. W trójkę byliśmy tu zupełnie sami, męskie gospodarowanie! Jeść chodziliśmy do naszej kuzynki Ursel Jürs, która wraz z mężem i jeszcze z kilkoma ich pracownikami została w domu i w sklepie. Moja ciocia przychodziła codziennie z domku leśnego do miasta, bo sklep funkcjonował nadal na pełnych obrotach. Także mój ojciec przyjmował, jak dawniej pacjentów. Camille wiernie sprawował funkcję pomocnika. Co czuł on i jego towarzysze? Byli przecież nadal jeńcami. Ich wyzwolenie przez radzieckie oddziały było już tuż, tuż. Czy byli szczęśliwi, że wkrótce będą mogli wracać do swoich rodzinnych stron, a może i oni wyobrażali sobie wszystko inaczej. Strach, który nas obszedł,

¹⁰² radca stanu, razem z nauczycielem Walterem Poepeltem autor książki „Aus der Heimat” [”Z ojczyzny”], Giessen 1962, Hindenburgstr.24 (*obecna ul. Armii Krajowej*)

zrobił wrażenie na francuskich jeńcach, nigdy nam nie opowiedzieli, co naprawdę w głębi duszy odczuwali. Serwowałem ojcu i Camille to, co dom państwa Mielke miał najlepszego do zaproponowania, najlepsze zapasy z piwnicy. Na śniadanie zamiast kawy były wyśmienite krople znad Mozeli (wino). Alkohol znieczulał żołądek i uspokajał nerwy. Mieliliśmy jeszcze dużo zaprawionych owoców, dla Rosjan były one mało interesujące. Moją ambicją było, jak najmniej pozostawić "wybawcom". Nie udało mi się to zupełnie. Nasze radio było bez przerwy włączone, z napięciem słuchaliśmy wiadomości. Wkrótce usłyszeliśmy wzmiankę o Sławnie. Z naszą rodziną w domku leśnym pozostaliśmy w ciągłym kontakcie telefonicznym. Telefonistki w urzędzie nadal obsługiwały centralę. 2 marca 1945 roku w godzinach popołudniowych wiadomości Wehrmachtu głosiły: "Czołgi wroga przedarły się w wąski pas na północ i opanowały odcinek na trasie Koszalin-Sławno!" Ten meldunek, oryginalnie odtworzony, był ostatnim, który jeszcze usłyszeliśmy w naszym domu. Nasza ostatnia nadzieja wygasła. Z początkiem marcowej ofensywy radzieckiej dni Pomorza były policzone. Dywizje marszałka Żukowa przetoczyły się przez nasze miasta i wsie, armie Rokossowskiego wtargnęły do Zatoki Gdańskiej (Danziger Bucht). Sąsiednie miasta: Szczecinek (Neustettin), Miastko (Rummelsburg), Polanów (Pollnow), Sianów (Zanow), Koszalin (Köslin), itd., "przyjęły" już Rosjan.

3 marca 1945 roku, sobota

Magda Georg wraz ze swoją matką dotarła jeszcze 3 marca samochodem z Bytowa do Sławna. Bardzo byłem zainteresowany losem żony mojego przyjaciela Otscha. Przeżyliśmy wspólnie wiele pięknych chwil. Razem z innymi sławieńskimi przyjaciółmi spędziliśmy urlop nad morzem w Jarosławcu, widzieliśmy się często w Szczecinie, w maju 1944 roku byłem świadkiem na ich ślubie. Teraz pocieszałyśmy się wzajemnie. Dużo wspominaliśmy jej męża, a mojego przyjaciela. W tym momencie musiały go porządnie piec policzki. Z pewnością i on był często myślami z nami - jeszcze byliśmy tutaj, jeszcze wszyscy żyliśmy, najgorsze było jeszcze przed nami.

We wsiach, ok. 15 km na południowy zachód od Sławna toczyły się zacięte walki, zjednoczone grupy bojowe, resztki niemieckich jednostek, oddziały ludowe bez wyszkolenia, bez stałej spójności - nie podołały masowemu szturmowi wroga. O spaniu w nocy nie było u nas mowy. Przez całą noc leżeliśmy w ubraaniu i zapadaliśmy tylko w krótką drzemkę. Wszystkie rzeczy były w pogotowiu. Często dzwonił telefon. Nasi najbliżsi oczekiwali nas w domku leśnym. Znajomi dzielili się nowymi wiadomościami. Na ulicy przechodziły nieustannie kolumny uciekinierów: tym razem nie byli to ludzie z Prus Wschodnich, tylko już mieszkańcy pobliskich wiosek! Wysokie wozy drabiniaste były załadowane do pełna. Często wybiegałem na ulicę, by dowiedzieć się z jakich to wiosek przybywają. Jeden wielki obraz rozpaczy, byli to przede wszystkim starzy ludzie. Pytałem tych starych mężczyzn i opatulone babcie, skąd musieli uciekać : oni szli z Gwiazdowa (Quäsdow), Żukowa (Suckow), później z Malechowa (Malchow), Karwic (Karwitz), Bobrowiczek (Bewersdorf), Pomiłowa (Marienthal), itd. Gdy usłyszałem Sulechowo (Soltikow), spytałem o naszych krewnych Machals, nikt

niczego o nich nie wiedział. Gdy pytano tych ludzi: "Dokąd się wybieracie?", w odpowiedzi otrzymywano szlochanie. Skuleni siedzieli w zimnie na swoich wozach i kierowali konie lejcami w nieznane. Wierny pies podwórkowy biegł obok swego pana i on nie chciał wpaść w ręce Iwana. Nasz brązowy krótkowłosy "Lump III" już jakiś czas wcześniej gdzieś się zawieruszył. Prawdopodobnie przyłączył się do przejeżdżających niemieckich jednostek Wehrmachtu. Wszystko sнуło się po ulicach bez planu, tu i tam. Na zachodzie byli już Rosjanie, tylko wschód do Gdańska był jeszcze wolny. Radzieckich oddziałów oczekiwano od wschodniej strony, przybyli oni jednak do naszego miasta od południowej i zachodniej. Tych tzw. kotłowych bitew nauczyli się radzieccy generałowie od niemieckich dowódców, teraz mogli je z powodzeniem praktykować, co też i czynili. W nocy z 3 na 4 marca mały, radziecki samolot zwiadowczy (na froncie wschodnim znany pod nazwą "młynek do kawy"), zrzucił w pobliżu sławieńskiego dworca trzy bomby. Czy ten nalot bombowy miał być początkiem końca? Bomby na tak małe miasto, które i tak było już prawie bezludne? Sławno było naturalnie jedną małą kroplą...

5 marca 1945 roku, poniedziałek

Jedną z niewielu rodzin w naszym mieście, które do końca zachowały spokój byli państwo Dahnz¹⁰³). Wieczorem 5 marca zaprosili oni mnie i mojego ojca na kolację, wiedzieli, że już od kilku dni jesteśmy sami w domu. Wspólnie wynieśliśmy z piwnicy butelki najlepszego wina. Był tylko jeden temat rozmów. Państwo Dahnz byli spokojni, że udało im się jeszcze w porę wysłać swoje trzy córki w wielką podróż. Mieli nadzieję, że Käte, Hanna i Eka znajdują się w bezpiecznym miejscu - mimo że nie mieli od nich żadnych wiadomości. O swoim synie Wernerze też niczego nie wiedzieli. Tej nocy często wznosiliśmy toast za ich dzieci. Otto Dahnz oprowadził nas jeszcze po swoim sklepie i magazynie, jak gdyby chciał powiedzieć: "Popatrzcie! Tyle wysiłku nas to wszystko kosztowało, przez dziesiątki lat pomnażaliśmy nasze mienie i oto już jutro możemy wszystko stracić!" Otworzyliśmy lukę w dachu na strychu i widzieliśmy na południe od Sławna czerwone od ognia niebo. Która to wieś stała się ofiarą pożaru? Zrobiło się bardzo późno. W drodze do domu ani ja, ani ojciec nie znaleźliśmy wewnętrznego spokoju.

Zaledwie w 48 godzin później państwo Dahnz już nie żyli. Tuż po wkroczeniu oddziałów radzieckich do Sławna, zostali zamordowani przez "wybawców". Wraz z nimi zginęli rodzice pani Dahnz. Ufali dobru i sprawiedliwości, myśleli, że wejście Rosjan będzie "normalnym" zajęciem miasta, dlatego też wcześniej ten spokój. Ta pomyłka była śmiertelna. Byli to jedni z pierwszych mieszkańców Sławna, którzy musieli niewinnie umrzeć.

Tym starym przyjaciołom naszego domu
poświęcam w tym miejscu swoje myśli!

¹⁰³ Otto Dahnz, właściciel sklepu żelaznego, materiałów budowlanych, sprzętu domowego, itd., Köslinerstr. 19/20,(obecna ul. Jedności Narodowej), żonaty z Friedą Carpus z Darłowa

Kto ich dobrze znał i jeszcze w ostatnich
godzinach był z nimi,
ten ich nigdy nie zapomni!

6 marca 1945 roku, wtorek

Tragiczny dzień dla Sławna! Ten wtorek był suchym, zimnym i jasnym marcowym dniem. Wczesnym rankiem spotkałem Magdę Georg. Oboje mieliśmy jeszcze do zrobienia trochę zakupów. Magda przybyła pod koniec lutego ze Szczecina, chciała wydobyć swoją matkę z Bytowa. Nie udało im się do tej pory stąd wyjechać, zostały więc u jej teściowej w Sławnie. Podczas zakupów przeżyliśmy jeszcze ostatnie drgnienia organizacji, która zdawała się właściwie już nie funkcjonować. Po raz ostatni kupiliśmy naszą dobrą, "pomorską kielbasę". W sklepie mięsnym Sielaff¹⁰⁴, jeszcze zażyczono sobie od nas kartek na mięso! Jeszcze w ostatnich godzinach strach przed zwierchnikami był bardzo duży.

Pożegnałem się z Magdą serdecznym "do widzenia". Wkrótce nie doszłoby już do tego. Pośpieszyłem do sklepu wujka Klemza i poprosiłem ciocię, aby rozdała ludziom żywność. Przed sklepem czekało dużo osób. Ciocia takiej prośby się nie spodziewała. Nastąpiła krótka rozmowa telefoniczna z urzędem gospodarczym. Urzędnik, odpowiedzialny za tego typu decyzje, odmówił zgody. Chciano jeszcze odczekać z rozkazem na wypróżnianie magazynów. Który człowiek miałby jeszcze wówczas czas, ochotę i spokój na robienie zakupów? Dobra rada była droga; byliśmy zgodni co do tego, aby zorganizować samopomoc. Większe ilości towarów w magazynie były oplombowane przez urząd gospodarczy. Kobiety i dzieci ruszyły szturmem na sklep, chcieli to i tamto, ale naturalnie przede wszystkim żywność. We wszystkich domach było się przygotowanym na opuszczenie miasta. Zrozpaczone kobiety prosiły nas o najpotrzebniejsze rzeczy na najbliższe dni - sceny, które bolały. Chciało się i mogło się pomóc, ale nie było wolno tego uczynić, chociaż już za godzinę wszystko mogło być stracone. Odpowiedzialnych za te decyzje nigdzie nie widzieliśmy. Kilku wiernych pracowników wujka, którzy do ostatniej godziny stali za ladą sklepu: młody Drews z Kanina (Kannin) - syn właściciela gospody, kuzynka Ursel i jej mąż w mundurze oraz ja, podjęliśmy decyzję na własną odpowiedzialność. Wyciągnęliśmy masło i beczki smalcu z piwnicy i z magazynu sklepu. Obiema rękami, po łokcie w tłuszczu, obdzielaliśmy czekające kobiety. Robiliśmy, co było w naszej mocy. Wiadomość szybko się rozeszła, przychodziły inne kobiety, brały towar, odchodziły i na nowo wracały. Ciocia bała się o nas - to, co czyniliśmy było surowo zabronione. Zrywaliśmy plomby z paczek i worków z mąką i nasion strączkowych. Cały sklep był pełen ludzi. Wydawaliśmy wszystko, co było na stanie. Bez rozkazu, bez zezwolenia! Do naszej tak dobrze przebiegającej akcji samopomocy, wdarło się głośnie bicie dzwonów naszego kościoła. Głośnie, coraz głośnie! Przynajmniej tak się nam wydawało! Nigdy wcześniej ich bicie nie było tak przejmujące, jak w tej chwili. Bicie dzwonów naszych kościołów było zawsze odbierane jako przyjemne - teraz było to ostrzeżenie, apel i jednocześnie

¹⁰⁴ Franz Otto Sielaff, rzeźnik

wezwanie całej ludności do opuszczenia miasta.

Był 6 marca 1945 roku, godzina 11.00. Ten okrutny dzień, ta okrutna godzina! Przeżyłem ją razem z moim miastem! Nasze sumienie było czyste, przynajmniej jeszcze w ostatniej chwili mogliśmy pomóc wielu ludziom. Również i ten sklep, który zaopatrywał większą część sławieńskiej ludności w żywność i artykuły drogerijne, których by jeszcze starczyło na kilka lat - zamknął swoje drzwi. To, czego już się więcej nie udało wydać ludziom, wpadło w niezliczonych ilościach w ręce "wybawców" i stało się ofiarą pożaru. Udałem się jeszcze pośpiesznie na Stolper Vorstadt, aby pożegnać się z państwem Georg. Rodzice i żona mojego przyjaciela stali już gotowi do wyjazdu. Uścisnąłem serdecznie ich dłonie i życzyłem im dużo wytrwałości i zdrowia, by wszystko udało im się szczęśliwie przetrwać. Ich największym życzeniem było jeszcze zobaczyć swoje dzieci.

Ruth Georg była w służbie Niemieckiego Czerwonego Krzyża, Uli i Karl-Heinz Georg w szarych mundurach. Przy pożegnaniu z Magdą stanęły nam obojgu łzy w oczach. Przeżyliśmy wiele wspólnych chwil w naszej ojczyźnie, teraz z tobą - na plecach pokierowaliśmy się za losem. Wszystkie drogi się rozchodziły i nikt nie wiedział, nie potrafił przewidzieć, dokąd one nas zaprowadzą. Czy to był nasz ostatni uścisk dłoni? Magda zdecydowała się na ucieczkę. Dla młodych kobiet była to jedna z lepszych dróg, o ile taka możliwość jeszcze istniała.



Autor w mundurze sapera

Magda Georg pożegnała się z matką i z teściami. Pożegnanie to było z pewnością jednym z najcięższych w jej życiu. Przed nią stał szary świat, jak to niebo - decyzję o ucieczce wielokrotnie przemyślała, była o niej przekonana. Auto Wehrmachtu zabrało ją do Gdyni. Tam udało się jej wsiąść na kuter torpedowy, który o 5.00 rano opuścił port w towarzystwie trzech innych statków.

Po dotarciu Rosjan do granic niemieckiej Rzeszy, znany radziecki literat, Ilja Ehrenburg, zwracał się do wszystkich żołnierzy radzieckich poprzez gazety, przemowy, audycje żołnierskie:

"Czerwonoarmiści! Wkraczacie teraz w piekło jasnowłosej bestii! Zabijajcie! Zabijajcie! Zabijajcie! Łamcie dumę germańskich kobiet! One są waszym zasłużonym łupem!"

Ciągle musiałem myśleć o uciekinierach z Prus Wschodnich, opowiadali nam przerażające historie. W Gołdapii już w październiku 1944 roku radzieccy żołnierze rozpoczęli polowanie na niemieckie kobiety. Ulotki ze wspomnianym tekstem leżały także na ulicach Sławna. Prawdopodobnie zrzucił je nocny samolot zwa-

Wreszcie na pokładzie upragnionego statku! Wielkie szczęście, ale nie był to jeszcze ostateczny ratunek dla tych, których ten statek zabrał. Również i Bałtyk stał się teraz bezlitosną areną wojenną. Szczęście i nieszczęście leżą często blisko obok siebie. Około 7.00 na wysokości Helu konwój ten został ostrzelany. Kuter z Magdą na pokładzie został trafiony. Można sobie wyobrazić panikę wśród pasażerów. W przeciągu siedmiu minut statek zatonął. Trzy towarzyszące jednostki przysły z pomocą i zabrały rozbitków na swój pokład. Magda została uratowana. O mały włos i dla niej stałby się Bałtyk okrutnym przypadkiem. Ich podróż wiodła dalej do Danii. Tutaj spędziła Magda 18 miesięcy za drutem kolczastym, do października 1946 roku - dopiero wówczas została stamtąd zwolniona, z obozu dla internowanych do Niemiec. Przywitaliśmy ją w Lubece. Mój ojciec czekał na mnie w domu z niecierpliwością. Nie zrezygnowaliśmy jeszcze z decyzji pozostania w mieście. 6 marca po południu nasze miasto było już pod ostrzałem, mniej więcej z kierunku lasu pod Kwasowem. Nie było do pojęcia, gdy pierwsze granaty padły na nasze ulice: między szpitalem¹⁰⁵ i domem Weidemanna¹⁰⁶. Pozostałe w mieście kobiety i dzieci wpadły w panikę. Jedna ze stałych pacjentek mojego ojca prosiła o dawkę środków nasennych, chciała sobie i swojemu dziecku odebrać życie. To przykład jeden z wielu, pokazywał załamanie nerwowe u ludzi. Ojciec odmówił prośbie i nie wydał leku. Deszcz radzieckich granatów stał się silniejszy. Na przedmieściach były pierwsze ofiary śmiertelne. Nadal mieliśmy telefoniczne połączenie z najbliższymi - także i oni w lesie słyszeli te strzały, oczekiwali nas z niecierpliwością. Dla mojego ojca, naszego francuskiego technika i dla mnie nadeszła pora do odejścia. Na pożegnanie śnieżyca otuliła miasto w białą suknię, ulice były śliskie. Rowery czekały w pogotowiu, opuściliśmy nasz dom! Dla mnie i dla mojego ojca był to okropny moment. Razem z Camille staliśmy już na ulicy i czekaliśmy na niego - był jeszcze w ogrodzie i po raz ostatni karmił swoje gołębie pocztowe. Później i on opuścił swój dom, jak kapitan, który jako ostatni opuszcza tonący statek. Nie był zdecydowany, czy ma zamknąć, czy zostawić drzwi otwarte. Nie odgrywało to większej roli. Tkliwie zamknął je. Naszemu Francuzowi stanęły łzy w oczach i ja musiałem swoje mocno powstrzymać, wiedziałem, co ten moment dla taty oznaczał i co czuł w duszy. Nie mógł wtedy podejrzewać, że po raz ostatni zamknął drzwi swojego domu i że nigdy już nie przekroczy jego progu. W swoim zawodzie pracował z powodzeniem od 34 lat. W tym czasie dorobił się tego dobrobytu. Pomógł wielu ludziom. Ten dom z dużym ogrodem, kupił w 1919 roku od radcy sanitarnego, doktora Mulerta. W obecnej chwili oddawał go w ręce nieznanemu losowi. Z ciężkim sercem wsiedliśmy na rowery i pojechaliśmy w kierunku domku leśnego. Podjechaliśmy jeszcze do mojej kuzynki Ursel, tam zaopatrzyliśmy się w papierosy z zapasów tabakowych z magazynu

¹⁰⁵ Miejski Szpital Św. Jerzego, Adolf-Hitler-Str.30/32 (*obecna ul. Jedności Narodowej*)

¹⁰⁶ Margarete Weidemann /ciocia Greta, tak była nazywana przez *mieszkających tam uczniów* /, stacja uczniowska, Adolf-Hitler-Str.26 (*obecna ul. Jedności Narodowe, budynek nr 34*) .

wujka. Heinz-Günther Jürs, jako oficer nie mógł opuścić miasta, musiał tu pozostać do dyspozycji miejscowego komendanta. Jazda w zademce po zaśniewionej ulicy była wyjątkowo ciężka. Dużo ze sobą nie rozmawialiśmy, ojciec był myślami gdzie indziej. Wspominał szczęśliwe chwile ze swoją rodziną, we własnym domu... W 1937 roku obchodził 25-letni jubileusz pracy zawodowej, w rok później, 14 października 1938 roku srebrne wesele. Także dla nas dzieci są to niezapomniane chwile, pozostaną one na zawsze w naszej pamięci. Ojciec był do końca do dyspozycji swoich pacjentów.

Detonacja! Niedaleko w pobliżu ojca, który jechał jako pierwszy, wybuchł granat. O mały włos trafiłby nas. Znaleźliśmy się w przydrożnym rowie. Camille obleciał porządnie strach, mnie też to nie zachwyciło, miałem już dosyć żelaza w swoim ciele. Weszliśmy z rowerami w las, tu czuliśmy się nieco bezpieczniej. Być może wzięto nas za niemieckich artylerzystów, którzy właśnie pchali swoje działa na pozycje. Trochę później znowu usłyszeliśmy, jak wystrzelono sporą ilość amunicji, musieliśmy przyzwyczajać się do huków. Nasza rodzina czekała już przed domkiem, byli gotowi do wymarszu. Tylko łyk gorącej kawy i kawałek ciasta z kruszonką, które nasza Erna przez pomyłkę posoliła - zamiast za cukier, chwyciła za solniczkę. W chwilę potem ruszyliśmy w nieznane. Nasza kolumna to czterotonowy wóz, zaprzęgnięty w dwa silne konie i mały podręczny wózek. Pani Fenske opuściła już wcześniej domek leśny. Przedostała się wzdłuż obrzeży miasta, z nadzieją, że znajdzie bezpieczne schronienie u zaprzyjaźnionej rodziny Steinhorst w Warszkowie. Nasza ucieczka przed grożącym niebezpieczeństwem obrała nowy kierunek: Stary Kraków - Kanin. Droga przez lód i śnieg była uciążliwa dla ludzi i dla zwierząt. W opuszczonej przy drodze leśniczówce zrobiliśmy pierwszy odpoczynek. Dom i stajnia były puste. Na drodze pojawił się większy oddział jeńców wojennych. Oni podążali tam, skąd my przybywaliśmy: do miasta. Dla nich nadeszło wyzwolenie. Po wieloletniej niewoli wojennej chcieli wracać do swoich domów. To normalne, że i nasz Camille chciał przyłączyć się teraz do swoich rodaków, nie mieliśmy mu tego za złe. Ze smutkiem w sercu pożegnał się z nami. Był u nas w domu od kilku lat i ku zadowoleniu ojca, pracował solidnie. Brał udział w całym naszym życiu rodzinnym. Po tak długim czasie nadeszło pożegnanie, jego i nasze drogi prowadziły teraz w nieznane. Wszyscy życzyliśmy mu z całego serca zdrowia i szczęścia i aby mógł się spotkać z całą swoją rodziną w St. Entienne.

My musieliśmy iść dalej. Po drodze spotkaliśmy Otto Granzowa, naszego krewnego ze Słowina (Schlawin), także i on ruszył z tobołkami w drogę. Śnieżnica była coraz silniejsza. Ponieważ było przerażająco zimno, ogrzaliśmy się jeszcze u gastronomo Drewsa w Kaninie. Zupełnie niespodziewanie pojawił się przed nami Heinz-Günther Jürs. W Sławnie rozwiązano ostatnią formację Wehrmachtu. Dogonił nas i chciał się dalej z nami przedzierać. Jego celem była dawna jednostka na froncie kurlandzkim. Naszym celem miał być port w Uście (Stolpmünde). Tego dnia chcieliśmy dotrzeć do Postomina (Pustamin), więcej nie mogliśmy podołać. Mieliśmy nadzieję, że otrzymamy ciepłą kwaterę u zaprzyjaźnionej rodziny Trapp. Nie było łatwo przyjąć 25 osób. Wsie przy drodze do wy-

brzeża były przepełnione. Jechałem z Ursel i jej mężem naprzód, aby przygotować kwaterę u państwa Trapp. Była to okropna jazda. Lodowaty śnieg walił nam w uszy, droga była śliska i w pełni zatorowana. Wozy stały wzdłuż i wszerz i tarasowały drogę. Rowery potykały się i co chwila któryś z nas padał na nos. Gdy dotarliśmy do Postomina, byliśmy już porządnie wyczerpani. Dla postępujących za nami powozów było jeszcze trudniej: do śnieżycy i ślizgawicy doszła jeszcze ciemność. Konie ledwo trzymały się na nogach. Woźnica Borchart miał dużą odpowiedzialność na sobie. Mimo tej przemocy natury, starcy i dzieci na wozie trzymali się dzielnie. Moja 83-letnia babcia, ciocia Klemz i mama służyły wszystkim dobrym przykładem. Późnym wieczorem trafili do Postomina. Pokoje u pani Trapp zostały rozdzielone, zatroszczono się dla nas o odpoczynek. Spotkał nas taki los, jak i miliony innych Niemców z Pomorza, opuściliśmy swoje domy i gospodarstwa, musieliśmy uciekać. W Postominie były już prawie wszystkie budynki zajęte, aż po dach. Gnieździli się tutaj ludzie ze Sławna i całego okręgu. 6 marca 1945 roku, pierwszy dzień męki zakończył się dla nas w Postominie. Uspokajaliśmy nasze nerwy francuskim "benedyktynem", ta butelka należała do mojego brata, mama chciała ją jak najdłużej zachować. Tylko do tutaj i nigdzie dalej - mówiliśmy jej, teraz musiała w to uwierzyć. Nie dla Rosjan były przecież te wytrawne krople. Śmiertelnie zmęczeni zatopiliśmy się wszyscy w twardym, ale za to ciepłym legowisku.

7 marca , środa

Noc minęła spokojnie. Na dworze słychać było tylko przewijające się kolumny i ostatnie przeskakujące jednostki Wehrmachtu. Następnego dnia próbowaliśmy na nowo przygotować kobiety i dzieci na 18 km drogi do Ustki. Nie udało się nam jednak ruszyć z miejsca, droga była całkowicie zablokowana. Marynarka bez przerwy w dzień i noc przyjmowała uciekinierów. Na wsi przebąkiwano tylko o tej akcji, nie byli tak dobrze poinformowani, jak miasto. Ustka była szturmowana.

Heinz-Günther Jürs musiał się jednoznacznie z nami rozstać. Pożegnał się z żoną i z małą córeczką Gudrun. Było to pożegnanie na zawsze. Ursel Jürs, z domu Klemz została ofiarą tego dzikiego czasu. Jej mężowi udało przedostać się do portu w Gdyni. Tam został zraniony; następnie dostał się drogą morską do Danii. W czerwcu 1945 roku został zwolniony do Flensburga. Flensburg był też dla nas ewentualnym adresem, punktem spotkań, mieszkała tam siostra mojej cioci, pani Anni Lühr - to wszystko na wypadek, gdybyśmy mieli opuścić nasze rodzinne strony, lub ewentualnie w razie deportowania, czy rozproszenia. Każdy z nas miał tę wskazówkę w głowie. Naszym drugim adresem było Monachium-Gräfeling, u naszego przyjaciela Leo Kämmerera. Tam też oczekiwaliśmy informacji o moim bracie, o ile on jeszcze żyje... Podejrzewaliśmy, że znajduje się w radzieckiej niewoli. Tak skończył się dzień 7 marca 1945 roku, spędziliśmy drugą noc w naszej zbiorowej kwaterze w Postominie. Na ulicy panował teraz spokój. Słyszeliśmy w oddali, z kierunku Sławna, ogień karabinowy i huki z broni maszynowej. Co chwila wybuchały pożary, niebo rozjaśniało się wśród nocy. Z drżącym sercem myśleliśmy o naszym mieście. Tam panoszyło się teraz

z pewnością radzieckie żołdactwo. Nie mogłem usnąć, niespokojne myśli chodziły mi po głowie. Niemieccy żołnierze, którzy próbowali znaleźć schronienie w cywilnych ubraniach, poinformowali nas, że Sławno zostało już całkowicie zajęte przez Rosjan! Nasz duży wóz stał na drodze przed domem, mały wózek z dyszlem, na którym były nasze bagaże, postawiłem na podwórzu. Trzymaliśmy "wartę", co dwie godziny zmienialiśmy się. Mój ojciec wszczął nagle w nocy alarm. Ponoć widział przez okno na wiejskiej drodze radzieckiego żołnierza na koniu. Czy zawiodły mu nerwy, czy też była to prawda? Nikt nie chciał wierzyć, dopiero później okazało się, że było to prawdziwe spostrzeżenie. W ciemności radzieccy zwiadowcy wkroczyli do wsi konno i zaraz ją opuścili. Niewielu mieszkańców zauważyło to w ogóle. Nasze straże były osłupiałe. Ciocia i kuzynka usłyszały wprawdzie odgłosy jeźdźców, ale nie podejrzewały, że byli to Rosjanie.

8 marca, czwartek

Wczesny ranek, godzina 4.15. Stało się: "wybawcy" przybyli i tutaj! Wszyscy byli przebudzeni i ubrani. Jako żołnierzowi udało mi się wiele razy uniknąć radzieckiej niewoli, teraz przyjdzie mi jako cywilowi wpaść w ich ręce. Przez otwarte okno dało słyszeć się głosy. Wyrząłem i zobaczyłem na drodze ciemne ludzkie postacie. Rozpoznałem pierwsze dźwięki radzieckiej lutni. W domu wszyscy czekali w największym napięciu. Gdy usłyszeliśmy pierwsze uderzenia kolb do drzwi, na naszych twarzach wymalował się strach i przerażenie. Pani Künkel z obojgiem dzieci, moja siostra Brigitte i ja staliśmy ciasno obok siebie - rodzice przyszedli do naszego pokoju. Nikt z nas nie wypowiedział żadnego słowa, wymieniliśmy tylko spojrzenia, małe dzieci płakały. Na dole do sklepu wkroczyli już Rosjanie. Z wielkim hałasem wszystko zostało przewalone i stanęło na głowie. Plądrowanie na całego, celem poszukiwań był "Schnaaaaaaaaaps"! Może to i dobrze, odwróciło to ich uwagę od nas. Jeden radziecki oficer, wraz ze swoim żołnierzem, wbiegł po schodach na górę. Drzwi zostały wyważone i zabłysły nam lufy naładowanych pistoletów. "Ręce do góry! Wyciągnąć dłonie!" Zegarki i pierścionki zmieniły błyskawicznie właścicieli i ci dwaj zniknęli zaraz tak szybko, jak szybko się pojawili. Należeli oni do oddziału bojowego, który pośpiesznie nadciągał z przeciwnej strony wybrzeża. Potem przez chwilę nic się nie działo - ale później wydarzyły się okropne rzeczy! Formacje, które teraz przybyły, były zupełnie pozbawione dyscypliny. Najczęściej byli to pijani szperracze, łowcy kobiet i złodzieje zegarków. Mieliśmy jeszcze duże szczęście, ponieważ do pilnowania naszego domu, największego sklepu spożywczego w Postominie, zostali przydzieleni dwaj starsi, względnie rozsądni, radzieccy żołnierze. Był to chwalebny wyjątek z tej hołoty, która teraz grasowała we wsi. Ale i oni nie mogli dużo się sprzeciwić, kiedy to sami oficerowie przychodzili na rabunek. Zegarki, zegarki, zegarki! - wymagano od nas przede wszystkim zegarków. "Uri, Uri!" - te słowa brzmiały jeszcze długo w naszych uszach.

I tysiąc sztuk zegarków byłoby za mało, chciwość Rosjan na ten artykuł była nienasycona. W pierwszej linii zegarki na rękę, ale także zegary ściennie, stojące, kieszonkowe. Wszystko, co robiło "tik-tak", było rekwirowane. Nasz duży wóz

przed domem był już z hałasem plądrowany. To, czego nie potrzebowali, wyrzucali na ulicę w błoto. Głodni ci chłopcy nie byli, bo żywność była wszędzie rozdeptana. Nasz wózek na podwórzu nie był dla nich zbyt interesujący, przekłuwano pakunki bagnetami, ich zawartość nie była godna ich uwagi. Mojemu ojcu zabrano portfel, banknoty podarto i rzucono mu w twarz: "kapitalistyczna świnią!" Dorwano i mój zegarek, a jakże! W zdenerwowaniu zapomniałem go ukryć, ale byłoby to i tak bezsensowne! Dość duży kawałek złota, który miałem przy sobie, wcisnąłem w ziemię do doniczki kwiatowej. Ten kawałek mógłby stać się dla mnie nieszczęściem. Dobrze już podchmielony "Iwan" otworzył butelkę czerwonego wina i nie dowierzając, kazał niemieckim mężczyznom wypić po łyku. Gdy widział, że żaden z nas nie padł martwy, wlał w siebie pozostałą zawartość, jak spragnione zwierzę. Później widzieliśmy go, leżącego przed drzwiami domu.

Pewien młody oficer przeszukiwał mojego wujka - zdobyczą był złoty zegarek kieszonkowy, spadek po jego ojcu. Podobnie szło dalej. Kto chciał ratować swoje życie, musiał wszystko znosić cierpliwie. Do tej pory nie było w naszym domu śmiertelnych przypadków, a to było przecież najważniejsze. Do tej pory żadna z naszych kobiet nie została zgwałcona. Mieliśmy na razie do czynienia z uosobieniami dobra. Od większego nieszczęścia byliśmy chronieni przez strażników przed domem. W budynku obok rozstrzelano tego popołudnia, 8 marca, miejscowego sołtysa. Słyszeliśmy krzyki wielu ludzi, którzy w okropny sposób byli bici. Ze stajni i stodół wyciągano pojedynczych żołnierzy, którzy się tam ukryli.

W domu naprzeciwko wpędzono kobiety do piwnicy, tam je zamknięto, by potem w nocy je masowo gwałcić. Polskie były pracownice polowe przeczesaly nasz duży wóz i zabrały z niego tyle, ile mogły udźwignąć. Dwie Niemki przepędziły ten motłoch. Polki natychmiast poskarżyły się radzieckiemu oficerowi, on stanął oczywiście po ich stronie, wściekły wparował do naszego domu i szukał tych dwóch kobiet, by je rozstrzelać. One się jednak dobrze ukryły i, dzięki Bogu, uniknęły nieszczęścia. Nasz dom był teraz na czarnej liście. Ja dla przykładu musiałem odpokutować. Ten sam oficer chwycił mnie mocno za ubranie i siłą wywłókł na ulicę, tam nie szczędził mi uderzeń pejcem. Na zewnątrz stało już około 30 Niemców, gotowych do odmarszu. Dwóch zupełnie pijanych żołnierzy prowadziło nas i "sprawowało straż". Czyżbym miał być pierwszą ofiarą z naszej sławieńskiej kolumny? Czułem się naprawdę nieswojo. Zlikwidowanie mnie nie przyniesie im przecież żadnej korzyści. Szybko zdałem sobie sprawę z tego, co mnie mogło spotkać. Zachowałem jednak spokój. W tej chwili miałem tylko jedno w głowie: "ucieczka!" Jediną wątpliwością, że może mi się to nie udać, była moja noga. Chodziłem przecież o lasce, rana dokuczała mi co rusz. Ach, gdybym to ja miał zdrowe kończyny! Nie mieliby mnie tak łatwo. Ale było tak, a nie inaczej. Pędzono nas jak stado bydła. Broń z nasadzonymi bagnetami bez przerwy lawirowała nad naszymi głowami, od czasu do czasu kończyło się porządnym ciosem. Pijani Rosjanie zataczali się, ale trzeba było uważać, bo- wiem w tym stanie byli nieobliczalni. Dokąd nas pędzono? Dotarliśmy do ostat-

nich zabudowań w Postominie. Żołnierze obłożyli kolbami starszego Niemca. Przypuszczam, że miał taki sam zamiar, jak ja i przyłapano go na tym. Chyba byłem najmłodszym w tym stadzie. Nadarzyła się okazja! Z trzeźwym umysłem wykorzystałem ją, wybiegłem z lewej strony kolumny i znalazłem się na podwórzu gospodarza. Właśnie chłostający Rosjanie niczego nie zauważyli. Moje zdenerwowanie było wielkie, cały się trząsłem. Poszczęściło mi się w mojej pierwszej ucieczce - nie była ona ostatnia. Moi towarzysze niedoli pomaszerowali dalej. Dokąd? Nikt tego nie wiedział. Gospodarz obserwował wszystko przez okno. Chciałem wejść do jego domu i odczekać, aż całe niebezpieczeństwo minie. On jednak nie wpuścił mnie do środka, za bardzo się bał. Być może rzeczywiście naraziłbym go na niebezpieczeństwo, szukając tam schronienia. Przez zaśnieżone pola, ogrody, przez płoty, przedzierałem się do mojej rodziny. Mama objęła mnie mocno w ramiona - była szczęśliwa. Uniknąłem deportacji. Następna przeszkoda nie dała na siebie długo czekać. Zjawili się dwóch oficerów, szukano jakiejś ofiary, młodzi ludzie od rana wpadali im w oko. Miałem 24 lata, rana na mojej nodze nie była widoczna na zewnątrz. Gdy ci oficerowie weszli do pokoju, leżałem akurat ubrany na łóżku. Kilkoma łamanymi słowami po rosyjsku próbowałem im wyjaśnić, że mam chorą nogę. Widzieli moją łaskę, coś szeptali do siebie. Użyłem w "rozmowie" słowa "proteza" - zrozumieli więc, że mam sztuczną nogę. Stałem się dla nich mało interesujący i nieszkodliwy. Szybko zniknęli. Rodzice i siostra odetchnęli z ulgą. Jedno zdenerwowanie wywoływało drugie. "Wyzwawcy" wyzwali nas nie tylko od faszyzmu, odnosili teraz wszystkie triumfy. Udręki następowały teraz jedna po drugiej. Pijane grupy ciągnęły od domu do domu, wywijali naokoło bronią, plądrowali i kradli do woli. Tylko odwaga i kamienny spokój mogły nas uchronić przed najgorszym. Jednej z kobiet zawiodły nerwy, zażyła tabletki nasenne, które mieliśmy przy sobie na najgorsze chwile. Tylko dzięki szybkiej reakcji innej kobiety, zło zostało zażegnane. Mojego ojca dręczyły bóle żołądka, on też zdecydował się na to rozwiązanie - i dla niego przyszła pomoc w porę. Wszystko za sprawą nerwów. Ale akurat teraz ofiary w naszej grupie nie ulżyłyby naszemu losowi. Ojciec obiecał mi, że wytrzyma - już teraz był przekonany o bezcelowości dalszego życia. Przeczuwał już teraz to, co wkrótce miało nastąpić.

Na dworze posuwała się radziecka ofensywa, oddziały wszelkich rodzajów broni przechodziły drogą, przed naszymi oczami. Zabrzmiało mi w uszach echo słów, które słyszałem zimą 1941/42 na froncie wschodnim: "Żołnierze frontu wschodniego! Armie radzieckie zostały pokonane, walczyście tylko przeciwko starcom i dzieciom!" A więc w marcu 1945 roku maszerowali przed nami ci starcy i dzieci. Nie tylko ja byłem zdumiony tym zasobem armii. Starcy zostali wybrakowani, a dzieci wyrosły na bojowników... Po strachu, zdenerwowaniu, po wszystkich przeżyciach, nastąpiła bezsenna noc, po niej jeszcze się wiele wydarzyło.

9 marca, piątek

Niemądrze byłoby, dalej pozostać w Postominie, wieś ta leżała na trasie przelotowej do wybrzeża. Zdecydowaliśmy się, że wracamy do Sławna. Nasze konie i nawet nasze rowery ocalały! Zaraz za wsią żołnierze wymienili naszego ogiera

na gorszego. Przed Staniewiczami musieliśmy przedostać się na drugą stronę rzeki, most był uszkodzony. O mały włos nasz duży wóz stoczyłby się do Wieprzy. Babcia i małe dzieci musiały iść kawałek pieszo. Podziwialiśmy często naszą babcię, że mimo podeszłego wieku, dzielnie znosiła wszelkie cierpienia. Dla wszystkich uczestników naszego pochodu, dla młodych i starych, była ona świecącym przykładem. Przez Staniewice przechodziliśmy obok bacznie przyglądającym się nam ludzi. Po drodze kręcili się byli polscy pracownicy rolni, nosili oni na ramieniu biało-czerwone opaski, jako zewnętrzny znak ich wolności. Pod radziecką ochroną wykorzystywali swoją "wolność" i łupili wszystko, co było niemieckie. Gdy tylko im się nadarzyła okazja, wyrażali wulgarnie swoją nienawiść do Niemców. Szturmowali wszystkie zabudowania gospodarcze i inne budynki, plądrowali je. Wozy przeciągających uciekinierów były zatrzymywane i dokładnie przeszukiwane. Tutaj tylko odbierano i zabierano, tutaj też pozbyliśmy się naszych rowerów. Byliśmy szczęśliwi, gdy już mieliśmy tę wieś za sobą. Droga była nadal bardzo śliska, konie i my musieliśmy się bardzo starać, aby utrzymać się na nogach. Kobiety i dziewczęta opatulili się w czarne chusty - specjalnie chciały wyglądać staro. Napotykanii Rosjanie z pewnością myśleli, że to dom starców podczas ucieczki. Nad nami świeciła nadal szczęśliwa gwiazda: żadna kobieta z naszej grupy nie została jeszcze zgwałcona.

Po długim marszu w zimnie przybyliśmy do Sławska. Z tej wsi do miasta były już tylko trzy kilometry. Wiele takich grup, jak my wracało do domów, do Sławna i do wsi, położonych poza miastem. Spotykało się w drodze znajomych, wszyscy mieli podobne przeżycia. Niektórzy stracili już część swojej rodziny, mężczyźni zostali oddzieleni i deportowani. Także i tutaj w Sławsku Rosjanie i Polacy dostąpili koszarnej gry. Nas ciągnęło tylko w jednym kierunku: do Sławna, do naszych domów, tam, gdzie było nasze miejsce. Dużo wozów nadciągało też z kierunku miasta. Ostrzegano nas, aby jeszcze nie przejeżdżać bezpośrednio przez centrum, zamęt jeszcze nie ustał. Polski cywil odebrał nam drugiego konia. Również i my zawróciliśmy i zatrzymaliśmy się w Sławsku. Na gospodarstwie jednego ze stałych klientów mojego wujka dostaliśmy kwatere. Właściciele też wrócili niedawno z ucieczki, podjęli nas bardzo serdecznie. Z własnego doświadczenia wiedzieli, co mogliśmy przejść. Ze wszystkich stron słyszało się, że jest jeszcze za wcześnie, wracać do Sławna. Tam było piekło. Tego wieczora doszli do nas jeszcze i inni ludzie, którzy wspólnie z nami spędzili w tym domu noc z piątku na sobotę 10 marca. Była to niesamowicie niespokojna noc. Gospodarze, którzy zatrudniali polskich robotników, byli teraz przez nich prześladowani. Uciekali teraz od gospodarstwa do gospodarstwa, szukając schronienia. Wołania i pukania do drzwi nie dawały spokoju. Do tego wszystkiego moja mama dostała tej nocy wysokiej gorączki, w ostatnich dniach zbyt wiele przeżyła. Psychiczny ciężar, który musiała dźwigać, był dla niej za ciężki. Nieustanna troska o drugich doprowadziła ją do kompletnego załamania nerwowego.

10 marca, sobota

Tej soboty zostaliśmy w Sławsku. Wieczorem widzieliśmy nad Sławnem jasną

łunę ognia. Łatwo można było rozpoznać coraz to nowe pożary w mieście. Nie mieliśmy na to logicznego wyjaśnienia, bowiem walki - o ile w ogóle można było mówić o walkach - od kilku dni skończyły się. Nasze miasto płonęło, ile jeszcze z niego mogło pozostać? Tej nocy nie zazналиśmy spokoju, często podchodziliśmy do drzwi i patrzyliśmy w kierunku Sławna, było ono od nas oddalone tylko o trzy kilometry! Wieczorem widzieliśmy jasny ogień, rankiem ciemny dym.

11 marca, niedziela

Rankiem byliśmy już wcześniej na nogach - widzieliśmy kilka wozów, jadących w kierunku Sławna. Ponieważ nasza mama czuła się już lepiej i my wybraliśmy się w drogę. Mama chciała koniecznie wracać do domu. Gdyby miało się okazać, że i nasz dom został spalony, chcielibyśmy zamieszkać w piwnicy i z nową odwagą podjąć się jego odbudowy. Mama często powtarzała swoje skromne życzenie - to psychiczne obciążenie i myśl, że ciągle się jest u kogoś na karku, dręczyły ją nieustannie. Tak, dotyczy to całego świata: być uciekinierem, znaczy być cierpliwym!.

Ledwo opuściliśmy Sławsko, ujrzeliśmy efekty bohaterskich czynów wybawców. Symbol naszego małego miasta: już zawsze z daleka widoczny kościół mariacki, został zdegradowany do jednej, wielkiej ruiny. Brakowało na nim czubka wieży, więcej w tym momencie nie mogliśmy zobaczyć i nie wiedzieliśmy też, czy stało się to w wyniku ostrzałów, czy też pożaru.

Po prawej i lewej stronie drogi do Sławna leżało wiele trupów, najczęściej byli to starsi mężczyźni. Komu zawinili ci bezbronni ludzie? Dlaczego ich rozstrzelano? Co w takiej sytuacji z tymi zwłokami? Nikt nie zajął się ich pochowaniem. Rosyjscy pijani żołnierze i polscy półcywile ożywiali ulice. Palce na spuście ich broni: każdy z nas miał śmierć na karku. Przed naszymi oczami pojawiły się pierwsze zabudowania Sławna, były one totalnie wypatroszone. Szyby w oknach pobite, łóżka leżały na drodze, meble porąbane, itd. Wjechaliśmy w wielkim napięciu. Pierwszym przystankiem był okręgowy szpital. Siostra przełożona, Maria Möller, zasłużona dla tej instytucji, ujrzała nas. Popłynęły łzy radości z ponownego spotkania. W skrócie opisała nam wkroczenie Rosjan, mogła to uczynić tylko ze szpitalnej perspektywy, ale tych parę zdań wystarczyło nam. Z pierwszej ręki dowiedzieliśmy się od siostry o okropnej tragedii naszego bardzo szanowanego ordynatora, doktora Schmidta i jego rodziny. Przez ponad 30 lat był on naszym lekarzem rodzinnym i pacjentem mojego ojca. My, dzieci bardzo lubiliśmy naszego "wujka doktora". Wstrząśnięci do głębi, usłyszeliśmy o jego smutnym losie. Jego córka Eva - razem z Hanną Reitsch (rekordzistka w locie szybowcowym) została przez radzieckich żołnierzy wielokrotnie zgwałcona. Kiedy w końcu zaczęła się bronić, stawiać opór, została z zimną krwią rozstrzelana. Na wieść o tym morderczym czynie, doktor Schmidt stracił panowanie nad nerwami: dał swojej żonie, swoim małym wnukom i na końcu sam sobie śmiertelny zastrzyk.

W murach sławieńskiego szpitala, miejscu wieloletniej pracy zawodowej doktora Schmidta wygasło życie tej bardzo szanowanej rodziny lekarskiej. Doktor

Schmidt z rodziną podążył za losem swoich dwóch synów: Klause i Jochena, którzy swoje młode życie stracili na polu walki. Jako jedyny członek tej rodziny przeżyła tę katastrofę córka Grete.

Minuta ciszy dla tego lekarza:
doktora Ericha Schmidta, dla jego
rodziny, dla naszych przyjaciół:
Klause (Kläsa) i Jochena (Pit)!

Nie mogliśmy i nie wolno nam było się tu dłużej zatrzymywać. Ciągłe kręcili się uzbrojeni radzieccy żołnierze, było to dla nas bardzo niebezpieczne. Od znajomego dowiedzieliśmy się, że nasz dom i sklep wujka były również podpalone. Byliśmy przygotowani na najgorsze. Do tej pory udało się nam pozostać przy życiu i to było w tej chwili najważniejsze, ważniejsze, niż jakakolwiek własność materialna. Jechaliśmy dalej. Siostra Maria dała nam radę, byśmy nie przejeżdżali przez centrum i nie zatrzymywali się w mieście. Posłuchaliśmy jej rady, jechaliśmy obwodem. W naszym mieście miały miejsce okropne wydarzenia, prawie całe śródmieście jeszcze płonęło i dymiło. Od szpitala na dół do Winterfeldstrasse¹⁰⁷, na prawo do Thomasstrasse¹⁰⁸, obok Schweinemarkt¹⁰⁹ do Hindenburgstrasse¹¹⁰. Tutaj nasze koło się zamknęło, bowiem przed kilkoma dniami, z tego właśnie miejsca opuściliśmy Sławną, udając się na ucieczkę. Teraz widzieliśmy pierwsze wypalone domy. Przy Rosengarten¹¹¹ zostaliśmy zatrzymani przez Rosjan. Obok, na boisku musieliśmy wraz z innymi mężczyznami pomóc, ustawić dział przeciwlotnicze. Nie bardzo wiedzieliśmy, do czego im to dział jest potrzebne, myśleliśmy, że wojna się już skończyła - byliśmy w błędzie!

Stąd do naszych posiadłości było około 250 metrów. To zrozumiałe, że chcieliśmy jak najszybciej zobaczyć nasz dom! Chcieliśmy się wprowadzić przynajmniej do piwnicy. Pamiętaliśmy o ostrzeżeniu siostry Marii, ale ciocia Missen i nasza Erna koniecznie chciały się przedostać na Schützenstrasse¹¹². Miały nadzieję, że stamtąd uda im się więcej zobaczyć. Natknęły się na patrol, który wyszedł im naprzeciw spoza pobliskich domów: "Frau, komm!" Niczego nie zobaczywszy, blade jak trupy, znalazły się natychmiast znowu przy nas. Nie dowiedzieliśmy się więc, co pozostało po naszym budynku, poszliśmy dalej. Przed naszymi oczami obraz rozpaczył! Z każdego domu, który się jeszcze częściowo zachował, czyhało niebezpieczeństwo. Przy Lietzowdamm¹¹³ paliło się jasnym płomieniem, wiele mieszkań i wielu ich mieszkańców leżało w gruzach i popiole. Z urzędu finansowego buchał jeszcze ogień, musiał niedawno zostać podpa-

¹⁰⁷ obecna ulica I Pułku Ułanów

¹⁰⁸ obecna ulica Jagiełły

¹⁰⁹ rejon między obecnymi ulicami Jagiełły i Sempołowskiej

¹¹⁰ obecna ulica Armii Krajowej

¹¹¹ Ogród Różany, park przy obecnej ulicy Armii Krajowej, na terenie którego stoi pomnik - czołg

¹¹² obecna ulica Kopernika

¹¹³ obecna ulica Chelmońskiego

lony. Dla nas wszystkich był to po prostu szok, widzieć to miasto w płomieniach. Jak w takim razie wyglądało śródmieście? Po prawej stronie leżał dworzec, widać nienaruszony. Przechodziliśmy obok hotelu dworcowego - pomyśleliśmy w tym momencie o naszych przyjaciółach, rodzinie Zoske, którzy byli właścicielami owego hoteliku. Gdzie oni mogli być w tym czasie?

Weszliśmy na Kösliner Vorstadt¹¹⁴, następnie dołem pod przejazdem i na lewo, na ulicę, gdzie Lorenz miał swoje ogrodnictwo. Dalej, w kierunku tartaku Kusanke (mojego starego miejsca zatrudnienia), na Pollnowerstrasse¹¹⁵. Przez Pollnower Siedlung¹¹⁶ przeszliśmy do Quatzower Berg¹¹⁷. Z naprzeciwka nadciągały niekończące się kolumny, zaopatrujące Armię Czerwoną. Z samochodów spoglądały na nasze kobiety azjatyckie twarze, szczęście dla nas, że im się spieszyło. Byliśmy zadowoleni, że dotarliśmy do końca miasta. Pozostało niesamowite wrażenie. Naszym kolejnym celem było Pomiłowo (Marienthal). Mieliliśmy znowu nadzieję, że schronimy się u znajomych gospodarzy. Cieszyliśmy się na myśl o ciepłej izbie, być może, że i talerzu zupy i czegoś gorącego do picia. Długi marsz po rozdeptanych drogach, zdenerwowanie i strach, przeżycia w płonącym mieście, sprawiły, że byliśmy zupełnie wyczerpani.

Wieś Pomiłowo, wcześniej bardzo ulubiony cel wycieczek wielu mieszkańców Sławna, (gospoda państwa Moews "Zur Filzlaus") - tutaj w zimie często jeździło się na sankach i stąd aż do Holzgraben¹¹⁸ chodziło się na nartach, tutaj też odwiedzaliśmy niekiedy naszego szkolnego przyjaciela Jürgena Rätzke¹¹⁹. Teraz muszą te piękne obrazy wspomnień ustąpić miejsca pochmurnym impresjom. Prawie każde gospodarstwo było puste. Żyjące jeszcze, opuszczone przez gospodarzy bydło, snuło się bezpańsko naokoło. Wiele zwierząt, najczęściej krowy, leżało martwe w oborach. Mieszkańców, którzy w porę nie opuścili swej wsi, spotkał okrutny koniec¹²⁰. Na niektórych podwórzach leżały jeszcze trupy. Jedna ze znajomych klientek mojego wujka wyszła nam naprzeciw i opowiedziała, jak to jej chory syn został postrzelony przez Rosjanina i jak to ten sam żołnierz w kilka sekund później, na jej oczach, zgwałcił jej jedyną córkę - oraz inne zajścia. To była makabra! W potoku wielu łez opowiadała nam o tym, co wydarzyło się w tej wsi, oddalonej zaledwie o kilka kilometrów od naszego miasta. Dobrze, że pojechaliśmy dalej, tutaj nie mogliśmy zostać, wszyscy uczestnicy naszej kolumny byli do głębi wstrząśnięci. Zeszliśmy do drogi do Gwiazdowa (Quäsdow), na tym bocznym odcinku nie było widać żadnego Rosjanina - jakże było to uspokajające po tej przerwie w Pomiłowie. Nasze konie były już porządnie wyczerpane. Po względnie udanej podróży, dotarliśmy tej niedzieli

¹¹⁴ obecnie ul. Koszalińska

¹¹⁵ obecnie ulica Polanowska

¹¹⁶ obecnie Osiedle Dzieci Wrzesińskich

¹¹⁷ Góra Kwasowska

¹¹⁸ Kanał Drzewny

¹¹⁹ syn nauczyciela Ernsta Rätzke

¹²⁰ dodatkowo: Michaelis E.H.v., Kirchspiel Quatzow, Kr. Schlawa in Pommern, Siegen 1990, tam została owa miejscowość dokładnie opisana

późnym popołudniem do wsi Gwiazdowo. U jednej znajomej gospodyni poprosiliśmy o coś ciepłego do picia. Między kuchnią gospodarskiego domu a kupą gruzów nie było dużej różnicy. Na Osiedlu Gwiazdowskim (Quäsdower Siedlung), trochę poza wsią, w kierunku Żukowa, rozdzieliliśmy naszą kolumnę na dwa gospodarstwa. Leżały one z pięcioma innymi budynkami na uboczu, z dala od drogi. Nasza rodzina mieszkała po jednej stronie, Klemzowie z całym dobytkiem po drugiej. Zaledwie kilka godzin przed nami, właścicielka tego gospodarstwa i jej matka wróciły na swoją posiadłość. Mimo że nie byliśmy dla niej żadnymi nieznajomymi, to jej stosunek do nas się bardzo zmienił w chwili, gdy poprosiliśmy o przyłączenie się do nich. Nie pozostało jej nic innego, jak nas przyjąć. Śmiertelnie zmęczeni urządziliśmy sobie legowisko na małym poddaszu i zasnęliśmy, znajdując zasłużoną ciszę nocną. Wtedy tego jeszcze nie wiedzieliśmy, że ów dom na wybudowaniach stanie się na tygodnie i miesiące naszym przymusowym miejscem pobytu. Jeżeli ktoś myślał, że to, co do czasu zasiedlenia tego miejsca przeżyliśmy, było najgorsze - mylił się. To miejsce miało stać się punktem wyjściowym dla naszej tragedii rodzinnej.

Słodko-kwaśna mina naszej gospodyni dawała nam dużo do myślenia. Gdzież mieliśmy się podziąć? Pozostać w mieście, było niemożliwe. Zapadła już ciemność, małe dzieci i starcy z naszej kolumny nie znieśliby już tego zimna na dworze. Właścicielka kilka dni temu sama była w podobnej sytuacji, podczas swojej tułaczki i ona prosiła obcych ludzi o przytułek. Teraz mogła czuć się szczęśliwą, że udało się jej wrócić na swoje. Plądrowania nie oszczędziły i tego gospodarstwa, ale w porównaniu z innymi wsiami i domami w mieście, nic szczególnego się tu nie wydarzyło. Kobieta ta nie potrafiła docenić swego szczęścia. Leżeliśmy ciasno w najmniejszym pomieszczeniu na poddaszu i byliśmy bardzo wdzięczni, że mamy jakiś dach nad głową. Ona miała swoje łóżko, prawie kompletne bydło, ukryte zapasy w większych ilościach - również i nasza sześcioposobowa rodzina: ojciec, matka, babcia, Brigitte, Erna i ja, mogłaby też z powodzeniem najeść się do syta. Nasze zapasy żywnościowe kończyły się już powoli, pozostałość była bardzo oszczędnie racjonowana. Byliśmy za skromni, może i także zbyt honorowi, aby poprosić o to, czy o tamto. Zebranie nie pasowało do nas, gdy chleb się skończył - jedliśmy kartofle, także i z nimi musieliśmy się gospodarnie obchodzić. Ugotowane, jedliśmy je z solą rano, w południe i wieczorem, do syta. Gospodyni i jej matka były bardzo "pobożne", ich religijność stała, niestety, w paradoksalnym przeciwieństwie do ich życia. Doświadczenie pokazało, jaka olbrzymia różnica może istnieć między religijnością a dobrocią. Stosunek człowieka do Boga nie zależy od ilości wyśpiewanych chorałów za dnia. W tym domu za dużo śpiewano i modlono się.

Czy to jest prawidłowo, przed i po każdym posiłku wzywać Wszechmogącego i prosić Go o pomoc i ochronę przed złymi ludźmi, gdy samemu zasiada się do suto zastawionego stołu i bez wyrzutów sumienia przygląda się, jak w tym samym pomieszczeniu sześć osób macza suche kartofle w soli? Czy można przez wiele godzin głośno czytać Biblię i nie przestrzegać wszystkim znanego przykazania o miłości do bliźniego (2.Mojż. 19.18)! Czasami bolały nas serca, gdy za-

branio nam wszelkich drobiazgów, natomiast my musieliśmy przyglądać się codziennym odwiedzinom nieproszonych gości w postaci radzieckich żołnierzy, których podejmowano szynką, kielbasą, garnkami smalcu, itd. Można było czasami zwątpić w wiarę. Matka i córka, j e s z c z e właścicielki tego gospodarstwa, były wystrugane z drewna, a drewno to było bardzo twarde.

Nie zwracaj serca na dobra,
które w przeszłości zdołały twoje życie.
Kto posiada, musi nauczyć się tracić!
Kto jest w szczęściu, powinien uczyć się bólu!

12-16 marca, poniedziałek-piątek

Tutaj w Gwiazdowie dni były podobne, jeden do drugiego. Ciągłe obawialiśmy się Rosjan i martwiliśmy się o codzienny chleb. Staralem się, jak mogłem, pomóc w gospodarstwie: rąbałem drewno, czyściłem oborę, itd. Pracy nie brakowało, także ojciec pomagał mi pilnie. Mieliśmy nadzieję, że jako zapłatę otrzymamy trochę kartofli, a ich zapasy były duże. We wszystkich zakamarkach natykałem się na ukrytą żywność. Gospodyni sama już dokładnie nie wiedziała, gdzie, co ukryła. Pod drewnem była ukryta słonina, pod śmietnikiem powidła, kielbasa w słomie, weki pod brykietami i węglem. Wszędzie natykałem się teraz na te smakołyki, dla nas były one wielką kosztownością. Z wysiłkiem utrzymywaliśmy się na powierzchni wody.

17 marca, sobota

17 marca obchodziliśmy w naszej małej, cichej izdebce 54 urodziny mamy. Były to smutne urodziny, ale próbowaliśmy je jakoś ozdobić. "Zorganizowałem" specjalną porcję żywności - w ten to sposób dzień ten różnił się nieco od pozostałych. Ale tutaj każdy dzień miał swoją plagę i nie należało go chwalić przed zachodem słońca - rankiem nigdy nie wiedzieliśmy, jaki będzie jego koniec. Z biegiem czasu i nasze gospodarstwa, położone na uboczu, zostały odkryte przez Rosjan. Zjawiali się w starych bryczkach i siali niepewność, przeczesywali wszystkie domy, kradli wszystko, co tylko wpadło w ich brudne ręce - obojętne, czy mogło im się to przydać, czy nie. Po plądrowaniu biczowali i opluwali wszystko, co im stanęło na drodze. Kobiety zbierano razem i zabierano je do radzieckich kwater, tam je gwałcono i gdy miały szczęście, puszczano je na wolność. Tak mijał dzień za dniem. Do tej pory mieliśmy nocą spokój, Rosjanie, mimo wszystko bali się jeszcze pojedynczych niemieckich żołnierzy, ukrytych w pobliskich lasach. Do niektórych gospodarzy pukali oni nocą do drzwi i prosili o jedzenie. Najwięcej martwiliśmy się o nasze kobiety. Byliśmy bardzo czujni i ostrożni, obserwowaliśmy okolicę już od wczesnego ranka. Miej oczy i uszy otwarte - było naszą codzienną dewizą. Nasz system sygnałowy funkcjonował znakomicie. Przez małe okienko w dachu można było obserwować drogę i pobliski teren - tu siedziała babcia i trzymała wartę; tę samą służbę w domu naprzeciwko sprawował "wujek Alla". Gdy w oddali się tylko coś poruszyło, lub zbliżało, nasi strażnicy wszczynali natychmiast alarm. Bryczkę można było natychmiast rozpoznać, jej pojawienie się nie wróżyło nic dobrego. Wszystkie młode kobiety znikwały natychmiast do swoich schowków, które wcześniej do-

kładnie przygotowaliśmy i każda z pań wiedziała, dokąd ma uciekać. Naprzeciwko domu mieszkalnego była duża stodoła, pod chlewem, pod belkami była ukryta piwnica - mało widoczna, bowiem na belki ustawialiśmy zawsze różne przedmioty. Na polu, około 50 metrów za domem, była jama w ziemi, która przeznaczona była na przechowywanie buraków cukrowych - także i ten schowek był mało widoczny. Nasi strażnicy byli niezawodni, zdawali sobie sprawę, że od ich uważności bardzo dużo zależy. Gdy zagrażało niebezpieczeństwo, wszystko musiało bardzo, bardzo szybko i sprawnie przebiegać. Nasze manewry udawały się, ale zawsze towarzyszył im strach. Rosjanie wpadali na gospodarstwa jak dzicy, prawie zawsze byli pijani, strzelali naokoło, jak szaleńcy. Byli nieobliczalni w swoim szale, dla nas mogło to oznaczać najgorsze. Nasze kobiety były dla nich wyjęte spod prawa i stawały się celem ich polowania. Każdy Sowjet-żołnierz miał w swojej kieszeni "zezwolenie na polowanie" i mógł z niego nieograniczenie korzystać, zawsze, kiedy tylko miał na to ochotę. Nie było tu żadnego radzieckiego przełożonego, który by interweniował i zabraniał tych bestialskich okropności. Aby ująć tym niespodziankom z drogi, również i ja chowałem się w kryjówkach. Zachowałem swoje niedowierzanie i dobrze na tym wychodziłem. Musiałem pozostać nieufnym, ponieważ byłem najmłodszym z mężczyzn.

Zupełnie nieoczekiwanie wybuchł alarm, w szybkim tempie zbliżała się bryczka. Naszym kobietom udało się schować, pobiegły one szybko do stodoły i schowały się tam za snopkami słomy. Czterech Rosjan wkroczyło na podwórze, czegoś chcieli? Oni szukali kobiet! Ponoć do "strugania kartofli"!

Dom został przewieszony, weszli na strych. Leżałem kilkadziesiąt centymetrów pod dachem, za kominem - najchętniej bym się w niego wcisnął. Wydawało mi się, że słyszeć bicie mego serca. Zachowywali się bardzo cicho i czujnie nasłuchiwali. Nie mogli mnie widzieć - tam, gdzie leżałem, było ciemno i komin zamykał widoczność. Rosjanie zniknęli, a ja głęboko odetchnąłem. Gdyby mnie znaleźli, byłbym w oczach tych brutalnych łowców kobiet niemieckim żołnierzem, nazistą, albo esesmańską świnią. Nie mógłbym im niczego udowodnić, nie mam pojęcia, co by ze mną uczynili - w każdym razie nic dobrego. Teraz przeszukiwali na dworze budynki gospodarcze, piwnicę, całe podwórze i jeszcze raz dom. Nie mogli uwierzyć, że tutaj byli tylko "starzy ludzie", a żadna młoda kobieta. Te łobuzy nie dały za przegraną. Weszli teraz do stodoły, moi rodzice i babcia mogli wszystko obserwować przez okno w kuchni. Ze złożonymi dłońmi i głośno bijącym sercem modlili się za Brigitte, za panią Künkel i za inne kobiety. Również i ja mogłem przez lukę w dachu wszystkiemu się przyglądać. Żołnierze wyszli ze stodoły, co tam się wydarzyło? Czy coś wewnątrz zauważyli? Założyli bagnety na swoją broń i jeszcze raz weszli do środka. Padły strzały, trzy lub cztery. Wrota do stodoły były zamknięte, niczego więcej nie mogliśmy widzieć. O mało co nie oszalałem z napięcia, moja siostra i pozostałe kobiety znajdują się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, a my nie potrafimy im pomóc i przyglądamy się temu wszystkiemu bezradnie. Spocony jak mysz, wygrzebałem się ze swojego schowka i udałem się na dół, do kuchni, do moich rodziców.

Wszystkie oczy były wpatrzone we wrota stodoły, nie padło żadne słowo. Moja mama i babcia płakały. Także i im nie wolno było opuścić domu, jeden Rosjanin stał przy drzwiach i pilnował. Mijały trwożliwe minuty, co działo się w stodole? Także z domu z naprzeciwka obserwowano całe zajście - i wujek z ciocią martwili się o córkę. Po około 15 minutach całe napięcie rozładowało się. Wrota stodoły otworzyły się i ujrzelśmy trzech żołnierzy, wściekle gestykulowali, wsiedli do bryczki i tak, jak przybyli: w dzikim galopie, odjechali. Udali się do następnego gospodarstwa i jeszcze do następnego, tak, jak im pasowało, tak długo i często, jak tylko ci "panowie" mieli ochotę, powtarzać swoją zabawę. Dopiero wiele minut później, kiedy byliśmy już pewni, że powietrze się oczyściło, uwolniliśmy nasze kobiety z przymusowej celi, były zupełnie głęboko zagrzebane w słomie. Niewiele brakowało, by bagnety ich dosięgły. Kobiety były mokre od potu, wypełnione strachem, nie potrafiły wydobyć z siebie ani słowa. Na ich twarzy malował się strach i przerażenie, płakały. Łzy zmywały cierpienie, podobnie jak serdeczne objęcie w ramiona przez matkę. Babcia była przeszczęśliwa, że jej wnuczce nic się nie przydarzyło. Na podwórzu odgrywały się podobne sceny radości. A więc co wydarzyło się w stodole? Kobiety ukryły się głęboko za grubymi balami słomy, strzały ich nie trafiły. Życzenie Rosjan, że je w ten sposób wystraszą - dzięki Bogu! - nie spełniło się. Czubkami bagnatów dźgali ci bandyci snopki słomy, kawałek po kawałku. Ostrą bronią rozrywali słomę i nakłuwali zaledwie o kilka centymetrów od głów kobiet. Wszystkim zatykało dech w piersiach, same nie mogąc w to teraz uwierzyć, że mogły się aż na tyle opanować. Na szczęście te okropne chwile są już poza nimi i poza nami. To tylko mały przykład tego, co nasi "wybawcy" musieli czynić, aby zmusić kilka niemieckich kobiet do "obierania kartofli".

Ledwo ochłonęliśmy z tego wrażenia, kiedy to nasi strażnicy ogłosili ponowny alarm, w oddali pojawiła się znowu bryczka. Babcia biegła po schodach na dół i do góry, nie mogła się uspokoić, myśląc o ponownym dla nas niebezpieczeństwie, a przede wszystkim dla jej wnuczki. Po ostatnim wydarzeniu zrezygnowaliśmy ze stodoły, szukaliśmy schronienia w piwnicy na kartofle, pod chlewem.

I ja znalazłem się w tej grupie. Ojciec i matka pomagali nam wszystkimi siłami, trzeba było o wszystkim pomyśleć. Całość została nakryta snopkami, a na nie porozrzucali worki i śmieci. Nie trwało długo, jak usłyszeliśmy nad nami odgłosy butów oficerskich. Szukali po wszystkich zakamarkach, jak te szczury - i tym razem nas nie znaleźli. Jeszcze często musieliśmy uciekać do tej piwnicznej dziury, jeszcze często słyszeliśmy nad nami rosyjską mowę i kroki. Tak minęło wiele dni, działo się to nie tylko tu w Gwiazdowie, tak było we wszystkich wsiach i miastach naszej ojczyzny. Polowanie trwało: my byliśmy zdobyczą!

19 marca, poniedziałek

Mama, ciocia Misssen i jeszcze kilka innych kobiet, podjęły odważną decyzję: postanowiły zrobić zwiad do miasta. Cóż za odwaga! Mnie także paliły pięty, chętnie wybrałbym się z nimi, ale dla mnie i dla naszych młodych kobiet ryzyko było zbyt wielkie. Nasze bohaterki udały się do Sławna bocznymi drogami. Tak czy tak, musiały przejść przez Pomiłowo, nie było innej możliwości. Za wsią

wybrały drogę przy Holzgraben (*Kanał drzewny*) - była ona trochę ukryta i mało widoczna, krzyżowała się z mostem Holzgraben przy hotelu Roggenbuck¹²¹, tzn. prawie, że naprzeciw naszego domu. Wszystko się dobrze powiodło, mama przeżyła radosne zaskoczenie, bo mogła ujrzeć nasz dom, który my już widzieliśmy w naszej wyobraźni w gruzach i popiele. Mama weszła na krótko do środka. To, co zobaczyła, odebrało jej mowę. Chciały uniknąć zła i postanowiły dłużej się tam nie zatrzymywać. Ciocia Klemz musiała się, niestety, pogodzić z okrutną rzeczywistością, bowiem ich sklep (Köslinerstrasse¹²²), jak również wszystkie magazyny (Husarenstrasse¹²³), zostały spalone do fundamentów. Z jednej strony radość, z drugiej ból - obydwie uczucia były ściśle ze sobą połączone. Ciocia Missen była załamana, płacząc stała przed ruinami swojego domu i musiała tę wstrząsającą wiadomość przynieść wujkowi do Gwiazdowa. Także i ona nauczyła się w ostatnich dniach "cierpieć, nie narzekając". Z tymi to wiadomościami wróciły nasze panie z ich ryzykownego przedsięwzięcia. Z wielką brawurą wykonały to przez siebie wytyczone zadanie. Cieszyły się, że mogły bez tragedii opuścić miasto. Dla wujka Alla była to straszna wiadomość, jego dzieło życia zostało zniszczone w tak bezsensowny sposób. Jego sklep - główna żyła handlowa naszego miasta, został spalony w ciągu jednej nocy. Gdyśmy w Sławsku widzieli płonące niebo, zastanawialiśmy się, czy i nasze budynki płoną. Wujek Alla był załamany, chociaż rany się kiedyś zagoją, blizna pozostanie. Nasze kobiety co prawda nie były za długo w mieście, ale zdążyły przeżyć makabryczne sceny, jako następstwo chaosu, który przeszedł przez Sławno. Mieszkańcy, którzy przebywali teraz w murach miasta, byli zajęci wygrzebywaniem trupów z gruzów. Ciała nieżywych ładowano na drabiniaste wozy i wywożono na cmentarz. Tam zostali pochowani w zbiorowej mogile nasi przyjaciele, którzy śmiercią samobójczą rozstali się ze swoim życiem. Wśród osób, usuwających zwłoki z ulic był także Franz Krüger, kelner w kawiarni Zöbisch¹²⁴, niestety nie miałem już nigdy więcej okazji go spotkać i z nim porozmawiać. Chciałbym mu jeszcze serdecznie podziękować, że miał tyle wyrozumiałości dla nas, młodzieży. Franz miał zawsze otwarte serce dla młodych, a oni dla niego. Gdyśmy podczas wojny chcieli spotkać się z przyjaciółmi "u Zöbicha", Franz serwował nam bez zamówienia zawsze coś szczególnego, naturalnie w filiżance do kawy, "aby się nic nie wydało!" Puszczanie oczka było naszym podziękowaniem. Teraz musiał on pod nadzorem starych ludzi z KPD¹²⁵ wykonywać tę okropną robotę. Biedny Franz! Liczba zabitych była duża, nie mniejsza od liczby tych, którzy sami sobie odebrali życie. Szpital był przepełniony, nie tylko przez chorych, ale także przez kobiety, które zostały zgwałcone. Byli tam także

¹²¹ przy dzisiejszej ulicy Jedności Narodowej

¹²² obecnie Jedności Narodowej

¹²³ nieistniejąca obecnie ulica w śródmieściu, odchodziła od dzisiejszej Basztowej w rejonie budynku siedziby orkiestry dętej i prowadziła do dzisiejszej ul. Jedności Narodowej, między dzisiejszą ulicą Basztową i Kościuszki.

¹²⁴ Franz Krüger, starszy kelner, Lietzowdamm 35 (obecnie ul. Chelmońskiego)

¹²⁵ KPD – Komunistyczna Partia Niemiec

ci, którym samobójstwo się nie udało (otwarcie żył). Dopiero o wiele później dowiedzieliśmy się o tym, wieści o zabitych dotarły i do nas do Gwiazdowa. Okrutny mord na państwie Dahnz, tragedia rodziny doktora Schmidta wywołały epidemię samobójstw w mieście: trzech nauczycieli ze szkoły średniej, nauczycielka Erna Müller, która uczyła jeszcze moją mamę, ze swoją przyjaciółką i koleżanką z pracy, Elisabeth Krebs; Erna Schewe, krewna Eki Maatz, razem ze swoim starym ojcem; nauczyciel Zedler, znakomity pedagog, został rozstrzelany przez Rosjan w swoim mieszkaniu, gdy próbował obronić swoją żonę przed gwałtem. Lista zmarłych była długa, nie zdołali oni przeżyć wkroczenia "wybawców" do miasta. Wydaje mi się, że dobrze zrobiliśmy, opuszczając wówczas Sławno. Max Hasenbusch - mój dobry przyjaciel - usiłował w swoim domu przy Kettenhagenstrasse¹²⁶ obronić swoją szwagierkę przed gwałtem, kula z pistoletu trafiła go prosto w chore płuco. Próbował jeszcze walczyć ze śmiercią w szpitalu, ale ona wygrała ten pojedynek. Dowiedzieliśmy się też o śmierci całej rodziny weterynarza, doktora Schwarza¹²⁷. Tak, także piękne dziewczyny i wspaniałe koleżanki, Eva i Ursula, nie przeżyły. I tutaj cała rodzina została wyrwana z korzeniami. Rzeczywistość kreśliła naprawdę krwawe obrazy!

Ida Last z Warszowa, przez 9 lat pracowała u nas w domu, popełniła samobójstwo z całą swoją rodziną, topiąc się w Wieprzy. Ta rzeka, płynąca w kierunku Darłowa do Bałtyku, zabrała ze sobą wielu ludzi. Nie potrafię ich tu wszystkich wymienić po imieniu, ograniczam się więc do przyjaciół i znajomych. Także pani Fenske z Berlina (siostra Leo Kämmerera z Monachium), stara przyjaciółka naszej rodziny, która swojego czasu maszerowała z nami w jednej kolumnie wozów i następnie zdecydowała się zostać u państwa Steinhorst w Hästerkatzen¹²⁸ - zginęła śmiercią samobójczą. Czy z nami udałoby się jej przeżyć? Naprzeciwno nas mieszkał mistrz kowalski, Hermann Lemm, przez wszystkich w mieście bardzo szanowany, pilny rzemieślnik, nie potrafiłby on nigdy nikogo skrzywdzić. Podczas wejścia Rosjan do miasta wybrał się do swoich krewnych do domku leśnego (Waldhof¹²⁹). Pewnego dnia przybył do miasta. Znalaziono go rozstrzelanego przed drzwiami własnego domu. Moje wyznania nie odsłaniają całego zakresu tragedii Sławna, częściowo nie było mnie przy tym - i chciałoby się powiedzieć: dzięki Bogu! W moich wspomnieniach utrwalam relacje naocznych świadków - oni to widzieli śmierć ludzi, których ja znałem.

20-21 marca, wtorek i środa

Z Gwiazdowa jechał od czasu do czasu do miasta wóz z ciężko chorymi. Szpital, totalnie przepełniony, był jedyną instytucją, która jeszcze funkcjonowała. Po śmierci doktora Schmidta - dwóch czy trzech niemieckich lekarzy zajmowało się jednakowo chorymi Rosjanami jak i Niemcami. Do pomocy była pani doktor Narius i siostra przełożona, Maria Möller z kilkoma swoimi pomocnikami. Zapasy lekarstw i szczepionek były już na wyczerpaniu. I akurat brak leków prze-

¹²⁶ obecnie ulica Matejki

¹²⁷ dr Hermann Schwarz, Hindenburgstrasse 34 (obecnie Armii Krajowej)

¹²⁸ Przylaski

¹²⁹ obecnie Miłostowo

ciw chorobom zakaźnym miał się jeszcze wszystkim dać we znaki. Znajomi, którzy wrócili po pobycie w szpitalu do wsi, poinformowali mojego ojca, że radziecka komendantura poszukuje dla szpitala dentysty. Padło nazwisko Mielke, ponieważ przypuszczano, że mój ojciec musi się gdzieś ukrywać w okolicach Sławna. To bezsensowne ukrywanie musiało się wreszcie kiedyś skończyć, no i okazja pracy w swoim zawodzie kusiła - nawet jeżeli to miałoby być w nietypowych warunkach. Po długiej naradzie zdecydowaliśmy, że przesiedlimy się do miasta, oczywiście na razie tylko częściowo. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z trudności. W mieście nie było żadnych artykułów spożywczych, zamiast chleba tylko trochę kartofli, woda pitna była już rarytasem. W naszym domu, tak czy inaczej, niczego byśmy nie znaleźli, a sami niczego więcej nie posiadaliśmy. Od naszej gospodyni nie mogliśmy zbyt wiele oczekiwać, ona wołała odstawiać swoje bydło dla Rosjan. "Z wielkiej konieczności"- gospodarz z sąsiedniego gospodarstwa sprzedał nam świniaka, który miał 170 funtów. Mieliśmy teraz to kochane zwierzątko na naszym podwórzu, ale nie było nikogo, kto by chciał i potrafił je zabić. Ojciec spasował ("lepiej wyrwać 50 zębów..."), wujek Alla był synem handlarza bydłem, ale on sam nie mógł patrzeć na krew. Mnie też się ta rola nie widziała, ale wszystkie oczy patrzyły na mnie. Nigdy w moim życiu nie zabiłem żadnego zwierzęcia, oprócz pcheł, much i pluskiew w Rosji. Ze wszystkich stron wmawiano mi odwagę: "... nie tak źle...", "ostatni ratunek", "...musimy mieć coś do jedzenia...", "musi zostać zabity, jak nie, to go Rusek nam zabierze", itd., itd. Mój honor został podważony. Jeden funt odwagi jest więcej wart niż tona siły i wtedy, gdy się odwagę straci, straci się także siłę. Nic mi nie zostało zaoszczędzone, głód bolał, burczenie w żołądkach moich najbliższych przekonało mnie, aby temu biednemu zwierzęciu zadać śmiertelny cios. Nasza Erna i pewna dziewczyna ze wsi służyły mi radą. Każde uderzenie i każda inna czynność, jaką musiałem wykonać podczas tej krwawej egzekucji, były najpierw zapowiadane przez dziewczyny. Były to chwile w moim życiu, w których z wielkiej potrzeby unosiłem się ponad swoim cieniem. Nadzwyczajne okoliczności doprowadzały do nadzwyczajnych czynów. Na czołe wystąpił mi pot, ale wszystko się udało, przeszedłem samego siebie, sam się sobie dziwiłem. Szybko żeśmy się uporali z robotą, mieliśmy przecież prawie pięć na nosie. Kobiety zaraz wszystko zapakowały, znały się trochę na tym, to było kiedyś normalne, że w domu było świniobicie.

W międzyczasie było kilka alarmów, zjawiali się Rosjanie i prace rzeźnicze musiały być przerywane.

22 marca, czwartek

Przygotowaliśmy nasz wóz. "Wieprzowa paczka" została starannie zapakowana. Załadowaliśmy też część naszych rzeczy, rozpoczął się marsz powrotny. Dla pewności kazaliśmy Brigitte, babci, wujkowi z małą Gudrun, Karolinie Künkel z Gundolf i Marianne, pozostać w Gwiazdowie. Musieliśmy się najpierw zorientować w sytuacji, ostrożność była nadal najważniejsza. Cicha nadzieja: wrócić do naszego domu, myśl, że ojciec mógłby znowu pracować w swoim zawodzie, uskrzydlały nas w marszu. Wyprzedzały nas liczne radzieckie dorożki, o dziwo!

- Rosjanie nas nie zaczepiali, pozwolili nam dalej, ciągnąć ten wóz. Niepokoiliśmy się o świniaka, był on w naszej sytuacji bardzo ważny. Do Pomiłowa wszystko układało się pomyślnie. Za wsią wybraliśmy znowu polną drogę przy Holzgraben¹³⁰, którą przed paroma dniami szły nasze kobiety. Główna szosa była prawdopodobnie ryzykowna. Z trudnością ciągnęliśmy z ojcem wóz. Jeszcze tylko pół godziny i dotrzemy do Sławna - w oddali były już widoczne pierwsze domy. Los pokrzyżował nam niespodziewanie plany i nadzieje, skryte marzenia rozwiały się z wiatrem. Na równoległej drodze, po drugiej stronie Holzgraben, na odcinku kolejowym Sławno-Korzybie, nadeszli z kierunku Sławna trzej radzieccy żołnierze, uzbrojeni w pistolety maszynowe. Dali nam znak, że mamy się zatrzymać. Jeden Rosjanin nadszedł z przeciwnego brzegu z tłumaczem i rozkazał, że mamy wracać do wsi (Pomiłowo). Nie podejrzewaliśmy niczego złego, mieliśmy trochę wyrzutów sumienia z powodu naszego wieprzka, ale przecież nabyliśmy go w uczciwy sposób. Spełniliśmy rozkaz. Jeden z żołnierzy pilnował nas, a drugi ze swoim tłumaczem przetrząsał gospodarstwa we wsi. Prawie ze wszystkich domów wyprowadzono ludzi, dołączali do nas mężczyźni i kobiety w różnym wieku. Niektórzy z nich zajmowali tylko przejściowo pusto stojące budynki we wsi, jako miejsce na odpoczynek podczas tułaczki. Przybyli chłopcy i dziewczęta, matki oddzielono od ich dzieci, nasza grupa powiększała się. Nie wiedzieliśmy jeszcze, co zamierzają z nami zrobić, czekaliśmy niecierpliwie. Po godzinie wróciło to łowcze komando. Niektórym Niemcom udało się jeszcze ukryć w lesie. Nasz młody strażnik zauważył kilku uciekających i oddał w ich kierunku kilka strzałów - to przecież nie zające lub sarny biegły po gołym polu, tylko ludzie. Dzięki Bogu, strzały chybiły! Jak stado bydła wypędzono nas na główną szosę. Razem z ojcem ciągnąłem wiernie wóz z mięsem, którego jeszcze nikt nie zauważył. Szliśmy w kierunku Sławna. Powoli widzieliśmy przedmieście, było już wypełnione ludźmi, sterczeli w oknach i przyglądali się nadchodzącym. Nie mieliśmy jak dotąd żadnego wyjaśnienia, co to wszystko miało znaczyć, ale już wkrótce mieliśmy się tego dowiedzieć. Zatrzymaliśmy się przed jednym z domów przy Walkmühlendamm¹³¹. Z głośnym rykiem, kopnięciami i uderzeniami kolb, 20 osób z naszej grupy zapędzono do piwnicy. Drzwi zaryglowano, zostaliśmy uwięzieni. Pomieszczenie piwnicy było wypełnione do połowy starymi kartoflami, mogliśmy siedzieć w półprzysiadzie, nie można było wyciągnąć wygodnie nóg. Przez małe okienko widzieliśmy ulicę, nasz wóz stał jeszcze na dworze i czekał na nas. Ten czwartek nie był dla nas szczęśliwym dniem, zbliżał on się już ku końcowi. Zapadła noc, okropna noc w tej ciasnocie, gnębił nas głód i pragnienie. Mama podzieliła między wszystkich ostatni chleb, każdy dostał po kawałku. Teraz przeżuwaliliśmy ten chleb bardzo powoli, siedząc niewygodnie na kartoflach: razem ze mną moi rodzice, ciocia Klemz, Ursel, innych nie znaliśmy. Przed nami była ciemna noc i wielka niepewność. Nasze potrzeby musieliśmy załatwiać w tym samym pomieszczeniu.

¹³⁰ Kanał Drzewny

¹³¹ obecnie ulica Staszica

23 marca, piątek

Za dnia wyprowadzono wszystkich jednocześnie. Pod nadzorem wolno nam było skorzystać z tzw. deszczówki, która gromadziła się w zbiornikach, w ogrodzie - mogliśmy się trochę odświeżyć. Nasi strażnicy mieli dziką radość z tego widowiska. "Kultura, która opanowała cały świat, nie opanowała swoim zasięgiem diabła!" Ci młodzi wiekiem dranie, pierwszy raz na obczyźnie, w cywilizowanym kraju, wykorzystywali nas teraz jako spluwaczki. Całe szczęście, że nikt z nas nie odważył się przerwać tych upokorzeń. O spaniu nie było mowy, byliśmy tak bardzo ściśnięci, a poza tym było bardzo zimno i nad nami, w pomieszczeniu, tańczyli i wyli pijani Rosjanie, w rytm melodii, wygrywanej na ukradzonej ustnej harmonijce. Mimowolnie pomyślałem o piosence o Wołdze: "Mojemu sercu jest ciężko i gnębi mnie tęsknota - siedzę zamknięty w złotej klatce!", tylko, że nasza klatka nie była złota. Organizowano sobie kobiety i dziewczęta z domów i piwnic - i nasze pomieszczenie musiało się z tym liczyć. Zazdrosne, umundurowane polskie i radzieckie kobiety przyprowadzały nam, dzięki Bogu! - nasze kobiety z powrotem. Rynna deszczowa była często przez wszystkich wykorzystana, pobyt tam był zawsze przedłużany, ponieważ w tym miejscu spotykało się osoby z innych domów, znajomych z miasta i okolicznych wsi. Wszyscy wpadli w sieć w ten sam sposób, co i my. Żadna z tych 500-600 upolowanych osób nie wiedziała, co ta akcja miała przynieść. Jedna kobieta z naszej piwnicy miała gotować na dworze, w dużym kotle jedzenie. Wielu już z głodu zaczęło się buntować. Rosjanie sprowadzili ze wsi bydło i uwięzieni rzeźnicy musieli je zabić. Mięsa było więc w dużych ilościach, nic innego tylko zupełnie świeża wołowina i do tego bardzo tłusty rosół. Żadnych kartofli, żadnego chleba, tylko mięso. Nasz wyczerpany organizm nie mógł już strawić tego tłustego jada. Wybuchła katastrofa. Już następnego dnia wielu dostało rozwolnienia. Podejrzewaliśmy nawet celowy zamiar tej akcji. Ja miałem pomóc kucharce, zaczerpnąłem przez to trochę świeżego powietrza. Spoglądałem często w kierunku naszego wozu, stał on ciągle na tym samym miejscu! Odkryto już wprawdzie ukrytą wieprzowinę, ale była ona w tej chwili mało interesująca, ponieważ mięsa było aż za dużo. Za to bardziej interesujące okazały się nasze rzeczy w walizkach. Jeden Rosjanin nosił dumnie moją skórzaną kurtkę; Polka, która występowała tu w roli tłumacza, promieniała, ubrana w rzeczy z walizki mojej siostry. Jak bydło wystrojone w Zielone Świątki na jarmarku, jak pawiany w zoo, dorwawszy coś z każdej walizki, panoszyły się przed nami te marne białołowy. Nic nie było już do uratowania:

Dobrze przegrać - to trochę przegrać

honor stracić - to wiele stracić,

odwagę stracić - znaczy wszystko stracić.

To może by lepiej było, wcale się nie rodzić!

Rozglądałem się za możliwością ucieczki, miałem dobre rozeznanie w tej części miasta. Niedaleko był las. Nie chciałem jednak pozostawić mojej rodziny samej w tej niepewności. I ten piątek minął, jeszcze jedna noc w tej okropnej piwnicy. Nasz los nie był jeszcze rozstrzygnięty, ciągle krążyły jakieś plotki. Także i tej

nocy nie było spania. Ku zdziwieniu wszystkich wkroczył pijany Rosjanin i wyciągnął mnie i jeszcze jednego "współmieszkańca". Obawialiśmy się najgorszego, ale na szczęście chcieli od nas czego innego. U góry, w kuchni pewna Niemka musiała gotować dla Rosjan, my mieliśmy jej pomagać: strugać kartofle i kroić słoninę do wczesnego rana. Ja najadłem się zaraz na zapas i napchałem kieszenie. Mój współtowarzysz był wycieńczony rozwolnieniem i nie mógł już patrzeć na jedzenie. Rodzice ucieszyli się, gdy wróciłem do nich nad ranem. Tak to oto wkroczyliśmy w następny dzień.

24 marca, sobota

Tego dnia miało nastąpić tzw. przesłuchanie. Przed południem było nam wolno wyjść na dwór. Po tych ciemnych i zimnych nocach i dniach w piwnicy, ciepło marcowego słońca dobrze nam zrobiło. Przesłuchania rzeczywiście się zaczęły. Dlaczego? Dokonaliśmy jakiegoś przestępstwa? Nie, my byliśmy niemieckie świnię, to już im wystarczyło. W mieszkaniu na parterze siedziało w dwóch pokojach dwóch radzieckich oficerów, każdy z nich miał polską "tłumaczkę". Te same kobiety widzieliśmy, jak przeszukiwały i opróżniały nasze walizki. Byliśmy wprowadzani pojedynczo, każde przesłuchanie trwało około 10 minut. Przesłuchujący robili co jakiś czas przerwę na papierosa, wówczas szli do jakiegoś kąta "na miłość" z kobietami. Trwało to tak długo, dopóki nie zostały wywołane następne ofiary. Oficerowie byli pod wpływem alkoholu, ale wyjątkowo spokojni i dość obojętni. Stawali się niebezpieczni, gdy "damy" ich podjudzały. Przesłuchanie składało się z następujących standardowych pytań: "Wiek?" - "Zawód?", (nie było się robotnikiem, było się "kapitalistą") - "Był w partii?" - "Od kiedy?" - "Był żołnierzem?" - "Kiedy i gdzie?" - "Zatrudniał w domu Polaków?" itd. To ostatnie pytanie było zawsze stawiane od siebie przez polską dziewczynę. Wiele kobiet i mężczyzn wracało z tego przesłuchania z nabiegłymi krwią oczami, obchodzono się z nimi przeraźliwie. Teraz była na nas kolej. Wyszedłem razem z ojcem, każdy z nas musiał jednak iść do innego pomieszczenia. Nasze kobiety przyszły dopiero później. Kobiety i mężczyźni byli przesłuchiwaani osobno. Utykałem o lasce, jak tylko najgorzej potrafiłem, laska stała się moim talizmanem, który mnie uchronił w ostatnim czasie od kilku niebezpieczeństw. Kiedy wszedłem do pomieszczenia, nie mogłem uwierzyć własnym oczom: między Rosjanami i Polakami siedziała znana mieszkanka Sławna, czerwona opaska zdobiła rękaw jej czarnej bluzki. Rozpoznałem ją a ona mnie. Była to członkini małej sławieńskiej KPD¹³² i była starą, fanatyczną czerwoną towarzyszką. Teraz siedziała tutaj, wśród swoich przyjaciół, którzy ją i jej partyjnych towarzyszy oczekiwali z utęsknieniem. Nieszczęsna rola, jaką tu teraz odgrywała, była możliwa dzięki denuncjacjom swoich rodaków. Młody radziecki oficer zadawał mi pytania: "Wiek?" - "23 lata" - "Od którego roku członek Hitler Jugend?" (Czy w ogóle byłem członkiem, o to nie pytał), tutaj skłamałem, wcale się nie rumieniąc. "Byłeś żołnierzem?" - "Tak", "Gdzie?" - "W Związku Radzieckim", "Ile radzieckich żołnierzy zastrzeliłeś?" Wzruszyłem ramionami, ta-

¹³² Komunistyczna Partia Niemiec

kiej odpowiedzi się nie spodziewał. "Dlaczego nie jesteś już więcej żołnierzem?", moja krótka odpowiedź brzmiała: "Noga kaputt!" Rosjanin nie mógł się zdecydować, spojrzał na tłumaczkę, to ona miała podjąć decyzję - spojrzała znowu na mnie, trwało to kilka sekund. Są niebezpieczeństwa, przed którymi nie ma możliwości ucieczki. Byłem tego całkowicie pewny, że decyzje, które tu zapadną, znaczą: śmierć albo życie. Polka zlustrowała mnie od stóp do głów. Odnowiłem swój stary trik, rzuciłem swoją kartę triumfową: posłałem głębokie, uwodzicielskie spojrzenie, od którego widocznie Polka poczuła do mnie trochę sympatii, wpłynęło to na decyzję wobec mojej osoby, uśmiechnęła się i wykonała ruch dłonią, który miał znaczyć: "Tego puścimy wolno!" Dobrze, że nie potrafiła czytać moich myśli. Rosjanin uderzył kijem o stół i krzyknął tylko: "Nach Hause!" Byłem więc zwolniony. Wartownicy odebrali mi jeszcze buty i tak oto stanąłem na ulicy. Byłem wolny, tylko na jak długo? Być może, że i moi rodzice będą mieli trochę szczęścia! Chciałem jeszcze poczekać na ojca, on powinien już być też gotowy. Nie przyszedł, zatrzymano go tam. Musiał dołączyć do tej grupy mężczyzn, którzy nie zostali zwolnieni, czekali na dalsze decyzje. Chciałem jak najszybciej opuścić tę niebezpieczną strefę, bo przecież mogło się zdarzyć, że zostało się zwolnionym z jednego domu, a w drugim zaraz ponownie uwięzionym. U "Iwana Groźnego" wszystko było możliwe. Moja ciocia i kuzynka Ursel też zostały wkrótce zwolnione. Przesłuchanie kobiet miało podobny przebieg, te same pytania, to samo obchodzenie się przez tłumaczkę - jeżeli jej jakaś kobieta nie pasowała, otrzymywała baty. Panowało tu bezprawie i surowe obyczaje. Mój Boże! Jakimiż to grzecznymi żołnierzami my byliśmy; nigdy nie widziałem, by jakiś Polak lub Rosjanin został przez nas pobity; złe traktowanie kobiet było wykluczone, nie walczyliśmy przeciwko ludności cywilnej. Nie jest w zwyczaju, pisanie takich słów, nie pasują one do szablonów, które niektórzy literaci przykładają niemieckim żołnierzom!

Nasi najbliżsi w Gwiazdowie martwili się już o nas na pewno, oni przecież nie wiedzieli, co się w ostatnich dniach wydarzyło. Ciocia Missen i Ursel szybko się tam udały. Ursel Jürs wróciła do swej małej Gudrun, a ciocia Missen do wujka Alla. Moja siostra i babcia musiały się jeszcze uzbroić w cierpliwość, dotarły do nich wiadomości z pierwszej ręki. Byłem jeszcze niezdecydowany: nie wiedziałem, czy mam zostać w Sławnie, czy też wracać do Gwiazdowa. Mimo dużego niebezpieczeństwa, zdecydowałem się na miasto. Chciałem wszystkimi siłami pomóc rodzicom. I tak oto ciągnąłem nasz wóz z Pollnower Siedlung¹³³ do śródmieścia. Posiadałem tylko to, co miałem na grzbiecie i na wozie. Czy wieprzek nadawał się jeszcze do jedzenia? Przy fabryce maszyn Seglera usłyszałem wołanie z okna: "Hallo! Kurt Mielke!" Znieruchomiałem. Przestraszeni wieloma łapankami, przed którymi udało im się do tej pory uchronić, wyszli mi naprzeciw tamburzysta Schröder¹³⁴ i kupiec Alfred Schumann¹³⁵. Mogłem ich tylko

¹³³ obecnie Osiedle Dzieci Wrzesińskich

¹³⁴ Schröder Erwin, Stolper Strasse 9/10 (obecnie ul. Skłodowskiej)

¹³⁵ Alfred Schumann, Markt 22 (obecnie pl. Kard. Wyszyńskiego)

ostrzec i w skrócie opowiedziałem, skąd wracam. Byli bardzo głodni, odkroili sobie szybko kawał mięsa i wielokrotnie dziękując, pozwolili mi odejść. Bardzo mi było żal tych biednych, starszych mężczyzn, miejmy nadzieję, że udało im się uniknąć tych zbirów.

Ciągle była sobota, 24 marca. Długi i bogaty w wydarzenia dzień; dzień, który nigdy nie wymazał się z mojej pamięci. Niepojęte, ale ten dzień zadecydował o rozłączeniu wspólnego życia moich rodziców. Tego też dnia, w godzinach popołudniowych zobaczyłem ponownie Sławno - 19 dni po tym, jak je opuściłem wraz z ojcem i Camille. Miasto zdawało się być bezludne, czułem coś nieprzyjemnego, czego nie da się opisać słowami. Z naszym wozem znalazłem się na podwórzku u kowala Lemma, dokładnie naprzeciw naszego domu. Usłyszałem, że pani Lemm była w domu, szczęście, że na nią natrafiłem. Prosiła mnie, bym u niej został, była zupełnie sama na swej posiadłości. Tej dzielnej kobiecie udało się przeżyć wkroczenie Rosjan do miasta. Swojemu mężowi, którego znaleziono zastrzelonego przed drzwiami własnego domu, wykopała sama grób i pochowała go na sławieńskim cmentarzu. Zostałem więc u pani Lemm, ona troszczyła się o mnie, jak matka. Prosiaka schowaliśmy dobrze w chłodnej piwnicy, mając nadzieję, że Rosjanie nigdy nam go stamtąd nie wyniosą. Często chodziliśmy do jej ogrodu i troszczyliśmy się o pszczoły. Koza dawała mleko, a kury kilka jaj - tak oto trwaliśmy. Trochę później natknąłem się u nas na Ernę, także i ona została wypuszczona na wolność. Erna przyniosła mi wstrząsającą wiadomość: moją matkę zatrzymano! Chyba nie pojmowałem jeszcze powagi sytuacji, to bezprawie było niewiarygodne. Podczas gdy mój ojciec (59 lat) był razem z rówieśnikami, musiała moja mama (54 lata) dzielić swój los z młodszymi kobietami. W międzyczasie dowiedziałem się, że te domy na Pollnower Siedlung były zbiorczym obozem i służyły Rosjanom do tego, by mogli spośród więźniów wyszukać sprawnych do pracy i wysiedlić ich do obozów pracy, do Związku Radzieckiego, aż na Syberię. Po południu udałem się do radzieckiej komendantury miasta i beczelnie zażyczyłem sobie rozmowy z komendantem. Ponieważ ten nie był zdatny do rozmowy, z powodu kompletnego upojenia alkoholowego, musiałem pertraktować z tłumaczką, kobieta ta należała do tego samego gatunku - słuchała mnie i wykazywała nawet duże zainteresowanie. Był to specjalny przypadek, wyjaśniłem jej, że mój ojciec miał się właśnie zgłosić u komendanta, by móc przejąć praktykę dentystyczną w szpitalu lub u siebie w domu. Opowiadałem jej dalej, jak to przypadkowo zostaliśmy schwytani przez patrol. Tłumaczka poleciła zastępcy komendanta, by wystawił mi odpowiednie zaświadczenie, umożliwiające zwolnienie rodziców. Z tym "dokumentem" w kieszeni pomaszerowałem pośpiesznie na osiedle. Byłem z siebie dumny, że udało mi się coś takiego załatwić i głęboko w to wierzyłem, że moje starania zostaną uwieńczone sukcesem. Zbliżałem się już do budynków osiedla - przed domem, w którym siedziałem uwięziony, doznałem dziwnego uczucia: mogli mnie przecież znowu uwięzić! Setki ludzi czekały tu nadal na swoją wolność. Znajomi kiwali mi z daleka, swoimi gestami dawali mi do zrozumienia, że mam się nie zbliżać, niebezpieczeństwo jest zbyt wielkie. Mnie było w tym momencie wszystko obojętne,

chodziło przecież o wolność moich ukochanych rodziców! Najchętniej dałbym się złapać, by móc dzielić ich los, zgłosiłbym się dobrowolnie, gdybym wiedział, że zwolnią przynajmniej mamę. Przed drzwiami stał, być może osiemnastoletni strażnik, pokazałem mu dokument od komendanta miasta. Uczynił gest, jakby czytał, puścił kanonę przekleństw i podarł ten papier na tysiące strzępów. W tym momencie o mało co popłakałbym się, ale zamiast tego zacisnąłem tylko mocno pięści w kieszeni. Kopnięcia i uderzenia kolbą, które odczuło moje ciało i nakaz, abym zniknął, zakończyły to beznadziejne wejście. Z podwórza sąsiedniego domu przyglądali się temu wszystkiemu moi rodzice. Wielka nadzieja zgasła. W stronę rodziców krzyknąłem, że będę jeszcze raz próbował. Pośpiesznym krokiem udałem się ponownie do komendantury. Tłumaczka potrząsnęła tylko głową, ale rzeczywiście załatwiła mi drugie zaświadczenie! Pod wieczór poszedłem znowu na osiedle, tym razem byłem bardziej przebiegły i udało mi się znaleźć w pokoju oficera. Kilkoma łamanymi rosyjskimi słowami próbowałem mu wszystko wyjaśnić. Dumny i pełen optymizmu, pokazałem mu swój dokument, który został, o dziwo, przeczytany. Oficer postawił mi jeszcze kilka pytań i zanotował sobie nazwisko moich rodziców. Kazał też opisać sobie budynek i piwnicę, w której zostali uwięzieni. Mnie spytał, dlaczego chodzę o lasce; pokazałem mu swoją nogę i ujrzałem, jak uniósł brwi ze zdziwienia. Jako odpowiedź na mój proszący gest, powiedział: "Zawtra!", tzn. "jutro". Serce biło mi szybko, już jutro mieli być więc zwolnieni! Na koniec udało mi się jeszcze trochę porozmawiać z rodzicami przy płocie. Gdy się już ściemniło, rozdzielił nas radziecki strażnik. Podarowałem mamie i ojcu nadzieję. Pani Lemm i Erna czekały już niecierpliwie i trzymały za mnie kciuki. Dziś nie potrafiłem niczego więcej uczynić - skontaktowałem się z najwyższą instancją w mieście i teraz musiałem odczekać. Pani Lemm zrobiła dla nas kolację i potwornie zmęczeni od kłopotów i napięcia zatopiliśmy się w sen.

25 marca, niedziela

Obudziłem się dość wcześnie, miałem przecież do załatwienia kilka spraw. Z okna pokoju gościnnego pani Lemm widać było nasz dom - i tam też zamierzałem dzisiaj pójść. Moja gospodyni ostrzegała mnie, że jest to zabronione, gdy się nie jest "zameldowanym" i nie ma się na to zezwolenia. Ja nie spełniałem żadnego z tych wymogów, ale mimo to, nic nie mogło mnie przed tym powstrzymać. Uczyniłem ten krok, chciałem wreszcie zobaczyć, co się w tym domu wydarzyło. Widok był wstrząsający! Pomyślałem o rodzicach, jak to dobrze, że ten obraz został im zaoszczędzony. To, co zobaczyły moje oczy, jest trudne do opisanie słowami. Sodoma i Gomora nie mogły być gorsze. Gdyby istniał stopień najwyższy dla słowa "przerażający", można by go było tutaj użyć. "Do góry nogami", czy "groch z kapustą", to za mało powiedziane. Tutaj panował chaos! Warto by było utrwalić ten nieład na filmie. To przecież nie stało się samo z siebie w domu Mielke. Teraz można było oszacować i wyobrazić sobie, co mieszkańcy miasta przeszli. Można było łatwo teraz zrozumieć, dlaczego tak duża liczba osób popełniła samobójstwo. Żaden, nawet najmniejszy kąt nie został oszczędzony. Tutaj zaszalała bezlitośnie czerwona burza ze Wschodu - wydany

radzieckim siłom zbrojnym rozkaz, został tu wykonany z brutalną dokładnością. Cywilizowany dom został zamieniony, podobnie, jak wiele innych domów, w chlewnię! To, co miało być u góry, leżało teraz na dole, roztrzaskane i rozdeptane. Cały gabinet lekarski był zdemolowany, narzędzia i instrumenty pokradzione. Ludzkie potrzeby fizjologiczne załatwiane były prawie we wszystkich pomieszczeniach, na stołach i na krzesłach. Ciężko im było pojąć, do czego jest ubikacja, bowiem narobione było przed nią i obok, tylko nie do niej. Nie wytrzymali także przed naszymi szafami z ubraniami. Piwnica z winem i wekami okazała się jedną, wielką kupą stłuczonego szkła. Wódki tu nie znaleziono, a reszta wydała im się mało przydatna. Tak bardzo zawsze zadbane parkiet, pokryty był teraz papierami, rozbitą porcelaną, kawałkami szkła, itp. Co krok natykałem się na "duże kupy", brało mnie na wymioty, nawet jeszcze teraz, przy pisaniu tych słów, dławi mnie w gardle. Jedynym świadkiem, który wraz ze mną to widział, była nasza Erna. Potrafiła z siebie tylko wykrztusić: "Miałaby to widzieć pani Mielke, albo szef!" Pokryta skórą kanapa w gabinecie była kompletnie pokłuta bagnietami - sterczały z niej tylko sprężyny. Obrazy olejne (kilka z nich pędzla Leo Kämmerera) były pocięte. Brakowało fortepianu, na którym mój brat Werner często chętnie grywał. Nie było też starego stojącego zegara. Przedostawałem się z pokoju do pokoju i naliczyłem w całym domu siedem miejsc po rozpalonych tam ogniskach. Znalazłem jeszcze kupkę z papierem, drewnem i kawałkami materiału, przygotowaną do podpalenia. Zamierzano zapewne wszystkim ładnym, znalezionym rzeczom, dać zgubne przeznaczenie. Kawałek dalej podłoga była spalona aż do układu belek. Podobnie wyglądało we wszystkich domach, które ocalały przed pożarem. Jakże często w tym dzikim czasie powracałem myślami do mojego pobytu na froncie. Takie fatalne przypadki nie były w Związku Radzieckim dziełem moich rąk, bądź rąk moich kameradów. Nie obciążyliśmy naszych sumień taką ilością brudu - ani podczas ataku, ani podczas pobytu, ani odwrotu z frontu. Dlatego też nie potrafiłem pogodzić się z sensem, czy też z bezsensu obrazu mojego domu. Nie rozumiałem, że ludzie aż tak mogą wyżywać się na martwych przedmiotach.

Po południu udałem się do moich rodziców, a właściwie po moich rodziców. Pani Lemm i Erna przygotowały kawałek wieprzowiny, który miałem zabrać ze sobą. Nadal było jeszcze dużo ludzi w budynkach przy Walkmühlendamm¹³⁶ na Pollnower Siedlung¹³⁷. Przeciskałem się przez ciasny łańcuch straży i specjalnie przesadnie kulałem. Prawie wcale nie zwracano na mnie uwagi! Rodzice już dawno mnie wypatrywali i ucieszyli się, gdy mnie wreszcie ujrzeli. Mogliśmy znowu rozmawiać przy płocie. Dowiedziałem się następujących rzeczy: oficer, z którym rozmawiałem, nakazał, aby wyciągnąć rodziców z piwnicy i dać im mały pokoik. A więc coś się zaczęło dziać, mały krok do przodu - to dobrze! Moja nadzieja rosła! Wróciłem szczęśliwy do miasta, tu znowu szalała dzicz, nadal polowano na ludzi. Każdy niemiecki obywatel, o ile się do tego nadawał, miał

¹³⁶ obecnie ulica Staszica

¹³⁷ obecnie Osiedle im. Dzieci Wrzesińskich

zostać deportowany na przymusowe roboty. Kobiety - podobnie jak przedtem - były razem zbierane i nie wiadomo w myśl jakiego przepisu, gwałcone! Jedno szczęście, że Brigitte została w Gwiazdowie, babcia chroniła ją jak Anioł Stróż. Tam mogły się też bezpiecznie chronić w naszych kryjówkach. W Sławnie nadal miały miejsce podpalania i plądrowania, gdzie się tylko nie spojrzało; szczególnie na obszarze między obiema bramami miejskimi i wokół placu rynkowego. W drodze do komendantury (w Kreishaus¹³⁸) obserwowałem wszystko dokładnie: każdy dom na Kösliner Strasse¹³⁹, przy Markt¹⁴⁰ i na Stolper Strasse¹⁴¹ wrył mi się dokładnie w pamięć. Budynki państwa Dahnz i cały front za Bramą Koszalińską, aż do Ravenstrasse¹⁴² jeszcze ocalały. Sklep H.M.Boldt był spalony aż do fundamentów, podobnie jak i dom naprzeciwko, należący do mojego wujka Alberta Klemza. Był to okropny widok. Wszystko się jeszcze lekko dymiło i tliło, nad całym śródmieściem unosił się dziwny pył. Były to pierwsze wrażenia, które szybko zarejestrowałem. Nie wolno mi było teraz kusić losu, musiałem być ostrożny. Gdy było się w szponach drapieżcy, potrzeba było dużo, dużo czasu, by móc się z nich ponownie wydostać. Ukrywałem się w domu, albo w stajni u pani Lemm, czasami też i w naszym budynku. Gdy robiło się niebezpiecznie, uciekałem na dach. Przy przeszukiwaniach nie odkryto tej kryjówki. Niestety, tego dnia: 26 marca, nie udało mi się dotrzeć do rodziców. Na próżno żywiłem nadzieję, że zjawią się przede mną wolni.

27 marca, wtorek

Tego dnia nic mnie już nie powstrzymało. Mimo wielkiego ryzyka, udałem się w drogę na osiedle. Mama z ojcem widzieli mnie już z daleka i jak zawsze, czekali przy płocie. Pani Lemm dała mi dla nich trochę mięsa, chleba i nawet kilka jajek. Ta dobra kobieta pokazała w biedzie, kim jest i co potrafi. "Kto zna biedę, podzieli się nawet ostatnim kawałkiem chleba; kto nie zaznał biedy, tego bieda innych nie wzruszy!" Dla mojego ojca dała nawet parę papierosów. Skąd ona zdobyła tyle skarbów?! Po skontrolowaniu przez strażnika, mogłem przekazać rodzicom te dary przez płot. Rodzice przyjęli je bardzo wzruszeni, byli wdzięczni, że inni ludzie o nich nie zapomnieli. Odnośnie zwolnienia niczego jeszcze nie zdecydowano. Nasz nastrój obniżył się do punktu zerowego. Ojciec był od początku pesymistą - i mama traciła powoli odwagę. Cieszyłem się, że mimo wszystko pozostałem w Sławnie, chociaż siostra oczekiwała mnie wciąż w Gwiazdowie. Pozostając tutaj, mogłem zawsze jakoś pomóc rodzicom. Wszyscy stawialiśmy sobie pytanie: "dlaczego?" Komu oni wyrządzili krzywdę? Wszyscy, którzy tutaj przebywali, nie byli przecież niczemu winni. Nie było tutaj oskarżycieli ani sędziów: tu panowało ślepe bezprawie. Nie zagląda się w karty,

¹³⁸ siedziba starostwa, obecnie siedziba Urzędu Miasta

¹³⁹ obecnie ulica Jedności Narodowej od bramy Koszalińskiej do placu kar. Wyszyńskiego

¹⁴⁰ obecnie pl. Kard. Wyszyńskiego

¹⁴¹ obecnie ulica M. Skłodowskiej

¹⁴² nieistniejąca dziś ulica łącząca Jedności Narodowej i Powstańców Warszawskich między Bramą Koszalińską, a pl. Kard Wyszyńskiego

które co dopiero zostały potasowane. Patrząc z naszej perspektywy, po tej stronie Odry, zostaliśmy odcięci od świata. Żaden człowiek właściwie nie wiedział dokładnie, co się wydarzyło, do naszych uszu nie docierały żadne wiadomości. I po drugiej stronie Odry nikt niczego się od nas nie dowiedział. Pozostała część Niemiec nie miała prawdopodobnie pojęcia, co się tutaj działo i co się miało jeszcze wydarzyć. Tam życie przebiegało względnie normalnie. W zasięgu władzy radzieckiej, w nowo utworzonych granicach na Odrze i Nysie - czyli w niemieckich wschodnich prowincjach: w Prusach Wschodnich, na Śląsku i na Pomorzu, wszystko było inaczej. Nie egzystowaliśmy tutaj jako ludzie, tu na nas polowano - tu się nie żyło, tu się wegetowało. Kto chodził wolno, ten był albo stary, albo chory - ale ta choroba musiała być widoczna na zewnątrz. Tutaj było się prześladowanym, zdeklasowanym, bitym i dżganym. Tutaj gwałcono i przepędzano. Kobiety i mężczyzn, dziewczęta i chłopców wysyłano na śmierć. Życie było pełne strachu i niebezpieczeństwa, nie zawsze udawało się uchronić od dzikich ataków. Cierpiało się z głodu i było się u kresu sił z powodu cielesnych i duchowych męczarni. Nasza ojczyzna stała się krwawiącą ziemią, dla nas było to piekło, z którego nie było wyjścia. Czy wojna się już skończyła, czy też walczone jeszcze? Krążyły plotki. Bohaterowie z Kurlandii (Kurland) - najczęściej pomorskie dywizje - powinny wyzwalać swoje rodzinne strony! Z daleka słysząc było strzały radzieckiej artylerii, ostrzeliwały one niemieckie statki na Bałtyku.

Wracając do moich rodziców: strażnicy przepędzali mnie co rusz, ale ja zjawiałem się na nowo przy płocie. Niekiedy było mi wszystko obojętne. Rodzice dopypywali się o dom, chcieli wiedzieć, jak wszystko teraz wyglądało. Nie opowiedziałem im prawdy, by ich jeszcze bardziej nie martwić. Dowiadywali się też o przyjaciół i znajomych, rozmawialiśmy też o babci i Brigitte - czy oczekiwały nas nadal we Gwiazdowie? Martwiliśmy się o mojego brata, gdzie tkwił? Czy on w ogóle jeszcze żył? Podejrzewaliśmy, że znajduje się w radzieckiej niewoli, mama często powtarzała tę wersję. W ten wtorek rozmawialiśmy bardzo długo. Ojciec dał mi jeszcze na wszelki wypadek adresy wszystkich swoich firm ubezpieczeniowych. Jako prywatny pracownik był dość wysoko ubezpieczony. Miałem przekazać od nich pozdrowienia dla babci, Brigitte, dla pani Lemm - z podziękowaniem za żywność, pozdrowienia dla rodziny Klemz i dla naszej Erny. Chcieli też wiedzieć, czy coś słyszałem o rodzinie Boldt, nie mieliśmy od nich żadnych wiadomości - jeszcze przed wkroczeniem Rosjan do miasta udali się do domku leśnego, do ich krewnych - nasz kontakt z nimi urwał się. Rozmawialiśmy o tym i o owym. W międzyczasie zebrano na ulicy około 300 mężczyzn i kobiet, w chwilę później cała kolumna, pod ścisłą kontrolą, ruszyła w kierunku miasta. Jak się później dowiedziałem, ludzi tych pędzono przez Warszawko do Słupska. Pierwsze budynki były więc opróżnione, co miało się stać z pozostałymi?

Często nie były nawet tu akceptowane oficjalne dokumenty z komendantury. Można było mniemać, że miało się tu do czynienia ze specjalnym politycznym oddziałem. Dochodziły do nas pierwsze pogłoski o tzw. wypędzaniu - słowo,

które do tej pory było tylko w użyciu języka propagandy nazistowskiej. Propaganda ta często nas zawodziła, ale w tym i jeszcze w kilku innych punktach miała rację. Na prośbę rodziców miałem już wracać. Oni martwili się o mnie, ja o nich. Pożegnaliśmy się, pożegnanie stawało się z dnia na dzień coraz trudniejsze, ale w ten wtorek było nam szczególnie ciężko się rozstać. Długo ściskaliśmy nasze dłonie - nie wiedziałem wtedy, że będzie to ostatni uścisk dłoni mojego ukochanego ojca! 27 marca po raz ostatni spojrzeliśmy sobie w oczy. Mama sprawowała się do tej pory bardzo dzielnie, mimo że ojciec z głębokim przekonaniem często powtarzał, że dzieje się źle i nie można niczego dobrego oczekiwać. Prosiłem mamę, by w przypadku wywiezienia do Związku Radzieckiego, nie traciła odwagi. Mieliliśmy się jeszcze raz zobaczyć, obiecałem im, że przyjdę następnego dnia, choćby miało mnie to nie wiem ile kosztować. Prosił mnie bardzo, bym zbyt nie szarżował, bali się, że choćby zły humor strażnika mógłby zakończyć się dla mnie tragicznie. Gorącą prośbą rodziców było i to, bym troskliwie zaopiekował się siostrą i babcią. Chyba każdy człowiek przynajmniej raz w życiu doznaje dziwnego uczucia, przeczucia, że może się coś złego wydarzyć - ja to teraz czuję. Nadeszła pora rozstania, ojciec z mamą wrócili do budynku, ja poczłapałem do miasta. Jeszcze długo sobie kiwaliśmy dłonią, aż się zupełnie straciliśmy z oczu. W zamyśleniu przemierzałem drogę, nie rozglądając się. Płaczący rodzice przy płocie, przed nimi radzieccy strażnicy z nasadzonymi na broni bagnietami - to obraz, którego do końca mego życia nie zapomniałem. Dwóch pijanych Rosjan wybiło mnie z zamyślenia, zdążyłem jeszcze szybko uciec do drugiego domu mojego wujka na Pollnower Strasse¹⁴³ (między domem cieśli Hansa Suhra i domem stolarza Maxa Kusanke, Pollnower Str.6). Wewnątrz budynku wyglądało podobnie, jak i w naszym domu. Magazyny były całkowicie wypróżnione. Żywność, którą tu składował urząd gospodarczy, została odtransportowana, (m.in. 120 kwintali cukru). Na środku podwórza leżał jakiś worek, chciałem sprawdzić jego zawartość, nagle zabłysły mi oczy: przede mną leżały nie naruszone butelki Mozeli¹⁴⁴: "Zeller schwarze Katz"; nie, to niemożliwe! Przypomniałem sobie tych pijanych Rosjan, tak, to tylko oni mogli zgubić ten worek! Byłem w posiadaniu trzech butelek wina! Automatycznie pojawiło się uczucie pragnienia. W tym nieładzie znalazłem nawet korkociąg w kuchni państwa Künkel. To niewiarygodne, ale także jedyny ocalały kieliszek!... ten był na pewno dla mnie! Łakomie i w zdenerwowaniu odkorkowałem butelkę z tym kosztownym płynem, pozostałe dobrze ukryłem. Czy Rosjanie wrócą tu po ten pozostawiony worek? Przed złymi niespodziankami nikt nie uprzedzał. Sam sobie powiedziałem: "prost!" i przechyliłem kieliszek do dna. "Zeller schwarze Katz" - była to ulubiona marka wina mojego wujka. Te butelki pochodziły jeszcze z czasów jego obecności tutaj. Ciągle myślałem o rodzicach, chętnie i im dałbym skosztować wina. Pocieszałem sam siebie. Nagle przeszedł mi po całym ciele prąd, o mało co nie wypadł mi kieliszek z ręki. W drzwiach,

¹⁴³ obecnie ulica Polanowska

¹⁴⁴ gatunek wina, pochodzącego z winnic nad rzeką Mosel

10 metrów przede mną stał stary mężczyzna: długa, czarna broda "zdobiła" jego kudłatą głowę, na grzbiecie wisiały brudne łachy, podpierał się laską, skubał swoją brodę. Ze zdenerwowania nie zrozumiałem żadnego słowa, nogi mi się trzęsły. Któż to był? Czego chciał ten tajemniczy "Rasputin"¹⁴⁵ ode mnie? Zaczął się powoli zbliżać do mnie, ja się cofałem. Na wszelki wypadek miałem w ręce pół butelki wina. Scena ta mogła pochodzić z filmu kryminalnego, zakończyła się ona jednak głośnym okrzykiem radości. Nastąpiło burzliwe objęcie w ramiona i oboje upadliśmy w ten bałagan na podłodze. Ów starzec, a lepiej powiedziawszy: dobrze zamaskowany mężczyzna, to najlepszy przyjaciel mego ojca: H. M. Boldt we własnej osobie! Z radości tarzaliśmy się po podłodze. Tutaj, w domu wujka Alla, nastąpiło nieoczekiwane spotkanie ze wspaniałym przyjacielem naszej rodziny. Ja wólcęga, on Rasputin - mistrzowskie zamaskowanie. Przed około trzema tygodniami nasze rodziny się rozstały, co się przez te trzy tygodnie przez nas przewalało, co przeszliśmy, kto jeszcze żył, a kto już nie? Jeszcze przed godziną rozmawiałem o nich z rodzicami, miałem przekazać im pozdrowienia - uczyniłem to z wielką przyjemnością. Oboje siedzieliśmy teraz na stopniach schodów, na Pollnower Str.¹⁴⁶ i wujek Max opowiadał. Podczas, gdy my z rodziną Klemz wybraliśmy się do leśniczówki, oni wybrali gospodarstwo swego kuzyna w Waldhof¹⁴⁷. W tym czasie, gdy pan Boldt szukał bezpiecznego miejsca dla swej rodziny, jego żonie zawiodły nerwy: dobrowolnie zdecydowała się rozstać z życiem. Za pomocą skutecznego środka, matce trzech synów zostało zaoszczędzonych wiele cierpień. Jej dzieci w tym czasie walczyły na froncie. Gdy wujek Max to opowiadał, napłynęły mi łzy do oczu. Nasze rodziny przeżyły wspólnie wiele pięknych chwil. Nasze matki chodziły z nami, dziećmi, wspólnie na spacer, razem się wychowywaliśmy - znajomi często myśleli, że nasze rodziny są ze sobą spokrewnione. Podczas ogólnych łapanek na przymusowe roboty, wujek Boldt, poprzez swoje zewnętrzne zmiany, został uznany za niedołęznego starca (rok starszy od mego ojca!), uniknął w ten sposób wywiezienia. Przez jakiegoś Rosjanina został nawet skierowany na kilka gospodarstw do Waldhof jako "burmistrz". Teraz odważył się przybyć do miasta, nie został tu schwytany, ponieważ "starcom" pozwalano ująć cało. Miejmy nadzieję, że nie zostanie zadenuncjonowany przez ludzi z KPD. Wybierając się do miasta i on był ciekaw, jak tu teraz wszystko wygląda, a przede wszystkim jego dom. W taki to sposób spotkaliśmy się, mogliśmy tę łaskę losu solidnie zakropić. Wujek był znakomitym znawcą wina, na schodach opróżniliśmy kilka kieliszków i oboje stwierdziliśmy, że było to rzeczywiście oryginalne znalezisko. Wciąż opowiadaliśmy, na zewnątrz, na ulicy, na szczęście panowała „przerwa w walkach”. Pani Boldt uszła wielu tragediom z drogi; brat wujka, Werner¹⁴⁸ wraz ze swoją żoną, (bardzo wyśmienitą gimnastyczką) popełnili również samobójstwo, które - jak mi później opowiedział, miało tragiczny przebieg.

¹⁴⁵ rosyjski mnich i słynny uzdrowiciel na dworze carskim, 1876-1916

¹⁴⁶ obecnie ulica Polanowska

¹⁴⁷ obecnie Warginie

¹⁴⁸ Werner Boldt, kasjer bankowy, Schultestr. 12 (obecnie ulica Grottera)

Sklep firmowy H.M.Boldt leżał w gruzach i popiele. Nadzieja, że zobaczy jeszcze swoich trzech synów: Hansa, Fritza i Karla, podtrzymywała go na duchu i dodawała siły do przetrwania. Po tym miłym i oryginalnym spotkaniu pożegnaliśmy się bardzo serdecznie: on pomaszerował z powrotem do lasu miejskiego (Stadtwald), ja udałem się do pani Lemm.

28 marca, środa

Erna i ja wzięliśmy się za sprzątanie naszego domu, nie można było już dłużej patrzeć na ten bałagan. Niespodziewanie odwiedził nas nowy "burmistrz" Sławna, nadszedł niezwykle cicho. Peter Krusch¹⁴⁹ - w czasie pierwszej wojny światowej był rosyjskim jeńcem wojennym. Przez 30 lat mieszkał w Sławnie, działał tu dobrze, miał dobrą, stałą pracę u budowniczego Suhra na Pollnowerstr. W tym momencie przypomniał sobie nagle starą miłość do swoich rodaków, został owiany „czerwonym rauszem” i uznał, że nadeszła jego godzina powrotu. Rosjanom nie przeszkadzało to, że w czytaniu i w pisaniu miał porządne trudności: Krusch znał język rosyjski i niemiecki, a to było wystarczające, by go mianować na to stanowisko. Wyposażony w bryczkę i konia zwoził wszystko, co tylko jego rodacy sobie zażyczyli. Otrzymaliśmy od niego oficjalne polecenie, aby uprzątnąć nasz dom, planowali dla niego jakieś nowe przeznaczenie. Poprosiłem go natychmiast, by wstawił się za moich rodziców u komendanta. Jak się później dowiedziałem, uczynił to, ale bez powodzenia! Widocznie ten oddział od łapanek miał pełną władzę, której inne radzieckie punkty nie mogły przełamać. Peter Krusch był od wielu lat pacjentem mojego ojca, ojciec dawał mu zawsze na rachunkach znaczne rabaty. Krusch uczyniłby dla swojego dentysty wszystko, ale mnie nie mógł znieść, dlaczego? Niczego złego mu nie uczyniłem, ale za mało go znałem, by móc ten powód ustalić.

Każdy, kto się teraz na ulicy zjawił, zostawał natychmiast zatrudniany do jakichś prac. Panowie z KPD, ozdobieni czerwonymi opaskami, sprawowali nadzór, wraz z "wybawcami" dodawali oni wystraszonemu niemieckim kobietom i mężczyznom poczucia lojalności i obowiązku. Nikt nie wiedział, skąd się nagle tu pojawili ci czerwoni, frontowi bojownicy. Zbierali swoich zrzeszonych przyjaciół, by stać się panami owego bezprawia, które zawdzięczali radzieckim towarzyszom zabaw, tu i na całym wschodnim, niemieckim obszarze. Niemieccy towarzysze byli, mimo wszystko, trochę swoją rolą speszeni i też zaskoczeni tym wszystkim, co tu się w ostatnich dniach wydarzyło. „Wszystko się inaczej wyobrażało” i jawnie wstydzili się tych wszystkich niewinnych ofiar owego „wyzwolenia”.

Ernie i mnie wolno było, pozostać w naszym domu. Zostaliśmy osobiście przez samego „burmistrza” skontrolowani. Pracy mieliśmy tu co najmniej na cztery tygodnie, sam towarzysz kręcił głową, widząc ten bałagan. Zabraliśmy się więc do roboty. Osobiście musiałem być ostrożny, by z zewnątrz zbyt nie mną nie interesowali, nie wiedziałem dokładnie, jak ci ludzie z KPD będą się na mnie zapatrywać. Wiedziałem, że Peter Krusch miał na mnie oko, dał mi to odczuć.

¹⁴⁹ robotnik, Winterfeldstr.13 (obecna ul. I Pułku Ułanów)

W tym dniu pójście na osiedle było, niestety, niemożliwe. "Kto wychodzi niebezpieczeństwu naprzeciw, trafia na nie!"

29 marca, czwartek

Był Wielki Czwartek przed Wielkanocą. W myśl zarządzenia komendantury: każdy, kto przebywał w mieście, musiał się zameldować. Erna spełniła ten nakaz, ja, jak zwykle byłem trochę niedowierzający. Erna już więcej nie wróciła, widocznie znaleziono już inne metody, by wyłować ostatnich mieszkańców. Kto bez zastanowienia zgłaszał się, już nie wracał, zawsze z jakiegoś powodu aresztowano go. Później dowiedziałem się, że Ernę wraz z wieloma innymi ludźmi uwięziono w ratuszu. Zostałem więc sam. Pani Lemm nie mogła w to uwierzyć, gdy wieczorem Erny nadal nie było w naszym domu. Również i tego dnia nie poszedłem do rodziców. Dla nas wszystkich mogłoby się dużo skomplikować, gdybym ponownie wpadł w ręce czerwonych przyjaciół. Tylko, kiedy byłem na wolności, mogłem jeszcze coś zdziałać. Na Pollnower Strasse siedzieli rodzice w areszcie, w Gwiazdowie czekały na mnie babcia i Brigitte, musiałem się mieć na baczności.

Po południu przechodził koło naszego domu znowu długi pochód ludzi, około 200 osób. Gnębił mnie wewnętrzny niepokój i myśli gotowały się w głowie od rana do wieczora. Otworzyłem okno, by zobaczyć, czy i ojciec z matką nie idą w tej kolumnie. Pilnujący ich strażnicy zrobili głupie miny, widząc mnie wyglądającego przez okno. Wiele kobiet i mężczyzn pokiwało mi, widziałem kilka znajomych twarzy, rodziców nie dostrzegłem. Mijał dzień za dniem, dokąd pędzono tych ludzi? Wieczorem zniknąłem z naszego domu i pobiegłem do pani Lemm.

30 marca, piątek

Mimo wielu zamętów, zdenerwowania i strachu, pamiętałem, że dzisiejszy dzień to Wielki Piątek. Podczas tego wielkiego kościelnego święta, cichły dawniej wszystkie dzwony i organy w kościołach, krzyże przewieszano czarnymi chustami. Nasz kościół mariacki po wielu wiekach istnienia nie oparł się czerwonej burzy nad naszym miastem: wewnątrz i na zewnątrz został mocno zniszczony. Dzwony i organy musiały też milczeć, bolszewicy i tak nie mieli pojęcia o tym święcie. Wraz z Wielkim Piątkiem stała już Wielkanoc za progiem. Tak, jak nie zostało zapomniane to święto z czasów naszego dzieciństwa, nie zapomniany został Wielki Piątek 1945 roku. Wczesnym rankiem oberwała się nad Sławnem duża chmura, była to poniekąd uwertura do tego pechowego dnia. Deszcz uniemożliwił mi, pójście przed południem do rodziców. Ulewa trwała i popołudniem, ale niepokój wypędził mnie z domu. Pani Lemm dała mi kilka ugotowanych kartofli i kawałek mięsa. W kieszeniach spodni miałem dwie butelki po piwie, wypełnione znalezionym winem. Miała to być dla rodziców szczególna niespodzianka. Ominąłem Pollnower Strasse, tam zawsze kręciło się pełno Rosjan. Tego dnia szedłem na osiedle okrężną drogą i trafiłem wreszcie do właściwych budynków. Strażnicy zaczęli mnie i skontrolowali - mimo że mnie już tu znali. Nie zabrali mi niczego. Wyglądałem za rodzicami, ale nie mogłem ich nigdzie dostrzec. Oni też przecież nigdy dokładnie nie wiedzieli, kiedy mógłbym się tu zjawić. Stałem przy płocie, przy którym to w ostatnich dniach długo roz-

mawialiśmy - owiała mnie groza: budynek był pusty! Wszystkie okna były otwarte, żaden człowiek przez niewyglądał. Mój Boże! Gdzie mama i tato?! Budynek obok były jeszcze wypełnione, z jednego okna pokiwał mi pan Böckmann, ostatni dzierżawca „Deutscher Hof” - nasz sąsiad widział moje zwątpione spojrzenie i krzyknął do mnie: „Panie Mielke, pańscy rodzice odmaszerowali 10 minut temu!” W tym momencie wydawało mi się, że piorun we mnie strzelił. Akurat tegoż dnia musiałem wybrać okreśną drogę na osiedle! To w tym momencie pochód wraz z rodzicami maszerował przez Pollnower Strasse! Pobiegłem z powrotem, najszybciej, jak tylko mogłem, ale moja sztywna w stawie noga nie pozwoliła mi, dogonić tej kolumny. Już nie zobaczyłem rodziców w tym wygnańskim marszu cierpienia. Wróciłem wycieńczony do pani Lemm. Ona obserwowała przechodzące kobiety i mężczyzn. Widziała, jak jeden mężczyzna rzucił walizkę na ziemię, był to mój tato. Błyskawicznie wyszedł z szeregu i uwolnił się od zbędnego obciążenia, pokiwał jeszcze pani Lemm - być może, miał jeszcze nadzieję, podobnie jak i mama, która maszerowała z przodu, że ujrzy mnie w oknie. Niestety, nie było nam to dane. Co czuli rodzice w tych minutach, gdy przechodzili obok swego domu? Szli na zesłanie, które dla wielu niewinnych kobiet i mężczyzn było marszem ku śmierci!

W uszach dzwoniły mi jeszcze słowa: "Pańscy rodzice odmaszerowali 10 minut temu!" Dla mnie był to tragiczny Wielki Piątek. Erna była nadal więziona w ratuszu, byliśmy więc tu z panią Lemm sami. Nawzajem pocieszałyśmy się, ponieważ i jej los był smutny. Jej mąż został bezpodstawnie rozstrzelany, dom leżał w gruzach, nie było też przy niej jej obydwu córek. Żyła nadzieją, że uda się jej tu przeżyć.

31 marca, sobota

Rankiem przechodził ulicą nowy tłum ludzi. Stałem w otwartym oknie naszego budynku i kiwałem do wielu znajomych. W mojej pamięci pozostali: pani Marg¹⁵⁰, kucharka Klemzów Frieda, nauczyciel Niete - nasz dobry znajomy; pan Böckmann; Richard Mallwitz¹⁵¹, mający kłopoty ze zdrowiem, także siedł w tej kolumnie. W przelocie krzyknął jeszcze do mnie: „Pozdrów Rudiego, gdy go jeszcze spotkasz!” - był to jego najstarszy syn, a mój kolega szkolny, teraz gdzieś tam w szarym mundurze. Pan Mallwitz zapewne podejrzewał, co go ma spotkać. Jesienią 1946 roku przekazałem pozdrowienia Rudiemu Mallwitz, jego ojciec wówczas już od dawna nie żył. Jednemu, jadącemu konno strażnikowi nie spodobało się moje kiwanie. Zeskoczył z konia i chciał mnie dorwać. Całe szczęście, że drzwi były od środka zabarykadowane. Zrezygnował ze swego zamiaru i pojechał dalej. To były właśnie te niebezpieczne momenty, które nigdy nie były wkalkulowane. W taki to sposób zostało deportowanych tysiące ludzi, tylko jednostkom udało się wrócić. Swojej ranie na nodze zawdzięczam, że udało mi się uchronić przed wieloma aresztowaniami. Moje dokumenty zawierały wpis: inwalida, przez to byłem dla nich niegroźnym. Także Erna miała szczęście

¹⁵⁰ handlowiec, Markt 13 (obecnie pl. Kad. Wyszyńskiego)

¹⁵¹ woźny, Richthofenstrasse 16 (obecnie ul. Łączna)

w tę Wielką Sobotę i uradowana wróciła do nas.

4.4. Kwiecień - W Gwiazdowie

1 kwietnia, niedziela

1 kwietnia, który w tym roku był zarazem Niedzielą Wielkanocną, pierwszym dniem Świąt, zaryzykowałem - mimo wielu ostrzeżeń - pójść do Gwiazdowa. Zrobiłem się ostatnio trochę lekkomyślny. Szczerze mówiąc, cóż ja miałem teraz do stracenia? Swoje życie, nic więcej. Korciło mnie, by przekazać siostrze i babci tę straszną wiadomość o zesłaniu rodziców. Jak zwykle maszerowałem wzdłuż opłotków, drogą dawnych moich randek. Niestety, musiałem i tym razem przejść przez to, jak zawsze, niebezpieczne Pomiłowo. Przed wieczorem dotarłem do krewnych. Radość z mego przybycia zalała szybko łzy rozpaczy na wiadomość o rodzicach. Nie potrafili pojąć, dlaczego los jeszcze w tym wieku obdzielił ich takimi przypadkami. Wszyscy, którzy zostali w tym czasie w Gwiazdowie, mieli też za sobą ciężkie chwile. Dniami i nocami ta ciągła nerwówka, podobnie, jak i u nas w mieście. Prześladowanie kobiet było nadal na porządku dziennym. Kiedy miał zapanować spokój? Już dosyć zostaliśmy ukarani! Była Wielkanoc, wiedzieliśmy o tym, ale tego nie odczuwaliśmy, nasze myśli błądziły gdzie indziej.

2 kwietnia, Poniedziałek Wielkanocny

Drugi dzień Świąt. Nocą przeszła strasza burza z ulewą. Kwiecień ze zmienną pogodą dawał o sobie znać. Musiałem wracać do Sławna, musiałem przecież z Erną wypełnić polecenie "burmistrza". Po odejściu rodziców nie miałem już zbytniego interesu w tym porządkowaniu, a już w ogóle po tym, kiedy to Peter Krusch oznajmił mi, że on osobiście się tu wkrótce wprowadzi. Już od wielu godzin nie tknąłem niczego palcem; niech sam sprząta sobie ten cały bałagan po swoich rodakach. Zauważył moją pasywność i miałem wrażenie, że czekał tylko na korzystną okazję, by mnie "odstrzelić". Prawie cały tydzień zostałem w mieście, zamieszkiwałem w naszym domu jeden pokój z oknem na ulicę. Bezsensownie wegetowałem. Prawdziwego uczucia głodu nie odczuwałem, bo w piwnicy, u pani Lemm schowany był nasz wieprzek, kartofle można było znaleźć w każdym domu. Pod drewnianą belką dachu znalazłem przypadkowo paczkę z 24 sztukami "Overstolz"¹⁵². Już zapomniałem, że je osobiście tam przed kilkoma tygodniami schowałem. Postanowiłem zabrać papierosy do Gwiazdowa, by móc po długim czasie, zaproponować wujkowi coś dobrego. Od różnych gatunków herbaty, którą się teraz paliło, było się już sytym.

7 kwietnia, sobota

Dreptałem do Gwiazdowa, aby wyżebrać trochę jedzenia (chleba) i przekazać trochę wiadomości. Na końcu wsi Pomiłowo, już przy drodze do Gwiazdowa, nadjechała z naprzeciwka rosyjska bryczka. Obleciał mnie strach i nie pomyliłem się. Czterech młodych, radzieckich żołnierzy dokładnie mnie zrewidowało. Stałem na drodze tylko w koszuli, a te łobuzy miały ze mnie ubaw. Wpatrzony

¹⁵² marka papierosów

byłem w dwie lufy broni, ale mimo to widziałem, jak paczka overstolców zmienia właściciela. Uśmiechając się głupkowato, dmuchali mi dymem papierosowym prosto w twarz, zakrztusiłem się. Kilkoma rosyjskimi słowami próbowałem, poprosić o "papirossa". Otrzymałem go i jeszcze jednego dla papy, i jeszcze jednego dla mamy - ale więcej nie. W dobrym humorze wsiedli do swojej bryczki i pojechali dalej. Po tym małym wydarzeniu udało mi się spokojnie dotrzeć do celu. Dzięki Bogu, nic szczególnego się tu nie wydarzyło. Często dziwił się, że pewien stolarz z Prus Wschodnich, zamieszkujący tu teraz jedno z gospodarstw, tak dobrze był zorientowany w aktualnej sytuacji. Bez prądu, bez radia - było to dla nas zagadką. Pewnego dnia zdradził nam swoją tajemnicę: odwiedzał on często potajemnie jedno z opuszczonych gospodarstw i uruchomił tam stary odbiornik radiowy na baterie. Moja kuzynka, Brigitte i ja zbieraliśmy się każdego wieczora u niego w mieszkaniu i słuchaliśmy najnowszych meldunków. Zabierałem te autentyczne wiadomości ówczesnej niemieckiej stacji do miasta, gdzie na te słowa z wiarygodnych źródeł czekano z zainteresowaniem. Przez krótki okres było to nasze okno na świat. Dowiedzieliśmy się, że wojna się jeszcze nie skończyła. W środkowych Niemczech, w Eisenach i innych miejscowościach Turynii, toczyły się jeszcze walki. Niestety, baterie w radiu szybko się wyczerpały i okienko na świat było znowu zamknięte. Kto wie, może i dobrze, że się tak stało - bowiem za to "przestępstwo" mogło nas spotkać najgorsze, samo posiadanie odbiornika było zabronione.

8 kwietnia, niedziela

W tym dniu odwiedziliśmy wraz z kuzynką rodzinę leśniczego Kieslera w Gwiazdówku, (przy dworcu). Mieszkali oni nadal w swojej leśniczówce, dopiero co uprzątnęli dom ze zniszczeń. Dla nas było to cudowne uczucie: wejść do przytulnego mieszkania i do tego wszystkiego jeszcze to gorące przyjęcie przez gościnnych ludzi. Godziny minęły zbyt szybko, przed zmrokiem musieliśmy znowu być na naszym poddaszu.

9 kwietnia, poniedziałek

Droga do Sławna. Na pokonanie tego odcinka potrzebowałem za każdym razem około dwóch godzin, bez okrężnych odcinków - niestety, ale te były często konieczne. Gdy groziło jakieś niebezpieczeństwo i trzeba było iść przez nieznaną teren, noga moja nadwerężała się. Na tej krajobrazowo pięknej drodze przez las, pola i łąki miało się dużo czasu na rozmyślanie. Byłem wdzięcznie świadomy swojej wolności, ale już jutro mogła się ona skończyć. Myślami często byłem przy rodzicach: czy mężczyli się, czy mama mocno się o nas martwiła, czy potrafiła znieść cierpienia tej tułaczki? Miejmy nadzieję, że starczy jej sił, by wszystko przetrzymać. Wróciłem do domu przez nasz ogród. Drzwi domu zamknąłem „na kolbę”. Państwo Kiesler dali mi trochę chleba - podzieliłem się nim z panią Lemm i z Erną. Nie przeczuwałem, co miało mnie spotkać wieczorem. Krótko przed zapadnięciem zmroku załomotał ktoś do dębowych drzwi domu. Podejrzywałem niebezpieczeństwo i pobiegłem do okna, by sprawdzić, co się dzieje. Na ulicy stały w szeregu kobiety i mężczyźni. Wiedziałem natychmiast, że to kolejna kolumna jeńców. Czterech Rosjan otwierało z przemocą nasze drzwi.

Błyskawicznie zastanowiłem się, co mam uczynić: uciekać przez ogród, czy ukryć się gdzieś tutaj w mieszkaniu. Wszystko wydarzyło się tak szybko: Rosjanie stali już przede mną. Mój dokument z komendantury miasta został w typowy dla nich sposób porwany na strzępki. Kopnięciami i uderzeniami kolb zostałem wypędzony na ulicę. Stali już tu wszyscy, którzy w ostatnim czasie mieszkali w sąsiedztwie na tej ulicy. Pani Lemm i Ernie udało się uciec, nie wiem dokąd, prawdopodobnie do ruin spalonego domu. Zostałem aresztowany. Pędzono nas na Hindenburgstrasse¹⁵³ do budynków kupca Piepera (nr 23). Ucieczka z tej drogi była niemożliwa, straż była zbyt czujna. Często zabierano mi laskę i bito mnie nią. Razem z 10 innymi mężczyznami zostaliśmy zamknięci w jednym pomieszczeniu. Najstarszy więzień miał 75 lat, ja, jak często, byłem najmłodszy. Poza kilkoma inwalidami wojennymi nie było tu nikogo z mojego rocznika. Dobrze byłoby, mieć przy sobie jakiegoś kumpla.

10 kwietnia, wtorek

Minęła pierwsza noc w areszcie. Tak bardzo mi było szkoda tych starszych mężczyzn, ale zostali oni, dzięki Bogu - rano przesortowani i mogli wracać do domów. Moja nadzieja była nikła, czego oni chcieli ode mnie? Tego dnia dołączyło do nas około 100 kobiet i mężczyzn ze Sławna i okolicy. Przed południem rozpoczęły się przesłuchania, podobne do tych na Pollnower Strasse. Prowadzone one były przez młodego, żydowskiego oficera ze szczególnymi odznaczeniami. Przypuszczałem, że mieliśmy do czynienia z tzw. oficerem politycznym, który należał do oddziału specjalnego. Padały te same pytania. Wszystko, co mieliśmy przy sobie, zostało nam odebrane, nigdy już tego nie zobaczyliśmy. Swojej teczce, grzebieniowi, kluczowi, itd., powiedziałem „adieu!”. Moją książeczkę oszczędnościową z dość dużym wkładem podarł ów oficer na moich oczach. Tylko kilka zdjęć moich przyjaciółek odłożył na bok. Oszczędzono mi tu bicia, podczas gdy moi towarzysze doli wracali często z przesłuchań z sińcami pod oczami. Dla ciągle docierających ludzi było zbyt mało miejsca w pokojach tego mieszkania. Przesiedlono nas do piwnicy. Już o to zadbano, żeby nikt z nas nie był czasami przemądrzały. Dwa razy dziennie dostawaliśmy zupeł z kartofli i kromkę chleba. Godzinami dochodziły kobiety i mężczyźni.

11 kwietnia, środa

W tym dniu zjawił tu leśniczy Kiesler z Gwiazdowa - aż tak daleko sięgnęła już ręka tego sonderkommando. Polacy wydali kryjówkę pana Kieslera i doprowadzili go do aresztu. Mimowolnie pomyślałem o Peterze Kruschu, czy to on mnie wydał?

Ściśnięci, jak śledzie w beczce, siedziało teraz w tym domu około 500 osób. Prawie żadnej możliwości do mycia się, toalety były zapchane, panowały okropne warunki, które każdego dnia pogarszały się. Porcje żywności były coraz mniejsze, nikt nie najadał się do syta. Dzieci uwięzionych podchodziły do budynku, by rozejrzeć się za ojcem lub matką, którzy gdzieś zostali złapani i już nie wrócili do domu. Ze wszystkich okien rozlegało się wołanie: "Przynieś coś

¹⁵³ obecnie Armii Krajowej

do jedzenia!". Niektórzy odważyli się, przynieść żywność, która zostawała im natychmiast odbierana przez strażników; na koniec dostało im się jeszcze po grzbiecie. 10 dni siedzieliśmy w tej piwnicy. Sąsiad, który przy mnie spał, wyjawiał mi, że chciałby spróbować uciec, chciał zabrać mnie ze sobą; wiedział, że się dobrze w mieście orientuje. Jedną noc moglibyśmy spędzić w naszym domu. W przeciwieństwie do mnie, on potrafił sprawnie biegać, ja nie umiałbym z chorą nogą szybko pokonywać przeszkód. I tak oto musiałem odmówić, chociaż propozycja była bardzo kusząca.

16 kwietnia, poniedziałek

W nocy na 17 kwietnia zostaliśmy obudzeni przez wiele strzałów. Natychmiast spostrzegłem, że nie ma obok mojego sąsiada. Strzelanina była związana z jego osobą, kule nie trafiły go w ciemności, był szybszy - strażnicy zauważyli zapewne ucieczkę za późno. Spokój nocy został zakłócony. Czerwoni ze wściekłości Rosjanie wtargnęli do naszego pomieszczenia i ślepo walili naokoło pięściami. Potem nastąpiło liczenie; liczono, liczono i jeszcze raz liczono. Za każdym razem wychodziła im inna suma. Wszystko nic nie pomogło, ucieczka gospodarza z Alt Bewersdorf¹⁵⁴ widocznie się udała. Jeżeli pobiegł on drogą, którą mu poleciłem, spał teraz w naszym domu, bo wejście dalej do miasta, teraz nocą, było niemożliwe. Strzelano teraz do wszystkiego na dworze, co się tylko poruszyło. Przy mnie spał teraz były szef firmy Kusanke¹⁵⁵, Ernst Aschenbrenner, nazywaliśmy go wcześniej „Papa”. Po ostatnich przeżyciach był bardzo zdeprymowany. Potrzeba było wiele słów, by go rozruszać.

Dzisiaj dołożono nam całą załogę firmy Zypries, łącznie z szefem seniorem znanej sławieńskiej masarni: Willim Zypriesem. Cóż za osobliwa rzecz w radzieckim zarządzie! Fabryka pracowała obecnie pod radzieckim nadzorem: komando polityczne opróżnia fabrykę ze wszystkich pracowników i zamyka ich, łącznie z szefem do piwnicy. Tak oto jedna czerwona dłoń nie wiedziała, co druga czyni.

19 kwietnia, czwartek

W szarości ranka wybuchł nagle w budynku pożar, o mało co i wszyscy przypalilibyśmy to życiem. W jednym z pomieszczeń paliła się szafa. Silne kłęby dymu zbudziły ze snu 500 ludzi. Wszyscy w panicznym strachu rzucili się do drzwi wejściowych, ale wszystkie wyjścia były zamknięte! Przemocą chcieliśmy wyważyć drzwi. W tym momencie bezradni strażnicy oddali kilka odstraszających strzałów. Na górnych piętrach słychać było krzyki o pomoc, mężczyźni i kobiety wyskakiwali przez okno na ulicę. Rosjanie nie potrafili zapanować nad sytuacją, wielu więźniów wykorzystało ten moment i zdecydowało się na ucieczkę. Ja pozostałem - i dobrze, że tak zrobiłem. Inni Rosjanie, gdzieś w mieście, połapali uciekających i przyprowadzili ich z powrotem. Zamknięto tych nieszczęśnych ludzi w piwnicy i nie szczędzono im uderzeń kolbą, kończąc w ten sposób ich przedsięwzięcie. W międzyczasie dodatkowe siły otoczyły cały teren, ugaszono ogień i gdy już się zrobiło jasno, wszyscy znowu byli w budyn-

¹⁵⁴ obecnie Bobrowice

¹⁵⁵ tartak, Pollnower Strasse 35 (obecnie ul. Polanowska)

ku. Około 7.00 godziny ponownie byliśmy "registrowani", tzn. wywoływani po nazwisku i według typowego radzieckiego zwyczaju wiele razy przeliczani. Musieliśmy się ustawić na ulicy w dwuszeręgu i tu strażnicy znowu nas liczyli, każdy na swój sposób, jeden głośno, drugi cicho. Staliśmy i staliśmy, nie wiedzieliśmy, co mają w zamiarze z nami zrobić. Rosjanie rewanzowali się za burzliwą noc, która przecież nie była przez nas zainscenizowana. Bez jedzenia kazali nam stać na ulicy do 12.00 w południe. Nie wolno nam było przekroczyć progu domu. Nagle wydano nam polecenie, że mamy udać się w marsz, nie zaliśmy celu. Było nas około 400 osób, mniej więcej 100 pozostało w Sławnie. Przez Lindenpromenade¹⁵⁶ doszliśmy do Stolper Vorstadt¹⁵⁷, potem przez Warszko-wo, w kierunku Słupska. Jak tysiące ludzi przede mną i w trzy tygodnie po moich rodzicach, znalazłem się i ja w takiej sytuacji. Najchętniej bym uciekł, bo zrobiło się porządnie gorąco, ale strażnicy byli w ciągłej gotowości, bardzo czujni. Kulałem ulicą w nieznane. Dwóch mężczyzn z amputowaną nogą i ja uzbrojeni byliśmy w laski; przez pierwsze 15 km dotrzymywaliśmy tempa grupie, potem zrobiliśmy się powolniejsi, a strażnicy bardziej niecierpliwi. Moich dwóch współtowarzyszy uciskały protezy, mnie bolała noga. Straż popędzała nas, głośne przekleństwa i ciągle uderzenia kolbami pomniejszały naszą śmiałość. Osoby z protezami załadowano w końcu na wóz, ja wytrzymałem trochę dłużej, na krótko przed Słupskiem przewróciłem się. Dwóch mężczyzn podtrzymywało mnie i prowadziło do śródmieścia. W momencie, gdy bóle nogi nie były już do wytrzymania, dostałem do tego jeszcze parę kopniaków. Co rusz bito mnie, a do tego wszystkiego jeszcze te cholernie bolące uderzenia kolbą. Słupska szkoła (Oberrealschule) była celem naszego marszu. Zamknięto nas w auli, kobiety zakwaterowano w pobliskich domach. Tutaj więc mieliśmy się za-domować. Jeszcze przed nami zostawiono tu kupę brudu. Rano przyniesiono nam kocioł z wodą, w której miało się umyć 100 mężczyzn. Przed południem dostaliśmy na głowę talerz cienkiej zupy i dwa kawałki chleba. Wieczorem jeszcze raz takie same porcje. Rosjanie nie prześladowali nas tutaj - od czasu do czasu byliśmy wyzywani, ale poza tym mogliśmy spokojnie drzemać. Przy każdym rozdzielaniu posiłków zjawiał się pewien Polak, który walił swoją laską w nasze szeregi jak szaleniec. Jednemu z nas wyszły guzy na głowie i sińce pod oczami od tych uderzeń. Płonęliśmy z gniewu, ale nie mogliśmy zahamować tej brutalności, bowiem Rosjanie byli po stronie Polaka. W pełnej pogardzie dla ludzkiego istnienia kazano nam tu przez wiele dni marnieć. Wielką katastrofą, jak zawsze, było załatwianie własnych potrzeb naturalnych. Ja byłem już po dwóch aresztowaniach w Sławnie do tego widoku przyzwyczajony; tutaj było jeszcze gorzej. Na rozkaz zabierała nas rankiem straż do pomieszczenia biblioteki tej szkoły, tutaj każdy miał się załatwić, czy mu się chciało w tym momencie, czy nie - „szybko, szybko!”, krzyczeli i już było po akcji. Wielu lądowało znowu na górze, w auli, nie załatwiwszy swoich potrzeb! U moich starszych to-

¹⁵⁶ Aleja Lipowa, obecnie Wojska Polskiego

¹⁵⁷ obecnie ulica Gdańska

warzyzsy doli pojawiły się już po kilku dniach różnego rodzaju dolegliwości. 10 dni siedziałem tu z innymi mieszkańcami Sławna. Wszyscy siedzieliśmy w jednym kącie pomieszczenia. Byłem znowu najmłodszy w tym kręgu, współwzięniowie mogli być moimi ojcami. Rozumieliśmy się wszyscy dobrze i trzymaliśmy razem, wszelkimi sposobami broniliśmy się przed tą okropną tępotą. Razem ze mną cierpieł tu m.in.: stolarz Papenfuß¹⁵⁸ z firmy Kusanke, okręgowy kominiarz Otto Dittbrenner¹⁵⁹, właściciel młyna Wilhelm Drawehn z Warszkowa (Kuckucksmühle), także leśniczy Kiesler z Gwiazdówka i 'last but not least'¹⁶⁰, Karl Marquardt¹⁶¹, zwany „Mały” lub „Menelik”. Otto Dittbrenner był naszym pocieszycielem i jego trafny dowcip był balsamem dla naszych naruszonych nerwów. Często obydwoj rozmawialiśmy o jego synach, bowiem Heinz i Ete byli moimi dobrymi kolegami w sporcie. Pan Papenfuß odświeżał ze mną wiele wspomnień o firmie Kusanke. Drawehn, skłonny do oryginalności, opowiadał o swoim burzliwym okresie w Sławnie. Wszystkim nam były znane jego motorowe eskapady (Opel). Pan Marquardt, pochodzący spoza granic Sławna, opowiadał nam ciekawe historie z dziedziny botaniki, opowiadał nam o swoim dziele życia: sławieńskim ogrodzie botanicznym. Na dźwięk jego opowieści wszyscy w auli zwracali ku niemu swoją uwagę. Zapominaliśmy wtedy o naszym przegnębieniu, a czasami i o głodzie i o pragnieniu. Pewien uciekinier z Prus Wschodnich zasiadał czasem na nasze życzenie przy pianinie, które - o dziwo! - zachowało się i wygrywał nam różne kawałki Beethovena, Mozarta i Petera Kreudera. Tak oto zabijaliśmy nudę i biernie łykaliśmy czas. Gwizdek zwoływał nas na herbatę miętową. O określonym czasie tworzyło się szybko koło i próbowaliśmy trochę zaspokoić nasz głód. Niestety i herbata miętowa się kiedyś skończyła. Głód i brud były największymi wrogami w tym obozie, nie mogliśmy się przed nimi bronić.

„Co chcą z nami zrobić?”, „Popędzą nas dalej na wschód?” - to były najczęściej przez nas zadawane pytania. Rana na mojej nodze, która po długim marszu ze Sławna do Słupska (27 km), otworzyła się, krwawiła, ropiała - teraz zaczęła się na szczęście goić. Często wołałem o medyczną pomoc, chyba był w tym obozie jakiś lekarz, ale Niestety! Te wszystkie cielesne i psychiczne obciążenia były dla nas za ciężkie. Znosić cierpienie jest nieszczęściem, ale i zarazem nauką. Uczyliśmy się cierpieć, nie narzekając - w każdym dniu, w każdej godzinie tego czasu. Pewnego razu zawiodły nerwy naszego „małego Marquardta”, wieczorem, zanim zasnęliśmy, pożegnał się z nami i oznajmił, że odbierze sobie życie. W swojej torbie miał buteleczkę z trucizną, którą ponoć sam wytworzył z jakiejś rośliny w ogrodzie botanicznym. W tym momencie był gotowy, zażyć tę truciznę i tym samym odebrać sobie życie. Wszyscy zaniemówiliśmy i namawialiśmy go na wszystkie sposoby, by tego zaniechał. Bez powodzenia, jego „do widzenia” było widocznie nieodwołalne. Wykończeni nerwowo nie mogliśmy spo-

¹⁵⁸ Bahnhofstr.36 (obecna ul. Dworcowa)

¹⁵⁹ Lietzowdamm 19 (obecna ulica Chełmońskiego)

¹⁶⁰ ostatni co do kolejności, ale nie co do znaczenia

¹⁶¹ specjalista od ksiąg gruntowych, Bogislawstrasse 18 (obecna ul. Chrobrego)

kojnie spać. W pierwszych promieniach wschodzącego słońca budziliśmy się i nasze spojrzenia skierowaliśmy natychmiast na pana Marquardta. On oddychał, a więc żył, byliśmy szczęśliwi: ta noc się udała. Głód zapędził naszego przyjaciela jako pierwszego do chudego koryta, które składało się z talerza zupy i dwóch kromek chleba. Ten teatr powtarzał się każdego wieczora: wieczorem żegnał się z nami, rano było ponowne spotkanie. Jako najmłodszy zmusiłem pana Marquardta do opamiętania się, przypomniałem mu o jego dzielnej żonie, która także była więziona w sąsiednim budynku; przypomniałem mu o jego małym synku, który u obcych ludzi czekał na swego ojca i matkę. Moja interwencja, dzięki Bogu, była skuteczna - buteleczka z trucizną nie została otwarta. „Menelik” przetrzymał ten kryzys nerwowy.

Pewnego popołudnia przyszedł do nas radziecki oficer z kilkoma żołnierzami. Nastąpiło „sortowanie”. Ponad połowa więźniów została odprowadzona, zabrano ich do słupskiego więzienia - było tam już ponad 1000 kobiet i mężczyzn. Ludzie ci żyli tam w jeszcze gorszych warunkach niż my tu, w szkole. Oficer krytycznie zlustrował nas, trzech inwalidów wojennych - moich dwóch kolegów dokładnie opukał, upewniając się, czy rzeczywiście mieli protezy. U mnie też z góry założył, że mam sztuczną nogę - pozwoliłem mu w to uwierzyć. W każdym bądź razie wolno nam było pozostać tu, w szkole, podczas gdy inni skierowani zostali do więzienia. Cztery następne dni spędziłem w starym otoczeniu. Przez te fatalne warunki sanitarne pojawiły się pierwsze pasożyty - tego się zawsze obawialiśmy. Przypomnił mi się natychmiast ten koszmar z pobytu w Związku Radzieckim. Teraz więc byłem na nowo „wszarzem”. W tym brudzie zostaliśmy w pełnym tego słowa znaczeniu: zawszeni i zapchleni! Wszędzie widziałem czarne punkty, nie tylko na swojej bieliźnie - czytelnik tych słów skrzywi się zapewne z obrzydzeniem, ale „...szlachetny człowiek łowi szlachetną zwierzynę i zna na to sposób” (Goethe: „Tasso”).

28 kwietnia, sobota

Dzisiaj przyszedł pewien sierżant i zabrał nosicieli protez, ja się też do nich zaliczałem - do wyższego oficera. Trzeba było znowu odpowiadać na wiele pytań. Wszyscy trzej walczyliśmy w Związku Radzieckim i tam też zostaliśmy ranni. Rosjan tam, naturalnie, żadnych nie zastrzeliliśmy i gdy już głośno wypowiedzieliśmy swoją niewinność, otrzymaliśmy nasze tzw. zwolnienie na zwykłym skrawku papieru - z podpisem i z pieczętką. Otworzono nam drzwi: byliśmy wolni! Z nami zostało zwolnionych około 20 kobiet ze Sławna i okolic. Razem udaliśmy się w drogę powrotną, byłem dumnym panem wśród tylu pań, a one były zadowolone, że miały męskiego opiekuna.

Znowu mogliśmy ujrzeć Słupsk! Nasz „mały Paryż”, wielkie miasto Pomorza Wschodniego, pięć razy większy niż Sławno, wszyscy bardzo je kochaliśmy! Teraz Słupsk dzielił los Sławna i wielu innych pomorskich miast. I tutaj śródmieście było spalone. My śpieszyliśmy teraz do domu, bez zapłacenia rachunku gospodarzowi. Przy wyjściu z miasta zostaliśmy znowu złapani! Nasze zwolnienia oczywiście podarto. Zaledwie godzina wolności, widocznie i to było za długo. Zaaresztowano nas, cios za ciosem, mocno i coraz mocniej - to życie było

naprawdę walką. W myślach widziałem się już w Sławnie, w naszym domu, może u pani Lemm, a może u mojej rodziny w Gwiazdowie. Oni tam w ogóle nie mieli pojęcia, gdzie mogłem się tak długo podziewać, od czasu ostatniej wizyty minęło już przecież kilka tygodni. Prawo ustępowało miejsca przemocy, my musieliśmy jej ulegać. Dom, do którego nas wciągnięto, był położony przy Schlauer Strasse¹⁶², w pobliżu lotniska. Przez okno widzieliśmy, jak w kierunku Sławna ciągnęło wielu naszych byłych współwięźniów. Widocznie ominęła ich kontrola, my staliśmy się ofiarą radzieckiej anarchii. Nie miałem zbytnej ochoty, tu dłużej pozostać i rozglądałem się za jakąś możliwością ucieczki. Tak bardzo chciałem wrócić do domu, byłem głodny i chciałem się wreszcie najieść do syta, porządnie umyć i pozbyć się robactwa. Z panem Marquardtem omówiłem przedtem, co chciałbym posadzić w naszym ogródku. Kartofle na miejscu, gdzie do tej pory była trawa, bo każdy wolny skrawek powinien być wykorzystany. Ja nie miałem w tej materii żadnego pojęcia, ale pan Marquardt mi wszystko wyjaśnił. W ogrodzie było też dużo miejsca dla zwierząt. Nasz dom, ze swoimi czternastoma pokojami mógłby stanowić schronienie dla wielu bezdomnych ludzi. Po tym dramacie „wyzwalania” powinien być to nowy początek. Myśli te, bez względu na realność ich realizacji snuliśmy jeszcze jako więźniowie w słupskiej szkole. Mieliśmy wówczas nadzieję, że uda nam się je kiedyś zrealizować. Moja decyzja o ucieczce była dojrzała. Przez prawie godzinę dokładnie obserwowałem dwóch strażników, strzegących nasz budynek. Orientowałem się mniej więcej, jaki mają „grafik” zajęć, wiedziałem, kiedy miała nastąpić zmiana. Mimo wszystko potrzebowałem dużo szczęścia, by mi się powiodło. Mój „harem” został o wszystkim poinformowany; kobiety wspierały mnie na duchu i trzymały kciuki. Z kilkoma więźniarkami tego domu zgłosiłem się do „wyjścia” do ogrodu. Jeden strażnik wyprowadził nas na zewnątrz, ale nadal maszerował tam i z powrotem. Siedziałem w krzakach, pro forma opuściłem spodnie. Lieselotte Bergann¹⁶³, siostra mojego przyjaciela Heinza, bardzo pomogła w moim przedsięwzięciu: wyglądała przez okno i dawała mi znaki, gdy strażnik miał się ponownie zbliżyć. Wspaniale wszystkim dyrygowała i inscenizowała małe manewry, odwracając uwagę. Wszystko dobrze przebiegało, młody strażnik dał się nabrać. Wszystko widziałem zza krzaka, cofałem się o kilka kroków - gdy strażnik znowu na mnie patrzył, byłem z powrotem. Metr po metrze, krok po kroku zbliżałem się do swego celu. Gdy Rosjanin znalazł się poza budynkiem, Lieselotte dała mi sygnał do ucieczki. Spodnie do góry i nogi za pas! Dosyć sprawnie pokonałem płot i już znalazłem się w jednym z pobliskich domów. Świeża zieleń na drzewach i krzewach była dla mnie dużą pomocą, ograniczało to widoczność. W domu, w którym się znalazłem, mieszkała na szczęście pewna Niemka z wieloma dziećmi. Gdy z hukiem wpadłem do środka, byli porządnie przerażeni. Brakowało mi tchu i na chwilę musiałem zrobić przerwę. Czy mogłem już uznać swój podstęp za udany? Serce biło mi jeszcze szybko, cała ta akcja trwała

¹⁶² obecnie ulica Szczecińska

¹⁶³ Adolf Hitlerstr. 17, obecna ul. Jedności Narodowej

zaledwie parę minut. Na skraju słupskiego lotniska roilo się od Rosjan. Bocznyimi drogami przedostałem się do głównej szosy i maszerowałem w kierunku Sławna. Na drodze spotkałem wiele kobiet, ze względów bezpieczeństwa maszerowały one w dużych grupach - i one śpiesznym krokiem wracały do swoich domów. Mężczyźni, którzy jeszcze później ode mnie zostali zwolnieni ze słupskiej szkoły, wybrali pole i ścieżki łąkowe, przedzierali się nocą przez lasy, przepływali rzeki, by móc cało dotrzeć do domu. Ze względu na moją nogę wybrałem ulicę wraz z jej tysiącem niebezpieczeństw. Los trzymał tego dnia moją stronę. W szalonym tempie nadjechało bryczką od strony Sławna dwóch Polaków z biało-czerwonymi opaskami na ramieniu. Pytali mnie, czy u wejścia do Słupska stoją radzieckie straże. Odbąknąłem na pytanie i zauważyłem, że te łobuzy mają nieczyste sumienie. Nie mieli zbytnej ochoty, przejeżdżać przez kolumnę straży, pozostawili konie i wóz! Próbowali dostać się do miasta okrężną drogą przez pola. Jak postanowili - tak i zrobili! Długo się nie zastanawiałem, wskoczyłem na bryczkę i już trzymałem lejce w dłoni. Dawaj, do Sławna! Zabrałem jeszcze kilka kobiet, mój wóz był pełny. Drogą przejeżdżaliśmy obok długich, maszerujących kolumn radzieckich żołnierzy, oni mieli jeszcze dalej do swych domów. Troszczyłem się o mój zaprzęg. Także i ten dzień: 28 kwietnia, zbliżał się powoli ku końcowi, chcieliśmy dotrzeć do Sławna jeszcze przed zapadnięciem zmroku. Ścisnęło mnie serce, ale co rusz musiałem uderzać batem po spoconych końskich grzbietach. Oba kasztanki dawały z siebie wszystko. Powracaliśmy z długiego więzienia na wolność, jak miała ona wyglądać? Gdy znaleźliśmy się w Sławnie, było już porządnie ciemno, najchętniej zaraz pojechałbym dalej, do Gwiazdowa - nasza gospodyni na pewno ucieszyłaby się z koni, ale ta radość zapewne nie trwałaby długo. Zostałem w Sławnie. Konia i wóz przekazałem dziewczętom, które chciały dotrzeć do swych domów w okolicznych wsiach. W mieście prawie wszyscy niemieccy mieszkańcy zostali wydalenii ze swych domów. Ulice i domy były puste, było to niesamowite wrażenie. Szukałem panią Lemm, ale jej nie znalazłem. Także nasza Erna przepadła. Wejście do budynków było zabronione (ale przecież mogłem nie wiedzieć o tym oficjalnie), mimo to, wszedłem do naszego domu. Zostawiłem go ostatnio wysprzątanym, a znalazłem znowu bałagan. Tym razem przyjąłem wszystko dość chłodno. Milsza mi teraz była świeżo upieczona wolność. Ten dzień: 28 kwietnia był pełen wrażeń, pełen napięcia i zdenerwowania. Śmiertelnie zmęczony ułożyłem się do snu, nikt mi w tym nie przeszkodził.

29 kwietnia, sobota

Trzech Rosjan wpadło do naszego domu: dwóch oficerów i tłumacz, który bardzo dobrze mówił po niemiecku. Byli bardzo zdumieni, gdy mnie tutaj zobaczyli, szybko dali mi do zrozumienia, że mam opuścić ten dom i śródmięście. Byłem akurat w kuchni przy myciu, pierwszy raz po tylu dniach: cóż za rozkosz! Na piecu kuchennym gotowała się moja brudna bielizna. Powiedziałem tłumaczowi, skąd wróciłem i że jeszcze dzisiaj opuszczę „nasz” dom. Nie przerwałem swoich czynności i męczyłem się przy likwidowaniu „moich małych zwierzątek”. Rosjanie uśmiechali się i przyglądali się temu zabiegowi. Chcieli ode mnie

się dużo dowiedzieć: czy to był nasz dom, czy mój ojciec był kapitalistą, czy mam jeszcze wódkę, itd., itd. Przez okno w kuchni zerknąłem do naszego ogrodu. Ten tak kiedyś bardzo zadbane kawałek ziemi - hobby mamy - wyglądał teraz podobnie, jak otaczające go zabudowania: opuszczony i zniszczony. Po ogrodzie maszerowały dwa tłuste babsztyle i zrywały pierwsze narcyze. W przyjemnym, ciepłym, wiosennym słońcu siedziała na gołębniku parka gołębi. Były to widocznie ostatnie, z około 50 pocztowych gołębi - dumy mojego ojca; przyniosły one mu już kilka nagród. Teraz głodne i przestraszone, podobnie, jak my, dreptały niespokojnie. Od czasu do czasu padał gdzieś strzał z pistoletu, radzieccy żołnierze strzelali dla zabawy z „Deutscher Hof”¹⁶⁴ do tych niewinnych ptaków.

Nagle usłyszałem kroki, znowu ktoś wszedł do naszego domu. Przede mną stała blondynka w radzieckim mundurze. Nie wierzyłem moim oczom, to nie mogła być prawda... naprzeciw mnie stała najstarsza córka pewnego sławieńskiego urzędnika. Ze zdumienia zabrakło mi słów. Mój Boże, co też tę dziewczynę opętało?! Od dawna krążyły już plotki, że widziano ją w radzieckim mundurze i że odbywała wraz z rosyjskim oficerami dzikie przejażdżki bryczką. Mówiono też, że brała udział w „polowaniu” na niemiecką ludność. Naprawdę, nie mogłem w to wszystko uwierzyć! I teraz stało owo dziewczę przede mną w zacnym mundurze Armii Czerwonej. Nie wiedziałem, czy na dworze nie stała jej bryczka z załogą, musiałem się więc mocno opanować, by czasami temu babsku porządnie nie przyłożyć. Pomyślałem o pięknym przysłowiu: „Poruszyś gównem, to będzie śmierdzieć!” Umundurowana była prawdopodobnie również zaskoczona, że to mnie tu zastała, szybko zniknęła. Na długo zapamiętałem sobie tę chwilę! Głośne burczenie w brzuchu przypomniało mi, że byłem okropnie głodny. Pod fajerkami pieca kuchennego ukryłem kiedyś garnek ze smalcem, na szczęście nikt go tam nie znalazł. Tylko tyle pozostało po naszym wieprzku. Po tym, kiedy to pani Lemm musiała opuścić swój dom, zostało z niego wszystko wywleczone. Przygotowałem sobie pieczone kartofle, porządnie je okrasilem tłuszczem i z pełnym żołądkiem pomaszerowałem wieczorem, 29 kwietnia do Gwiazdowa. Ale zanim opuściłem nasz dom, przeżyłem w nim jeszcze jeden mały epizod. Ten był oryginalniejszy i nie tak deprymujący, jak to spotkanie z „niemiecką babą”. Pewien radziecki żołnierz wbiegł z opuchniętym policzkiem, ktoś mu zapewne powiedział, że mieszkał tu dentysta. Pranie się jeszcze suszyło, miałem na sobie biały, obszerny kitel mojego ojca. Żołnierz dopadł do mnie i zajączkał: „Doktor, bolli-bolli!” Nie udało mi się mu wyjaśnić, że nie byłem tym, którego szukał. Złapał mnie za rękę, zaciągnął po schodach i już siedział w fotelu w gabinecie dentystycznym. Swoimi gestami dawał mi do zrozumienia, że miałem mu teraz koniecznie wyrwać zęba. Szukałem bezradnie obcęgow - nadaremnie! Nie można było znaleźć żadnych lekarskich instrumentów. Powiedziałem mu jasno i wyraźnie: „Radzieccy żołnierze wszystko capcarap!”, zrozumiał to dobrze. Iwan siedział w fotelu i wiercił się, obiecywał mi dużo wódki, papierosów i

¹⁶⁴ dawny hotel na rogu ulic Jedności Narodowej i Kopernika

jeszcze wiele innych rzeczy. Gdybym znalazł obcego, byłby to pierwszy w życiu, wyrwany przeze mnie ząb! Nie było to zapewne trudniejsze, niż zabicie prosia-ka, a i ojciec byłby z pewnością ze mnie dumny. W swoim zrezygnowaniu narysowałem na kawałku papieru obcego i powtarzałem: „Nix instrumental!” Jak ukąszony przez tarantulę, podskoczył mój pacjent w górę i wybiegł na ulicę po obcego. Obserwowałem go przez okno i widziałem, jak grzebie w skrzynce z narzędziami w swoim samochodzie. W tym momencie straciłem odwagę, postanowiłem natychmiast uciec z tej niezręcznej sytuacji. Trochę później przyniosłem z domu, jeszcze trochę mokre ubranie i udałem się w drogę do Gwiazdowa. Cały krajobraz nabrał w międzyczasie delikatnej zieleni. Nadeszła wiosna, zjawiała się ona na Pomorzu zawsze trochę później. Akurat w tym roku zima dłużej u nas zabawiła i uraczyła dużym śniegiem oraz mrozem, ale także i ostrym „wiatrem ze wschodu” - o podwójnym znaczeniu.

Pomiłowo wyglądało bardzo spokojnie, te pozory jednak myliły. Pośpiesznie szedłem przez wieś i gdy ją już minałem, spadł mi kamień z serca. Za miejscowością na obszarze kilku kilometrów był zupełnie płaski teren, widziało się rozległe łąki i pola, pokryte zielonym blaskiem. Łąki kwitły, leszczyny nabierały złotego odcienia, na każdym kroku nowe życie. Młodość tego ciężkiego 1945 roku została złamana. Spacer wśród budzącej się przyrody zrobił na mnie duże wrażenie. Charakteru natury ten dziki czas nie potrafił zmienić, była ona nadal piękna. Jak samotny wędrowiec dotarłem wkrótce do gwiazdowskiego lasu. Ale i czar tej pięknej godziny nie był w stanie zmyć trosk mojego żywota. Naokoło nie było żadnej żywej duszy, zwierzyna była wypłoszona, poza kilkoma kraczącymi wronami, nie było na drzewach żadnego śpiewającego ptactwa. W tej leśnej samotności rozmyślałem o „dzisiaj” i o „wczoraj”. Przeszłość i teraźniejszość były żywe, przyszłość była opłakana i zachmurzona. Wyszedłem, jak już niegdyś często z leśnej drogi ze Sławna, obok dworca Gwiazdówko. Po lewej stronie był tartak państwa Hecht - byli oni stałymi pacjentami mojego ojca. Po prawej stronie był mały dworzec kolejowy, nie był on już teraz w użyciu, był bardzo zaniedbany i opuszczony. Potem pojawiła się idylliczna leśniczówka - czy panu Kiesler udało się wrócić ze słupskiego więzienia? Tak, dokładnie tego ranka dotarł do swego domu, mogłem więc powitać swego współwięźnia! Pani Kiesler przygotowała mi natychmiast kolację, potem poszedłem dalej, do domków na wybudowaniach. Zaskoczyłem moich najbliższych swoim przybyciem, z łzami radości wpadłem w objęcia siostry i babci.

30 kwietnia, poniedziałek

Minęły trzy tygodnie od czasu, gdy byłem tu po raz ostatni. Przypuszczano, że mogłem zostać aresztowany, nieśmiało myśleli też o zesłaniu, ale dokładnie o niczym nie wiedziano. Opowiadaliśmy sobie do późna w nocy i jeszcze następnego dnia. Tu, na wybudowaniach też się przewinęło wiele strachu i bólu. Dla mnie było wielką łaską Boga, że siostra i kuzynka uniknęły brutalnych gwałtów. Podczas gdy ja byłem uwięziony w Sławnie, oddział łapankowy przeszukiwał też Gwiazdowo. Wujek Alla miał szczęście, podobnie jak i ciocia Missen z Ursel. W największym niebezpieczeństwie znalazła się Brigitte. Rosjanie zjawili

się w domu i szukali kobiet - zastali tylko „starych ludzi”, wparowali na poddasze, otworzyli drzwi i zajrzeli do środka. Moja siostra siedziała skulona na krześle i miała na kolanach babcię. Babcia zarzuciła swą dużą, czarną chustę i grała w tym niebezpiecznym momencie rolę Anioła Stróża: Rosjanie nie dostrzegli Brigitte!

Także i w tym dniu, 30 kwietnia Rosjanie często pojawiali się tu na podwórzu. Aby nie przeżyć nowych, niebezpiecznych niespodzianek, chowaliśmy się w naszych sprawdzonych kryjówkach, których do tej pory jeszcze nie odkryto.

Tylko niektórzy gospodarze wyszli w pole, by uprawiać swą ziemię. W naszym gospodarstwie wszyscy pomagaliśmy przy pracach polowych, musieliśmy zapracować na jedzenie. Ja rąbałem drewno i udzielałem się we wszystkim, w czym tylko potrafiłem. Często odwiedzałem państwa Kiesler w ich leśniczówce, pozostawałem z nimi w dobrych układach, spędzałem tam zawsze przyjemne chwile.

4.5 Maj - Powrót mamy

1 maja, wtorek

W dniu wielkiego radzieckiego święta mieliśmy uszy i oczy otwarte. Nasze domy były w gotowości alarmu, na szczęście wszystko minęło spokojnie. W oddali słyszeliśmy wieczorem wrzaski i ryki Rosjan - dochodziły one z pobliskiej wsi, Żukowo. Przy tym święcie obdarowano zapewne żołnierzy dodatkową porcją wódki. Drogami galopowały tam i z powrotem dorożki z radzieckimi żołnierzami. Nic szczególnego się tego dnia nie wydarzyło. Mieliśmy też nadzieję, że kiedyś wreszcie Rosjanie muszą się uspokoić.

5 maja, sobota

Dzisiaj ciocia Missen miała urodziny, wspominaliśmy minione lata.

6 maja, niedziela

W tym dniu pamiętałem o pierwszej rocznicy ślubu mojego przyjaciela Karl-Heinza i jego Magdy. Myślałem o tym, co się tego dnia, przed rokiem wydarzyło. Czy piekły dzisiaj moich przyjaciół uszy? Gdzie podziewał się Heinz, dokąd trafiła Magda? Jedno nie wiedziało o drugim, czy jeszcze żyli?

8 maja, wtorek

Tego dnia rozchorowałem się, dostałem wysokiej gorączki i bolało mnie gardło. Poszedłem do budynku naprzeciwko, do mojej cioci, miała ona bowiem jeszcze resztki lekarstw - wystarczyły one, by wyciągnąć gorączkę, która była prawdopodobnie następstwem piwnicznego więzienia. Po kilku wypoceniach byłem znowu sprawny. Akurat choroby teraz nie potrzebowaliśmy.

11 maja, piątek

Moja ciocia pomaszerowała dziś rano do Sławna, by obejrzeć ich drugi dom na Pollnower Strasse 6¹⁶⁵. Na wypadek ewentualnego powrotu do miasta, chcieliśmy się wszyscy do tego budynku wprowadzić. Ciocia miała również nadzieję, że uda jej się zdobyć w szpitalu trochę lekarstw. Był to mój pierwszy dzień bez

¹⁶⁵ obecnie ulica Polanowska

gorączki. Tego dnia, 11 maja, około godziny 17.00 usłyszałem nagle radosne, głośne okrzyki na dworze. Wyrząłem przez okno i zobaczyłem moją mamę! Do dzisiaj nie wiem, jakim sposobem zbiegłem tak szybko po schodach, od razu zrobiłem się zdrowy. W kilka sekund później byłem już w mamy ramionach. Mój Boże! To była naprawdę ona! Znowu była z nami! Nadbiegły babcia i Brigitte, wszyscy inni zaraz też doszli. Obejmowania i ściskania nie miały końca. Ze wzruszenia i radości nikt nie potrafił z siebie wykrztusić słowa. To od dawna utęsknione spotkanie było jedną z najpiękniejszych chwil w moim życiu. W skrytości podejrzewałem już najgorsze, ale ona wróciła do nas! Los oddał nam naszą matkę! Połało się wiele łez. Ze wszystkich sąsiednich budynków zbiegli się ludzie i cieszyli się razem z nami z powrotu mamy z radzieckiego zesłania. Wraz z nią wróciła pani Scharfetter z Memel (Kłajpeda) - też uciekinierka, mieszkała ona już od pewnego czasu w Sławnie. Także panna Mittag (18 lat) ze Szczecina, pracowała ona w Sławnie i przyłączyła się wówczas do wspólnej ucieczki z rodziną Klemz, należała więc, podobnie jak pani Scharfetter, do naszej kolumny. Obydwie te kobiety były przez cały czas z mamą. Tysiące pytań cisnęły się nam na usta. Ciocia Missen wróciła w międzyczasie już ze Sławna, na nowo doszło do serdecznego powitania. Późnym wieczorem, w naszej małej izdebce, dowiedzieliśmy się od mamy wielu szczegółów. W pierwszej kolejności opowiedziała nam o ojcu. Mama znajdowała się w opłakanym stanie, potrzebowała teraz fizycznego i psychicznego odpoczynku, nasze palące pytania musieliśmy odłożyć na później.

12 maja, sobota

Dla nas była to bezsenna noc, zbyt wiele przeżyliśmy w ostatnich godzinach. Strapiona i szara od zmartwień i głodu twarz naszej matki relacjonowała to, czego ona sama nie zdążyła nam opowiedzieć. Jej całe ciało było wychudzone i zniekształcone, gdy się na nią patrzyło, przypominały się zdjęcia z ówczesnych ilustrowanych gazet pt. "Głód w Indiach".

Ubranie, którego nie mogła zmieniać w ciągu ostatnich 50 dni, było kruczoczarne i poruszało się od pasożytów. W tym opłakanym stanie pokonała pieszo w ciągu 11 dni odcinek o długości 300 kilometrów (Grudziądz-Sławno-Gwiazdowo). Jej stopy były schodzone i pełne odcisków, buty ugniatały. Nasza 54-letnia matka wróciła oto po 43 dniach z radzieckiego zesłania. Byliśmy wstrząśnięci jej wielkim cierpieniem, ale jednocześnie przeszczęśliwi, że mogła być znowu razem z nami. Nie zadawaliśmy jej zbyt wielu pytań, bowiem zauważyliśmy, że niezbyt chętnie chciała wspominać minione dni i tygodnie. Mama była człowiekiem, który nie lubił narzekać. Pytaliśmy ze szczerej ciekawości, chcieliśmy wiedzieć, gdzie, jak i dlaczego traktowano niewinnych ludzi. Przede mną i przed moją siostrą nie odkryła wszystkich swych przeżyć. A my tak bardzo chcieliśmy je poznać. Dopiero o wiele później było możliwe pojedyncze wspomnienia ułożyć we wspólny obraz.

W Wielki Piątek, 30 marca, pędzono ten pochód ludzi w wielkiej ulewie do o 27 km oddalonego Słupska. Zmęczeni i kompletnie przemoczeni zostali ulokowani w masowym więzieniu.

W Wielkanoc zorganizowano transport. Załadowano ludzi do brudnych, bydłych wagonów i wieziono na Wschód. Nie było dokładnie wiadomo, dokąd? Rosjanie prawdopodobnie sami nie znali dokładnie trasy. Kilka transportów wyładowało na Uralu, (wśród nich m.in. szewc Block), inne w okolicach Moskwy, na Ukrainie, nad Morzem Czarnym i na Kaukazie. Ciężko, prawie nie do pojęcia, dlaczego tak okrutnie traktowano tylu bezbronnych ludzi. Cóż za szyderstwo, gdy główna komenda Armii Czerwonej, wraz ze swym najwyższym wydawcą rozkazów, Stalinem - kazała rozgłaszać: „Armia Czerwona przyniesie pokój wszystkim Niemcom!” „Armia Czerwona nie postawiła sobie zadania, wypłenienia niemieckiej ludności!”. „Ludności cywilnej na obszarach zajętych przez Armię Czerwoną nie grozi żadne niebezpieczeństwo!” „Armia Czerwona ściga nazistowskich przestępców, zwykli członkowie partii, jeżeli pozostaną lojalni w stosunku do oddziałów radzieckich, nie będą prześladowani!”

Cóż za pośmiewisko w historii Europy, gdy jeden morderca mas oskarża drugiego masowego mordercę! Towarzyszu Stalin! I tobie zostanie któregoś dnia wymierzona zasłużona kara. Morze krwi, które przelałeś, nie może być na wieczność zapomniane. Kiedy światowy, międzynarodowy sąd oskarży to bezsensowne zniszczenie kwitnących, cywilizowanych prowincji - kiedy oskarży morderstwa, zesłania i bestialską przemoc na kobietach, dzieciach i starcach na wschodnich, niemieckich obszarach? Któryż to światowy sąd uzna za sprawiedliwe, wypędzenie milionów ludzi z tych ziem? Wcześniej mówiło się dużo, a i dzisiaj znowu o upadku zachodniej kultury. Ten makabryczny akt jest szkolnym przykładem owej tezy! Jakaż ironia losu! Główny oskarżyciel w procesie norymberskim, radziecki generał Rudenko, nie wstydził się przed międzynarodowym sądem wojskowym, domagać się obrony ludzkich praw!

Ani mój ojciec, ani matka nie zabili żadnego Rosjanina, nie zamordowali żadnego Żyda, nie uśmiercili żadnego jeńca wojennego, czy też robotnika przymusowego. Odpowiedzialni za akcje wysiedleńcze, które doprowadziły do epidemii i śmierci - praktykowali zemstę, nienawiść i przemoc; dotknięci tym zostali niewinni ludzie!

Transport, w którym znaleźli się moi rodzice, prowadził ze Słupska, przez Gdańsk do Grudziądza. Most na Wiśle k/Tczewa był wysadzony. Na krótko przed wysiedlaniem most naprędce naprawiono. Przejeżdżało wiele pociągów z setkami jeńców, most skrzypiał i kołysał się przy każdym poruszeniu - wszyscy myśleli w tym momencie, że zostaną ofiarami rzeki. Mimo silnej obstawy, kilku mężczyznom udało się próba ucieczki nocą z jadącego pociągu. Grudziądz miał być końcową stacją dla tego transportu. Dalszy przejazd do Związku Radzieckiego napotkał na trudności, ponieważ wagony okazały się, być ważniejsze do przewozu takich rzeczy, jak kradzione meble, maszyny rolnicze, bydło i jeszcze wiele innego, co można było wywlec z naszego kraju. Tak oto znaczna część ludzi pozostała w tym starym zachodniopomorskim mieście nad Wisłą - podczas, gdy niektórzy rodacy zostali już wciągnięci w głąb Rosji. Ten obóz liczył około 6 000 więźniów. Moi rodzice znaleźli się w budynku, należącym do kompleksu szkolnego. Przed i po południu, podczas tzw. „spaceru” więźniów, za każdym

razem po pół godziny, mogli się moi rodzice widzieć na podwórzu i także, od czasu do czasu, ze sobą trochę porozmawiać. Mamie udawało się często, wciśnąć ojcu coś do jedzenia. Głód dochodził do tego stopnia, że mężczyźni gryzli już surowe kartofle. Znalezione kości były składane i jeszcze raz wygotowywane, by nasycić pusty żołądek. Kobiety zdobywały sobie specjalne racje z obierzyn, tylko w ten sposób miały nieco więcej do jedzenia i dlatego mama mogła coś wygospodarować ze swego dla ojca. Już po kilku dniach więźniów tego obozu dopadły głód i robactwo. Młynki Rosjan męły powoli dniami, tygodniami - dla wielu ludzi często i miesiącami, aż do wybawienia: przez wolność lub przez śmierć. Tyfus plamisty, ta okropna epidemia, wkradła się do obozu za sprawą fatalnych warunków higienicznych i zwycięsko sobie tu, w Grudziądzu poczyniała. Głód i brud przyczyniały się do jego szybkiego rozprzestrzeniania. Rosjanin nie był już tu jedynym, wyłącznym panem. Gdy słyszał on słowo: „zaraża”, tracił głowę i stawał się bezradnym. Szukając pomocy, zwracał się po nią do tych wcześniej złych Niemców, których tutaj sam uwięził. Niemieccy więźniowie byli zatrudniani jako sanitariusze, aresztowani lekarze zostali zaciągnięci do udzielania pomocy lekarskiej. Mój ojciec został powołany do grupy sanitariuszy i pomagał tak, jak tylko potrafił. Co miało pomóc to wsparcie, skoro brakowało potrzebnych lekarstw, szczególnie tych przeciw tyfusowi. Śmierć nie pytała o narodowość, szalała również wśród radzieckiej straży tak samo, jak między niemieckimi więźniami. Naokoło rozsiewał się strach. Pewnego dnia rozwiązano nagle obóz kobiecy. Wszyscy, których choroba nie zdążyła jeszcze osiągnąć, zostali nieoczekiwanie wysłani do domu! Moja mama znalazła się wśród tych szczęśliwych kobiet. 30 kwietnia wraz z panią Scharfetter i panną Mittag opuściła obóz w Grudziądzu. Mężczyzn jeszcze zatrzymano. Ojciec był jeszcze zdrowy i miał - jak się dowiedział, zostać wkrótce zwolniony. Mama była wolna i ruszyła w drogę do domu. Na ulicy, w jednym z otwartych okien, ujrzała ojca, smutno spoglądając, pokiwał jej i zawołał: „Idź naprzód! Ja wkrótce dojdę!” Mama przyniosła nam te słowa z Grudziądza, jako ostatnie pozdrowienie od taty. Jeszcze często słyszeliśmy je z jej ust.

Grudziądz-Sławno: około 300 kilometrów. Trzy kobiety, spośród więcej niż tysiąca, przetrwały do tej pory głód i cierpienie, wspólnie znosiły ciężkie chwile, wiernie dotrzymywały sobie kroku w powrotnym marszu. Kroczyły przez zupełnie im nieznany teren, z każdym krokiem zbliżały się do swych rodzinnych stron. Nie została im zaoszczędzona droga przez Bory Tucholskie. Ta mało zaludniona okolica była dla nich najtrudniejszym odcinkiem tej, wcześniej obranej trasy. Jeszcze przed kilkoma tygodniami tu, w Prusach Zachodnich (Westpreußen), siedzieli na swych gospodarstwach chłopci, teraz słyhać tu było tylko polskie i rosyjskie głosy. Noce spędzały te dzielne kobiety w stajniach i w stodółach - podczas dnia maszerowały. W drodze żebrały o kartofle i o coś do picia. Było po nich widać, skąd mogły wracać. Przez wielu były dobrze traktowane, często otrzymywały więcej od tego, o co prosiły. Słowo: Grudziądz stało się w międzyczasie symbolem i mówiło się o nim naokoło. Bez końca wydawał się kobietom ten marsz do domu - każdego dnia musiały walczyć o swe życie. Szły

dalej, coraz dalej: przez pola i lasy, obok wielu jezior, w których chłodziły swoje obolałe nogi - przez wiele wsi. Gdy dotarły do pomorskich terenów, między Miastkiem a Bytowem, ujrzały już rodzinne łany. 11 maja przybyły do Sławna, matka liczyła na nas tu, w mieście - była bardzo rozczarowana, gdy nas tam nie znalazła. A więc widziała nasz dom ponownie: prawie pusty, w opłakanym stanie, przemierzyła przez wszystkie jego pomieszczenia i była do głębi wstrząśnięta. Wyczerpana i bardzo zdeprymowana podjęła ostatni etap swojego długiego marszu: drogę ze Sławna do Gwiazdowa. Myśl, że znowu nas tu zobaczy, dodała jej siły do tego dwugodzinnego marszu. Oczekiwaliśmy jej z otwartymi ramionami i z otwartym sercem.. Przedstawiłem tu obraz wygnania, który udało się mojej mamie nakreślić z wielkim bólem. W historii naszej rodziny, nazwa Grudziądz, pojawiła się już raz w smutnym punkcie. Podczas I wojny światowej, 8 sierpnia 1914 roku, brat mojej mamy, Werner Klemz, szedł wraz ze 129 regimentem piechoty z Grudziądza na front rosyjski; w kilka dni później był on jednym z pierwszych ze Sławna, którzy tam zginęli. W 1945 roku miasto to było punktem wyjściowym do tragicznych wydarzeń w naszej rodzinie. Czekaliśmy na ojca, ale nie poznaliśmy jego losu aż do czasu, gdy piszę te słowa. Snuliśmy różne przypuszczenia w oparciu o to, co się na ten temat dowiedzieliśmy:

- zesłanie w głąb Rosji, albo zupełnie na Syberię (jak to się zdarzyło szewcowi Blockowi); w obozie w Grudziądzu znany był jako „zubnoj wracz”¹⁶⁶, ten zawód był u Rosjan w cenie;

- gdy przy pożegnaniu z matką wypowiedział drżąc słowa: „Idź naprzód, ja wkrótce dojdę”, miał nadzieję na rychłe zwolnienie; świadkowie opowiadali, że ze względu na swój zawód, przydzielono mu rolę sanitariusza - nasze przypuszczenie: zmarł w obozie w następstwie zarażenia się tyfusem.

Wszystkie dotychczasowe dociekania odnosiły tylko częściowo powodzenie. Tylko z samego Sławna zostało zesłanych do Grudziądza ok. 120 mężczyzn, z okolicznych wsi było ich jeszcze więcej.

W październiku 1945 roku powróciło do Sławna czterech mężczyzn: Artur Röske¹⁶⁷, Kurt Harder¹⁶⁸, Paul Christoffer¹⁶⁹ oraz Friedrich Domröse¹⁷⁰. Dotarłem do dwóch z nich: Röske i Hardera, chciałem dowiedzieć się czegoś bliższego o ojcu. Prosiłem tych mężczyzn, by powiedzieli mi prawdę, byłem już uodporniony, byłem w stanie wytrzymać prawdę. Obaj zgodnie powiedzieli, że ostatni raz widzieli ojca mniej więcej w maju, był zatrudniony jako sanitariusz. Musiał wynosić rankiem ciała osób, które nocą zmarły. Potem nagle więcej już go nie widziano. Wypowiedzi były od siebie niezależne i po skonfrontowaniu zgadzały się. Panowie Christoffer i Domröse przekazali mi swoje przypuszczenia pisemnie: ojciec prawdopodobnie zachorował i nie doczekał się dnia, by wraz z innymi mieszkańcami Sławna, po zwolnieniu, opuścić obóz. Żaden z zapytanych nie

¹⁶⁶ dentysta

¹⁶⁷ dzierżawca kantyny, Stolper Vorstadt 21/22, obecnie ul. Gdańska

¹⁶⁸ kasa chorych, Nikolai Strasse 3, obecnie ul. Mikołaja

¹⁶⁹ spółka skupu i sprzedaży, Kösliner Vorstadt 41, obecnie ul. Koszalińska

¹⁷⁰ gazownia, Kösliner Vorstadt 79, obecnie ul. Koszalińska

widział go nieżywego. Przy masowym umieraniu - a było to codziennie 60-70 osób - tracili więźniowie rozeznanie. Nikt dokładnie tego nie wiedział, kto jeszcze żył, a kto już umarł. Trupy wynoszono każdego ranka na podwórze tej byłej szkoły i grzebano je tam. Tysiące ludzi pożegnało się z życiem w Grudziądzu. Moja siostra, babcia, ciocia Klemz i wszyscy pozostali byli wzruszająco przejęci stanem mamy - tylko naszej „pobożnej” gospodyni jakoś serce nie chciało zmięknąć. Chłodno przyjmowała ten fakt, że mama, to były teraz tylko skóra i kości.

Ważne teraz było, by gruntownie pozbyć się wszystkich pasożytów i dokładnie oczyścić się z brudu, bez środków chemicznych i mydła nie była to prosta sprawa. O codzienny chleb troszczyłem się teraz rygorystycznie. Kury znosiły codziennie około 25 jaj. Gdy przychodzili Rosjanie, często głodni jak wilki, potrafili czasami we dwoje zjeść 20 jaj. Dla śmiertelnie chorej kobiety nie było żadnego jajka na zbyciu! Widząc tę gorzką prawdę, z wewnętrznym instynktem, rozpocząłem teraz walkę, bez skrupułów. Wiedziałem teraz, co mam robić. Od zaraz, wszystko, co było na tym gospodarstwie najpotrzebniejsze do życia, zostało sprawiedliwie dzielone.

W następnych dniach udałem się do sąsiedniej wsi, do Żukowa. Tutaj mieściła się radziecka komendantura dla całej okolicy. Szukałem rodziny Bahr - znalazłem ją całą i zdrową na ich małym gospodarstwie. Pani Bahr pracowała u nas przed laty jako pomoc domowa. Doznała ona wiele dobrego od mojej mamy. Gdy opowiedziałem jej o naszym losie, natychmiast zaproponowała mi pomoc: jeden pokój w ich małym domku i pomagała, jak tylko mogła - podobnie jak i jej mąż oraz dwie córki. Czterech synów było w tym czasie żołnierzami. To ogromne szczęście, że znalazłem tych dobrych ludzi. Sposób, w jaki mi proponowali swą pomoc - sprawiły, że byłem w tym momencie mocno podbudowany i z promienną radością pobiegłem do najbliższych, by przekazać im tę nowinę. Ci dobrzy ludzie, sami w nienajlepszym położeniu, pokazali nam w tych dniach, że róża oprócz kolców ma również piękne kwiecie. W tym czasie okazywanie radości z udzielania pomocy drugim, było wyrazem głębokiej szlachetności. Nasza „pobożna Helene” z Gwiazdowa musiałaby się wstydzić, bowiem: „wiara w Boga nie polega tylko na noszeniu różańca i głośnym wychwalaniu swej pobożności”.

Mama bardzo się ucieszyła, że pani Bahr jej nie zapomniała. Kiedyś wspominała, że chętnie by się wybrała do Żukowa, by odwiedzić tych pocziwych ludzi. Mieliśmy wrażenie, że mamie się już trochę polepszyło. Po kilku dniach, gdy już się znacznie lepiej czuła, wyruszyliśmy w stronę polnymi ścieżkami w trójkę: ona, ja i Brigitte: Pani Bahr, widząc mamę, przestraszyła się na dobre. Po kilku miłych godzinach pożegnaliśmy się. W drodze powrotnej do Gwiazdowa posiliśmy się na świeżym powietrzu, zjadając kilka kawałków chleba z masłem od pani Bahr. Była to dla nas trojga wspólna chwila, często ją później wspominaliśmy, mama opowiadała wtedy o przyjemnych wydarzeniach. Nie usłyszeliśmy żadnych narzekania z jej ust. Razem z siostrą odzyskaliśmy na nowo wiarę.

19 maja, sobota

Była to sobota przed Zielonymi Świątkami. Mama pierwszy raz głośno narzekała, że się źle czuje. Jeszcze przed południem położyła się do łóżka. Wieczorem zmierzylśmy jej temperaturę, miała 40 stopni gorączki. Nie podejrzewaliśmy nic złego, były to skutki pobytu w Grudziądzu.

20 maja, niedziela, Zielone Świątki

Poszedłem z Brigitte do Żukowa. Musieliśmy coś jeść! Pan Bahr załatwił nam od znajomych wieprzka. Gdybyśmy go nie zaszlachtowali, uczyniliby to za nas Rosjanie. Gdy wieczorem wróciliśmy, temperatura mamy spadła z 40 stopni do 37 stopni.

21 maja, poniedziałek, Zielone Świątki

W drugi dzień Zielonych Świątek wujek Alla i ciocia Missen odwiedzili właściciela tartaku, pana Hechta - niedaleko leśniczówki i stacji kolejowej. Pod wieczór wyszedłem im naprzeciw i krótko też odwiedziłem państwa Kiesler. Wszyscy znajomi byli zaniepokojeni chorobą mamy. Wieczorem gorączka podniosła się do 40,9 stopni. Wiedzieliśmy, że nie było to normalne i widzieliśmy, że stan robił się poważny. Zaniepokoił się na dobre. Straciła apetyt, miała dolegliwości na całym ciele - dziwne bóle. Siostra z babcią siedziały dzień i noc przy jej łóżku. Kto z nas wtedy myślał o tyfusie? Ciocia Missen przez cały czas służyła nam radą i pomocą. Ja byłem często w drodze, by gdzieś zdobyć lekarstwa. Dostałem tu i tam jeszcze jakieś tabletki, ale żadnego leku przeciw tej okropnej chorobie. Pewnego razu droga do Żukowa trwała dłużej, niż zwykle. Sądziłem, że nie ma sensu już dłużej chodzić w łachmanach i czas wreszcie znowu wyglądać po ludzku. Pierwszy raz, po długim czasie założyłem na siebie „ludzkie” ubranie. Do tej pory szwędalem się, jak żebrak, by nie zwracać na siebie szczególnej uwagi. Nie chciałem się pokazywać, jak „kapitalista”, bo też i nim nie byłem. Im bardziej się było zaniedbanym, tym więcej się miało spokoju.

Nie powinienem się był za wcześniej cieszyć. Na drodze wiejskiej w Żukowie, przy gospodarstwie Krausego, zjawił się przede mną radziecki porucznik. „Ty oficer niemiecki?” - spytał, odpowiedziałem: „Nie!” Jak zwykle i tym razem szedłem o lasce. „Dlaczego?” , chciał wiedzieć Rosjanin. Na środku wsi musiałem się rozebrać i pokazać mu swoje rany, dopiero wtedy mi uwierzył. Przysłuchiwał się z zainteresowaniem, gdy opowiadałem mu, że byłem 70 km od Moskwy. Mieszkańcy wsi obserwowali tę scenę spoza firanek. Poczłapałem dalej w poszukiwaniu lekarstw dla mamy. Chcieliśmy zorganizować jakiś transport, by przewieźć ją do szpitala do Sławna, ale obawialiśmy się, że ten słaby organizm nie podda trudnościom przejazdu. Także i w szpitalu nie mieli leku przeciw tyfusowi. Nie było też prawie żadnych możliwości transportu, ponieważ nikt nie miał odwagi, wyruszyć końmi do miasta - a samochodami jeździli tylko radzieccy panowie.

23 maja, środa

Po czterech dniach choroby stan mamy się pogorszył. Występowały gwałtowne skoki temperatury. Pewna starsza pielęgniarka z sąsiedniego gospodarstwa wspomagała moją siostrę, babcię i ciocię Missen. Ale i ona nie potrafiła pomóc. Babcia nieustannie czuwała przy łóżku chorej. Skąd ta kobieta, w tym wieku, miała jeszcze tyle siły?

24 maja, czwartek

Stan zdrowia mamy był zły, przez całą noc majaczyła, mówiła tylko w nieświadomości i ciągle pytała, czy ojciec już wrócił? Potwierdziliśmy to pytanie, by ją uspokoić, ale ona na to nie reagowała, organizm był już bardzo słaby. Ciągłe jednak mieliśmy nadzieję, że uda jej się jakoś wyjść z tej choroby. Brigitte z babcią nie spuszczały już jej z oczu, temperatura się ciągle wahała. Żadnej szczepionki, żadnych tabletek, żadnej lekarskiej pomocy. Naszymi dobrymi chęciami nie mogliśmy, niestety, pomóc. Śmierć zbliżała się powoli.

27 maja, niedziela

Tego ranka, ostatniej niedzieli maja 1945 roku, po okropnej nocy, stan zdrowia mamy był już katastrofalny. Ja spałem dziś u wujostwa Klemz, w domu naprzeciwko. Gdy rano wszedłem do pokoju chorej, zobaczyłem mamę w takim stanie, w jakim znajduje się umierający człowiek. Od tego momentu musiałem być już przygotowany na najgorsze. Brigitte jeszcze nigdy nie widziała umierającego człowieka. Wszyscy obecni wiedzieli już, że mama przygotowuje się do ostatniej podróży. Na tym małym poddaszu byliśmy wszyscy obecni, gdy powoli wygasało ludzkie życie, życie naszej ukochanej mamy. Śmierć to przeznaczenie nas wszystkich - przychodzi, gdy ma przyjść. Na froncie wschodnim umierało przy mnie wielu moich kameradów, ale nic tak nie może człowieka poruszyć, jak chwila, gdy się siedzi przy łóżku umierającej matki. Jeszcze i dzisiaj ścisła mnie serce, gdy piszę te słowa. Nigdy w życiu nie zapomnę tych gorzkich chwil! Pielęgniarka z sąsiedniego gospodarstwa próbowała jeszcze zastrzykiem kamforowym. Nastąpiło ostatnie pobudzenie słabego organizmu z letargu, ale całkowite ożywienie układu krążenia, czy oddechu już nie nastąpiło. Wszystkie oczy były skierowane na mamę. W południe, o 11.45 agonia się zakończyła. To dobre serce, serce mojej matki przestało bić. 27 maja 1945 roku, w południe zasnęła spokojnie, na zawsze.

Ze wszystkich cierpień, które nas dotknęły, to było najcięższe. Ze wszystkich naszych przeżyć w okropnościach tego czasu - to było najboleśniej. W życiu trzeba najpierw coś stracić, by docenić wartość utraconej rzeczy. Razem z naszą mamą straciliśmy to, co najukochańsze, co tylko mogliśmy stracić.

29 maja, wtorek

Po długich zastanowieniach doszliśmy do wniosku, że nie pochowamy mamy na sławieńskim cmentarzu, ponieważ tam umarli byli nadal grzebani w zbiorowych grobach. Tego chcieliśmy mamie zaoszczędzić. Po wielu staraniach udało się cici, załatwić od stałego klienta ich sklepu zwykłą, drewnianą trumnę. Nasz sąsiad pomógł mi przy kopaniu grobu. W ten wtorek mogliśmy złożyć ciało naszej zmarłej do grobu na małym, spokojnym cmentarzu w Żukowie (Gwiazdowo należało do parafii Żukowo). „Monika”, kucyk należący do Klausa Schade z Quäsdower Siedlung¹⁷¹ ciągnął mały wóz z trumną na cmentarz. Wielu znajomych towarzyszyło naszej matce w jej ostatniej chwili. Tego pięknego, majowego dnia nie było widać nigdzie wokoło żadnego Rosjanina. Z Żukowa przysłała na po-

¹⁷¹ Osiedle Gwiazdowo

grzeb rodzina Bahr i kilku dawnych pacjentów mego ojca. Niestety, nie zjawiał się ksiądz tej parafii. Ciocia prosiła go, by wygłosił przy grobie znajomej mu zmarłej, krótką modlitwę - w tym okrutnym czasie potrzebne było małe pocieszenie. Wszyscy inni przyszli nieustraszeni na pogrzeb, by wspólnie się pomodlić. Mama była pierwszą, która od nas odeszła, ale nie ostatnią.

Myśli, które frapowały mnie i siostrę, skierowane były do ojca i naszego brata, którzy w tych bolesnych chwilach nie mogli być razem z nami. Gdzie był ojciec? Czy w potoku naszych myśli mieliśmy go szukać w Grudziądzu? Czy w ogóle jeszcze żył? On nie miał pojęcia, co się u nas w ostatnich dniach wydarzyło, nie wiedział też, że jego żonie, po wielu cierpieniach, udało się powrócić do domu, ale i jej nie ma już wśród żyjących. Pomyślałem w tej chwili o ostatnich słowach taty, które skierował do mamy w Grudziądzu: „Idź już naprzód, ja wkrótce dojdę!” Być może, że te słowa miały głębsze znaczenie.

Myśleliśmy też o moim bracie, nadal nie mieliśmy od niego żadnych wiadomości. Czy był w rosyjskiej niewoli? Czy jeszcze żył? Z pewnością i on nie podejrzewał, że jego matka już nie żyje i nie miał pojęcia o losie ojca. Na pewno i on często o nas myślał.

30 maja, środa

W dzień po pogrzebie pojechałem z Klausem Schade do Sławna. Monika, mały konik-liliput, przysparzała nam wiele pożytku, wszyscy byliśmy do niej bardzo przywiązani. Rosjanie nie zarekwirowali jej, nie wiedzieli, na co im mogłaby się przydać. Obraz miasta zmienił się trochę na korzyść. Rosjanie się już trochę uspokoili, zdarzały się jednak nadal pojedyncze strzały, ale już nie tak często, jak poprzednio. Nic się tu nie działo, wszystko leżało w gruzach, nikt ich nie uprzątał. Żywności nigdzie nie można było kupić, cóż sobie myślała ta czerwona władza? Chcieli, by wszyscy Niemcy wylądowali na cmentarzu? Chyba nie postawili sobie za zadanie, wyniszczyć cały naród niemiecki? Czy ludności cywilnej nie groziło już żadne niebezpieczeństwo? Czy Armia Czerwona prześladowała tylko przestępców nazistowskich? Dlaczego tej garstce ludności, która pozostała w mieście, nie dano nic do jedzenia? Czy inne władze okupacyjne w pozostałej części Niemiec postępowały podobnie?

„Nie uratuje nas żadna siła wyższa,
żaden bóg, żaden cesarz, ani trybun -
z tego cierpienia musimy się sami wygrzebać.
Narody, usłyszcie nasze wołanie,
wywołajcie na ostatni pojedynek
wywalczone międzynarodowe ludzkie prawo!”

Gdzie byli nasi starzy komuniści? Teraz mogliby walczyć o ludzkie prawa, teraz mieliby okazję, uczynić coś dla głodującego narodu. Niczego nie uczynili - oprócz tego, że nosili na ramieniu czerwoną opaskę. Rosjanie też ich nie traktowali na poważnie. Można było wyobrazić sobie rozczarowane miny członków KPD. Żaden z nich nie był w stanie, nawet wraz z ich radzieckimi przyjaciółmi, odbudować na nowo gospodarkę. W pierwszej kolejności byli zajęci plądrowaniem mieszkań, piwnic, należących do „kapitalistów”. Dużo czasu tracili na do-

nosy na swych rodaków. „Towarzysze, wywalczyć ludzkie prawa! To, co czynicie, jest błędne!”

Było dla mnie zagadką, że tyle starych, zapomnianych ludzi w mieście nadal trzymało się przy życiu. Ich wyraz twarzy mówił, w jaki sposób wegetowali. Nam nie pozostało nic innego, jak jeszcze trochę pozostać w Gwiazdowie. Tylko dzięki pomocy państwa Bahr mogliśmy jakoś żyć - z naszego gospodarstwa dostawaliśmy tylko kartofle, bo i tak mogłyby się zepsuć!...

4.6. Czerwiec - Polacy przybywają

1-3 czerwca, piątek-niedziela

Pan Bahr zorganizował mi kilka haczyków na ryby. Ryba byłaby znacznym urozmaicheniem naszego pożywienia, ale połów w naszej Wieprzy był marny. Coraz częściej byłem w leśniczówce. Z Brigitte Kiesler łączyła mnie przyjaźń, oboje docenialiśmy ten fakt w owych bezlitosnych czasach. Do tej pory udało im się ocalić cały dobytek zwierzęcy. Tak więc duża rodzina - byli w tym domu także ich krewni z Prus Wschodnich - mogła najeść się do syta. Często i ja byłem proszony do stołu, zawsze znalazłem wsparcie u tych gościnnych ludzi.

4 czerwca, poniedziałek

Poszedłem dziś z wujkiem do miasta. On miał tego dnia okazję po raz pierwszy zobaczyć zniszczone Sławno. Przed gruzami jego posiadłości oczy napelniły mu się łzami. Z naszego domu udało mi się jeszcze wywlec kilka użytecznych przedmiotów. W piwnicy - pośród stłuczek - wpadła mi ręce cała butelka „Danziger Goldwasser”¹⁷². Ta butelka naprawdę ocalała! Bardzo się z wujkiem ucieszyliśmy z tego znaleziska. Gdy komuś przez przypadek wpadło coś podobnego w ręce, widziało się wówczas, jakim było się biednym. Jak fata morgana pojawiła się w naszych myślach butelka świeżego piwa. Oh! Oddalibyśmy tron królewski za nią! Podświadomie zachęciły nas „Deutscher Hof” i znajdujący się naprzeciwko „Haus Roggenbuck”¹⁷³. Tego dnia spotkałem Herberta Stellera i jego rodzinę. Herbert był młodszym kolegą mojego ojca, byliśmy (i nadal jesteśmy) zaprzyjaźnieni. Radość była wielka, że mimo okupacji przez Rosjan, udało nam się spotkać. Herbert wraz z Fize i małym Detlefem wiele przeszli - również ich nowe mieszkanie zostało doszczętnie spalone.

W telegraficznym skrócie opowiedzieliśmy sobie nasze przejścia. Podobnie jak my, Herbert został również aresztowany. Krótco przed planowanym wywozem, zdecydował się wraz z naszym przyjacielem Siegenthalerem na ryzykowną ucieczkę. Zupełnie prostym sposobem uciekli przez okno! Walter Siegenthaler udał się do swojego domu do Warszkowa. Tutaj żył on pod neutralną flagą, jako szwajcarski obywatel. Nie wiem, czy któryś z radzieckich żołnierzy naprawdę wiedział, co oznacza biały krzyż na czerwonym tle - najważniejsze, że było to respektowane!

¹⁷² Gdańska Złota Wódka

¹⁷³ Hotele „Deutscher Hof” i Haus Roggenbuck” znajdowały się naprzeciw siebie przy dzisiejszej ulicy Jedności Narodowej

Herbert Steller ukrywał się przez wiele dni po ucieczce w piwnicach zburzonych domów. Nie chciał ponownie wpaść podczas łapanek.

Dzielny masarz, Emil Noffke¹⁷⁴, który jako pierwszy odważył się uruchomić na nowo swój zakład, przynosił w ciemności Herbertowi coś do jedzenia. Przez pana Noffke dowiadywał się, co dzieje się na zewnątrz, np. i to, że radziecka komendantura nadal szuka jakiegoś dentysty. On i mój ojciec byli jedynymi dentydami, którzy pozostali w Sławnie. Herbert zgłosił się w komendanturze i został tam... przyjęty z otwartymi ramionami! Na początku miał leczyć w szpitalu tylko radzieckie wojsko. Później pozwolono mu w budynku, należącym do pani Weidemann, gdzie wcześniej znajdowała się przychodnia lekarska doktora Krause - otworzyć gabinet. Tu właśnie spotkałem ponownie rodzinę Steller.

5 czerwca, wtorek

Następnego dnia opuściłem Sławno i udałem się z wujkiem Alla ponownie do Gwiazdowa. Przechodziliśmy przez Pomiłowo - tu Rosjanie znowu plądrowali. Chodzili od domu do domu - nas na szczęście zostawili w spokoju. Z butelką Goldwasser w kieszeni doszliśmy szczęśliwie do celu.

7 czerwca, czwartek

Znowu byłem w mieście, by powoli przygotować nasze przesiedlenie. Wszystko, co mi się z naszego domu udało uratować, wlokłem teraz do drugiego domu naszego wujka na Pollnower Strasse¹⁷⁵. Tutaj chcieliśmy się wprowadzić, wraz z siostrą i babcią. Wieczorem byłem zaproszony do państwa Steller. Herbert przyjął już w międzyczasie kilku radzieckich pacjentów. Byli bardzo wdzięczni, że się wreszcie ktoś znalazł, kto mógł ich uwolnić od strasznego bólu zęba. Niemiecki dentysta był więc teraz dla nich „wielkim doktorem”. W drodze powrotnej do Gwiazdowa zbaczałem najczęściej do leśniczówki. Naturalnie i tutaj interesowano się rozwojem sytuacji, miałem dla nich zawsze coś nowego.

Całkiem w pobliżu, na jednym z gospodarstw, ukrywał się Ingo Schumacher¹⁷⁶. Udało mu się uciec z transportu więźniów. Z wieloma trudnościami dotarł do okolic Sławna. Swojej żony i rodziców jeszcze nie odnalazł - udało im się jeszcze w odpowiednim czasie uciec na Zachód.

8-10 czerwca, piątek-niedziela

Razem z Brigitte często teraz chodziliśmy do Żukowa, odwiedzaliśmy tam grób mamy i zachodziliśmy do państwa Bahr. Rodzina Klemz przeniosła się w tym dniu już ostatecznie do Sławna, mieszkali oni teraz w swym domu przy Pollnower Strasse. Powoli i my przymierzaliśmy się do przeprowadzki. Panna Mittag, która wróciła razem z mamą z Grudziądza, szykowała się w drogę do Szczecina. Duże przedsięwzięcie, jak na 18-letnią dziewczynę - 250 km na „Dziki Zachód”, który w tym czasie można tak było nazwać. I ona chciała wreszcie dotrzeć do swej rodziny. Później dowiedziałem się, że jej się to udało. Także Frieda, dobra kucharka u państwa Klemz, powędrowała pieszo w okolice Słupska, do swych

¹⁷⁴ Kösliner Strasse 24 (obecnie Jedności Narodowej)

¹⁷⁵ obecnie ulica Polanowska

¹⁷⁶ sprzedawca, Köhlstr.11 (obecnie ul. Kossaka)

rodziców. Nasza Erna była już w międzyczasie u swego ojca we Wrześnicy. Tak to powoli rozchodziła się nasza kolumna, w której razem uciekaliśmy. Być może, że był to znak, że nadszedł już czas, by uporządkować swój los. Żyliśmy na końcu świata, nie wiedzieliśmy, czy wojna się już skończyła, czy jeszcze nie (zawieszenie broni było 8 maja 1945 roku). Trzeba było przyznać, że Rosjanie się już porządnie uspokoili. Siły okupacyjne zostały znacznie zredukowane - być może, że te oddziały były gdzie indziej potrzebne. Nas wszystkich frapowało jedno pytanie: „Co stanie się z Niemcami? Co z niemieckimi wschodnimi prowincjami, a konkretnie co z naszym Pomorzem?” Nikt nie był w stanie, odpowiedzieć nam na te pytania. Ludność była zatrudniana do wszystkich możliwych i niemożliwych prac. Kobiety uprzątały ulice naszego miasta. Była to świadoma teoria konieczności zatrudniania: trzeba było pracować rano, w południe i wieczorem. W końcu nasze ulice były czystsze, niż w czasach pokoju. Mężczyźni w każdym wieku musieli uprzątać gruzy. Te ważne prace były przeprowadzane pod nadzorem ludzi z KPD - na ich twarzy malował się szyderczy uśmiech.

Peter Krusch, ciągle nazywany „burmistrzem”, chciał chętnie również i mnie widzieć przy tych pracach. Zadawałem sobie pytanie: po co i dla kogo miały być uprzątane te gruzy? Przede wszystkim chciałem wiedzieć, co stanie się z naszą ojczyzną. Czy to miasto miało znowu do nas należeć? Jeżeli tak, to pracowałbym z wielkim zapałem, ale nie inaczej!

W czerwcu nie było w Sławnie ani kawałka chleba dla jego mieszkańców. Cały czas troszczyłem się o to, by i moim krewnym, udało się jakoś przeżyć. Bywały dni, kiedy przemierzałem 20 kilometrów od wsi do wsi i zbierałem. Często byłem zadowolony, że mogłem drapać miasto po plecach. Tak, tak teraz się mówiło o naszym rodzinnym mieście, które się miało głęboko w sercu i w pamięci. Chora noga utrudniała mi pokonywanie dalekich szlaków, ale dzięki Bogu, były one najczęściej uwieńczone sukcesem. Zawsze przynosiłem coś do domu, za każdą, nawet najmniejszą kromkę chleba babcia i Brigitte były bardzo wdzięczne. Tylko w ten sposób mogliśmy zaspokoić głód. Oprócz tego problemu nękały nas pytania o dalszą przyszłość: Czy zostaniemy, jak od setek lat, niemiecką prowincją? Czy Moskwa zaanektowała nasze obszary? Czy nowi „panowie świata” Roosevelt, Churchill i Stalin w Teheranie 1943 roku i w Jałcie 1945 roku dokooptowali nas już do wschodnich sąsiadów? Już od kilku dziesiątków lat kooptowali fanatycznie nacjonalistyczni Polacy niemieckie obszary, nie tylko Górny Śląsk (Oberschlesien) i Śląsk (Schlesien), ale także i Pomorze. Polskie hasło: „Do Odry!” istniało już, zanim Niemcy mieli „Sieg Heil!” Jeszcze wojna, czy już pokój? - ciekawość paliła nas. Uzyskać wiarygodne informacje ze świata, było w tym czasie niemożliwością.

We wszystkich sytuacjach życiowych nadzieja jest zawsze lepsza od zwątpienia. Pewnie, że nie można żyć tylko samą nadzieją, ale to ona właśnie pozwalała wierzyć w lepsze czasy i trzymała nas w prostej postawie. Obietnice „Karty Atlantyckiej”, powołanej do życia i podpisanej w 1941 roku przez Roosevelta i Churchilla wydały się być przystępne. Jeden z akapitów Karty brzmiał: „Żądanych zmian terytorialnych, które nie miałyby być zaakceptowane przez ludność,

zamieszkującą te obszary!”.

26 rządów podpisało się pod tym, m.in. Rosja Sowiecka i Polska. Karta miała jeszcze być odroczone, by zostać regionalnie zatwierdzona. Miała ona zostać zagwarantowana przez podstawy prawa człowieka w czasie i przestrzeni. Co z tego wynikło, powinno dotrzeć do wszystkich! II wojna światowa rzuciła nas bezbronnych w ręce i we władzę jej zwycięzców. Niemcy, a przede wszystkim ich wschodnie prowincje, doznały wielu cierpień, zniszczeń. Bolszewizm zawędrował daleko na zachód Europy. Można było przypuszczać, że Stalin swoim zasięgiem sowiecko-rosyjskiej władzy będzie zdobywał każdy kawałek ziemi. Związek Radziecki był wielkim zwycięzcą i wykorzystał to do znacznego powiększenia terytorialnego. Zaufanie potęg zachodnich z Roosveltem i Churchilllem w lojalność Związku Radzieckiego sprawiło, że rewolucyjna aktywność bolszewików wzrosła do maksimum z wykorzystaniem wszystkich możliwych środków. W myśl zasady Lenina: „Kto zdobędzie Niemcy, zdobędzie Europę!” W tym kierunku podążały nasze myśli, bliższe szczegóły nie były wówczas nam znane.

Ze wschodniego kierunku na Zachód podążały przez sławieński dworzec kolejowy pociąg za pociągiem. Rozpoczęła się polonizacja. Nie znaliśmy podstaw konferencji w Teheranie, Jałcie i Poczdamie, ale jedno było pewne: nastąpiło brutalne odrywanie odwiecznych terenów niemieckich. W pierwszych dniach czerwca masowo przybywali na nasze Pomorze Polacy. Pociągi były przepełnione polskimi cywilami; na początku byli to tylko mężczyźni, później docierały całe ich rodziny. Także i Sławno stało się celem tego napływu - z dnia na dzień coraz większego. Tylko z małym tobołkiem na plecach, lub z jedną torbą w ręku - tak przybywali nowi mieszkańcy Sławna.

Ktoregoś dnia pewien radziecki żołnierz powiedział do nas: „Wszyscy Niemcy za Odrę!” Nie chcieliśmy uznać tego za prawdę, ale nie należało już mieć żadnych złudzeń. Nasza godzina wybiła.

Z tzw. polskiej administracji zrodziła się polonizacja, która z czasem stała się identyczna z bolszewizmem. Jedno z największych posunięć szachowych Moskwy, gładki szach-mat dla zachodnich sprzymierzeńców. Niemcy nie byli o nic pytani. My byliśmy w tym handlu towarem. Nastąpiła druga epoka cierpienia, strachu i przemocy. Rosjanie zaczęli się powoli wycofywać i ograniczali się tylko do swych spraw wojskowych. „Zemsta wszystkim Niemcom!” - to była dewiza na następny czas.

Pierwsi Polacy, którzy przybyli do Sławna nie czuli się pewnie w swojej skórze. Nie rzucając się zbyt w oczy, chodzili skromnie po ulicach, jeszcze sami dokładnie nie wiedzieli, dokąd się mają udać, ich los nie był jeszcze zabezpieczony. Z pewnością byli o tym przekonani, że wydarzyło się tu coś niesprawiedliwego. Ten kraj należał do nas, Rosjanie go podbili, a Polacy mieli w nim osiąść. Jedno bezprawie pociągało za sobą drugie - przesiedleńcy ze wschodniej Polski musieli ustąpić swoich ziem Rosjanom. Po wojnie z Polską jej wschodnie tereny zostały w 1939 roku przez Rosjan zajęte i anektowane. Wgnani Polacy wnieśli na nasze obszary atmosferę pełną nienawiści. Między Rosjanami i Polakami do-

chodziło do ciężkich rozliczeń. Niemcy, prawni właściciele tego kawałka ziemi, byli w tej sytuacji między młotem a kowadłem. Nie byliśmy nigdy o nic pytani. Rosjanie i Polacy żyli ze sobą jak pies z kotem. Wrogości tych dwóch narodów nie udało się przysłonić nawet płaszczem komunizmu. Kolonizacja przybrała dziki przebieg. Nastąpiło to, co nastąpić musiało: domy zostały zajęte, fabryki i urzędy - które ocalały, zostały również przejęte przez Polaków. W tej wielkiej powodzi na Zachód płynęło też dużo brudu. Wraz z Polakami, wypędzonymi przez Rosjan, przybywało też wielu awanturników, bandytów i złodziejasków. Pod osłoną czerwonej flagi dokonywali tu wielu przestępstw.

11 czerwca, poniedziałek

W ostatnim momencie udało mi się wynieść trochę rzeczy z naszego domu. Na drzwiach budynku znalazłem kartkę z napisem po polsku; niestety, nie potrafiłem tego przeczytać. Przypuszczam, że miało to oznaczać: „zajęte”. Automatycznie przestaliśmy być właścicielami. Bardzo prosty sposób. Mimo to, nie spuszczałem naszego domu z oka. Wewnątrz panoszyli się polscy cywile, niemieckie kobiety musiały sprzątać. Od nich to dowiedziałem się, że polskie „władze” wyjechały na kilka dni. Wykorzystałem tę okazję i razem z panią Scharfetter wywlokłem jeszcze z domu łóżka i materace, których pilnie potrzebowaliśmy. Był to ostatni pobyt w moim rodzinnym domu!

Powoli, ostrożnie przesuwaliśmy się przez ogród, omijając ulicę. Jak złodziej pożegnałem się z naszą posiadłością, która od dziś przestała już do nas należeć. Przejęła mnie ogromna gorycz, płakałem. Przyszła mi nawet do głowy myśl, by dom podpalić. Ale moja rodzina powstrzymała mnie od tego zamiaru. Natychmiast by mnie aresztowano. W tym domu z pięknym ogrodem przeżyłem z rodzicami i z rodzeństwem 23 lata prawie samych pogodnych chwil. W myślach widziałem wszystkich swoich przyjaciół. Słyszałem głos mamy, gdy na nas krzyczała, gdyśmy w ogrodzie grali w piłkę i deptali jej zadbane grządki; jak to „kosiliśmy” trawniki na rowerach, przeskakiwaliśmy przez żywopłot. Widziałem nasz tor kolarski wokół dużego trawnika, altanę, huśtawkę, fontannę - która już nie tryskała wodą, itd... Na końcu ogrodu jeszcze raz obejrzałem się za siebie. Rzeczywistość była okrutna, musiałem natychmiast uciekać z tego miejsca. Czułem się w tym momencie jak jakiś łobuz, który właśnie dokonał złego czynu: włamania do własnego domu - brzmiało to jak bzdura. Bo to też i była bzdura! Oj! Gdyby mnie tu teraz przyłapano!

12-20 czerwca, wtorek-środa

Każdego dnia przechodziłem koło naszego domu. PPR - Polska Partia Robotnicza - zrobiła z niego siedzibę dla swojej partii. Na ścianie od strony ulicy wisiały portrety naturalnej wielkości Lenina, Stalina i polskiego komunisty i szefa państwa: Bieruta. Z okien zwisały czerwone flagi i transparenty z hasłami. Moja siostra przyłączyła się do innych kobiet i wykonywała prace porządkowe w fabryce maszyn Seglera. Polacy, którzy zajęli tę fabrykę, byli całkiem rozsądni. Zapłata w złotych nie była dużo warta, ale za to co dziesięć dni był chleb, starczało go więc codziennie po jednej kromce. Niemieckie pieniądze miały teraz już tylko wartość pamiątkową. Zachowaliśmy je na wypadek wysiedlenia; za-

kładaliśmy, że po drugiej stronie Odry miały one jeszcze swoją wartość. W pomieszczeniach budynków, które ocalały, Polacy otwierali swoje sklepy. Wkrótce można było w nich już robić zakupy, ale nam wolno było tylko ten towar oglądać. Położenie Niemców stawało się z dnia na dzień coraz trudniejsze. Zaglądałem do budynków, które jeszcze nie zostały zajęte. Przeszukiwałem piwnice z nadzieją, że znajdę tam jakieś ubranie lub żywność. W magazynie słupskiego browaru (Sternbrauerei), za "Deutscher Hof" i naszym ogrodem, na podłodze piętrzyły się wysoko paczuszki niemieckich banknotów - nikogo one nie interesowały, nikt nie zwracał na nie uwagi!

W międzyczasie odbywałem też wędrowki po pobliskich wsiach.

21/22 czerwca, czwartek-piątek

Odwiedziłem ogrodnictwo Tix i przyniosłem stamtąd trochę warzyw; dzień później byłem u ogrodnika Hahna¹⁷⁷. Oba ogrodnictwa nie były jeszcze w rękach Polaków.

23 czerwca, sobota

Moja droga prowadziła dziś przez Pomilowo, Gwiazdowo, Żukowo do Janiewic. Tutaj mieszkała jedna z dawniej zatrudnionych u nas pomocy domowych: Maria Unnasch, z domu Freitag. Bardzo się ucieszyła, widząc kogoś z naszej rodziny i napakowała mój plecak do pełna, było co nieść w drodze powrotnej.

24 czerwca, niedziela

Moja siostra "obchodziła" dziś swoje 20 urodziny. Dzień jak każdy inny, jak przystało na te czasy. Dawniej tego dnia jedliśmy pierwsze truskawki z naszego ogrodu. Nas chłopaków fascynowały zawsze i szkolne przyjaciółki naszej Brigitte, rówieśniczki: Hanna Dahnz, Erika Maatz, Elli Tix, i inne, które licznie przybywały na urodziny.

Ciocia Missen wróciła pieszo ze Słowina, odwiedziła tam naszych krewnych. Ze swojej podróży przyniosła do domu kilka kawałków ciasta. Radość była wielka.

25 czerwca, poniedziałek

Wujka odwiedził dziś jego stary przyjaciel Fritz Bachler¹⁷⁸. Szukajcie, aż znajdziecie! Ale co zrobić, gdy tych, których się szuka, nie ma już pośród żywych?

26 czerwca, wtorek

Następnego dnia przyszedł do nas do domu zegarmistrz, Karl Groth¹⁷⁹ i H. M. Boldt. Mieliliśmy dużo do opowiedzenia. Wujek Max nie nosił już brody, nie kiwał też głową, jak ongiś, przebrany za starca. Wyglądał teraz dobrze, wypoczęty - widać, że powietrze w lasku miejskim dobrze mu służyło. Wielu teraz przychodziło do miasta, by zobaczyć, co się tu dzieje. Jedyńi Niemcy, którzy nadal pracowali na swoich stanowiskach, byli to lekarze w szpitalu. Pani dr Narius i szanowny staruszek dr Karl Röhrich¹⁸⁰ - nieugięcie troszczyli się o swych pacjentów. Szpital był nadal pod radzieckim zwierzchnictwem. Mała część była zarezerwowana dla Niemców. Starsza siostra Marie, inne pielęgniarki i kilka sa-

¹⁷⁷ Stolper Vorstadt 18 (obecnie ulica Gdańska)

¹⁷⁸ sklep tytoniowy, A.Hitler Str.8 (obecnie Jedności Narodowej)

¹⁷⁹ Markt 18 (obecnie pl. Kard. Wyszyńskiego)

¹⁸⁰ Sanitäts-Rat, Stolper Vorstadt 34 (obecnie Gdańska)

lowych, długoletnia kucharka Hetwig Zühlke, wierny i bardzo lubiany przez wszystkich pacjentów sanitariusz: Max Raasch - oni wszyscy czynili, co było w ich mocy. Do tych wiernych dusz należał także aptekarz Paul Schröder¹⁸¹ i last not least¹⁸², Herbert Steller, teraz jako jedyny dentysta w mieście. Herbert pracował teraz na pełnych obrotach, najpierw w szpitalu, później - jak to się wówczas nazywało: w biednych przychodniach. Nie wszyscy Rosjanie, którzy przychodzili do dentysty, mieli bóle zęba. Herbert okazał się być „upiększającym architektem”. Radzieccy żołnierze wychodzili z założenia, najważniejsze, że ładnie się wygląda. Kazali wrywać sobie - często zupełnie zdrowe zęby i w ich miejsce wstawiać sztuczne. Ich próżność nie miała końca. Nie pomogły dobre słowa Herberta. Po wizycie przypatrywano się dobrej pracy niemieckiego dentysty w lustrze. Żołnierze chcieli okazać wdzięczność „wielkiemu doktorowi” i przynosili mu żywność. Nie były to małe datki, tylko prawdziwe dostawy: mleko i miód, drób, mięso i tłuszcz, chleb, itd., nie sposób wymienić wszystkiego, co mu znoszono. Mieli wszystkiego pod dostatkiem, przecież okoliczne wsie były nadal w ich rękach i do tej pory nie były przejęte przez Polaków. Rosjanie przynosili swemu nowemu niemieckiemu przyjacielowi wszystkie plody rolne, które były do ich dyspozycji. Z tych darów bożych żyło się Herbertowi, jego żonie i synowi dostatnio. Liczba radzieckich pacjentów była duża i ciągle rosła, wśród żołnierzy wieść roznosiła się szybko. Dostawy żywności rosły więc. Miał Herbert jakieś szczególne życzenie, było ono w miarę możliwości spełniane. Przychodzili doń również niemieccy pacjenci, którzy oprócz pomocy stomatologicznej, wychodzili z przychodni dobrze zaopatrzeni w żywność. Jego gościnny dom był zawsze otwarty dla rodaków; dla wielu był skarbnicą w ich trudnych sytuacjach życiowych. I ja bawiłem często w domu Stellera, tu miałem dobre schronienie, bowiem polowanie na niektórych ludzi nie było jeszcze zakończone. Dla mnie nie nadszedł jeszcze okres ochronny. Teraz nie byli to już tylko Rosjanie, pojawili się i inni myśliwi, którym zależało na tej zdobyczy. Ponieważ nigdy dokładnie nie wiedziałem, czy i ja nie należę do tej grupy, byłem zawsze bardzo ostrożny. W domu na Pollnower Strasse 6 leżałem często pod dachem. Kuzynka Ursel nadal nie miała pracy.

27 czerwca, środa

Przed południem 27 czerwca usłyszeliśmy głośnie pukanie do drzwi domu. Błyskawicznie znalazłem się na dachu, myślałem bowiem, że to oblawa. Przestraszona babcia otworzyła drzwi. Pytano o mnie. Z ust babci popłynęło obligatoryjne: „Kurta nie ma w domu!” Ostrożnie wyjrzałem u góry przez okno i rozpoznałem swego starego przyjaciela od sportu Gerharda Kreutzera, zwanego „Paula”. Zaskoczyło mnie: spotkanie ze starym kumplem, teraz w Sławnie? Rzuciłem się po schodach na dół, padliśmy sobie w objęcia. Babcia się trochę zawstydzila, ponieważ „kłamała”, ale zaraz cieszyła się z nami. Kreutzer, przybywając z Drezna, przebiegał się przez Berlin, Szczecin, Krzyż (Kreuz), Piłę (Schneidemühl) aż

¹⁸¹ Stubbenweg 5

¹⁸² ostatni (ale) nie najmniej znaczący

do Gdańska, potem przez Lębork (Lauenburg) i Słupsk do Sławna. Długa i pełna niebezpieczeństw podróż. Podjął się jej, ponieważ chciał zabrać stąd swą matkę do Rzeszy. Już z pociągu zobaczył, że jej mały domek ocalał. Matka „Pauli” opuściła Sławno wraz z rodziną Trabandt, jeszcze przed wkroczeniem Rosjan do miasta. Był bardzo rozczarowany, zastał jednak jeszcze tu swą ciotkę. Mój przyjaciel uciekł z niewoli i miał za sobą ciężkie tygodnie i miesiące. Wielu kameradów próbowało przejść na dziko tzw. „granicę na Odrze”. Tylko nielicznym się to udało, tym szczęśliwcom dana była okazja, po raz ostatni ujrzeć ich rodzinne miasto. Długo, długo opowiadaliśmy sobie, naszym pytaniom nie było końca. On przybył z Drezna, mojej drugiej miłości. Po raz pierwszy dowiedziałem się, co się temu miastu naprawdę przydarzyło. „Paula” opowiadał dalej, wszyscy przysłuchiwaliśmy się w napięciu - o losie Niemiec, o ostatnich dniach wojny, itd. Poinformował nas, że całe Pomorze ze stolicą Szczecinem aż do Gdańska zostało przekazane polskiej ludności. Owa rozmowa była spojrzeniem w inny świat, o którym my nie mieliśmy żadnego pojęcia.

30 czerwca, sobota

Dziś doszło znowu do radosnego spotkania. W mieście spotkałem panią Georg. Mój Boże! Jakże często o niej myślałem, ale o niej i o rodzicach mego przyjaciela niczego konkretnego nie wiedziałem. Dowiedziałem się więc, że państwo Georg wraz z matką Magdy mieszkali w Sławsku u rodziny Mademann. Bardzo uspokoił mnie ten fakt, że znośnie udało im się przetrwać ten okres. Pani Georg prosiła mnie, bym ich odwiedził. Często korzystałem z tego zaproszenia. Te radosne wydarzenia sprawiły, że na nowo naładowaliśmy się ochotą i odwagą. W ten weekend poszedłem z siostrą do Gwiazdowa. Mieliśmy dużo nowin - gdy serce jest pełne, usta nie chcą milczeć. Chcieliśmy podzielić się wiadomościami z przyjaciółmi w Gwiazdowie i w Żukowie. Także Janiewice czekały na nas. Byłem teraz wędrującym biurem wiadomości. Nie tylko znajomi, lecz także wszyscy mieszkańcy tych wsi chętnie słuchali naszych relacji.

4.7 Lipiec - Choroba i śmierć

1-4 lipca, poniedziałek-czwartek

Razem z Gerhardem Kreutzerem zgłosiłem się do polskiej komendantury. Przyglądano nam się z wielkim sceptycyzmem. Moje kule same im wyjaśniały, co mogło mi się przydarzyć.

W szpitalu odwiedziłem pana doktora Röhricha, na wszelki wypadek wystawił mi dobre świadectwo lekarskie. Gdyby i Polacy nie chcieli go akceptować, zawsze mogłem je jeszcze podstawić pod nos ludziom z KPD. Staruszek Röhrich był pełen wątpliwości i nie widział wyjścia z tego bolesnego położenia. Łzy napłynęły mu do oczu, gdy dowiedział się o losie moich rodziców.

Komuniści ciągle szukali ludzi do wszelkich prac, które jednak nie miały nic wspólnego z poprawieniem sytuacji życiowej niemieckiej ludności. Nikt nie chciał się już tam zgłaszać. Spróbowano wówczas innego sposobu: wczesnym rankiem zjawili się nasi sławieńscy KPD-towarzysze w radzieckim towarzystwie w domach, w których mieszkali jeszcze Niemcy. Ale i ta akcja niczego im nie

przyniosła. Ze względu na bezpieczeństwo dnie spędzałem często pod dachem. Wiedziałem, że Peter Krusch¹⁸³, depte mi po piętach. Często pytał moich znajomych: „Gdzie młody Mielke?” Odpowiedź brzmiała najczęściej: „Gdzieś na wsi!” Właściwie to dobrze, że często się gdzieś udawałem. Mój przyjaciel Kreutzer towarzyszył mi w wędrówkach. Często życzyłem sobie, mieć u boku dobrego kumpla - teraz takiego miałem! „Paula” był jeszcze bez żadnych uprzedzeń w tej całej atmosferze, był bardzo sprytny i odważny. Jego dewizą była improwizacja: robić coś z niczego! We dwóch maszerowało nam się rażniej. W okręgu Gwiazdowo-Żukowo byliśmy chętnie widzianymi gośćmi, zawsze przynosiliśmy jakieś nowiny, a czasem, zupełnie nieświadomie, jakieś plotki. Każdy dodawał sobie utuchy i podtrzymywał nadzieję na przyszłość.

5 lipca, piątek

Moja trasa wiodła dziś w kierunku północno-wschodnim. Bocznymi drogami odwiedziłem w Sławsku rodziców mego przyjaciela. Tu zastałem państwa Georg i matkę Magdy całych i zdrowych. Przyjęli mnie jak własnego syna, częstowali wszystkim, czym dysponowali. Dużo rozmawialiśmy o ich dzieciach, dzieliłem z nim niepokój i troskę rodziców. Musiałem obiecać, że ich wkrótce ponownie odwiedzę. Do swych najbliższych wracałem z wieloma prezentami od pani Georg.

7 lipca, niedziela

Do Sławna przybyło polskie wojsko. Było to około 1000 jeźdźców na koniach. Byli bardziej zdyscyplinowani niż większość cywilów. Wczoraj, sobotniego popołudnia (6.7), udałem się do szpitala, by odwiedzić Maxa Hasenbuscha. Ostatnio dowiedziałem się, że czuł się nienajlepiej. Bardzo się ucieszył, gdy wszedłem do jego pokoju. Często myślał o nas wszystkich i z utęsknieniem czekał na czyjeś odwiedzin. Zdawał sobie sprawę z tego, co w mieście się działo i jak ze wszystkim było ciężko. Przeraziłem się: Max wyglądał źle, czuł się też kiepsko. Moja kuzynka Ursel - od kilku dni zatrudniona w szpitalu jako siostra - powiedziała mi, że stan Maxa był fatalny. Spytał mnie, czy mógłbym spełnić jego życzenie i zorganizować dla niego trochę alkoholu; miał nań niesamowity apetyt i jednocześnie miał nadzieję, że alkohol go trochę pobudzi. Hm! Skąd go wziąć? Tu tylko mógł pomóc Herbert Steller!

Tak też i było. Dla jego radzieckich pacjentów był to żaden problem. Dziwne myśli popędzały mną, chciałem jak najszybciej spełnić życzenie Maxa.

10 lipca, środa

W środę, 10 lipca przed południem chciałem zanieść małą butelkę z alkoholem do szpitala. Zdobyłem ją dopiero w poniedziałek wieczorem, krótko przed smutną wiadomością, którą przyniosła mi moja kuzynka. Nasz przyjaciel odszedł od nas po długich cierpieniach, (dzień zgonu: Sławno, 9 lipca 1945 roku). Jego postrzelone płuco nie mogło dłużej przetrzymać konsekwencji strzału z radzieckiego pistoletu. Śmierć Maxa była dla nas wielkim bólem. Nie mieliśmy jeszcze odwagi, udać się na cmentarz, na jego pogrzeb, było to dla nas nadal niebez-

¹⁸³ robotnik, Winterfeldstr.13 (obecnie ul. I Pułku Ułanów)

pieczne.

24 urodziny mojej kuzynki, Ursel Jürs, z domu Klemz, w dniu 10 lipca odbyły się pod znakiem żałoby po Maxie Hasenbuschu.

Ciocia Klemz i pani Künkel musiały pracować w magazynie zbożowym, na-przeciw urzędu gminy, który ciągle był pod radziecką administracją. Dla kobiet była to bardzo trudna praca, a i mężczyźni dźwigali z trudem ciężkie worki. Zapłata starczała z ledwością na trochę chleba. Kobiety wracały wieczorem do domu zmęczone i wyczerpane. Praca siostry w fabryce maszyn Seglera stała się też cięższa. Kuzynka dostawała w szpitalu wprawdzie większą porcję żywności, ale było to zajęcie na tym okropnym oddziale dla chorych na tyfus, było to więc igranie ze śmiercią. Radzieccy i polscy urzędnicy nie byli jedynymi panami - co-raz bardziej szerząca się epidemia sprawiała, że liczba zachorowań na tyfus zwiększała się z każdym dniem. Były też przypadki gorączki plamistej i dyfterytu. Spotykaliśmy się często u państwa Steller i próbowaliśmy zwalczać bakterie alkoholem... Wśród nas szalała teraz śmiertelna epidemia. Pukała ona do wszystkich drzwi i w wielu domach udało jej się wejść do środka. Śmierć nie robiła wyjątków - także Rosjanie i Polacy stawali się jej ofiarami. Ludność była zobowiązana wywieszać z okien białe prześcieradła na znak: „w tym domu pa-nuje tyfus!” W domach, w których mieszkali Niemcy, z każdego okna zwisało takie prześcieradło. Była to jednocześnie znakomita ochrona przed Rosjanami oraz przed polskimi bandytami, okradającymi domostwa. Nadal wegetowaliśmy, nie wyrzekaliśmy się naszego niemieckiego pochodzenia - do tego wszystkiego doszedł jeszcze strach przed tą złowrogą chorobą. Walka o przetrwanie nie była jeszcze zakończona. W pełnej nieświadomości czekaliśmy na dzień, a ostatecz-nie okazał się on dniem, w którym zostaliśmy wyprowadzeni na ulicę i zmusze-ni do opuszczenia naszej ojczyzny. Jak wyglądało teraz życie w pozostałej czę-ści Niemiec? Z pewnością w innych niemieckich prowincjach życie nabierało już powoli normalnego rytmu. Chłopi siedzieli bezpiecznie, jak przedtem, tak i teraz, na starych gospodarstwach i uprawiali swe pola. Tutaj musieli opuszczać posiadłości już od kilku pokoleń należące do jednej rodziny. Polacy przejmowali teraz komando i oni byli tu panami. Tak się przynajmniej tu czuli i tak dawali nam to odczuć. Stan chłopskiego gospodarstwa zależał przede wszystkim od osobistego zaangażowania do pracy właściciela i całej jego rodziny. Niestety, nowi właściciele, w wielu przypadkach nie potrafili i nie chcieli podołać temu zadaniu. Fakt ten bardzo bolał byłych właścicieli, którzy teraz musieli pracować „u siebie” jako parobcy.

Mieliśmy wspaniałą letnią pogodę. Często myślało się o Jarosławcu, jak udało się przetrwać naszemu morskemu kąpielisku? Nie mogliśmy tam być i odświe-żyć naszych młodzieńczych przeżyć. Jak w ogóle wyglądało całe nasze wybrze-że? W Darłowie i w Ustce stacjonowali Rosjanie i osadzili wybrzeże Bałtyku swą artylerią.

„Paula” Kreutzer i ja rozkoszowaliśmy się w tym upalnym dniu chłodną wodą w

naszym basenie. Tu spotkaliśmy po południu Günthera von Malottky¹⁸⁴ oraz Helmuta Röhsera¹⁸⁵ - obaj byli trochę młodszy od nas. Mieliśmy ogromny ubaw, podczas obserwowania radzieckich popisów w pływaniu i w skokach do wody - szczególnie, wtedy, gdy mieliśmy stwierdzić, czy ich spodenki kąpielowe to „długie krótkie spodenki”, czy też „krótkie długie spodnie”. Nasz śmiech musieliśmy tłumaczyć, by nie zdenerwować Rosjan.

13 lipca, piątek

Tego dnia razem z siostrą i kuzynką odwiedziliśmy naszego szanownego superintendenta¹⁸⁶ Blocka¹⁸⁷. Był to bardzo dzielny człowiek, który starał się niezłomnie wszystkim wiernym, jak tylko mógł, zmniejszyć ich troski. Kościół mariacki był bardzo zniszczony, dzwony leżały uszkodzone na kościelnej górze. Pan Block miał zamiar już wkrótce odprawiać nabożeństwa, u siebie na plebanii, której udało się przetrwać tę zawieruchę.

Wieczorem poszedłem z Brigitte i z Kreutzerem, dobrze nam znaną drogą, do Gwiazdowa. Babcia zawsze martwiła się o moją siostrę, gdy ta dokądś się z nami wybierała. Nigdy nie było wiadomo, na jakie zło mogło się natrafić. „Paula” wprawiał się w swój nowy zawód: grzebieniem i nożyczkami tańczył nad głowami znajomych. Ja kasowałem zapłatę w naturze, plecak się szybko napelniał, potem dzieliliśmy się jego zawartością po bratersku. Interes kwitł: w Gwiazdówku, na wybudowaniu, w Żukowie, itd. Dziś też odwiedziliśmy państwa Bahr i grób mamy. Noc spędziliśmy u Kieslerów i u pani Woitzel. W niedzielę, 15 lipca, porządnie obładowani, wróciliśmy do Sławna.

16 lipca, poniedziałek

Kto szuka, ten znajdzie. Wszędzie szukaliśmy czegoś, co mogłoby nam się jeszcze przydać. Okazało się, że wszystko może się przydać! - nawet rzeczy, na które w normalnych czasach nie zwróciłoby się w ogóle uwagi. Przypadek sprawił, że dziś w stodole, należącej do Karla Zöbisch, naprzeciwko mleczarni, znaleźliśmy pośród ok. 1000 pustych butelek, jedną pełną butelkę wina! Tak, i takie rzeczy były jeszcze możliwe!

My dwaj i Brigitte rozkoszowaliśmy się w domu Kretzera, łyk po łyku, zrobiliśmy z tego prawdziwą ceremonię.

17/18 lipca, wtorek-środa

Paul Strauß¹⁸⁸, rzeźnik w firmie Zypries, zorganizował dla nas z masarni kilka rarytasów. Masarnia pracowała dla Rosjan. Ursel Jürs i ja byliśmy szczęśliwi z tych paczuszek. Przez kilka następnych dni mogliśmy lepiej żyć. Było się wdzięcznym za każdy datek.

19 lipca, czwartek

Na dzisiaj zaplanowaliśmy z „Paulą” inspekcję w domu Roggenbuck, ponieważ

¹⁸⁴ syn Alberta von Malottky, rzeźnik, Markt 2 (obecnie plac kard. Wyszyńskiego)

¹⁸⁵ syn Johanna Röhsera, pralnia, Mühlenstr.10 (obecnie ul. Rapackiego)

¹⁸⁶ ewangelicki duchowny, sprawujący nadzór nad duchowieństwem i zborami danej diecezji

¹⁸⁷ Eduard Block, Koppelstr. 9 (obecnie ul. Grottgera)

¹⁸⁸ Husarenstr. 7 (nieistniejąca obecnie ulica między Jedności Narodowej, a Basztową)

Polacy mieli zamiar tam się wprowadzić. Niestety, wszystko było już wyszperane i totalnie zniszczone, cała piwnica była w wodzie. Inna piwnica o mały włos nie stała się dla nas nieszczęściem. Wujek Alla chciał koniecznie wiedzieć, jak wyglądało w jego piwnicy. Namówił mnie i „Paulę”, by tam raz zajrzeć. Ażeby zaoszczędzić kobietom strachu, o tym niebezpiecznym przedsięwzięciu wiedzieliśmy tylko my trzej.

20 lipca, piątek

Dziś po południu namierzyliśmy położenie. Wieczorem uzbroiliśmy się w młotki i w przecinaki i poszliśmy do pracy. W swoje przygotowania nie wkalkulowaliśmy polskiej milicji, która podczas swego obchodu na Köslinerstrasse¹⁸⁹ usłyszała pod ziemią głośne stukanie. Przez wąski otwór w rumowisku wsunęliśmy się na dół i rozpoczęliśmy nasze dzieło. W międzyczasie milicja otoczyła całą posiadłość i strzeliła kilka razy przez otwór, by nas zastraszyć. Łamaną niemczyzną nawoływano nas, byśmy wyszli, bo jeżeli nie, to wrzucą zaraz kilka granatów. Musieliśmy skapitulować, nasze życie nie mogło się tak zakończyć. Wyczółgaliśmy się na powierzchnię, gdzie skierowanych było na nas około pół tuzina luf karabinów. Głośno krzyczano: „Hände hoch!”¹⁹⁰ i natychmiast nas stamtąd odprowadzono.

Z Husarenstrasse na Köslinerstrasse, przez rynek do banku. Przed tym budynkiem zrobiło mi się niedobrze, bowiem bank w międzyczasie był zdegradowany do okropnego więzienia milicyjnego. Kamień spadł nam z serca, gdy kazano nam iść dalej, na Stolperstrasse¹⁹¹ - końcową stacją był budynek na Winterfeldstrasse¹⁹², naprzeciw „Schlawer Zeitung”¹⁹³, obok domu weterynarza, doktora Schwarza. Spędziliśmy tu noc pod czujną opieką straży. W domu nikt nie wiedział, gdzie się podziewaliśmy, wujek Alla martwił się o nas.

21 lipca, sobota

Wczesnym rankiem widziała nas przez okno Ursel Jürs, gdy wracała do domu z nocnej zmiany ze szpitala. Przed południem obu nas przesłuchiowano - mówiliśmy szczerą prawdę, czego chcieliśmy i czego szukaliśmy w piwnicy wujka. Na pewno nam nie wierzono, ale nie można nam było niczego innego udowodnić. Kilku milicjantów pojechało ciężarówką na posiadłość wujka i przeszukało piwnicę. Nie dowierzano naszym zeznaniom, że szukaliśmy tam żywności i odzieży. Podejrzewano, że szukaliśmy tam jakichś skarbów ukrytych pod ziemią. Rzeczywiście znaleźli tam trochę cennej porcelany - znaleźli też zbrązowiałe i prawie zwęglone od pożaru ubranie. Ta zniszczona odzież, o mało co nie przyniosła nam nieszczęścia: ponieważ była brązowa, podejrzewano, że chodzi tu o nazistowskie ubranie. W piwnicy wujka Klemza! Byliśmy w stanie obronić się przed tymi zarzutami. Komendantowi milicji też wydawało się to głupie i pod wieczór zwolnił nas. Mimo to staliśmy się tym panom drzazgą w oku.

¹⁸⁹ obecnie Jedności Narodowej

¹⁹⁰ Ręce do góry

¹⁹¹ obecnie ul. Skłodowskiej

¹⁹² obecnie ul. I Pułku Ułanów

¹⁹³ Gazeta Sławieńska

23 lipca, poniedziałek

W dwa dni później musieliśmy się znowu zgłosić u komendanta, ten skierował nas następnie do polskiego burmistrza. Tutaj, 23 lipca 1945 roku, Gerhard Kreutzer otrzymał rozkaz opuszczenia miasta, które po polsku nazywało się już: „Sławno” - dali mu tylko kilka dni czasu. Podobny zamiar mieli i w stosunku do mnie. Mój argument, że czekam tu na rodziców, którzy zostali wypędzeni przez Rosjan - i po ich powrocie opuszczę miasto dobrowolnie, odniósł sukces. Jak się później dowiedziałem, Polak ten bardzo nienawidził Rosjan i gdy usłyszał słowo „wypędzenie”, od razu się inaczej ustosunkował.

„Paula” nie był wcale zły, że musiał odejść - nie uśmiechało mu się tu w takiej sytuacji dalej żyć.

Po tej porcji strachu znaleźliśmy się wieczorem u Herberta Stellerera. Opowiedzieliśmy mu nasze ostatnie przeżycia i piliśmy wódkę. Ja osobiście nie byłem zachwycony, odejściem „Pauli”. Na szczęście miało się tu jeszcze dobrych znajomych w osobie Stellerera, Siegenthalera, Damaschke, Waacka¹⁹⁴, z nimi można było konie kraść. Każdy obcy był tu wrogiem, każdy przyjaciel bezcennym skarbem!

W następnych dniach udałem się z Kreutzerem w południowym kierunku. „Paula” pożegnał się z Ingo Schumacherem i jego gospodynią, panią Woitzel oraz z innymi bliskimi znajomymi z tego trudnego okresu.

26 lipca, czwartek

Magda Georg miała dziś urodziny, wszystkie takie dane miałem zapisane w swoim notatniku. Tego dnia byłem w Sławsku u jej matki i teściów. Pani Georg przygotowała dla mnie dużą niespodziankę: z prześcieradła uszyła dla mnie koszulę. Miałem więc teraz dwie koszule, a jedna z nich była nawet z dobrego, białego lnu. Pani Georg wzruszająco troszczyła się o mnie. Dawniej, za naszych „złych chłopięcych czasów”, wyrządzaliśmy jej niekiedy psoty, ale ona miała dla nas, chłopców, zawsze dobre serce - także i teraz czyniła dla mnie wiele dobrego. Miałem nadzieję, że tam gdzieś w świecie, też ktoś się zatroszczy o jej dzieci.

29 lipca, niedziela

Gdy dziś przybyłem do Gwiazdowa, dowiedziałem się w leśniczówce, że gospodyni z gospodarstwa, na którym przez długi czas mieszkaliśmy, zmarła. Przybyłem akurat na pogrzeb. Przyczyną śmierci było zarażenie się dyfterytem. Na gospodarstwie naprzeciwko, u Reddelów, gdzie mieszkała rodzina Klemz, mała dziewczynka zmarła na tę samą chorobę.

30 lipca, poniedziałek

Dziś mój brat Werner kończył 30 lat, o ile jeszcze żył. Prawie każdego dnia mieliśmy hiobowe wieści. Nas kostucha omijała.

31 lipca, wtorek

Po krótkim okresie choroby zmarł stary przyjaciel naszej rodziny: H.M.Boldt. Najgorsze czasy przeżył przebiegle, teraz potknął się. Przyczyna śmierci: dyfte-

¹⁹⁴ Waack, mistrz fryzjerski, Adolf-Hitler-Str.23 (obecnie Jedności Narodowej)

ryt. Podażył on za swą żoną i wieloma przyjaciółmi, którzy wcześniej przed nim zmarli. Ta wiadomość pogrążyła nas w szczególnej żałobie. Nasze rodziny były bardzo ze sobą zaprzyjaźnione. Pomyślałem o jego synach: Hansie, Fritzu i Karlu Boldt. Nazywaliśmy go „wujek Max” - nie było mu dane, spotkać się z synami. Także i oni byli gdzieś daleko od domu i niczego nie wiedzieli o losie swych rodziców. Niestety, ale na tym pogrzebie nie mogliśmy być obecni. Ci siepacze z KPD wykorzystywali takie okazje na obławy.

31 lipca pożegnał się z nami Gerhard Kreutzer. Jego 34-dniowy występ gościnny na sławieńskiej estradzie właśnie się przymusowo zakończył. Nie był on być może owocny, ale za to bogaty w wydarzenia. „Paula” jechał teraz do innych Niemiec, gdzie zapewne i tam życie nie było jeszcze usłane różami, ale żyło się inaczej. Mógł tam opowiedzieć, co nam się tu przydarzyło i nadał przydarza. Od nas dostał kilka listów do przekazania. Odprowadziłem go z siostrą do dworca. W ciągu dnia jechał tylko jeden pociąg w zachodnim kierunku. Na peronie, uzbrojeni polscy urzędnicy kolejowi przeszukali jego walizki. Wjechał pociąg, był po brzegi wypełniony pasażerami. Polscy cywile przyjechali na Zachód, gdzie rzeki płynęły miodem i mlekiem. Los naszego przyjaciela widzieliśmy w czarnych kolorach. On był odważny, nałożył na siebie najlepsze rzeczy, jakie jeszcze znalazł u siebie w domu. Jego ciocia dała mu też kilka dobrych ubrań. „Paula” postawił wszystko na jedną kartę. W przepelnionym przedziale markował w dłoni ubranie śpiącego podróżnego - gdy on go zagadnął, odpowiadał mu łamaną włoszczyzną - w pociągu uważano go więc za przymusowego, zagranicznego robotnika, który właśnie wracał do swej ojczyzny. Był to wiarogodny numer, bo któryż z Niemców paradowałby się w tych czasach w eleganckich strojach! Do dziurki od guzika, po lewej stronie przywiązał sobie tasiemkę z barwami narodowymi Włoch: zielony-biały-czerwony. Te kolory pasowały do przedsięwzięcia „Pauli”: „Ucieczka do Niemiec”: zieleń była to nadzieja, biel niewinność i czerwień, czerwone było wszystko wokół niego. W Stargardzie (Stargard Pom.) przyłapano naszego przyjaciela i wyciągnięto go z pociągu. Musiał sprzątać cały dworzec. Dzięki temu, że jeden z polskich urzędników dał się przekupić wódką, mógł „Paula” kontynuować swoją podróż. Udało mu się dobrze przekroczyć granicę i jak się później dowiedziałem, wszystkie rzeczy udało mu się zachować. W Berlinie Adlershof przekazał on naszej cioci Lotte Storbuck pocztę od nas i naświetlił nasz los. Jego życzeniem było zawsze, mnie i moją siostrę zabrać ze sobą. Żałowałem później, że tego nie uczyniliśmy, bo też czego można było tu jeszcze oczekiwać? Babcia chciała tu sama pozostać - nie mogliśmy do tego dopuścić!

4.8 Sierpień - Polacy pozostają

1 sierpnia, środa

Jedno zdenerwowanie wywoływało następne, także i ten miesiąc zaczął się głośnym uderzeniem w bęben. 1 sierpnia Polacy postawili na głowie leśniczówkę w Gwiazdówku, zrobili rewizję w poszukiwaniu broni! To podejrzenie zawsze było dla nich dobrym argumentem. Naturalnie, niczego tam nie znaleziono. Także

dom pani Woitzel spotkał ten sam los. Tu mieszkał Ingo Schumacher, którego później także szukano. U pani Woitzel miałem schowaną za kominem wędzoną szynkę. Nie znaleziono ostatniego kawałka od naszego drugiego wieprzka. Wkrótce zabrałem mięso do domu, w długiej drodze było całkiem ładnym ciężarem.

2 sierpnia, czwartek

Jeszcze raz ten sam teatr w leśniczówce - co to miało znaczyć? Czy te polskie łobuzy uważały leśniczego naprawdę za głupka? Kto w tych czasach obwieszał się bronią? Kiesler został nawet aresztowany i musiał udać się z nimi do komendantury do Żukowa. My zwoziliśmy zboże z pola - pan Kiesler wrócił dopiero następnego dnia. Wieczorem, w drodze powrotnej do domu, spotkałem u Stellera panią Garzlaff¹⁹⁵, Waltera Siegenthalera, państwa Damaschke i fryzjera, Ernsta Waacka. Herbert Steller otrzymał bowiem właśnie znowu "bańkę z mlekiem", jej zawartość była oczywiście wysokoprocentowa. Znowu wdaliśmy się w rozmowę, dyskutowaliśmy o wszystkich problemach, które nas poruszały.

4 sierpnia, sobota

Odwiedziny na Pollnowerstrasse 6. Wykonawcy rozkazu KPD obejrzeli sobie dokładnie budynek i mieszkania. Czego oni właściwie chcieli? Nie miałem pojęcia! Być może, że zostali wyrzuceni przez Polaków z ich mieszkań. W mysiej norze nie mieszkał już żaden komunista, w międzyczasie urządzili się odpowiednio w "domach mieszczańskich".

5 sierpnia, niedziela

Z Brigitte i państwem Waack znowu w „niemieckiej centrali” u Stellera. Słuchaliśmy radia! Ktoś na prędkiego zmontował odbiornik, dla wszystkich zebranych tajemnicza sprawa. W tym czasie trzy zwycięskie mocarstwa zadecydowały już o losie niemieckich wschodnich prowincji. Stało to się podczas konferencji w Poczdamie. Ze względu na zły nadajnik i ryzyko, że możemy zostać wykryci, nie dowiedzieliśmy się wiele o wynikach konferencji.

6 sierpnia, poniedziałek

W dniu, w którym Gerhard Kreutzer opuścił Sławno, spotkaliśmy Kurta, naszego starego znajomego, syna handlarza bydłem Franza Pampluna¹⁹⁶. Także i on podstępem przekroczył granicę: przyjechał z Lubeki, przebrany w stroju kolejarza. Miał dużo do opowiadania - spotkaliśmy się, oczywiście, w bezpiecznym mieszkaniu Stellera, miał tam uważnych słuchaczy. Potwierdził wszystko to, co już nam opowiedział Kreutzer.

7 sierpnia, wtorek

To był znowu czarny dzień, który dotknął naszą rodzinę. Przed południem zrywaliśmy u sąsiada, Theodora Suhra owoce, które jeszcze były na drzewach i krzewach. Po południu wpadli do naszego domu dwaj milicjanci i aresztowali Alberta Klemza. Dlaczego?! Nikt nie znał tych powodów. Przypuszczaliśmy, że to ludzie z KPD maczali w tym palce. Denuncjacja jako nazisty nie wchodziła w

¹⁹⁵ żona zegarmistrza, Köslinerstr.22 (obecnie ul. Jedności Narodowej)

¹⁹⁶ Schützenstr.3 (obecnie ul. Kopernika)

grę, to też wiedział każdy członek KPD w Sławnie. Pozostawał tylko inny powód: „kapitalista”. To już było poważne oskarżenie, gdy się było człowiekiem interesu i zatrudniało się pracowników. A może był wujek Alla po prostu dobrym Niemcem - to też był powód. Cała sprawa była dość błaha, choćby dla 20-letnich polskich chłystków, którzy uzbrojeni - każdy w dwa pistolety - szybko musieli wymyślić odpowiedni powód. Znaleźli go. Jeden z nich wrzucił do kufr z bielizną swój karabin, drugi go „znalazł”. Alberta Klemza aresztowano pod zarzutem posiadania broni, milicja odprowadziła go. Ciocia Missen o tym nie wiedziała, dowiedziała się o wszystkim dopiero wieczorem - pracowała przecież ciężko dla Rosjan w spichlerzu. Ursel była w szpitalu i tylko mała wnuczka Gudrun bardzo płakała, gdy jej ukochanego dziadka niewinnie zabrano do więzienia. Jego droga prowadziła do piwnicy banku, obecnie milicyjnego więzienia. Tu spędził dni i tygodnie, których nigdy w życiu nie zapomniał. Przez miasto przeszła znowu fala aresztowań. Wielu niewinnych niemieckich mężczyzn musiało zapoznać się z tym więzieniem. O mało co i ja nie zostałem aresztowany. Ubrany leżałem na łóżku, noga po długich marszach bardzo mi opuchła. Znowu okazało to się dla mnie ratunkiem. Polacy przeszukali przy tej okazji cały dom, zabrali ze sobą mnóstwo rzeczy. Gdy weszli do naszego pokoju, pokazali gestem, że mam się z nimi zabrać. Gdy ujrzeli chorą nogę, zostawili mnie w spokoju. Gdy ci dranie opuścili dom, przeżegnałem się trzy razy. Babcia siedziała w kącie i płakała, drżała ze zdenerwowania. Złe czasy nastały dla mężczyzn. Aresztowani byli gnębieni i bici. Niemieckie kobiety, które musiały tam sprzątać, słyszały dniem i nocą jęki i krzyki więźniów. Wujek Alla spędził wiele dni i nocy w samotnej celi. Nigdy nie poznał prawdziwego powodu swego aresztowania. On sam nie był bity. Jego stary przyjaciel Sepp Pieper¹⁹⁷, z firmy Zypries, dołączył do niego i stał się wiernym towarzyszem niedoli. Sepp bardzo cierpiał, dostawał więcej bicia niż jedzenia. Polski strażnik więzienny był diabłem w ludzkiej skórze. Później los ukarał go, umarł na okropną chorobę. Ja zawsze byłem gdzieś w drodze. Moim rewirem były wszystkie wsie wokół Sławna, do których można było dotrzeć bocznymi drogami. W mieście czułem się bezpiecznie tylko w mieszkaniu Steller. Jego przychodnia była pod radziecką ochroną, na te czasy było to dla nas korzystne. Teraz prześladowali nas Polacy i nasi rodacy-komuniści, na szczęście było ich tylko pół tuzina. Tych kilku komunistów wychwalało Armię Czerwoną, jako swych wybawców, ale Rosjanie nie brali tej garstki prostaków na serio. Żaden członek partii nie awansował. Gdy Rosjanie wycofali się z cywilnego obszaru, nasi niemieccy „towarzysze” przykleili się teraz do swych polskich partyjnych przyjaciół. Ci kochali zdradę, ale nie zdrajców! Wykorzystywali swą szansę, jako środek do własnych celów. Dla Polaków niemieccy komuniści byli w pierwszej kolejności tylko Niemcami - a jak ci zachowywali się w stosunku do swych rodaków, prawdopodobnie w ogóle to nie interesowało Polaków. Odgrywali fałszywą rolę i te pół tuzina było tylko pomocnikami pomocników. Z tych też powodów byliśmy wraz z innymi roda-

¹⁹⁷ Walter Pieper, księgowy, Kösliner Vorstadt 103 (obecnie ul. Koszalińska)

kami zadowoleni, że dom Steller, jak jakaś enklawa, strzeżony był przez czerwonoarmistów. Żaden Polak nie mógł przekroczyć tego terenu bez zezwolenia. Ja byłem stałym gościem u państwa Steller - tutaj najczęściej jadłem i spałem, traktowany byłem, jak członek rodziny. Moja siostra i babcia też były zadowolone, wiedząc, że nic mi nie zagraża, a i przy stole było o jednego mniej - a ja często byłem bardzo głodny. Tak długo jak Stellerowie dostawali żywność, zawsze byłem syty. Każdego wieczora dom ten był punktem spotkań dla starych niemieckich przyjaciół. Czasami musieliśmy się ostrożnie skradać do tego domu, by zbytnio nie zwracać na siebie uwagi. Gdy robiło się późno - a zdarzało się to dosyć często, spało się wówczas u Stellerów lub ostrożnie przewijało się od budynku do budynku, by nie wpaść w ręce milicyjnego patrolu. Dla nas było wielkim szczęściem, że taka siedziba istniała. Mogliśmy tu w spokoju debatować, tutaj przeżywaliśmy w tym okropnym czasie kilka przyjemnych chwil. Państwo Stellerowie udzielili pomocy wielu swym rodakom! To, co Herbert otrzymywał od Rosjan za swą dobrą robotę, było dzielone i każdy, który ten dom odwiedzał, solidnie z tego korzystał. Fize Steller, jako dobra gospodyni domu, była zawsze wspaniałomyślna i pomagała tam, gdzie tylko mogła pomóc. Komendanci kolchozów - były to posiadłości w okolicy, np. Gwiazdowo (należące do rodu von Michaelis), Kosierzewo, Gorzyca, Tychowo (należące do rodu von Kleist), itd., wchodzili i wychodzili. Datki, jako podziękowanie za dobre leczenie, przyjmował asystent wielkiego doktora: czyli ja! Następnie wszystko zostało w kuchni Fize dzielone i przerabiane. W gabinecie wraz z Herbertem i jego żoną, dochodziliśmy czasami do interesujących wniosków. Pacjenci, przed kilkoma tygodniami jeszcze każdy z nich był okrutnym Iwanem, teraz w fotelu dentystycznym byli potulni jak baranki. Nieustraszonym czerwonoarmistom występował na czołe pot ze strachu. Często zgłaszali się na wizytę pijani, ale i w tym stanie trzęśli się przed borowaniem. Bańki z „wysokoprocentowym” mlekiem były dostarczane regularnie. Już dawno temu znalazłem jeszcze w naszej piwnicy liczne butelki esencji likieru, które mój ojciec podczas wojny otrzymał od swego przyjaciela z Monachium Leo Kämmerera. Fize przerabiała je na wspaniałą likier. Potrzeba jest matką wynalazków: Fize rozwinęła się wspaniale w tej produkcji, potrafiła ona stworzyć z wódki i pszczelego miodu "Bärenfang" - wieczorem schodziły się małe niedźwiadki, by ugasić swe pragnienie. Przepis pochodził z Prus Wschodnich. Piliśmy w tym czasie dużo i często. Mieliśmy nadzieję, że alkohol uchroni nas od zakaźnych chorób. Było to jedyne lekarstwo, jakie mieliśmy do swojej dyspozycji i - dzięki Bogu - nigdy go nam nie brakowało. Nigdy do tej pory nie wypilem takiej ilości wódki, co teraz. Prawie co wieczór zasięgałem „wielkiej rady”. Nasz nadworny fryzjer, Ernst Waack, stał na czele tzw. Partii „Nadzieja”. Jego orszak ciągle wierzył w wyzwolenie naszych prowincji. My byliśmy tymi, których nadzieja opuszczała. W skrytości marzyliśmy, by nasi „przeciwnicy” mieli rację. Sytuacja była naprawdę trudna i ciężko było wierzyć w jakikolwiek ratunek. Całą cywilną władzę przekazali już Rosjanie w ręce Polaków. Do budynku na Pollnower Strasse 6 wprowadziło się już kilku polskich obywateli - nam było tam jednak wolno pozostać. Wszystkie

domy, w których jeszcze mieszkali Niemcy, były z zewnątrz oznaczone. Następstwem tego było, że mieszkania te były ciągle przeszukiwane, a ich mieszkańcy nie mieli chwili spokoju. Podobnie było w naszych wsiach. W Gwiazdowie szaleli bandyci z „burmistrzem” na czele: wcześniej był on tu u Rosjan we wsi robotnikiem polowym, miał dobre stanowisko i - jak mi mieszkańcy wsi opowiedzieli - nadal był dobrze traktowany.

Leśniczy Kiesler został ponownie aresztowany, siedział przez wiele dni w piwnicy w Żukowie, potem został zwolniony. Szykanowanie powtarzało się co rusz. To bydło zostało uprowadzone, to znów owoce z drzewa ukradzione, nadal „polowano” na ludzi, przeszukiwano mieszkania. O każdej porze dnia i nocy niepokój i zdenerwowanie - przez wiele dni i tygodni. Oddalona trochę od wsi leśniczówka była szczególnie narażona na tego typu akcje. W Sławsku, gdzie mieszkała pani Georg, też był już polski właściciel. Pani Georg było już coraz trudniej dla mnie coś odłożyć, ale mimo to, znajdowała sposoby, by mi pomóc. Dostyc często ją odwiedzałem, aż pewnego dnia Polak zabronił jej, by mnie w tym domu przyjmowała. Krok po kroku następowała w naszej okolicy polonizacja. To, co się u nas działo miało miejsce i w całej prowincji. Traciłem już nadzieję, że sytuacja się zmieni - w przeciwieństwie do wielu rodaków, którzy wierzyli plotkom. Nasze kobiety były też opętane błędnymi nadziejami, podobnie jak nasi przyjaciele z Partii „Nadzieja”. Los naszych trzech prowincji był teraz głównym światowym tematem. Najgorsze, że nikt w Niemczech nie zainteresował się problemem. Ciasto, którego większą część podzieliły między siebie zwycięskie mocarstwa - dla Niemców było już dawno pokruszone. Nasz rząd był uwikłany w polityczną walkę o władzę, tak więc niezbyt interesowała go owa amputacja wschodnich terenów.

Te aspekty miesiąca sierpnia były, ogólnie rzecz biorąc, bardzo smutne i musiały wygasić niejedyn optymizm.

27 sierpnia, poniedziałek

Dziś obchodziliśmy w kręgu wszystkich przyjaciół urodziny Fize Steller.

28 sierpnia, wtorek

Dziś wszystkich mieszkańców miasta ogarnęła wielka radość: po raz pierwszy od czasu zajęcia Sławna przez Rosjan, zaświeciło znowu elektryczne światło!

30 sierpnia, czwartek

30 sierpnia byłem przy grobie mamy. Pewien stolarz z Prus Wschodnich zrobił na moją prośbę piękny krzyż z dębowego drewna. Dziś go właśnie postawiłem na grobie. Miesiąc sierpień zaczął się i kończył nieprzyjemnie.

31 sierpnia, piątek

Moja kuzynka Ursel zachorowała, mieliśmy nadzieję, że to nic poważnego.

4.9 Wrzesień - Narodziny tragedii

1 września, sobota

Noc na 1 września spędziłem u Stellera. W mieście odwiedziła nas pani Tschenscher z Gwiazdowa. Ta sympatyczna kobieta - żona wschodniopruskiego fabrykanta, matka kilkorga dzieci, po raz pierwszy opuściła wieś. Bardzo się

ucieszyła, że choć raz mogła się spotkać w naszym kręgu, o którym już jej wiele opowiadałem. Radzieccy żołnierze uczynili ją wdową i zabrali jej dzieciom ojca. Pan Tschenscher został rozstrzelany na jej oczach, pochowano go w lesie, niedaleko leśniczówki.

2 września, niedziela

Ursel Jürs dostała wysokiej gorączki. W niedzielę, 2 września zawiozłem ją w małym pociągowym wózku do sławieńskiego szpitala. Ciocia Missen i Brigitte towarzyszyły mi. Do tej pory to Ursel pielęgnowała chorych, teraz sama była pacjentką. W szpitalu przyjęła ją panna Zühlke. Na początku nie można było postawić jasnej diagnozy. W kilka dni później wszystko było już wiadome: to był tyfus, Ursel zaraziła się od chorych!

10 września, poniedziałek

Odwiedził mnie Günther Pobloth¹⁹⁸. Wielu próbowało przedostać się do Sławna, a tylko niektórym się to udało. Znowu było dużo do opowiadania.

12 września, środa

Moje urodziny - kończyłem dziś 24 lata. Jeszcze młody wiekiem, a już tyle musiałem przeżyć: wojnę z jej wszystkimi cienistymi stronami, jakie tylko były możliwe. Czas powojenny akurat przeżywałem, nikt z nas nie wiedział, czy wydostaniemy się z tego piekła. Każdy, kto był zdrow i miał przy sobie najbliższą rodzinę, czuł się szczęśliwym.

Przez kilka dni byłem u Kieslerów, pomagałem im przy żniwach. Stan zdrowia mojej kuzynki pogorszył się. Pani doktor Narius czyniła wszystko, co było w jej mocy, ale Ursel była coraz słabsza. Ona sama знаła przecież objawy i przebieg tej choroby i wiedziała, do jakiego stanu już doszło. Ursel nie chciała umierać, chciała żyć: dla swego dziecka, dla męża - którego miała nadzieję jeszcze zobaczyć - dla swych rodziców! Bardzo dużo myślała o swym ojcu, który już od kilku tygodni cierpiał w wilgotnej, ciemnej, więziennej piwnicy. Ursel wstawiała się za nim u polskich urzędników, niestety, zawsze bezowocnie. Teraz drżała o własne, młode życie. Ciocia Missen bardzo w tym czasie cierpiała: jej mąż siedział niewinnie w więzieniu, jej jedynemu dziecku zagrażała śmierć - ona sama musiała w magazynie zbożowym ciężko harować w brudzie i kurzu. Po ciężkich ciosach losu, które spadły na naszą rodzinę, teraz przyszła kolej na rodzinę Klemz. Przeznaczenie było okrutne, nie pytało o nazwiska, osoby lub rodziny, prześladowało nieubłagalnie i bezlitośnie pociągało za sobą ofiary.

17 września, poniedziałek

Późnym popołudniem ciocia została wezwana z magazynu zbożowego do szpitala. Ursel leżała na łożu śmierci. Wielu chorym na tyfus pomogła w ostatnich dniach i tygodniach. Spełniała swój obowiązek dniem i nocą. Teraz sama stała się ofiarą tej choroby. Ciocia Missen była u kresu sił. Wszyscy, którzy znali Ursel, nie chcieli tego pojąć. Ona była moją rówieśniczką, razem spędziliśmy nasze dzieciństwo, razem się wychowywaliśmy. W latach wojny bardzo mi pomogła i teraz w tych trudnych czasach była dla nas wszystkich wspaniałą towa-

¹⁹⁸ syn urzędnika pocztowego Pobltha, Winterfeldstr.7 (obecnie ul. I Pułku Ułanów)

rzyszką. Moja kuzynka odeszła od nas w wieku 24 lat.

19 września, środa

Z wielkim bólem pożegnaliśmy się dzisiaj przedpołudniem z Ursel w szpitalnej kostnicy. Po południu, tego samego dnia, w towarzystwie wielu ludzi i prawie wszystkich koleżanek ze szpitala, została pochowana na cmentarzu. Przypadek sprawił, że jej ciało zostało złożone obok grobu przyjaciela naszych rodzin: H.M.Boldta. Któż mógł kiedyś przypuszczać, że oboje tych ludzi, których dzieliło jedno pokolenie, spocznie na zawsze obok siebie? Mój wujek w więzieniu nie dowiedział się o śmierci córki. Dopiero w kilka dni później, któryś ze znajomych przekazał mu wiadomość o tej tragedii. Było to dla niego wstrząsające, już nigdy nie zobaczy swego dziecka! Nie wolno mu było być na pogrzebie! Wujek Alla pozostał wraz ze swoją duchową rozterką jeszcze przez wiele dni w niewoli.

Komendant kolchozu Kosierzewo potrzebował któregoś razu pomocy dentysty. Wysłał swego szofera, by ten przywiózł „wielkiego doktora” do niego. Herbert Steller zabrał mnie ze sobą, jako asystenta. Jechaliśmy tam z trochę mieszanymi uczuciami. Kierowcę amerykańskiego jeepa nazwaliśmy Hermannem Speelmannsem, ponieważ był bardzo podobny do popularnego, niemieckiego aktora (wspomniał film ze Speelmannsem: „Mężczyzna chce do Niemiec”). Rosjanin był pijany i jechał z nami, jak straż pożarna do ognia. Drżeliśmy na tylnych siedzeniach. Gdy przybyliśmy do pałacu, pan komendant jeszcze spał. „Speelmanns” zaprowadził nas do jadalni. Niemieckie kobiety z Kosierzewa, które pracowały w kolchozie, miały zaserwować nam kolację. Czuliśmy się, jak na dworze u księcia. Kobiety mrugały do nas, rozumieliśmy te znaki i niczego więcej nie wymagaliśmy. Stół został bogato zastawiony: duża miska z pływającymi w tłuszczu smażonymi kartoflami, półmisek ze smażoną rybą, sałatka z ogórkiem, pomidorami i z cebulą, nie brakowało też kotletów i pieczeni z dzika. Do tego wszystkiego jeden jedyny talerz z kilkoma kromkami chleba. Cóż za wspaniała uczta! Niestety, dla mnie i dla Herberta picie było wielką torturą - żeby choćby jeden kufel piwa! Ale była naturalnie tylko wódka. Przed nami stały dwie szklanki - jedna napełniona wysokoprocentowym alkoholem, druga wodą do popicia. Ten dobrze nam już znany radziecki sposób picia, był dla nas po prostu za trudny. Dzięki Bogu, nasz szofer usnął przy stole, tak więc nie musieliśmy dalej z nim pić i zadowoliliśmy się wodą. Gdy się Rosjanom sprzeciwiło, nawet w jakimś drobiazgu, mogło to się źle skończyć. Na koniec tej wystawnej uczyty jeden talerz pozostał pełny, był to talerz z chlebem. W międzyczasie zjawił się komendant - chociaż się porządnie przespał, to nadal był pijany. Podniósł swoją szklankę i wzniósł toast: „Cóż za zaszczyt!” Rosjanin ani na moment nie skrzywił się, przechylając szklaneczkę do dna. Jego ból zęba prawdopodobnie ustąpił, nie doszło do żadnego zabiegu. Musieliśmy się mocno starać, by prosto utrzymać się na nogach i byliśmy zadowoleni, że udało nam się dobudzić „Speelmannsa” i kazaliśmy zawieźć się do domu. Szaleńcza jazda - szczególnie w dół z Quatzower Berg, ale do domu dotarliśmy cało. Był to mały epizod w naszym powszednim dniu, małe spojrzenie na życie naszych wybawców: poznaliśmy ra-

dzieckiego sierżanta, który jako „komendant” prowadził wspaniały żywot na dużej, niemieckiej posiadłości.

20 września, czwartek

W tym dniu nasza babcia kończyła 84 lata. W czasach pokoju byłoby z pewnością zorganizowane wielkie przyjęcie dla całej rodziny. Przypominam sobie jej 80-te urodziny w naszym domu: jak to nasza „Buchwaldzka Oma” tańczyła na parkiecie walca, nam młodym, zapierało dech w piersiach. Była z niej naprawdę „twarda sztuka”, potrafiła do tej pory dzielnie znieść tyle cierpień: przeżyła moich rodziców, nosiła jeszcze w sercu ból po śmierci Ursel. Psychicznie i fizycznie była jeszcze bardzo sprawna. Często widzieliśmy ją w izbie, jak ze złożonymi dłońmi modliła się za żyjących członków rodziny: za tych, którzy byli daleko od domu i za nas, będących w domu - wiedziała, że i nam każdego dnia grozi niebezpieczeństwo. Wobec siebie była bezinteresowna i skromna, nigdy nie bała się swojej śmierci. Brigitte i ja byliśmy zadowoleni, że ją mieliśmy przy sobie i chcieliśmy ją mieć jak najdłużej.

Nasze pełne napięcia życie toczyło się dalej. Mieszkańcy miast i wsi byli w dzień i w nocy wyciągani ze swoich mieszkań. W ciągu kilku minut musieli spakować swoje rzeczy, potem przychodzili milicjanci i "towarzyszyli" zdenerwowanym i płaczącym ludziom do dworca. Stamtąd kiedyś ich odtransportowywano. Polacy wpadali do pustych mieszkań i co się dało, rabowali. Czasami Rosjanie przyłapywali ich na tym uczynku, słyszało się wówczas w nocy głośne krzyki: po polsku i po rosyjsku.

Już od ponad czterech miesięcy trwał na świecie pokój - my nadal byliśmy płową zwierzyną w tym polowaniu. Kto rano opuszczał domowe pielesze, nie był pewien, czy wieczorem do nich powróci. Ludności niemieckiej coraz ciśniej zaciskano pętlę. Codzienność była nie do zniesienia.

23 września, niedziela

Dziś superintendent Block odprawił nabożeństwo dla wszystkich Niemców. Lekceważąc niebezpieczeństwo, wzięliśmy w nim udział, nabożeństwo było w intencji naszych rodziców i Ursel Jürs (z domu Klemz).

4.10 Październik - Przygotowania do wyjazdu

1 października, poniedziałek

1 października, dwóch polskich leśników zagnieździło się w leśniczówce w Gwiazdówku.

Następnego dnia po raz pierwszy jechałem koleją z Gwiazdowa do Sławna. Od kilku dni funkcjonowała kolej na odcinku Sławno-Korzybie. Od Korzybia szyny zostały zdemonstowane i odtransportowane do Związku Radzieckiego. Ciocia Missen i pani Künkel musiały pomagać przy tych pracach w tym czasie, gdy jeszcze mieszkaliśmy na Quäsdower Siedlung. Gdy w Sławnie przechodziłem przez barierkę, zostałem przyłapany przez uzbrojonych pracowników kolejowych. Już od dawna zadawałem sobie pytanie: skąd ci Polacy mają tyle pistoletów, nawet straż kolejowa była uzbrojona. Prawie każdy młody drań nosił przy sobie jakieś strzelające żelastwo - żyliśmy teraz na Dzikim Zachodzie!

Podczas aresztowania, oznajmiono mi, że już od dawna byłem obserwowany i podejrzewano mnie, że jestem partyzantem. Próbowałem im wyjaśnić, że partyzanci byli podczas wojny. W pomieszczeniu sławieńskiego dworca rozebrano mnie do koszuli, szukali nie wiadomo czego. Obejrzano dokładnie buty i skarpetki. Już nie byłem teraz takim bojaźliwym i powiedziałem tym polskim mundurowym, że jestem inwalidą wojennym i nie mam ochoty w czasach pokoju odgrywać roli partyzanta. Widocznie ich trochę przekonałem, bo pozwolono mi się ubrać i wypuszczono. Każdego dnia działo się coś nowego, coś innego, można było przypuszczać: bardzo interesujące życie!. O jego urozmaiceniu troszczono się skrupulatnie. Trzeba było mówić o dużym szczęściu, gdy się z tego wychodziło tylko z sińcem pod okiem.

4 października, czwartek

Także wujkowi Alla udało się wyjść na wolność. 4 października zwolniono go z 8-tygodniowego więzienia. Duchowo załamany, krótko przyszyty, włosy zrobiły się siwe, ubranie na nim wisiało, z twarzy można wiele wyczytać. Osiem tygodni pozostawiło po sobie wyraźne ślady. Jego dzielna żona i mała wnuczka Gudrun wzięły go w objęcia. Swego jedyne dziecko, które tak bardzo kochał, już nie zastał. Powoli myśleliśmy o podróży „do wolności” - po zwolnieniu wujka z więzienia, nas i rodziny Klemz już tu więcej nic nie trzymało.

Po dokładnym przemyśleniu, nasz przyjaciel, Walter Siegenthaler, podjął odważną decyzję: wybrać się w podróż do Rzeszy i potem wrócić do Sławna. Mój Boże! W tych warunkach należało taką decyzję uważać za bardzo odważną! „Rzesza” leżała teraz dla nas po drugiej stronie Odry. Walter był w lepszej od nas sytuacji, bo posiadał szwajcarskie obywatelstwo.

6 października, sobota

Pod neutralną, szwajcarską flagą, podjął Walter, w sobotę 6 października, pełną przygód podróż, o której i my myśleliśmy. Trzymaliśmy kciuki, by mu się wszystko dobrze udało i niecierpliwie czekaliśmy na jego powrót. Nasz wyjazd miał zależeć od jego relacji i wrażeń. Przedsięwzięcie Siegenthalera pomogło i innym rodakom: w jego towarzystwie znalazła się pani Martens (firma Zypries) z córką Charlotte i były niemiecki żołnierz z Sudetów, który znał języki słowiańskie. Tak oto matka z córką, w towarzystwie dwóch „obcokrajowców” dotarła szczęśliwie do Berlina. Podczas nieobecności Siegenthalera pilnowałem jego domu w Warszkwie, obok „Brzozowego pałacyku” (Birkenschlößchen). Rosjanie zaraz po zajęciu Sławna nie akceptowali żadnych obcych narodowości, również i Walter został aresztowany - udało mu się jednak, dzięki tzw. „skokowi przez okno” uciec wraz z Herbertem Stellerem. Po tym wszystkim zamieszkiwał w tym domu w Warszkwie. Polacy natomiast uznawali wszystko, co było nie niemieckie. Tak oto na jakiś czas znalazłem trochę spokoju w tym domu. Z okna zwisała dobrze widoczna czerwona flaga... ale z białym krzyżem. Żyłem tu bez strachu i zdenerwowania, którego nie oszczędzano moim rodakom, żyjącym w mieście. Tu, na „szwajcarskim gruncie” wiele mnie omijało. Na bocznych drogach często napotykałem swoich krewnych z Pollnowerstrasse 6 - miałem zaw sze dla nich trochę mleka od jedynej krowy, którą jeszcze Walter „zorganizo-

wał”. Poza tym pożytecznym zwierzęciem było tu jeszcze trochę innego dobytku - wraz z gospodynią troskliwie żeśmy go doglądali.

W domu mojego wujka mieszkało teraz dwóch młodych Polaków. Podobno byli to pracownicy milicji lub innego rodzaju policji kryminalnej. Często udawali się dorożką do pobliskich wsi. To, co wieczorem ze sobą przywozili, nie było owocem ich „pracy”, były to skradzione weki, gęsi, kury i wiele innego łupu. O innym ich zajęciu nie wiedziałem, można było tylko zobaczyć, że trzy rzeczy zawsze trzymali mocno w ręku: wódkę, kobiety i rewolwer, trzy obiekty, z którymi codziennie mieli do czynienia. Wystarczyło na nich tylko krótko spojrzeć i na myśl przychodziły amerykańskie filmy o Dzikim Zachodzie. Pollnowerstrasse 6 stała na głowie, każdej nocy balanga. Nasze kobiety ściągano ze snu do pieczenia i gotowania. Naokoło było słychać strzały z pistoletów. Dzieci budziły się ze snu i płakały. I to ci młodzi ludzie chcieli rządzić naszymi ziemiami? Przyszłość nam pokaże, co stało się z naszymi czystymi miastami i kwitnącymi wsiami.

Jako młody mężczyzna, często rzucałem się w oczy tym „reprezentantom polskiego narodu”. Jeden z nich, zwany Tadeusz, chciał się ode mnie dowiedzieć, czy trochę orientuję się w domu zegarmistrza Rediessa. On już dokładnie wiedział, gdzie ta posiadłość się znajduje i był przekonany, że musi tu być gdzieś zakopane srebro i złoto. Tym ewentualnym znaleziskiem chciał się potem ze mną podzielić. Dałem mu wyraźnie do zrozumienia, że po tym wydarzeniu w piwnicy mojego wujka, bardzo bałem się polskiej milicji, do której z pewnością i on należał. Trochę honoru udało mi się jeszcze zachować i dałem mu to odczuć. Nigdy więcej nie zwrócił się do mnie z podobną propozycją.

Życie w mieście stawało się nieswoje. Naprawdę, nie należało do przyjemności, żyć z tymi ludźmi pod jednym dachem.

Z utęsknieniem czekaliśmy na powrót naszego kuriera. Ciekawi byliśmy jego relacji z podróży i pobytu w Rzeszy. Czy podróż koleją do Szczecina była rzeczywiście takim ryzykiem, jak to nam naświetlano?

O tzw. „granicznym dworcu Stettin-Scheune”¹⁹⁹ - przez który musiał przejść każdy obywatel Pomorza - słyszało się historie, od których przechodziły ciarki po plecach. My chcieliśmy odczekać, aż Walter Siegenthaler powróci. Jego obiektywne spojrzenie miało zadecydować o wyjeździe z naszej ojczyzny.

29 października, poniedziałek

Warszkowo w dzień, wieczorem i nocą, w mieszkaniu Steller - była to dla mnie bezpieczna wyspa.

29 października wieczorem, około 22.00 zjawił się w Sławnie Walter Siegenthaler. Na noc został u Stellerów; przez krótką noc był tam bezpieczny. Siegenthaler bardzo pomógł swą podróżą wielu Niemcom w Sławnie i w pobliskiej okolicy.

Przez Berlin dotarł do Lubeki. W tym mieście znajdowała się wówczas „sławińska centrala”. Wszystkie nitki kłębka - naszych rozproszonych po całych Niemczech rodaków - trafiały do Lubeki. Jeden opowiadał o drugim i tak oto,

¹⁹⁹ obecnie Szczecin-Gumieńce

dzięki pracowitości Hansa Preuße²⁰⁰, powstały setki zapisków, które Hans uporządkował w postaci solidnej kartoteki. Tu, na tym małym poddaszu u Preuße, Sławno spotykało się na nowo. Walter S. przywiózł ze sobą z Lubeki listy z wieloma nazwiskami. Jego dom w Warszkwie stał się celem małej wędrówki ludu. Nie tylko mieszkańcy miasta, ale i ludność wsi chciała mieć wgląd do tych list. Rozniosło się to aż do okolic Darłowa. Każdy miał nadzieję, że uda mu się na nowo, odnaleźć swych krewnych, znajomych, przyjaciół, którzy wcześniej zdecydowali się na ucieczkę. Sporo osób odnalazło w ten sposób swych najbliższych. Niejedna matka zalewała się łzami radości w mieszkaniu Waltera, dowiedziawszy się, że jej dzieciom, udało się szczęśliwie dotrzeć „do Rzeszy”. Wiele żon dowiedziało się, że ich mężowie zostali zwolnieni z więzienia i czekają na swe rodziny. Byli naturalnie i tacy, którzy byli rozczarowani, nie znajdując poszukiwanego nazwiska. Dla nas przyniósł nasz przyjaciel dobrą wiadomość: Heinz-Günter Jürs, mąż naszej zmarłej kuzynki Ursel, ojciec małej Gudrun, żył! Pożegnał się z nami w marcu (patrz: ten miesiąc) i w międzyczasie wylądował w Flensburgu, u siostry pani Klemz. Tu był nasz punkt kontaktowy. Heinz-Günter pojechał do Lubeki, by spotkać się z Walterem S.

Od niego dowiedział się o naszym okrutnym losie i o tragicznej śmierci żony, było to dla niego wstrząsające. Przekazał nam przez Waltera serdeczne pozdrowienia i prośbę, byśmy jak najszybciej porzucili to piekło i natychmiast przybyli do Flensburga. Pełna optymizmu wiadomość, szczególnie dla wujostwa Klemz - dla nich było ważne, że ich mała wnuczka może zobaczyć ponownie swego ojca. Ta misja okazała się być bardzo ważną. Nasza decyzja była mocna, niepodważalna.

30 października, wtorek

Do mnie i do mojej siostry dotarła tego dnia bolesna wiadomość. Pani Wermter²⁰¹, która prawdopodobnie także straciła swego męża w Grudziądzu - przekazała nam wypowiedź pana Dumröse²⁰², który powrócił z Grudziądza, że nasz ojciec rzeczywiście zmarł. Niestety, nie udało nam się, osobiście rozmawiać z panem Dumröse.

Tymi częściowo dobrymi i częściowo złymi wiadomościami zakończył się miesiąc październik 1945 roku.

4.11 Listopad - Podróż przez piekło na Zachód

1/2 listopada, czwartek-piątek

Wszyscy wiedzieliśmy, że listopad będzie dla nas miesiącem prawdy. Miało się wiele rozstrzygnąć

„Ucieczko, bądź nadzieją!

Ucieczko, bądź wiarą,

a przede wszystkim cierpliwością!”

²⁰⁰ Albert Preuß, księgarnia, Markt 8 (obecnie pl. Kard. Wyszyńskiego)

²⁰¹ Erich Wermter, zecer, Adolf-Hitler-Str. 49 (obecnie Jedności Narodowej)

²⁰² robotnik, Richthofenstrasse (obecnie ul. Łączna)

Te słowa Goethego z „Fausta” mogliśmy przenieść na nas. Nasza ojczyzna była dla nas do reszty stracona, nic nas nie mogło już tu zatrzymać. Robiło się już zimno, jak mieliśmy przetrwać w tych warunkach nadchodzącą zimą? Ryzyko - by przeżyć ten czas, było coraz większe. Zdecydowaliśmy, że w połowie miesiąca udamy się w podróż w nieznane. Z wielkim zaangażowaniem przygotowaliśmy się do wyjazdu. Z pewnością nie było to konieczne, ostrzegano nas, że wszystko może nam zostać podczas podróży odebrane. Mimo to czyniliśmy to, by nie mieć potem wyrzutów sumienia. To, co mogło być w pewnym sensie wartościowe, trzeba było w polskim sklepie oddać za psi grosz, jako zapłatę za żywność. Gromadziliśmy pożywienie na drogę. Ze wschodu przybywało do miasta wielu polskich handlarzy. Chcieli wykorzystać okazję i zedrzeć z biednych ludzi to, co było jeszcze dla nich najcenniejsze. Rowerem Siegenthalera jeździłem często do Gwiazdowa, a stąd dalej do Żukowa. Pani Bahr i jej córki troszczyły się o grób mamy. Wkrótce musieliśmy ją tu, na ojczystej ziemi pozostawić. Pocieszeniem było dla nas to, że państwo Bahr pozostaną tu dłużej. Kieslerom opowiedziałem o wrażeniach z podróży naszego przyjaciela. Oni nie mogli podjąć jeszcze ostatecznej decyzji: opuścić dom, gospodarstwo, mimo że do nich już niewiele należało. Było nam przykro, że ci kochani ludzie nie pojechali z nami. Wypędzanie ludności z miasta i wsi rosło z dnia na dzień. Znajomych, których się jeszcze wieczorem widziało, następnego dnia już nie było. Czasami odbywało się to całkiem spokojnie, a czasami towarzyszyły temu wszystkiemu strzały z pistoletów. Polska milicja miała listy z zestawieniami ulic i domów, które w określonym czasie - najczęściej nocą, zostawały przemocą opróżniane. Słabo się nam robiło, gdy słyszeliśmy od naocznych świadków, jak to podczas tych nocnych, zaskakujących akcji, obchodzono się ze starcami i z chorymi. Wywlekano ich z łóżek, pakowano następnie do brudnych bydlęcych wagonów i tak oto rozpoczynała się ich „podróż”. Bez żadnego przygotowania, często bez najpotrzebniejszych rzeczy - ale całemu światu opowiadano bajkę o „zorganizowanym przesiedleniu”. Czegoś podobnego historia nie знаła. „Wielka Trójka”: Stalin, Truman i Churchill, postanowili w Poczdamie, że niemiecka ludność, z niemieckich wschodnich prowincji zostanie w zorganizowany i humanitarny sposób przesiedlona do pozostałej części Niemiec. Jak ta "humanitarna akcja" w rzeczywistości wyglądała, tego światu nie pokazano.

W międzyczasie wyjechali już też rodzice mego przyjaciela, Otscha. Wszystko odbyło się bardzo szybko, musieli opuścić Sławsko. Do pożegnania nie doszło. Przymusowo opuszczone, niemieckie domy, zostały natychmiast opanowane przez tzw. „nowych zarządców”, jak przez dzikie sępy.

Nawet radzieccy żołnierze i oficerowie, którzy przychodzili do przychodni dentystycznej Stellera, okazywali ubolewanie z powodu tego, co tu się teraz działo. Oni musieli walczyć, taki był rozkaz, wiedzieli też, że w czasie wojny było dużo mordowania, plądrowania i niszczenia - ale przecież już od dawna był ogłoszony pokój! I niektórzy Rosjanie nie mogli pojąć tej politycznej logiki. Kiedy miała przyjść na nas kolej? Niemcy, którzy wydali się być jeszcze nowym panom przydatni, nie byli od razu typowani do wysyłki. Do tej grupy należał także nasz

dobry przyjaciel, Willi Damaschke. Mieszkał on wraz z żoną nad Stellerami, w domu Weidemanna - jeszcze w jego starym mieszkaniu. Willi był „specjalistą” w sławieńskiej gazowni. Był tam bardzo potrzebny i z tego względu nie chciano się go stamtąd pozbyć. Dla nas był Willi dobrym kameradem i wraz z jego żoną zawsze mile widzianym w naszym kręgu. Mimo że Herbert Steller miał teraz polskiego przełożonego, spotykaliśmy się, jak przedtem, u niego w domu. Polak nam właściwie nie przeszkadzał, na początku chodziło mu tylko o to, by odebrać pieniądze, na które Herbert zapracował własnymi rękami.

3/4 listopada, sobota-niedziela

Poszedłem z siostrą do Gwiazdowa. W niedzielę wybraliśmy się dalej, do Żukowa i stąd nad Jezioro Łętowskie (Lantower See). Oh Boże! Jakże tu było pięknie i przede wszystkim spokojnie! Umówiliśmy się w połowie drogi z naszą ciocią Grete (Berndt/Rabbel) z Biesowic. Niestety, z tej randki nic nie wyszło. To jezioro, otoczone lasami, było idyllicznym zakątkiem w naszym sławieńskim okręgu. Najchętniej zostałoby się tu na dłużej, by choć przez parę godzin zapomnieć o złych czasach. W małym domku mieszkała tu Gisela Schreck ze swoim mężem, handlarzem bydła - Otto Pomplunem²⁰³ i z dziećmi. W drodze powrotnej przez Żukowo pożegnaliśmy się z rodziną Bahra, której ja i moja siostra mieliśmy tyle do zawdzięczenia. Poszliśmy też na cmentarz, do grobu naszej mamy, niedaleko małego kościółka. Dla nas obojga było to bardzo bolesne pożegnanie.

Zza komina u pani Woitzel w Gwiazdówku wyniosłem sobie kawałek szynki i w plecaku przyniosłem ją do domu. Było to duże obciążenie na długą, powrotną drogę, żeby chociaż to się opłacało!

Po drodze robiliśmy przerwy na odpoczynek. Odnosiłem wrażenie, że zawartość mojego plecaka żyje, coś się podejrzanie poruszało. Niczego złego nie podejrzewając, powędrowaliśmy dalej i dopiero w domu znaleźliśmy rozwiązanie tej zagadki: zawartość plecaka, w tym przypadku nasza kosztowna szynka, żyła rzeczywiście! Ze zdumienia nie zobaczyliśmy jej czerwonej tylko białą: setki robaków!

Nie wiedzieliśmy z siostrą, czy mamy się śmiać, czy płakać. Babcia była smutna, niczego nie można tu było już uratować, była to dla nas wielka strata.

U Waltera Siegenthalera w Warszkwie zjawiała się już w międzyczasie polska milicja i przeszukała całe jego mieszkanie. Walter protestował i groził szwajcarskim konsulatem. Zaobserwowano w ostatnim czasie, że dom ten odwiedzało dużo Niemców. Milicja chciała wiedzieć, dlaczego? Szukali, ale niczego nie znaleźli. Owe listy z nazwiskami przezornie wcześniej uprzątnęliśmy. Te nic nie znaczące papiery nie były z pewnością powodem milicyjnej akcji, ale przynajmniej zaspokoili swoją ciekawość. Wreszcie wiedzieli, jak wyglądało w domu Szwajcara.

Tak, pożegnanie z naszym rodzinnym miastem okazało się niełatwe. Byliśmy w głębokiej depresji, nasza radość życia już dawno utonęła w tej atmosferze.

²⁰³ Schützenstr.3 (obecnie ul. Kopernika)

Zdrowie i wolność - bezcenne dobra w życiu, dawno się już straciło. Ciężko przyszło pożegnać się z naszymi dobrymi przyjaciółmi, którzy nam tak wiele pomogli. Owo pożegnanie przeciągnęło się na kilka dni. Co wieczór zbieraliśmy się u państwa Steller i rozkoszowaliśmy się ostatnimi, wspólnymi chwilami z rodziną Damaschke, Walterem Siegenthalerem i Hanni Rutzen, z fryzjerem Otto, z Waackiem, który nas często rozweselał swoimi sztuczkami. Pan Waack musiał przebiec przez ulicę i już był u siebie w domu. Pozostali musieli przespać się u Stellerów, bądź u państwa Damaschke. Byli to naprawdę dobrzy przyjaciele, bez nich jeszcze trudniej byłoby nam żyć. Wszyscy poparli naszą decyzję i chcieli wkrótce też podążyć w tym samym kierunku.

Nasza 84-letnia babcia prosiła nas, byśmy ją tu, w jej ojczyźnie, pozostawili. Obawiała się trudności, związanych z podróżą i w ten sposób pragnęła nam zaoszczędzić kłopotów. Jej życzeniem było, byśmy ją zawieźli do Biesowic, tam mieliśmy dużo krewnych, którzy po części jeszcze tam mieszkali. Babcia się tu urodziła i tu chciała znaleźć swój ostatni spoczynek. Nie mogła nas przekonać do swojej decyzji. Wszystko było niepewne, czy tu, czy tam. Mogliśmy tylko zaufać naszemu Aniołowi Stróżowi.

Brigitte nadal musiała pracować, aż do czasu wyjazdu. Polscy przełożeni w fabryce maszyn Seglera byli nielicznym wyjątkiem pośród swych rodaków. Traktowali oni niemieckie kobiety sprawiedliwie i uprzejmie, mimo że im nędznie płacili. Ja troszczyłem się o żywność. Babcia przygotowywała wszystko inne. Także rodzina Klemz z małą Gudrun, pani Künkel z dwojgiem dzieci przygotowywali się do wyjazdu.

12 listopada, poniedziałek

Tego dnia jeszcze raz pojechałem rowerem do Gwiazdówka. I tu z ciężkim sercem przyszło mi się pożegnać z zaprzyjaźnioną rodziną leśniczego i innymi znajomymi. Po drodze spotkałem jeszcze raz pana Bahra z Żukowa. Długo ściskaliśmy sobie dłonie. U Kieslerów było jeszcze niejedno do omówienia i dopiero bardzo późno poszliśmy spać. Brigitte K. chętnie udałaby się z nami, ale nie mogła pozostawić swych rodziców samych.

13 listopada, wtorek

Wczesnym rankiem wracałem do Sławna. Listopadowa mgła leżała nisko nad polami i uniemożliwiała dobrą widoczność terenu. Już tyle razy pokonywałem ten odcinek, że dałbym i radę, trafić po ciemku. Moje myśli krążyły wokół wszystkiego, co było związane z wyjazdem. Zdawałem sobie sprawę, że będzie to dla nas najboleśniejszy wyjazd w życiu. Tutaj nie było mowy o powrocie.

W Sławnie było dużo pracy. Trochę biżuterii mojej mamy, złoto i inne szlachetne metale z przychodni ojca udało mi się uratować, zaraz po wkroczeniu Rosjan do miasta. Natychmiast zagrzebałem je wtedy w ziemi. Teraz wydobywałem te skarby. Zabrać je ze sobą, czy zostawić tutaj? Oto wielkie pytanie. Zabierzemy je ze sobą, to zostaną nam skradzione - pozostawimy tu, to prawdopodobnie nie zobaczymy ich już nigdy więcej. Widziałem wszystko w czarnych kolorach. Jednak zabraliśmy je ze sobą.

Pani Garzlaff, która już dawno temu przed nami opuściła Sławno, ukryła kilka

kosztownych klejnotów z jej sklepu jubilerskiego w warkoczach swojej małej córki - ten manewr udał jej się. Za tym przykładem poszła ciocia Missen z Gudrun i pani Künkel z jej dwójką dzieci. Dla mnie i dla Brigitte było jasne, że nas młodych, będzie się w pierwszej kolejności przetrzepywać. Wmówiliśmy sobie nadzieję, że pładrujący Rosjanie lub polscy złodzieje, pozostawią przynajmniej naszą babcię w spokoju - ze względu na jej wiek. Przyjaciele i znajomi przyznali nam rację. Wszystkie nasze spekulacje pozostawały szarą teorią, bowiem przestępcy są nieobliczalni.

Babcia zabrała się gorączkowo do pracy, gdy dowiedziała się, że ma być naszym „złotym orłem”. Kilka wartościowych rzeczy wszyła w bieliznę. Banknoty, które jeszcze posiadaliśmy, zniknęły w klinie majtek. Dwa zegarki na rękę, które w międzyczasie otrzymałem od znajomych, zostały wszyte do górnej części pończoch. Herbert Steller stopił mi złoto; dwa ciężkie kawałki zostały wszyte pod pachami podkoszulki. Było to złoto z protez zębowych, które po wkroczeniu Rosjan poniewierały się po całej przychodni dentystycznej. Moje szukanie opłaciło się: kawałek po kawałku i uzbierało się trochę tego kosztownego metalu. Nasza dobra babcia z wielkim przejęciem była zajęta tymi czynnościami. Wszystkie skarby przetrwały podziemne przechowanie, ale czy uda nam się je teraz ocalić?

16 listopada, piątek

Ten dzień był „dniem X”. Cudem ocalała nasza jedna, jedyna walizka. Wędrowała z nami z miasta do wsi, z poddasza do piwnic, z dachów do stodół, itd. Nie sprzedałbym je za parę marnych złotych. Było w niej kilka dobrych rzeczy, które należały do mnie i do mojego brata. Miała to być dla niego niespodzianka, gdyby Werner miał kiedyś powrócić do domu z wojennej niewoli. W ciemności nocy niosłem tę walizkę pełną wspomnień do mieszkania państwa Damaschke. Tu była nasza ostatnia stacja przed odjazdem. Dzień przed odjazdem pożegnałem się ze swoim rodzinnym miastem. Było to bardzo ciężkie pożegnanie, ale nie potrafiłem inaczej. Tak bardzo blisko byłem związany ze Sławnem. Teraz, gdy leżało ono w gruzach i trzeba się było z nim prawdopodobnie na zawsze pożegnać, ból był jeszcze silniejszy. Widziałem je po raz ostatni! Utrwaliłem je mocno w pamięci, by móc potem dokładnie przyjaciółom je przedstawić. Kochane Sławno! Tu pozostawiam swą beztroską młodość. Dopiero teraz przekonałem się, ile dla mnie znaczysz! Niestety, nie jestem tu już u siebie w domu. Na ulicach widzi się obce twarze, wszędzie, gdzie się przystanie, słychać obcą mowę. Niemieckie napisy i szyldy na domach zostały już zamalowane. Ocalały obie bramy miejskie, pochodzące z ok. 1400 roku, one to dały początek temu miastu - im udało się, wyjść cało z tej czerwonej burzy. Para bocianów, stali goście na szczycie bram, w tym roku ominęła Sławno. Kościół Mariacki - gotycka budowla, wymieniona już była w XIV wieku. Do tej pory przetrwał on wszelkie zawieruchy wojenne: w 1945 roku został bardzo zniszczony. Stracone dzwony leżały przed wejściem, na górze kościelnej. Mały odłamek dzwonów miał służyć mi jako talizman, Niestety zgubiłem go gdzieś później. Śródmieście już nie było, już nie istniało: dom po domu - kupa gruzów. Rynek - serce naszego miasta, za-

tonął w burzy ognia. Wszystkie kamieniczki ze sklepami przy czworobocznym placu rynkowym, były spalone. Po starówce pozostała bezlitosna plama zgliszczy. Dawniej, w dni targowe plac tętnił życiem, tu wieś przechodziła w ręce miasta. Budynek banku jeszcze stał. Szybko przeszedłem obok niego, bowiem przed budynkiem stali strażnicy, strzegli uwięzionych tu Niemców. Na Stolper Strasse²⁰⁴ ujrzałem dużą gromadę kobiet i mężczyzn, uzbrojonych w miotły. Zamiatanie ulicy było zajęciem wyłącznie dla Niemców, zostawali oni za to wynagradzani kawałkiem chleba. Plac przed pocztą zmiatał nasz były profesor gimnazjalny, dr Petonke²⁰⁵. Wyglądał jak własny cień, ubranie drelichowe wisiało na nim, jak na tyczce. Przywitaliśmy się serdecznie i oboje nie wstydziliśmy się okazać na zewnątrz naszego wzruszenia. Nigdy więcej już nie spotkałem pana Petonke. Moja droga prowadziła mnie dalej przez Stolper Vorstadt²⁰⁶, do Wipperbrücke²⁰⁷. Na moment pozwoliłem powrócić kilku młodzieńczym wspomnieniom. Spoglądałem w kierunku rzeki, która przecinała łąki sławieńskiego okręgu i płynęła daleko aż do Darłowa i dalej do Bałtyku. Świeżo we wspomnieniach miałem coroczne, szkolne święto z okazji Dnia Dziecka. Stary zwyczaj, który utrwalił się z pokolenia na pokolenie. Jednego letniego dnia odbywał się kolorowy pochód uczniów przez miasto, aż do strzelnicy. Dziewczęta z buketami kwiatów w dłoniach, chłopcy z ozdobnymi, drewnianymi tablicami na kiju. W pochodzie szła też uczniowska kapela ze swoją „Knüppelmusik” (bębnienie i gwizdanie), którą zawsze przygotowywał nauczyciel Lux²⁰⁸. Na moście na Wieprzy - tu, gdzie teraz stałem - cały ogrom kwiatów zostawał ofiarowany rzece. To kolorowe pozdrowienie sławieńskich uczniów niósł prąd rzeki do następnych wsi. Tego dnia - powiadaliśmy - nasza Wieprza miała urodziny. Na placu przy strzelnicy odbywały się różne gry i zabawy. Wybierano króla i królową balu, była kawa, ciasto i lody. Wieczorem wracaliśmy do domu z lampionami. Dorośli się jeszcze długo bawili. Przygrywała miejska kapela w marynarskich mundurach, z kapelmistrzem, Robertem Pollnau²⁰⁹ na czele. Nigdy nie widzieliśmy naszych belfrów tak wesołych, jak tego wieczora. Piwo i koks²¹⁰ rozweselały ich duszę.

Nawet, gdy nowe buty uciskały
i we włosach wianki pokłuwaly,
wkrótce wielki moment następował,
Stolper Vorstadt za plecami się już chował.
Oto solenizant przed naszymi oczami,
który łąki przecina swymi falami:
To Wieprza jest tym jubilatem,

²⁰⁴ obecnie ul. Skłodowskiej

²⁰⁵ Walter Petonke, Adolf-Hitler-Str. 18 (obecnie Jedności Narodowej)

²⁰⁶ obecnie Gdańska

²⁰⁷ Most na Wieprzy

²⁰⁸ Magnus Lux, Lindenpromenade 15 (obecnie ul. Wojska Polskiego)

²⁰⁹ Bergstr. 15 (obecnie ul. Mielczarskiego)

²¹⁰ kostka cukru z rumem

jak każdego roku wczesnym latem!
 Chcemy ją obficie obdarować,
 mnóstwo kwiatów sprezentować.
 Dzieci głowy wychylały,
 swoje wianki ujrzyć chciały.
 Szybko z oczu nam zniknęły,
 do Bałtyku popłynęły.
 Dalsza droga na strzelnicę nas prowadzi,
 tu króla i królową na tronie się posadzi.
 W tarczę rzucać, głośno śpiewać,
 ciasto jeść i się nie gniewać.
 Z tego święta jest bardzo rada
 nasza sławieńska gromada.
 Najchętniej by się zażyczyło,
 by wszystko jeszcze raz się wydarzyło!
 Ale to było niemożliwe! Ukłucie w sercu przywróciło mnie do szarej rzeczywistości. Niewyobrażalne były tragedie, które odegrały się nad brzegiem tej rzeki, w momencie wkroczenia bolszewików do miasta. Musiało to być wstrząsające, gdy całe rodziny szukały i znalazły śmierć w lodowatej wodzie Wieprzy, w marcu 1945 roku. Pośpieszyłem dalej, jeszcze raz tą piękną brzoźową aleją do Warszkowa, by pożegnać się z Walterem Siegenthalerem. Długi uścisk dłoni i krótkie: do widzenia! ze wspomniałym przyjacielem, od którego się tak wiele w tych czasach nauczyłem. Obok „naszej” strzelnicy wracałem do domu. Z pewnością już mnie tam oczekiwano. Przed jutrzejszym wyjazdem było jeszcze wiele do zrobienia. Nie było już tego pięknego domku obok strzelnicy. Max Kabbe, ostatni dzierżawca, od dłuższego czasu był poszukiwany przez sławieńskich komunistów. Mam nadzieję, że panu Kabbe udało się w porę uciec. W tym małym lasku znałem każdą drogę, ścieżkę, każdą ławkę. Był to punkt wielu spotkań, za którymi serce drżało. Z ostatniego drzewa przy drodze do domu: z młodego dębu, zerwałem kilka liści, dwa z nich przetrwały w moim pamiętniku. Spacer przez rodzinne miasto został zakończony. Za Holzgrabenbrücke²¹¹, przy Roggenbuck²¹², wszedłem znowu na główną ulicę. Na krótko spojrzałem w kierunku naszego ogrodu, ale to, co ujrzałem, nie było już ogrodem, tylko „zieleńcem”. Całą powierzchnię pokrywały chwasty. Zawróciłem i powolnym krokiem przeszedłem koło naszego domu. Być może, że byłoby lepiej, gdyby i nasz dom został spalony. Sam nie wiem! Ale i ogień nie potrafi wszystkiemu poddać. Była to najtrudniejsza minuta mojego spaceru! Spróbowałem zabrać ze sobą trochę romantyzmu z przeszłości i ostatnie wrażenie ze szczęśliwych wspomnień.

Z mieszanymi uczuciami przemierzyłem twoje korytarze,
 na nowo dotknąłem śladów dziecięcych marzeń.
 Całym sobą w swe dzieciństwo powróciłem

²¹¹ Most na Kanale Drzewnym

²¹² nieistniejący dziś hotel przy Jedności Narodowej

i nawet na krótki moment nigdzie tu nie zbłądziłem!

To wspaniałe, móc jeszcze twój widok popieścić,
ale już jutro muszę cię na zawsze opuścić!
Czyste i kolorowe ulice, które me oczy poznały,
najlepiej, by one mi tak na zawsze w pamięci pozostały.

Obce się dzieci teraz tu bawią,
oczy me już dzisiaj obficie łzawią.
Jeszcze na chwilę spojrzę na cię przed odejściem:
Tak! Tu znalazłem swoje prawdziwe szczęście!

Babcia i Brigitte zrobiły już kilka przymiarek. Wszystko, co w ubraniu i w bieliźnie można było wykorzystać, zostało wykorzystane. Zupełnie dobry kapelusz został „pofarbowany” mąką i piaskiem na szaro. Buty zostały celowo ubrudzone błotem, itd. Państwo Klemz i pani Künkel z dziećmi poczynali podobne przygotowania. U nas „najkosztowniejszym” członkiem rodziny była babcia, u naszych krewnych mała Gudrun, a u Künkelów Marianne i Gundlof.

Wraz z Herbertem Stellerem wymyśliliśmy coś szczególnego, z nadzieją na powodzenie. Ostatniego wieczora, przed wyjazdem, założył mi Herbert gips na prawą nogę. Był bardzo zachwycony swym pomysłem, ja zresztą też. Prawie do końca nie byłem o tym przekonany, czy jemu jako dentyście uda się założenie gipsu. No nic, zdecydowałem się poświęcić. Zabandażował mi nogę tak, by widać było moje blizny - na wypadek, gdyby były jakieś wątpliwości. Pod gipsem było ukrytych parę kawałków złota. Miejmy tylko nadzieję, że pomysł się powiedzie. Po tej gorączkowej czynności pożegnaliśmy się. Uczyniliśmy to też z państwem Damaschke i jeszcze kilkoma innymi przyjaciółmi. Nie miało to być właściwie pożegnanie na zawsze. Wszyscy mieliśmy życzenie, by cało i zdrowo spotkać się w innych Niemczech.

Gdy tej nocy myślałem o ranku, nie było mowy o spaniu. Była to bezsenna noc. Nerwowo krążyły mi różne myśli po głowie, gips uciskał, nie mogłem się uspokoić.

16 listopada, piątek

Rozpoczął się piątek, 16 listopada 1945 roku. Wstałem jeszcze bardziej zmęczony, aniżeli przed pójściem do łóżka. Podobnie było z moją siostrą. Także i babcia nie zmrużyła oka. O godzinie 11.00 musieliśmy już być na dworcu. Pociąg nie odjechał punktualnie co do minuty - nie, tak daleko jeszcze polska gospodarka nie była. Tego dnia pociąg przybył na stację dużo przed planowym terminem i dużo przed planowym terminem odjechał! Był to jedyny kurs na trasie Gdańsk-Szczecin. Z powrotem z całym kramem do domu! Odjazd przesunął się więc o 24 godziny. Wszystko znosiliśmy z wisielczym humorem. Wieczorem byliśmy jeszcze u państwa Lübeck²¹³ i jeszcze raz nastąpiło pożegnanie w domu Stellera. Także i ta noc była bezsenna.

17 listopada, sobota

²¹³ Walter Lübeck, handlarz koni, Lietzowdamm 30 (obecnie ul. Chełmońskiego)

Przed południem, o godzinie 11.00 wsiedliśmy do pociągu w kierunku naszej pomorskiej stolicy - Szczecina. Już na dworcu w Sławnie zaczęło się plądrowanie. Wujek musiał zdjąć swój płaszcz, temu wszystkiemu przeszkodził nadjeżdżający pociąg. Ten Polak, Tadeusz, który mieszkał w naszym domu na Pollnower Strasse, obiecał nam, że odbędzie z nami część podróży, by uchronić nas przed plądrowaniem. Ledwo pociąg ruszył, Tadeusz wyskoczył - i tyle go widzieliśmy!

Jechaliśmy na Zachód. Pociąg przybył z Gdańska, miał osiem wagonów osobowych i cztery bydłowe. Te ostatnie były przeznaczone dla niemieckich wysiedleńców. Trzy z nich były już przepełnione uciekinierami. Dla nas, 9 osób (Klemz: trzy, Künkel: trzy i Mielke: trzy) znaleźliśmy miejsce w ostatnim wagonie. W sumie w tym wagonie znajdowało się około 30 osób z bagażami. Niesamowita ciasnota! Pośród tych osób było tylko czterech mężczyzn - pozostali to kobiety i dzieci. Staliśmy po kostki w śmierdzącym brudzie. Widocznie przewożono przed nami w tym wagonie bydło, bo i do tego celu był on przeznaczony. Młodzi ludzie stali ciasno obok siebie, starsi nie wytrzymując tego, musieli położyć się w tym gnoju. Bagaż, który zawierał tylko żywność, także leżał w tym bagnie brudu.

W międzyczasie straciliśmy już nasze miasto z oczu i dojeżdżaliśmy do Karwic. Po godzinie dotarliśmy do Koszalina. Po drodze dosiadali do wszystkich wagonów Niemcy. Za Koszalinem wskoczył do jadącego pociągu radziecki żołnierz. Z przedniego wagonu dotarły do naszych uszu przeraźliwe krzyki. Rosjanin uprawiał swą przemoc wśród kobiet i dzieci. Nie trwało długo, jak przedostał się do naszego wagonu, oddał kilka strzałów z pistoletu w sufit, by zastraszyć ludzi. Dzieci krzyczały i wrywały się z rąk matek. Ten nienormalny optymista pytał po długim czasie znowu: Uri, uri! Nasze reakcje były apatyczne i przez to żołnierz stawał się jeszcze bardziej wściekły. W obrzydliwy sposób dobierał się do kobiet. Robiło nam się niedobrze, ale on, w przeciwieństwie do nas, był uzbrojony i my, mężczyźni musieliśmy mocno zaciskać pięści. Ryzyko było bardzo duże. Babcia i Brigitte potrzebowały mnie. Rosjanin chciał wypchnąć kilka kobiet z wagonu. Pewna, starsza siostra Czerwonego Krzyża próbowała powstrzymać tego szaleńca od jego zamiarów. Odniosła sukces. Tabletki były nadal kuszącym artykułem. Siostra pokazała mu mały zapas - on zabrał je natychmiast i zniknął na następnej stacji. Odetchnęliśmy z ulgą!

Dojechaliśmy do Białogardu i tutaj, jak na każdej innej stacji, ten sam obraz: Niemcy ze swoim skromnym bagażem zdecydowali się opuścić swoją ojczyznę. Pociąg stał tu nieco dłużej. Po dłuższym czekaniu stwierdziliśmy, że nasz wagon został odczepiony! Cóż to miało znaczyć?! Tego nam jeszcze tylko brakowało! Na nasze pytania polscy urzędnicy dworcowi odpowiadali cynicznym uśmiechem. Dla nas oznaczało to: wysiadać! Z całym bagażem przenieśliśmy się do poczekalni dworcowej. Mimo naszej pomocy, dla naszej babci (84 lata) był to bardzo wielki wysiłek ze wszystkimi rzeczami na sobie. Ta kobieta była naprawdę godna podziwu! Siedzieliśmy teraz tutaj i nie wiedzieliśmy, co będzie z nami dalej. Minęło popołudnie, wieczór, zapadła noc. Wszyscy Niemcy musieli

opuścić poczekalnię. Skupiliśmy się na dworze, na peronie 1. Ta listopadowa noc z 17 na 18 była zimna i wilgotna. Martwiliśmy się o dzieci i o babcię. Pewien Niemiec, który pracował na dworcu, wyjaśnił nam, że było już prawie w zwyczaju, że w Białogardzie, odczepiano ostatni wagon, by przez to szykować ludzi. To przymusowe czekanie dało nam się zaraz odczuć. Tu, na dworcu w Białogardzie ujrzeliśmy pierwsze okropności naszej podróży. Była to z pewnością przeprawa przez piekło. Nie pozostało nam nic innego, jak biernie temu wszystkiemu się poddawać. Tu oglądało się wstrząsającą rzeczywistość. Wszyscy z naszego wagonu musieli złożyć swój dobytek. Bandyci dzielili go między siebie. Nie pozostała nam, dosłownie ani jedna kromka chleba. Na tej stacji zbierał się polski świat przestępców, byli to mężczyźni i kobiety w różnym wieku. Młodzieńcy w wieku 16-20 lat krążyli wokół nas z pomalowanymi na czarno twarzami, inni mieli na twarzy maski. Stali przy wejściu na peron, rzucali się na bezbronnych ludzi i rabowali ich ze wszystkiego. Gdy widzieliśmy te postacie, robiło nam się słabo. Ale był to tylko przedsmak do naszej dalszej podróży. Kilka godzin później wpadliśmy i my w pazury tych wilków. Ta noc w Białogardzie jest nie do zapomnienia! Była to już nasza trzecia nieprzespana noc. Bez przerwy ktoś wokół nas krążył. Grupa radzieckich żołnierzy okazała się tym razem dla nas ratunkiem. Zatrzymała się tu jedna zdyscyplinowana jednostka i tak oto ci polscy złodzieje nie mieli odwagi rzucać się na coraz to nowszy łup. Dzięki Rosjanom ta długa, chłodna noc trochę się skróciła, mogliśmy się nieco zdrzemnąć.

18 listopada, niedziela

Około godziny 14.00 byliśmy na właściwym peronie, z którego planowo miał odjechać nasz pociąg. Chcieliśmy kontynuować podróż. Układ wagonów i doczepione wagony bydlęce wyglądały jak poprzedniego dnia. Polskie łobuzy już się kręciły po peronie i w mig lustrowały okiem znawcy każdy wagon pociągu. Ten 18 listopada 1945 roku był okropnym dniem. Rozpoczął się ostatni akt życiowej tragedii. Czy był to koniec długiego, ciężkiego cierpienia, czy czekał nas jakiś szczególnie bolesny finał? Tego dnia polski motłoch pokazał nam swe prawdziwe oblicze. 18 listopada opadła maska nowych panów. Robili, co chcieli. Zorganizowane bandy złodziejskie dokonywały swoich brutalnych czynów. Przez wąską szparę rozsuwanych drzwi naszego wagonu widzieliśmy resztę naszej ojczyzny. Widziało się jeszcze zadbane wsie, czyste ulice. We wnętrzu tego bydlęcego wagonu zapomniało się, że się jeszcze było w Niemczech. Bardzo ciężko było mi opisywać wydarzenia naszej podróży na trasie Białogard-Szczecin. Ten, kto tego nie przeżył, nie potrafi w to uwierzyć. Ten, kto przy tym był - a były tysiące - może moją relację potwierdzić. Każdy przeżył tę jazdę inaczej, ale w zasadzie tak samo. Spróbuję opowiedzieć wydarzenia swoimi słowami, pozostając przy tym w miarę obiektywnym.

Gdy pociąg wjechał na dworzec w Białogardzie, powiało już nieszczęściem. Właśnie przekroczyliśmy próg piekła. Nie było już szansy wyjścia ze szpon bestii. Pociąg jechał bardzo wolno, tuż za dworcem czekali bandyci i wskakiwali do naszych wagonów, otwierając drzwi przemawiali do nas pistoletami. Wokół

nas było około dziesięciu rabusiów. Od środka zamknęli drzwi wagonu. Taniec na wulkanie mógł się już zaczynać. Plądrowanie rozpoczęło się według wszystkich możliwych bandyckich reguł. Najpierw uwertura, jako „uprzejme” zaproszenie do tańca. Mieliśmy oddać wszystkie pieniądze. Wiele, wiele marek przeszło jako „dobrowolny datek” w ręce tych drani. Natychmiast byliśmy już tylko niemiecką świnią, pasowaliśmy więc do tych bydlęcych wagonów i gnoju. Jako następny rozdział musieliśmy „dobrowolnie” oddać wszystkie zegarki i biżuterię. Żaden z około 40 Niemców nie wyjął z zanadta żadnej sztuki. Po tej pasywnej reakcji nastąpił sygnał do ataku. Rzucili się jak hieny na swoją zdobycz, cioci Missen rozerwano sukienkę i woreczek z pieniędzmi zmienił szybko właściciela. Także wujek pozbył się wszystkich swoich pieniędzy. Moje kieszenie zostały dokładnie przeszukane, niczego nie znaleziono. Moje skarby znajdowały się gdzie indziej. Wszystkie akcje, które na nas przeprowadzono, przeżyli także i pozostali „pasażerowie” tego wagonu.

Kurtyna się podnosiła i opadała. Sceny przed naszymi oczami szybko się zmieniały, sztuka odgrywała się - bardzo bolesna i brutalna. Doświadczenia z ostatnich tygodni przekonały rabusiów, że u starych ludzi można więcej znaleźć, niż u młodych i dzieci. W naszym gronie spojrzenie padło natychmiast na babcię. Nasza teoria zawiodła - pękła jak mydlana bańka. Usłyszeliśmy tylko: „Ręce do góry!” i drapieżcy rzucili się na babcię. Została przeszukana od góry do dołu. Nagle zjawiono się w naszym wagonie uzbrojone babsko. Szybkim ruchem ściągnęła z babci futro mojej mamy. Staruszka stała nadal z podniesionymi rękami i biernie poddawała się wszelkim okropnościom. Jeszcze nie straciła wiary w szczęśliwe zakończenie tej krwiopijcznej akcji. Pociąg nadal toczył się po pomorskiej prowincji, w kierunku jej stolicy. Niedługo powinniśmy dotrzeć do Stargardu. Bandy ci „pracowali” zawzięcie, prawdopodobnie mieli tylko czas do Stargardu, tam kończył się ich rewir łowiecki. Przychodziła druga zmiana. Babcia wciąż była „opracowywana” przez przywódców bandy, zносиła wszystko z kamienną twarzą. My mężczyźni, mieliśmy nasze ręce związane, gotowaliśmy się w sobie z wściekłości, ale przewaga była zbyt duża. W wagonie byli i inni członkowie bandy. Wszystko, co się przykleiło do ich rąk, należało już uznać za stracone. U babci znaleziono wszystko: oba zegarki w pończochach, pieniądze wszyte w klinie majtek i kawałek złota pod pachami. Ich starania nie poszły na marne. Ale wszystko odbywało się nie dość szybko, oprawcy robili się nerwowi, Stargard był tuż, tuż. Okropnie krzyczano na tę 84-letnią kobietę, że zbyt powoli się rozbiera. Pojawił się nagły błysk noża i cała odzież od góry do dołu została rozcięta. Prawie wszyscy przyglądali się tej grze, drżeliśmy ze zdenerwowania. Granica między snem a jawą była zatarta, ale zaraz nasz mózg rejestrował ponownie sadystyczne poczynania tych młodych... Z bladą twarzą i nieruchomym wzrokiem siedziała nasza babcia na swym plecaku. Naokoło zwisały strzępy ubrania. Co rusz znajdowano u kogoś nowy łup i pakowano go do obszernych worków. Bielizna była rozcinana, ostrze noża muskało nagie ciało. Pienięm się ze złości, jak morskie fale, które rozbijają się o brzeg. Przemoc na tej starej kobiecie doprowadziła moją cierpliwość do granic wytrzymałości. Z rozpaloną

twarzą rzuciłem się błyskawicznie na jednego z przestępców, przycisnąłem go do uchylonych drzwi wagonu, bez wahania wypchnąlbym go z jadącego pociągu, byłaby to dla niego sprawiedliwa kara. Gdy go swym ciałem przygniatałem, dopadły mnie pięści innego Polaka. Straciłem przytomność. Po kilku minutach, gdy się ocknałem, ujrzałem nad sobą płaczącą siostrę i ciocię Missen. Co się stało z babcią? Leżała na podłodze, prawie całkowicie rozebrana i prawie, że deptano po niej, obraz rozpaczy! Wyrwano jej nawet włosy, bo i tu podejrzewano, że coś w nich ukryła. Dzieci cały czas płakały. Rabowanie zaczynało się od nowa. Teraz była na nas kolej, musiałem przyglądać się przemocy. Siostra pozbywała się ubrania, sztuka po sztuce. Musiałem zdjąć wierzchnie, złe ubranie, by można mi było zabrać dobre spod spodu. Jeden z młodzieniaszków zabrał mi moją torbę z ważnymi dokumentami. Zrozpaczony poprosiłem o kilka zdjęć moich rodziców. Niestety, podarto je przed moimi oczami i rzucono mi je w twarz. Okropne babsko mocowało się z torebką mojej siostry. Ta sama osoba próbowała usilnie, zdjąć mi buty, które celowo były zabrudzone. Skończyło się to tylko na próbie. Silne stąpnienie na jej palce i dama była odpowiednio obsłużona, już więcej nie próbowała. Rozpalona wściekłością szukała winnego, ale go nie znalazła. Najchętniej kopnąlbym ją solidnie. Pociąg dojeżdżał do Stargardu. Bandy-ci szykowali się ze swym łupem do wyskoku. W umówiony sposób pociąg wjeżdżał do miasta, bardzo powoli, wszyscy mogli bezpiecznie wyskoczyć. Gdy wjechaliśmy na dworzec, w wagonie byli już tylko sami Niemcy. Powoli już robiło się ciemno. Dla wszystkich wystraszonych pasażerów dodatkowy, nieprzyjemny fakt. Czy szczytowy punkt był już poza nami? Podczas całego pobytu w Stargardzie zadawaliśmy sobie to pytanie. Bardzo obawialiśmy się jeszcze tzw. „przejścia granicznego” Stettin-Scheune²¹⁴, był to obecnie centralny dworzec kolejowy między Pomorzem Wschodnim, Szczecinem i sowiecką strefą. Budził przerażenie wszystkich pomorskich rodaków, którzy mieli przezeń przejść. Dworzec ten był bardzo niebezpieczny, ponieważ tu polskie bandy odbierały Niemcom ich cały dobytek. "Gumieńce" były do tej pory szczytowym punktem każdej podróży. Potem, w kierunku Berlina pociąg przejmowali niemieccy pracownicy kolejowi (Deutsche Reichsbahn). Złodziejskie akcje na trasie Koszalin-Białogard były organizowane dopiero od niedawna, przedtem odgrywały się one tylko tutaj. Zapadła noc z 18 na 19 listopada. Wszystko wskazywało na to, że będzie to nasza czwarta nieprzespana noc. Co miały nam przynieść nadchodzące godziny? Gdy nasz pociąg opuścił Stargard, próbowaliśmy zamknąć drzwi naszego wagonu od wewnątrz, ale natychmiast usłyszeliśmy ostrzegawcze strzały. Drzwi pozostały więc otwarte. Tuż za miastem rozpoczął się drugi akt tego przedstawienia. Pociąg znowu jechał wolniej, przy torach czekali znowu nowi bandyci, jak poprzednio! Natychmiast obskoczyli pociąg i przedostawali się z wagonu do wagonu. Wszystkie gangsterskie sztuczki powtórzyły się, musieliśmy znowu się im biernie podać. Cóż chcieli nam jeszcze odebrać? Oprócz jednej brudnej chusteczki nie było już nic w moich kieszeniach. Gips na nodze był

²¹⁴ Szczecin - Gumieńce

bardzo uciążliwy, nie byłem do niego przyzwyczajony. Mogę jeszcze cierpieć, byle tylko udało mi się przemycić ten kosztowny schowek. Po raz któryś dokładnie mnie przeszukano i niczego nie znaleziono. Opukiwano teraz mój gips, wystąpił mi pot na czole, ale na tym się skończyło. Dziwiłem się tylko, że mam jeszcze na głowie ten dobry kapelusz, rabusie nie mogli naturalnie wiedzieć, że był on celowo osypany mąką, wyglądał więc bardzo staro - poza tym niczego mu nie brakowało. Dzięki Bogu, że nie zabrali mi kuli. Naszym oczom ukazały się inne okropne sceny. Młode kobiety obmacywano od góry do dołu w obrzydliwy sposób. My mężczyźni nie mogliśmy wkroczyć do akcji, wyrzucono by nas natychmiast z jadącego pociągu. Moja twarz była obsiniaczona, oczy podpuchnięte, bardzo bolało. Ta nerwówka nie miała końca. Czwarta noc bez snu, szerzyła się apatia. Brigitte trzymała babcię w ramionach, babcia miała na sobie tylko bieliznę, pozostałe ubranie było w strzępach. Rozpaczliwy widok! W wagonie robiło się na zmianę raz ciemno, raz widno, bo co chwila oślepiano nas latarkami. Półśpiące dzieci krzyczały przez sen. Przerazająca atmosfera w tych nietypowych czterech ścianach. Przez uchylone drzwi widzieliśmy, że właśnie przejeżdżaliśmy przez las. Nagle tempo pociągu się zwolniło i usłyszeliśmy na zewnątrz głośne głosy. Rabusie wyrwali nam plecaki i szybko wyskoczyli. Na dworze czekali nań ich wspólnicy, na następnej małej stacji dzielili między siebie łup. Straciliśmy wszystko, oprócz spiworów, wdeptanych w gnój. Nie mieliśmy ani kawałka chleba. Trzymałem w ramionach dzieci pani Künkel, drżały one z wewnętrznego strachu. Jakie myśli przewijały się przez te małe główki? Reżyserzy brutalnych filmów kryminalnych mieliby tu niezłe pomysły do przejęcia. Babcia nie uspokoiła się jeszcze po ostatnich wydarzeniach i nadal była pod wpływem głębokiego szoku.. Już niedługo powinien być Szczecin. Z utęsknieniem, ostatnimi siłami oczekiwaliśmy końca tej podróży przez piekło. Rozpoznałem na zewnątrz Altdamm²¹⁵, mimo że niemieckie nazwy były już zamalowane. Krótki postój, potem szło dalej, nam to pasowało, chcieliśmy jak najszybciej osiągnąć nasz cel.. Musiała już być prawie północ, o ile nie zatraciliśmy w tym wszystkim rachuby czasu. Krótka za Altdamm przeżyliśmy nową falę zemsty. Powiało strachem, gdy czterech mężczyzn - częściowo cywilów, częściowo umundurowanych, wpadło do naszego wagonu z pistoletami maszynowymi i oddało długie serie strzałów w dach wagonu. Seria ognia wywołała panikę. Matki wszystkimi siłami ścisnęły w ramionach swe płaczące dzieci. Ciocia tuliła swoją wnuczkę, pani Künkel obejmowała obydwu maleństwa. Babcia, siostra i ja byliśmy w silnym objęciu. Ci przedstawiciele połowy świata byli bez pardonu, z hukiem opróżniano coraz to nowe magazynki. Wyglądali jak początkujący gangsterzy, którzy właśnie przedstawiali swój debiut. W tym mocnym uścisku myśleliśmy, że oto wybiła nasza godzina. Jakże koszmarnie były te chwile w porównaniu z innym światem, nowym życiem, w które mieliśmy lada chwila wkroczyć. Miejmy nadzieję, że wystarczy nam sił, by i tę grozę przetrwać. Męczyło nas pragnienie i do jedzenia też już nic nie było. Całą tę robotę

²¹⁵ Szczecin - Dąbie

odwalił polski motłoch, łącznie z kolejową obsługą. W międzyczasie wyleciały z pociągu nasze dwa śpiwory. Brigitte znalazła na podłodze kromkę chleba, mocno ją zaciskała w dłoni. Tam leżała też bardzo cenna książka o stomatologii, którą koniecznie chcieliśmy zachować dla brata. Niestety, obie rzeczy: chleb i książkę, straciliśmy!

Na około 10 minut przed Szczecinem pociąg zatrzymał się. Do naszego bydlęcego wagonu wszedł polski żołnierz z opaską na ramieniu i bagnetem na karabinie. Kontrola dokumentów! Myślałem, że się przesłyszałem. Próbowałem wyjaśnić temu panu, że wszystkie dokumenty zostały nam podczas podróży skradzione. Włożyłem kij w mrowisko! Silne uderzenia kolbą pouczyły mnie, że w nowym polskim państwie nie ma kradzieży. Mimo oporu zostałem aresztowany, nie pomogły łzy babci i siostry, musiały się przyglądać, jak mnie okładano. Nie dotarła do niego uwaga, że mam nogę w gipsie i że jestem chory. Polacy rozumieli zawsze tylko to, co chcieli zrozumieć. Bez możliwości pożegnania się z moimi najbliższymi, wypchnięto mnie z wagonu. Bez przerwy krzyczano i od teraz byłem dla nich "niemieckim przestępcą". Zaprowadzono mnie do wagonu innego pociągu, który wewnątrz był czysty. Zamknięto drzwi, pilnował nas jeden strażnik. Razem ze mną było tu 25 innych mężczyzn. Jak słyszałem, wszyscy oni byli Polakami. Miałem wrażenie, że znalazłem się w „najlepszym towarzystwie”. Pociąg ruszył. Straciłem orientację. Z obcej mowy moich współwięźniów wywnioskowałem, że jedziemy do Szczecina. Co zamierzano z nami, czy nas tu wysadzą? Nic się nie wydarzyło. W naszej pomorskiej stolicy pociąg miał krótki postój i zaraz jechał dalej. Przez to nagłe aresztowanie w ciemności nocy, przez te przejmujące ciosy i oślepiające latarki, nie byłem w pełni sprawny. Być może, że nadal znajdowałem się w tym samym pociągu, co moja rodzina, tylko w innym wagonie. Dotarliśmy do „przejścia granicznego”: Stettin-Scheune. Myślałem o swoich najbliższych, mój niepokój był nie do powstrzymania, gwałtem musiałem się opanować, by się nie wyrwać.

Scheune: przerażenie wszystkich pomorskich rodaków, którzy musieli opuścić swą ojczyznę. Cały ciężar spadł teraz na Brigitte, musiała się teraz troszczyć o siebie i babcię - krewni opiekowali się swymi dziećmi. Czy babci uda się przeżyć? Z siostrą uzgodniliśmy wcześniej, że na wszelki wypadek punktem spotkania będzie mieszkanie cioci Lotte w Berlinie, dalej Flensburg lub Gräfelingsk/Monachium. Zawsze braliśmy wszystko pod uwagę i z ewentualnym aresztowaniem też się liczyliśmy. Mocno zacisnąłem pięści i obiecałem sobie, że ci przedstawiciele nowego polskiego, komunistycznego państwa nie będą mieli ze mną tak łatwo. Ja i wszyscy moi współwięźniowie poruszaliśmy się w czasie na granicy między przeszłością i przeciwnym światem. Wszystko, co zostało w nas zatopione, było niepowetowaną stratą. Nasza pomorska ojczyzna, w której od wieków dziedziczona była wiara w uporządkowany świat, została teraz poza nami. Bastiony naszej egzystencji zostały powalone. Staliśmy teraz w punkcie zerowym, w pustej przestrzeni. Nasza życiowa odwaga nie została załamana, została wyczerpana! Próbowano nas zniszczyć, ale się nie poddaliśmy. Siedziałem w wagonie jako więzień, w oczach Polaków byłem przestępcą. Widok mia-

łem zasłonięty, ale słyszałem na zewnątrz tumult, wydzieranie się polskich bandziorów i żołnierzy. Było to tylko częściowe doznanie z dworca Stettin-Scheune. O nas nie troszczył się nikt. Moje myśli o ucieczce były utopią, droga do od dawna utęsknionej wolności była zamknięta.

19 listopada, poniedziałek

Ku wielkiemu zdziwieniu stwierdziłem, że nasz wagon, lub też cały pociąg zawrócił, tzn. jechał znowu w kierunku Szczecina. Już się ściemniło, gdy dotarliśmy do głównego dworca. Tu nas wyładowano. Od mojego wartownika dowiedziałem się, że współwięźniowie są polskimi przestępcami. Pod silną kontrolą odprowadzono nas do dość zniszczonego już budynku, w kierunku dzielnicy Pomorzany (Pommernsdorf). Czuję się kiepsko, nic nie przemawiało za tym, że wkrótce zobaczę swoją rodzinę. Gips uciskał, kulałem, nie mogłem iść szybko. Kopniaki i uderzenia kolbą zmuszały mnie do dotrzymania kroku pozostałym. Na szczęście do tego budynku nie było już daleko. Na moją prośbę o wodę i chleb otrzymałem znowu bolesne kopniaki. Jeden z żołnierzy przeszukał mnie, czy nie mam broni. Szelki i pasek do spodni - to jeszcze miałem, zabrano mi natychmiast. Potem zepchnięto mnie po schodach do piwnicy. Wydawało mi się, że gips już się połamał. W piwnicy otwarto drzwi i znalazłem się w jednym z jej pomieszczeń. Za sobą usłyszałem zgrzyt klucza w kłódce. Wokół mnie było przeraźliwie ciemno. Po omacku stwierdziłem, że pomieszczenie było bardzo małe. Przypuszczam, że była to piwnica na kartofle, czuć było ich nieprzyjemny zapach. Do tego zniszczonego budynku deszcz padał do środka, wszystko też było zimne i wilgotne. W kątach śmierdziało, być może, że już i przede mną byli tu inni więźniowie. Jak długo miałem tu siedzieć? W żołądku burczało mi z głodu, suchy przelyk palił. Może jeszcze długo potrwać, nim spotkam swoją rodzinę! Miejmy nadzieję, że o mnie tu nie zapomną! Myślałem, że dostanę obłędu w tej śmierdzącej norze. Z całą siłą rzuciłem się na zamknięte drzwi. Nadaremnie! Głośno krzychałem: wody! Nadaremnie! Nerwy już mi zupełnie zawiodły. Zacząłem płakać. Płacz przerodził się w spazmatyczny szloch. Potem musiało mnie ogarnąć silne zmęczenie. Gdy oprzytomniałem, ujrzałem przez dziurkę od klucza smugę światła. Straciłem rozeznanie w godzinach, liczyłem tylko dni. Był poniedziałek, 19 listopada. Skulony siedziałem w nieco suchszym kącie. Przez głowę przeszły mi jeszcze raz wszystkie okropności. Jakiegoż przestępstwa dokonałem, że musiałem tu siedzieć?!

Mijała godzina za godziną, czyżby naprawdę zapomniano o mnie? Po raz pierwszy w życiu stwierdziłem, że pragnienie może bardziej człowieka męczyć, niż głód. Jak szalony waliłem w drzwi, jeszcze raz głośno domagałem się wody, bez echa! Myśl, że strażnik o mnie zapomniał i że już tu nikogo dawno nie ma, przyprawiła mnie o śmiertelne przerażenie. Krzychałem bez opamiętania, zraniłem sobie pięści od stukania w drzwi, żadnego odzewu. Prawdopodobnie zemdlałem. Gdy się ocknałem, nie widziałem już światła przez dziurkę od klucza. Był już wieczór, czy głęboka noc? Swoje potrzeby załatwiałem w tym pomieszczeniu. Ilu uczyniło to samo tu przede mną? Kiedy mnie uwolnią? Jeszcze jeden głośny krzyk o wodę, wszystko na nic.

Po długim czasie, a musiało to być w nocy, usłyszałem kroki i odgłosy kluczy. Polski żołnierz z pistoletem w ręku wyprowadził mnie z „celi”. Zaprowadził mnie na pierwsze piętro tego domu. Miałem czekać w pokoju, który sprawiał wrażenie bardzo czystego. Na drewnianych ławkach pod ścianą siedzieli już więźniowie z naszego transportu. Niektóre twarze poznałem natychmiast. Ci przestępcy, podobnie jak i ja, czekali teraz na przesłuchanie. Gdy zorientowano się, że jestem Niemcem, zaczęły się dla mnie straszne minuty. Natychmiast zepchnięto mnie z ławki, leżałem teraz na podłodze - opluwano mnie i nazywano „niemiecką świnią”. Prawdopodobnie wszyscy z nich przebywali w niemieckich obozach koncentracyjnych i teraz wyładowywali na mnie nienawiść do Niemców. Jeden z nich wcisnął mi do ręki miotłę, miałem zamiatać to pomieszczenie. Było to niełatwe zadanie, miotła miała bowiem tyle włosów, co wysłużona szczoteczka do zębów. Jak tylko udało mi się zmieścić małą kupkę śmieci, podchodził jeden z nich i na nowo rozrzucał je nogą. Ta zabawa była kilkakrotnie powtórzona i urozmaicona kopniakami - upadałem to na twarz, to na plecy. Temu wszystkiemu towarzyszyły przekleństwa - i ku wielkiemu zdziwieniu: bezbłędnie po niemiecku! Na moim ciele nie było już miejsca, które by nie bolało. Nagle zostałem z tego wszystkiego uwolniony i jeden żołnierz wprowadził mnie do innego pokoju na przesłuchanie. Usiadłem naprzeciw militarnej osobistości o nieznanej mi randze. Mówiono tylko po polsku, nie rozumiałem więc żadnego słowa. Wydzierano się na mnie. Wzruszałem tylko ramionami, spisywano tu zapewne protokół moich karygodnych czynów. Widziałem, że jedna strona maszynopisu była już prawie pełna - dokonałem więc tyle przestępstw! Gdy protokół był gotowy, podsunęto mi go do podpisania. Zmuszono mnie do podpisania tekstu, który był napisany w obcym języku, w którym nie potrafiłem czytać, pisać, mówić, którego w ogóle nie rozumiałem! Wzbraniałem się przed tym niemożliwym nakazem, przecież to mógłby być dla mnie wyrok śmierci. Ci dranie byli do wszystkiego zdolni. Polak, siedzący obok mnie podskoczył i wydarł się na mnie. Inny umundurowany wszedł do pokoju i wyciągnął z zanadru pejcz, bił mnie na oślep. Oczy i policzki miałem zakrwawione i opuchnięte jeszcze od bicia w bydlęcym wagonie. Od kopniaków nie mogłem siedzieć na tyłku. Teraz na moje ciało padały uderzenia pejczem, nietypowym narzędziem. Och, jakże bolało! Chłosta przeszła w dziki szal. Inny Polak krzyczał łamaną niemczyzną: „my tak długo bić, aż podpisać!” Leżałem na podłodze i naprawdę byłem u kresu wszystkiego. Podniesiono moją prawą rękę i wciśnięto w nią pióro. Podałem się. Bijący zmęczył się i od tej "pracy" wystąpił mu pot na twarzy. Moja dłoń z trudem trzymała pióro. Złożyłem nieczytelny podpis pod tym obcym pismem. Następnie odprowadzono mnie do moich 25 „kolegów” - ci tym razem przyglądali mi się w milczeniu, żaden z nich nie podniósł już na mnie ręki. Teraz przyszła kolej na nich. Przed ponad 30 godzinami przeżulem ostatni kawałek chleba i od tego też czasu nic nie piłem. Kręciło mi się w głowie. Głód, pragnienie i pejcz wyczerpały mnie. Nastąpiła długa noc, którą spędziłem raz na siedząco, raz na stojąco. Łzy są mową duszy i głosem uczuć, są one też balsamem na cierpienie. Tej nocy ciężko mi było je powstrzymać. Była to długa noc, dla mnie by-

ła ona bardzo ciemna, moje oczy były zapuchnięte, niczego nie widziałem.

20 listopada, wtorek

Około 8.00 rano wypędzono wszystkich mężczyzn na ulicę. W dwuszerogu maszerowaliśmy przez Szczecin. Towarzyszyło nam czterech uzbrojonych wartowników. Przypuszczam, że prowadzono nas do więzienia. Z nogą w gipsie i o kiju maszerowałem na przedzie kolumny. Tempo, jakie nadawałem, nie podobało się wartownikom, natomiast współwięźniowie nie mieli nic przeciwko temu.

Kochany Szczecinie, stolico Pomorza, oto widzę cię znowu! To miasto z wielkim portem wiele przeszło w ostatnich dniach wojny, jego poprzedni blask przygasł. Naloty powietrzne pozostawiły w jego obliczu mnóstwo luk. Fale ognia pochłonęły całe dzielnice i szeregi ulic. Maszerując, zobaczyłem jeszcze raz główny dworzec kolejowy. Jakże często tędy przejeżdżałem - tu przesiadałem się do pociągu w kierunku Sławna lub Drezna. W porcie widać było dużo opuszczonych i zniszczonych statków. Przy Hakenterasse²¹⁶ nie było już tych tak bardzo lubianych białych parowców, które także nas: mnie, Brigitte i mamę w 1935 roku, zabrały na piękną wyspę Rugię (Rügen). Pamiętałem nawet jeszcze nazwy tych parowców: Hertha, Rugard, Frigga i Odin. Szliśmy teraz wzdłuż Grüne Schanze²¹⁷, potem przez zniszczony Paradeplatz²¹⁸. Tu zwisały olbrzymie transparenty z hasłami do wszystkich Polaków: „Pionierską pracą przyczyniajcie się do rozwoju polskiego Szczecina!” Trzeba się było śmiać, czy płakać? Było raczej bliżej płaczu. Przed nami ukazały się ulice, których nazw już nie pamiętam. Gruzy, nic innego tylko gruzy! Biedny Szczecinie, ty także krwawiłeś. Widziało się jeszcze barykady i ślady ostatnich walk ulicznych. Widzieliśmy stare kobiety, które znosiły kamienie i uprzętały ten nieład. Były one jedynymi Niemcami, których widziałem po drodze. Tak więc i Szczecin - brama do niemieckiego Wschodu - już do nas nie należał. Odwieczne życzenie Polaków i ich dawny okrzyk bitewny: „do Odry!” - spełniło się. W międzyczasie znaleźliśmy się na Schinkelplatz²¹⁹, tu jeszcze raz ujrzałem szkołę budowlaną, do której jeszcze przed rokiem ubiegałem się o przyjęcie. A oto i urząd pracy - największy biurowiec w mieście z 500 biurami. Ten wielki gmach przeznaczyła polska milicja na więzienie i ono było celem naszego marszu! Nie mogłbym już dalej iść. Gdy przeszliśmy obok wielu uzbrojonych strażników, gdy zostało za nami zamkniętych wiele drzwi - jedno wiedziałem: stąd nie ma ucieczki! To nie był hotel i dlatego wartownicy nie zaprowadzili nas do „recepcji” lecz do „punktu przyjęć”. Doznałem dziwnego uczucia jako jedyny Niemiec pośród 25 polskich przestępców. „Niemiecką świnię” postawiono na końcu tej długiej kolejki. Los kieruje nas na różne drogi, nie podejrzewałem, że to zadecyduje o moim szczęściu. Przy okienku spisywano od razu dane aresztowanych. Nasi strażnicy oddawali protokoły spraw każdego z nas. Szelki, pasek, zawartość kieszeni - to wszystko trzeba było tu zostawić. Mnie to nie tyczyło, niczego już nie posiadałem. W innym

²¹⁶ obecnie Wały Chrobrego

²¹⁷ obecnie ul. Dworcowa

²¹⁸ obecnie ul. Niepodległości

²¹⁹ obecnie Plac Tadeusza Kościuszki

pojemniku każdy więzień zostawał krótko przystrzyżony, odbywało się to przy otwartych drzwiach i każdy mógł się temu przyglądać. Cała ta procedura trwała naturalnie tylko krótką chwilę. Gdy formalności czterech więźniów zostały załatwione, zjawiał się strażnik i odprowadzał ich do celi: w okolicach żółdka doznałem dziwnego uczucia. Robiło się poważnie, było mi się samemu siebie szkoda. Jeszcze nigdy w moim życiu nie widziałem prawdziwego więzienia od wewnątrz. Grupki, jedna za drugą, zostawały odprowadzane. Strażnik wracał co rusz. Zacząłem sobie obliczać, ile zostało jeszcze czasu, aż ja znajdę się przy okienku. Załatwianie jednej osoby, łącznie ze stryżeniem, trwało pięć minut. Za godzinę i ja znajdę się więc w celi. Serce biło mi na tę myśl szybciej. To nie do wiary: w tak krótkim czasie wydarzy się tu tyle decydującego o moim losie! Szło tu dosłownie o bycie, albo o niebycie. Oddychałem powoli, myślałem, że w ten sposób się trochę uspokoję - nie udało mi się to; wiedziałem, że szansa ucieczki jest znikoma. Przy wejściu do tego milicyjnego więzienia widziałem, jak bardzo budynek ten był strzeżony.

Jeszcze przed dziesięcioma minutami ucieczka wydawała się niemożliwa. Stało się ze mną coś niesamowitego, coś we mnie się wydarzyło, czego nie można opisać słowami. Były to myśli, jakaś siła, jakiś wewnętrzny głos, który tak bardzo na mnie zadziałał. Chciałem wolności - mogłem ją zdobyć jedynie decydując się na ucieczkę. Tak bardzo uświadomiłem sobie, że moja egzystencja może się za chwilę na zawsze skończyć. Zupełnie nagle byłem gotowy podjąć tę walkę - szło tu przecież o śmierć albo życie. Mój duch okazał się jeszcze bardzo silny. Całą swą nadzieję położyłem w pozostałej części Niemiec, tam mogło i musiało się lepiej żyć, nie jak tu, jako parobek bolszewickiego reżimu. Tam było jeszcze wystarczająco obszaru i przestrzeni dla milionów ludzi, którzy nie byli gotowi żyć, jako niewolnicy pośród niewolników. Moje myśli zaczęły błądzić. Oto znowu ujrzałem, jak strażnik wyprowadził kolejnych czterech, ogolonych na głacę mężczyzn. Pozostali mężczyźni nie zwracali uwagi jeden na drugiego, każdy był przejęty swoim losem. Serce waliło mi jak młot, ale potrafiłem zachować trzeźwość umysłu, mimo tych okoliczności. Musiało być gdzieś około dziesiątej. Strażnik wrócił i odprowadził następnych dziesięciu więźniów. Dokładnie za mną były drzwi. Wielkie szczęście dla mnie, że byłem ostatni w tej kolejce. Następna czwórka wychodziła właśnie ze strażnikiem. Dołączyłem jako nr 5 i tak oto wyszedłem z tego pomieszczenia, drzwi się za mną zamknęły. Grupka ta skręciła w lewo, a ja na prawo. Nikt mnie nie zaczepił, jeszcze dwoje drzwi i byłem już w toalecie. Zamknąłem się od wewnątrz. Trzymałem dłonie na piersi, miały one uspokoić bicie mego serca, bałem się że jego odgłos może zdradzić moją kryjówkę. Jeszcze nie zauważono mojego zniknięcia, w przeciwnym razie wszczęto by już alarm. Za 20-30 minut ja miałem stanąć przed okienkiem. Drżałem na całym ciele, byłem oblany zimnym potem. Musiałem jak najszybciej stąd wyjść, każda sekunda była zbyt kosztowna. Początek już zrobiłem, ale czas grał na moją niekorzyść. Wyglądało to prawie, że czekam tu na sygnał alarmu. Więzienie - albo wolność - wybrałem wolność, więc musiałem się spieszyć, postawić wszystko na jedną kartę. Do moich uszu dotarły niemieckie gło-

sy. Dwóch Niemców przyszło po wodę. Rozpoznałem szczeciński dialekt. Otworzyłem drzwi przestraszyłem tych dwóch mężczyzn. Poprosiłem ich o wodę, dając im tym samym do zrozumienia, że jestem ich rodakiem. Obaj byli mieszkańcami Szczecina i od kilku dni tu uwięzieni. Mój pomysł ucieczki uznali za szalony, może i mieli rację. Wychodząc, jeszcze raz ostrzegali mnie przed tym zamiarem. Mnie nadal gnębił niepokój. Stałem na długim korytarzu, przed wieloma drzwiami i nie wiedziałem, w którym kierunku mam się udać. Na prawo i na lewo drzwi, które z nich miały być dla mnie właściwe? Szukałem wyjścia, które by mnie zaprowadziło na wolność. Nagle odkryłem po prawej stronie szerokie schody, po których wchodziliśmy na górę. Na dole był główny hall, z którego już się wychodziło na ulicę. Tylko już ten mały odcinek - jeszcze nie zauważono, że brakuje tego młodego Niemca o lasce... znowu nie potrafiłem uporządkować swoich myśli - bardziej wlokłem się, aniżeli szedłem. Gdy schodziłem po schodach, prawa nogawka podwinęła się tak, że było widać gips. Oczy mi się szklily, prawie płakałem ze zdenerwowania. Po prawej i po lewej stronie stało po dwóch wartowników - parłem naprzód. Wszystko to były tylko sekundy. Znalazłem się już przy wartownikach i wydawało mi się, że usłyszę zaraz alarm - szalone myśli! Nie wydarzyło się nic! Żadnego alarmu! Żadnego: stój! Otworzyłem wielkie drzwi wejściowe i oto już stałem na ulicy. Żaden strażnik mnie nie zaczepił! Żaden z nich nie chciał ze mną „porozmawiać”! To nie mogło być prawdą! - szedłem ulicą do pobliskiego rogu. Wszystko wydarzyło się jak w transie - że też nerwy ludzkie potrafią tyle wytrzymać. Przyspieszonym krokiem, ale nie za szybko, zniknąłem za pierwszym rogiem ulicy. Wpadłem do korytarza jednego z budynków... i upadłem. Świadomość bycia na wolności pozbawiła mnie na chwilę sił, nerwy były nadwężone i najchętniej poleżałbym tak jeszcze trochę. Ale na karku miałem silną rękę polskich przedstawicieli władzy, musiałem uciekać dalej - czy potrafiłem, czy nie. Tak ciężko mi było się pozbierać, byłem totalnie wyczerpany. Jak tylko umiałem, zmieniłem swój wygląd. Kapelusz i laskę schowałem do nogawki spodni. Mój podarty płaszcz zwinąłem w rolkę i wziąłem go pod pachę. Pośpiesznym krokiem oddalałem się z niebezpiecznej okolicy. Mimo wielu gruzów, miałem tu jeszcze jako takie rozeznanie, była to dla mnie wielka zaleta w tym trudnym położeniu. Miałem nadzieję, że wszystko mi się po tym martyrium udało. Przypomniałem sobie nawet adres panny Dettmar; była ona gospodynią, u której mieszkał mój przyjaciel Wilhelm Puls. Mieszkał on tu aż do końca, aż do upadku Szczecina. Chodzić było mi ciężko. Doszedłem do Philippstrasse²²⁰ i znalazłem dom, którego szukałem. Panny Dettmar oczywiście nie zastałem, mieszkanie było opuszczone i dokładnie splądrowane - łącznie z pokojem mojego przyjaciela. Z mojego byłego miasta garnizonowego, Schwedt nad Odrą, odwiedzałem Wilhelma dość często. Przy wyjściu z budynku natknąłem się na korytarzu na starszego mężczyznę, on bardzo mnie się wystraszył, myślał, że wpadł na polskiego szabrownika, patrzył na mnie wystraszonym wzrokiem. Po jego pocztowej czapce domy-

²²⁰ obecnie ulica Małkowskiego

śliłem się, że jest on również Niemcem. Jego twarz się rozjaśniła, gdy go zagad-
nałem po niemiecku i szybko opowiedziałem, kim jestem i skąd przybywam.
Rozmawialiśmy też o Wilhelmie Puls i o jego gospodyni - on znał ich obojwoje.
Mężczyzna zaprosił mnie następnie do swego małego mieszkania na poddaszu.
Jego strach przemienił się w zaufanie i nawet trochę też we współczucie. Drzwi
otworzyła nam jego żona - i ona była na moment zaszokowana moim widokiem.
Jeszcze raz opowiedziałem im krótko o swym losie. Oboje byli wzruszająco
przejęci i zatroskani o mnie. Miałem się położyć i przespać. W pokoju było
przyjemnie ciepło, poprosiłem o coś do picia i do jedzenia, potem chciałem się
umyć i dopiero wtedy położyć. Zza gipsowego opatrunku wyjąłem parę złotych i
kazałem kupić duży chleb. Gospodyni przygotowała dla mnie dzbanek kawy, tak
ten napój nazwaliśmy. Powoli dochodziłem do równowagi, podano mi lustro,
sam siebie mogłem ledwo rozpoznać, zrozumiałem teraz przerażenie tych ludzi,
gdy się tutaj zjawilem. Najpierw rzuciłem się na dzbanek z kawą, potem zaspo-
koilem swój głód chlebem. O, jak dobrze może smakować suchy chleb! Żeby
tylko go się zawsze miało! Stąd napisałem pocztówkę do państwa Steller, do
Sławna. Krótko o ucieczce, o gipsie, itp. Ta kartka z polskim adresem dotarła do
nich. Oh, jak dobrze mi było w tym przytułku! a jeszcze lepiej, gdy zdjąłem
swoje buty, skarpety parowały, ujrzałem w nich dwie duże dziury, nie rzucały
one się mocno w oczy przy tak czarnych stopach. Ciepłą wodą zmyłem cały
brud ze zmęczonego ciała. Wyszczerbionym grzebieniem przeczesalem włosy.
Mimo wszystko, cóż za wspaniałe uczucie! Gospodyni położyła na swej kanapie
zupełnie innego człowieka, aniżeli tego, którego przywitała w drzwiach. Dosta-
łem ciepły koc i miałem długo spać.

Ciągle był wtorek, 20 listopada 1945 roku. Około 10.00 wydostałem się z mili-
cyjnego więzienia, teraz była 14.00. Musiałem się pożegnać, nie miałem zbyt
dużo czasu. Byłem wolny, ale miałem przed sobą marsz przez całe miasto. Mu-
sialem pokonać też tzw. „granice”, było to dla mnie trudne zadanie. Ten po-
cziwy, emerytowany pocztowiec dał mi wiele rad, które mi się potem bardzo
przydały. Jak to dobrze, że go spotkałem. Bez niego wcześniej, czy później do-
znałbym kolejnego nieszczęścia. Gdy spałem, on narysował mi dokładny plan,
wg którego miałem maszerować. W ten sam sposób pomógł już wielu rodakom.
Miał bardzo dobre rozeznanie w tej części Szczecina. Talerz cienkiej zupy, ser-
deczne pożegnanie z tymi dobrymi ludźmi i udałem się w drogę. Potrzebowałem
aż dwie godziny, by wydostać się z miasta. Laska i kapelusz znowu powędrowa-
ły do nogawki, płaszcz pod pachę. Nie wolno mi było nikomu dać się rozpoznać.
Włókłem się przez Szczecin, jak bezdomny pies. W każdym umundurowanym
widziałem strażnika z więzienia. Im bliżej byłem krańca miasta, tym mocniej bi-
ło mi serce. Naszkicowany plan był dobry. Rozpoznawałem ważniejsze punkty -
jednym z nich było miejsce, gdzie podczas wojny pracowała Magda Georg.
Jeszcze trochę i miałem - dzięki Bogu! - Szczecin poza sobą. Nigdy nie myśla-
łem, że będę musiał tu przeżywać takie smutne chwile. Z wielką rozterką w ser-
cu zbliżałem się do Möhringen, najbliższej wsi za miastem. Strach był mniejszy,
ponieważ nie widziało się tu Polaków na ulicy, ale było za to pełno radzieckich

żołnierzy. Ich nie interesowało w ogóle, skąd pan Mielke przybywał i dokąd zmierzał. Dla wielu ta droga dzisiaj stała się przeznaczeniem. Następną wioską było Neunkirchen. Obok mnie przejeżdżał wozem niemiecki gospodarz. Widział, że utykałem, więc zabrał mnie na wóz. Wieś ta była typowo chłopską osadą i leżała ca. 2 km od „granicy”. Na gospodarstwach byli tu nadal niemieccy chłopci. Podobnie jak dawniej, uprawiali swe pola. Wszystko w tej okolicy wydawało się być unormowane. Byłem szczęśliwy, że udało mi się wydostać z terenów polskich interesów. Obecnie panował tu nadal radziecki Oberst Fedorow, był komendantem miasta i wszystkich zachodnich dzielnic i okolic Szczecina. Ale już niedługo i te okolice miały zostać przekazane w polskie ręce. W Neunkirchen zrobiłem krótką przerwę. Szczerze sobie na nią zasłużyłem. Na planie, w tym miejscu podany był adres pewnego gospodarza - do niego miałem się udać. Uczyniłem to. Przekazałem pozdrowienia od współorganizatora mojej ucieczki. Córka owego gospodarza zaserwowała mi chleb z masłem i mleko. Ledwo co mogłem w to uwierzyć! Dostałem też jeszcze trochę jedzenia na drogę. Właściciel uzupełnił mój plan, podał kilka dokładnych wskazówek aż do „granicy” i określił dokładne jej przejście. Ziemia aż do tego miejsca należała do niego. Nic dziwnego, że znał tu każdy zakątek. Prawie każdego wieczora ktoś przekraczał w tej wsi „granice”, by zaraz następnego dnia wrócić. „Po drugiej stronie” robili zakupy, jeszcze za niemieckie pieniądze. Odczekałem rozdrażnienie, nie mogłem opanować zdenerwowania. Ludzie ci zauważyli to i podbudowywali mnie na duchu. Wyruszyłem około godziny 17.00, w dłoni trzymałem plan. Była typowa listopadowa pogoda. Najchętniej życzyłbym sobie mgłę, ale gospodarz był zdania, że podczas ucieczki potrzebna jest dobra widoczność. Mgła miała zalety i wady, te drugie w tym przypadku przeważały. Znowuż się czegoś nowego nauczyłem, byłem mu wdzięczny za każdą radę. Nie byłem pewien, czy miała to być moja ostatnia ucieczka. Musiałem teraz pokonać dwa kilometry. Musi mi się udać! Całą swą siłę i energię skupiłem na ostatnich metrach pomorskiej ziemi. Z ostatniego domu w Neunkirchen wyglądała przez okno młoda dziewczyna. W takich sytuacjach stawałem się nawet przesądny: był to dobry znak? Domyślała się widocznie, dokąd zmierzam, wyniosła mi jeszcze kromkę chleba, życzyła powodzenia, mówiąc: „połamania karku!”

Od momentu ucieczki ze szczecińskiego więzienia los był dla mnie pomyślny, nawet natura była po mojej stronie. Mały sosnowy lasek osłaniał drogę z obu stron. Piaszczyste podłoże przypominało mi Jarosławiec, gdy niegdyś na wydmach wdychaliśmy zapach sosen i świerków. Ten skrawek przygranicznego terenu był bardzo piękny, ale i zarazem smutny. Myśli zostały szybko spłoszone przez gorzką rzeczywistość. Wojenne piekło już się zakończyło, formalny pokój trwał „już” od sześciu miesięcy, a wielu ludzi trwało wciąż w zwątpieniu, które było zbyt duże, jak na małe serce człowieka. I ja należałem do tych cierpiących, którzy z bólem i ze strachem, niepewni jutra, zmierzali w zachodnim kierunku. Był to długi i wyczerpujący marsz. Długo trwało, zanim dotarłem do ludzi, którzy nie musieli uciekać. Ostrożność była nadal zalecana, lasek sosnowy mógł przecież być naszpikowany polskimi patrolami. Zapadł już wieczór nad „ziemią

niczyją”, połknął dzień, który dla mnie nie należał jeszcze do wygranych. Położyłem się na ziemi i rozejrzałem dookoła. Na planie byłznaczony dom. Ostatni budynek przed „granicą”, nadal zamieszkały przez Niemców. Z tego miejsca miał nastąpić mój decydujący krok do wolności. 70 metrów za domem przebiegała droga Szczecin – Pasewalk, w tym miejscu byłaznaczona granica. W odległości 150 metrów widziałem przed sobą wcześniej wspomniany budynek. Jego mieszkańcy zdawali sobie sprawę z tego, że dla wielu Niemców miejsce to miało decydujące znaczenie. I oni obserwowali okolicę i służyli uciekinierom pomocą. Z piętra domu ktoś wyglądał przez okno, zapewne mnie już zauważył. Mój wzrok utkwiał w tym punkcie. Ten ktoś kiwnął dłonią. Poczłgałem się kilka metrów naprzód, wtuliłem się w zagłębienie po eksplozji granatu. Pewien jednak nie byłem, czy to kiwnięcie było do mnie skierowane, trudno było to w mroku rozpoznać. Miało ono oznaczać: „Chodź!”, czy „Nie ruszaj się z miejsca!”? Powoli wydostałem się z niecki, badawczo rozejrzałem na wszystkie strony. Nikogo nie widziałem, spojrzałem ponownie w okno budynku. Kiwanie stało się bardziej intensywne. Wzrok mój przyzwyczał się już powoli do ciemności. Coś mi podpowiadało, że w pobliżu czyha jakieś niebezpieczeństwo. Lepiej będzie, nie ruszać się z miejsca. Ciałem przywarłem mocno do ziemi, postanowiłem odczekać i zachować ostrożność. Czułem się, jak w okopach na froncie. Było to już dawno temu - i tym razem dziura w ziemi miała mnie chronić przed tragedią. Pies podwórzowy zaczął szczekać, jeszcze tylko tego brakowało! Ale on chyba nie wiedział, że 150 metrów dalej ktoś leży na ziemi, spocony ze strachu. Z tej odległości nie potrafił odróżnić wroga od przyjaciela. Na podwórzu gospodarstwa zobaczyłem dwóch polskich żołnierzy - rozmawiali z jakąś kobietą. Być może, że tylko rozmawiali i mieli zamiar, zaraz odejść. Miejmy nadzieję, że droga będzie dla mnie zaraz wolna. Ostrożnie uniosłem głowę - rzeczywiście, żołnierze ci opuścili zagrodę. Szli drogą, dokładnie w moim kierunku. Zaciśnąłem w dłoniach piach, nerwowe sekundy przyprawiły mnie o szaleńcze bicie serca. Całe ciało drżało, w uszach tętniła mi krew. Te sekundy trwały teraz całą wieczność. Czy miało się okazać, że swoje życie zakończę w uścisku matki ziemi? Jeszcze gorzej by było, gdybym nie natrafił na to zagłębienie. O, jakże byłem losowi za to wdzięczny! Odgłosy kroków stawały się coraz głośniejsze, nie do zniesienia! Zaraz miał nastąpić decydujący moment. Tym 150 metrom nie było końca. Jeżeli któryś z tych żołnierzy spojrzy, choć na krótko, w to zagłębienie, będzie już po mnie, cały wysiłek nadaremnie! Całym sobą usiłowałem zachować spokój, oddychałem tylko tyle, na ile tylko było to potrzebne. Na około 20 kroków przede mną żołnierze skřęcili w bok... Szczęście, że nie mieli przy sobie psa, na pewno by mnie wywęszył. Zmoczony potem wyrzłem kilka centymetrów w górę. Polska „straż graniczna” zniknęła w sosnowym lasu. Jeszcze moment i cały koszmar miał swój koniec. Mieszkańcy budynku obserwowali całe zajście, ktoś znowu kiwnął przez okno. Widziałem falujący kawałek białego materiału. Czułem, że miało to teraz oznaczać: "droga wolna!". Czołgałem się jeszcze przez moment, potem wstałem i utykając pobiegłem w stronę podwórza. Owczarek nie przywitał mnie życzliwie. Nic dziwnego, wyglądałem okropnie. Z

domu wyszedł mężczyzna z kobietą - i oni drżeli o mój los. Moje szczęście, że właściwie zrozumiałem ich ostrzeżenie. W całym tym przedsięwzięciu było tyle nie przewidzianych szczegółów, których wcześniej nie było sposób wkalkulować w plan. Także i to, że psa nie można było uspokoić. Szczekał i szczekał, uwiązany na łańcuchu przy budzie. Wstrętne psisko! Żołnierze przecież nie byli głusi, mogli usłyszeć to szczekanie i zawrócić. Zostało mi jeszcze 20 minut, by „przeskoczyć”. Za tyle mieli się ponownie zjawić graniczni strażnicy. Oboje Niemcy, zamieszkujący ostatni dom przed nowo utworzoną granicą, byli zadziwiająco odważni. Twierdzili, że czynią to chętnie, bo może już jutro i oni znajdą się w potrzebie. Niczego nie miałem przy sobie, a tak bardzo chciałem się im odwdziżyć. Do końca nie poznałem ich nazwiska. Swą wdzięczność wyraziłem przez silny i serdeczny uścisk dłoni, który był zarazem pożegnaniem z nimi. Nie ma mocnych na przypadki losu. Pozostało mi już tylko 70 metrów. Ten krótki odcinek był niebezpieczny, ponieważ był bardzo widoczny. Nic nie zostało mi zaoszczędzone, z nogą w gipsie czołgałem się metr po metrze po mojej ukochanej pomorskiej ziemi. Ostatkiem sił dotarłem do trasy Szczecin-Pasewalk, przywarłem twarzą do ziemi, przytuliłem się do niej i ucałowałem. Po raz ostatni! W ostatniej chwili przyszła mi ciemność z pomocą. Całym sobą skoncentrowałem się na skoku przez drogę, którą kontrolowali polscy strażnicy na rowerach. Już tylko 10 metrów dzieliło mnie od wolności! Wykonałem kilka zdecydowanych susów i znalazłem się po drugiej stronie drogi. Udało się! Reszta była milczeniem.

Jeszcze raz dane mi było,
móc cieszyć się tą szczęśliwą chwilą.
Raz jeszcze doznałem w tym zamęcie,
że móc żyć - oznacza wielkie szczęście.
To nie za dużo, to jest do zniesienia,
doznać rozkoszy życia, zamiast jego cierpienia.
Cóż za wielkie szczęście, błogosławię tę chwilę,
dzięki, wielkie dzięki za to, że jeszcze żyję!

U moich stóp leżała droga do Pasewalk - mały skrawek nowej, „pokojoyej granicy”. Wielcy tego świata proklamowali ją wraz ze światowym pokojem. Ten wyczyn miał funkcjonować na zawsze. Miał to być dla Niemców drugi Wersal? Mimo wszystko musiałem się gdzieś schować. Polscy żołnierze jeździli wzdłuż szosy, w ciemności nie mogli mnie ujrzeć.

Byłem wykończony fizycznie i psychicznie - oblepiony błotem doznawałem wielkiego uczucia wolności! Brutalność i sadyzm, jak dotąd nie onieśmieliły mnie. Nieprzespane noce, radzieckie uderzenia kolbami, polskie pięści, przemoc i gwałcenie ludzkich praw, poniżanie - nie powaliły mnie zupełnie na kolana. Do końca swej długiej i ciężkiej wędrówki, jako obywatel niemiecki, nie splamiłem swego honoru, ocaliłem swą twarz. Byłem bardzo zmęczony, moje nogi były jak z waty, ledwo się mogłem na nich prosto utrzymać. Krótka przerwa po ucieczce dobrze mi zrobiła.

Tego wieczora 20 listopada, z wielkim bólem w sercu przesłałem kilka głuchych

pozdrowień we wschodnim kierunku, w kierunku mego rodzinnego miasta. Także kilkaset kilometrów dalej zapadły już ciemności nad wypaloną ziemią, nad wsiami i miastami, nad grobami wielu zmarłych.

„Pommerland ist abgebrannt”²²¹ - tak śpiewaliśmy kiedyś, jako małe dzieci. Nie mieliśmy pojęcia, co to jest wojna i pożary, wówczas odnosiliśmy zwycięstwo za zwycięstwem. Teraz Polak rządzi naszym Pomorzem. Tak bardzo bym chciał, by była to nieprawda!

Na horyzoncie widziałem kilka świateł ze Szczecina, miasta w którym dotąd nie zostało jeszcze nigdy przelanych tyle łez, co w tym 1945 roku.

„A więc żegnaj, ukochana ojczyzno!” - to początek piosenki, której nauczyliśmy się z nauczycielem Bahrem w pierwszej klasie. Teraz przypomniła mi się ona, wśród nieprzyjemnej, nocnej ciszy. Jako dzieci chętnie ją śpiewaliśmy, nigdy jednak nie zastanawiając się nad jej głębokim sensem. „Po strachu i zmęczeniu nadchodzi spokój i zapłata” - przysłowie, które w tej sytuacji zatraciło swe znaczenie. Zasłużyłem na zapłatę - była nią utęskniona wolność, ale o spokoju nie było na razie mowy. Nie miałem wypoczynku, krzesła, by usiąść, łóżka - by się wyspać, cieplej izby - jako przytułku. Nie tylko ostatnie dni pokazały mi, jak ciężkie i okrutne potrafi być życie. Życie jest jak wichura, która pomiata człowiekiem i rzuca go po różnych zakątkach. Szedłem dalej obcymi drogami, w mroku nocy nie można było dokładnie zbadać okolicy. Byłem cały w napięciu, moje myśli kierowałem do najbliższych. Kiedy i gdzie miałem ich ponownie spotkać? Zimna listopadowa noc była bardzo ciemna, ledwo mogłem cokolwiek rozpoznać. W pobliżu drogi stało kilka budynków, żadnego światła, żadnego szmeru. Prawdopodobnie były one już przez swych właścicieli opuszczone. Nagle dostrzegłem kilka cieni, które dopiero z bliskiej odległości były do zauważenia. Na wszelki wypadek skryłem się za drzewem, coś mi się tutaj nie podobało. Cienie zniknęły w budynkach, ja nie miałbym odwagi do nich wejść. Zobaczyłem nikły blask latarki i usłyszałem kobiece głosy. Obładowane pościelą, zawróciły zaraz pośpiesznie. Dałem im się rozpoznać, gdy stwierdziłem, że są to Niemki. Opowiedziały mi, że było już tu dalej niemożliwe pozostać. Po zapadnięciu ciemności grasowały polskie bandy, jak barbarzyńcy. Bez pardonu przekraczały aktualnie obowiązujący pas graniczny i rabowały, co się tylko dało. Przystopowali tam, gdzie niemieccy gospodarze wychodzili im naprzeciw z bronią w ręku. Te odważne kobiety prawie każdego wieczora przedzierały się do swych domów, by uratować jak najwięcej ze swego dobytku. Poradziły mi, bym jak najszybciej stąd zniknął. Jednostki milicyjne często przekraczały granicę. Szukali silnych mężczyzn do uprzątnięcia Szczecina z gruzów. To łamanie przepisów było na porządku dziennym. Nie miałem tu żadnego rozeznania, zdecydowałem się więc posłuchać rad kobiet. Moim następnym celem był dworzec na stacji kolejowej: Grambow. Była to pierwsza stacja za granicą, na trasie Szczecin-Pasewalk. Zrobiła się już północ, gdy tam dotarłem. Niemieccy pracownicy kolejni natychmiast mnie ostrzegli, miałem mieć oczy i uszy na wszystko

²²¹ „Spalił się kraj pomorski”

otwarte. Byłem szczęśliwy, że na tej małej stacyjce kręcili się wokół mnie moi rodacy, że nie musiałem już słuchać obcej mowy. Już miałem przedsmak tego, że częściowo osiągnąłem cel swej ucieczki. Była teraz noc z 20 na 21 listopada - i tym razem nie było mowy o spaniu. Nerwy były nadwreżone i utrzymywały zmęczenie. Z rozkładu jazdy wynikało, że najbliższy pociąg do Pasewalk miał odjechać o 2.00 w nocy. Przeczekaliśmy obok dworca, schowany za szopą. Nigdy nie wiadomo, co się jeszcze mogło przytrafić. Na dworcu zjawiało się coraz więcej ludzi. Niektórzy z nich byli tymi, którzy przeszli przez męczarnie na „granicznej stacji” Szczecin-Gumieńce. Udało im się wybrnąć z tego piekła i tylko z tym, co mieli na sobie, wylądowali tu, w Grambow. Rozmawiałem z kilkoma rodakami, opowiedzieli mi o tych okropnościach. Naturalnie myślałem w tym momencie o moich krewnych, którzy też musieli przez to przejść. Czy czekali na mnie jeszcze w Berlinie, czy też udali się już dalej? Dla mnie wskazany był teraz pośpiech, o ile chciałem ich dogonić. Bardzo ciężko przyszło mi, wydobyć spod gipsu kilka banknotów, chciałem za nie kupić bilet.

21 listopada, środa

W porannych godzinach 21 listopada zjawiał się wreszcie utęskniony pociąg. Z daleka było słyhać, jak ciężko dyszy. Napelniony po brzegi pasażerami, wjechał na dworzec w Grambow. Nas, kilku ludzików bez bagażu, wcisnęło się jeszcze do przepełnionych przedziałów. Nikomu tu nie groziło, że upadnie na podłogę. Na twarzach rodaków nadal malował się strach. Naokoło widać było tylko blade z cierpienia i przerażenia oblicza. Kobiety i dzieci płakały, oczy matek były puste i zmęczone, obojętnie patrzyły w pustkę. Na obolałym ciele zwiślały brudne łachmany. Głód i pragnienie nękały żołądek. Te smutne postacie były gotowe stawić czoła kolejnemu nieznanemu dniu. Ja byłem tylko jednym spośród milionów w tym potężnym potoku cierpienia i zwątpienia, otoczony chaosem, panującym nad naszym krajem. Zostaliśmy wyrwani z ojczyzny wraz z korzeniami.

Na dworze zaczynało dzień. W szarówce poranka, około 5.00 przybyliśmy do Pasewalk. Poczekalnia pękała w szwach. Troska o najbliższych była silniejsza od zmęczenia. Jak tu najszybciej dostać się do Berlina? Na myśl przyszedł mi Greifswald. Krótco przed naszym odjazdem ze Sławna, wrócił do domu Erich Arndt, chciał zabrać ze sobą swoją rodzinę. Od niego też dowiedzieliśmy się, że ten sam zamiar miał Heinz-Günter Jürs, ale zachorował w Greifswaldzie. Mąż zmarłej kuzynki Ursel dowiedział się od codziennie napływających uciekinierów, że my także już jesteśmy w drodze. Często wyglądał na dworcu, czy nie zobaczy kogoś ze Sławna, a może nawet kogoś z nas. Jak na zamówienie, stał Heinz-Günter przy barierce, gdy wczesnym rankiem, 21 listopada, przybyłem do Greifswaldu. Dla nas obu to nieoczekiwane spotkanie było bardzo radosnym wydarzeniem. Heinz-Günter zaprowadził mnie natychmiast do swej gospodyni. O opowiadaniu nie było na razie mowy. W tej chwili marzyłem o czterech rzeczach: myciu, jedzeniu, piciu i spaniu! Na kilka godzin zapomniałem o całym bożym świecie.

22 listopada, czwartek

Tego dnia przed południem nastąpił dla mnie wielki moment: zdjęliśmy gips z mojej nogi. Jakaż ulga! Udało mi się przemycić kilka kosztowności. Nie ze wszystkiego dałem się Rosjanom i Polakom okraść. Miejmy nadzieję, że nie za wcześnie go zdjąłem - z Greifswaldu do Flensburga było jeszcze bardzo daleko. W rataszu załatwiłem sobie nowe papiery. Wszystkie moje dane zapisano „na słowo honoru”. Obywatelstwo: nie dowiedzione. Znaki szczególne: blizny na całej prawej stronie ciała. Swoje dokumenty zawdzięczałem pewnej młodej, miłej damie, która odsunęła na bok całą biurokrację i potraktowała mnie po ludzku. Znowu więc byłem „kimś” - temu faktowi byłem bardzo wdzięczny. Przy placu rynkowym wszedłem do salonu fryzjerskiego, było to konieczne. Doznałem dziwnego uczucia w żołądku, gdy po mojej prawej i lewej stronie zasiedli na fotelach radzieccy oficerowie. Fryzjer mnie szybko uspokoił. Następnie odwiedziłem jeszcze szybko wraz z Heinzem-Günterem Jürsem kilka rodzin, przybyłych ze Sławna, m.in. państwa Schade. Wszyscy chcieli się ode mnie dowiedzieć czegoś nowego. Prawie każdy dom miałem jeszcze dokładnie w głowie.

23 listopada, piątek

Pani D., nasza greifswaldzka gospodyni, miała dobre układy z niemiecką koleją. Załatwiła ona nam nie tylko kompletne kolejarskie mundury, ale także bilety na „służbowy” przejazd z Greifswaldu do Flensburga. Tak, to była tzw. nowa „witamina B²²²”, z którą miałem tu po raz pierwszy do czynienia. Zaoszczędziliśmy pieniądze i nie musieliśmy gnieździć się w zatłoczonych wagonach - korzystaliśmy bowiem ze służbowego przedziału. Unikaliśmy ewentualnych fachowych rozmów z naszymi „kolegami” z kolejnictwa, po prostu głęboko zasnęliśmy.

24 listopada, sobota

24 listopada, o 22.30 przybyliśmy na Dworzec Szczeciński (Stettiner Bahnhof) do Berlina. Biedny Berlin, pierwsze wrażenie owego nocnego spotkania było smutne. Już wcześniej wiedzieliśmy, że i to miasto bardzo ucierpiało. Przemierzaliśmy ciemne ulice w poszukiwaniu jakiegoś schronienia - i stało się! Wpadliśmy wprost w ramiona radzieckiego patrolu. Zostaliśmy z Jürsem aresztowani pod zarzutem zakłócenia, obowiązującej godziny policyjnej. Spokojnie daliśmy się radzieckiej wojskowej policji odprowadzić. Nasze kolejarskie mundury zrobiły wrażenie, w wartowni nastąpiło krótkie przesłuchanie - przekonywaliśmy policję, że wracaliśmy spóźnieni ze służby i chcieliśmy szybko znaleźć dla siebie jakiś nocleg. Zwolnili nas. Rosjanie mieli nawet wyrzuty sumienia, że obciążyli ciężko spracowanych kolejarzy. Jako odszkodowanie dostaliśmy od nich kilka papierosów. Obok wartowni było schronisko, tu przydzielono dwóm kolejarzom dwuosobowy pokój. W białych łóżkach znaleźliśmy po niespokojnej nocy zasłużony spokój. Mieliśmy szczęście, że przesłuchanie miało taki koniec. Mogli przecież przeszukać nasze plecaki i znaleźć kawałki złota, wcześniej przemyczone w gipsie. Wszystko byłoby na nic!

25 listopada, niedziela

Zaraz wczesnym rankiem pojechaliśmy do Adlershof - w radzieckim sektorze.

²²² B=Bekanntschaft = znajomość, przyp. tłumacza

Dzięki Bogu, tam odnaleźliśmy naszych najbliższych! Tak, jak się umówiliśmy, trafili oni do cioci Lotte i wujka Ericha Storbecka. Było to spotkanie, zroszone mnóstwem łez radości. Gdy ciocia Lotte otworzyła nam drzwi, w pierwszym momencie mnie nie poznała, ale zaraz nastąpił głośny okrzyk radości. Nie mogli w to uwierzyć, że udało mi się w końcu do nich dotrzeć. Byliśmy więc znowu razem. Także Heinz-Günter Jürs mógł gorąco uściskać swą małą córeczkę. Wujostwo Klemz rozplakało się - nie było wśród nas ich córki, Ursel, nie mogła cieszyć się z faktu przybycia męża. Łzy bólu przeradzały się powoli w łzy szczęścia, cieszyli się, że ich zięć przeżył i że mała Gudrun miała znowu przy sobie swego tatę. Wieczorem wróciliśmy pośpiesznie do naszego schroniska, w pobliżu Stettiner Bahnhof.

26 listopada, poniedziałek

Babcia, siostra, rodzina Klemz i pani Künkel z dziećmi zostali przyjęci do obozu przejściowego dla uciekinierów w Reichssportfeld. Wolno im było opuszczać ten obóz tylko w celu odwiedzenia krewnych w obrębie Berlina. Mieliśmy z Jürsem szczęście, że udało nam się jeszcze ich zastać tu, w obozie. Po południu, 26 listopada, wraz z całym transportem mieli opuścić berliński dworzec Grunewald. Dostali już potrzebne dokumenty, mieli zostać przetransportowani w kierunku Hannoveru. Z obozu do dworca jechali samochodami, w towarzystwie angielskich żołnierzy. Transporty te, do końcowej stacji: „strefa brytyjska”, były przez Anglików dobrze zorganizowane. Żołnierze rozdali uczestnikom ich dokumenty podróży oraz dobry prowiant na kilka dni. Przesiadka uciekinierów z ich niewielkim dobytkiem, do czystych wagonów, była kontrastowym obrazem w stosunku do radzieckiej i polskiej gospodarności. Czystość, opanowanie, ale i rezerwa - działały uspokajająco na przesiedleńców. Nasza dzielna babcia wypoczęła trochę u cioci Lotte. Ta berlińska ciocia, z domu Höftmann, sławieńskie dziecko, była wzorem miłości do bliźniego. Jej jedyny syn zginął na froncie wschodnim - w wyniku nalotów bombowych w Berlinie straciła wiele ze swego dobytku. Mimo to miała zawsze dla każdego jakiś drobiazg w zanadrzu. Jeden dziedziczył krawat lub szal, drugi ręcznik lub jakąś część odzieży. Jak tylko mogła, ubrała babcię, uwalniając ją z łachmanów. Wielkie dzięki dla tej małej, delikatnej kobiety z wielkim sercem. Beze mnie i bez Jürsa opuścili nasi krewni Berlin. My nie należeliśmy do tego obozu, więc dołączenie nie było możliwe. Próba nielegalnego wejścia do pociągu mogła pociągnąć za sobą nieprzyjemne konsekwencje niemieckiej i angielskiej policji, która nadzorowała teren dworca. Tylko posiadacze czerwonej karty brytyjskiego zarządu wojskowego mogli wejść na peron i wsiąść do pociągu. Dlatego też musieliśmy naszym rodzinom pozwolić dalej samym podróżować. Na dworcu dowiedzieliśmy się od naszych „kolegów” kolejarzy, że następnego dnia, o tej samej porze i w tym samym kierunku, odjedzie następny pociąg.

Noc spędziliśmy u krewnych w Adlershof. Zaplanowaliśmy, że następnego dnia osiągniemy nasz cel: „strefę brytyjską” - legalnie lub nie.

27 listopada, wtorek

Wczesnym popołudniem, z porcją optymizmu w plecaku, zjawiliśmy się znowu

na dworcu Grunewald. Pociąg był już podstawiony, w przedziałach siedzieli wygnańcy. Przed ewentualnymi pasażerami na gapę strzegła niemiecka policja. Paczka papierosów mogła w tych czasach otworzyć jeszcze niejedne drzwi i bramę, ale chcieliśmy ten rarytas zachować na szczególnie ciężkie chwile. W tej sytuacji postanowiliśmy spróbować bezczelnego sposobu: było nie było, mieliśmy na sobie kolejarskie mundury i tym samym prawo wejścia na teren dworca. Udało się! Żaden policjant nas nie skontrolował! Do odjazdu transportu pozostała jeszcze godzina. Na przeciwnym torze stał inny pociąg z pustymi wagonami. Nie mieliśmy pojęcia, co to za jeden. Błyskawicznie wdrapaliśmy się do pustego przedziału i chcieliśmy odczekać, aż transport ruszy. Pasażerów z wagonu z naprzeciwka poinformowaliśmy o naszym planie. W momencie odjazdu drzwi pociągu otworzyły się i potężnym susem wskoczyliśmy doń. Pośród rodaków przemycaliśmy się bez angielskich dokumentów. Z początku przyglądano nam się nieufnie, ale już zaraz byliśmy jednymi z nich. Naturalnie, że byliśmy podeńnerwowani, w końcu nie wiedzieliśmy, czy ta akcja się nam powiedzie. W ten to sposób opuściliśmy nielegalnie, 27 listopada 1945 roku dworzec Grunewald w Berlinie. Wagony kołysały nas w regularnym rytmie. Im bardziej byliśmy w zachodnim kierunku, tym bardziej byliśmy spokojni. Z każdym metrem zbliżaliśmy się do wolności. Potrzebna nam była jeszcze spora porcja szczęścia na granicy radzieckiej i brytyjskiej strefy. Zapadła już noc, w naszym przedziale paliło się kilka świateł punktowych. Dzieci spały w ramionach swych matek. Mężczyźni siedzieli przy świetle i grali w karty. Pociąg zatrzymał się w Stendal, żadnej kontroli. Zaraz za tym miastem miała być granica stref. Zatrzymaliśmy się na małej stacyjce, na zewnątrz było słychać rosyjską mowę, zrobiło nam się trochę nieswojo. Kontrola! Radzieccy żołnierze wyprowadzili już na peron kilku pasażerów na gapę. Nasz wagon nie został naruszony, robiono tylko wyrwykową kontrolę. Odetchnęliśmy z ulgą, pociąg jeszcze jechał przez strefę graniczną około 20 minut. Ten moment był dla nas kolejnym szczytowym punktem w tej przygodzie. Po ryzykownej ucieczce przez „linię na Odrze i Nysie” przedarliśmy się z Jürsem przez kolejną „żelazną kurtynę”, bolesne cięcie między Wschodem i Zachodem. Opuściliśmy zasięg sowieckiej władzy - czy na zawsze? Otworzyła się brama wolności dla setek tysięcy, nie mogłem jeszcze w to uwierzyć. Głębokie zaczerpnięcie powietrza było reakcją na radość z tego, co akurat osiągnęliśmy. Nasz pociąg toczył się przez Ziemię Niczyją. Przy Gifhorn wjechaliśmy w brytyjską strefę, tu osiągnęliśmy nasz cel!

Przeszliśmy przez angielską kontrolę. Była druga w nocy, gdy kontrolerzy weszli do naszego przedziału. Nam było już obojętne, co się tu wydarzy - było bez sensu wyskakiwać teraz z wagonu. pociechą było, że wcale niełatwo było trafić z powrotem do strefy radzieckiej. Wszyscy mężczyźni mieli ustawić się w dwus szeregu. Dwóch Anglików sprawdziło ważność dokumentów. Nasze serca znowu podskoczyły do gardła i słyszeliśmy ich głośne „bum-bum”. Teraz była na nas kolej. Dłonie mieliśmy splecione na plecach. Niech nikt nam nie próbuje wmówić, że cudów nie ma! W naszych dłoniach poczuliśmy banknoty, skąd one się tam wzięły? - w tym momencie nie mieliśmy pojęcia. Staliśmy przed żołnie-

rzami, podaliśmy im te obce papiery... potworne sekundy... pot na czole... i krótkie: „Allright!”²²³ oboje spojrzeliśmy na siebie i wówczas coś upadło na ziemię: były to kamienie z naszych serc!

Kobiety z dziećmi były kontrolowane wrywkowo i już za chwilę Anglicy opuścili nas pożegnalnym: „good night!”²²⁴ Przeskoczyliśmy więc naszą ostatnią poprzeczkę! Teraz byliśmy już „na Zachodzie!”

Okazało się, że naszym zesłannikiem nieba była pewna młoda kobieta z dziećmi. Musiała nas już wcześniej obserwować i domyśliła się, że jesteśmy w wielkiej potrzebie. Nie wiedzieliśmy, jak mamy jej dziękować! Daliśmy jej nasze papierosy, by mogła je na coś innego wymienić. Podziękowaliśmy też wszystkim innym pasażerom za ich solidarność. Dzięki ich moralnemu wsparciu wszystko skończyło się na przyspieszonym biciu serca.

28 listopada, środa

Wraz z Heinzem-Güntherem opuściliśmy ten dworzec, najszybszą drogą chcieliśmy dostać się do Hamburga. Był 28 listopada, środa. Jechaliśmy pociągiem osobowym do Lehrte i potem dalej do Ülzen, tam musieliśmy się przesiąść. Na kolejny pociąg trzeba było poczekać do popołudnia. Czas ten spędziliśmy w ciepłym, służbowym pomieszczeniu dla kolejarzy. Dzień był bardzo szary i ponury, nie było widoku na przejaśnienia. Od kolejarzy dowiedzieliśmy się, że jeszcze tego dnia ma przybyć pociąg z wygnańcami, który dalej miał się udać w kierunku Hamburga. Nie chcieliśmy tej szansy przegapić. Flensburg był już niedaleko od Hamburga. Być może, że uda nam się w tym pociągu spotkać naszych krewnych. Opuścili Berlin dzień przed nami. Pociąg z Ülzen przybył, zanim się zrobiło ciemno - przechodziliśmy z wagonu do wagonu, pukaliśmy do przedziałów i pytaliśmy o sławieńskich wygnańców. Pół Pomorza jechało tym pociągiem, ale nikt ze Sławna. W przedostatnim wagonie usłyszeliśmy znajomy głos, nie wierzyliśmy własnym uszom: to był głos wujka Alla! W przedziale ujrzeliśmy całą rodzinę! To był naprawdę szczęśliwy przypadek. Radość była ogromna, dalej jechaliśmy już razem. Nadgoniliśmy w ten sposób jedną dobę rozłąki. Nasi krewni spędzili poprzedni dzień w obozie przejściowym w Glüsingen, koło Hannoveru. Lodowata noc i to do tego w namiocie, nie była łatwa dla starszych osób i dla małych dzieci. Babcia solidnie się przeziębila, podejrzewaliśmy nawet lekkie zapalenie płuc. W naszym pociągu znowu zrobiło się ciemno. 28 listopada zbliżał się ku końcowi. Monotonny odgłos kół pociągu był dla wszystkich znaną melodią - towarzyszyła ona w tej długiej przeprawie, ciągle jeszcze nie miała ona końca.

29 listopada, czwartek

Następnym celem był obóz zbiorowy w Bad Segeberg/ Holstein. Babcia siedziała skulona w kącie, w półśnie majaczyła, w jej podświadomości jawiły się obrazy koszmarnej podróży do Szczecina. Chwilami głośno krzyczała - próbowaliśmy ją wówczas uspokoić.

²²³ w porządku

²²⁴ dobrej nocy

W Hamburgu był krótki postój, ale nikomu nie wolno było opuszczać pociągu. Nasz cel podróży zmienił się z Segeberg na Pöppendorf k/Lubeki. Niektóre nazwy miejscowości słyszeliśmy po raz pierwszy i nie mieliśmy dokładnego rozpoznania, gdzie one były położone. Później utkwily one na zawsze w naszej pamięci. O drugiej w nocy pociąg wjechał na dworzec w Pöppendorf. Było widać zadowolone twarze wysiadających. W obozie nastąpiło ważne, urzędowe zwolnienie. Każdy dostał talerz gorącego krupniku. Potem zostaliśmy rozdzieleni rodzinami do baraków. Obozem kierowali byli niemieccy żołnierze pod angielskim nadzorem. Obóz był dobrze zorganizowany. Babcia wraz z innymi starszymi ludźmi trafiła do stacji Czerwonego Krzyża - tam siostry zaopiekowały się nią troskliwie. Przed południem nastąpiła rejestracja, była ona połączona z przesłuchaniem niektórych osób. Chodziło tu o polityczne aspekty. Wraz z Jürsem musieliśmy się też tam stawić. Oboje nie należeliśmy do formacji SS - pewien brytyjski oficer nie chciał wierzyć w nasze czyste sumienia i dalej stawiał nam natarczywe pytania. Szczególnie atakował nimi Heinza-Günthera. To, że od Berlina trafiliśmy do tego obozu nielegalnie, od razu wywieszono. Nie posiadaliśmy obowiązujących angielskich dokumentów z urzędu w Berlinie - nasi krewni posiadali je. Uczestnicy obozu mieli zostać rozdzieleni do różnych wsi w Schleswig-Holstein. Dla mnie i dla Jürsa nie było mowy o skierowaniu, nie dostaliśmy też przydziału jedzenia, ani miejsca na nocleg. A więc krótko mówiąc: według angielskich danych i rozporządzeń, mieliśmy zawisnąć w powietrzu i nim żyć. Dotąd pomogła nam kolejarska legitymacja, w tym obozie nie było miejsca do popisu. Nie mieliśmy w niej nawet tego urzędowego wpisu: „wschodni uciekinierzy”. Do tego wszystkiego doszły dalsze przesłuchania, nasza wolność była nadal pisana palcem na wodzie. Nie powinno się dać dwa razy ukąsić przez tego samego węża. Zarzucano nam, że bezprawnie nosimy mundur kolejarski i posługujemy się legitymacją służbową. Postanowiliśmy jak najprędzej opuścić ten obóz i udać się bezpośrednio do Flensburga. U siostry chcieliśmy przygotować dla wszystkich kwatery i załatwić dla siebie wszelkie potrzebne formalności. Potrzebowaliśmy zezwolenia na wprowadzenie się. Dopiero wtedy mogliśmy otrzymać kartki na żywność - bez nich ciężko byłoby żyć.

30 listopada, piątek

Znowu nastąpiło pożegnanie – tym razem byliśmy o tym przekonani, że będzie ono na krótko. Założyliśmy, że za dwa dni uda nam się dostać do Flensburga. W ciemności pokonałem z Jürsem płot z drutem kolczastym i pomaszerowaliśmy w kierunku Lubeki. Wieczorem odwiedziliśmy jeszcze rodzinę Hansa Preußa - swego czasu naszą sławieńską centralę, do której prowadziły wszystkie ścieżki, do jego drzwi pukało wielu, z nadzieją, że uzyska informacje o swych najbliższych. Zdaliśmy u niego relację i niedługo potem pociąg wiozł nas już pośród nocy z Lubeki do Eutin, tam, w stercie słomy powitał nas poranek. Przez Kiel i Eckernförde dotarliśmy 30 listopada 1945 roku do naszej końcowej stacji, do Flensburga.

4.12 Grudzień - Nowe życie na Zachodzie

Owe kilka godzin do świtu spędziliśmy w poczekalni. Już o 5.00 rano, 1 grudnia, trafiliśmy do pani Anni Lühr, Toosbüstr. 31. Wędrowanie się zakończyło. Sławno-Flensburg, to była długa podróż: potrzebowaliśmy na nią 14 dni - 336 godzin. Odyseja między życiem a śmiercią, między więzieniem a wolnością. Byliśmy już skrajnie wyczerpani. W pełnym tego słowa znaczeniu, dotarliśmy do upragnionego portu. Tym samym zakończył się dla nas szalenie ważny rozdział w życiu, miejmy nadzieję, że ten nowy będzie dla nas pomyślniejszy.

Potrzebowaliśmy teraz wewnętrznego spokoju i drugiej ojczyzny, w której można się będzie zadomowić. Doświadczenia nauczyły nas skromności i zadowolenia z drobnych rzeczy. Silną wolą musieliśmy pokonać ból po stracie najbliższych i przede wszystkim być wdzięcznym losowi za to, że mogliśmy się tu teraz czuć bezpiecznie, móc spać spokojnie - bez ciągłego strachu przed terrorem. We Flensburgu rozpoczęła się teraz wędrówka po urzędach. Miałem zamiar pozostać w tym mieście. Codziennie odwiedzałem urzędy i starałem się o umożliwienie sprowadzenia do siebie rodziny, niestety, nie odniosłem sukcesu. Okazało się, że czas mojego pobytu w tym mieście jest ograniczony. Co kilka dni musiałem przedłużać tymczasowe zameldowanie. To, że wraz z Jürsem otrzymaliśmy kartki na żywność, zawdzięczamy naszemu rodakowi, pochodzącemu ze Sławna. Szczęśliwie się złożyło, że to on był odpowiedzialny za przydział bonów. Gdy zjawialiśmy się w urzędzie, witał nas zawsze promiennym uśmiechem. Tak oto udawało nam się utrzymywać na powierzchni wody, często też jedliśmy w kuchni Czerwonego Krzyża, w obozie baraków, przy dworcu. Byliśmy bardzo wdzięczni za talerz ciepłej zupy. Codziennie napotykalismy na jakieś trudności, ale nie było to nic tragicznego. Oboje zbyt wiele przeszliśmy, by móc się łatwo załamać.

Flensburg podobał mi się, chętnie bym tu pozostał, ale...? Brak mieszkań był kolosalny. Pani Lühr - nazywaliśmy ją ciocią Anni, chętnie mnie przyjęła, ale na dłuższą metę było to niemożliwe. Do mojej codzienności wtargnął poważny problem. Los po raz kolejny rozdzielił naszą rodzinę. 30 listopada moja siostra i państwo Klemz musieli razem z całym transportem opuścić obóz w Pöppendorf, zostali przydzielani do różnych wsi w okręgu Eckernförde. Babcia trafiła tego wieczora do szpitala w Lubece. Okazało się, że doznała lekkiego zawału serca. Brigitte chciała koniecznie przy niej pozostać, ale kierownictwo obozu nie pozwoliło jej na to - musiała dołączyć do transportu i trzymać się urzędowych poleceń. Czasy nie były łaskawe, trzeba było respektować obowiązujące przepisy. Więcej szczęścia miała pani Künkel. Jej mała córeczka trafiła też do szpitala, ale jej, jako matce wolno było pozostać przy dziecku. Gdy 29 listopada żegnałem się z babcią w obozie Pöppendorf, nie wiedziałem, że czynię to po raz ostatni. Noc z 30 listopada na 1 grudnia 1945 roku, w szpitalu w Lubece, była ostatnią nocą w jej życiu. Wczesnym rankiem, 1 grudnia pogrążyła się w głębokim, wiecznym śnie, znalazła swój cichy koniec. Pani Künkel, która przed południem odwiedziła swe dziecko w szpitalu, dowiedziała się od pielęgniarki szczegółów. My usłyszeliśmy o tej tragedii o wiele później. Pocieszał nas tylko jeden fakt, że

babcia miała lekką śmierć. Zmarła zawsze była swym sercem przy nas wszystkich, a teraz, gdy umierała, nie miała nikogo z nas przy swym łóżku. Tyle razem z nami wycierpiała! To była dosłownie ostatnia stacja w jej podróży. Ta 84-letnia staruszka chciała tak bardzo umrzeć w swych rodzinnych stronach i tam zostać pochowana. Ale to śmierć wybiera miejsce i czas dla nas, nie my. Życie babci było w ostatnich tygodniach i miesiącach 1945 roku nasycone smutkiem po zmarłych z naszej rodziny i troską o żyjących. Jej ostatnie słowa, których, niestety, nie słyszeliśmy, a które nam powtórzono, dotyczyły mojej siostry, a jej wnuczki. Najmłodszy członek naszej rodziny był jej szczególnym ulubieńcem. W największym niebezpieczeństwie była babcia dla Brigitte jej Aniołem Stróżem. Nasza „Buchwaldzka” babcia, urodzona 20 września 1861 roku w Biesowcu, zmarła 1 grudnia 1945 roku w Lubece.

Ten, kto tak jak ona żył,
kto jak ona spełniał swe obowiązki,
ten oddał innym, co najlepsze -
taki ktoś nie umiera od śmierci!

Życzymy ci zasłużonego pokoju.
Nasze serca są pełne smutku.
Największym naszym bólem było
widzieć cię cierpiącą i nie móc ci pomóc!

W tych dniach zanotowano wiele śmiertelnych przypadków. Umarły nie tylko starsze osoby, ale też kilkoro małych dzieci. Dość dużo współtowarzyszy niedoli towarzyszyło babci w jej ostatniej wędrówce. Jej końcową stacją okazał się cmentarz w Lubece. Był to ostatni akt tego tragicznego spektaklu, pełnego cierpień i upadku prawie całej rodziny, z której pozostałem tylko ja i Brigitte. O bracie nie dochodziły do nas żadne słuchy. Wielkiemu smutkowi towarzyszyła niepewność na najbliższe dni. W swoim pamiętniku postawiłem już czwarty krzyż przy imionach rodziny: rodzice, kuzynka Ursel i teraz babcia.

Nie mogło się spełnić życzenie państwa Klemz: otrzymać zezwolenie na wprowadzenie się do Flensburga. Wszystkie miasta, należące do okręgu Schleswig-Holstein, były przepełnione. Tak więc Klemzowie i moja siostra zostali skierowani do wsi Ascheffel, w okolicy Ekkernförde. Później zostali zakwaterowani w o trzy kilometry oddalonym od wsi wybudowaniu Langstücken. Było to średniej wielkości gospodarstwo rolne, należące do Hansa Hagge, położone na skraju lasu. Z chęcią i z niechęcią dzielili gospodarze swój dobytek z uciekinierami. Hans Hagge z żoną musieli przyjąć u siebie aż 19 uciekinierów. Takie było zlecenie. Naprawdę potrzeba było sporo wyrozumienia z obu stron, by zachować względną równowagę i spokój. Przepełnione ludnością wsie i w ogóle cały kraj, stawiały ludzi przed jednakowymi problemami, konieczna była wzajemna tolerancja.

Cioci Klemz udało się wreszcie uzyskać zezwolenie na osiedlenie się we Flensburgu. Przed zamążpójściem była mieszkanką tego miasta i z pewnością z tego też względu tak bardzo jej na tym zależało, by właśnie tu pozostać. Brigitte musiała nadal pozostać na gospodarstwie w Ascheffel. Ja byłem wciąż zawieszony

w próżni, nie posiadałem urzędowego skierowania na osiedlenie - ani do Ascheffel, ani do Flensburga. Bez tego ważnego kawałka papieru niczego nie można było zdziałać. Miejmy nadzieję, że i tym razem szczęście mnie nie opuści.

Brat naszej gospodyni był sołtysem w Ascheffel, ale i on nie miał wpływu na to, by mnie wciągnąć na nowego obywatela. Skierował mnie do odpowiednich urzędników do Eckernförde. W urzędzie znalazłem natychmiast właściwą osobę. Siedzący przede mną urzędnik zapytał o nazwisko i miejsce, z którego przybywam. Usłyszawszy odpowiedź, podskoczył na krześle. Chwycił moją dłoń i mocno ją uściśnął: "Panie Mielke,..., nie poznaje mnie pan?!" Zawstydzilem się, że nie od razu poznałem jednego ze współmieszkańców Sławna. Owym urzędnikiem okazał się Gerhard Buß²²⁵, wcześniej był zatrudniony w sławieńskim ratuszu. Byłem pierwszym ze Sławna, którego pan Buß tu spotkał. Wszystkie urzędowe formularze wylądowały w koszu na śmieci. Krótki telefon do burmistrza i już teraz oficjalnie, urzędowo dostałem skierowanie do Flensburga. Jeszcze długo sobie rozmawialiśmy. Dziękując za okazaną mi pomoc, pożegnałem się ze swoim rodakiem B.

Państwo Klemz zamieszkali już we Flensburgu. 21 grudnia 1945 roku i ja z Brigitte przybyliśmy do tego miasta. Tu było nam dane spędzić wspólnie pierwsze Boże Narodzenie w powojennych Niemczech.

24 grudnia, Wigilia

Rok temu - w 1944 roku - było ostatnie Boże Narodzenie w czasach wojennych. Przebyliśmy ciężką drogę, by móc tego dnia: 24 grudnia 1945 roku, zamiast do sławieńskiego pójść do flensburgskiego kościoła mariackiego. W towarzystwie moich krewnych wybraliśmy się wieczorem na Mszę Świętą. Wszystkie kościoły były przepełnione i ludzie modlili się gorliwiej, niż kiedykolwiek przedtem. Czy ten Święty Wieczór był znowu świętym, a Cicha Noc znowu cichą? Boże Narodzenie znaczyło dla nas przeszłość, w przyszłość nie mieliśmy jeszcze odwagi wierzyć - tak długo, jak wisiała nad nami ciemna niepewność. Tego dnia było nam szczególnie ciężko na sercu. Ksiądz posyłał nam słowa pocieszenia. Twarze wszystkich zebranych były smutne, do oczu napływały łzy. Posłannictwo: „Pokój na ziemi” znalazło znowu swą ważność, czy jest w stanie się zrealizować? Na przystrojonej choince migotały światełka, setki ludzi śpiewały: „Stille Nacht, heilige Nacht”²²⁶, brakowało nam jednak wewnętrznego spokoju w sercach. Byliśmy wzruszeni. Owa idylla zamiast nas uspokoić, targała naszą duszę. Na lewo i na prawo brakowało nam najbliższych - opuścili nas na zawsze. Razem z Brigitte nie byliśmy w stanie wydusić z siebie ani słowa. Chór dziecięcy śpiewał kryształowym głosem: „Es ist ein Ros entsprungen”²²⁷, była to ulubiona pieśń naszej babci. Przed laty było zawsze jej życzeniem i radością, by mój brat tego wieczora przygrywał na pianinie, podczas gdy ona wzniosłe śpie-

²²⁵ podskarbi miasta, Kniephofstr.21 (obecnie ul. Mickiewicza)

²²⁶ "Cicha noc, święta noc..."

²²⁷ „Wyrósł nam pączek róży”, jedna z najpopularniejszych kolęd niemieckich, pochodząca z końca XVI wieku.

wała tę pieśń. Mój oddech był ciężki, wydawało się, że serce zaraz pęknie, z oczu popłynęły łzy - nie musieliśmy się ich wstydzić. Tak bardzo samotni czuliśmy się w tym tłumie, towarzyszył nam tylko smutek i ból.

Święta spędziliśmy cicho i spokojnie, razem z naszymi krewnymi we flensburgskim mieszkaniu pani Lühr.

31 grudnia, Sylwester

Pani Lühr wraz ze swymi synami: Karlem-Hermannem, który wcześniej też przebywał tymczasowo w Sławnie oraz z Helmutem, starała się tego dnia stworzyć dla nas jak najmiłą atmosferę. Nie mogliśmy jeszcze mówić o własnym kącie, ale za to mieliśmy pewny dach nad głową. Mieszkanie, mimo mokrego drewna i niewielkiej ilości węgla, było ogrzane - choć jeszcze nie można było tego nazwać ciepłym mieszkaniem. Ileż to razy marzyliśmy o takich warunkach! Nasze przydziały żywności i z okazji świąt specjalne dodatki w postaci suszonych owoców i mleka w proszku, przekazaliśmy do dyspozycji gospodyni. Pani Lühr dostawała paczki żywnościowe z sąsiedniej Danii. Nie byliśmy więc głodni. Tego ostatniego, grudniowego dnia powiewał w mieście zimny wiatr. Wieczorem na ulicach zrobiło się hucznie, w lokalach tego granicznego miasta było gwarno. Większość mieszkańców świętowała w ten sposób pokój, Sylwester - kończący się rok po długiej wojnie. Dla nas ten dzień był inny. Paliły wspomnienia i do ogólnego nastroju wdzierала się tonacja moll. Nasze rany się jeszcze nie zabiły i nie mogliśmy się zmusić do głośnej radości. Początek nowego roku miał oznaczać nowe, inne życie - spoglądaliśmy w przyszłość z troską i niepokojem. W ostatnim jego dniu byliśmy jeszcze pod wpływem okropnej katastrofy, która doprowadziła do największej wędrówki ludów nowożytnych czasów. Układy, podpisane w maju 1945 roku, nie oznaczały jeszcze właściwego pokoju. Dochodziło do napięć na linii Wschód-Zachód. Zwycięskie państwa dążyły do całkowitej władzy.

W tę zimną, gwiaździstą noc grudniową, staliśmy o północy na balkonie przy Toosbüystraße. Dzwony kościoła mariackiego oznajmiły wszystkim nadejście nowego roku.

Rok 1945 doprowadził nas do totalnego upadku. Inwazja Armii Czerwonej na wschodnie tereny niemieckie pozostawiła po sobie morze krwi. Czerwonoarmiści pokazali swój triumf na ludności cywilnej w postaci brutalnej przemocy. Przedstawiciele zachodniego świata ofiarowali stare niemieckie prowincje ponom Kremla. Układ w Poczdamie nie usunął strachu w narodzie. Świadomości tego, że przegraliśmy, pożegnaliśmy 1945 rok. Pozostawało nam teraz tylko wierzyć w nadchodzące nowe, w odrodzenie godnej egzystencji człowieka - bez potrzeby strachu, ucieczki i ciemnych chwil.

Rok 1945 skończył się!

Dla milionów Niemców był to okrutny los. Mój los był tylko jednym spośród wielu milionów...

Na początku byłem na skraju załamania. Nie wierzyłem, że można to przetrwać. Jednak podołałem wszystkiemu, przeżyłem. Tylko nie pytaj mnie, proszę, jak?!

5. Epilog

Z Flensburga trafiliśmy z Brigitte znowu na dworzec kolejowy Ascheffel/Langstücken w okręgu Eckernförde. Jak tylko to na tę porę roku było możliwe, pomagaliśmy gospodarzom. W każdym bądź razie byliśmy bezpieczni. Naturalnie musieliśmy pukać do obcych drzwi i prosić o jałmużnę, jak ten biedny łazarz. Były budynki, które całkowicie przetrwały tę zawieruchę. Lodowaty wiatr przeszywał nas na wylot. Byliśmy wdzięczni, gdy mogliśmy się gdzieś ogrzać przy piecu. Dokładaliśmy powoli do ognia mokre drewno i torf, które gospodarz dał nam do dyspozycji. Duchowo byliśmy w punkcie zerowym, próbowaliśmy sami ze sobą dojść do ładu. Nie było to takie proste. Brakowało nam siły, która pomogłaby zachować dystans wobec minionych wydarzeń. Wspomnienia miały intensywną moc. Bywało, że w nocy przeżywaliśmy we śnie na nowo ten koszmar. Trwało jeszcze wiele lat, naprawdę wiele lat, aż przeżycia tylko przybladły. W naszej małej izdebce sporządziliśmy bilans - był zły. Rodzina, przyjaciele, znajomi zostali zamordowani, wygnani, bądź zaginęli bez śladu. Ginęły całe rodziny. My straciliśmy rodziców, pochowaliśmy też babcię i Ursel. Tylko w samej naszej rodzinie cztery śmiertelne przypadki. Siostra i ja żyliśmy, przeżyliśmy podobnie, jak wujek Klemz i ciocia Missen, mała Gudrun i państwo Künkel. Było to bardzo szczęśliwe zrzęczenie losu!

Między przeszłością a przyszłością mocno byliśmy zajęci teraźniejszością. Na czele stały starania o zdobycie stałego miejsca zamieszkania oraz odnalezienia przyjaciół. W ciszy tego gospodarstwa powoli odzyskiwaliśmy siły. Musieliśmy być silniejsi od wszelkich przeciwności, ostatnie miesiące wyczerpały nas kompletnie, ale też i dużo nauczyły. Zewnętrzna bieda tak bardzo nam nie przeszkadzała, jak duchowe rany. Wiele się od życia nauczyliśmy, byliśmy teraz inni. Nosimy w sercu coś, czego nie da się stracić. W każdym z nas tkwi głęboko kawałek ojczyzny, ciągle żywej w naszych wspomnieniach. Pielęgnujemy ją z troską, jest to obowiązek i wola całych Niemiec!

Zerkamy przez Odrę na równinę naszej prowincji, na pagórki Szwajcarii Pomorskiej, widzimy bezkresne lasy, soczyste łąki, łąny zbóż na polach; widzimy nasze czyste miasta - raczej małe aniżeli duże, czubki wież kościelnych - najczęściej w gotyckim stylu; widzimy duże place rynkowe, stare bramy miejskie, które już przetrwały niejedno stulecie. Śnimy o pięknie położonych jeziorach, podążamy wzrokiem za płynącymi rzekami; dostrzegamy błękit dalekiego morza, czujemy biały, gorący piasek na plaży; słyszymy szum Bałtyku. Dla rodowitego Pomorzanina, który się na wybrzeżu urodził i wychował, jest to niekończąca się symfonia, świadectwo przeszłości.

Kto w przyszłości będzie się zajmował niemiecką polityką, niech o jednym pamięta: czas leczy rany, my chcemy prawdziwej zgody i prawdziwego pojednania. Ale to pojednanie nie powinno być nakazem - musi ono popłynąć ze szczerzego serca i musi nadejść w poczuciu prawdy!

Pomorze było niemiecką ziemią,

Pomorze jest niemiecką ziemią,

i tak na zawsze pozostanie w naszych sercach!

6. Serdeczne podziękowanie

Na koniec relacji z moich przeżyć pragnę podziękować wszystkim tym, którzy w ciężkich czasach dla naszego życia, wiernie służyli nam pomocą i dobrą radą. W potrzebie i w niebezpieczeństwie odsłania człowiek swój prawdziwy charakter. W trudnych czasach umieć traktować drugiego człowieka w ludzki sposób, to naprawdę szlachetne! My wszyscy, którzy przeszliśmy to piekło, jesteśmy świadomi tego, że w naszym życiu wydarzyło się coś niesamowitego, coś nie do powtórzenia. Uściśnijmy sobie dłonie, udowodniliśmy sobie, że jesteśmy warci drugiego człowieka, zdaliśmy trudny, życiowy egzamin - byliśmy małą, dzielną wspólnotą, która wierzyła w życie!

Z wyrazami serdecznej wdzięczności dla tych wszystkich!

Kurt Mielke

Moje 66 lat

Od listopada 1939 roku pracowałem w folwarku Drozdowo k/Darłowa. Byłem junakiem hufców pracy na Helu, gdzie dostałem się do niewoli niemieckiej. Nie wszyscy Polacy pracujący w czasie wojny mieli godziwe warunki. Byli bici, nieludzko traktowani. Gdy przywieziono do Drozdowa francuskich niewolników, to Polaków przeniesiono do gospodarstw rolnych niemieckichbauerów. W listopadzie 1940 roku dostałem się do Nowego Łącka i tutaj pracowałem do 10 marca 1945 roku, czyli do wyzwolenia przez Armię Radziecką. Do Postomina jeździłem w 1943 roku w porze zimowej na dworzec kolejowy, wysyłany przez bauera z dostawą ziemniaków. U tego bauera przepracowałem trzy lata. Uciekłem od niego. Byłem źle traktowany. Uciekłem mimo przeświadczenia, że każda ucieczka była karana. Z pomocą innego bauera dostałem się w inne miejsce. Z początkiem 1945 roku, jako obcokrajowcy byliśmy wysyłani do prac leśnych, do wycinki drzew, koło Starego Krakowa niedaleko Sławna. Długo się tam nie napracowaliśmy. Do Sławna zbliżał się front. Nadlatywały samoloty radzieckie. Po bombardowaniach dokonywanych w okolicach Sławna uciekliśmy z lasu. Na drugi dzień Armia Czerwona była już w Naćmierzu i Nowym Łącku. Przed wejściem żołnierzy radzieckich otrzymałem polecenie żony bauera, aby wywiesić białą flagę. Polecenie to szybko wykonałem. Od Darłowa uciekały resztki niemieckiego wojska w kierunku Wicka Morskiego. Zostałem uprzedzony przezbauerkę, abym natychmiast uciekał, bo uciekinierzy z Prus Wschodnich odgrażają się, że zameldują żołnierzom niemieckim, iż to ja tę białą flagę wywiesiłem. Po kilku dniach oficer radziecki polecił nam Polakom, abyśmy zabrali konie i wozy i wyjeżdżali do Polski. Zorganizowaliśmy wozy i konie i z Nowego Łącka wyjechaliśmy 10 marca 1945 roku. Wyjechałem z żoną Katarzyną i synem Bolesławem oraz rodziną Aleksandra Osiwały, który pochodził z Łodzi. Tak udaliśmy się w podróż do ukochanej Polski. Ale niedługo mogliśmy się tą podróżą cieszyć. Dojechaliśmy na koniec lasu za Starym Krakowem, a przed Sławnem służby radzieckie skierowały nas na drogę boczną do Boleszewa. Tutaj nas zatrzymano. Zabrano konie z uprzężą, a dano trzy koniki syberyjskie. Te koniki przymocowaliśmy do wozów sznurkami. Pojechaliśmy polami do Karwic a następnie szosą do Ostrowca i dalej do Polanowa. I tak zaczęła się moja druga droga krzyżowa. Jechaliśmy i wozem i pociągiem w bydłowych wagonach. Przeżyliśmy kradzieże w otwartym polu, przeważnie nocą dokonywane. I tak domęczyliśmy się do Jędrzejówki w powiecie biłgoraj-

²²⁸ **Kazimierz Omiotek**, obecnie mieszkaniec Darłowa. W czasie II wojny światowej pracował w okolicach Postomina w gospodarstwach rolnych ówczesnych gospodarzy.

skim, województwie lubelskim, dokładnie 1 kwietnia 1945 roku. Tam zaczęła się moja trzecia gehenna. Na miejscu zastaliśmy spalony, przed kilkoma dniami, dom rodzinny, którym po śmierci moich rodziców opiekował się mój brat, a ja po powrocie z niewoli miałem tam zamieszkać. Pozostało mi tylko zapłakać pod sterczącym kikutem komina i prosić sąsiadów o przyjęcie w komorne. A powrócić zaraz na te ziemie, z których przyjechałem w rodzinne strony, nie było możliwości. Ale już w 1946 roku wróciliśmy. Osiedliśmy we Wszędzieniu, gdzie zacząłem pracować jako dróżnik.

Czesław Płopa ²²⁹

Wspomnienia mieszkańca Naćmierza od grudnia 1945 roku



Cała nasza rodzina pochodziła z Tucholi. Tata w czasie wojny był na wielu frontach. Po powrocie z matką i siostrą przybyli do Naćmierza w październiku 1945 r. Ja miałem wtedy 13 lat. Ja, siostra i tata przyjechaliśmy do Sławna pociągiem towarowym z Tucholi przed świętami Bożego Narodzenia. Przyjechaliśmy wcześniej niż tata

uzgodnił z matką i dlatego nie mieliśmy podwoły. Pamiętam tylko, jak ojciec powtarzał, że Naćmierz to jest już blisko, za lasem. Nikt z nas nie przypuszczał, że jest on tak daleko. Szliśmy całą drogę pieszo z tobołkami ze 3-4 godziny. My dostaliśmy gospodarstwo ponemieckie z 24 ha ziemi w jednym kawałku. Wtedy tak było, że obejmowało się tę ziemię, u którego gospodarza niemieckiego się było. Mieszkaliśmy wtedy w innym domu, nie w tym co teraz, po drugiej stronie sklepu, którego dziś już nie ma.

Niemców było we wsi pełno, chociaż było już po pierwszej fali ich wysiedlenia. Byli to stali mieszkańcy. Każdej rodzinie niemieckiej dokwaterowywano rodzinę polską i do czasu ich wysiedlenia obie rodziny razem żyły i pracowały. Wówczas numerów domów było 97. Dziś nie ma i trzeciej części tego, co było tu na początku. Najmniej 20 dużych gospodarstw już nie ma. Popaliły się, albo zrujnowali je. Wiatr przez wioskę nie przeleciał, tak dużo było zabudowań. Nie to, co dzisiaj. Niemców z innych rejonów dawnych Niemiec nie było. Wieś liczyła koło 450-500 ludzi, a może i więcej.

Inni polscy mieszkańcy wsi najczęściej pochodzili z ciechanowskiego, z chełmskiego. Tamci Polacy zaczęli zamieszkiwać po kilka miesięcy. Przez ten czas

²²⁹ **Czesław Płopa**, pochodzi z Tucholi. Jako młody chłopiec przyjechał do Naćmierza w grudniu 1945 roku. Do dziś tu mieszka.

najczęściej wszystko rozszabrowywali z gospodarstw, w których przebywali i dorobieni wyjeżdżali stąd do siebie, do Polski, skąd przybyli. Wtedy był to bardzo dobry sposób na szybkie wzbogacenie się. Zabierali stąd wszystko: maszyny do szycia, maszyny rolnicze, silniki, meble, sprzęty gospodarstwa domowego, a nawet sztucce, zasłony, ubrania.

Po 2-3 latach do rodziny polskiej dokwaterowywano kolejne rodziny polskie i dzielono grunty, bo uważali nas za kułaków. Tak więc w każdym domu były z czasem 2 polskie rodziny. Z tamtych czasów została rodzina Kołaczków. Ich dzieci mieszkają tutaj. Oni już poumierali. Inni to Mezgierowie, ale oni przybyli 2-3 lata później niż my. Inny co tak wcześniej przyjechał to Kozak, ale on też nie żyje od 14 lat.

Gospodarstwa w naszej wsi były ogromne. Największe gospodarstwa niemieckie liczyły i po więcej niż 50 ha. Największym gospodarzem niemieckim był Hasse, który miał 80 ha. Za Niemców gospodarze nastawieni byli na masową hodowlę świń i bydła, a uprawiało się głównie zboże. Jeszcze wtedy wieś była pełna maszyn gospodarczych: snopowiązałek, kosiarek – garściówek (tak je nazywano), kopaczek, młocarni u większych gospodarzy. Każde gospodarstwo miało wóz, furmankę, albo dwie i też wóz do siana, albo do snopków. Były też gdzieśgdzie bryczki w gospodarstwach. W Postominie, gdzie dzisiaj jest szkoła istniał taki GOM²³⁰, który gromadził wszelkie maszyny rolnicze z tych wsi. Ile tych maszyn było! Cały plac, z którego wysyłano je do centralnej Polski. A ile maszyn leżało przy drogach! Na początku ze względu na brak koni maszyny te były bezużyteczne.

Był w wiosce kowal, dwa sklepy, młyn elektryczny, gdzie pierwszym Polakiem w nim pracującym był Henryk Pawłowski, zlewnia mleka, dwa wiatraki, które męły zboże dla gospodarzy. Pierwszymi polskimi młynarzami byli: w jednym młynie Recomber, a w drugim Falkowski. Zlewnia była kompletna, świetnie wyposażona. To Polacy ją rozszabrowali i zniszczyli. Po Niemcach był sprzęt pożarowy. Pamiętam sikawkę konną do obsługi przez czterech chłopów. Drużynę strażacką zakładał w tym czasie Feliks Mierzwa.

Zwierząt w gospodarstwach prawie nie było. Albo je Ruskie uprowadzili, albo Polacy wcześniej zabrali, albo już Niemcy wcześniej zabili. Najbardziej brakło koni. W tym czasie koni było we wsiach bardzo mało. My mieliśmy krowę od siebie z gospodarstwa z Tucholi i 4 konie Niemca do którego się wprowadziliśmy, z których szybko musieliśmy tu w Naćmierzu dwa oddać. Wszystkich koni we wsi było nie więcej niż 10. W innych wioskach jeszcze mniej. Ciągników nie było. Pierwsze pojawiły się transbuldogi, ale to dopiero w PGR-ach. A jeszcze były czeskie zetorki. Tym szybciej się dotarło do Sławna, jak PKS-em. Na początku zresztą nie było żadnych PKS-ów. Ot, jeździło się samochodem pod plandeką. Ale trudno się jechało. Z tyłu była drabina i trzeba było tak wchodzić i tam pełno było już ludzi. Bilety kasowano normalnie.

²³⁰ Gminny Ośrodek Maszynowy

Część domów, tych najstarszych była kryta strzechą. Ale było ich niedużo. Takie kryte strzechą zabudowania gospodarcze były koło największego domu, gdzie był do niedawna ośrodek zdrowia. To był dom gospodarza. Każdy dom był otoczony zabudowaniami: stodołą, stajniami, oborą, chlewikami. Przez całe podwórko trzeba było przejść, aby dojść do domu. Żaden dom nie stał przy ulicy. Za domami były duże sady i ogrody. Wszędzie pełno kwiatów.

Odkąd pamiętam sklepów na początku były dwa. Jeden prowadziła Urbańska.

Niemcy za pracę nie chcieli pieniędzy tylko zboże, ziemniaki, mięso.

Wysiedlenia Niemców trwały przez cały 1946 i 1947 rok. Polacy haniebnie zachowywali się wobec Niemców. Po drodze do Sławna wielokrotnie przechodzących przez inne wsie bili i pozbawiali wszystkich swoich rzeczy. Najgorzej było widzieć jak Polacy bili i rabowali staruszków i dzieci. Choć były też podwozy, to najczęściej szli na pieszo. Ja swoich odwoziłem z Kanina, do którego doszli na piechotę, do Sławna. Wysiedlenia były przymusowe i rodziny niemieckie wiedziały z jednodniowym wyprzedzeniem, kiedy mają szykować się do drogi. Po Niemcach po roku, po dwóch dokwaterowywano kolejną rodzinę polską, bo uważano, że jedna rodzina na dom ponemiecki, to za mało.

Jeszcze jesienią 1945 r. powstał w Naćmierzu posterunek milicji. Był położony tam, gdzie mieszka dziś rodzina Koperków, a później został przeniesiony. Pierwszy komendant był odważny i to on nie pozwolił na dalsze rabunki przez Rosjan. Zginął w Marszewie. Milicjantów na początek było 3-4. Inny posterunek był dopiero w Kowalewicach. Gdzieś w 1948 r. 2 milicjantów z tego posterunku – jeden mieszkał w Starym Krakowie - zabiło u nas na zabawie Mietka Maję. Poszło o dziewczynę. Wyprowadzili go z sali i go tu na drodze zabili. A był to chłopak silny, bo w jednej ręce i ze 100 kg udźwignął. Przyjechała milicja ze Sławna i tam ich zamknęli. Jeden dostał 25 lat, a jeden dożywocie. Pierwszy wrócił, drugi już nie.

Oprócz tego była Straż Wiejska, która była uzbrojona. Broniliśmy się przed Ruskimi, bo przychodzili do nas z Jarosławca i Bylicy. Sami też mieszkali w Naćmierzu tam, gdzie była szkoła rolnicza, a dzisiaj mieszkają tam Mezgierowie. W Bylicy byli krótko, może i pół roku po moim przyjeździe, a w Jarosławcu jeszcze ze 2 lata. Chłopy byli cięte na tych z Jarosławca, bo tamci wybierali ziemniaki z kopców, snopki ze zbożem, wynosili co tylko mogli. Dlatego trzymaliśmy straż nocną z bronią po czterech. Po dwóch z tamtej strony i dwóch z tej strony wsi. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Zimą też stróżowaliśmy.

Pierwsza partia, jaka była w Naćmierzu, to była PPR, ta czerwona. Ale też było i PSL. Tamtych było więcej. Była wtedy powstała chyba w 1946 r. jednostka ORMO, a na jej czele stał komendant Feliks Kieliszek.

Mieliśmy koło 1948 roku drużynę junacką. Byłem jej komendantem przez 2 lata. Było ze 20 chłopaków. Dostaliśmy mundury, karabiny do ćwiczeń, miny, maski. Podobna drużyna była we Wszędzieniu. Strzelaliśmy w Jarosławcu na strzelnicy, koło Łacka. Jeszcze pamiętam jak szło się do Wicka, to na początku Jarosławca przed dzisiejszą stacją harcerską, była piękna wielka kawiarnia.

W samym Wicku na lotnisku było z 15 wraków samolotów w lasach. Braliśmy z nich łańcuchy do rowerów, bo przecież nigdzie człowiek nie mógł kupić. W Wicku mieszkaly ładne dziewczyny, Niemki. Ja stamtąd woziłem Niemców do roboty na roli. Nie chcieli pieniędzy tylko mąkę, kartofle. W zimie na jeziorze jeździliśmy na łyżwach. Jak się przychodziło do domu, to już się nic robić nie chciało. Smutno tu nie było.

Już od początku płacony był podatek za ziemię. Oddzielnie była też dawana da-
nina. Na początku był on w postaci kontyngentu w zbożu i zwierzętach.

Pierwszy ślub kościelny odbył się w Łącku w 1946 r. Ślubów cywilnych wtedy w ogóle nie było. Żenił się pierwszy Wiśniewski Izidor z Wszędzienia, a jego żoną była Kołakowska.

A drugi Stanisław Małek z Naćmierza z Lech Stanisławą.

Cmentarz był w Łącku. Prawie na całym od wejścia aż po krzyż byli pochowani Niemcy. Polacy zaczęli grzebać swoich od drugiej strony. Na początku nie było ani pastora niemieckiego, ani polskiego księdza. Księdza na niedzielne msze, śluby, chrzciny, pogrzeby przywożono podwodą z Darłowa. Pierwszy ksiądz, który na stałe został w Łącku nazywał się ks. Stefan Szpringa.

Szkoła polska była w tym samym miejscu co szkoła niemiecka, w czerwonym budynku. Była to 4-klasowa szkoła. Wtedy była też szkoła w Bylicy, we Wszędzieniu. Ja zacząłem tutaj chodzić do 4 klasy, bo jeszcze w wcześniej w Tucholi musiałem chodzić do szkoły niemieckiej. Lepiej pisałem po niemiecku niż po polsku. Miałem akcent jak Niemiec. Tam uczył mnie nauczyciel niby - Niemiec, ale był Polakiem i przymykał oczy jak mówiło się w szkole po polsku, tylko nas prosił, że jak będzie wizytacja w szkole, to musimy mówić po niemiecku. Drugim nauczycielem był Niemiec i ten bił od cholery mocno.

Szkoła w Naćmierzu działała już w 1946 i jej kierownikiem był Stanisław Brzuszczak. Drugim nauczycielem był jego brat Bronek. W szkole były kompletne ponemieckie ławki, tablica.

Prawie wszystkie gospodarstwa na początku miały studnie. Koło sklepu był hydrofor, ale tak wszędzie po gospodarzach, to były studnie. Elektryczność była wszędzie doprowadzona, nawet do obór, stajni, chlewni. Na wiosce, tak jak w Łącku, Korlinie, Wszędzieniu, Bylicy, Rusinowie była duża kompletna zlewnia mleka. Zresztą w Rusinowie stał WOP, który później poszedł na miejsce Domu Dziecka w Jarosławcu.

Wtedy od wiosny do jesieni wszyscy byli na dworze, aby być z sobą. Wystarczyła harmonia i była już majówka. Chłopy narobili bimbru i sobie popijali. Jak był za słaby dorzucało się karbidu. Nikt nie patrzył na pieniądze, nikt nikomu nie zazdrościł. Każdy każdemu chciał pomagać. Później już nigdy tak nie było, jak przez te pierwsze 5-8 lat. Nie było takiego chamstwa jak dzisiaj.

A zresztą, co to za gospodarze, którzy nie mają zwierząt. Ma taki tylko 2 ciągniki, kilka maszyn i uważa się za gospodarza. Dzisiaj nie ma kalkulacji, żeby świniak był po 3 zł. Wtedy jak były nawet plany, obowiązkowe kontyngenty, to jak człowiek sprzedał świniaka, to na wszystko go było stać.

U nas nie było sali, jak w Łącku, gdzie ich były nawet dwie. Ale też chodzili przebierańce, kołędnicy. Za Niemca nie było tak ważnego urzędu jak to Polacy wprowadzili. Pamiętam Cabana, który był wójtem czy sekretarzem.

Na wiosce w tamten czas na drodze był bruk „kocie łby”, a między wioskami w większości był położony asfalt. Drogi były daleko lepsze niż dzisiaj. Droga do Sławna była ekstra. Żadnych dziur. Do lekarza jechało się do Sławna wozem.

Za to, że pochodziłem z rodziny kułackiej wysłano mnie do wojska do budowlanki. Ile ja się w nim napracowałem. Ciągłe tylko wagony i wagony rozładowywać, albo załadowywać. W dzień i w nocy. Ile ja łopatą się narobiłem. Budowaliśmy koszary i lotnisko w Bydgoszczy, CPN w Ustce. Z bojówki nic prawie nie mieliśmy. Później jak otrzymałem stopień, to nic już nie robiłem, bo byłem w pomocy dowództwa. Najpierw byłem w Grudziądzu na Chełmińskiego, spora jednostka, tam byłem 2 lata. W wojsku się ożeniłem. Było to w 1954 r. Żona mieszkała w Nacmierzu. Jej rodzina przyjechała tu dużo, dużo później, bo w 1949 r. z województwa kieleckiego z wioski k/ Staszowa.

spisał Zbigniew Mielczarski

Stanisław Poprawski²³¹

Sławno widziane oczami trzynastolatka

Jedziemy na Zachód

Niemal dokładnie w samo południe pociąg leniwie wtoczył się na stację w Sławnie. Zatrzymał się przy jednym z peronów. W tym momencie mogliśmy mówić, że szczęśliwie dotarliśmy do wyznaczonego celu. Z tą też chwilą skończyła się dla nas ta piekielnie długa i męcząca jazda. Bo czyż można uznać za normalną podróż trwającą pełnych sześć dni na trasie liczącej zaledwie 300 km? Wagon nasz coraz to był odczepiany od pociągu i przetaczany, a to na bocznice, a to na jakiejś inne ustronne miejsce, aby dnia następnego został przyczepiony do innego składu pociągu zmierzającego do następnej stacji. Wkrótce i ta również okazała się stacją przymusowego postoju. W ten oto sposób przez prawie tydzień „podróży krajoznawczej” poznaliśmy bocznice kolejowe takich stacji jak: Śrem, Czempin, Poznań, Chodzież i bodajże Szczecinek. No, ale takie to były uroki podróżowania w tym pierwszym okresie po wojnie! Oprócz wielu niedogodności, ten rodzaj podróżowania miał w sobie coś pozytywnego. Otóż ustronność, na którą się wyżej powołuję, gwarantowała nam również nieskrępowany sposób załatwiania potrzeb fizjologicznych, a przy takim sposobie podróżowania była to rzecz szczególnie ważna. Nadto stwarzała nam okazję do zaopatrzenia się w wodę oraz węgiel do naszego wagonowego piecyka. W tej chwili targają naszymi sumieniami wyrzuty, że z naszego powodu mógł jakiś pociąg nie dojechać do celu tylko dlatego, że w palenisku parowozu zabrakło węgla, który został przez nas niecznie „sprywatyzowany”, i to z całą pewnością, w sposób sprzeczny z siódmym przykazaniem Boskiego Dekalogu. Myślimy ten węgiel - własność PKP - spalili w naszym wagonowym piecyku tak zupełnie prywatnie, nie bacząc na ważny interes Państwa. Myślę jednak, że zasługujemy na rozgrzeszenie i nieco ulgową pokutę, gdyż przewoźnik ten nie uczynił nic, albo mało uczynił, żeby nas jakoś szybciej przetransportować do miejsca przeznaczenia. No, ale sześćdziesiąt lat, to okres wystarczająco długi, aby sprawa mogła ulec przedawnieniu. Tylko czy Bóg przedawnienia też honoruje? Pewnie nie!

Tak więc w dniu 1 stycznia 1946 roku byliśmy w Sławnie. Mimo, że był to świąteczny dzień – Nowy Rok - to jednak na peronie witała nas dość liczna grupa ludzi. Oczywiście byli Wanda i Julek, nasze starsze rodzeństwo, którzy

²³¹ **Stanisław Poprawski** urodził się w Dolsku. W Sławnie mieszka od 1946 roku. Z zawodu geodeta. Założyciel Orkiestry Dętej w Sławnie i jej długoletni dyrygent. Inicjator Festiwalu Orkiestr Dętych, które odbywają się corocznie od 1969 roku w Sławnie. Laureat „Złotego Gryfa Sławieńskiego”. Obecnie prowadzi orkiestrę dętą w Postominie.

tu przyjechali już w listopadzie, aby przygotować wszystko na nasz przyjazd. Stawiło się również sporo znajomych z Dolska, którzy tu wcześniej przyjechali i zdążyli się już zadomowić. Przybyli na stację nie tylko po to, aby nas powitać, ale też służyć pomocą przy rozładunku, gdyż przyjechaliśmy tu z całym dobytkiem.

Wieźliśmy z sobą - tak na wszelki wypadek, małe zaplecze aprowizacyjne - wór mąki, pewną ilość kaszy i cukru no i oczywiście ziemniaki. Wieźliśmy z sobą również małą świnkę i ... kozę. Świnia - to rzecz wiadoma jakie miało być jej przeznaczenie, ale koza? W czasie wojny była ona i kilka innych jeszcze tych sympatycznych zwierzątek, naszą żywicielką i tylko sentymentem można wytłumaczyć to, że również z nami przyjechała tu na Zachód. Wnet też miało się okazać, że w nowych warunkach jest nam ona całkowicie zbędna, a stała się z biegiem czasu jedynie naszym utrapieniem i to zmusiło nas, mówiąc bardzo oględnie, do rozstania się z nią.

Tak więc było co rozładowywać i siła ludzka była w tym momencie bardzo potrzebna i wielce użyteczna, zważywszy, że był to dzień świąteczny. Użyteczna między innymi dlatego, że skoro tylko pociąg zatrzymał się na stacji, natychmiast zjawił się żołnierz radziecki, który oświadczył, że wagon ten po rozładowaniu będzie do ich dyspozycji. Oświadczył też, że piecyk, „żelaźniak”, który służył w czasie podróży do gotowania strawy, a przede wszystkim do ogrzania wnętrza wagonu, mamy pozostawić. Nie od razu przystaliśmy na to żądanie, ale w końcu stanęło na tym, że piecyk nie zostanie zdemontowany. Potem i on okazał się również w nowych warunkach całkowicie zbędny. Krasnoarmiejec, to widać było z jego miny, był wyraźnie usatysfakcjonowany, pewnie sądząc, że jego „pepesza,” którą dźwigał na ramieniu, była wystarczająco silnym w tej sprawie argumentem.

Na nowym miejscu

Po tych wszystkich perypetiach mogliśmy wreszcie wprowadzić się do domu przy ul. Polanowskiej 33, do mieszkania na pierwszym piętrze. Było to obszerne, czteropokojowe mieszkanie z kuchnią i łazienką oraz dodatkowym pokojem na poddaszu. W jednym z pokoi brakowało w oknach szyb, ale sprowadzeni przez ojca niemieccy szklarze szybko się z tym problemem uporali.

W tych, całkowicie zmienionych warunkach, rozpoczęło się nasze życie. Wpływ na nie wywierało zarówno nowe środowisko, otoczenie, ludzie jak i język – środek komunikacji międzyludzkiej – który też podlegał w czasie pewnym przemianom. Temu zagadnieniu poświęcę w dalszej części trochę uwagi.

Nie chcę w tym miejscu dogłębnie dochodzić przyczyn tego stanu rzeczy, ponieważ pragnę skoncentrować się bardziej na opisie życia miasta i jego ówczesnych mieszkańców, widzianych oczami trzynastolatka. Tak więc wiele istotnych szczegółów w pierwszym roku naszego tu pobytu nie znajdzie naświetlenia z tego prostego powodu, że nie leżało to jeszcze w zasięgu moich zainteresowań. Zajmę się natomiast bardziej mnie wtedy interesującymi sprawami takimi jak: życiem szkoły, młodzieży szkolnej i jej udziału w życiu społeczno – kulturalnym miasta. Również pragnę omówić działalność organizacji społecznych, ze

szczególnym uwzględnieniem harcerstwa, z którym w tym okresie łączyły mnie bardzo silne związki.

Na wstępie pragnę stwierdzić, że rodzina nasza przyjechała na Ziemię Odzyskane – jak je powszechnie wtedy nazywaliśmy – z własnej woli, w przeciwieństwie do olbrzymiej rzeszy ludzi, którzy zostali tu przesiedleni z terenów Polski wschodniej. Informacje o wzajemnej koegzystencji w codziennym życiu poszczególnych grup ludności i wynikających stąd wielu ciekawych i częstokroć komicznych sytuacjach, pragnę dedykować: starszemu pokoleniu ku przypomnieniu, młodszemu – dla wiedzy o przeżyciach swoich rodziców i dziadków, a potomnym, być może już tylko ku ucieście.

Chciałbym się odnieść w kilku słowach do sprawy wyboru Sławna na miejsce naszego osiedlenia się. Dlaczego wybór padł właśnie na Sławno, miasto potwornie zniszczone nie w wyniku działań wojennych, ale w tydzień po wkroczeniu wojsk radzieckich przez nich samych spalone. Przecież było w tym czasie wiele ciekawszych i atrakcyjniejszych miast. Pewne światło rzuca na tę sprawę pismo Pełnomocnika Rządu RP na Okręg Pomorza Zachodniego z siedzibą w Koszalinie, w którym prosi ojca o natychmiastowe objęcie stanowiska burmistrza Darłowa. W tym okresie ojciec pełnił jeszcze funkcję burmistrza miasta Dolska i ważne sprawy jakie rozgrywały się w tym mieście, uniemożliwiły tak natychmiastowe opuszczenie tego stanowiska. Dopiero z końcem października udaje się do Darłowa. Stanowisko burmistrza zastaje już zajęte. Pełnił je pan Stanisław Dulewicz – człowiek bardzo stateczny, o dużym autorytecie, humanista, przedwojenny profesor gimnazjalny, ale bez doświadczenia w zakresie administracji samorządowej. Miałem to szczęście w późniejszym czasie być jego uczniem. Wobec takiego obrotu sprawy, ojciec jedzie do pobliskiego Sławna, gdzie już zamieszkuje wielu znajomych z Dolska, którzy zdążyli się tu osiedlić. Należy domniemywać, że właśnie oni wywarli wpływ na decyzję ojca o wyborze Sławna.

Ojciec w międzyczasie otrzymuje kolejną pisemną propozycję, tym razem z dnia 13 listopada 1945 roku, od Pełnomocnika Rządu RP na Obwód Gryfino, w którym oprócz danych formalnych znajduję jedynie lakoniczną informację: – „celem objęcia posady”.

Patrząc na to poźółkle już dziś pismo, napisane na maszynie jeszcze nie dostosowanej do polskiej pisowni, na papierze pergaminowym, bardziej przydatnym do zawijania masła niż do prac kancelaryjno - biurowych, doznaję szczególnego rodzaju uczucia. Bo oto mam okazję przekonać się, jak perfekcyjnie działała już wtedy polska administracja, mimo przecież bardzo skromnych możliwości, mimo braku, zdawałoby się, podstawowych rzeczy, jak chociażby papier, czy podstawowych środków łączności, jakimi były jeszcze w tym czasie telefony.

Z tej oferty już ojciec nie skorzystał, a podjął starania, z pozytywnym skutkiem, o zatrudnienie i uzyskanie mieszkania już w Sławnie. W następstwie tego miały miejsce wydarzenia, które zawarte są we wstępnej części tej pracy.

Ułani, Ułani – malowane dzieci

Jadąc na Ziemię Odzyskaną mieliśmy świadomość, że jedziemy na tereny, które zamieszkiwali tutaj Niemcy i ciekawi byliśmy, jak będą się układały stosunki we wzajemnych relacjach właśnie nas, Polaków, z Niemcami. Było to dla nas ważne, gdyż mieliśmy żywo w pamięci nieodległe jeszcze czasy wojny. Wkrótce po przyjeździe do Sławna, a było to w pierwszych dniach stycznia, wybrałem się późnym popołudniem na pierwszy rekonesans po mieście. Pominę milczeniem fakt, że w czasie tego spaceru pobłądziłem, gdyż pomyliły mi się ulice. Przy rozwidleniu ulic wszedłem zamiast w Polanowską to w Koszalińską i w efekcie tej pomyłki dłuższy czas błądziłem nie mogąc znaleźć drogi do domu. Podczas tego spaceru, mogłem się przekonać, że Niemców tu już nie ma. Wszędzie było słycać mowę polską, zarówno w sklepach jak i na ulicy. Stwierdziłem również, że wszystkie szyldy firm i instytucji są również polskie. Niektóre z dość rażącymi błędami. Dotyczy to szczególnie nazw ulic. Na wielu domach powiewały polskie flagi. Wywieszający je widać nie wysilili się starannością ich wykonania, gdyż wiele z nich było wykonane z materiałów będących tak po prostu pod ręką, najczęściej z wysp i powłok na poduszki. Widziałem też na wielu domach napisy na kartkach papieru pismem odręcznym lub po prostu kredą na drzwiach „Zajęte przez Polaka”. Świadczyć to miało o dokonaniu jakby rezerwacji i służyć za informację, że niebawem mieszkanie bądź dom zostanie zasiedlony. Bardzo ciekawym spostrzeżeniem, jakie przynosiłem z tego rekonesansu była duża liczba spotykanych polskich żołnierzy. Byli to ułani z I-go Pułku, jaki wówczas stacjonował w Sławnie. Nosili bardzo długie płaszcze niemal do kostek, przy boku zwisała szabla, a do butów z wysokimi cholewami przypięte były ostrogi, które za każdym poruszeniem delikatnie dzwoniły. Szykowny ten mundur dopełniała rogatywka z czerwonym otokiem. Trudno było nie oglądać się za nimi. Tak więc dużo prawdy jest w popularnej niegdyś piosence; „Ułani, ułani, malowane dzieci, niejedna panienka za wami poleci...”

Właśnie żołnierze ci w dużym stopniu nadawali wtedy ton życiu miasta, urozmaicając jego szarżynę. Ich barwne przejazdy ulicami w drodze na ćwiczenia, bądź przemarsze oddziałów spieszonych ułanów, zawsze ze śpiewem jakby sprawiały, że to morze gruzów, ta pozostałość po pięknym niegdyś mieście, choć na chwilę nie sprawiała tak przygnębiającego wrażenia.

Również dużą atrakcją, jak przypuszczam, był coniedzielny przemarsz całego pułku na czele z ich własną orkiestrą do kościoła na Mszę świętą. Po nabożeństwie, w drodze powrotnej do rejonów zakwaterowania, odbywała się defilada. Przed sztabem pułku (obecnie aleja Wojska Polskiego 3), na schodach niewielkiej werandy zajmowało miejsce dowództwo z jego dowódcą ppłk. Walerianem Bogdanowiczem i szefem sztabu mjr Stanisławem Łapczyńskim oraz innymi wyższymi oficerami. Po przeciwnej stronie ulicy, (która w tym czasie nosiła nazwę Lipowa), zajmowała miejsce z marszu orkiestra, która przygrywała do defilady. Defilada ta była dla zgromadzonego licznie społeczeństwa dużą atrakcją.

W nagrodę główni aktorzy tego widowiska – żołnierze - otrzymywali zawsze zasłużone brawa.

W roku 1946 i w kilku latach następnych daje się zauważyć duże zainteresowanie społeczeństwa sławieńskiego zabawami tanecznymi. Ciekawe to zjawisko należy tłumaczyć tym, że spora część osiedleńców i przesiedleńców, to ludzie młodzi, a więc chęć wzajemnego poznania się leżała tu u jego podstaw.

Ten wielki pęd do zabaw należy również i tym usprawiedliwić, że przez okres wojny społeczeństwo polskie było utrzymywane w korbach najprzeróżniejszych nakazów i zakazów: tego nie wolno, tamto zakazane, albo wręcz zabronione itd. itp. Zabawy, właśnie w tym okresie, to było to naturalne odreagowanie tej fali sprzeciwów i zakazów

Należy też wspomnieć, że w tych pierwszych latach na terenie miasta doliczono się działania 11 lokali gastronomicznych, w których serwowano alkohol, co tylko jest potwierdzeniem tezy świadczącej o jakimś wielkim odreagowaniu i chęci zapomnienia okropności wojny.

A jednak są

Ten mój pierwszy wywiad, przeprowadzony nieco powierzchownie, utwierdził mnie chwilowo w przekonaniu, że praktycznie w mieście Niemców nie ma. W istocie było to bardzo pobieżne spostrzeżenie, bo po nieco dłuższym pobycie i po dogłębszej obserwacji doszedłem do przekonania, że jest ich pewna liczba i zamieszkują głównie osiedle przy ul. Polanowskiej, które nazywali „Siedlung”. W pierwszych latach Polacy również przejęli to nazewnictwo, które było w powszechnym użyciu aż do chwili nadania temu osiedlu nowej nazwy: „Osiedle im. Dzieci Wrzesińskich.”

Opierając się na danych opublikowanych w książce pod redakcją Józefa Lindmajera p.t. „Dzieje Sławna”, wyd. Urząd Miejski w Sławnie, na str. 309 czytamy m.in. „...W dniach obejmowania przez władze polskie powiatu sławieńskiego, (w dniu 5 maja 1945 roku) było tu 75,5 tys. ludzi, w tym 55,7 tys. ludności napływowej. Oznacza to, że powiat sławieński w wyniku indywidualnych decyzji o wyjeździe lub późniejszych (lutowo – marcowych) nakazów o przymusowej ewakuacji wyludnił się w 74,2%.”

Pod pojęciem „ludność napływowa”, należy rozumieć wielką falę uciekinierów, głównie z Prus Wschodnich, którą władze niemieckie ewakuowały z tamtych terenów pod naporem zbliżającego się frontu. Wojska radzieckie wspólnie z I Armią Wojska Polskiego wbiły się klinem w pas wielkich umocnień zwanych Wałem Pomorskim, dotarły do Kołobrzegu, zamykając tym samym uciekinierom drogę na zachód. Tak więc m.in. w powiecie sławieńskim skoncentrowała się ta wielka masa ludzka, której udaremnilo dalszą ucieczkę na zachód.

Przy dogłębszym przeanalizowaniu przytoczonych wyżej cyfr, można dojść do wniosku, że ludności miejscowej w całym powiecie było zaledwie 19,8 tys. co stanowi zaledwie 25,8% ogółu zamieszkujących stale te tereny. Jeśli przyjąć, że ludność wiejska stanowiła większość mieszkańców rolniczego przecięcia powiatu, która z oczywistych względów, w najmniejszym stopniu uległa panice ewakuacyjnej, to ludności wszystkich czterech miast wchodzących wów-

czas w skład powiatu, (Sławno, Darłowo, Polanów i Sianów) było bardzo niewiele.

W Sławnie ludność narodowości niemieckiej zamieszkiwała głównie na osiedlach, natomiast w obrębie ścisłej zabudowy miejskiej, ludność ta w panice porzuciła swoje domostwa, wybierając z własnej woli los uciekiniera, udając się w kierunku Gdyni i Gdańska w nadziei na ewakuację drogą morską w głąb Rzeszy.

Jak zatem układało się współżycie społeczne, w szerokim tego słowa znaczeniu, z tą ludnością, która pozostała na miejscu?

Przykładów kontaktów pomiędzy Polakami a Niemcami, w tym pierwszym okresie po wojnie trudno się doszukać. Myślę, że po prostu ich nie było. Cieniem na całą tę sferę kładły się okropności dopiero co zakończonej wojny. Sądzę, że była to główna przeszkoda w nawiązaniu jakichkolwiek obustronnych stosunków. Podobne stanowisko prezentowaliśmy i my – wówczas jeszcze nastolatkiem – aspirujący do miana młodzieży. Jeśli sobie przypominam, to młodzieży niemieckiej w Sławnie nie było nigdzie widać. Była nieobecna w działalności kulturalnej. Była również nieobecna w sporcie. Przyjmując postawę pełnej negacji, czyniła to albo ze strachu, albo z obojętności. Pragnęła tym zachowaniem dać zapewne sygnał, że nie życzy sobie żadnych kontaktów z ich polskimi rówieśnikami.

Tak więc ten pierwszy okres był bardzo trudny dla obu stron.

Max i Aleks

W latach następnych, a więc 1947 i 1948 roku zarysowała się pewna, korzystniejsza zmiana w podejściu do tego problemu. Do czynnego uprawiania sportu zgłaszają się dwaj bracia: Max i Aleks Weisbrot. Max jest piłkarzem i znalazł miejsce w pierwszej drużynie, która była poprzedniczką dzisiejszej „Sławy”, zaś jego nieco młodszy brat Aleks okazał się znakomitym pięściarzem, odnoszącym niemal w każdym pojedynku zwycięstwo. Należał on do klubu „Tęcza”, któremu patronowała sławieńska PSS. Obaj - zapewne jak i ich rodzice - byli katolikami. Widywałem ich często na nabożeństwach w kościele. Szczególnie Aleksa przypominam sobie, że często przystępował do komunii. Być może było to przed jakimiś ważniejszymi pojedynkami pięściarskimi. Były to jeszcze czasy, kiedy w Sławnie przebywał niemiecki ksiądz katolicki - Franz Niering²³². Był on organizatorem w latach dwudziestych ubiegłego stulecia katolickiej parafii, który też wsławił się tym, że mimo rozlicznych trudności czynionych przez ewangelików, potrafił wybudować kościół p.w. świętego Antoniego. Myślę, że kapłanowi temu należy zawdzięczać, że ci dwaj niemieccy sportowcy, nie bacząc na reakcję swoich niemieckich kolegów, postanowili włączyć się w nurt życia sportowego.

A oto inny przykład świadczący o braku wiedzy przez szerokie kręgi społeczeństwa niemieckiego, o drakońskich metodach postępowania wojsk hitlerowskich,

²³²Ks. Franz Niering, przebywał w Sławnie od kwietnia 1924 r. do 16 czerwca 1946 r. Zmarł Niebüll 30 IV 1948 r.

a w szczególności oddziałów SS w krajach podbitych. Przed społeczeństwem było utrzymywane w głębokiej tajemnicy istnienie niemieckich obozów koncentracyjnych, a więc miejsc więzienia, niewolniczej pracy i masowej zagłady. W obozach tych dokonywano masowej eksterminacji nie tylko pojedynczych ludzi, czy grup społecznych ale całych narodów. Przeciętny Niemiec nic nie wiedział np. o zagładzie narodu żydowskiego czy romskiego. Auschwitz, Birkenau, Mauthausen, Gusen, Dachau czy Buchenwald i wiele jeszcze innych obozów rozsianych niemal po całej Europie, to były dla nich tylko nazwy geograficzne, nie niosące w sobie żadnej treści, bezdźwięczne słowa, gdy w rzeczywistości były one fabrykami śmierci.

Już po zakończeniu wojny cała ta makabryczna sprawa wyszła na jaw, a Proces Norymberski unaoczniał światu ogrom dokonanych przez hitleryzm zbrodni.

Przez pewien czas w roku 1947, naszej matce pomagała pewna kobieta o nazwisku Klitzner, pochodząca z podśląwieńskiej wsi Kwasowo. Była to pomoc doraźna, świadczona odpłatnie i tylko miała miejsce przy jakichś większych pracach, takich jak pranie czy gruntowne sprzątanie. Rodzice nasi znali dobrze język niemiecki, stąd łatwość we wzajemnym komunikowaniu się i ta okoliczność sprzyjała do nawiązania kontaktów, a przy tym i do wymiany myśli. Z opowiadań matki wiem, że kiedyś doszło przy pracy do rozmowy właśnie na temat obozów koncentracyjnych. Kobieta ta wysłuchiwała w spokoju relacji matki na ten właśnie temat i w końcu zupełnie niespodziewanie wyrzuciła z siebie w wielkim zdenerwowaniu tylko jedno słowo: QUATSCH (brednie, nonsens) i rzucając robotę natychmiast opuściła nasz dom. Po dłuższym czasie nieobecności kobieta ta przyszła i wyznała matce, że nie była świadoma tych wszystkich okropności. Z pewnością to, co usłyszała, głęboko przeżywała i zapewne konfrontowała te doniesienia wśród swoich znajomych doszukując się prawdy. Widać, były to dla niej prawdziwe rekolekcje.

Szkoła

Nasz przyjazd do Sławna wypadł w okresie poświęconym, ale jeszcze w czasie trwania ferii z okazji Bożego Narodzenia. Tak więc po ich zakończeniu, w dniu 7 stycznia 1946 roku, czwórka nas Stefa, Adam, Andrzej i ja wyruszyliśmy do szkoły. Gmach szkoły sprawił na nas duże wrażenie swoją masywnością i wielkością. W porównaniu do szkoły w poprzednim miejscu zamieszkania był po prostu okazały.

Tabliczka z napisem „Publiczna Szkoła Powszechna w Sławnie”, wydawała się być jakoś nieproporcjonalnie mała, i za skromna dla tak okazałej bryły budynku. Na dodatek umieszczona była gdzieś na ścianie w końcu budynku, zamiast nad wejściem głównym.

Przestąpiliśmy wreszcie progi szkoły, co jest zawsze bardzo ważnym wydarzeniem w życiu każdego ucznia. Witła nas z jednej strony gromada ciekawskich uczniów, którzy patrzyli na nas jak na jakichś rarogów. To nie należało do przyjemności. Z drugiej zaś strony pani sekretarka zajęła się wprowadzaniem nas do poszczególnych klas. Wspólnie z moją siostrą Stefą, znaleźliśmy się w klasie szóstej. Klasa ta mieściła się na pierwszym piętrze, na końcu długiego korytarza.

Zresztą wszystkie klasy ulokowane zostały na tym piętrze. Klasy na piętrach drugim i trzecim, nie były chwilowo „zagospodarowane”, ale wraz z upływem czasu przybywało uczniów i w następnych latach już cały obiekt był w pełni wykorzystany.

Rok 1946 był bardzo specyficznym rokiem, gdyż niemal każdego dnia przybywało uczniów, co tylko świadczyć mogło o tym, że przybywa mieszkańców w naszym mieście i okolicznych wioskach.

Wart odnotowania jest taki fakt, że wiek uczniów właśnie w naszej klasie był bardzo zróżnicowany. Ta różnica wieku była duża, gdyż najmłodsza uczennica miała 11 lat, zaś najstarszy spośród uczniów legitymował się aż siedemnastoma latami. Były to skutki wojny, gdyż nie wszyscy w okupowanym kraju mieli możliwość pobierania nauki. Dla przykładu na obszarach Wielkopolski, Śląska i Pomorza, które to włączone zostały do III Rzeszy, szkół polskich nie było. Nie oznacza to jednak, że dla Polaków szkół nie było. Okupant stworzył coś w rodzaju namiastki szkoły, taką „freblówkę”, w której uczono jedynie czytać i pisać głównie w alfabecie gotyckim, a w dwóch ostatnich latach był opanowywany alfabet łaciński. Nie muszę dodawać, że wszystkie te zajęcia odbywały się w języku niemieckim. Były też i rachunki. Piszę rachunki, bo to nie była w ścisłym tego słowa znaczeniu matematyka, tylko wstępna jej część czyli arytmetyka. Tak więc te podstawowe cztery działania były przedmiotem nauczania przez pięć lat. Egzamin końcowy – którego byłem uczestnikiem - po pięciu latach takiego „nauczania” przebiegał w następujący sposób. Były przygotowane różne wagi jak np. szalkowa czy dziesiętna oraz skrzynia z piaskiem. Egzaminowany musiał wykazać się znajomością obsługi tychże i potrafić dokonać prostych wyliczeń polegających w zasadzie na dodawaniu i odejmowaniu. Pozostawię bez komentarza jakiemu celowi miało w praktyce służyć prowadzenie na tym poziomie nauczanie. Tak wyedukowanemu „absolwentowi”, wypadało już tylko czekać na wezwanie Arbeits Amtu²³³, w celu otrzymania skierowania do pracy. Naszego rocznika nie zdążono już „zagospodarować”. Stał się temu na przeszkodzie szybko zbliżający się front.

Chociażby tylko z tego względu, wówczas ta najstarsza w szkole klasa szósta, potraktowana została jako klasa jakby wyrównawcza.

Gdzieś na początku 1947 roku klasa nasza wzięła udział w sesji Rady Powiatu. Była to dla nas bardzo ciekawa lekcja pogładowa, która wzbogaciła naszą wiedzę o problematykę sprawowania władzy, a więc o te zagadnienia, którymi żyje świat dorosłych. Wówczas to miałem okazję po raz pierwszy zobaczyć salę konferencyjną, w której sesja ta się odbywała. Pamiętam, że zrobiła ona na mnie duże wrażenie. Była wysoka z ogromnymi oknami, w których znajdowały się kolorowe witraże herbów zamożnych rodów ziemiańskich z terenu powiatu - fundatorów gmachu starostwa. W jednym z okien umieszczone zostały herby miast wchodzących wówczas w skład powiatu, a więc Darłowa, Polanowa, Sianowa i Sławna. Dekoracja sali, wprawdzie okazjonalna, ale była również bardzo

²³³ Urząd zatrudnienia, pośrednik

piękna. Przedstawiała ona korowód par tanecznych w ludowych strojach chyba ze wszystkich regionów Polski. Barwa tych strojów znakomicie koresponowała z kolorytem ścian oraz owych kolorowych witraży. Dekoracja ta zapewne wykonana została przez zawodowego plastyka i z uwagi na dużą wartość artystyczną, eksponowana była jeszcze przez szereg lat.

Harcerstwo

Jest dla wszystkich rzeczą oczywistą, że głównym zadaniem szkoły było i jest nauczanie. Jest to podstawowy obowiązek każdej placówki dydaktycznej. Oprócz nauczania na szkołę i rodziców nałożona została odpowiedzialność za prawidłowe wychowanie młodego pokolenia. Zadanie to tylko z pozoru łatwe, ale dla przykładu, w dobie obecnej następuje wiele trudności z powszechnie znanych przyczyn.

Po wojnie, w czasie budowania szkolnictwa na Ziemiach Zachodnich, w całym procesie wychowania, doceniona została działalność różnych organizacji społecznych, towarzystw i stowarzyszeń, które w działalności swojej, oprócz celów statutowych, kładły nacisk właśnie na sprawy wychowawcze. Z tego względu organizacje o tym charakterze były chętnie tworzone w szkołach.

W naszej szkole działalność swoją już w 1946 roku prowadziły takie organizacje jak: Liga Morska, Liga Lotnicza, Polskie Towarzystwo Krajoznawcze, Polski Czerwony Krzyż i Związek Harcerstwa Polskiego. Właśnie harcerstwo, jako organizacja nakierowana w swojej działalności wybitnie na pracę z młodzieżą, odpowiadała najlepiej na zapotrzebowanie tamtego okresu. Ideały głoszone i wcielane w życie przez ZHP to m. in. umiłowanie własnego kraju, poszanowanie praw Boskich i ludzkich, szacunek dla pracy i ludzi pracy, prawdomówność, obowiązkowość, ofiarność i wiele innych cech, wpajane były na co dzień, najczęściej w toku gier i zabaw, na zbiórce, na biwaku czy obozie. Drużynę harcerską w naszej szkole założył w styczniu 1946 roku jej kierownik – przedwojenny harcerz – Tadeusz Łaszczyński, który z racji dużego doświadczenia w tym zakresie, przyjął na siebie również obowiązki drużynowego. Drużynie zostaje nadane imię Bolesława Chrobrego. Jest to liczna drużyna, składająca się z czterech dziesięcioosobowych zastępów. Ja osobiście wstąpiłem do tej drużyny w dniu 10 marca tegoż roku. Przyrzeczenie harcerskie złożyłem wspólnie z całą drużyną w dniu 29 maja 1947 roku. Sama uroczystość przyrzeczenia, do której przygotowaliśmy się starannie przez dłuższy czas, była dużym wydarzeniem dla całego harcerstwa sławieńskiego. Nadszedł wreszcie ów dzień 29 maja, wtedy właśnie na polanie w lasku komunalnym, opodal wiekowego dębu, przy ognisku, składaliśmy przyrzeczenie na sztandar hufca. Program artystyczny, uświetniający tę uroczystość prezentowały wszystkie sławieńskie drużyny.

W dniu 3 maja 1947 roku ma miejsce w Sławnie duża uroczystość z okazji 156 rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Organizatorem tych uroczystości był powołany w tym celu komitet organizacyjny, w skład którego wchodził przedstawiciel władz administracyjnych, partii i stronnictw politycznych. W uroczystości wzięły też udział wszystkie sławieńskie drużyny oraz drużyna morska z Darłowa i drużyny ze Sławska i Wrześnicy.

Uroczystość rozpoczęła się od przeglądu pododdziałów wojska, milicji, drużyn żeńskich i męskich ZHP. Przeglądu dokonał por. Antoni Sikorski, po czym rozpoczęła się Msza św., którą celebrował proboszcz miejscowej parafii ks. Ludwik Orestes Mazur. Ołtarz był usytuowany na rynku, po jego wschodniej stronie, na zwałowisku gruzów, niby na jakimś podwyższeniu. Wokół niego zgromadziła się młodzież szkolna i społeczeństwo miasta. Poddziały mundurowe w tym i harcerstwo, zajęły miejsca w głębi rynku, skąd nie było nic widać. Po nabożeństwie przemówienie okolicznościowe wygłosił starosta powiatu Józef Czerniecki. Uroczystość zakończyła defilada.

Gloria Victis

Pierwszą imprezą kulturalną w Sławnie, zorganizowaną już przez władze polskie w 1945 roku, była uroczysta wieczornica dla uczczenia I-szej rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego. Wieczornica ta miała miejsce w sali widowiskowej restauracji i hotelu POLONIA, u zbiegu dzisiejszych ulic Jedności Narodowej i Kopernika..

Jakkolwiek daty jej już nikt nie pamięta, to jednak większość spośród jej uczestników, z którymi udało mi się rozmawiać, opowiadała się za początkiem października, gdy inni utrzymują, że odbyła się ona w trzeciej dekadzie września 1945 r.²³⁴ W chwili obecnej ten akurat szczegół nie jest na tyle istotny, ważniejszy jest przebieg samej imprezy, nazwiska wykonawców i program.

Istnieje wszakże próba rekonstrukcji przebiegu wieczornicy, mojego autorstwa, opublikowana na łamach miejscowej gazety ECHO SŁAWNA. Myślę, że będzie właściwe zacytowanie pewnych fragmentów z tej pracy, aby dać dzisiejszemu czytelnikowi pewien pogląd co do przebiegu samej wieczornicy: „...Czas oczekiwania na rozpoczęcie uroczystości, licznie zgromadzona publiczność wypełniała sobie przyglądaniem się sali, oceną jej wystroju oraz okolicznościowej dekoracji sceny. Zainteresowanie to było zrozumiałe, gdyż niemal wszyscy widzieli ją po raz pierwszy. Była to typowa wielofunkcyjna sala, w której mogły odbywać się imprezy o różnym charakterze, a więc przedstawienia teatralne, koncerty, uroczystości okolicznościowe oraz zabawy taneczne, w których ochoczo w pierwszych latach po wojnie społeczeństwo miasta Sławna uczestniczyło.[...] Wystrój ścian był raczej bardziej niż skromny. Ściany te pozbawione były jakichkolwiek zdobień, sprawiały wrażenie szare, nijakie. Za to ściana frontowa, w której znajdowała się scena, posiadała dość bogaty wystrój, oparty o elementy gipsowej sztukaterii, wzorowanej na ornamentyce z czasów rzymskich, w której nasi poprzednicy szczególnie gustowali.[...] Kontur sceny został obramowany reliefem, stwarzający pozory oplotu jakby złocistym sznurem, który w górnej części nad sceną, w osi jej symetrii, łączył się z kartuszem.[...] Na ten właśnie dzień, przyszykowano skromną ale wielce wymowną dekorację. Stanowił

²³⁴ akademia odbyła się w rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego 1 sierpnia 1945 r. Informacja o niej znajduje się m.in. w sprawozdaniu z 4 sierpnia 1945 r. Referatu Społeczno-Politycznego Starostwa za okres od 25 lipca do 4 sierpnia 1945 r. (Archiwum Państwowe Słupsk)

ją napis umieszczony w górnej części ciężkich kulis: CHWAŁA BOHATEROM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO. Flaga narodowa stanowiła dopełnienie tej dekoracji[...] Na scenie zamiast wielkiego koncertowego fortepianu, uznanej marki, jak chociażby Steinwey, czy Bechstein , który swymi okazałymi rozmiarami i lśniąca politurą wabiłby wzrok, stało jedynie skromne pianino. Instrument ten, w ogromnej czeluści sceny jak gdyby jeszcze zmalał widząc tak wielce zgromadzoną publiczność. W przeszłości zapewne grało, rozkoszując swymi dźwiękami mniejszą publiczność, stojąc gdzieś w cichym saloniku, miało też zaświadczать o zamożności domu i o jego pozycji.[...] Dziś przypadła mu inna rola, rola uświetnienia uroczystości przy udziale wielkiego audytorium. [...] Wreszcie światła na widowni gasną, cichną zwolna rozmowy. Już tylko tu i ówdzie dają się słyszeć szeptu przyciszonych rozmów, które po chwili ustają zupełnie. Zapanał nastrój podniecenia, jaki zwykle towarzyszy wydarzeniom dużej rangi. Znak to niezawodny, że już za chwilę rozpocznie się ta uroczystość. Tak, już nastała ta chwila, bo oto zza kulis ukazują się witane rzędistami brałami, dwie panie w towarzystwie mężczyzny. Mężczyzna ten, a był nim p. Władysław SZYŁKO – organista z miejscowego kościoła pw. św. Antoniego, który w dniu dzisiejszym wystąpił w roli akompaniatora. Zajął miejsce przy pianinie. Panie, to siostry: Maria GODZIEWSKA-CIERNAK-sopran i Helena GODZIEWSKA-GÓRSKA – alt. Po krótkiej przygrywce wprowadzającej do tonacji, zabrzmiał donośnie głos OTO DZIŚ DZIEŃ KRWI I CHWAŁY.... Tak, to słynna WARSZAWIANKA Karola Kurpińskiego, znana i chętnie śpiewana pieśń patriotyczna. Zebrani powstają z miejsc, słuchając jej w skupieniu na stojąco z czcią i pobożnością, jakby to był hymn. Kiedy przebrzmiały ostatnie takty, nastąpiła wielka owacja, zmuszająca wykonawców do powtórzenia na bis tej samej pieśni. Tak rozpoczęła się ta pierwsza polska uroczystość w Sławnie. W dalszej kolejności wystąpiły również w duecie siostry, panie Julia i Bronisława DIETRICH i pięknie zaśpiewały PIOSENKĘ O MOJEJ WARSZAWIE. Zaskarbiły sobie również względy publiczności, otrzymując owację na stojąco, co było równoznaczne z bisowaniem....”

W dalszej kolejności, co ustalono ponad wszelką wątpliwość, jednym z następnych wykonawców był pan Bogusław Mazurkiewicz, który recytował wiersze poświęcone Warszawie. Na tym w zasadzie kończy się nasza wiedza o tej wieczornicy, gdyż główni jej aktorzy już dawno rozstali się z tym światem, bądź też wyjechali ze Sławna.

Szli na Zachód osadnicy

„Szli na Zachód osadnicy” – głoszą słowa popularnej niegdyś piosenki, nawiązującej do wielkiej fali przesiedleńczej, jaka przetoczyła się przez nasz kraj bezpośrednio po zakończeniu II- giej wojny światowej.

Szli, jechali, różnie to bywało, niosąc ze sobą częstokroć zamiast dobytku, jedynie bagaż ciężkich życiowych doświadczeń, tych, co to o nich chciałoby się jak najprędzej zapomnieć.

Jechali z Sybiru i Kazachstanu. Ze słonecznej Kirgizji i mroźnej Jakucji i wielu innych miejsc zesłań i sowieckich deportacji. Ciągnęli też z Ziemi Tarnopol-

skiej, Stanisławowskiej i Lwowskiej. Ciągnęli od Pińska, Prużan i Drohiczyna na Polesiu, z wileńszczyzny i grodzieńszczyzny, spod Mołodeczna, Lidy, Oszmiany czy Nowogródka i wielu innych miejsc, których tu nie sposób wymienić.

Oprócz przesiedleńców ze wschodu, na „Ziemie Odzyskane” jechali nowi osadnicy z przeludnionych obszarów Polski centralnej, aby zaludniać miasta i wsie, zagospodarowywać ziemię, aby uruchamiać nieczynne zakłady i fabryki, warsztaty i szkoły, dźwignąć z ruin to, co wojna zniszczyła.

Co ich tu wszystkich przywiodło? Najkrócej mówiąc; konsekwencje decyzji Wielkiej Trójki, która po wojnie wytyczała w Europie nowe granice państw, rzecz jasna z sowieckiego przyzwolenia. Polska w wyniku tych „przetasowań granicznych”, utraciła ziemie leżące na wschód od Bugu, a jako rekompensatę otrzymała ziemie na zachodzie, położone nad Odrą, Nysą i Bałtykiem.

Przyjeżdżając tu, przywozili ze sobą wszystko co mieli najcenniejszego w kulturze, obrzędowości, pieśniach, tradycji, zwyczajach i obyczajach, religijności, a nawet w regionalnej modzie. Przywozili z sobą też i to, co na początku należało wymienić – mowę polską. Mowę, ze wszystkimi jej naleciałościami, regionalizmami, jej melodyjnością, a w szczególności ze specyficznym jej akcentowaniem, tak ważnym elementem naszej mowy.

Osadnictwu na Ziemach Zachodnich i Północnych, od samego początku nadane było szybkie tempo. Rzec by można zbyt szybkie i przebiegające w związku z tym zbyt żywiołowo. To z kolei stwarzało poważne trudności w sprawowaniu kontroli nad prawidłowym jego przebiegiem. Tak więc, częstokroć było dziełem przypadku, do jakiej stacji przeznaczenia określony transport będzie skierowany. Bywało, że pociągi bezpośrednio jeden po drugim, albo wręcz dwa transporty równocześnie podstawiano do rozładowania. To z kolei powodowało już spiętrzenie prac dla służb prowadzących akcję osiedleńczą.

To nie polskiej stronie, ale właśnie rosyjskiej zależało na tym, aby jak najszybciej Polacy opuścili tereny przyłączone do ZSRR. Stąd to wielkie tempo repatriacji.

Głównie też z tego powodu zdarzała się pewna przypadkowość w przyjmowaniu i kierowaniu dalej transportów do poszczególnych jednostek osadniczych, jak wtedy oficjalnie nazywano objęte osadnictwem miasta i wsie. Sprawiała ona, że zarówno repatrianci jak i przesiedleńcy, a nawet i osadnicy wojskowi kierowani byli do jednej miejscowości, co było kontestowane jako nieprawidłowość, gdyż liczone, że poszczególne grupy osadników zajmować będą całe wsie, tworząc jakby odrębność etniczną, jakąś enklawę „swojaków”.

Przypadkowo zresztą, ale na szczęście na terenie powiatu sławieńskiego nie doszło do tworzenia takich enklaw, co przyczyniło się do szybszej integracji całej społeczności danych miejscowości. Z punktu widzenia współżycia społecznego, to wymieszanie się ludności wpłynęło bardzo korzystnie na ten cały proces integracyjny.

Ale zanim ten stan pełnego zintegrowania nastąpił, musiało upłynąć wiele lat i wiele też musiało się w tym czasie zdarzyć.

Jak wspominają dziś najstarsi spośród osadników, to na początku było spore niezadowolenie i wiele utyskiwań oraz pretensji kierowanych głównie do władz administracyjnych. Powodów było wiele, ale najczęściej wysuwany argument było to, że dokonywano osiedlenia często dwóch, a nawet i trzech rodzin w jednym gospodarstwie, tylko dlatego, że zabudowania gospodarcze były duże, zdolne do pomieszczenia płodów rolnych z kilkudziesięciohektarowego areалу. Praktycznie ten czynnik wówczas decydował, gdyż dążono do tego, aby jak największa liczba rodzin znalazła dach nad głową.

Były też problemy wynikające z przystosowania się do nowych warunków, nawet i klimatycznych. Ale prawdziwym problemem okazały się być sprawy leżące w sferze mowy, jako środka służącego do porozumiewania się między ludźmi. To prawda, że wszyscy mówiliśmy po polsku, ale w większości przypadków mówiliśmy językami regionalnymi, pełnymi różnorodnych określeń zrozumiałych tylko w danej dzielnicy kraju. Gdy zaś dochodziło do potrzeby porozumiewania się ponadregionalnego, to właśnie w tym przypadku, rzeczywiście w początkowym okresie ludzie napotykali na największe trudności. Mowa np. kresowiaka spod Lwowa czy Tarnopola różniła się od mowy Wielkopolanina, a bardzo znacznie od mowy Kaszuba. Różnice te występowały pomiędzy wszystkimi dzielnicami Polski. Dopiero Ziemie Zachodnie były terenem, gdzie ten regionalny żargon – slang, we wzajemnej konfrontacji zmieniał się, ewoluując w kierunku wytworzenia się tego, co nazywamy czystą polszczyzną.

Takim miejscem, gdzie było możliwe do woli nasłuchać się tej mowy w regionalnym wydaniu, były targowiska. W Sławnie rolę placu m.in. targowego w latach czterdziestych spełniał Rynek. Zjeżdżali się nań furmankami rolnicy z pobliskich wsi, w celu dokonania zakupów i sprzedaży własnych produktów rolnych. Była to więc okazja nie tylko do podsłuchania takich rozmów, ale i w niej uczestniczenia. A potrafili z sobą rozmawiać, i co ważniejsze, dogadać się. Poleszuk, ten półrybak, półrolnik z rolnikiem spod Puław czy Radomia. Ślązak z Wilniukiem spod Druskiennik czy Wilejki, i Poznaniak z kresowiakiem. Mieszała się ze sobą śpiewność mowy ludzi ze wschodnich rejonów kraju z tak charakterystyczną twardością mowy ludzi Polski zachodniej. Tak przez lata ludzie rozmawiali z sobą, nie będąc do końca świadomi tego, że uczestniczą w wielkim procesie przechodzenia z tego żargonu do czystego języka polskiego.

Jest rzeczą oczywistą, że przedstawione wyżej spostrzeżenia nie mogły wynikać z moich osobistych przeżyć. Jak wcześniej zaznaczyłem, miałem wówczas 13 lat, a więc byłem w wieku, w którym o takich sprawach nie miałem zielonego pojęcia. Wykorzystałem tu zasłyszane w rodzinie, od rodziców i starszego rodzeństwa, a szczególnie od mojego starszego brata Juliusza, wszystkie opisane wyżej szczegóły. Julek był tym, którego według mnie, już wówczas najbardziej interesowały właśnie problemy z tego zakresu. Wykazywał zainteresowanie, lecz może nie tyle poprawnością wyrażanych myśli czy spraw leżących w warstwie frazeologii języka polskiego, co doszukiwaniem się w tych wypowiedziach pewnych śmieszności, a więc elementów humorystycznych.

Jest jeszcze sprawa, która w mojej ocenie warta jest zauważenia. Otóż nowi osiedleńcy, jak już wcześniej zaznaczyłem, przywozili z sobą również „regionalną modę” Nie chodzi tu bynajmniej o modę w dzisiejszym rozumieniu, ale o noszenie strojów ludowych dla kultywowania pewnych regionalnych tradycji.

Właśnie w podmiejskiej wsi Warszkowo, osiedliła się dość liczna grupa rolników, pochodzących z powiatu opoczyńskiego. Ludzie ci, w odróżnieniu od innych mieszkańców tej wsi ubierali się jakoś inaczej. Szczególnie kobiety na co dzień ubierały się tak, jak to czyniły ich babki i matki, w ludowe, kolorowe (zielono-czerwono-żółte) pasiaki. Na całość tego stroju składały się pasiaste: spódnica, zapaska i także peleryna. Głowę przykrywały wzorzystą (w kwiaty) chustą. Na nogi zakładały najczęściej czarne buty z wysokimi cholewami, natomiast czasami obuwały wysokie sznurowane tzw. warszawskie buty. Całość tego stroju dopełniało kilka sznurów czerwonych koralików.

Mam wrażenie, że strój ten stanowił jedynie ubiór świąteczny, lub też przywdziewany był okazjonalnie. Starsza część sławieńskiego społeczeństwa, zaliczająca się do grona pionierów osadnictwa, z pewnością pamięta właśnie tak ubrane kobiety, uwijające się przy straganach czy wozach. Również w tym pierwszym okresie, kiedy wieś ta należała do parafii w Sławnie, uczestniczyły one w tych strojach w różnych uroczystościach kościelnych, a w szczególności dały się zauważyć w procesjach Bożego Ciała i w uroczystościach z okazji odpustu parafialnego.

Nie tylko kobiety, ale i mężczyźni z tej wsi wykazywali się również aktywnością, inicjując różne przedsięwzięcia. Jako przykład może posłużyć inicjatywa strażaków – ochotników z miejscowej jednostki OSP, którzy począwszy od 1946 roku, rokrocznie pełnili straż przy grobie Pana Jezusa w okresie triduum paschalnego.

Postscriptum

Moje przeżycia, jakkolwiek prawdziwe, to jednak mam wrażenie, że nie mieszczą się ściśle w konwencji tego konkursu.

Mam wrażenie, że regulamin preferował i poniekąd zachęcał potencjalnych uczestników do wspomnień obfitujących w wydarzenia dramatyczne, bolesne, które niosła wojna i czas bezpośrednio po jej zakończeniu.

Ja natomiast w swoich wspomnieniach poszedłem inną drogą, starając się inaczej podejść do tego tematu. Pragnąłem ukazać powrót do życia tych Ziemi, po tragicznych przejściach. Bardzo pragnąłem napisać prawdę, taką jaką ona była, niczego nie upiększając, gdyż zdaję sobie sprawę, że przywołuję do życia te fakty, które już zdążyły się zatrzeć w ludzkiej pamięci. Tak było np. z wieczornicą z okazji I-szej rocznicy Powstania Warszawskiego. Zupełnie przypadkowo natrafiłem na osoby, które wymieniam w tej pracy i właśnie dzięki tym ludziom mogła ocaleć od mroków niepamięci ta piękna impreza. Świadczyła ona również o tym, że wojna, mimo tych wszystkich okropności, nie potrafiła zabić w ludziach ducha narodu i nadziei na odzyskanie wolności.

W trakcie pisania doznawałem wielu przyjemnych przeżyć z ponownego przeżywania tych wszystkich minionych zdarzeń. Sięgając do najgłębszych pokła-

dów ludzkiej pamięci, ukazywały mi się sceny sprzed ponad półwiecza, a głównymi aktorami byli w nich ludzie, których już nie ma pośród nas. Niech więc ta praca będzie w jakimś stopniu dla nich hołdem za to wszystko, co dla nas uczynili.

Kazimiera Preś²³⁵

Moje dzierzęcińskie lata czterdzieste



Do Sławna przybyłam z Radzymina, gdzie przebywałam przez kilka dni pomieszkując w internacie. Do Dzierżęcina natomiast przyszłam razem z rodziną Kondraciuków i Plichtów, uciekając przed Sowietami. Tutaj też przebywali Rosjanie. Na początek zamieszkałam z Kondraciukami. To właśnie Kondraciuk wybrał dla mnie gospodarstwo rolne i budynek z numerem pierwszym we wsi. Ten dom był wolny i wtedy był dla mnie najładniejszy w całej wsi. Przypnę, że Dzierżęcina był ładną wsią. Była to wieś zadbane przez swoich mieszkańców. Kradziono jednak okrutnie.

Robili to Sowietci. Okradali z inwentarza żywego i sprzętów rolnych niezbędnych

do wykonywania prac w polu. We wsi była szkoła 4-klasowa, był kowal, szewc, krawcowa. Ta kradzież miała takie rozmiary, że w wielu przypadkach zostały tylko pola i ogołocone budynki mieszkalne i gospodarskie. Przez jakiś czas wioska robiła wrażenie całkowicie ogołoconej, robiła smutne wrażenie. Po tych kradzieżach musieliśmy się dorabiać od początku, od stanu zerowego. Pamiętam, że pierwsza polska władza miała miejsce w Łącku, a Milicja w Nacmierzu, a pierwszym wojskiem było wojsko rosyjskie, a nie polskie. Trudno mówić o jakichś formach organizacyjnych tych czasów. Każdy siedział cicho, jak mysz pod miotłą i myślał tylko o tym żeby spokojnie przeżyć do jutra. Pomagali nam mieszkańcy Korlina. Przyjeżdżali aby pomóc w pracach polowych, przy młócccie snopów zboża, przy zbieraniu ziemniaków. W większości tutaj osiedlali się ludzie spod Wielunia i Ciechanowa. Wszyscy sobie pomagaliśmy w potrzebie. Pamiętam jak wspólnie słuchaliśmy ówczesnego radia nazywanego kolchoźnikiem - był zamontowany głośnik w środku wsi. Z Niemcami sprawy układały się przyzwoicie. Nie było większych kwasów czy zdrażnień, chociaż widać było, że jest im żal, bo przecież to wszystko, jeszcze kilka dni temu było ich, a nie nasze. Ta ziemia, zabudowania, te sprzęty gospodarskie i domowe. To się wyczuwało.

²³⁵ **Kazimiera Preś**, z mężem Tomaszem od 1946 prowadziła indywidualne gospodarstwo rolne. Mieszka w Dzierżęcinie.

Zboże kosiliśmy kosami, oraliśmy za pomocą krów, bo nie mieliśmy koni, ziemniaki kopaliśmy ręcznymi haczkami, a nawet szpadlem. Nie była to łatwa praca. Dzisiaj jest to nie do pomyślenia. A jednak tak było. Jak Niemcy wyjechali, to w ślad za nimi ruszyli Rosjanie. Każdy w swoim kierunku. W Dzierżęcinie zostali sami Polacy. I od wtedy nasza wieś jest polska. To prawda, że czasami bieda zaglądała w oczy, szczególnie na przednówku. Że nie było zbyt co do garnka włożyć. Jedliśmy to, co dało się z tej ziemi wydobyć. Uprzednio siejąc i sadząc. Co udało się z tych ziemniaków ugotować, a ze zboża upiec. Jadaliśmy znakomity żur. Były ziemniaki, był chleb własnego wypieku. Nie ma teraz tak smacznego chleba. W naszej wsi były i nadal są tylko samodzielne, chłopskie gospodarki. Nie było kolektywu. Z sąsiadami Polakami rozumieliśmy się bardzo dobrze, wręcz idealnie. Każdy chciał do czegoś dojść własną pracą i pomysłem. Nie wyczuwało się żadnej zawiści ani zazdrości. Spotykaliśmy się przy różnych okazjach, nawet przypadkowo na drodze i rozmawialiśmy, o tym co będzie jutro na obiad, co mamy do roboty jutro, komu należałoby pomóc i jak to zrobić - żeby nie urazić tą pomocą. Często były potańcówki w naszej świetlicy wiejskiej. Wystarczyła jedna harmonia, a były tańce, jak się patrzy. Co tam dzisiejsze dyskoteki! Wtedy to były potańcówki. Były to imprezy niepowtarzalne. A był też i taki czas, że zaczęliśmy się poważnie obawiać, że znowu trzeba będzie wracać tam skąd się przybyło. Ten czas szybko minął, chociaż, jak pamiętam, to niektórzy nie wytrzymali i wrócili w swoje rodzinne strony, A ja tutaj mieszkam od 1945 roku i myślę sobie, że najważniejszym dla mnie wydarzeniem tamtych lat był ślub z moim Tomaszem (z Wielunia), w 1946 roku, gdzie w barzowickim Kościele ślubowaliśmy sobie miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz to, że będziemy razem aż do śmierci. Wychowaliśmy pięć dzieci: Teresa, Maria, Jan, Andrzej i Tadeusz.

spisał Sławoj Zawada

Mieczysław Ratkowski²³⁶

Wspomnienia z Karsina

Do Karsina przyjechaliśmy jesienią 1945 roku, we wrześniu lub październiku. Pamiętam, że jeszcze tego roku kopaliśmy ziemniaki. Przyjechaliśmy z Sarnówka w Borach Tucholskich, gdzie była leśniczówka i dom robotniczy na dwie rodziny. Tam mieszkaliśmy, bowiem ojciec mój Makary, był przodownikiem leśnym (gajowym).

Ale nie od razu zajęliśmy do Karsina. Początek był znacznie inny. Polacy, którzy przyjeżdżali na Zachód, dokonywali oględzin przyszłej siedziby, oznaczali to gospodarstwo flagą biało-czerwoną, co miało oznaczać, że jest to teren zajęty. Tak samo postąpił mój ojciec. Wybrał sobie małe gospodarstwo w Jezierzanach nad jeziorem, bowiem bardzo lubił wędkować. Nasze pole w Sarnówce przylegało do jeziora, w którym ojciec często wędkował. Ojciec wrócił do domu, a po pewnym czasie ponownie zawitał do Jezierzan. Okazało się, że inny poszukiwacz gospodarstwa rolnego przyjechał tutaj i już zamieszkał mimo, że była zatknęta biało-czerwona flaga. W tym gospodarstwie mieszkali Niemcy, którzy przeznaczyli dla ojca jeden pokój z jednym łóżkiem.

I w tym pokoju, w tym jednym łóżku, przez kilka dni mieszkali dwaj Polacy i żaden nie chciał ustąpić. Przekonywali się wzajemnie, któremu jest należne to miejsce zamieszkania i pobytu. Ale któregoś dnia wsiedli na rowery i pojechali do Karsina aby dokonać wyboru gospodarstwa dla jednego z nich. Ojciec już nie wrócił do Jezierzan. Został znacznie odsunięty od jeziora, ale z łowienia ryb nie zrezygnował. Na budynku wywiesił flagę biało-czerwoną i przyjechał do Sarnówka zabrawszy moje dwie siostry, Klarę i Janinę i z nimi przyjechał do Karsina, tutaj je zostawił by pilnowały gospodarstwa.

I tak oto wylądowaliśmy w Karsinie a nie w Jezierzanach nad jeziorem. W Sarnówku nie było elektryczności, oświetlaliśmy lampą naftową. Wielkim postępem w oświetleniu były lampy karbidowe które dawały jasne, mocne światło, ale były lekko zapachowe.

Nigdy nie zapomnę podróży na te ziemie. Wielkie wrażenie robiły na mnie światła mijanych nocą miast. Było to dla mnie prawie szokujące. Jechaliśmy oczywiście w wagonie towarowym. Każda rodzina otrzymała taki wagon. W jednej części my, a w drugiej cały dobytek żywy i martwy. Nie mogę sobie przypomnieć czym dojechaliśmy do Karsina, ale chyba jakimiś wozami. I tutaj dla mnie niespodzianka. Myślałem, że będzie to coś samodzielnego, a w gospo-

²³⁶ **Mieczysław Ratkowski**, wraz z żoną Antoniną do 2004 roku prowadził gospodarstwo rolne. Później gospodarstwo przejął najmłodszy syn Piotr. Mieszkają i gospodarują razem. Do Karsina przyjechał z rodzicami jesienią 1945 roku.

darstwie tym zamieszkiwała rodzina niemiecka, też siedmioosobowa. Matka z szóstką dzieci, w tym dwóch chłopaków prawie w moim wieku, może o rok czy dwa starszych ode mnie. Mąż tej Niemki, a ojciec tej szóstki dzieci, zaginął bądź zginął na froncie wschodnim. W pokoiku na strychu mieszkała jakaś ich kuzynka, która uciekła tutaj z bombardowanego Berlina. Przez cały rok mieszkaliśmy i pracowaliśmy razem. Oni uczyli mnie mówić po niemiecku, a ja ich po polsku. Ja już „szwargotałem jak stary Niemiec” - tak mawiał mój ojciec. Pamiętam imiona tych moich prawie rówieśników: Rudi i Zygfryd. Wiem, że przyjeżdżali do Karsina, ale ja ich już nigdy nie widziałem.

Pierwsze prace polowe to jesienne wykopki. Nie było kopaczek konnych. Wszystko wrywaliśmy z ziemi motykami. Wtedy wieś wyglądała całkiem inaczej, było tutaj jeszcze wiele niemieckich rodzin wieś była gęsto zabudowana. Rosjanie mieli swoją jednostkę w Drozdowie gdzie zawiadywali majątkiem ziemskim. Tutaj na początku było 30 rolników, dzisiaj zostało trzech. W polu i zagrodzie pracowaliśmy razem z tymi Niemcami. Wykopki, koszenie, młócka, siewy. Młóciliśmy tylko wieczorami, bo wtedy nie było prądu pod dostatkiem. Młóciliśmy młocarnią, która nie czyściła zboża. Zboże czyściło się na wialni ręcznej. Ojciec jak jechał do młyna ze zbożem to dzielił przywiezioną mąkę na dwie równe części. Ich było tyle samo co nas. Ziemniaków nie dzieliliśmy, każdy brał ile tylko chciał. W domu była tylko jedna kuchnia. Mama gotowała pierwsza dla nas, a później zajmowała się tym owa Niemka. Nie pamiętam, aby były między nami jakieś zatargi. W grudniu 1946 roku Niemcy wyjechali. Na podstawione furmanki mogli ładować co tylko chcieli. Taka była wola mego ojca. Wiem, że na stacji w Sławnie zostali obrabowani. Wszystko im ukradziono. Tak to było. Tutaj przyjeżdżali ludzie po to, aby zamieszkać na stałe, ale byli i tacy, których interesował tylko szaberek.

Pamiętam takie wydarzenie kiedy to ojciec, zostawiwszy w Karsinie moje dwie siostry, pojechał po nas do Sarnówka. W nocy zakradli się do świniami Rosjanie. Zastrzelili dwie maciory. Jedną załadowali na samochód i odjechali. Też musieli coś jeść. Ciekawym było to, że samochód z ową zastrzeloną świnią pomagał Polacy wypchnąć z rowu, bo się zakopał. Ówczesny chyba sołtys zarządził oporządzenie drugiej maciory, która została na miejscu i podzielił mięso między wszystkich mieszkańców wsi mimo, że to była nasza świnia i tej niemieckiej rodziny. Ojciec jak wrócił to zrobił wielką awanturę. Niektórzy unieśli się honorem i przynieśli swoją dolę uzyskaną z podziału.

Rosjanie byli w pobliskim Drozdowie, a po tym terenie dość często grasowali. W chlewni były tylko świniaki, nie było krów. Zdarzało się, że jak Rosjanie pędzili stado krów na stację kolejową to niejedna sztuka wchodziła do chłopskiej zagrody za uprzednio dokonaną wódczaną opłatą. Pamiętam jak jeden z Polaków, uprzednio poturbowany przez rodzinę niemiecką, próbował znaleźć odwet. Doniósł na nich ówczesnym władzom bezpieczeństwa. Przyjechali samochodem. Dosłownie pobili tych Niemców, którzy w czasie tego przyznali się do zakopania swoich "skarbów". Sądzieli zapewne, że o to chodziło przyjeźdnym.

Tych dóbr była cała furmanka - ubrania, sprzęty, naczynia. I wszystko to pojechało do Sławna, a ów donosiciel nie otrzymał niczego.

Naszymi sąsiadami byli Wojdylewscy, Sufletowie, Górnownicze, Nieciejewscy. Nie pamiętam, czy sialiśmy jesienią 1945 roku. Były tylko maszyny konne: pługi, siewniki, brony. Pamiętam, jak jeden z sąsiadów przyszedł do nas po młocarnię. Jego dwa koniki nie były w stanie tego urządzenia ruszyć z miejsca. Ojciec założył naszego kasztana pozyskanego z Unry i ten jednym szarpnięciem ruszył. Ojciec przez długie lata kosił kosą. Wczesnym rankiem wychodził w pole, wracał na śniadanie. Kosił o rosie. Po śniadaniu wychodziliśmy we trzy osoby do zbierania, wiązania i stawiania w kopy. Ledwie w południe byliśmy w stanie dogonić ojca na polu. Później pojawiły się pierwsze maszyny konne tzw. garściówki.

Ludzie wtedy byli biedni, to fakt. Ale mieli chęć do pracy. Były tutaj duże rodziny wieloosobowe. Jak ktoś miał trzy krowy, to za rok sąsiad miał ich o jedną więcej. Pola obsiewano w większości żytem, owsem i jęczmieniem. Sadzono ziemniaki, brukiew, buraki pastewne, a później i cukrowe. Pszenica należy do rzadkości tych czasów.

Jako młody chłopak pasłem krowy. Łąki koło Karsina były białe od koloru krów, tak było ich dużo. Jak spędzaliśmy wieczorem krowy z pastwiska do domu, musieliśmy uważać żeby się nie pomieszały. Były obowiązkowe dostawy - mleka, zboża, mięsa. Rolnikom płacono pół ceny odstawionych produktów. Szło to na odbudowę kraju. Były szarwarki czyli nieodpłatne świadczenie usług np. przy wywózce drewna z lasu czy naprawie dróg, przywiezieniu piasku czy żwiru. Mimo tych dostaw obowiązkowych ludzie dorabiali się. Powiększały się stada bydła, świń, inaczej zaczęliśmy się ubierać. Pieniądz miał swoją wartość. Gospodarze pomagali się w prawie wszystkich pracach polowych, w wykopkach czy żniwach. Bywało, że na polu jednego gospodarza pracowały trzy a nawet cztery rodziny. Była wtedy rywalizacja, ale była ona bardzo zdrowa i uczciwa.

Niedobre rzeczy zaczęły się dziać w latach 50-tych. Z powiatu zaczęli przejeżdżać prelegenci czy jak ich tam zwał. Namawiali do założenia spółdzielni produkcyjnej, którą my nazywaliśmy kołchozem. Chcieli, abyśmy wszyscy wspólnie siali, kopali, zbierali i dzielili się po zbiorach, czy jakoś tam. Ojciec nie chciał przystąpić do takiego kolektywu. Poznał stalinowskie formy kołchozowego życia. Był żołnierzem walczącym na froncie wschodnim w czasie pierwszej wojny światowej. Dostał się do niewoli. Wywieziono go na roboty do Tunisu. Później trafił do armii gen. Hallera. Walczył z Ruskimi, jak mawiał. Ustalali granice Polski na wschodnich rubieżach. Tam też poznał ich metody gospodarowania. W Karsinie zaczęło się „rozkułaczanie”, a polegało ono na tym, że nakano nas nakazami dostaw, które szły jeden za drugim aż do całkowitego opróżnienia stodoły, spiżarni, świniami. A gdy już wszystko zabrali to i tak przysłali kolejny nakaz. Za ostatnim razem zaczęliśmy się śmiać i wtedy ci poborcy orzekli, że skoro się śmieją to, chyba już nic nią mają. Nie było co do młyna zawieść, czym obsiać pola i czym nakarmić zwierzęta. Ojciec nie miał wyboru i wstąpiliśmy do spółdzielni. Na początek były to spółdzielnie takie, że część pól

była wspólna przy zachowaniu częściowej własności prywatnej. Dochody z tej wspólnoty dzielono po zakończeniu sezonu. Ale niedługo później przyszedł inny typ wspólnego gospodarowania. Wszystkie ziemie uprawiano razem, na końcu roku był bilans, ile komu się należy. Płacono zbożem, ziemniakami, pieniędzmi, a w międzyczasie były zaliczki.

Ale nim zostaliśmy „kołchoźnikami” to ojciec woził ziarno do młyna w Kowalewiczkach, który stoi tam do dzisiaj²³⁷. Tam jeździłem z nim razem, a później już sam. Razu pewnego jak pojechałem sam do kowala też do Kowalewiczek, a był to dobry znajomy mojego ojca, żeby naklepać lemiesz do pługa to kowal zdobył się na dowcip i kazał mi potrzymać gorący, ale już czarny lemiesz. Efekt był porażający. Później tłumaczył ojcu, że sądził iż na taki dowcip to ja się nie dam nabrać. A jednak się dałem, byłem zbyt szybki. Gdy skończyłem 17 lat to ojciec naklepał mi kosę i poszedłem w pole kosić razem z dorosłymi. Początek był znakomity. Kosilem na równi z nimi.

Ale po pewnym czasie należało kosę naostrzyć. Zrobiłem to sam. Efekt był odwrotny od zamierzonego. Kosa szarpała, wyrzucała zboże z korzeniami. Koszący obok mnie zerkał okiem na moje wyczyny i dopiero po pewnym czasie rzekł „daj chłopak ja ci tę kosę naostrzę”. Po tym kosa kosiła prawie sama. Trzeba było umieć to robić.

Nie było wtedy telewizora ani radia. Rodzice spotykali się przy różnych okazjach. Rozmawiali o swoich rodzinnych sprawach, o zbiorach, o pogodzie. Była nas spora garstka młodych. Sobotnio-niedzielne wieczory należały do nas. Grywaliśmy w piłkę, szczególnie w siatkówkę. Nauczyciele miejscowej szkoły przejęli inicjatywę organizowania życia kulturalnego. Powstało kółko teatralne, grałem w jednym z przedstawień, które było prezentowane po okolicznych wsiach. Knajpy we wsi nie było, ale był sklep. Tam dokonywano transakcji pozapieniężnych. Prowadzono handel wymienny. Mężczyźni wieczorami chodzili do tego przybytku. Worek na plecy i do sklepu. Kiedyś gospodarz szedł koło opłotków z workiem na plecach, a jego ślubna zauważywszy go zapytała „a dokąd to - niesiesz ten worek”. „A do Wacka bo mi się śrutownik zepsuł” - odparł gospodarz i jak nigdy nic pomaszerował do sklepu. A ten człowiek zbierał te fanty, przewoził do miasta na targ gdzie je sprzedawał, a za pieniądze kupował „chodliwe” towary i tak oto w ten sposób odkryto w Karsinie wymianę barterową czyli towar za towar bez udziału pieniądza. Gospodarze żyli w wielkiej zgodzie. Niedzielne wyjazdy bryczkami do kościoła w Łącku były bardzo odświeżające, uroczyste niemalże. Do Łącka jechało się dostojnie, poważnie jakby z jakimś nabożeństwem. Powroty za to były wesołe, bo obfitowały wielokrotnie w wyścigi bryczek. Dlaczego tak się działo? Niedaleko kościoła była gospoda. Z reguły dzieci i kobiety trafiały do kościoła, a mężczyźni szli obok. Żyli jednak wszyscy w wielkiej zgodzie, wspomagali się, ratowali w potrzebie. Zapraszali się na wesela, chrzciny. Bo taka była kolejność tych uroczystości.

²³⁷ został rozebrany w 2007 roku, już po napisaniu tego tekstu

Moja pierwsza szkoła była w Karsinie. Miałem wtedy 7 lat. Był tylko jeden nauczyciel. Kasprzak się nazywał. Był trochę młodszy od moich rodziców. Klasy były łączone: I z II, a III z IV. Nie było zeszytów. Były tabliczki przypominające łupki, na których specjalnym rysikiem pisało się. Tablica była czarna, a napisy białe. Wycierało się to szmatką lub rękawem i tabliczka była gotowa do następnego zadania. Nauczyciel pisał zadanie na tablicy, a my musieliśmy na tych tabliczkach wyliczyć wynik. Teraz jest tyle krzyku, że nauczyciel nie może marnego słowa o krnąbrnym uczniu powiedzieć. Wtedy były linijka i trzcinka i po łapach według zasług. Raz tę trzcinkę wyrzuciliśmy. Nauczyciel z wesołą miną wysłał nas do lasu, abyśmy wycieli trochę witek. Nie podejrzewając podstępnie przynieśliśmy tego sporo. I wtedy każdy otrzymał po znacznej porcji po łapach aby zapamiętać, że należy uszanować cudzą własność. Nikt nie szedł na skargę do rodziców obawiając się tego, że w domu mogła być poprawka. Dyscyplina była w szkole, a swego pierwszego nauczyciela wspominam bardzo sympatycznie. Umiał z nami znaleźć kontakt. Przychodził nieraz do nas do domu, a ojciec dopytywał, no jak tam mój „knap” sprawuje się w szkole. Stary Kociebiak tak mówił o mnie, swoim synu. Nauczyciel zawsze mówił oględnie chociaż nieraz powinien powiedzieć prawdę o moich wyczynach. Bo przecież w szkole bardzo różnie bywało. Nigdy się na mnie nie skarżył ani użalał. Te cztery klasy skończyłem w karsinńskiej szkole. Pamiętam pierwsze pisanie atramentem i stalówką. Te kleksy były wszechobecne. Klasę V zaliczyłem w Kowalewicach, a VI i VII w Korlinie. Był tam lepszy dojazd, bo szosą. Latem pieszo lub rowerami. Wychodziło się, jak jeszcze było ciemno. Nikt jakoś nie zabiegał o to czym pojedziemy i czym przyjedziemy ze szkoły. I jakoś na ludzi wyrosliśmy. Pamiętam jak kiedyś zimową porą wyruszyłem do szkoły. Mróz, zawierucha, sąsiad wyjechał saniami opatulony kożuchem. Pomyślałem, że zabiorę się do Korlina bo tam właśnie jechał. Jak tylko zbliżałem się do sań to on popędzał konie i znowu sanie oddalały się ode mnie, i tak do samego Korlina. Nie słyszał moich wołań, taka była zawierucha.

Ojciec widział we mnie następcę na gospodarstwie rolnym i nie miałem szans na dalszą naukę, chociaż cały czas pociągała mnie mechanizacja. Jako młody chłopak byłem pomocnikiem traktorzysty. W Karsinie był wiatrak, który ziaren już nie przerabiał. Często tam chodziliśmy i z resztek ponemieckiej mąki urządzaliśmy sobie "białego luda". Jeździliśmy na skrzydłach wiatraka. Bywało, że jak ktoś był u samej góry na skrzydle to zatrzymywaliśmy ten interes i bohater miał spore kłopoty. Wiatrak ten został rozebrany na takiej zasadzie, że każdy skubnął po jednej desce, a resztę rozdzielono i przekazano na opał do szkół.

W spółdzielni produkcyjnej pracowałem do 18 roku życia. Później na poczcie w Karsinie byłem listonoszem. Spółdzielnia działała do 1956 roku, a gdy do władzy doszedł Władysław Gomułka to każdy wrócił na swoje i trzeba było doraabiać się od nowa.

Pod koniec 1945 roku powstała w Karsinie Ochotnicza Straż Pożarna. Pierwszym komendantem był Stefan Mikołajczyk. Po Niemcach została remiza strażacka, a w niej sikawka ręczna na żelaznych kołach, ciągnięta przez konie. Wę-

że, prądownice i inny drobny sprzęt był sprawny. Do pompowania było potrzeba ośmiu chłopów, a ciśnienie było tak duże, że jeden strażak miał kłopoty z utrzymaniem prądownicy. Jak na tamte czasy, to była to dość nowoczesna sikawka ręczna. Na tej sikawce startowaliśmy w zawodach powiatowych i zajęliśmy pierwsze miejsce. W nagrodę dostaliśmy motopompę tzw. 400 setkę i od tej pory Karsino miało swoją motopompę.

spisał Sławoj Zawada

Erna Rinklin²³⁸

Błękit łubinu - Buszyno 1945 – 1947

Przekazuję Panu rękopis z faktami z moich lat dziecięcych 1945-1947. Od tego czasu minęły lata. Kilka razy byłam w moich byłych rodzinnych stronach, w Kręgu i Buszynie. Polacy przyjmowali mnie bardzo serdecznie częstując kawą i ciastem domowego wypieku. Byliśmy u dobrych przyjaciół ! Nasze związki z Polakami trwają już kilka lat. Nauczyliśmy się czegoś z naszej wspólnej historii. W dalszym ciągu będziemy pielegnować nasze przyjaźnie i wizyty u Polaków.



Autorka (pierwsza z lewej) w Buszynie

* * *

Pięćdziesiąt lat minęło. Wspomnienia przez ten czas się zacierały, ale tamte wydarzenia nie zostały zapomniane. To co obecnie się dzieje, na przykład w Jugosławii, pokazuje, że ludzkość niczego się nie nauczyła. I to było bodźcem do napisania wspomnień.

²³⁸ **Erna Rinklin** urodziła się w Buszynie. W 1947 została wysiedlona do Niemiec. Mieszka w Eisenach w Turynii.

Urodziłam się w 1937 roku w Buszynie, miałam dwie starsze siostry. Był rok 1944 i trwała wojna, ale 7-letnia Erna nie wiedziała wtedy, co to jest wojna. Mały sąsiad Horst miał prababcie, obłożnie chorą, którą często odwiedzały dzieci. I u tej babci po raz pierwszy usłyszałam słowo „wojna”. Horst co prawda bawił się w wojnę swoimi żołnierzami, ale ta zabawa wyglądała bardzo wesoło. Dopiero 8 lat później zrozumiałam naprawdę, co to jest wojna.

Wcześniej zakwitły jabłonie, jeszcze przed Wielkanocą. Mieszkaliśmy w niedużym domu jednorodzinnym. Ojciec był brukarzem na budowie nowej szosy, matka prowadziła dom. Pewnego dnia ojciec dostał wezwanie do wojska. To był szok. Mama płatała. „Co ci jest mamo?” – pytam. „Ojca wezwali na wojnę”. Mama objęła moje siostry i mnie powtarzając „Ojciec musi iść na wojnę”. Co to jest wojna? Chyba nie jest tak źle, rozmyślałam i poszłam się bawić do koleżanki. Przy kolacji mama siedziała zapłakana i ojciec był bardzo smutny.

Dzieci często bawiły się na majątku koło Rekówka. Tu pracowali Polacy nie mówiący po niemiecku. Głowy mieli ogolone, ale do stołu siadali razem z gospodarzami. Jeden z nich pięknie grywał na harmonijce, co nam się podobało, szczególnie gdy grywał smutne polskie piosenki.

Nieraz słyszeliśmy przemówienia Hitlera przez radio. Wielu żołnierzy już poległo. Wódz uważał, że ku chwale ojczyzny. Nie lubiłam chrypliwego głosu Hitlera. Mój ojciec szeptał: „on na nas sprowadzi nieszczęście”. Matka rozglądała się, czy nikt tego nie słyszał.

Kolega ojca nie musiał iść do wojska. Ojciec nie był zadowolony z tego faktu, ale skwitował to: „Niektórzy muszą pozostać w domu, aby powitać zwycięzców”. Czarny humor.

Pewnego dnia ojciec zawiadomił nas, że przyjedzie na krótki urlop. Uradowana mama pucowała cały dom. Poszliśmy na dworzec po ojca, wysiadł z ostatniego wagonu. W kieszeni spodni miał dla nas cukierki, jak dawniej. Ojciec nie był wesoły, oczy miał wilgotne, mówił: „Nie chcę o tym myśleć, że znów trzeba tam jechać”. „Więc zostań”, mówiłam. „Nie mogę, bo to znaczyło złamanie przysięgi”. Po tygodniu odprowadziliśmy ojca do pociągu.

Boże Narodzenie 1944 roku. Ojciec długo nie pisał z wojny. W Buszynie było coraz bardziej niespokojnie. Po wsi kręcili się obcy ludzie i wielu żołnierzy, coraz młodszy. Często przelatywały samoloty. Nowy rok przyniósł ze sobą dużo śniegu. Słysząc było odgłosy kanonady. Rosjanie byli coraz bliżej i mama pakowała skrzynie.

Na początku marca 1945 roku wybuchła panika we wsi. Uciekliśmy do lasu ukrywając się w ziemiance. Ziemianka była wyłożona słomą. Siedzieliśmy z mamą w kącie, pachniało lasem. Od czasu do czasu jeden z mężczyzn otwierał luk i słyszeliśmy odgłosy strzelaniny. Było zimno, brakowało powietrza, jednak zasnęłam. Rano mama ukroiła nam kielbasy, chleba nie było. Jak długo tu siedzieliśmy, nie wiem. Kiedy nastała cisza, wróciliśmy do wsi. Nasz dom był zajęty przez uciekinierów, zamieszkaliśmy u babci Wokot, potem u Hardtke.

Panowała dziwnie niepokojąca cisza. Wszyscy mieszkańcy wrócili do wsi. Mama pakowała skrzynie i razem z sąsiadem zakopała je w ogrodzie i w pralni.

Jednak front zbliżał się do Buszyna. Część mieszkańców skupiła się w gospodarstwie Hardtke. Także Polacy, którzy od czasu do czasu wychodzili na zwiaady, ale w pewnym momencie zniknęli. Panu Kellerowi wydawało się to podejrzane. Widzieliśmy łuny na wioską. W nocy uciekliśmy przez las w kierunku Sławna, skąd słychać było krzyki ludzi i strzelaninę. Wszędzie było pełno ludzi, prawie same kobiety i dzieci, puste domostwa. Weszliśmy do jednego domu, aby poszukać czegoś do zjedzenia. Cała rodzina siedziała wokół stołu nad miami z jadłem. Byli martwi. Pierwszy raz widziałam martwych ludzi. Pan Keller powiedział, że idziemy w złym kierunku, gdyż z naprzeciwka szło bardzo dużo uciekających. Sławno było wyludnione, zniszczone, splądrowane. Kule przelatywały nad naszymi głowami.

Zawróciliśmy w kierunku Koszalina przez Krąg. Zatrzymaliśmy się w majątku. Stodoła była pełna ludzi, weszliśmy do chlewa, też był pełny, ale znaleźliśmy kącik na słomie za korytem. Przed chlewem rozległy się strzały. Wtargnęli Rosjanie w dużych baranich czapach. Wszystkich przeszukali, żądając „uhri” i kobiet. Zabrali kilka dziewcząt. Staruszka, który chciał je bronić i nie chciał oddać zegarka żołnierze zastrzelili. Uciekliśmy polami, gdyż na szosie toczyły się walki. Widzieliśmy rannych i zabitych Rosjan i Niemców. Zatrzymaliśmy się w oborze jakiegoś majątku. Na dachu wisiało białe prześcieradło. Czołgi jechały przez ośnieżone pola w naszym kierunku. Do obory wtargnęli żołnierze w dziwnych futrzanych czapkach. Ich język był niezrozumiały. Nie wiedziałam, dlaczego mama posmarowała sobie twarz sadzą. W ogóle kobiety nałożyły stare ubrania. Jeden z żołnierzy zabrał dziadkowi płaszcz i zegarek, pamiątkę po confirmacji. Dziadka, ku naszej rozpacz, jednym strzałem zabito. Niektórzy dobrowolnie oddali zegarki i biżuterię. My nie mieliśmy nic. Rosjanie przeszukiwali sterty słomy poszukując młodych kobiet, które zabierano. Wróciliśmy do Buszyna. Kule świstały koło naszych głów. W lesie ukrywali się niemieccy żołnierze i esesmani.

Czołgi rozjeżdżały kolumny uciekinierów. Za czołgami jechała kawaleria i konie zadeptywały tłumy ludzi. Rosjanie walczyli twardo, było dużo zabitych – Rosjan i Niemców. „Bezsensowna wojna, już przegrana, a jeszcze każą nam walczyć”. Jeszcze słyszę krzyki zaledwie 17-letniego żołnierza, który stracił nogę i krzyczał, krzyczał, a krew się lała. Nie można było mu pomóc. Nieraz nocą jeszcze dzisiaj słyszę te krzyki.

Wieczorem zatrzymaliśmy się w pustym domu koło lasu. Kobiety znów szukały starych rzeczy by się przebrać i ubrudziły twarze. Dziewczyny zawijano w koce i podkładano nam dzieciom jako poduszki. W nocy Rosjanie znów zabrali kobiety. Rano smutne wróciły. Mama nie odpowiadała na moje pytania, gdzie była i co robiła, tylko mocno przycisnęła mnie do siebie. Rosjanie jeszcze często ją zabierali. Wracła zmęczona, zapłakana, zmieniona, nie reagowała na nic, zapastrzona nieruchomo w jeden punkt. Ruszyliśmy dalej do Kępic. Dom naszego wujka był zdewastowany i pusty. Wszędzie pełno było szabrowników. Zabitym żołnierzom Rosjanie zabierali buty. Nie zostaliśmy w Kępicach. Przez lasy wróciliśmy do Buszyna. Na polanie w lesie leżało wielu zabitych rosyjskich i nie-

mieckich żołnierzy. Niektórzy byli nadpaleni. Jakiś staruszek zbierał hełmy i menażki i składał je na stertę. Obok zabitych położył krzyż i leśne kwiaty. Płakał. W Polanowie załadowano dużą część mieszkańców do wagonów i wywieziono.

Wreszcie w Buszynie. W pierwszym domu we wsi pijani Rosjanie tańczyli wokół ubitej świni. W pobliżu boiska stała babcia Möllerke z czterema wnukami i płakali, gdyż Rosjanie zabrali rodziców. Czy tak wygląda wyzwolenie ?

Nasz dom był zajęty przez wojsko. Przygarnęła nas babcia Möllerke. W nocy obudziły nas krzyki. To Rosjanie poszukiwali kobiet.

Po kilku tygodniach wróciliśmy do naszego domu. Rosjanie odeszli. Mieszkanie było zdewastowane. Wiszący na ścianie portret ślubny naszych rodziców służył jako tarcza. Nie było żadnej żywności, także tej zakopanej w skrzyniach. W piwnicy leżała wycieńczona świnka. Widocznie wpadła tam przez otwartą kłapę. Co noc zjawiali się Rosjanie. Słyszając ich krzyki dostawałam epilepsji, nieprzytomna drżałam, na ustach miałam pianę. Mama trzymała mnie w ramionach. Ale i tak zabrali ją do stodoły. Jeszcze bardziej się baliśmy kiedy przyjechał z kumplami bryczką z Kręgu pijany oficer. Mając 8 lat przestałam być dzieckiem.

Głód był większy niż strach przed Rosjanami, więc poszliśmy do lasu na jagody. W młynku do kawy mama zmieliła ziarna żyta, zmieszała to z jagodami i mieliśmy placki bez jajek i mleka. W ziemiance w lesie siedziało dwóch niemieckich żołnierzy, mieli może po 16 lat. Na drugi dzień poszliśmy znów do lasu. Mama grubo ubrana w rzeczy ojca. Po kilku nieprzyjemnych spotkaniach z żołnierzami dotarliśmy do lasu. Szukaliśmy jagód, a mama zaginęła. Wróciła bez tych ubrań. Zostawiła je w ziemiance.

Tragicznych chwil przeżyliśmy jeszcze dużo, ale sroga zima 1945 roku minęła i nastąpiła wiosna 1946 roku.

Buszynianie z małymi wyjątkami wyjechali z wioski. Polacy objęli gospodarstwa. Musieliśmy dla nich pracować. Babcia Möllerke z czterema wnukami pracowała u Polaka w Polanowie. Nigdy już o nich nic nie usłyszeliśmy. Mama pasła krowy, a Traute pracowała jako służąca u sołtysa Buszyna. Urszula także ciężko harowała, a miała dopiero 13 lat. Kiedy krowy uciekły z pastwiska Ursel dostała lanie. Ja musiałam się bawić z synem młynarza. Kiedyś poprosiłam go o kawałek chleba, a on uderzył mnie szpadlem. Pobiełam do domu i czekałam na mamę. Ale to nie mama wróciła tylko Rosjanin. Szukał czegoś w spiżarni i w szafie. Na pewno także był głodny. Był to jeden z nielicznych już żołnierzy rosyjskich. Wieczorem mama znów przygotowała wodnistą papkę z różnych zióren.

Jesienią 1946 roku mama mocno przeziębiona wciąż pasła krowy. Pewnego dnia nazbierała strąków łubinu. Przy łuskaniu ich w domu myślałam o bajce „Kopciuszek”. Otworzyłam okno. A może i do mnie przylecą gołębie ? Wieczorem mama ugotowała z łubinu zupę, a część wysuszyła na kawę.

Żyliśmy bez zegara i bez kalendarza. Czy jest już październik ? A może jeszcze wrzesień ? Żarówki też nie mieliśmy, nafty bardzo mało. Mama coraz mocniej kaszlała, lecz mimo to w deszcz, a później gdy przószył lekki śnieg musiała wy-

chodzić w pole. Wieczorami moczyła stopy w wodzie z solą, co mnie zdumiewało. Pewnej nocy wiatr wyrwał klapę na strychu. Przez otwór mocno wiało więc mama wdrapała się na strych by klapę zamknąć. Nagle krzyk. Mama nadepnęła na widły i jeden z zębów przebił jej łydkę. Bardzo ją bolało. Rano noga była bardzo spuchnięta. Mimo chorej nogi i kaszlu musiała iść na pastwisko.

Kiedyś wieczorem przyszedł do domu młody Rosjanin. Na stole położył paczkę z chlebem i rybą. „Pan Bóg go nam przysłał”. A może to już gwiazdka ? Powtórzyło się to kilka razy. Raz pokazał nam zdjęcie. Przed małym domem stali jego dziadkowie, rodzice i on, Simon. Na drugim zdjęciu były same zgłiszczka. „To faszysci”, mówił, „ale ty, niet faszyst”. Jednak są i dobrzy Rosjanie. I czy Niemcy mogli czynić takie rzeczy ? Później, gdy dojrzałam, zrozumiałam.

Po kilku dniach Simon przyniósł nam więcej jedzenia. W pośpiechu się pożegnał i szybko wyszedł. Nigdy więcej o nim nie słyszeliśmy. Rano nie było już Rosjan w Buszynie.

Zima 1946/1947 była bardzo sroga. Dzięki Bogu mieliśmy drewno i węgiel. Po powrocie z pracy mama, Traute i Ursula siadały koło kaflowego pieca. Mama coraz bardziej kaszlała i miała gorączkę. Pobiełam do gospodarza z informacją, że mama jest chora i dziś nie przyjdzie do pracy. Polak zdenerwował się, wpadł ze złością do naszego domu, wyrwał mamę z łóżka i w samej koszuli, bez butów, poganiając ją pejcem pędził ją po wsi. Po tym zdarzeniu mama długie tygodnie chorowała. Gospodarze Traute byli bardziej ludzcy. Pozwolili jej doglądać mamę kilka razy dziennie. Kilka razy otrzymała jajka i mleko dla chorej. Lecz nie zawsze gospodyni miała dobry humor. Pewnego dnia oblała Traute kubłem gotującej się wody, za to, że siostra wzięła trochę mleka dla mamy. Polka przebywała w obozie pracy i na pewno przeżyła tam straszne rzeczy, nie lubiła Niemców. Jej mąż był zszokowany. Siostra miała całą skórę głowy poparzoną. Mama rozplotła jej warkocze i chłodziła głowę wodą. Rano z głową owiazaną czystą szmatą Traute poszła do pracy.

Dni były coraz cieplejsze. Pewnego dnia poszłam nad Grabową żeby się wykąpać. Woda była przezroczysta. Przypomniałam sobie dawne kąpiele z przyjaciółmi, nie przeczuwając, że to ostania kąpiel w Grabowej. Pobiełam do domu w mokrym kostiumie. Przed domem stała grupa mężczyzn z karabinami. Nie pozwolono nam wejść do domu. Tak ja staliśmy mieliśmy być ewakuowani, ja w mokrym kostiumie kąpielowym. Nagle podszedł do nas młody Polak, który kiedyś tak pięknie grał na harmonijce. Coś tam tłumaczył kolegom, a mamie mówił: „Fritz (ojciec) zawsze był dobry, nieraz dawał mi kielbasę i cukierki. Mama potajemnie przenocowała żonę jednego z Polaków, kiedy go odwiedziła”. Mama mogła wejść do domu i trochę rzeczy spakować. Na drodze czekała już grupa innych mieszkańców. Nasze torby musieliśmy załadować na konny wóz. W Kręgu zobaczyliśmy smutny obraz zniszczenia i dewastacji. Tylko ściany zamku odbijały się w wodzie jeziora. Bajkowy widok ! Ożyły wspomnienia.

Kierowaliśmy się w kierunku Sławna. Podobno pociąg czekał na stacji. Już nie mieliśmy siły iść dalej, ale nas pędzono. Jeden staruszek zmarł. Opadnięci z sił dotarliśmy do dworca. Obraz zgrozy, mnóstwo starych ludzi i krzyczące dzieci

biegające po torach. Nasi Polacy zaprowadzili nas do poczekalni, gdzie każdy z nas otrzymał chleb i solonego śledzia. Cieszyliśmy się. Nasze zdumienie było jednak wielkie, gdy zobaczyliśmy, że furmanki z naszymi tobołami w pośpiechu odjeżdżają. Polacy pędzili konie batem. Nie mieliśmy nic ! Mama miała tylko dowody i książeczki oszczędnościowe pod ubraniem.

Podjechał długi pociąg towarowy. W wagonach było trochę słomy i dużo ludzi. Było niehumanitarnie ciężko. Cztery tygodnie jechaliśmy bez możliwości mycia się. Mama znów kaszłała i gorączkowała. Traute także, gdyż rany na głowie ropiały. Wszy i pchły dokuczały w dzień i w nocy. Wiele osób miało biegunkę, byliśmy głodni. Kilka osób zapadło na tyfus. Po czterech tygodniach rozładowali nas w Meinnirgen w Turynii. Nareszcie mogliśmy się umyć, zjeść i spać. Zajęły się nami służby sanitarne.

Stary mężczyzna powiedział: „Winien jest Hitler, ten łotr. On nam uszykował to nieszczęście !”

Hans Burghard Schmid²³⁹

Sentymentalne Sławno

Sławno jest stolicą mojego życia. Daleka sylwetka, fragment duchowy, cegielka wspomnień i wizji. Przejrzysta architektura i mentalność; nazwa w której łączy się historia czasu i rodziny.

Całe życie moja matka opowiadała o swojej „nasłonecznionej przeszłości”, także o nagłej jej utracie, o bezpiecznym dzieciństwie, o codziennym życiu i niezmiernym cierpieniu jej rodzinnego miasta Sławna. Mówiła o sielankowym czarze małego miasta, o prężnym świetle handlowym, o kawiarniach, o szacownych miejscach miłości, o festynach i zawodach sportowych, w których królowała, o narodowych świętach. Z sentymentem wspomina okres szkolny i nauczyciela Löffelbeina, który podarował jej zieloną piłkę, gdyż matka podnosiła każdy kamień aby ćwiczyć rzuty. Piłką bezpieczniej – mówił troskliwy pedagog. Nie zapomina o odpowiedzialności za pracę w starostwie, w dziale kadrowym, w którym dwukrotnie musiała składać przysięgę dochowania tajemnicy służbowej. Urząd powiatowy, centrum uporządkowanego życia przedwojennego pod zarządem pana von Zitzewitza – historyczne nazwisko - potem do końca dr Wiggerta, osoby szlachetnej, honorowej, o wielkim sercu, z „studenckim zacięciem” na twarzy. Jako wyższy urzędnik administracji był co prawda zwolniony ze służby wojskowej, lecz na ochotnika zgłosił się do wojska i to nie z powodu entuzjazmu do wojny, ale chciał być bliżej swoich ludzi i nie chciał należeć do uprzywilejowanych zwolnionych ze służby. Biograficzny lot nurkowy mojej matki – to z ciepłej sali herbowej z pięknymi witrażami do wilgotnej piwnicy bez okien w domu rodziców. Azyl dzienno-nocny tylko po to, żeby nie paść ofiarą groźnych gwałtów.

Moje dzieciństwo było ściśle związane z opowiadaniem i atmosferą utraconego bezpieczeństwa i godności, z powtarzanymi opowiadaniem o gorzko opłaconym doświadczeniu życiowym. A teraz matka nic nie mówi, nie chce słyszeć o utrwaleniu tego czarno na białym. Ja czuję odpowiedzialność za opisanie jej życia, chociaż z brakującymi detalami w rozwianym lesie wspomnień. I mimo braku zgody na autoryzowanie. Pytano mnie często, czy i jak przeżyłem młodość, a także o wspomnienie wojny? I nikt dotąd nie pytał o Sławno. I teraz ta okazja! Lecz duchowa archiwistka tamtego czasu odmawia zeznania.

²³⁹ **Hans Burghard Schmid**, urodził się w Ellerau (Szlezwik-Holstein) w 1949 roku. Matka pochodziła ze Sławna. Studiował historię, germanistykę, później historię sztuki oraz „wolną sztukę” w Akademii Sztuk Pięknych w Hamburgu. Od połowy lat 70-tych jest nauczycielem. Przez wiele lat zajmował się integracją dzieci wypędzonych. Mieszka w Hamburgu.

Wobec tego pozwolę sobie zastępczo mówić o palącym się mieście Sławno , które przekazano bez oporu i mimo, że strategicznie było bez wartości zdobywcy je podpalili.

Chciałbym wspomnieć o dziewczętach, dobrych pływaczkach, które całą grupą poszły do wody. Ludność bowiem dowiedziała się o wypowiedzi Stalina, że żeńska zdobycz jest do dyspozycji wygłodniałych żołnierzy. Propaganda niemiecka podsycala pogłoski w celu mobilizowania ostatnich sił. Dla wielu śmierć była „przyjemniejszą” alternatywą niż być ofiarą grożącej orgii gwałtów. Dokonywano masowych gwałtów , także na matkach, które proponowały siebie zamiast córek, które traciły często rozum z powodu fizycznych i psychicznych tortur. Panowała nieufność wobec zgwałconych kobiet. Z powodu doznanego bólu i aby chronić się przed następnymi gwałtami, często zdradzały miejsce ukrywania się innych. Narodowa solidarność wystawiona była na próbę przez strach o byt. „Żywi będą zazdrościć zmarłym”.

Tragizm obok tragikomizmu. Rosyjscy żołnierze zabijają naszą rodzinną kozę „Hansel”, nasze źródło mleka, pukają obcięta głową w nasze okno, jednocześnie łamią prawo okupanta i zostawiają przegranym porcję mięsa w przyływie przyjaźni narodów. Jeszcze wołanie „uri, uri” i zabieranie na ulicach markowych niemieckich zegarków. Inna sprawa: rosyjscy żołnierze, prawie dzieci, pokazywali na mapach z utęsknieniem miejsce, gdzie mieszkała czekająca matka. Pociśnienia wymagały obie strony. Moja babcia ze swoimi słowiańskimi kośćmi policzkowymi niechęć stała się obrazem tęsknoty jako białoruska matka żołnierza. To jej pomogło. Czerwonoarmijcom podobały się kieszenie z niemieckich mundurów kolejowych, więc babcia wszywała zakładki w zewnętrzne kieszenie mundurów rosyjskich. Tak, że kieszenie kolejowego munduru dziadka stały się modnym dodatkiem munduru rosyjskiego żołnierza, oczywiście potajemnie.

Z drugiej strony fałszywy mundur mógł kosztować życie, nie tylko na froncie. Przykład: u ojca sławieńskiego gimnazjalisty, znajomego matki, znaleziono znaczek służbowy ze swastyką na starym mundurze oficerskim. Rozstrzelano go na oczach żony na kupie gnoju , jak bydle. Stąd wielki strach mojej matki, gdy dziadek majaczył w wysokiej gorączce, głośno chwalał Hitlera i przeklinał Stalina. Gdyby ktoś usłyszał, groziłoby mu rozstrzelanie. Inna tragedia, co prawda na marginesie wojny. Sławieński terminator popełnił samobójstwo z powodu kradzieży pięciu marek. I to w czasie kiedy całe państwa zostały obrabowane. Ojciec zabrał ciało z torów i ręcznym wózkiem przywiózł do domu. „Honor znaczyło wszystko, życie mało”. To samobójstwo jest także aspektem niemieckiej tragedii, granicą samounicestwienia i nacjonalnego spojrzenia na braterstwo broni z Japonią i jego etyki samobójstwa. Japończycy Nibelungowie , germański nippon, słońce i koło słoneczne „Zmierzch Bogów”. Nitka życia jest cienka, także wtedy, kiedy okupanci ze zwykłej radości zwycięzcy zastrzelili synka, dając jej w stanie upojenia alkoholowego w zamian bochenek chleba. Jak matce mógł smakować ten chleb ? „Spójrz, to ciało moje”.

Kto miał piwnicę i młode córki, ten dobrze zrobił ukrywając je w ciemności przed dzikim pożądaniem. Worki po węglu służyły ciężarnej za podziemne łóżko. Milczenie było obowiązkowe. Pomagał niemy dialog z modlitwą, nie z Führerem w swoim podziemnym bunkrze z Berlinie, tylko z Bogiem, tym sędziwym Panem na górze, który zdaje się zapomniał o tym kraju niedoli.

Po rzekomym uspokojeniu się sytuacji i ponownym „zmartwychwstaniu” z piwnic na oślepiające dzienne światło powstało otrzeźwienie o pojęciu iluzji narodowej solidarności. Moralny rozkład frontu ojczyźnianego był widoczny. Skrzywdzone, zgwałcone kobiety donosiły okupantom o będących w ukryciu dziewczynach w celu osiągnięcia łaski i chcąc uspokoić własny ból, że „nie tylko ja”. Następowaly testy i próby kostiumowe i makijażu w jaki sposób najlepiej się maskować, aby być niezauważalną. Ubieranie się w najstarszą odzież, domalowywanie zmarszczek na twarzy za pomocą węgla drzewnego. I tak kładziono się do brudnego łóżka. A tam teatralne lamenty, które nawet najbardziej wygłodniałemu żołnierzowi odbierały apetyt ze strachu. I jedna pomyślna chwila. Matka pamiętając o rosyjskiej duszy lubiącej dzieci wyszła do rosyjskiego żołnierza z małym dzieckiem sąsiadki na ręku. Ten odchodząc mruczał „Złe dla niemieckiego dziecko”. Ale to co przed chwilą jeszcze ratowało życie, jutro mogło oznaczać wielkie fatum. Każde spojrzenie mogło być zgubne.

Paradoksalny fatalizm: akuszerka, która miała odebrać poród u mojej matki otruła się wraz z całą rodziną. Pomocnica startu w życie samodzielne wielu mieszkańców Sławna, nie wytrzymała bólów porodowych tego czasu. Widok tyłu gwałtów był dla niej nie do wytrzymania. Radośnie przyjęte krzyki życia zostały zagłuszone prakrzykiem śmierci. Tematem życia tej sławieńskiej akuszerki była pomoc w zdobywaniu życia, trwającego nadużywania śmierci nie mogła przeżyć. A wyglądała jak zjawisko z pruskiej książki do historii: biały stojący kołnierzyk z gemmą, wyprostowana, odpowiedzialna, podobno zaprzyjaźniona z rodziną cesarza. Milcząc sama zwolniła się z obowiązków.

Moja siostra za wcześnie przyszła na świat, przypomina sobie jedynie spacer z babcią po alejce brzozonej przy końcu miasta. Był to jej obraz pożegnalny zakotwiczony w pamięci.

Moja ciocia, zabrana bez uprzedzenia z ulicy, podobno zmarła przy pracy przymusowej. Tę hiobową wiadomość przyniosła nam sąsiadka po kilku tygodniach. Z niebiańską punktualnością w tym momencie naszej żałoby zjawiała się ta ogłoszona za zmarłą, cała zawieszona. Matka pełna pokory i poświęcenia umyła zagubioną ciotkę pod pompą w ogrodzie. „Patrz moje dziecko było martwe”.

Oprócz zapamiętanych obrazów – unikatów, pozostała garść zdjęć rodzinnych, dokumentów, listów – relikwie amputowanej egzystencji. Historie z pamięci wyglądające jak stereotypy kultury. Wielokrotnie słyszane teksty znałem i nawet recytowałem na żądanie podczas snu. Kiedy zamykam oczy, widzę ulice mojego miasta Sławna koło Wieprzy w palącym słońcu, czy podczas mroźnej zimy. Widzę moją matkę w stroju sportowym kopiącą rowy przeciwczołgowe, ostatnią rozpaczliwą próbę obrony przeciw rosyjskim czołgom. Irracjonalna i makabryczna sprawa naszej pomorskiej ziemi.

Spacer prowadzi do młyna „Na Kukułce” Postępowy młody szef nosił skórzaną kurtkę, najbardziej proletariacką w całym powiecie. Był prototypem „bohatera pracy”, co winno zapewnić mu łaski u okupanta. Poza tym miał dobre serce, na przykład matce podarował kawałek skórzanego pasa transmisyjnego na zelówki. Był dobrym pracodawcą dla swoich francuskich robotników przymusowych. Kiedy z tęsknoty do swego kraju zachorowali, pomagał im w ucieczce. Przebrani za smutnych gości żałobnych w milczeniu pojechali do domu. Ucieczka się udała. Francuska inspiracja z niemiecką kooperacją. Może wiara, że wszyscy ludzie będą braćmi, kiedyś się spełni.

Przechodzę około cytowanego już urzędu powiatowego, koło historycznych bram miejskich, średniowiecznych murów obronnych aż do legendarnej góry przed miastem i z powrotem do kościoła Mariackiego, którego murów nie zniszczyły ani armaty, ani reformacja. Dalej historyczny rynek, ofiara pożaru wojсковей zmiany, a także wielkiej reformy historii światowej. Historię współczesną pisze także superintendent Block, który prześladowanemu Dietrichowi Bonhoefferowi udzielał schronienia i nieustraszonego w 1945 roku ochrzcił moją siostrę. W moim dziecięcym zbiorze sławieńskich wspomnień wszystko jest jednakowo ważne i konserwowane w szablonach słownych – utracone strony rodzinne, pewne wspomnienia. Zawalenie się historii powszechnej i tragedia przyczyniły się do tego, że Sławno stało się dla mnie „utraconym rajem” i „błogosławionym krajem” i jednocześnie także centralnym stygmatem rodzinnym.

Finał: płacząca Polka, naoczny świadek, która nie może patrzeć na nędzną kolumnę niemieckich uciekinierów. Sama niedawno została wypędzona, jeszcze jej ciężko. Czy tamte obrazy się zacierają? Wywózka wyjętej spod prawa ludności niemieckiej w przepełnionych bydłych wagonach zabiera wszelką nadzieję. Niemowlęta umierały i z rozkazu czerwonoarmijców trzeba było ciała wyrzucać z jadącego pociągu. Żołnierze biorą dziewczyny jak dojrzały owoc. To było pożegnanie ostatniej iluzji i wiary w godność ludzką i prywatnej logiki.

Małżeństwo wojenne moich rodziców zawarte w Sławnie okazało się trudne w czasie pokoju z winy wypędzenia i urazu mózgu przez granat i długiej niewoli w Rosji. Zdjęcie ślubne moich rodziców pokazuje żołnierza o smutnych, niebieskich oczach, a nie fotogenicznego męskiego sportowca z uśmiechem zwycięzcy na twarzy. W momentach kryzysu małżeńskiego matka groziła powrotem do Sławna do utraconego refugium niespokojnego serca i zamkniętej duszy. Tę własną wewnętrzną historię swego życia matka ukrywa, nawet nie pomagają moje perswazje, garść dokumentów, pergaminy Pomorza, jej pokazywane. Matka już nigdy więcej nie widziała swojego Sławna.

Teraz od niedawna dopływa nowa krew do moich wspomnień. Moi polscy uczniowie są dla mnie *bypass*, gdyż Piotrek czy Róża opowiadają o swoich zostawionych rodzinnych stronach. Poznają ich historie rodzinne podobne do mojej ze Szczecina, Koszalina.

Proszę wybaczyć przydługi bieg przez stare Sławno. Nasze hasło brzmi: „czy pamiętasz, było kiedyś?”. Proszę wybaczyć brak dyscypliny stylistycznej i wewnętrznej, lecz „czym serce jest przepełnione, to usta ujawnia”. Poza tym je-

stem kronikarzem z drugiej reki i drugiej generacji. Ale to zrobiłem dla pamięci
mojej matki i Waszego Sławną.

Derk Steggewentz²⁴⁰

Marzec 1945

Po powrocie do Sławna żyłem wciąż myślą i życzeniem zarazem, by wysłać Annie i Gerda²⁴¹ na Zachód. Annie wzbraniała się uporczywie przed opuszczeniem mnie, nawet wtedy gdy kupiłem dwa bilety - jeszcze dziś jestem w ich posiadaniu - i prosiłem, by wraz Gerdem pojechała do Rinteln jednym z jeszcze jeżdżących pociągów. Data na bilecie 22.01.1945.

Nie chciała zostawić mnie samego, mimo że nikt nie wiedział, co nas czeka, a w szczególności jaki los spotka kobiety po wkroczeniu Rosjan. Czemu miało służyć to, że zostaliśmy w trójkę w Sławnie nie wiedziałem, lecz dziś jestem jej za to z całego serca wdzięczny.

Im bardziej zbliżała się do nas Armia Czerwona, tym bardziej wzrastały pogłoski o przemocy stosowanej przez żołnierzy wobec ludności cywilnej. Coraz częściej rozważałem plany ucieczki Annie i Gerda. Mieli wziąć samochód, potem konie i wóz, ale Annie ciągle wzbraniała się przed opuszczeniem mnie. Z drugiej zaś strony byłem wewnętrznie spokojny, że nie musiałem wysłać jej na mróz i śnieg, narażać na zepchnięcie z drogi przez „dzikie tłumy” podążającej na Zachód ludności, lub co gorsze, że zostanie obrabowana daleko ode mnie w nieznanej okolicy przez nazistowskich funkcjonariuszy, którzy nie patrząc na ludność cywilną chcieli w pierwszej kolejności znaleźć dla siebie schronienie. Zostali ze mną.

Trzy dni przed wkroczeniem Rosjan wysłaliśmy Gerda do bierzmowania. Na uroczystość przybyło wielu drogich nam gości. Mogliśmy rozmawiać otwarcie, ponieważ „nazistowscy bonzowie” opuścili nas. Gdy na krótko włączyliśmy radio, usłyszeliśmy słowa: „walki w rejonie Sławna”. Nikt z nas nie przypuszczał wtedy, że trzy dni później zabawki Gerda z częścią naszego wyposażenia zostaną wyrzucone przez okno i leżeć będą w śniegu, reszta zaś rozbita i okropnie

²⁴⁰ **Derk Steggewentz** urodził się 15 sierpnia 1894 roku w Rinteln jako najmłodszy z sześciorga dzieci. W Sławnie był lekarzem weterynarii od października 1923 roku do listopada 1946 roku. Mieszkał w budynku rzeźni przy obecnej ulicy Gdańskiej. Od swego najmłodszego syna Hermana na Boże Narodzenie 1947 roku dostał niezapisany pamiętnik z prośbą by spisał swoje wspomnienia. Zrobił to kilkanaście lat później, między grudniem 1961 roku, a styczniem roku 1962. Pisał je najczęściej w poczekalni doktora Krane Puhla, a także w innych sytuacjach, gdy musiał na coś czekać. Obejmują one okres rintelski, gdzie przed przyjazdem do Sławna mieszkał, sławieński i znów rintelski. Do Rinteln Derk Steggewentz wrócił w końcu 1946 roku po wyjeździe ze Sławna. Jest ojcem inicjatora współpracy Rinteln i Sławna Derka Steggewentza, którego wspomnienia publikujemy także w tym tomie.

²⁴¹ żona i syn

brudna walać się będzie po mieszkaniu, a mój brygadzysta Grüdler wraz ze swoją żoną leżeć będą martwi w ogrodzie.

Około 3 marca, gdy w pobliżu Sławna padały pojedyncze strzały, wysłaliśmy naszą dobrą Friede do jej rodziców mieszkających w pobliżu. Duża część społeczeństwa uciekła w obawie przed Rosjanami w grupkach do pobliskich lasów.

Zadzwoiłem do zarządu miasta po wskazówki dotyczące pracowników, a także żywych i ubitych świń będących na składzie. Zgłosił się posterunkowy Stassat i powiedział, że burmistrz - jak i inni nazistowscy prominenci - dawno już wyjechał nie zostawiając ani jednego zalecenia dla miasta. No cóż, niczego innego nie można było oczekiwać.

W miasteczku pozostał tylko splajtowany hodowca kur, który w niedługim czasie otrzyma za swoje nazistowsko - mieszczańskie zasługi należytą zapłatę.

Około 14.00 wpadł Gerd z brygadzystą Gründlerem na górę i powiedzieli, że mam zejść na dół. Na dole oczekiwał na mnie oficer SS i rozkazał zatruć wiszące w ubojni mięso. Powiedziałem mu, że tego nie uczynię, ponieważ wielu mieszkańców pozostało w mieście, lub też ukryli się w okolicach. Co stałoby się z nimi, gdyby po wkroczeniu Rosjan choć jeden żołnierz Armii Czerwonej zmarł od zatrutego mięsa, nie byłoby żadnego wytłumaczenia. Ten esesmański pętał zagroził, że mnie powiesi. Wiedziałem, że mówi prawdę, gdyż naziści powiesili już wielu ludzi, którzy nie wypełniali ich poleceń. Powiedział, że jak zrobi porządek w znajdującym się w pobliżu składzie żywności, wróci tu i będzie ze mną nie najlepiej, jeżeli do tego czasu nie wykonam jego rozkazu.

W tych ostatnich burzliwych tygodniach wojny spadła z tych esesmańskich włóczków mizerna powłoka kultury i przyzwoitości. Pół godziny później pojawili się u mnie dwaj oficerowie Wehrmachtu pytając, czy mogą zadzwonić, gdyż chcieli znaleźć stanowisko dla dwóch armat i faktycznie udało im się otrzymać połączenie ze swoją formacją. W tym momencie weszła Annie ze szklankami i napojami orzeźwiającymi, żołnierze zapytali zaskoczeni, kto to jest. Po uzyskaniu odpowiedzi powiedzieli, że jeszcze dziś musimy opuścić ten duży, leżący samotnie kawałek ziemi. Faktycznie byliśmy sami, gdyż panna Scharffe, która zajmowała się kontrolą badania mięsa, jak i Gründlersowie dawno już odeszli.

Oficerowie mówili tak przekonująco, tak poważnie spoglądając przy tym wciąż na nas, że zdecydowaliśmy się na ucieczkę. Każdy spakował swój plecak zabierając tylko parę drobiazgów, między innymi butelkę koniaku, likieru i to co wpadło nam w pośpiechu w ręce. Później odkryłem, że znalazły się wśród tych rzeczy - nie wiadomo skąd - wieszaki. Być może były już wcześniej w plecakach. Porucznik zlecił jakiemuś podoficerowi, by zajrzał do mojego samochodu i sprawdził go. O zmierzchu, przy zamieci śnieżnej i bez pośpiechu wsiedliśmy do samochodu. Nie mieliśmy już się z kim pożegnać. Dom był pusty. Jakiś czas później wrócili Gründlersowie, co okazało się fatalne w skutkach, gdyż stali się ofiarami Rosjan. Odnalazłem ich zwłoki potem w ogrodzie i to tylko dzięki temu, że ilekroć przemykałem się do rzeźni, widziałem ich psa ciągle w tym samym miejscu. Poszedłem tam w końcu. Nauczyciel gimnazjalny Petronke, który musiał zbierać i grzebać zmarłych, zajął się nimi.

Panna Scharffe też się z nami dzień wcześniej pożegnała, dokąd chciała się udać, nie wiem. Słyszałem tylko, że jej zwłoki wyłowiono z Wieprzy. Krótko przed naszym odjazdem do Słupska Gerd wykopał i zabrał ze sobą jeden z najbardziej ulubionych prezentów z bierzmowania - przedni budzik podróżny, który wcześniej zalutował w metalowej puszcze i zakopał w ogrodzie. Było to dla nas wstrząsające przeżycie. Potem ów budzik został gdzieś w Słupsku. Podczas nocnej jazdy do Słupska - mogliśmy się tylko kierować na Wschód, gdyż droga na Zachód była odcięta - na drodze nie napotkaliśmy żywej duszy. Była to upiorna podróż. Gdy dotarliśmy do pierwszych domów Słupska - 6 marca - zastrajkował samochód. Przy Immelmannstrasse²⁴² mieszkała przyjaciółka mojej żony, która była żoną superintendenta²⁴³ Reinke. Dom państwa Reinke zastaliśmy pusty. Parę minut później pojawił się na chwilę pan Reinke. Sam, gdyż odstawił swoją żonę i dzieci na statek w Ustce. W przypływie wisielczego humoru przekazał nam cały dom i wszystkie jego dobra w uczciwe ręce. Obdarował mnie jeszcze dużą ilością papierosów i opuścił nas w pośpiechu. Był kapitanem i do jego obowiązków należała opieka nad dużą grupą rosyjskich jeńców wojennych, z którymi musiał udać się teraz na Wschód. Jedliśmy resztki jego zapasów, a potem położyliśmy się do jego małżeńskiego łóża. Nasz nowy DKW, który przejechał zaledwie 7. 000 km, został na ulicy. Reinke powiedział, że pomóc nam może radca sanitarny dr Reich, który wcześniej mieszkał w Sławnie i z którym znaliśmy się dobrze, gdyż decyduje on o miejscach w pociągu szpitalnym, który stoi na dworcu w Słupsku gotowy do odjazdu na Wschód. Zadzwońtem do niego, dał mi do dyspozycji miejsca w pociągu. Jednak cel podróży był nieznany. Nie chciałem z żoną i dzieckiem zostać napadnięty przez Rosjan na jakimś nieznanym odcinku na Wschodzie i odmówilem. Dr Reich powiedział mi podczas rozmowy telefonicznej, że nasz wcześniejszy szef Urzędu Powiatowego Mittelstadf zajmuje się ewakuacją ludności w Ustce i otrzymał 3000 miejsc na statkach. Zadzwońtem do Mittelstadfa i poprosilem go przez wzgląd na mojego bezradnego syna, który musiał być karmiony, o miejsca dla Annie i Gerda. „Dla pańskiej żony nie mam miejsca”, powiedział. Tym samym rozstrzygnęło się nasze pozostanie w Słupsku. Jeżeli mamy zostać napadnięci, to tu, gdzie z wyłączeniem nazistów – których już dawno nie było - nie mieliśmy żadnych wrogów. Potem chcieliśmy spróbować znaleźć jakąś szansę przeżycia w Sławnie. 7 marca miasto, które liczyło zazwyczaj 50 000 mieszkańców, a liczba ta w ostatnim czasie wzrosła do 150 000, opustoszało. Tysiące ludzi, którzy utracili nadzieję, starców, dzieci, zdrowych i chorych udawało się przy lodowatym zimnie i zadymce śnieżnej z wózkami i sankami bez wyznaczonego celu na Wschód. Na naszej ulicy, o ile sobie przypominam, pozostało tylko jedno starsze małżeństwo i pielęgniarka, która nie chciała opuścić leżącej w pobliżu ciężko chorej. Wokół nas zrobiło się pusto i cicho. Szedłem przez opuszczone mieszka-

²⁴² Obecnie ulica Grottgera

²⁴³ ewangelicki duchowny sprawujący nadzór nad duchowieństwem i zborami danej diecezji

nie i usuwałem przedmioty, które ściągnęłyby na pewno rosyjskie spojrzenie, między innymi mundur kapitana Reinke, który wisiał zaraz przy wejściu na wieższaku, nazistowskie obrazy, które wisiały w sali zebrań zboru. Następną noc w obawie przed obstrzałem spędziliśmy w piwnicy. Myśleliśmy wtedy o Derku, który był gdzieś wśród żołnierzy i o Hermannie, który leżał w gipsie w szpitalu i nie mógł sam jeść.

Nasłuchiwałem zbliżających się odgłosów walki, ale poza pojedynczymi strzałami karabinów maszynowych i małym ostrzałem artyleryjskim, nie było nic słyszeć.

* * *

O świcie pożegnałem się z Annie i Gerdem by, jak to się nazywa, sprawdzić nasze położenie. Szedłem opustoszałymi ulicami przez wyludnione miasto w kierunku ulicy Sławieńskiej. Po drodze natknąłem się na uzbrojonych radzieckich żołnierzy idących ostrożnie wzdłuż domów. Zaprowadzili mnie do swojego dowódcy, który zapytał mnie po niemiecku o blokady przeciwpancerne i lotnisko. Nie potrafiłem udzielić mu odpowiedzi. Zaczęli grozić mi bronią, zabrali zegarek i papierosy, a jeden z nich spojrzawszy na moje skórzane buty, powiedział: „Du Soldat”²⁴⁴.

Nakazali odejść z podniesionymi rękoma. Oczekiwany strzał w plecy nie nastąpił. Zaraz za rogiem zdjąłem buty i z promiennym uśmiechem wróciłem do swoich. Powiedziałem, że Rosjanie wyglądają na miłych ludzi. Chcieliśmy zaczekać aż nadejdą i wtedy udać się do Sławna. Niedługo po tym zrobiło się w domu głośno od wystrzałów z broni. Rosjanie wpadli do piwnicy i zaczęli wytrząsać zawartość naszych plecaków. Byłem ciągle jeszcze pełen ufności. Udałem się na górę, gdzie spotkałem oficera z szeroką czerwoną opaską na czapce. Zdołałem mu tylko wytłumaczyć, że jestem lekarzem weterynarii i chciałbym wrócić do Sławna i w tym celu potrzebuje jakieś zaświadczenie od niego. Napisał coś na kartce, a ja uszczęśliwiony wróciłem do piwnicy, w której przebywali moi ludzie. Zapakowaliśmy do plecaków to, co nam pozostało. Gdy wyszliśmy z piwnicy, ów oficer stał w pobliżu. Zobaczył moją żonę, porwał wystawione przez siebie zaświadczenie i zagnał nas z powrotem. Siedzieliśmy w piwnicy, spodziewając się najgorszego. Po krótkim czasie zakradłem się na górę. Żołnierza przy wejściu nie było. Przez drzwi zobaczyłem, jak zdrowo napity ściągnął obrus ze stołu wraz ze wszystkim, co na nim stało. Szybko zszedłem do piwnicy po swoich. W wielkim pośpiechu i strachu udało się nam opuścić niepostrzeżenie okolicę. Postanowiłem pozostać na głównej drodze i jak się później okazało, było to słuszne. Przy zamieci, przez śnieg maszerowaliśmy jako jedyni cywile do Sławna. Byliśmy wielokrotnie zatrzymywani i przeszukiwani. Podczas każdej rewizji powtarzałem swój tekst o weterynarzu. Dochodziło przy tym do zabawnych nieporozumień. Składane wieszaki na ubrania brane były za instrumenty medyczne. Małą butelkę koniaku dawno już zarekwirowali. Natomiast butelkę ajerkoniaku uważali za lekarstwo. Smakował wspaniale podczas mrozów. O

²⁴⁴ Ty żołnierz

zmierzchu dotarliśmy do Warszkówka i w zasadzie było dla nas szczęśliwym zbiegiem okoliczności, że wkroczyła tam duża formacja rosyjskich żołnierzy. Tym samym nie dotarliśmy do rzeźni, gdzie być może spotkałby nas ten sam los, co biednych Gründlerów. Udaliśmy się drogą Birkenweg²⁴⁵ w kierunku domów dla pracowników Kuckucksmühle²⁴⁶. Drafenn widząc nas wyskoczył przez okno i przywitał się. Na jakiś czas zatrzymaliśmy się u niego. Przez kilka pierwszych dni i nocy pozostaliśmy ukryci pod sianem. Wystarczająco często przychodzili Rosjanie ze świecami i zapalkami w poszukiwaniu kobiet. Nie znaleźli nas. Cudem jest, że siano nie zajęło się od ognia. Po kilku dniach mężczyźni wyszli z ukrycia. W ukryciu pozostały tylko kobiety. Leżały w pomieszczeniu, którego drzwi nie mogły być zamknięte, by nie wzbudzać podejrzeń. Najstarsze kobiety leżały obok drzwi, młodsze z tyłu, ale ucharakteryzowane na starsze. Często nie przynosiło to pożądanego efektu. Następne tygodnie były czasem fali samobójstw. Starzy rodzice Drafenna leżeli pod drzewem, na którym wisiały nauczycielki: panna Müller i panna Krebs. Drafenn, ja i jeszcze dwóch ludzi zabraliśmy ich wózkami i pogrzebaliśmy w ogrodzie zawiniętych w papier używany do zaciemnień. Mój kolega dr Scharz zastrzelił w Postominie swoją żonę, obie córki, wnuczki i siebie. Parę tygodni wcześniej promieniał z radości, gdy zarząd powiatu zezwolił mu, jego córkom z wnuczkami, córce dr Schmidta z jej małymi dziećmi udać się samochodem na Zachód, jak tylko zdobędzie potrzebną benzynę. W krótkim czasie zorganizował wystarczającą ilość paliwa. Ale gdy udał się do urzędu po wymagane zezwolenie zarekwirowano mu benzynę. Doprowadziło to do śmierci kobiet i małych dzieci, ale cóż może to znaczyć wobec ucieczki jednego nazistowskiego funkcjonariusza, który chce udać się w bezpieczne miejsce. Ten kto to przeżył wie, że nie był to pojedynczy przypadek i może zrozumieć, dlaczego w moich oczach nazistowscy funkcjonariusze byli gorsi od Rosjan, którzy nie byli na tym samym poziomie cywilizacyjnym i kulturowym, co Niemcy. Poza tym rosyjski naród został napadnięty przez nasz rząd i sponiewierany w najgorszy sposób.

²⁴⁵ Aleja Brzozowa

²⁴⁶ młyn nad Kukulką

Derk Steggewentz , junior²⁴⁷

Wspomnienie z końca wojny

Urodziłem się 13 listopada 1927 roku w Schlawe/Sławnie . Ojciec Derk Steggewentz był doktorem weterynarii, matka Annie, z domu Stock pochodziła ze Sławna. Miałem 2 młodszych braci Gerda i Hermanna. Ojciec objął kierownictwo nowo wybudowanej - w 1924 roku - rzeźni, gdzie mieszkaliśmy na pierwszym piętrze budynku mieszkalnego. Na parterze były biura i mieszkanie mistrza zakładowego.

Uczęszczałem do miejscowego gimnazjum, ale w 1943 roku zostałem wysłany na półwysep Hel na obóz pomocników marynarskich. Po czterech tygodniach podstawowego przygotowania wysłano nas do Gdyni i przydzielono do baterii przeciwlotniczej. Obok stanowiska przeciwlotniczego znajdował się zakład doświadczalny (torpedy). Nocą bardzo często były alarmy, w dzień szkolenia. Teraz naloty zdarzały się także w dzień. Widząc latające samoloty z otwartymi lukami, z których leciały bomby, ogarniał mnie strach. Na razie bomby leciały dalej. Nocą w dwójkę trzymaliśmy wartę. Po zabiciu kilku wartowników, podobno przez Polaków, nie wolno było nam nosić hełmów. Przeszkadzały w nasłuchiowaniu. Byłem najmłodszy wśród mieszkańców baraku, miałem 16 lat. Przełożeni nas szykanowali, szczególnie podczas sprawdzania porządku i czystości. Do granatowych mundurów musieliśmy nosić opaski HJ (Hitlerjugend). Zdejmowaliśmy je wychodząc na przykład do kina.

W tym samym czasie w porcie gdyńskim stał statek „Wilhelm Gustloff”, a na „Gorch Fock I” odbywały się kursy żeglarskie („Gorch Fock” dzisiaj rosyjski „Towariszcz”).

Rolnictwo zawsze mnie interesowało, dlatego często bywałem w Warszkowie na małym gospodarstwie Burowów, 3- 4 krowy plus koń. Ostatnie wakacje spędziłem na majątku w Borkowie. Właściciel dr Kusanke, weterynarz, kolega ojca, miał mi obrzydzić życie na wsi. Nie udało się.

W 1944 roku odbyłem służbę przymusową w „Służbie Pracy dla Państwa” w Drawsku Pomorskim.

Jesienią 1944 roku szkoła wystawiła uczniom świadectwa zastępcze i wysłała ich do Danii do obrony wybrzeża do lutego 1945 roku

W marcu 1945 roku zaczął się dryl w Szkole Przeciwlotniczej w Głowie na Rugii. Ćwiczone nawet kroki defiladowe, mimo że każdy już wiedział jak to się

²⁴⁷ **Derk Steggewentz**, syn Derka sławieńskiego weterynarza urodził się w Sławnie.

Mieszka w Rintel. Inicjator współpracy pomiędzy miastem urodzenia obecnego zamieszkania, trwającej od początku lat 90-tych XX wieku. Laureat Nagrody „Złoty Gryf Sławieński” przyznawanej przez Radę Miasta za szczególne zasługi dla Sławna.

wszystko skończy. Byłem bez przerwy głodny. Dlatego wcześniej rano biegałem do rybaków po coś do jedzenia, przeważnie po odpady z dorsza, na których razem z sadzeniakami i grochem gotowałem supę. Nie wierzyłem, że jesienią będę zbierał ziemniaki. Miałem rację.

Zakończenie wojny zbliżało się szybko. Jeszcze 1 lub 2 maja nocą przeniesionas do Sassnitz, właściwie już pod ostrzałem rosyjskiej artylerii. Rano pozwolono nam wyjść z koszar i wydostać się z wyspy. Po kilku godzinach wysadzono koszary. Obłęd. Statki były przepełnione, pełne kobiet i „bażantów złocistych”, to jest członków administracji. Dla nas nie było miejsca. W nocy udało nam się (5-6 osób) dostać na motorówkę, ale szczęście nie trwało długo, zabrakło paliwa a fale były coraz większe. Wokół nas przepływały większe i mniejsze statki, mocno przeładowane ludźmi. 4 lub 5 maja przejął nas holownik, zostawiliśmy motorówkę. Byliśmy głodni, ale jeszcze większe było pragnienie. Akcja dwóch U-bootów, które chciały nam przekazać wodę pitną nie udała się. Rosyjskie samoloty zrzucające torpedy kilka razy nadlatywały. Z powodu braku wody musieliśmy się przesiadać na mniejsze statki. Zawinęliśmy do Kopenhagi, ale port był zamknięty. Mogliśmy tylko zaopatrzyć się w wodę. Na morzu przejął nas duży transportowiec. Tu spotkałem młodszego kolegę szkolnego ze Sławna. Nic nie wiedział o mojej rodzinie.

Na pokładzie głośzono fałsz o podjęciu walki wraz z wojskiem amerykańskim i angielskim przeciwko Rosjanom. Front zachodni już skapitulował. Po jednym czy dwóch dniach przyszło rozczarowanie. 8 maja ogłoszono także kapitulację na froncie wschodnim. Transportowiec „Ubena” krążył jeszcze po Bałtyku między Danią a Borholmem do 12 maja. Wtedy zawinęliśmy do Kilonii. Na redzie statek czekał 14 dni. Widzieliśmy niezliczoną ilość statków z uciekinierami i resztkami Armii Kurlandzkiej.

Nareszcie mogliśmy opuścić statek. W Eutin przebywałem 3-4 tygodnie, w leśnym obozie. Było bardzo mało jedzenia. Nocą wykradałem się na łąkę, gdzie pasły się krowy, aby do puszek po konserwach wydoić trochę mleka. Z pobliskiej obory wykradałem śrutę, którą mieszałem z mlekiem. Ta „sielanka” nie trwała jednak długo, gdyż zarządca z dwoma wilczurami pilnował i obory i łąki.

W tym czasie Szlezwik-Holsztyn był jednym wielkim obozem dla ewakuowanych, wypędzonych, uciekinierów i więźniów. Anglicy zestawiali grupy byłych marynarzy do poszukiwania min. Grupy po 10 osób otrzymywały numery i kartki na prowiant. W drugiej połowie lipca zgłosiłem się do pracy na wsi. Zawieziono nas w kierunku Hanoweru do Stadthagen. Pracowałem u gospodarza Menschinga. Po około 4 miesiącach dostałem pierwszą wiadomość od matki i brata. Ojciec najpierw został deportowany przez Rosjan. Potem pomogli mu Polacy, z którymi współpracował w czasie wojny, wydostać się z obozu. Wrócił do Sławna i pracował w kombinacie mięsny u Rosjan, aż do chwili wysiedlenia.

Zimą 1945 roku zacząłem staż w gospodarstwie rolnym. Pracowałem ciężko bez odpowiedniego ubrania. Nauczyłem się pracy rolnika od podstaw i wreszcie, jesienią 1947 roku, zdałem egzamin z oceną bardzo dobrą.

Christa Stuhlinger²⁴⁸

Wypisy z życia z lat 1944-1946



Christa Stuhlinger w 2006 roku

przyszła do mnie z informacją, że zdobyła dwa bilety na przejazd „Gustloffem” dla siebie i brata. Pożegnałyśmy się. W marcu 1945 roku dotarła do nas wiado-

Ostatnie miesiące II wojny światowej i czas kapitulacji mam żywo w pamięci. Pod koniec 1943 roku pracowałam jako pielęgniarka w przedszkolu w Sopocie. Prowadziłam także nabożeństwa dla dzieci. Przedszkole zostało zbudowane przez stowarzyszenie chrześcijańskie blisko polskiej granicy.

Do 1944 roku żyło się spokojnie, później pogorszyło się. Przed Bożym Narodzeniem 1944 roku strojąc choinki widzieliśmy wozy uciekinierów z Litwy i Prus Wschodnich. Jedyna droga ewakuacji z tych terenów wiodła przez Bałtyk. Nikt nie wiedział co robić? Nikt nie udzielał informacji, kiedy odpłyną

statki. Pewnego dnia matka

²⁴⁸ **Christa Stuhlinger**, z domu Hoffmann, urodz. się w 1913 roku w Świnoujściu. 5 dziecko radcy studyjnego dr Johanna Hoffmanna i Gertrud Hoffmann z domu Pietsch. Dzieciństwo spędziło w Świnoujściu i w Sławnie. W 1926 roku rodzina wyprowadziła się do Sopotu. W 1934 roku autorka skończyła we Wrzeszczu szkołę z dyplomem nauczycielki przedszkola i do 1937 pracowała w zawodzie, a następnie kształciła się w Schwäbisch Hall w zawodzie pielęgniarki. W 1941 roku otrzymała status diakonisy. W 1948 roku wyszła za mąż za mistrza stolarstwa Johanna Stuhlingera. Ma 5 dzieci i 11 wnucząt. Jej wspomnienia zostały spisane w 2006 roku. Mieszka w Laichingen

mość o zatonięciu „Gustloff”. Rozpacz była wielka. Dopiero wiele tygodni później okazało się, że matka i brat żyją. Nie popłynęli tym statkiem tylko innym - „Potsdam”.

Do pomocy w przedszkolu dostałam siostrę Charlotte Kleinschmidt z Prus Wschodnich. Przewiozła pianino z mieszkania moich rodziców, gdyż bardzo lubiła grać. Umiłało nam to ciężkie dni. Front zbliżał się szybko. Po miesiącu Sopot był już mocno ostrzeliwany. Musieliśmy opuścić miasto. Pieszko poszłyśmy w kierunku Gdańska, wioząc walizki moim rowerem.

Nasz klasztor został zamieniony na szpital polowy. Rannych operowano i doglądano w świetle świeczek w piwnicach, strasznych, wilgotnych, ciemnych. Było coraz gorzej, nasiliła się strzelanina i napady żołnierzy rosyjskich. Przenieśliśmy rannych do budynku sądu po drugiej stronie ulicy. Tu nie było wody więc przynosiłyśmy ją ze studni w klasztorze. Chodziłyśmy zawsze w kilka osób. Kiedy nasz pastor poszedł odwiedzić stare siostry w pobliskim domu, to Rosjanie rozebrali go do kalesonów.

Zachorowałam na tyfus. Przez cały tydzień leżałam na kamiennej posadzce w gmachu sądu, bez wody i opieki. To chyba cud, że wyzdrowiałam. W maju przetransportowano rannych niemieckich żołnierzy do obozu w Toruniu. Personel szpitalny także. Ja nie pojechałam z nimi. Z drugą siostrą udałyśmy się w kierunku zachodnim, ja do Sławna, ona do Darłowa. Pociąg dojechał tylko do Wejherowa, gdzie znałam szpital jeszcze z czasów, kiedy miasteczko znajdowa-



Christa Stuhlinger lata 30-te

ło się w „polskim korytarzu”. Tu przenocowałyśmy w pokoju z chorymi na tyfus. Na drugi dzień udało się nam dotrzeć do Lęborka. Tu spędziłyśmy dobę, by ruszyć w dalszą drogę. Dojechałyśmy do Słupska. Dzień później, po nocy spędzonej w pustym wagonie towarowym, wreszcie pociąg do Sławna. Także towarowy, odkryty. Zatrzymał się za Warszawem. Znałam te strony, wysiadłyśmy i przez cmentarz dotarłyśmy do szpitala, do dawnego domu starców. Siostra

przełożona opowiedziała

nam, że moja babcia Anna Pietsch i moja ciocia Marianne nie żyją. Popelniły samobójstwo, jak wielu innych, między innymi doktor Schmidt z całą rodziną, dwie znajome nauczycielki, właścicielka młyna Kukułka. Nie chcieli opuścić

rodziny stron. Siostra przełożona pochowała je w ogrodzie mojej babci. Sta-
rałam się nie poddać smutkowi. Trzeba dalej żyć, choć było ciężko. Siostry po-
częstowały nas czymś bardzo szczególnym, gotowanym jajkiem, które wtedy
było na wagę złota. Przełożona poprosiła bym została, gdyż nie było personelu
do pracy. Prawie wszystkich zabrano do obozu, także do Torunia. Ponieważ nie
wiedziałam dokąd iść, zostałam.

Pracowałam na oddziale zakaźnym w osobnym budynku, sama, bez wizyt lekar-
skich. Był tylko jeden chirurg, uciekinier z Prus Wschodnich. Nie mógł wcho-
dzić do izolatek ze względu na możliwość zarażenia się. Dr Röhricht, przeszło
osiemdziesięcioletni, także był bezradny. Nie mieliśmy bowiem żadnych środ-
ków dezynfekujących czy dodatkowych ubrań, a tyfus czy dyfteryt są chorobami
bardzo zaraźliwymi. Wielu pacjentów i osób pomagających zmarło. Przy
drzwiach ustawiliśmy tablicę z napisem „Tyfus”. Rosjanie bardzo bali się zara-
żenia, dlatego nie wchodzili do nas, co chroniło nas przed gwałtami i rabunkami.
Wiele razy powtarzałam mój wiersz z konfirmacji: „Kto w małym jest wierny,
pozostanie wierny także w wielkim”.

Młody aptekarz ze Sławna sam przygotowywał lekarstwa używając roślin z
ogrodu mojej babci lub krwi starego konia i uzyskał płyn dla chorych na dyfte-
ryt.

Rosjanie podpalili aptekę, kościół, ratusz i domy wokół rynku. Siostronom udało
się z piwnicy apteki przenieść całą beczkę oleju rycynowego. Kucharka na tym
lecniczym oleju smażyła placki, które nieładnie pachniały, ale smakowały. W
listopadzie na moim oddziale leżała Cyganka chora na tyfus. Chciała mi ko-
niecznie czytać z dłoni. Na początku się nie godziłam, jednak ona bardzo nale-
gała. Oto co mi powiedziała: „Matka żyje”, „Wyjedziesz za Odrę”, „Żołnierz
blondyn, chore serce”. Byłoby pięknie, gdyby cyganka miała rację, gdyż losy
mojej rodziny były mi nieznane. Żyją, czy nie? Po paru godzinach cyganka
zniknęła zabierając rzeczy innej pacjentki. Jej przepowiednia się sprawdziła.

Czas przed gwiazdką 1945 roku, adwent. Potrzebne były świeczki. Aptekarz dał
nam aparat do produkcji czopków. W naczynka wlałyśmy gorący воск i tak
produkowałyśmy małe świeczki. Nie zdążyłyśmy ich jednak zapalić, bo w
Sławnie rządy objęli już Polacy. Rosjanie wyszli z miasta. Niemców wyrzucono
ze szpitala. W ciągu 10 minut musieliśmy spakować rzeczy i wyjść z oddziałów.
Nawet nie pozwolono mi założyć opatrunku na głowę pokaleczonego chłopca.
Na dworcu, stojąc na zewnątrz, przez 12 godzin czekaliśmy na pociąg towaro-
wy. Usiadłam na plecaku. Kilku młodych Polaków okradło nas. Mój płaszcz ro-
zerwali i później musiałam go łątać. Zabrali mi zegarek z torby. Było mi go
szkoda, bo przy jego pomocy badałam puls chorym. Mężczyźni wyrzucali skra-
dzione rzeczy z pociągu, a później je zbierali. A pociąg jechał bardzo wolno,
chyba dlatego by złodzieje mogli wyskoczyć. Do Odry jechaliśmy dzień i noc.
Bałyśmy się ponownych gwałtów i rabunku. Ja opiekowałam się dwoma chłop-
czykami, co chroniło mnie na szczęście przed gwałtem. Matka chłopców zmarła
w sławieńskim szpitalu, więc ja zabrałam ich na zachód, by przekazać ich rodzi-
nie. Pociąg zatrzymał się przed rzeką, przed granicą koło Angermünde. Mój

wujek, pastor, u którego chciałam się zatrzymać już wyjechał z miasta. Zatrzymaliśmy się na noc w przedszkolu. Dzień później na stacji – chciałam jechać do Greifswaldu – dowiedziałam się od dwóch diakonis²⁴⁹, że mojej matki tam nie ma. Dowiedziałam się od nich też, że mają nowy klasztor w Genthin. Pojechałam więc do Berlina, gdzie odwiedziłam siostry i dalej do klasztoru w Genthin. Siostry opowiedziały mi o tym, co działo się w Berlinie, o nalotach bombowych. Matkę spotkałam rok po opuszczeniu Gdańska. O tym wszystkim, co dziś pokazują w telewizji, o Hitlerze wtedy nie wiedzieliśmy.

²⁴⁹ diakonisa – w kościele ewangelickim – siostra w świeckim stowarzyszeniu, pracująca jako pielęgniarka lub nauczycielka

Horst Uhrhan²⁵⁰

Niemiecka tragedia – ucieczka i wypędzenie

Rolf Potthoff

Exodus i wypędzenie. Niemiecka tragedia.

Zima 1944/1945 była niezwykle lodowata. Miliony ludzi uciekało z terenów wschodnich, miliony zginęły. Ten temat był pokryty wielkim milczeniem.

„W czasie ucieczki widzę młodą kobietę z wózkiem dziecięcym na ośnieżonej szosie. Zmęczona przystanęła, zaglądnęła do wózka i zobaczyła, że dziecko jest już martwe. Zostawiła wózek w krzakach obok szosy, a sama podążyła za innymi. Nie mogła tracić kontaktu z długą kolumną uciekających. Do obrazu ucieczki należą także części bielizny, ręczniki i prześcieradła wiszących na drzewach wzdłuż drogi. Granat rozerwał furmankę”.

Dalsze przeżycia tamtych dni, to były masowe gwałty dokonywane na kobietach. Z tych czynów nie ma zdjęć, to działo się w ukryciu. Słowa „Frau komm”²⁵¹ są znamienne dla tego przestępstwa. A jednak istnieją obrazy: obraz martwej kobiety z rozerwaną odzieżą w stodole; obraz martwego męża, który został zastrzelony gdyż bronił żony i córki. W prostych słowach Arno Sumiński opisuje ludzką katastrofę, ucieczkę milionów ludzi z niemieckich terenów wschodnich przed Armią Czerwoną zimą 1944/45.

Autor Arno Sumiński pochodzi z Prus Wschodnich, odznaczony nagrodami Andreas – Gryphius²⁵² i Hamburger Bürgerpreises, ze zdumieniem zauważa, że jeden z największych fenomenów tych czasów, dramat o rozmiarach biblijnych, został opracowany zaledwie marginesowo przez społeczeństwo i politykę.

Naprawdę temat „ucieczka i wypędzenie” został po wojnie prawie wykluczony z publicznej debaty – mimo, że 12 milionów Niemców uciekło lub zostało wypędzonych zgodnie z ustaleniami podjętymi podczas konferencji w Poczdamie latem 1945 roku. Dotyczy to Prus Wschodnich, Śląska, Pomorza, Polski, Węgier i Czechosłowacji.

Wykluczenie tej tematyki jest niepojęte, lecz mimo wszystko łatwe do zrozumienia. Z jednej strony wstydlive milczenie setek tysięcy ludzi naznaczonych przez przemoc i gwałty. Z drugiej wstyd ludzi mieszkających w centrum Rzeszy

²⁵⁰ **Horst Uhrhan**, urodzony w 1938 roku. Ojciec Anton, matka Elisabeth ewakuowani w 1943 roku przed bombardowaniami z Bochum do Rügenwalde/Darłowo. Do Bochum wrócili w 1946 roku. Mieszka w Bochum.

²⁵¹ Kobieto chodź

²⁵² Andreas Gryphius, wybitny poeta i dramaturg niemieckiego baroku. Nagroda jego imienia dla wybitnych twórców działających na rzecz zbliżenia pomiędzy Niemcami i Polakami przyznawana jest przez Gildię Artystów w Esslingen.

hitlerowskiej, którzy z niechęcią przyjmowali uciekinierów i wypędzonych. Musieli bowiem dzielić chleb i lekarstwa, wszystko, choć sami nie mieli dużo w zbombardowanych miastach.

Ale przede wszystkim była jeszcze obawa przekroczenia pewnej granicy. Nie chciano widzieć Niemców nie tylko jako sprawców wojny światowej, ale także jako ofiary. Ten temat był tabu. Z historycznego punktu widzenia to uciekinierzy i wypędzeni płacili rachunek swoim zdrowiem, życiem i posiadłościami za ideologię zdobywania narodowych socjalistów, która zaczęła się natarciem na wschodzie na Polskę i Kraj Rad.

Lecz wahadło okrutności odbija się w drugą stronę. W październiku 1944 roku stalinowska Armia Czerwona stanęła na niemieckiej ziemi w Prusach Wschodnich. Po raz pierwszy była okazja do zemsty, zemsty za okrutności i spustoszenia, których Niemcy dokonali w kraju Stalina. Zemsty dokonano na ludności. Brutalności wywołały strach i chęć ucieczki. Straszne wieści dotarły do Niemiec.

Setki tysięcy ludności cywilnej uciekało w lodowatą, ostrą zimę z Prus Wschodnich, Pomorza i Śląska. Kolej już nie funkcjonowała. Tylko wojsko dysponowało pojazdami. Ludzie uciekali pieszo, wózkami i furmankami. Brakowało wody i żywności. Pierwszymi ofiarami tego exodusu były dzieci, starzy i chorzy. Szybko posuwający się front rosyjski doganiał uciekających ostrzeliwując ludzkie kolumny także z samolotów. Mężczyzn i chłopców zabierano i deportowano.

Ludzie uciekali także przez zamrożoną Zatokę Gdańską i Bałtyk, na statkach, okrętach, transportowcach. 30 stycznia 1945 roku zdarzyła się największa katastrofa morska. Zatonął statek „Wilhelm Gustloff” trafiony torpedami z sowieckiego okrętu podwodnego. Utonęło przeszło 9.000 tysięcy ludzi.

Noblista Günter Grass opisał to tragiczne zdarzenie w swojej książce „Im Krebsgang”²⁵³. Ta książka dopiero po raz pierwszy w 2002 roku wywołała większą publiczną dyskusję na temat ucieczki i wypędzenie. Jest to bardzo wąska ścieżka, gdyż opis tego strasznego wycinka niemieckiej historii, który 2 milionom ludzi zabrał życie, nie może być zbywany milczeniem. Arno Suminskiemu nie chodzi o rewanżyzm, zemstę czy rozliczenie tych wszystkich nieprawości, ale o przypomnienie gorzkiego losu ludzi i wyrażenie spóźnionego współczucia. (Tekst ukazał się w „Westdeutsche Allgemeine Zeitung“ 2 III 2007 r. w rubryce „Poglądy i tematy dnia“).

* * *

Wzmianka do tematu „Ucieczka i wypędzenie. Niemiecka tragedia) artykuł z 2 III 2007 roku w WAZ”²⁵⁴.

Odpowiedź na wiecznie powtarzające się pytanie mojego ojca Antoniego (urodzonego w 1904 roku): Dlaczego nie uciekliście w porę przed Rosjanami ?

²⁵³ wydanie polskie: Idąc rakiem, tłum. Sławomir Błaut, Wydawnictwo Oskar, Gdańsk 2002

²⁵⁴ Westdeutsche Allgemeine Zeitung – WAZ, dziennik wydawany w Essen

Niekończące się kolumny uciekinierów z Prus Wschodnich i Zachodnich dotarły już na początku listopada 1944 roku przy lodowatym mrozie do Rügenwalde²⁵⁵ na Zapomorzu.

Furmanki kryte plandekami wjechały przez Bramę Kamienną, wzdłuż głównej ulicy Langestrasse²⁵⁶, minęły most nad Wieprzą i opuściły miasto w kierunku Koszalina, Szczecina, na Zachód.

Kolumny tworzyli przeważnie ludzie starzy, młode kobiety, matki z dziećmi w każdym wieku. Nie było mężczyzn, walczyli bowiem na froncie.

Kolumny uciekinierów przybywające wieczorem pozostawały w mieście biwakując na rynku przed ratuszem i na pobliskich ulicach. Mieszkańcy Darłowa podawali gorące napoje i jedzenie. Koniom podawano obrok i wodę lub umieszczano w stajniach na kilka godzin. Umieszczenie ludzi w domach lub szkołach nie było możliwe. Były bowiem już zajęte przez ludność z terenów zagrożonych nalotami (1943) i od jesieni 1944 roku przez wojsko. Szkoły wraz z salami gimnastycznymi, także zamek zamieniono na polowe lazarety.

Ponieważ nasze mamy (Uhrhan – Mohr – Kranei – Grothen) widziały tę wielką nędzę, postanowiły po długich dyskusjach : „Nie opuszczamy miasta. Gorzej u Rosjan też nie może być”. Zrezygnowaliśmy z ucieczki okrętem niemieckiej marynarki wojennej wieczorem 6 marca 1945 roku o godzinie 21.00.

Dowiedzieliśmy się pocztą pantoflową, że Rosjanie atakowali z powietrza niemieckie statki płynące na Zachód. Znany nam był także fakt zatonięcia „Gustloff’a” 30 stycznia 1945 roku. Naziści nie ogłosili tego, ale siostry DRK²⁵⁷, które nocami zbierały z plaży topielców opowiedziały nam o tym strasznym zdarzeniu.

Z powodu tych wszystkich zdarzeń zostaliśmy w mieście i zaznaliśmy wejścia Rosjan do miasta Rügenwalde. Było to 7 marca 1945 roku o godzinie 5.00 rano. Mieszkaliśmy na Mänderstrasse 53²⁵⁸.

Dzięki boskiej pomocy i wysokiego rangą oficera rosyjskiego, który wprowadził się na pierwsze piętro naszego domu, mieliśmy ochronę przed rosyjskimi żołnierzami. Dzięki temu oficerowi w dalszym ciągu mogliśmy czuć się bezpiecznie. Moja matka dzięki niemu otrzymała pracę w kuchni oficerskiej. Mieliśmy zapewnione schronienie i wyżywienie (kuchnia na ulicy Dworcowej, dawniej był tam sąd)²⁵⁹.

Znajome matki i moja siostra Elżbieta także otrzymały pracę i ochronę. Pracowały w fabryce „Rüwag” – Rügenwalder Wustfabrik). Deputat mięsa i kielbasy był tak duży, że część oddawaliśmy naszym znajomym, którzy nie mieli co jeść. Później – latem 1945 roku – Polacy przejęli administrację od Rosjan. W wyniku postanowień Konferencji Poczdamskiej Polacy otrzymali tereny wschodnie Niemiec i osiedlili się tu.

²⁵⁵ Darłowo

²⁵⁶ obecnie Powstańców Warszawskich

²⁵⁷ Niemiecki Czerwony Krzyż

²⁵⁸ obecnie ulica Morska

²⁵⁹ Darłowska Fabryka Kielbas

We wrześniu 1946 roku nasze cztery rodziny wyjechały pierwszym zorganizowanym przez Polaków transportem dzięki kontaktom pierwszego polskiego katolickiego księdza ojca Władysława Tynieckiego.

Bochum , 3 marca 2007 roku

* * *

Opieka duszpasterska kościoła katolickiego nad dziećmi i młodzieżą ewakuowaną z Westfalii zagrożoną nalotami bombowymi, w latach 1943-1946

Wiosna 1943 – marzec 1945

Pomorze Wschodnie od wieków było krainą protestancką i „konserwatywnie – pruską”. Dopiero po przeniesieniu ewakuowanych z Zagłębia Ruhry powiększył się krąg katolików.

W Rügenwalde (Darłowo) były trzy kościoły: Kościół Mariacki (główny), znajdujący się na rynku; Kościół św. Jerzego, za mostem przy końcu głównej ulicy; Kościół św. Gertrudy na cmentarzu.

W sierpniu 1943 roku biskup Lorenz Jäger z Paderborn mianował duszpasterza dla ewakuowanych z Zagłębia Ruhry – wikarego Karla Secka z Bochum (święcenia otrzymał 15 marca 1931 r.).

Ksiądz Seck był bardzo lubiany przez wiernych ewakuowanych; był dobrym pasterzem dla swojej parafii na „emigracji”.

Przed zajęciem Rügenwalde przez Rosjan (6/7 marca 1945 r.) ksiądz potajemnie opuścił swoich parafian uciekając na zachód. Mała gromada katolickich ewakuowanych pozostała bez duszpasterza.

Wiosna 1945 – sierpień 1946

Parafia miała jednak szczęście. Uciekinier z Prus Wschodnich ksiądz Rutzow pozostał razem z siostrą w Darłowie.

W tym samym czasie nowi osadnicy Polacy stworzyli nową parafię katolicką zgodnie z postanowieniami konferencji poczdamskiej (17 VII – 2 VIII 1945) i objęli w posiadanie trzy kościoły. Ksiądz Rutzow nawiązał kontakt z pierwszym katolickim księdzem Polakiem. Pozwolono mu na sprawowanie dalszej opieki nad pozostałymi katolickimi Niemcami.

Pierwszym polskim księdzem był franciszkanin Władysław Tyniecki (1915-1976). Proboszczem w Darłowie był w latach 1945-1948.

Niemiecka parafia miała do dyspozycji kościółek św. Gertrudy. Ksiądz Rutzow dalej opiekował się wiernymi. Odbýwały się Msze Św. , nabożeństwa, spowiedzi i lekcje religii dla dzieci. Pierwsza komunia św. odbyła się 19 sierpnia 1945 r. w św. Gertrudzie dla 3 chłopców: (Gerhard Mohr (*1937), Horst Uhrhan (*1938) i Schulz (* ?).

Kilka tygodni później ks. Rutzow wyjechał z Darłowa na Zachód. I znów mała parafia niemiecka pozostała bez duszpasterza. Nasza rodzina zamieszkała przy Münder Strasse 53²⁶⁰ zgłosiła się do polskiego księdza. Ksiądz W. Tyniecki opiekował się niemieckimi rodzinami, przygotował grupkę dzieci do bierzmowania. 12 maja 1945 biskup Nowicki z Poznania bierzmował także 6 lub 7 dzie-

²⁶⁰ obecnie ulica Morska, budynek przedszkola

ci niemieckich, m.in. Gerharda Mohra, Christiane Mohr, Theresie Krumpholz, Horsta Uhrhana.

60 lat później wspominałem moje powojenne bierzmowanie podczas Mszy, 25 czerwca 2006 r., w Kościele Mariackim w Darłowie.

17 sierpnia 1946 r. pozwolono nam wyjechać z Darłowa zorganizowanym transportem. W październiku dotarliśmy szczęśliwie do naszej rodzinnej miejscowości Bochum.

* * *

Ojciec: Anton Uhrhan, urodzony w 1904 roku, do 1945 roku żołnierz w Holandii

Matka: Elisabeth Uhrhan, urodzona w 1907 roku ewakuowana przed bombardowaniami z Bochum do Rügenwalde w 1943 roku.

Dzieci: Elisabeth urodzona w 1929 roku, Horst urodzony w 1938 roku.

Powrót do Bochum w październiku 1946 roku.